

Mistrzowski kryminał uhonorowany prestiżową
nagrodą literacką **PREMIO PLANETA**

DAM CI TO WSZYSTKO

Dolores
Redondo



Dolores Redondo

DAM CI
TO
WSZYSTKO

PRZEŁOŻYŁA
Barbara Bardadyn



Większość przeciętnych obywateli zawsze się zastanawia, co sobie o nich pomyślą sąsiedzi. Ale włóczęgi i arystokraci – nie! Ich to nie obchodzi, robią to, na co mają ochotę, i nie zwracają sobie głowy tym, co inni sądzą na ich temat. Nie mam tu na myśli bogaczy-próżniaków, ludzi, którzy wydają tylko wielkie przyjęcia i tak dalej. Myślę o tych, którzy od pokoleń wychowywani są w przeświadczeniu, że liczy się jedynie ich zdanie*.

– **Agatha Christie**

Tajemnica rezydencji Chimneys

Praktycznie każdy z mieszkańców domu mógł to zrobić**.

– **Agatha Christie**

Dom przestępców

Michael Corleone przedsięwziął środki ostrożności na każdą ewentualność. Jego planowanie było bezbłędne, zabezpieczenie nienaganne. Był cierpliwy, miał nadzieję, że wykorzysta cały rok na przygotowania. Jednakże nie miał uzyskać potrzebnego mu roku, ponieważ los obrócił się przeciwko niemu i to w sposób najbardziej niespodziewany. Ojciec Chrzestny, sam wielki don, zawiódł Michaela Corleone***.

– **Mario Puzo**

Ojciec chrzestny

Obok ciebie będą mieszkać i będą do ciebie mówić, jak wtedy, gdy jesteś ze mną.

– **Isolina Carrillo**

Dwie gardenie

* W przekładzie Urszuli Gutowskiej.

** W przekładzie Anny Polak.

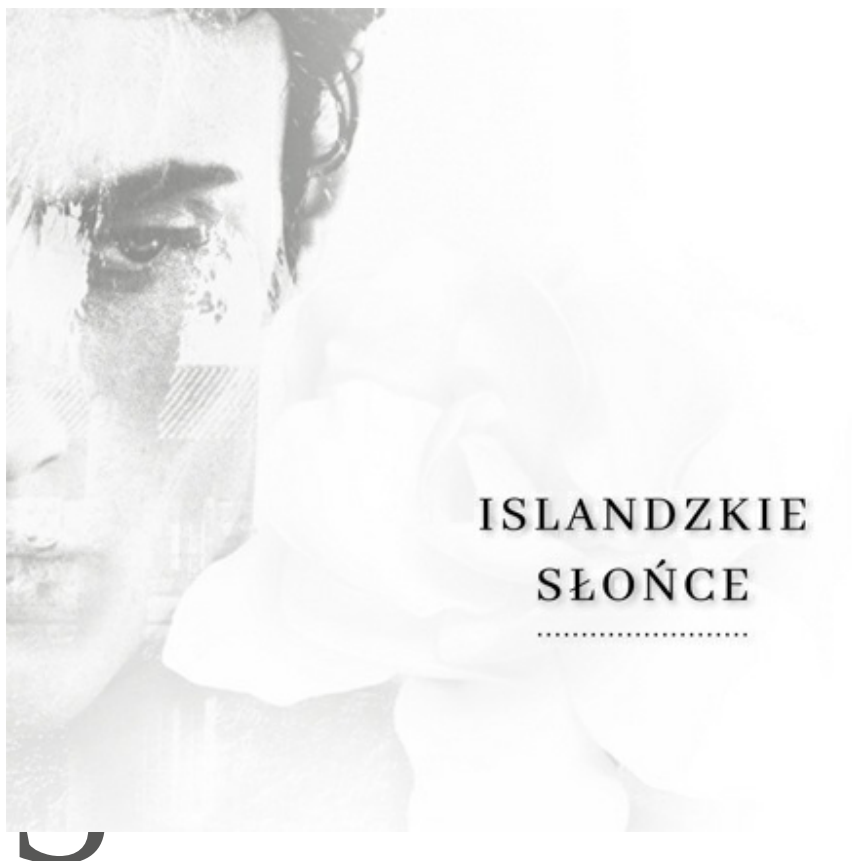
*** W przekładzie Bronisława Zielińskiego.

.....
Powieść otrzymała **Premio Planeta 2016**,
przyznaną przez jury w składzie: Alberto Blecua,
Fernando Delgado, Juan Eslava Galán,
Pere Gimferrer, Carmen Posadas,
Rosa Regés i Emili Rosales.
.....



Dla Eduarda, na zawsze.

*Mojemu ojcu, Galisyjczykowi pod każdym względem.
Mojej matce oraz miłości obojga wbrew woli rodziny,
która umocniła we mnie dumę z moich bliskich
i wiarę w niezwyciężoną miłość.*



ISLANDZKIE SŁOŃCE

.....

tukanie do drzwi zabrzmiało autorytarnie. Osiem pewnych, szybkich uderzeń kogoś, kto oczekuje, że zostanie sprawnie obsłużony. Żądanie, którego nie sposób pomylić z pukaniem zaproszonego gościa, robotnika albo dostawcy. Później pomyślał, że właściwie zabrzmiało to w taki sposób, w jaki spodziewałby się, że puka policja.

Przez kilka sekund obserwował w zamyśleniu migoczący kursor na końcu ostatniego zdania. Poranek miał bardzo produktywny, lepszy niż w ciągu ostatnich trzech tygodni, ponieważ – choć nie cierpiał się do tego przyznawać – pisało mu się łatwiej, kiedy był w domu sam, kiedy pracował bez wyznaczonych godzin, uwolniony od standardowych przerw na obiad albo kolację, i po prostu dawał się ponieść. Na tym etapie pisania zawsze było tak samo, powieść *Słońce Teb* ukończyłby za dwa tygodnie, a może wcześniej, jeśli wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem. I do tego czasu ta historia

byłaby jedyną rzeczą w jego życiu, jego obsesją, tym, co zajmowałoby go dniem i nocą, jedynym, o czym by myślał. Doświadczał tego przy każdej powieści: pobudzające, a jednocześnie niszczące uczucie, jakby składał się w ofierze, co uwielbiał i co go w równym stopniu przerażało. Prywatny rytuał, o którym wiedział, że w ciągu tych dni nie stanie się jego najlepszym towarzyszem. Podniósł wzrok, aby rzucić szybkie spojrzenie na korytarz oddzielający salon, gdzie pisał, od drzwi wejściowych, po czym znowu popatrzył na kursor, który wyglądał, jakby pulsował, naładowany już słowami do wystukania. Pomieszczeniem zawładnęła fałszywa cisza, tworząc na chwilę złudną nadzieję, że niespodziewany gość się poddał. Ale tak się nie stało, po drugiej stronie drzwi wyczuwał obecność jego milczącej, władczej energii. Ponownie spojrzął na kursor i przysunął dłonie do klawiatury, zdecydowany, by dokończyć zdanie. W ciągu następnych kilku sekund rozważał nawet możliwość, by nie zwracać uwagi na stukanie, które na nowo uparcie rozbrzmiało w małym przedpokoju.

Zirytowany nie tyle przerwą w pisaniu, ile nieuprzejmym pukaniem, ruszył w stronę wejścia i otworzył drzwi, ze złością odsuwając zasuwę i bełkocząc przekleństwa pod adresem dozorczy, któremu już nieraz zwracał uwagę, że nie lubi, kiedy ktoś przeszkadza mu w pracy.

Dwoje funkcjonariuszy Gwardii Cywilnej w mundurach, mężczyzna i kobieta, cofnęło się o krok, gdy otworzył drzwi.

– Dzień dobry. Czy to jest miejsce zamieszkania Álvara Muñiza de Dávili? – zapytał mężczyzna, zerknąwszy ukradkiem na małą kartkę, która po chwili zniknęła w jego dłoni.

– Tak – odpowiedział Manuel, natychmiast zapominając o swojej złości.

– Pan jest krewnym?

– Jestem jego mężem.

Funkcjonariusz rzucił koleżance szybkie spojrzenie, co nie umknęło

uwadze Manuela, ale jego wrodzona paranoja osiągnęła już w tym momencie wystarczająco wysoki poziom, by mógł zignorować ten gest.

– Coś mu się stało?

– Podporucznik Castro, a to moja koleżanka, sierżantka Acosta. Czy możemy wejść? Lepiej, żebyśmy porozmawiali w środku.

Był pisarzem, mógł rozwinąć tę scenę w głowie bez większego wysiłku: dwoje gwardzistów w mundurach proszących go o wejście do jego mieszkania, aby z nim porozmawiać, nie mogło przynosić dobrych wieści.

Manuel skinął głową i odsunął się na bok. W swoich zielonych uniformach i wojskowych butach mężczyzna i kobieta wyglądali w wąskim przedpokoju na ogromnych. Podeszwy zatrzeszczały na lakierze ciemnego parkietu, jakby były pijanymi marynarzami próbującymi utrzymać równowagę na pokładzie zbyt małego statku. Korytarzem poprowadził ich do salonu, gdzie znajdował się stół, przy którym pracował, ale zamiast skierować gości na kanapę, gwałtownie przystanął, odwrócił się, prawie się z nimi zderzając, i z uporem powtórzył:

– Coś mu się stało?

To nie było pytanie. W jakimś momencie, gdzieś między drzwiami frontowymi a salonem, przestało nim być, żeby stać się niemal błaganiem, nachalną mantrą, którą jego umysł zawzięcie powtarzał: „Proszę, nie. Proszę, nie. Proszę, nie”. Robił to, chociaż doskonale wiedział, że błaganie nic tu nie pomoże. Podobnie jak wtedy, gdy rak pożarł jego siostrę zaledwie w dziewięć miesięcy. Wycieńczona i w gorączce, ale zdeterminowana jak zawsze, żeby podtrzymać go na duchu, pocieszać go i o niego dbać, żartowała z uwięzioną przez śmierć i zanurzoną w miękkości poduszki twarzą. „Odejdźcie ze świata zajmie mi tyle samo czasu, ile zajęło przyjście”. Nieustannie prosił z pokorą jakąś wyższą i bezużyteczną siłę, której recytował swoją błagalną formułkę, podczas gdy szedł, powłócząc nogami

niczym uniżony sługa, do tamtego małego i ciepłego gabinetu, gdzie lekarz powiedział mu, że jego siostra nie przeżyje najbliższej nocy. Nie, to nie pomogło, chociaż zdecydowany, by stawić temu opór, złączył dłonie w niemej prośbie, wysłuchując nieuniknionego wyroku, od którego nie spodziewał się odwołania.

Podporucznik zatrzymał się, podziwiając wspaniałą bibliotekę zajmującą całe dwie ściany salonu, rzucił okiem na stół, przy którym pracował Manuel, a potem znów przeniósł wzrok na niego.

– Chyba powinien pan usiąść – powiedział funkcjonariusz, wskazując na kanapę.

– Nie chcę siadać, proszę mi wreszcie powiedzieć – nalegał, uświadamiając sobie, że jego słowa zabrzmiały trochę szorstko. Potem, aby złagodzić ton, westchnął i dodał: – Proszę...

Funkcjonariusz zawahał się zakłopotany, spojrzął na jakiś punkt nad ramieniem Manuela i zanim otworzył usta, zagryzł górną wargę.

– Chodzi o... pańskiego...

– Chodzi o pańskiego męża – przerwała kobieta, przejmując kontrolę nad sytuacją i kątem oka dostrzegając u swojego kolegi słabo skrywaną ulgę. – Przykro nam, ale mamy złe wieści. Musimy przekazać panu informację, że dzisiaj w nocy pan Álvaro Muñiz de Dávila miał poważny wypadek samochodowy. Kiedy przyjechała karetka, już nie żył. Bardzo mi przykro, proszę pana.

Twarz sierżantki miała idealnie owalny kształt, podkreślony sposobem, w jaki kobieta się czesała, zbierając włosy w kok, z którego wymykały się pojedyncze kosmyki. Usłyszał to wyraźnie, Álvaro zmarł, jednak przez kilka sekund myślał zaskoczony o spokojnym pięknie tej kobiety, pięknie tak absolutnym, że był gotowy zwerbalizować to zadziwiające spostrzeżenie, które przejęło jego umysł. Była bardzo ładna, choć sprawiała wrażenie, jakby

nie miała świadomości cudownej symetrii swoich rysów twarzy, co czyniło ją jeszcze piękniejszą. Powtórnie pomyśli o tym później, będąc pod wrażeniem tego, jak jego mózg znalazł wyjście ewakuacyjne, starając się ratować rozsądek. O sekundach, które spędził na podziwianiu doskonałych rysów kobiecej twarzy, co – chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedział – stanowiło pierwsze koło ratunkowe, jakiego się chwycił. Była to jedynie chwila, wspaniała, lecz niewystarczająca, żeby powstrzymać lawinę pytań wzbierającą już w jego umyśle. A jednak powiedział tylko:

– Álvaro?

Sierżantka wzięła go pod ramię (później pomyśli, że zrobiła to tak samo, jak chwyta się zatrzymanych) i jako że nie stawiał oporu, zaprowadziła go na kanapę, pchnęła delikatnie jego ramię, a kiedy już siedział, spoczęła obok niego.

– Do wypadku doszło w nocy. Samochód najwyraźniej wypadł z drogi na prostym odcinku o dosyć dobrej widoczności. Nie wydaje się, by w zdarzeniu brał udział inny pojazd, według kolegów z Monforte, którzy przekazali nam informację, wszystko wskazuje na to, że zasnął za kierownicą.

Słuchał jej uważnie, starając się wyłapać szczegóły wyjaśnień i usiłując nie ulegać chórowi głosów, który coraz dosadniej krzyczał w jego głowie: „Álvaro nie żyje. Álvaro nie żyje. Álvaro nie żyje”.

Piękna twarz kobiety przestała mu wystarczać. Kątem oka widział podporucznika zajętego oglądaniem rzeczy znajdujących się na stole, przy którym pracował. Kubek z resztką kawy i łyżeczką w środku, zaproszenie na galę wręczenia prestiżowej nagrody literackiej używane jako podstawka, telefon komórkowy, przez który kilka godzin wcześniej rozmawiał z Álvarem, oraz kursor migoczący tęsknie na końcu ostatniej linijki, napisanej tego poranka, o którym myślał – biedny głupiec – że jest taki produktywny. I wtedy stwierdził, że to już nieważne, nic nie było ważne, jeśli

Álvaro zmarł, a musiało tak być, ponieważ powiedziała mu to sierżantka i wyśpiewał grecki chór, który ulokował się w jego głowie, nie przestając tego powtarzać ogłuszającym *crescendo*. Wtedy pojawiło się drugie koło ratunkowe.

– Powiedziała pani „Monforte”? Ale to jest w...

– Monforte w prowincji Lugo. Tam właśnie mieści się kwatera, z której do nas zadzwoniono, chociaż do wypadku tak naprawdę doszło na terenie małej gminy w pobliżu miejscowości Chantada.

– To nie jest Álvaro. – Stanowczość jego stwierdzenia przyciągnęła uwagę podporucznika, który straciwszy zainteresowanie przedmiotami leżącymi na stole, odwrócił się zdezorientowany w jego stronę.

– Jak to?

– To nie może być Álvaro, mój mąż pojechał przedwczoraj po południu do Barcelony na spotkanie z klientem. Zajmuje się marketingiem biznesowym. Tygodniami pracował nad projektem dla pewnej katalońskiej grupy hotelowej, zaplanowali kilka działań promocyjnych, a dzisiaj wcześniej rano miał umówione spotkanie, żeby dokonać prezentacji, więc to niemożliwe, by był w Lugo, to na pewno jakieś nieporozumienie. Rozmawiałem z nim późnym wieczorem, dzisiaj się jeszcze nie słyszeliśmy, ale to dlatego, że, jak mówiłem, rano miał spotkanie, a ja nie wstaję zbyt wcześnie. Zaraz do niego zadzwonię.

Wstał i przeszedł obok podporucznika, ignorując ciężki jak ołów ładunek pobłażliwości w spojrzeniach, które wymienili funkcjonariusze. Kiedy znalazł się przy stole, niezdarnie przebiegł rękoma między leżącymi na nim przedmiotami, sprawiając, że łyżeczka zadzwoniła o brzeg kubka, w którym resztką kawy nakreśliła już wyraźne kółko. Wziął telefon. Nacisnął kilka klawiszy i przyłożył komórkę do ucha, nie spuszczając wzroku z sierżantki obserwującej go z przygnębionym wyrazem twarzy. Manuel czekał, aż

dźwięk połączenia się urwał.

– Musi być na spotkaniu, dlatego nie odbiera... – starał się wyjaśnić.

Sierżantka wstała.

– Ma pan na imię Manuel, prawda?

Pokiwał głową, jakby przyjmował najgorszą wiadomość.

– Manuelu, proszę podejść i usiąść obok mnie.

Wrócił na kanapę, wciąż trzymając w ręku telefon, i zrobił to, o co go prosiła.

– Manuelu, ja też jestem zamężna – powiedziała, kierując wzrok na niemal matowe już złoto swojej ślubnej obrączki – i wiem z doświadczenia, a przede wszystkim z mojej pracy, że nigdy nie mamy absolutnej pewności, co robi nasz partner. Trzeba nauczyć się z tym żyć, bez torturowania się co chwilę wątpliwościami. Na pewno jest jakaś przyczyna, dla której pański mąż tam był i panu o tym nie powiedział. My jesteśmy przekonani, że to on. Jeżeli nikt nie odebrał telefonu, to dlatego, że mają go koledzy z Monforte. Ciało pańskiego męża przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej przy szpitalu w Lugo, a oprócz tego mamy pozytywną identyfikację krewnego. Bez wątplenia chodzi o czterdziestoczteroletniego Álvaro Muñiza de Dávila.

Zaprzeczał ruchem głowy każdemu argumentowi sierżantki Acosty, a nieporozumienie w sprawie Álvaro zrzucił na wygasły blask obrączki, która obligowała tę kobietę do wygłaszania prawd absolutnych na temat relacji w związkach. Minęło zaledwie kilka godzin od jego ostatniej rozmowy z mężem i Álvaro był wtedy w Barcelonie, nie w Lugo. Co on, do diabła, robiłby w Lugo? Manuel znał własnego męża i miał pewność, że ten nie był na żadnej przeklętej drodze w Lugo. Nienawidził tych prawd absolutnych o związkach, właściwie nienawidził prawd absolutnych na temat wszystkich spraw i zaczynał nienawidzić tej przemądrzałej sierżantki.

– Álvaro nie ma rodziny – zaprotestował.

– Manuelu...

– No dobrze, przypuszczam, że ma, jak każdy, ale nie utrzymywał z nią żadnego kontaktu, zero jakichkolwiek relacji. Było tak już na długo przed tym, jak się poznaliśmy, odkąd Álvaro w bardzo młodym wieku się uniezależnił. Są państwo w błędzie.

– Manuelu, pańskie nazwisko i numer telefonu znajdowały się przy skrócie „Aa” w komórce pana męża – wyjaśniła spokojnie kobieta.

– Skrót „Aa”... – wymamrotał.

Pamiętał, wprowadzili to kilka lat temu. Skrót „Aa”, od „Avisar a”, czyli „Zawiadomić” – zalecenie wydane przez Generalną Dyрекcję Ruchu Drogowego, żeby wybrać osobę, z którą należy się skontaktować w razie wypadku. Nacisnął przycisk kontaktów w swoim telefonie i zobaczył własne „Aa” – Álvaro. Przez kilka sekund patrzył na każdą z liter składających się na to imię, podczas gdy wzrok zachodził mu mgłą z powodu ciężaru łez, które cisnęły się do jego oczu. Wtedy dostrzegł kolejne koło ratunkowe.

– Ale nikt do mnie nie zadzwonił... Powinni zadzwonić, prawda?

Podporucznik niemal wyglądał na zadowolonego, że może zabrać głos.

– Jeszcze kilka lat temu tak robiono, wskazaną osobę powiadamiano przez telefon, a jeśli nie było nikogo takiego, dzwoniło pod numer oznaczony jako „dom” albo „rodzice” i przekazywano wiadomość... Było to jednak bardzo traumatyczne i takie telefony często wywoływały ataki serca, wypadki albo... niepożądane reakcje. Staraliśmy się to poprawić. Teraz protokół wymaga pozytywnej identyfikacji. Powiadamia się kwaterę najbliższą miejscu zamieszkania zmarłego i zawsze udaje się tam dwóch funkcjonariuszy, z których jeden jest wysokim rangą oficerem, jak w tym przypadku. Przekazujemy wtedy wiadomość o śmierci osobiście albo prosimy krewnego, by poszedł z nami i dokonał identyfikacji.

A więc cały ten cyrk z „proszę usiąść” i „proszę zachować spokój” miał

tylko jeden cel: był to ustanowiony protokół, aby przekazać najgorszą wiadomość na świecie. Protokół, który znało tylko dwoje z obecnej tutaj trójki i od którego – teraz to wiedział – nie było żadnego odwołania.

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu i bezruchu, aż podporucznik wykonał w stronę kobiety ponagląjący gest.

– Może chciałby pan zadzwonić do jakiegoś krewnego albo przyjaciela, żeby dotrzymał panu towarzysztwa... – zasugerowała funkcjonariuszka.

Manuel popatrzył na nią w ośpieniu. Jej słowa ledwie do niego docierały, jakby mówiła z innego wymiaru albo będąc pod wodą.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał.

– Tak jak mówiłam, ciało znajduje się w Zakładzie Medycyny Sądowej przy szpitalu w Lugo. Tam panu powiedzą, co należy dalej zrobić, i oddadzą ciało, żeby mógł je pan pochować.

Z udawanym hartem ducha wstał i skierował się w stronę drzwi, zmuszając funkcjonariuszy, by za nim poszli, po czym obiecał, że od razu po ich wyjściu zadzwoni do swojej siostry. Mając świadomość tego, że jeśli chce się ich pozbyć, musi zachować spokój, uściśnął im dłonie i poczuł, że mierzą go wzrokiem, co nie pasowało do uprzejmych gestów, jakimi się żegnali. Podziękował raz jeszcze i zamknął drzwi.

Zaczekał kilka sekund, opierając się o ciepłe drewno, pewny, że oni też nasłuchują z drugiej strony. Z tego miejsca, w którym prawdopodobnie nigdy nie przystanął wystarczająco długo, obserwował, jak mały korytarz otwiera się na salon niczym bukiet ze ściśniętymi łądygami. Mieszkanie, które dzielił z Álvarem od piętnastu lat, widziane z perspektywy tego ignorowanego obserwatorium ich domu wydawało mu się ogromne. Wpadające przez okno promienie słońca zacierały kanty mebli, stapiając ich biel, a w końcu całkowicie je rozpuszczając razem ze ścianami i sufitem. Teraz to ukochane, znajome miejsce przestało być jego domem i zamieniło się w ocean

lodowatego słońca, w piekielną islandzką noc, sprawiając, że znów poczuł się sierotą, jak tamtej nocy w szpitalu.

„Zadzwoń do siostry”. Na myśl o tym gorzko się uśmiechnął. Gdyby tylko mógł. Poczuł, że przygnębienie przebiega mu po tułowiu niczym gorące, niepożądane zwierzę, które próbuje usiąść na jego brzuchu, a oczy napęłniły mu się łzami, gdy zdał sobie sprawę, że jedyne dwie osoby, do których chciałby zadzwonić, nie żyją.

Powstrzymawszy płacz, wrócił do salonu, usiadł w tym samym miejscu, które zajmował wcześniej, i wziął ze stołu telefon. Kiedy aktywował ekran, wyświetliło się imię Álvaro. Popatrzył na nie przez kilka chwil, westchnął i poszukał na liście kogoś innego.

Słodki kobiecy głos Mei odezwał się po drugiej stronie. Mei Liu od ponad dziesięciu lat była sekretarką Álvaro.

– Ach, cześć, Manuelu, jak się masz? Jak ci idzie pisanie powieści? Już nie mogę się jej doczekać. Álvaro mówił, że będzie niesamowita...

– Mei – przerwał jej – gdzie jest Álvaro?

Po drugiej stronie linii na kilka sekund zapadła cisza i wtedy Manuel już wiedział, że ta kobieta go okłamie. Miał nawet jeden z tych błysków jasnowidzenia, w których człowiek przez sekundę potrafi zobaczyć intrygi napędzające świat, litościwie pozostające przed nami w ukryciu niemal przez całe życie.

– Álvaro? Przecież... jest w Barcelonie.

– Nie kłam, Mei – poprosił szorstko, chociaż prawie szeptał.

Cisza utwierdziła go w tym, że Mei była zaniepokojona i wykorzystywała pauzę, aby rozpaczliwie poszukać wymówki, która dałaby jej jeszcze kilka sekund na zastanowienie się.

– Nie kłamię, Manuelu... Dlaczego miałabym to robić? – Jej głos był teraz ostrzejszy, jakby chciała się rozplakać. Usprawiedliwienia, pytania...

Wszelkie możliwe wymówki, żeby uniknąć bezpośredniej odpowiedzi. – Jest... Jest w Barcelonie, na spotkaniu z szefami tej katalońskiej grupy hotelowej.

Manuel ścisnął telefon, aż zbieleły mu kostki, zamknął oczy i z wielkim wysiłkiem powstrzymał się od rzucenia nim o podłogę, od zniszczenia go, rozbicia na tysiąc kawałków, żeby uciszyć kłamstwa, które docierały do niego z drugiej strony. W końcu przemówił, starając się kontrolować ton głosu na tyle, by nie zacząć krzyczeć.

– Dwoje funkcjonariuszy Gwardii Cywilnej właśnie wyszło z mojego domu. Powiedzieli, że Álvara nie było w Barcelonie, że wczoraj w nocy zginął w wypadku samochodowym i teraz leży w kostnicy w Lugo... Więc, do diabła, powiedz mi w końcu prawdę, bo to niemożliwe, żebyś nie wiedziała, dokąd on pojechał. – Przeciągał sylaby każdego słowa, wypowiadając je szeptem, aby powstrzymać gniew.

Głos kobiety się załamał i zamienił w szloch, ledwie pozwalając mu odróżnić słowa.

– Przykro mi, Manuelu, przykro mi.

Rozłączył się, a Mei, która mogła być jego trzecim kołem ratunkowym, już nigdy nim nie została.



ISLANDZKIE SŁOŃCE

.....

I oczekalnia pachniała smutkiem. Dwa rzędy plastikowych krzeseł naprzeciwko siebie ledwie zostawiały miejsce w ciasnej przestrzeni, w której oddechy i posępne nastroje unosiły się na cuchnącym obłoku pary zacieniającym cierpiące twarze czekających. Skonsternowany, wyszedł z powrotem na korytarz, a portier, który zza lady wodził za nim wzrokiem, pokazał mu, że właśnie tam ma czekać. Zrezygnował z pokonania wąskiego przejścia aż do ostatniego wolnego krzesła, gdyż to oznaczałoby przeciskanie się między kolanami i stopami czekających oraz wyszeptywanie całej litanii „przepraszam”, by móc przejść pośród tylu kończyn. Wolał postać, a żeby nie być w centrum uwagi, oparł się o ścianę wystarczająco blisko wyjścia. Zapewnił tym sobie porcję nadającego się do oddychania powietrza, płacąc jednak cenę w postaci ciągłej kontroli surowego portiera.

Niczym przedłużenie tego pomieszczenia Lugo powitało go mętym jak

chlorowana woda niebem. Zimne przyjęcie, któremu towarzyszyło zaledwie dwadzieścia stopni, w porównaniu ze skwarem i oślepiającym słońcem pierwszych wrześnieowych dni w Madrycie wydawało mu się wręcz zainscenizowane, jak środek literacki, który ma wprowadzić ciężką i przygnębiającą atmosferę.

Lugo nie miało lotniska. Rozważał przylot do Santiago de Compostela, najbliższego portu lotniczego, a potem wynajęcie samochodu, żeby tu dojechać, lecz to, co w nim tkwiło, to, czego jeszcze nie potrafił nazwać, nie mogło czekać dwóch godzin do najbliższego lotu i nie zmieściłoby się w kabinie.

Najtrudniej było otworzyć szafę i zza garniturów ich obu wyciągnąć małą podróżną torbę, do której szybko wrzucił niezbędne rzeczy – a przynajmniej tak sądził. Później przekonał się, że w pośpiechu zabrał cztery bezużyteczne ubrania, zapominając prawie o wszystkim, co było potrzebne. Poczucie, że uciekał, wzrosło jeszcze bardziej, kiedy prześledził w myślach ostatnie minuty spędzone w domu. Szybkie sprawdzenie lotów z Madrytu, pospieszne spakowanie torby i odrzucenie możliwości, by spojrzeć na ich wspólne zdjęcie, które stało na komodzie, a którego teraz nie mógł wyrzucić z myśli. Zrobił je ich znajomy, kiedy byli na rybach poprzedniego lata. Roztargniony Manuel patrzył na srebrzystą powierzchnię morza, a Álvaro – młodszy, szczuplejszy, z blond włosami rozjaśnionymi słońcem – spoglądał na niego i częstował go tym swoim tajemniczym uśmiechem. Álvaro oprawił zdjęcie, ale Manuelowi nigdy się ono nie podobało. Patrząc na tę fotografię, odnosił wrażenie, że jest jak zawsze zbyt roztargniony, że utracił piękny i pełen znaczenia moment, którego już nigdy nie odzyska. Ta krótka chwila uchwycona przez aparat potwierdzała jego przypuszczenia, że nigdy nie był całkowicie obecny we własnym życiu, a teraz brzmiało to niemal jak wyrok.

Marazm panujący w poczekalni skojarzył mu się z gwałtownym

wyhamowaniem wobec pośpiechu, z jakim wyjechał na drogę, jakby minuta w tę czy w tamtą miała zmienić to, że Álvaro nie żyje. Przeszedł mieszkanie jak we śnie, zatrzymując wzrok w każdym pokoju i szybko uzmysławiając sobie obecność rzeczy Álvaro, które w pewnym sensie były nim samym – jego książki o fotografii, jego zeszyty do rysowania leżące na stole, wiszący na oparciu krzesła stary sweter, który wkładał, kiedy przebywał w domu, i nie zgadzał się, by go wyrzucić, chociaż był już wyblakły i zmechacony na rękawach. Przypatrywał się wszystkim rzeczom, niemal zdziwiony, że nadal tu są, skoro Álvaro już nie ma; jakby było oczywiste, że jeśli jego zabrakło, to one powinny wyparować. Szybko rzucił okiem na własny stół, odruchowo chwytając portfel, telefon i ładowarkę. Być może najbardziej zaskakująca była pewność, że nie zapisał *Słońca Teb* i pracy tego poranka (który uważał za tak produktywny). Następnie czekał go wstrętny obowiązek wprowadzenia nazwy tego feralnego miasta do nawigacji samochodowej. Prawie pięćset kilometrów przejechanych w ciszy w zaledwie cztery i pół godziny, przerywanych tylko przez uporczywe telefony od Mei, na które nie odpowiadał. Nie był nawet pewien, czy zgasił wszystkie światła.

Zaniepokojony, usłyszał płacz jakiegoś mężczyzny. Ukrywał twarz w szyi kobiety, która musiała być jego żoną, i szeptał niezrozumiałe dla niego słowa. Manuel obserwował niemrawy sposób, w jaki kobieta głaskała go po karku, oraz spojrzenia części osób w sali, które oddychały głęboko z zaciśniętymi ustami i sapały jak dzieci walczące z bólem.

On nie płakał; nie wiedział, czy to normalne, czy nie. Był taki moment – tuż po wyjściu funkcjonariuszy, gdy widział, jak przed jego przestraszonymi oczami zacierają się linie wyznaczające granice mieszkania – kiedy już chciał to zrobić. Ale żeby płakać, potrzeba ciepła, a przynajmniej jakiejś namiętności, tymczasem arktyczny chłód, który zalał wszystko wokół, częściowo zamroził mu serce. Chciałby, żeby zrobił to całkowicie, żeby

lodowaty duch, który nawiedził jego dom, był w stanie przerwać włókna niepotrzebnego mięśnia pulsującego w jego klatce piersiowej. Zamiast tego zamienił krążenie krwi w chemiczny letarg, spod którego Manuel potrafił jeszcze usłyszeć powolne rżenie, w jakie zamieniło się bicie jego serca; żałosny kawałek życia pełen małostkowości, wypełniony bardziej wątpliwościami niż pewnością.

Przy ladzie czekało dwóch mężczyzn w garniturach o nieskazitelnym kroju. Obserwował, jak jeden z nich odsunął się kilka kroków, a drugi mówił coś tak cichym głosem, że portier musiał się ku niemu nachylić, aby móc usłyszeć. Przystaknął i nie kryjąc się ze swoim zainteresowaniem, wskazał na poczekalnię.

Mężczyźni zamienili ze sobą kilka słów i obaj skierowali się do poczekalni.

– Manuel Ortigosa?

Uprzejmy ton i drogie garnitury zwróciły uwagę wszystkich obecnych. Skinął głową, myśląc, że są zbyt dobrze ubrani, by być lekarzami albo policjantami.

Mężczyzna, który pytał, podał mu rękę.

– Jestem Eugenio Doval, a to pan Adolfo Griñán – powiedział.

Ten drugi też podał mu rękę i zapytał:

– Czy możemy chwilę porozmawiać?

To, że mężczyźni się przedstawili, niczego mu nie rozjaśniło. Potwierdziło jedynie, że tak jak podejrzewał, nie są lekarzami. Manuel wykonał gest w stronę sali i innych czekających, zapraszając ich do wejścia.

Nie zwracając uwagi na zuchwałe spojrzenia, Griñán podniósł wzrok nad obłok pary i zatrzymał go na żółtej plamie z ciemnymi brzegami, która zajmowała znaczną część sufitu.

– Na Boga! Nie tutaj. Ubolewamy, że nie zjawiliśmy się wcześniej i że

musiał pan sam przechodzić przez te trudne chwile. Czy ktoś z panem przyjechał? – zapytał, chociaż po pierwszym rzucie oka na jego posępne towarzystwo z pewnością uznał, że nie.

Manuel pokręcił głową.

Griñán znów objął wzrokiem płamę na suficie.

– Wyjdźmy.

– Ale powiedzieli mi, że mam tutaj zaczekać... – zaproponował Manuel.

– Proszę się tym nie przejmować. Zostaniemy w pobliżu i może zdołamy poinformować pana o pewnych sprawach, o których powinien pan wiedzieć – powiedział uspokajająco Doval.

Obietnica uzyskania odpowiedzi zwyciężyła jego niechęć, więc wyszedł za nimi, czując ślizgające się na swoich plecach wilgotne spojrzenia czekających i zastanawiając się, kim, do diabła, są ci mężczyźni. Jakby za sprawą milczącego porozumienia szli w ciszy, przechodząc od portiera, który nie spuszczał ich z oka, aż do końca korytarza, gdzie stał automat z napojami gazowanymi i drugi z kawą. Doval wskazał na urządzenia.

– Chce się pan czegoś napić?

Manuel zaprzeczył ruchem głowy i odwrócił się niespokojnie w stronę poczekalni.

Griñán stanął przed nim.

– Jestem notariuszem, zajmowałem się sprawami pańskiego męża, a poza tym jestem wykonawcą testamentu don Álvara. – Spojrzał na Manuela poważnym wzrokiem, jakby właśnie wyrecytował swoje zasługi wojenne.

Manuel był zdezorientowany. Przez kilka sekund badał wzrokiem mężczyznę, który nadal patrzył na niego niewzruszony. Potem spojrzał na Dovala, spodziewając się znaleźć u niego jakąś odpowiedź albo chociaż oznakę kpiny, która ujawniłaby, że padł ofiarą żartu.

– Wiem, że to wszystko jest dla pana zaskoczeniem – przyznał Griñán. –

Jako osoba odpowiedzialna za zarządzanie spadkiem don Álvara jestem na bieżąco w kwestii waszego związku.

– Co to znaczy? – zapytał podejrzliwie.

Notariusz cierpliwie przyjął jego nieufność.

– Wiem, że byli panowie małżeństwem od wielu lat i że wcześniej długo ze sobą mieszkali. Usiłuję powiedzieć, że wiem o wszystkich waszych sprawach, a to, co teraz muszę panu wyjaśnić, będzie dla pana nowe.

Manuel westchnął i w geście obronnym skrzyżował ręce na torsie. To zdecydowanie nie był jego najlepszy dzień. Odrobinę opanowania, jaka została mu po otrzymaniu wiadomości o śmierci Álvara, stracił podczas rozmowy z Mei, ale był gotowy na zawieszenie broni z każdym, kto mógłby rzucić światło na powód, dla którego jego mąż leżał martwy na metalowym stole w kostnicy z dala od świata. Odwrócił się na chwilę, żeby spojrzeć w stronę lady, na portiera, który wciąż obserwował ich z daleka, i ponownie skierował wzrok na obu mężczyzn.

– Może mi pan powiedzieć, co Álvaro tutaj robił? Co robił w nocy na tej drodze? Odpowie pan?

Griñán spojrzał szybko na Dovala, który z poważnym wyrazem twarzy zrobił ku niemu krok.

– Powód, dla którego Álvaro tutaj był, jest taki, że to miejsce jego urodzenia i tu znajduje się jego rodzinny dom. Nie wiem, dokąd jechał, kiedy miał wypadek, ale jak zapewne poinformowała pana Gwardia Cywilna, nie wydaje się, żeby był w to zaangażowany inny pojazd. Wszystko wskazuje na to, że Álvaro zasnął za kierownicą. To smutne – czterdzieści cztery lata, całe życie przed sobą. Był czarującym chłopcem i ogromnie go ceniłem.

Jak przez mgłę Manuel przypomniał sobie, że widział w dowodzie osobistym Álvara jego miejsce urodzenia. Miejsce, z którym nigdy nie łączyły go żadne więzi. Nie pamiętał, by jego mąż kiedykolwiek wymówił tę

nazwę. Ale dlaczego miałyby to robić? Kiedy się poznali, Álvaro dał mu jasno do zrozumienia, że jego rodzina nie akceptuje tego, iż jest homoseksualistą, i – jak wielu mu podobnych – przeprowadził się do Madrytu, by zacząć żyć własnym życiem, zrywając wszelkie związki z przeszłością.

– Ale miał być w Barcelonie. Co tutaj robił? O ile mi wiadomo, od lat nie utrzymywał kontaktu z rodziną.

– O ile panu wiadomo... – wymamrotał Griñán.

– Co to ma znaczyć? – zapytał urażony pisarz.

– Proszę posłuchać, Manuelu. Czy mogę się do pana zwracać po imieniu? Zawsze radzę moim klientom, żeby byli szczerzy, zwłaszcza ze swoimi mężami i żonami. Koniec końców to z nimi dzielą życie i to oni muszą radzić sobie z cierpieniem po ich śmierci. W przypadku Álvaro nie było inaczej, ale kim ja jestem, żeby oceniać powody, dla których tak postąpił? Godzę się z faktem, że bycie posłańcem informacji, którą panu przynoszę, nie zapewni mi pańskiej sympatii, ale to jest moja praca, zobowiązałem się wobec Álvaro i wypełnię to zadanie do końca. – Zrobił dramatyczną pauzę i kontynuował: – Álvaro Muñiz de Dávila był markizem Santo Tomé od trzech lat, czyli od kiedy zmarł jego ojciec, poprzedni markiz. Jest to jeden z najstarszych tytułów w Galicji. Pazo^[1] jego rodziny jest oddalone o kilka kilometrów od miejsca, w którym doszło do wypadku, i chociaż tym razem nie wiedziałem, że tu jest, to mogę pana zapewnić, że często nas odwiedzał, żeby zajmować się swoimi obowiązkami.

Manuel, który w osłupieniu słuchał każdego słowa, nie mógł się powstrzymać przed przybraniem drwiącej miny, kiedy powiedział:

– Pan sobie ze mnie żartuje.

– Zapewniam, że każde moje słowo jest prawdziwe, i przedstawię panu dowody na wszystko, w co pan powątpiewa.

Manuel odwrócił się nerwowo, spojrział na portiera, a potem znowu na

Griñána.

– A więc mówi pan, że mój mąż był arystokratą. Jak pan powiedział, markizem? Z posiadłościami, rezydencjami i rodziną, o której ja nic nie wiem. Brakuje jeszcze, abym się dowiedział, że miał żonę i dzieci – stwierdził ironicznie.

Oburzony mężczyzna podniósł ręce.

– Nie, na miłość boską! Jak panu powiedziałem, Manuelu, Álvaro odziedziczył tytuł po swoim ojcu, kiedy ten zmarł trzy lata temu. I wtedy go poznałem, czyli gdy zaczął się zajmować rodzinnymi interesami. Musi pan zrozumieć, że tytuł szlachecki jest zobowiązaniem, które powinno być przyjęte. I Álvaro tak zrobił.

Brwi Manuela były zmarszczone. Wyczuł to, kiedy lodowatymi palcami dotknął środka czoła, chcąc złagodzić ból głowy, który zaczynał nękać go za oczami i rozlewał się na całą czaszkę jak gorąca lawa.

– Funkcjonariusze Gwardii Cywilnej powiedzieli mi, że krewny rozpoznał ciało.

– Tak, jego brat Santiago, środkowy z trójki rodzeństwa. Álvaro był najstarszy. Francisco, najmłodszy, zmarł niedługo po ojcu; popadł w depresję i najwyraźniej miał problemy z narkotykami, przedawkował. Zły los mocno dotknął tę rodzinę w ostatnich latach. Matka jeszcze żyje, chociaż jest bardzo słaba.

Ból głowy przybierał na sile.

– Niewiarygodne... Jak to możliwe, że tyle czasu wszystko przede mną ukrywał? – wymamrotał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Doval i Griñán popatrzyli na siebie zasmuceni.

– Nie mogę panu pomóc, nie wiem, dlaczego Álvaro postąpił w taki sposób. Ale zostawił jasne wytyczne odnośnie do tego, co należy zrobić, gdyby umarł, jak się niestety stało.

– Co to oznacza? Insynuuje pan, że Álvaro przypuszczał, że umrze? Błagam, niechże pan mówi jasno. Proszę postawić się na moim miejscu, dopiero co dowiedziałem się, że mój mąż, który właśnie zmarł, miał obcą mi rodzinę. Niczego nie rozumiem.

Griñán skinął przygnębiony.

– Oczywiście, Manuelu, to musi być dla pana straszne nieszczęście. Mam na myśli, że istnieje nie tylko testament, w którym została zawarta jego ostatnia wola. Z drugiej strony to coś powszechnego dla kogoś z jego pozycją, robi się to dla bezpieczeństwa. Pierwszy testament sporządziliśmy, kiedy Álvaro przejął swoje obowiązki, a w następnych latach dokument był wielokrotnie zmieniany. Pana mąż zostawił szczegółowy opis innych rzeczy związanych z tym, jak chciałby, żeby postąpiono po jego śmierci. Naturalnie, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, nastąpi odczytanie testamentu, ale Álvaro zostawił dyspozycję, żeby dwadzieścia cztery godziny po jego śmierci odczytano list wyjaśniający z jego ostatnią wolą, co, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wiele ułatwia osobom dziedziczącym i rodzinie, ponieważ dzięki temu dowiadują się oni o jego postanowieniach, zanim ogłoszona zostanie właściwa treść testamentu. To, według zamieszczonej w nim klauzuli, nastąpi za trzy miesiące.

Manuel spuścił wzrok, a na jego twarzy widać było mieszanekę konsternacji i bezradności.

– Pozwoliliśmy sobie zarezerwować panu pokój w hotelu. Przypuszczam, że nie miał pan jeszcze czasu, by to zrobić. Na jutro rano zwołałem w moim gabinecie całą rodzinę, by odczytać ten dokument. Wyślemy po pana samochód do hotelu. Pogrzeb odbędzie się pojutrze na cmentarzu rodzinnym przy pazo As Grileiras.

Myślał, że głowa mu eksploduje.

– Jak to pogrzeb? Kto o tym zdecydował? Nikt mnie nie pytał. Chyba

mam coś do powiedzenia w tej sprawie, co? – powiedział, podnosząc nieco głos i nie przejmując się tym, że portier mógł go usłyszeć.

– To jest rodzinna tradycja... – zaczął tłumaczyć Doval.

– W dupie mam tradycję, za kogo oni się uważają? Ja jestem jego mężem.

– Panie Ortigosa. – Griñán przerwał. – Manuelu – powiedział pojednawczo – to jest wola Álvaro, chciał być pochowany na cmentarzu swojej rodziny.

Drzwi wahadłowe za plecami Griñána i jego sekretarza, które do tej pory były zamknięte, teraz ktoś gwałtownie otworzył, sprawiając, że mężczyźni się odwrócili. Znowu funkcjonariusze Gwardii Cywilnej. Tym razem dwóch facetów: jeden to młody chłopak, drugi – grubo po pięćdziesiątce. Młodszy był bardzo szczupły, starszy mógłby być parodią funkcjonariusza; mierzył ledwie metr sześćdziesiąt pięć. Być może to wspomnienie po dawnych czasach, kiedy formacja nie miała tak dużych wymagań co do wzrostu swoich członków, choć Manuel wątpił, czy imponujący brzuch, który mężczyzna z wielkim trudem ukrywał pod idealnie wyprasowanym uniformem, pozwoliłby mu w dzisiejszych czasach zdać trudne egzaminy wstępne do Akademii w Úbedzie. Na dodatek nad górną wargą funkcjonariusz eksponował wąsy, na których zaczęły się pojawiać liczne białe nitki, podobnie jak na skroniach i bokach, przyciętych prawdopodobnie brzytwą przez fryzjera, który od bardzo dawna nie wymieniał swoich narzędzi.

Mężczyzna spojrział pogardliwie na drogie garnitury Dovala i Griñána i bardziej niż zapytał, stwierdził:

– Porucznik Nogueira, Gwardia Cywilna. Krewni Álvaro Muñiza de Dávili?

– Jesteśmy jego prawnymi przedstawicielami – poinformował Griñán, wyciągając rękę, którą funkcjonariusz zignorował. – Manuel Ortigosa –

dodał, wskazując tą samą ręką – jest jego mężem.

Funkcjonariusz nie mógł powstrzymać zdziwienia.

– Mężem? – powtórzył, podnosząc kciuk nad ramieniem i wskazując na hipotetyczne miejsce za swoimi plecami. Rzucił wstrętne spojrzenie na drugiego funkcjonariusza, od którego nie otrzymał pożądanego wsparcia, ponieważ ten był zajęty szukaniem czystej strony w małym notatniku. Nie wydawało się jednak, by wpłynęło to na jego nastrój. – Tylko tego mi jeszcze brakowało – wymamrotał.

– Ma pan z tym jakiś problem? – zapytał Manuel, unosząc podbródek.

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna znów szukał wsparcia u kolegi, który tym razem wzruszył ramionami, nie rozumiejąc za bardzo, o co chodzi.

– Proszę się uspokoić, tutaj jedynym, który ma problem, jest ten leżący na stole w kostnicy – powiedział, wywołując zniesmaczenie prawników i jeszcze bardziej przyciągając wzrok Manuela. – Muszę panu zadać kilka pytań.

Manuel skinął głową.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Przedwczoraj późnym popołudniem, gdy wyjeżdżał z domu. Mieszkamy w Madrycie.

– W Madrycie... – powtórzył porucznik, upewniając się, że młody robi notatki.

– Kiedy ostatni raz się pan z nim kontaktował?

– Wczoraj w nocy, o pierwszej, zadzwonił i rozmawialiśmy dziesięć czy piętnaście minut.

– Wczoraj... w nocy... Powiedział panu, gdzie jest albo dokąd jedzie?

Manuel zwlekał kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Nie, nawet nie wiedziałem, że był tutaj. Miał pojechać do Barcelony na

spotkanie z klientem. Álvaro jest... był marketingowcem, przygotował kampanię dla sieci hoteli i...

– Z klientem.

Powolność, z jaką porucznik powtarzał niektóre z jego słów, wydała mu się okrutna i obraźliwa, chociaż w pewnym sensie rozumiał, że nie tyle chodzi o drwiący ton funkcjonariusza, ile o ewidentną brutalność dowodu, który świadczył o tym, że został oszukany.

– O czym panowie rozmawiali? Pamięta pan, co mówił?

– O niczym konkretnym, powiedział, że jest bardzo zmęczony i że ma ochotę wrócić do domu...

– Zauważył pan, by był szczególnie zdenerwowany, poirytowany, zły?

– Nie, tylko zmęczony.

– Powiedział, czy się z kimś pokłócił?

– Nie.

– Czy pański... mąż... miał wrogów, czy ktoś chciał się na nim zemścić? Zanim odpowiedział, dezorientowany Manuel popatrzył na prawników.

– Nie. Nie wiem. O ile mi wiadomo, nie. Skąd to pytanie? – odparł wycieńczony.

– O ile mu wiadomo, nie... – powtórzył porucznik.

– Nic mi pan nie powie? Dlaczego pyta mnie pan o jego wrogów? Czy myśli pan, że...

– Czy ktoś może potwierdzić, że wczoraj o pierwszej w nocy rzeczywiście był pan w Madrycie?

– Już powiedziałem, że mieszkałem z Álvarem i że on miał być w Barcelonie. Mieszkaliśmy sami, a wczoraj nigdzie nie wychodziłem ani nikogo nie zapraszałem, tak więc nie, nie mogę udowodnić, że byłem w Madrycie, chociaż pańscy koledzy panu powiedzą, że przebywałem

w domu dzisiaj rano, kiedy przyszli, żeby przekazać mi wiadomość. Tylko po co to wszystko?

– W dzisiejszych czasach możemy ustalić lokalizację telefonu w momencie, w którym łączy się z innym, a margines błędu wynosi mniej więcej sto metrów. Wiedział pan o tym?

– Nie ma żadnego problemu, ale nie rozumiem po co. Może mi pan powiedzieć, co się dzieje? Pańscy koledzy przekazali mi, że Álvaro zasnął za kierownicą, że wypadł z drogi i że nie brały w tym udziału inne pojazdy. – Ton jego głosu ocierał się o rozpacz, a to, że mężczyzna odpowiadał mu kolejnymi pytaniami, doprowadzało Manuela do szaleństwa.

– W jaki sposób zarabia pan na życie?

– Jestem pisarzem – odparł zmęczonym głosem.

Gwardzista przechylił głowę na jedną stronę i delikatnie się uśmiechnął.

– Bardzo ciekawe hobby, a w jaki sposób zarabia pan na życie?

– Właśnie powiedziałem, jestem pisarzem – upierał się, tracąc cierpliwość. Ten facet był idiotą.

– Pisarzem... – powtórzył. – Jaki ma pan model samochodu i jakiego jest koloru?

– Niebieskie bmw, powie mi pan, czy w śmierci mojego męża jest coś podejrzanego?

Funkcjonariusz zaczekał z odpowiedzią, aż chłopak zapisze ostatnie zdanie.

– Kiedy ktoś ginie w wypadku samochodowym, sędzia nakazuje zewnętrzne oględziny zwłok na miejscu zdarzenia. Nie wykonuje się autopsji, chyba że istnieją wystarczające przesłanki, by podejrzewać inne powody śmierci. W tylnej części samochodu pańskiego... męża – westchnął – znajduje się niewielkie świeże wgniecenie z fragmentem farby innego pojazdu i...

Za jego plecami otworzyły się drzwi wahadłowe, przez które wszedł kolejny umundurowany gwardzista, przerywając mu wystąpienie.

– Co pan robi, Nogueira?

Obaj gwardziści wyraźnie się wyprostowali.

– Kapitanie, Manuel Ortigosa jest krewnym zmarłego, właśnie przyjechał z Madrytu. Spisywałem jego zeznanie.

Przybyły mężczyzna zrobił krok do przodu, omijając obu funkcjonariuszy, i mocno uścisnął dłoń Manuela.

– Panie Ortigosa, przykro mi z powodu pańskiej straty i przepraszam za kłopot, jaki porucznik Nogueira mógł panu sprawić swoim pochopnym działaniem – powiedział, rzucając funkcjonariuszowi szybkie, pełne wyrzutu spojrzenie. – Jak poinformowali pana koledzy, nie ma żadnych wątpliwości, że śmierć pańskiego męża była przypadkowa i w wypadku nie uczestniczył żaden inny pojazd.

Chociaż Nogueirę częściowo zasłaniała szeroka sylwetka przełożonego, Manuel dostrzegł rozczarowanie, jakie zarysowało się pod jego wąsami.

– Ale porucznik właśnie mi powiedział, że gdyby nie było nic podejrzanego, to nie przywieźliby go tutaj...

– Porucznik doszedł do błędnego wniosku – powiedział kapitan, nie spoglądając nawet na podwładnego. – Przewieziono go tutaj przez wzgląd na jego pozycję i rodzinę, bardzo znaną i szanowaną w całej okolicy – wyjaśnił.

– Przeprowadzą autopsję?

– To nie będzie konieczne.

– Mógłbym go zobaczyć? – poprosił Manuel.

– Oczywiście, pójdę z panem – odparł kapitan.

Kładąc mu rękę na ramieniu i delikatnie popychając, poprowadził Manuela między czterema mężczyznami w stronę drzwi wahadłowych.



Pokój hotelowy był biały. Pół tuzina poduszek zajmowało prawie połowę łóżka. Świeciła się cała kolekcja lamp punktowych, świetlikowych i nastrojowych, sprawiając, że łoże błyszczało w optycznym złudzeniu – jak bolesne przedłużenie islandzkiego słońca, które rano zalało jego mieszkanie i oślepiając, towarzyszyło Manuelowi podczas prawie pięciuset kilometrów drogi do Lugo. Tutaj mętne niebo pozwoliło odpocząć oczom i zniknęło wrażenie spoglądania przez pryzmat setek wiązek światła, wszystkich rozmazanych, wszystkich fałszywych.

Zgasił światła, zdjął buty i przejrzawszy skromną zawartość minibaru, poprosił obsługę hotelową o butelkę whisky. Nie umknęło mu niezadowolenie w głosie kelnera, kiedy odrzucił propozycję, by do butelki dołożyć coś solidnego do zjedzenia, ani pogardliwy sposób, w jaki mężczyzna, przyniósłszy alkohol, rozejrzał się po pokoju fachowym okiem kogoś, kto wie, że gość przysporzy problemów.

Nieustająca perora Griñána bezskutecznie próbującego zrekompensować Manuelowi pustkę, wszystko to, co powinien wiedzieć, a o czym Álvaro mu nie powiedział, była kontynuowana w drodze ze szpitala do hotelu, ponieważ notariusz nalegał, by mu towarzyszyć. Pilnował jego kroków aż do recepcji, gdzie czekał na nich Doval, który już wszystkim się zajął. Postali jeszcze chwilę przed windą, aż nagle Griñán uświadomił sobie, że Manuel musi być bardzo zmęczony i że z pewnością chciałby zostać sam.

Teraz Manuel nalał sobie podwójną porcję żółtawej cieczy i powłócząc nogami, podszedł do łóżka. Zebrał wszystkie poduszki, tworząc z nich grube oparcie, wsparł się na nim i dwoma łykami opróżnił zawartość szklanki, jakby to było lekarstwo. Podniósł się, ruszył w stronę biurka i nalał sobie jeszcze raz. Nim wrócił na łóżko, zastanowił się i zabrał ze sobą także butelkę. Zamknął oczy i zaklął. Nawet z zaciśniętymi powiekami

rozpoznawał to przekłete nocne słońce, ślad oparzenia na siatkówce, błyszczący i rozmazany niczym obecność niepożądanego ektoplazmy.

W jego umyśle toczyła się walka między potrzebą myślenia a mocnym postanowieniem, by tego nie robić. Napełnił szklankę i opróżnił ją tak szybko, że aż poczuł mdłości, które z wielkim trudem udało mu się opanować. Zamknął oczy i z ulgą stwierdził, że słoneczny blask znika. Zamiast tego w jego głowie na powrót rozbrzmiało echo wszystkich rozmów odbytych w ciągu dnia, mieszających się ze wspomnieniami prawdziwymi oraz takimi, które tworzyły się, w miarę jak dziesiątki zignorowanych wcześniej małych szczegółów nabierały sensu. Trzy lata, jakie upłynęły od śmierci ojca Álvara, odejście jego młodszego brata niedługo potem...

Trzy lata temu był taki wrzesień, kiedy uważał, że świat się kończy, kiedy miał pewność, że stracił Álvara na zawsze. Mógł odtworzyć każdą minutę z najdrobniejszymi szczegółami: jego zmieniona twarz zdradzająca, że nosi w sobie wielki ciężar, i dziwny spokój, z jakim zakomunikował, że musi wyjechać na kilka dni. Niewzruszona łagodność podczas uważnego składania ubrań, które następnie wkładał do walizki. „Dokąd się wybierasz?” Cisza towarzysząca każdemu pytaniu, smutny wyraz twarzy i nieobecne spojrzenie przeszywające mężczyznę, z którym dzielił życie. Na nic się nie zdały błagania, żądania ani groźby. Wreszcie przy drzwiach wejściowych odwrócił się do niego. „Manuelu, nigdy o nic cię nie prosiłem, ale teraz chcę, żebyś mi zaufał. Ufasz?” Przytaknął, wiedząc, że się pospieszył, że nie było to „tak” bez zastrzeżeń, że nie był wobec Álvara do końca szczery. Ale co innego mógł zrobić? Mężczyzna, którego kochał, wyjeżdżał, rozpuszczał się w jego palcach jak mokra sól. Wtedy nic nie było oczywiste oprócz tego, że żadna siła go nie zatrzyma, że pojedzie bez względu na wszystko, a zobowiązanie do zaakceptowania jego prośby tworzyło jedyną więź, którą mógł go przywiązać, ryzykując, że łańcuch wolności i zaufania między nimi

pozostanie ostatnią rzeczą, jaka będzie go z nim łączyć.

Álvaro wyszedł z domu z małą walizką i zostawił Manuela pogrążonego w gwałtownej burzy emocji, w której zmartwienie mieszało się ze strachem i przekonaniem, że już nie wróci. Chorobliwie analizował jego zachowanie z ostatnich dni, szukając tej ulotnej chwili, w której zachwiała się równowaga, czując ciężar ośmiu lat różnicy między nimi, winiąc swoje nadmierne przywiązanie do książek i spokojnego życia, które być może okazało się nie do zniesienia dla kogoś młodszego, przystojniejszego, kogoś bardziej... I przeklinał nieumiejętność dostrzeżenia, że świat wokół niego się wali. Álvaro nie było przez pięć dni, kilka razy zadzwonił w nocy, ale prowadził z nim krótkie rozmowy, podczas których unikał wyjaśnień, trzymając się obietnicy zaufania wyciągniętej od Manuela w ostatniej chwili.

Do niepewności dołączyły jeszcze frustracja i ból, przeplatając się i powodując emocjonalny chaos, o którym myślał, że po śmierci siostry już go więcej nie dosięgnie. Czwartej nocy czekał niepokieszony, ani na moment nie wypuszczając z ręki telefonu. Był więźniem rozpacz, znajdował się w tym punkcie, kiedy wszystko uznaje się za stracone i człowiek tylko nadstawia szyję, żeby go wykończyli.

Gdy odebrał telefon, miał świadomość, że w jego głosie pobrzmiwało błaganie.

– Powiedziałeś, że kilka dni... Dziś jest czwarty.

Álvaro westchnął, nim odpowiedział.

– Coś się wydarzyło, coś, czego nie przewidziałem, i sprawy się skomplikowały.

Zebrał się na odwagę i zapytał szeptem:

– Álvaro, czy ty wrócisz? Powiedz prawdę.

– Jasne, że tak.

– Jesteś pewien? – Podwoił stawkę, wiedząc, że może stracić wszystko,

i wyciągnął do niego rękę. – Jeśli to przez to, że jesteśmy małżeństwem...

Po drugiej stronie Álvaro nabrał powietrza, a następnie głośno i powoli je wypuścił, jakby był bardzo zmęczony. Czy może była to irytacja? Złość, że musi stawiać czoła czemuś, co było dla niego nieprzyjemne i niewłaściwe?

– Wrócę, bo moje miejsce jest przy tobie. Bo chcę wrócić. Kocham cię, Manuelu, i chcę z tobą być. Niczego tak nie pragnę, jak wrócić do domu, a to, co się teraz dzieje, nie ma z nami nic wspólnego.

W głosie jego męża było tyle rozpacz, że mu uwierzył.

[1] Galisyjska rezydencja dworska [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].



lvaro wrócił rankiem w połowie września, ale przez kilka tygodni było tak, jak gdyby jeszcze tego nie zrobił. Wyglądało na to, jakby pod wpływem ogromnego zmęczenia dusza pozostała wiele kilometrów od domu, a wróciło tylko opakowanie pozbawione oddechu i bicia serca. Mimo to Manuel uściskał to ciało, które było jego życiem, pocałował te zaciśnięte usta i zamknąwszy oczy, podziękował mu w duchu.

Nie było wyjaśnień ani przeprosin. Ani jednego słowa o tym, co wydarzyło się w ciągu tych pięciu dni. Pierwszej nocy, kiedy leżeli objęci po stosunku, Álvaro powiedział: „Dziękuję, że mi zaufałeś”, i tym zdaniem pogrzebał jakąkolwiek szansę na uzasadnienie, dlaczego Manuel musiał przez niego odwiedzić piekło. Przyjął to tak, jak przyjmuje się dotknięcie otwartej rany. Był na tyle wdzięczny i uspokojony, że ze wstydem zaakceptował upokorzenie połączone z uczuciem bliskim euforii

ułaskawionego. W duchu znowu zaczął dziękować za ten cud, za uśmierzenie mdłości, które męczyły jego żołądek przez ostatnie dni. Stygmat torsji powracał niczym żalosne przypomnienie, niosąc okropny ciężar paniki zawsze, gdy on rozstawał się z Álvarem w ciągu następnych tygodni. Zniknął dopiero po wielu miesiącach, a przez cały ten czas Manuel nie napisał ani słowa.

Często obserwował Álvara w milczeniu, kiedy oglądali film albo kiedy spał, usiłując znaleźć oznakę zdrady, trwały ślad, jaki związek z innym człowiekiem pozostawia na skórze, delikatny i niezmywalny. Wiele napisano o jego istnieniu i o zawziętości, by go dostrzec. W ten sposób ukradkiem rozpoczął poszukiwania znaku, który złamie mu serce.

Znalazł ich kilka. Álvaro był smutny, i to tak bardzo, że nie potrafił tego ukryć. Zaczął wracać wcześniej do domu i kilka razy zostawił na głowie Mei prezentację projektów poza miastem. Usprawiedliwiając się zmęczeniem, odrzucał jego propozycje wyjścia do kina albo do restauracji. I Manuel to rozumiał, ponieważ Álvaro rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, niemal wycieńczonego życiem, jakby dźwigał na barkach ogromny ciężar lub nosił w sobie straszną winę. Zaczęły się telefony. Dotąd zawsze odbierali je normalnie – z wyjątkiem cichego czasu, który nazywali „naszym” – podczas obiadów czy kolacji. Nagle Álvaro zaczął wychodzić z pokoju, żeby rozmawiać. Choć niezręczność tej sytuacji rekompensowała Manuelowi trudna do ukrycia niechęć partnera, gdy dostawał te telefony, to demon wątpliwości powracał, żeby go torturować. Z powodu paniki Manuel często nie potrafił zasnąć.

W tamtym okresie stał się paranoikiem próbującym odkryć wyraźną oznakę zdrady. Obsesyjnie analizował każdy najmniejszy gest w zachowaniu Álvara. Siła jego uczucia nie zmalała ani nie wzrosła, co było jego zdaniem najbardziej podejrzane. Zwykle wyrzutom sumienia towarzyszy próba

rekompensaty, która ma przywrócić równowagę poprzez naprawienie błędu jakimś wynagrodzeniem. Nie znalazł tego. Przy okazji nielicznych wyjazdów Álvaro nigdy nie spędził poza domem więcej niż jednej nocy, a jeśli zdarzyły się dwie, to tylko dlatego, że nalegał na to sam Manuel: „Nie ma potrzeby, żebyś męczył się za kierownicą. Przenocuj tam i wrócisz rano”.

A podczas gdy Álvaro nie wracał, Manuel oddawał się długim i wyczerpującym pieszym wycieczkom, które czasem zajmowały mu cały dzień i miały zmniejszyć jego pragnienie, ochotę, żeby za nim pojechać, ścigać go i stawić się w odległym mieście, w którym przebywał Álvaro... Miały też odwieść go od rozpaczliwego uścisku na powitanie, w którym było tyle niepokoju, że aż bolało. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, wszystko wygląda jak zawsze. Álvaro próbował się uśmiechać i wtedy, gdy mu się udawało, jego uśmiech był drobny, melancholijny, ale pełen czułości, co przywracało Manuelowi nadzieję, że Álvaro nadal tam jest. Za tym gestem dostrzegał mężczyznę, którego kochał, i to wystarczało, aby trzymał się jakoś przez wiele dni. Był tylko jeden sygnał, jedyny nowy znak, którego nie potrafił zinterpretować. Po jego powrocie często zastawał Álvaro patrzącego na niego, gdy on czytał nieuważnie albo siadał przy swoim stole, udając, że pisze. Wbijał wzrok i częstował go tym swoim uśmiechem bystrego chłopca, a kiedy Manuel go o to pytał, potrząsał głową, nieśmiało odmawiając odpowiedzi, i obejmował go tak mocno jak rozbitek swoją deskę ratunku, nie zostawiając między nimi wolnej przestrzeni, zamykając każdy otwór, przez który mogłaby się precyzyjnie wątpliwość, powodując natychmiastową zapaść serca Manuela, co ten chciał tłumaczyć jako ulgę, ale się nie odważył.



Przestać cierpieć jest decyzją. Telefony z wydawnictwa były coraz częstsze, przestały działać wymówki oparte na rzekomych chorobach, grypach

i badaniach lekarskich, których z ucziwości nie był w stanie wyolbrzymiać i w związku z tym zyskać więcej czasu. Ta, która za kilka miesięcy osiągnie wielki sukces, będzie jego najlepszą powieścią.

Czytanie od zawsze stanowiło dla niego schronienie: kiedy siostra i on zostali sierotami, będąc jeszcze małymi dziećmi, przez lata, które spędzili ze starą ciotką, aż jego siostra osiągnęła pełnoletność i zabrała go ze sobą do mieszkania ich rodziców, do tego momentu zamkniętego. Czytanie było siłą broniącą go podczas pojedynków na przegranej wojnie, którą toczył z instynktem własnej seksualności. Czytanie było ochroną, tarczą zaradności, w jaką uzbroił własną nieśmiałość, by móc nawiązywać relacje. Ale pisanie stało się czymś nieskończenie więcej. Pisanie było wewnętrznym pałacem, tajemniczymi miejscami, najpiękniejszymi przestrzeniami tworzącymi nieograniczony zbiór pomieszczeń, które on przemierzał ze śmiechem, biegał po nich bosy, zatrzymując się, żeby dotknąć znajdujących się tam cudownych skarbów.

Dobry student. Gdy tylko skończył naukę, otrzymał propozycję prowadzenia zajęć z historii Hiszpanii na prestiżowym madryckim uniwersytecie i nigdy w ciągu tych wszystkich lat nauki i pracy nauczyciela nie czuł pragnienia, by pisać. Aby to robić, musiał doświadczyć wielkiego smutku.

Istnieje smutek widoczny, publiczny, ze łzami i żałobą i drugi, ogromny i cichy, który jest milion razy potężniejszy. Był pewien, że doświadczył już smutku widocznego, buntu przeciwko niesprawiedliwości, że stracił rodziców, przeciwko zimnej dziecięcej samotności, publicznej i czarnej żałoby, która wyróżniała ich – jego i siostrę – znakiem nieszczęścia jako odrzuconych, i przeciwko całemu strachowi, że to znów się powtórzy. Strach ten noc w noc sprawiał, że Manuel panicznie płakał i obejmując swoją siostrę, wyciągał od niej obietnicę, że nigdy go nie zostawi i że to cierpienie

było ceną, którą płacili, by być niezwyciężonymi.

Wiedział, że oboje w końcu w to uwierzyli, i gdy dorastali, przekonanie, że już nic złego nie może im się przytrafić, umocniło się, pozwalając im doświadczyć beztroskiego szczęścia. Czasem wyobrażał sobie, że było to coś takiego jak śmiałość ostatniego żołnierza, jak odwaga jedyne uratowanego człowieka. Zaczął myśleć, że pojemnik ich nieszczęść napełnił się już za sprawą śmierci rodziców, że tyle cierpienia musiało czemuś służyć i że gdzieś był licznik sumujący nieszczęścia i ból, aż osiągnęły poziom, który był nie do przekroczenia. Mylił się jednak i los uderzył w jego jedyny czuły punkt.

Podczas któregoś z ostatnich wieczorów w szpitalu siostra powiedziała:

– Musisz mi wybaczyć, że cię zdradziłam. Zawsze uważałam, że ty jesteś moim czułym punktem i że jedyny ból, jaki mógłby mnie zniszczyć, musi pochodzić od ciebie, a okazuje się, że to ja jestem twoją słabością.

– Zamilcz! – poprosił ją, płacząc.

Głos siostry okazał się niesłyszalny pośród szlochów Manuela. Zaczekała cierpliwie, aż się uspokoi, po czym ruchem ręki poprosiła, żeby się zbliżył, i popękanymi ustami dotknęła skóry jego twarzy.

– Dlatego kiedy odejdę, musisz o mnie zapomnieć, musisz unikać myślenia o mnie, torturowania się wspomnieniem o mnie, bo kiedy zamykam oczy, na powrót widzę cię w wieku sześciu lat, jak płaczesz przygnębiony, załamany i przestraszony. Boję się, że kiedy zostawię cię samego, znowu zaczniesz ryczeć jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem. Wówczas nie pozwalałeś mi spać, a teraz nie pozwolisz odpoczywać... – Manuel starał się od niej odsunąć, uciec od tego, co miało nastąpić. Ale było już za późno, gdyż ona uwięziła go swoimi chudymi, długimi palcami. – Obiecuj mi to, Manuelu. Obiecuj, że nie będziesz cierpieć, nie zamieniasz mnie w czuły punkt w swoim życiu, nie pozwól, żeby ktoś kiedykolwiek nim był.

Złożył obietnicę jak przysięgę wojskową. I kiedy ona zamknęła oczy, poczuł ogromny i cichy smutek.



Dziesiątki razy pytano go o to, dlaczego pisze, a on miał kilka dobrych odpowiedzi, częściowo szczerych, których używał w zależności od okazji. Dotyczyły przyjemności przekazywania myśli, potrzeby dotarcia do drugiego człowieka... Nie była to jednak do końca prawda – pisał, żeby odpocząć, pisał dla zawieszenia broni trwającego tak długo, by zdołał wrócić do pałacu, jedyne miejsce, do którego ogromny smutek nie mógł wtargnąć i w którym dotrzymywał obietnicy. Nie była to konkretna decyzja, nic nie zostało przemyślane, pisanie nie było kulminacją pragnienia, które zawsze w sobie nosił. Nigdy nie marzył o tym, by zostać pisarzem. Pewnego dnia usiadł nad czystą kartką i zaczął pisać. Słowa płynęły jak chłodna woda z jakiegoś spektralnego miejsca, którego nawet wiele książek później nie potrafił nazwać i nie wiedział, gdzie się znajduje. Miejsce to nieustannie zmieniało się w jego wyobraźni i czasem było jak wzburzona powierzchnia Morza Północnego, czasem jak Rów Mariański, a czasem jak mauretańska fontanna na słonecznym andaluzyjskim patio. Wiedział tylko jedno: to morze, ten rów i ta fontanna spotykały się w jakimś punkcie jego umysłu. Właśnie tak odkrył pałac. Wracał tam, gdy tylko sobie zażyczył, i to schronienie, pełne szczęścia i doskonałości, inspirowało go i dbało o niego, udostępniając mu to, jak sądził, niewyczerpane źródło nowych słów.

Kiedy sprzedaż jego pierwszej powieści osiągnęła taki poziom, że nie można było tego nie kontynuować, złożył pismo o rezygnacji z pracy na uniwersytecie i wniosek o dwuletni bezpłatny urlop, co do którego – chociaż nikt tego nie wypowiedział – wszyscy przeczuwali, że będzie wieczny. Rektorat i profesorowie zorganizowali imprezę. Nagle zapomnieli

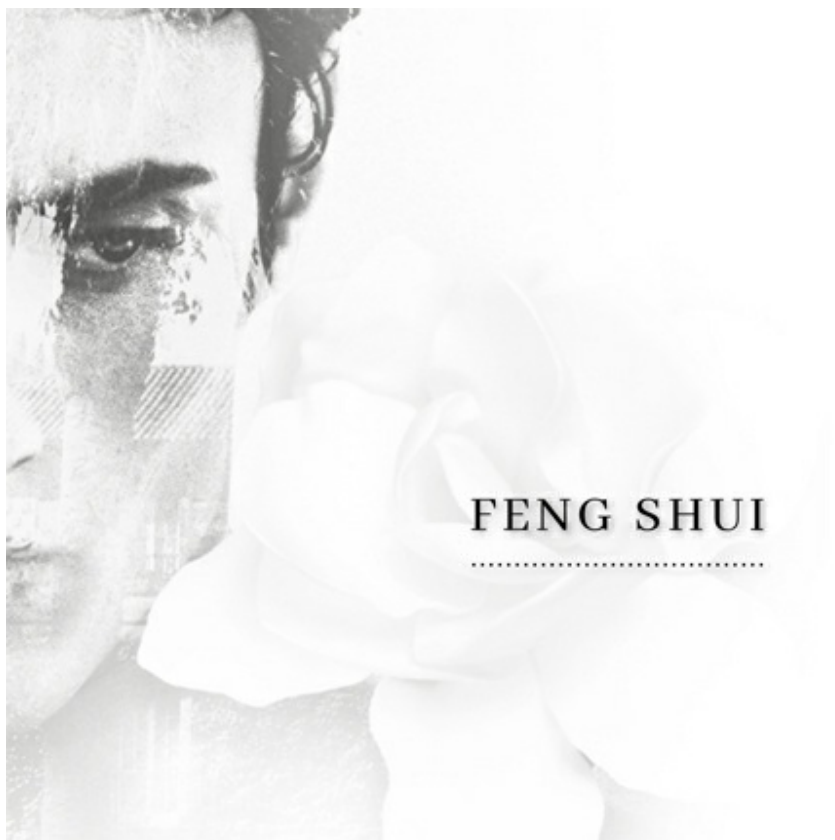
o uciążliwościach, jakimi dla wielu były ciągłe reportaże i zdjęcia robione na całym kampusie, za sprawą których niedzielne dodatki do gazet i działły kultury próbowały sportretować młodego profesora będącego numerem jeden dzięki swojej debiutanckiej powieści. Urokliwie przejęci jego przyszłością, profesorowie podchodzili w grupkach albo pojedynczo, aby życzyć mu powodzenia i przestrzec go łaskawie przed smutkiem porażki oraz okrucieństwami świata wydawniczego, którego nigdy nie spróbowali ani nie chcieli próbować. Uważali, że jego powołaniem jest nauczanie w tym bezpiecznym i przyjaznym miejscu, gdzie wszyscy będą na niego czekać z otwartymi ramionami, kiedy wróci, bo na pewno wróci, po swojej przygodzie z wielką prostytutką literatury, jaką jest powieść.



Ból jest decyzją. Wiedział, że się okłamuje, wmawiając sobie, że nie może pisać, że za bardzo cierpi, by osiągnąć potrzebny stan łaski. To kłamstwo, ponieważ było dokładnie na odwrót. Pałac był sakramentem pokuty, miejscem, które uzdrowiało, leczyło rany, a on w swoim masochistycznym uporze, by nie wracać, marnował się jak anioł śpiący pod gołym niebem raju. Jego dusza była brudna i obdarta, jego ubranie rozerwane na strzępy, a skóra poorana zadrapaniami. W jednym momencie pospiesznie tamował krew, żeby chwilę później biczować się, ponownie otwierając na skórze krwawiące ścieżki, którymi mógł popłynąć jego smutek.

Decyzja zawsze jest pilna. Wydawnictwo domagało się obietnicy, jakiejś daty, choćby przybliżonej, czegokolwiek... A Álvaro nadal tam był. Miesiące mijały, a zagrożenie, które, jak się wydawało, dostrzegał tylko Manuel, nie nadchodziło. Po tym wszystkim życie toczyło się dalej. Álvaro znowu się uśmiechał. Chwile smutku rozplynęły się w przyjemnej niezmienności codziennego życia. Ustały telefony, które tak mu się

naprzykrzały. Cokolwiek się stało, cokolwiek mogącego zrujnować jego świat, należało do przeszłości. Wiedział o tym, kiedy wrócił do pałacu i znów zaczął pisać.



FENG SHUI

▼ ▼

jakieś rozprawie na temat feng shui czytał, że poważnym błędem jest zawieszenie lustra, w którym odbija się nasza postać, kiedy odpoczywamy albo śpimy – o takiej zasadzie dekorator tego hotelu całkowicie zapomniał. Pomimo słabego oświetlenia Manuel doskonale dostrzegał zarysy pokoju. Ani pozycja, jaką przyjął, oparty o stertę poduszek, ani whisky, którą wypił, nie sprawiły, że poczuł się odprężony. Jego ciało było spięte, twarz miała bladą, na klatce piersiowej obiema dłońmi trzymał prawie pustą szklanę – to wszystko sprawiało, że przypominał wystawione w kaplicy zwłoki. Pomyślał o Álvaro leżącym na metalowym stole. Gdy tylko go zobaczył, miał pewność, że to nie on. Wrażenie było tak silne, że nawet odwrócił się, by powiedzieć o tym kapitanowi Gwardii Cywilnej, z szacunku stojącemu kilka kroków za jego plecami razem z technikiem, który – z pewnością poważniejszy niż zazwyczaj przez wzgląd na obecność przedstawiciela

władzy – ściągnął do połowy prześcieradło zakrywające ciało i złożył je na klatce piersiowej zmarłego jak koc, a później cofnął się i stanął obok gwardzisty.

Twarz Álvara wyglądała jak wypolerowana i – nie wiedział, czy to z powodu światła – trochę żółtawa, niczym maska mężczyzny, którym był. Stał tak, świadomy obecności kapitana za swoimi plecami, i nie wiedział, jak się zachować. Chciał zapytać, czy może go dotknąć, ale wiedział, że nie będzie w stanie tego zrobić. Nie mógłby ucałować twarzy, która zamieniła się w marną kopię tej, którą kochał i która zaczynała zanikać na jego oczach. Mimo to zmusił się do patrzenia, czując, że jego mózg odmawiał rozpoznania Álvara, i uparcie próbując zaprzeczyć jego śmierci. Coś było nie tak. Nie potrafił rozpoznać całej postaci, jednak z wyjątkową surowością dostrzegł wszystkie szczegóły. Jego włosy, trochę długie, mokre i zaczesane do tyłu. Dlaczego miał mokre włosy? Rzęsy, podkręcone i pokryte kroplami, posklejane z powodu wilgoci. Blade i nieco rozchylone usta. Na lewym łuku brwiowym niewielka rana, której krawędzie były czyste i zbyt ciemne. I nic więcej. Torturowała go potworność perfidnej anomalii, która kazała mu pozostać niewzruszonym, niczym obcy obserwator, chociaż miał świadomość nacisku na swoje płuca, nacisku coraz silniejszego i trudniejszego do zniesienia.

Chciało mu się płakać. Wiedział, że stawidła, które zatrzymywały płacz gdzieś w jego wnętrzu, były pęknięte, że solidne ściany podtrzymujące cały ten smutek w każdej chwili mogły się rozpaść. Ale nie mógł uronić łzy. Doprowadziło go to do rozpacz, wyglądało, jakby chciał oddychać bez płuc, blokując tlen, który nie ma jak ujść. Chciał się rozpaść, chciał umrzeć. Jednakże wciąż tam był, stojąc jak pomnik i nie potrafiąc znaleźć w sobie klucza otwierającego celę, w której śpi ból.

Wtedy zobaczył dłoń Álvara. Wystawała spod okrywającego go

prześcieradła, ukazując długie, ciemne i mocne palce. Dłonie zmarłych się nie zmieniają. Leżą pełne zachowanych pieszczot, wpólotwarte, bez siły, jakby odpoczywały. Wziął ją w swoje ręce i poczuł chłód, który przenikał ze stołu do opuszek palców, sprawiając, że zdrętwiały z zimna. Ale to nadal była jego dłoń. Kochany dotyk. Poczuł gładkość jego skóry, która kontrastowała z zadziwiająco szorstkimi opuszkami. „Musisz być chyba jedynym marketingowcem z dłońmi drwala”, zwykł mu powtarzać. I kiedy podnosił rękę, żeby dotknąć nią ust, poczuł, jak stawidło bólu rozpada się na tak małe kawałki, że nigdy nie będzie mógł złożyć ich na powrót, a powódź niczym tsunami z błotem i kamieniami torowała sobie drogę, rozrywając wąskie korytarze jego duszy. Udało mu się dotknąć ustami lodowatej skóry i wtedy zauważył wyblakły ślad w miejscu, w którym Álvaro przez tyle lat nosił obrączkę ślubną.

Odwrócił się w stronę pracownika.

– A obrączka?

– Przepraszam, proszę pana? – Technik zrobił kilka kroków do przodu.

– Miał obrączkę.

– Nie, proszę pana. Zajmuję się takimi rzeczami przed przybyciem lekarza sądowego. Nie miał żadnej biżuterii, z wyjątkiem zegarka. Jest razem ze wszystkimi jego rzeczami. Czy chce pan je zobaczyć?

Delikatnie odłożył rękę Álvaro pod prześcieradło.

– Nie – odparł, mijając obu mężczyzn i wychodząc z pomieszczenia.



Nalał sobie kolejną porcję whisky, podniósł szklanekę do ust i zapach alkoholu wystarczył, żeby wywołać w nim obrzydzenie. Odsunął ją na brzuch i popatrzył w lustro ponad jej brzegiem.

– Dlaczego? – zapytał mężczyznę w odbiciu.

Nie odezwał się, chociaż znał odpowiedź.

Trzy lata wcześniej. Śmierć ojca, a niedługo później brata. Smutek Álvara i telefony, których nie mógł odebrać w obecności Manuela. Pięć dni piekła, powrót pełen pustki, mdłości, bezsenności, przygnębienia, i tak całymi miesiącami... A wszystko to oparte na kłamstwie, które nawet nim nie było, ponieważ on, ze swoją głupią obietnicą, zapewnił Álvarowi alibi na fałszowanie prawdy. Znowu podniósł szklanekę i spiesząc się, by powstrzymać mdłości, opróżnił ją, a następnie popatrzył na mężczyznę po drugiej stronie i zapytał:

– Ufasz?

Tym razem postać z lustra spojrzała na niego z nieskończoną pogardą. Manuel podniósł szklanekę i rzucił nią w jej kierunku, rozbijając minę lustrzanego widma na ostre kawałki.

Zaledwie pięć minut później zapukano do drzwi. Mógł się tego spodziewać, dźwięk rozbijanego szkła rozległ się bardzo głośno, a on nie był wcale tak pijany, by tego nie wiedzieć i natychmiast nie pożałować swojego zachowania. Najbardziej prawdopodobne było to, że poproszą go o opuszczenie hotelu. Podszedł do drzwi, przypominając sobie, by po drodze zostawić butelkę, którą trzymał w ręce, i dając sobie czas na wymyślenie jakiejś wiarygodnej wymówki, podczas gdy kłął na nagłący i nieuprzejmy sposób, w jaki tego dnia wszyscy pukali do jego drzwi.

Tylko je uchylił, co wystarczyło, żeby dojrzeć kelnera i recepcjonistę hotelu, a żeby oni nie zobaczyli wnętrza pokoju.

– Dobry wieczór. Czy wszystko w porządku, proszę pana?

Manuel przytaknął z pewnością siebie, koniec końców był to pięciogwiazdkowy hotel.

– Goście z pokoi obok skarżyli się na hałas.

Zafrasowany Manuel zacisnął usta.

– Tak, obawiam się, że miałem mały wypadek z lustrem w pokoju. To przez feng shui – wymyślił na poczekaniu, uświadamiając sobie, że jest bardzo pijany.

– Feng shui? – zapytali chórem pracownicy.

– To dalekowschodnia doktryna polegająca na osiągnięciu równowagi człowieka i jego otoczenia – powiedział, patrząc na nich z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

Obaj mężczyźni obserwowali go zdeorientowani. Musiał uważać, by się nie uśmiechnąć.

– Nie mogę spać przy lustrze utrudniającym przepływ mojej energii, to jest naprawdę szkodliwe. Dziwię się, że w takim hotelu jak ten nikt nie bierze tego pod uwagę. Próbowałem przenieść je w inne miejsce, by pozwolić płynąć siłom witalnym i... Ale nic się nie stało, pokryję wszelkie koszty, proszę obciążyć mój rachunek.

– Oczywiście – odparł szorstko recepcjonista.

– Jeśli pan pozwoli, przyślę kogoś do sprzątnia – powiedział kelner, robiąc krok do przodu.

Manuel jeszcze mocniej przywarł do drzwi.

– Proszę posłuchać, jestem bardzo zmęczony i już kładłem się do łóżka...

– Rozciął pan sobie stopę – powiedział mężczyzna i pokazał na podłogę.

Manuel spuścił wzrok i zobaczył, że rzeczywiście miał rozciętą piętę, która plamiła wykładzinę.

– W takim razie zrobię sobie opatrunek i się położę.

– Plami pan wykładzinę. – Recepcjonista wskazał na to, co było oczywiste.

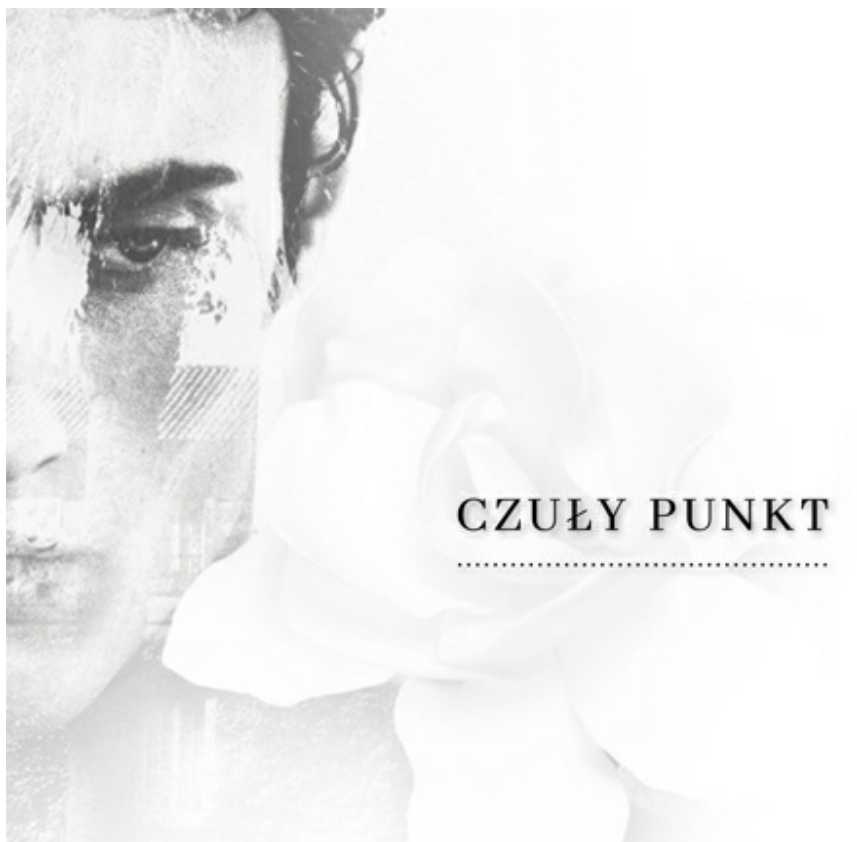
– A więc zapłacę też za wykładzinę – odparł opryskliwie.

– Oczywiście – dodał recepcjonista.

Zamknął im drzwi przed nosem. Nacisnął włącznik światła i rozejrzał się po pokoju. Ścieżka krwawych śladów kreśliła niezdarną trasę jego bosych stóp od rozbitego szkła przy łóżku aż do wejścia, a jedynym wspomnieniem lustra był ciemny panel wiszący na ścianie.

– Feng shui – wymamrotał. – Co za gównno.

Silne mdłości wstrząsnęły jego żołądkiem, wszedł do łazienki, mocno wciskając włącznik światła, i poślizgnął się na ceramicznych płytkach, na własnej krwi, wskutek czego skręcił sobie kostkę i runął na podłogę. Zwymiotował.



CZUŁY PUNKT

iał trzydzieści siedem lat i sześć opublikowanych powieści, kiedy poznał Álvara. Promował *To, co oddane złu* i przez trzy weekendy Targów Książki w Madrycie, które trwały od końca maja do połowy czerwca, podpisywał egzemplarze.

Kiedy zobaczył go po raz pierwszy, nawet nie zwrócił na niego uwagi. Podpisał mu książkę w sobotę rano, a kiedy chłopak ponownie wrócił po południu i Manuel otworzył egzemplarz na stronie, na której miał w zwyczaju zamieszczać dedykację, uśmiechnął się zaskoczony.

– Ale przecież już ci podpisałem...

Młodzieniec też się uśmiechnął, nic nie mówiąc, i Manuel po raz pierwszy go zauważył. Pomyślał, że wygląda na mniej niż trzydzieści lat, kasztanowe włosy opadały na duże, błyszczące oczy bystrego chłopaka.

Mały, grzeczny i ostrożny uśmiech. Podał mu rękę tylko po to, żeby poczuć jego dłoń, silną i śniadą, i zachwycił go sposób, w jaki wyszeptał „dziękuję”, które zarysowało się na wilgotnych ustach i w jego głosie, ginącym wśród tumultu megafonów i głosów pozostałych czytelników, którzy go ponaglali. Kiedy wrócił w niedzielę rano, popatrzył na niego zdumiony, chociaż nic nie powiedział, ale gdy po południu znowu położył przed nim książkę, początkowe zaskoczenie ustąpiło miejsca podejrzliwości. Musiało chodzić o jakiś żart, ukrytą kamerę, żeby się z niego pośmiać. Z bardzo poważnym wyrazem twarzy podpisał książkę i podał mu ją, starając się znaleźć w jego oczach oznakę kpiny.

Rano i po południu zmieniał miejsce składania podpisów pod auspicjami różnych księgarń, a Álvaro zawsze przychodził do niego z książką pod pachą. Za każdym razem nastrój Manuela się zmieniał, przechodząc od zaskoczenia do sceptycyzmu, od ciekawości do radości z gry, którą prowadził, i miał zarówno nadzieję, że chłopak wróci, jak i że więcej tego nie zrobi. Powoli minął tydzień, w trakcie którego nieraz złapał się na tym, iż myślał o niezłomnym zapale tego czytelnika, ale do następnej soboty zapomniał o całym zdarzeniu i kiedy znowu zobaczył go przed sobą, był skołowany.

- Dlaczego? – zdołał zapytać, przytrzymując książkę, którą mu podawał.
- Ponieważ chcę, żebyś mi ją podpisał – odparł, jakby to było oczywiste.
- Ale już ci podpisałem – powiedział. – To jest piąty raz...

Álvaro nachylił się w jego stronę, żeby nie mogli go słyszeć pozostali czekający w kolejce. Manuel czuł, jak usta tego chłopaka delikatnie dotykają jego włosów.

- To ja – powiedział – i dlatego musisz podpisać jeszcze raz.

Manuel odsunął się zaniepokojony i popatrzył na jego twarz, próbując sobie przypomnieć, kiedy się poznali.

– Ty? – zapytał zdezorientowany, na nowo odczytując jego imię. – Álvaro?

On przytaknął z uśmiechem i spokojnie się odsunął.

Manuel bynajmniej nie był mnichem. Jego decyzja o tym, żeby nie pozwolić, by ktokolwiek był dla niego tak ważny, że mógłby go skrzywdzić, nie była przeszkodą, by mieć romanse, przyjaciół, którzy przychodzili i odchodzili, oraz ludzi, którzy nigdy nie zostawali na noc, nigdy po to, aby z nim zamieszkać. Następnego dnia obok podpisu zamieścił swój numer telefonu.

Przez cały tydzień czekał na kontakt, lecz na próżno. W tym czasie wśród możliwości mieszały się różne teorie: że w jakiś sposób poczuł się urażony, że nawet nie spoglądał na dedykacje, które wpisywał mu za każdym razem, gdy przychodził, że traktował to jako część gry, więc zamykał książkę, nawet jej nie przeglądając.

Ani na moment nie udało mu się wyrzucić go z głowy i z niepokojem czekał do soboty. O dwunastej rozpoczął podpisywanie, które miało potrwać aż do czternastej. Czytelnicy podchodzili jeden po drugim, a on wpisywał dedykacje albo pozował do zdjęć, których nigdy nie zobaczył, i czekał... W końcu podniósł wzrok i dostrzegł go w kolejce. Jego serce niemal się zatrzymało. Kiedy Álvaro stanął naprzeciwko niego, Manuel ledwie mógł ukryć niepokój. Postanowił już, że coś mu powie, zaproponuje kawę albo piwo po podpisywaniu, tutaj, w jednym z zapełnionych barów na terenie dusznych targów, ale kiedy Álvaro stał obok niego, z trudem opanował zdenerwowanie i zamiast się odezwać, tylko patrzył. Chłopak miał na sobie białą koszulę, której rękawy podwinął aż do połowy przedramion, co jeszcze bardziej podkreślało jego opaleniznę i silne ręce. Wziął książkę, którą Álvaro do niego wyciągnął, i niezdarnie odszukał następną stronę, na której chciał napisać nową dedykację. Wtedy zwrócił uwagę na notkę ze swoim numerem

telefonu i na staranne pismo Álvaro, który pod ciągiem cyfr napisał: „Jeszcze nie”.

Nie przejmując się, że ktoś mógłby go usłyszeć, poszukał jego oczu i zapytał rozpaczliwie:

– Kiedy?

Álvaro czekał w milczeniu, wytrzymując to spojrzenie, aż pokonany Manuel spuścił wzrok, nagryzmolił podpis i podał mu książkę, rozczarowany i trochę obrażony.

Lubił gry tak samo jak inni, odkładane uwodzenie miało w sobie coś z taoizmu, powściągliwej przyjemności, która niebywale go pociągała. Ale zachowanie Álvaro było dezorientujące. W jego postępowaniu brakowało postępu. Każdego ranka i każdego popołudnia ograniczał się do stania w kolejce, cierpliwego czekania jak każdy inny czytelnik, żeby wreszcie pojawić się przed nim z jednym tylko celem – otrzymaniem autografu.

Postanowiwszy nie brać udziału w tej grze, przez pozostałą część weekendu Manuel ograniczał się do złożenia podpisu za każdym razem na innej stronie i oddawał mu książkę z taką samą uprzejmością jak pierwotnie, z takim samym uśmiechem, jakim obdarzał każdego czytelnika, nie dając się uwikłać w tę grę. Pod koniec tamtej niedzieli doszedł do wniosku, że Álvaro jest tylko kimś w rodzaju prześladowcy, szalonego fana albo kolekcjonera autografów.

Ostatni weekend targów przypadł na połowę czerwca, główna aleja parku Retiro rozpływała się pod stopami gości, których ciągle przybywało. Manuel podpisywał przez cały sobotni ranek i popołudnie, a Álvaro się nie pojawił. Kiedy w niedzielne południe był już pewien, że też nie przyjdzie, w jego żołądku zaczęło rosnać ciemne uczucie pustki. Wydawnictwo zorganizowało pożegnalny obiad w restauracji niedaleko parku, a Manuel ledwie tknął kanapkę, starając się słuchać rozmów, które w znacznej mierze były

anegdotami związanymi z podpisywaniem książek przez innych pisarzy. Kobieta odpowiedzialna za kontakty z prasą przysunęła się do niego pod koniec obiadu.

– Manuelu, źle wyglądasz. Jesteś zbyt zmęczony? Podpisywałeś przez wszystkie weekendy. – Wyjęła kartkę i sprawdziła. – Teraz masz podpisywać w księgarni Lee. Ale jeśli źle się czujesz, usprawiedliwię cię, oni są bardzo sympatyczni i na pewno to zrozumieją. To twoja ostatnia sesja i zostali już tylko sami spóźnialscy.

Poszedł na podpisywanie. Czerwcowy skwar wyginał metalowe budki. Księgarze zostawili otwarte tylne drzwi, bezskutecznie próbując stworzyć przeciąg, który pozwoliłby oddychać. Jednak nie wyglądało na to, by upał przeszkadzał odwiedzającym targi, którzy – niczym wielka żywa istota – pełzali między stoiskami, ciągnąc za sobą wrzawę i duchotę. O dwudziestej wydawało się, że park eksploduje od ludzi, a o dwudziestej pierwszej nie było już prawie nikogo. Nagle czytelnicy zostali zastąpieni przez mnóstwo robotników, którzy rozbierali bary, a automaty z napojami ładowali na tyły ciężarówek i furgonetek. Księgarze, inaczej niż we wcześniejszych dniach, nie opuścili tym razem żaluzji na swoich stanowiskach i dookoła zgromadzili dziesiątki kartonowych pudeł, do których zbierali to, co podczas targów było przedłużeniem ich sklepów.

Manuel odwlekał pożegnanie ze swoimi gospodarzami, ale wreszcie to zrobił, gratulując im udanych targów, na których po raz trzeci z rzędu pobity został rekord sprzedaży. Później nie miał już żadnego pretekstu, by dalej tam siedzieć. Wyszedł spomiędzy budek i poszukał najbliższej ławki, skąd nadal mógł obserwować główną alejkę i poczynania tych, którzy rozbierali stoiska.

Álvaro usiadł obok niego.

– Bałem się, że nie zdążę – powiedział z uśmiechem. – Mam szczęście, że wciąż tutaj jesteś.

Serce biło Manuelowi tak szybko, że czuł krew gromadzącą się w jego szyi i nie był pewien, czy uda mu się wydobyć głos.

– Czekam na moją rzeczniczkę prasową – skłamał.

Álvaro nachylił się, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Manuelu, twoja rzeczniczka prasowa poszła już jakiś czas temu, minąłem ją i grupę autorów, którzy wychodzili z parku, kiedy ja do niego wchodziłem.

Manuel przytaknął powoli i się uśmiechnął.

– Zgadza się.

– A więc tak naprawdę... – Jego oczy zachowały całą świeżość dzieciaka, jakim kiedyś był, odwagę i pewność siebie chłopca, którego spojrzenie Manuel rozpozna wiele lat później na pewnym zdjęciu.

– Tak naprawdę miałem nadzieję, że znów cię zobaczę – przyznał.

– Podpiszesz mi? – zapytał, ponownie podając mu książkę.

Manuel popatrzył na niego z uśmiechem. Miał już dosyć. Czemu to służyło? Zapytał go o to.

– Będziesz musiał mi ją podpisywać do czasu, aż napiszesz kolejną tak dobrą jak ta.



IMPASSE

ancelaria notarialna zajmowała całe piętro luksusowego budynku w centrum miasta. Tak jak obiecał Griñán, samochód odebrał Manuela z hotelu, by przewieźć go przez krótki odcinek do gabinetu wykonawcy testamentu. Doval poprowadził pisarza w kierunku małej sali przylegającej do drugiej, szerszej, i postawił przed nim kawę, którą Manuel siorbał z wielkim trudem, oraz tacę z ciasteczkami, których nawet nie tknął. Na samą myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze, mimo że jego ostatnim przyzwoitym posiłkiem było śniadanie poprzedniego dnia, zanim podporucznik i piękna sierżantka przyszli, żeby przekazać mu najgorszą wiadomość na świecie.

Wstał i wydobył z siebie cichy jęk, dotykając podłogi zranioną częścią stopy. Nie było to zbyt głębokie rozcięcie, ale przechodziło przez całą piętę i bez wątpienia nastąpiło wtedy, gdy nadepnął na jeden z ostrych kawałków szkła pozostałych po lustrze. Z kostką nie stało się nic poważnego, bolała go

trochę, kiedy się obudził, ale po prysznicu ból stopniowo ustępował w trakcie chodzenia. Z głową było w porządku. Pewna starsza dama, która nauczyła go pić whisky, powiedziała kiedyś: „Whisky jest idealna dla pisarza. Pozwala ci myśleć, kiedy jesteś pijany, i nie powoduje kaca, w związku z czym będziesz mógł pisać następnego dnia”.

Starsza pani nie pisnęła jednak słówka na temat żołądka. Po tym, jak dowlóknął się do łóżka, musiał jeszcze kilka razy pokonać tę samą trasę, co – mógłby przysiąc – sprawiło, że żołądek opustoszał, jakby odwrócono go na drugą stronę. Po przebudzeniu czuł się względnie dobrze, ale kiedy usiadł, organizm dał mu sygnał, że we krwi zostało jeszcze sporo alkoholu.

Podszedł do szklanych drzwi oddzielających oba pomieszczenia, przyciągnięty odgłosem ustawianych krzeseł oraz zakłopotaniem Griñána, który obserwował to ze smutkiem nieodpowiednim dla jego wesołego usposobienia, jakby zamiast krzeseł kazał poustawiać trumny. Mężczyzna zobaczył Manuela przez szklane drzwi, uśmiechnął się i skierował w jego stronę.

– Panie Ortigosa, wygląda pan okropnie.

Mógł tylko się uśmiechnąć na szczere określenie rzeczywistości, z której zdawał sobie sprawę.

– Proszę zwracać się do mnie Manuel – rzucił w odpowiedzi.

– Dzwoniłem dzisiaj rano do hotelu, żeby zapytać, jak minęła panu noc, i poinformowano mnie o pańskim małym kłopotcie.

Manuel chciał się wytłumaczyć, ale Griñán mu nie pozwolił.

– Biorę winę na siebie, powinienem był przewidzieć, że w obecnej sytuacji będzie pan miał trudności ze spaniem. To zupełnie normalne. Moja żona, która jest lekarką, dała mi to dla pana – powiedział i podał mu maleńkie metalowe pudełeczko na lekarstwa. – Obiecałem jej, że zapytam, czy wszystko w porządku z pańskim ciśnieniem i czy miał pan kiedyś jakieś

problemy z sercem.

W pojemniczku znajdowały się tylko dwie tabletki. Manuel zaprzeczył, przekonując się, że środki bezpieczeństwa pani Griñán nie miały nic wspólnego z problemami z sercem czy ciśnieniem. Wszystko z powodu rozbitego lustra.

– Proszę je wziąć przez pójsciem do łóżka, a będzie pan spał jak dziecko. I niech się pan nie przejmuje tymi błahostkami w hotelu. Dyrektor to mój klient, który jest mi winien kilka przysług. Wszystko zostało już załatwione.

Te błahostki zajęły mu godzinę. Musiał pozbierać kawałki szkła, które zostawił na stosie w kącie, cały papier toaletowy zużył na sprzątnięcie wymiocin, a do tego zniszczył ręcznik, bezskutecznie trąc nim ślady krwi na wykładzinie, do czego użył hotelowego żelu pod prysznic; ku jego rozpaczy tylko powiększył plamy. Potem wziął prysznic, ogolił się i włożył jedną z najmniej wygniecionych koszul, które nadal leżały w torbie spakowanej poprzedniego ranka, czyli sto lat temu. Zostawił otwarte okno, żeby wywietrzał cierpki zapach wymiocin, który wydawał się w tym pokoju utrwalony na zawsze. Wybiegł jak strzała, pospiesznie przechodząc przez hall i dziękując bogu pijaków, że nie spotkał recepcjonisty z poprzedniego wieczoru. Na jego miejscu siedziała młoda kobieta zajęta dopiero co przybyłymi gośćmi i nawet na niego nie spojrzała, rzuciwszy tylko standardowe „dzień dobry” przeznaczone dla każdego, kto przechodzi przez westybul hotelu. Krótko odpowiedział na pozdrowienie i udał się w stronę czekającego samochodu.

Griñán zamknął drzwi, które dzieliły ich od przyległego gabinetu.

– Niech pan tutaj zaczeka. Myślę, że tak jest najlepiej. Doval zajmie się usadzeniem rodziny don Álvara; przy opuszczonych żaluzjach to, co znajduje się w tej sali, jest niewidoczne. Kiedy wszyscy już usiądą, zaprowadzę pana na miejsce i wtedy rozpoczniemy. Myślę, że będzie spokojniej, jeśli na czas

schodzenia się ludzi zostanie pan tutaj. – Włączył lampkę stojącą na stole i opuścił żaluzje, rzucając w jego stronę zamyślane spojrzenie. Wreszcie usiadł tuż obok. – Jest coś, co musi pan zrozumieć – powiedział z niepokojem. – Tak samo jak pan, oni także przeżyli wstrząs, kiedy dowiedzieli się nie tyle o pańskim istnieniu, bo tego mogli się domyślać, ile o fakcie, że byliście małżeństwem.

– Rozumiem – odparł Manuel.

Griñán pokręcił głową.

– Markizowie Santo Tomé są rodziną wywodzącą się z najstarszego rodu w kraju i bez wątpienia najważniejszą w Galicji. Dla nich nazwisko to sprawa honoru. Stary markiz, ojciec Álvaro, był bardzo rygorystycznym człowiekiem, dla którego ochrona swojego nazwiska stała ponad wszystkim. Wszystkim – podkreślił. – Homoseksualizm Álvaro był dla niego nie do zaakceptowania, a miał świadomość, że tytuł przypadnie jego najstarszemu synowi. I chociaż długo chorował, nie zgadzał się, żeby zawiadomiono Álvaro; miało to nastąpić dopiero po jego śmierci. To pozwoli panu zrozumieć, jakim człowiekiem był markiz.

– Skoro tak nienawidził Álvaro, to dlaczego nie przekazał tytułu jednemu z młodszych synów, na przykład temu, który odziedziczy go teraz?

– Wybuchłby skandal, gdyby wydziedziczył pierworodnego. Dla niego takie wyjście nawet nie wchodziło w grę, moim zdaniem słusznie... Cóż, jeszcze pan ich pozna. – Wstał i zgasił lampkę. – Chodźmy – powiedział, podchodząc do szklanych drzwi. – Usiłuję panu powiedzieć, że oni są ulepieni z innej gliny.

– Próbuje mnie pan ostrzec, że będą zachowywać się wobec mnie wrogo?

– Wrogo? Nie. Będą jak z lodu. Jak woda i oliwa, nie mieszają się. I nie powinien się pan czuć urażony, w ich zachowaniu nie ma nic osobistego. Zacząłem zajmować się sprawami Álvaro w momencie, gdy odziedziczył

tytuł. Moja kancelaria notarialna ma doradcę prawnego i księgowego, który dba o to, żeby zgadzały się liczby, podatki, płatności... Do tamtej pory to ojciec, z pomocą starego prawnika, przyjaciela rodziny, prowadził swoje sprawy. Przez te wszystkie lata często gościli mnie w pazo i w wiejskich posiadłościach i nieraz musiałem się zajmować sprawami natury bardziej domowej, a mimo to zawsze, gdy mam z nimi styczność, odnoszę wrażenie, że nie jestem dla nich nikim więcej jak tylko służącym czy pachółkiem. Sam się pan przekona – dodał i wzruszył ramionami. – To jest ich sposób na traktowanie innych.

– Álvaro też się tak zachowywał?

Griñán jeszcze raz spojrzął na Manuela.

– Nie, oczywiście, że nie. Álvaro był człowiekiem biznesu, twardo stąpał po ziemi, miał mnóstwo pomysłów na interesy. Obawiam się, że wielu z nich nie zdołałem zrozumieć, a ich wyniki zawsze mnie zaskakiwały. W ciągu tych trzech lat konto należące do Muñizów de Dávilów stało się najważniejszym ze wszystkich, którymi zarządzamy. – Uśmiechnął się, pewny siebie. – I mam nadzieję, że tak pozostanie. – Zajrzał do przyległej sali i przywołał rozmówcę gestem.

Manuel westchnął i podszedł bliżej. W sąsiednim pomieszczeniu ludzie już zajmowali miejsca. Ubrana cała na czarno starsza kobieta z zanikającymi mięśniami, blisko siedemdziesiątki, jak sądził Manuel, była w towarzystwie mężczyzny, którego pisarz rozpoznał jako brata Álvaro, niższego od niego, ale też bardziej krzepkiego, o nieforemnych rysach twarzy, chociaż miał brązowe włosy i zielone oczy jak Álvaro. Jego prawa ręka była zabandażowana.

– Staruszka jest matką, a mężczyzna, jak może się pan domyślić, to brat Álvaro i teraz nowy markiz. Kobieta przy nim to jego żona, Catarina; pochodzi ze szlacheckiej rodziny, której nie powodzi się zbyt dobrze. Ledwie

zachowali pazo, chociaż owszem, nazwisko mają słynne.

Trzyletni chłopczyk wbiegł do sali, a za nim weszła bardzo ładna i szczupła młoda kobieta. Dziecko ominęło zygzakiem krzesła i objęło nogi mężczyzny, który podniósł je ponad głowę, wywołując uśmiech chłopca. Staruszka rzuciła młodej kobiecie poważne spojrzenie, a ta się zawstydziła.

– Dziewczyna to Elisa, narzeczona Frana, najmłodszego z braci. Była modelką, miss czy kimś takim, a chłopiec to Samuel, syn Frana i jedyna latorośl w rodzinie, na razie – powiedział, wskazując Catarinę z zachwytem obserwującą dziecko i swojego męża, który nie zważał na poważny wyraz twarzy staruszki i łaskotał małego. Chłopczyk piszczał i zwijał się na jego rękach. – Chociaż nie byli małżeństwem, od śmierci Frana Elisa mieszka razem z nimi w pazo, ze względu na małego.

– Wiedzą, że tu dzisiaj będę?

– Ze względu na okoliczności musiałem ich poinformować o pańskim istnieniu, podobnie jak poinformowałem pana, tak więc owszem, wiedzą, ale...

– A po co ja tu jestem? – zapytał Manuel, patrząc na niego badawczo.

– Zaraz się pan dowie – odparł, odwracając wzrok w kierunku gabinetu, gdzie Doval zajął już miejsce przy stole. Dodał, otwierając drzwi: – Są już wszyscy. Idziemy?

Manuel usiadł na krześle, które Griñán zarezerwował dla niego w tylnej części sali. Miał tę przewagę, że widział wszystkich, nie czując się obserwowanym. W tym momencie był wdzięczny za zachowanie takiej ostrożności, która jednak nie wystarczyła, żeby powstrzymać mdłości pnące się od supła, jakim był teraz jego żołądek, ani zimne krople potu pokrywające mu wewnętrzną część dłoni. Bezskutecznie próbował wytrzeć je o nogawki spodni, zastanawiając się przy tym, co, do diabła, tutaj robi i jak zareagują ci ludzie, kiedy będzie musiał spojrzeć im prosto w oczy. Notariusz przeszedł

między krzesłami, nie odzywając się ani słowem. Ceremonialnie stanął za stołem i zaczął mówić:

– Na początku zarówno pan Doval, jak i ja chcemy przekazać najszczerze kondolencje z powodu ogromnej straty, jaką państwo ponieśli. – Zrobił pauzę, którą wykorzystał, żeby usiąść, podczas gdy Doval z eleganckiej teczki wyjął kopertę i mu ją podał. – Jak państwo wiedzą, zajmowałem się sprawami don Álvara Muñiza de Dávili, markiza Santo Tomé, i jestem wykonawcą jego testamentu – wyjaśnił, sięgając do koperty po dokument. – Zebrałem państwa tutaj, żeby odczytać ostatnią wolę don Álvara Muñiza de Dávili, zanim wejdą w życie dyspozycje testamentowe, które, jak już wcześniej mówiłem, zajmą trochę czasu ze względu na komplikacje związane z liczbą własności będących przedmiotem testamentu. To, co państwu teraz odczytam, nie posiada wartości testamentowej, lecz informacyjną. Chociaż pozwolę sobie uprzedzić państwa, że stanowi wierne odzwierciedlenie tego, co zapisano w testamencie. Markiz życzył sobie jednak, aby odczytano jego słowa natychmiast po jego śmierci, jeśli do niej dojdzie, a tak się stało. – Włożył okulary, które dotąd leżały na stole, i popatrzył na zgromadzonych, szukając jakichkolwiek oznak sprzeciwu. Nie znalazłszy ich, kontynuował: – Zanim przejdę do odczytania, muszę przedstawić państwu fakty poprzedzające pewne wydarzenia, których, jak mniemam, państwo nie znają, a które leżą w państwa interesie. Nie jest państwu obca sytuacja, w jakiej znalazł się majątek rodziny po śmierci poprzedniego markiza. Seria nietrafionych decyzji i inwestycji sprawiła, że państwa dobytek uległ znacznemu uszczupleniu i mało brakowało, by hipoteki oraz weksle zostały wyegzekwowane ze wszystkich własności, łącznie z pazo As Grileiras, letnim domem na wyspie Arousa i bodegą w Ribeira Sacra.

Staruszka odkaszlnęła nerwowo.

– Nie sądzę, by musiał pan rozwodzić się na temat szczegółów. Znamy sytuację, w jakiej zostawił nas mój mąż – powiedziała surowo kobieta, rzucając poważne spojrzenie małemu chłopcu kołyszącemu z nudów nogami, które zwisały mu ze zbyt wysokiego jak na niego krzesła.

Griñán przytaknął, patrząc na nią znad okularów.

– Dobrze. W ciągu tych trzech lat don Álvaro dokonał kolosalnego wysiłku, ryzykując własną fortuną, muszę dodać, że wbrew mojej radzie, aby nie dopuścić do katastrofy, na którą byli państwo skazani. Wykupił wszystkie weksle, renegotjował warunki hipotek i je spłacił, a także uregulował wszystkie płatności, robiąc to po mistrzowsku. Dzisiaj rodzina nie ma żadnych długów. Poza tym don Álvaro pozostawił rozporządzenie, aby nadal otrzymywali państwo miesięczne wynagrodzenie, które im wyznaczył. Podobnie jak ze środkami przeznaczonymi na naukę dla małego Samuela. – Zrobił pauzę. – Wyjaśniłem państwu to wszystko po to, aby państwo zrozumieli, że don Álvaro uregulował wszystkie rodzinne długi z własnych pieniędzy.

Zarówno staruszka, jak i nowy markiz przytaknęli.

– I że w związku z tym całe mienie przeszło na jego własność.

Matka i syn patrzyli na siebie, podczas gdy pozostali nerwowo kręcili się na swoich krzesłach.

– Co to oznacza? – zapytał on.

– To oznacza, że wszystkie ziemie i nieruchomości, które należały do banków i zewnętrznych wierzycieli, zostały własnością pańskiego brata.

– No dobrze, i?

– Pomyślałem, że powinni państwo to wiedzieć, zanim odczytam dokument. Jest bardzo krótki, zawiera akapit z wyszczególnionymi ustaleniami, które jeśli państwo zechcą, mogę przedstawić później. Głównie jednak jest tu napisane: „Wyznaczam jako jedyne spadkobiercę wszystkich

moich dóbr mojego kochanego męża, Manuela Ortigose Martina”. – Zrobił pauzę. – I nic więcej.

Zapadła kilkusekundowa cisza, w trakcie której wszystko wyglądało jak w suspensie. Aż w końcu, używając kartek, które trzymał w ręku niczym batutę, Griñán wskazał miejsce, gdzie siedział Manuel.

Wszyscy odwrócili się, żeby na niego spojrzeć, a chłopiec zaczął bić brawo. Staruszka wstała, podeszła do małego i uderzyła go w twarz.

– Powinnaś wychowywać to dziecko, bo inaczej skończy jak jego ojciec – wypaliła do młodej kobiety i nie dodając nic więcej, opuściła pomieszczenie.

Chłopiec, wykrzywiając usta w grymasie, zaczął płakać, a zawstydzona dziewczyna szybko go objęła. Nowy markiz wstał i zabrał jej dziecko z rąk, po czym je uściskał, całując zaczerwienione miejsce na policzku.

– Przepraszam – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnie. – Proszę wybaczyć mojej matce, jest słabego zdrowia.

Wyszedł i zabrał małego, który nie przestawał płakać, a za nim ruszyła jego blada żona. Tylko młoda kobieta odwróciła się na chwilę, żeby wyszeptać krótkie słowa pożegnania, po czym opuściła gabinet, zostawiając Manuela z przeświadczeniem, że na jego oczach właśnie odegrało się coś nadzwyczajnego, co umykało jego rozumowi.

Griñán zdjął okulary i popatrzył na niego. Powoli wypuścił powietrze.

– A więc po to tutaj jestem – powiedział Manuel, wreszcie wszystko rozumiejąc.

Notariusz przytaknął.



Wrócił do hotelu. Kiedy przemierzał westybul, pewien mężczyzna, przedstawiając się jako dyrektor, uściskał mu dłoń i zaczął przeproszać za

nieudolność dekoratora, który umieścił lustro naprzeciwko łóżka. Zaoferował mu nawet pójście do kliniki, gdzie lekarze zajęliby się jego stopą, oczywiście na koszt hotelu, oraz możliwość zmiany pokoju na lepszy apartament. Pozbył się go, umniejszając konsekwencje wypadku, o którym prawie zapomniał, i udał się do pokoju. W środku nie było już śladu po lustrze, cierpkiej woni wymiocin ani plam krwi, które jemu wydawały się niemożliwe do usunięcia.

Odmówił podwózki samochodem do hotelu. Uznał, że spacer pod tym dziwnym niebem poprządkowanym chmurami pełnymi deszczu dobrze mu zrobi, a przy okazji pomyśli o wszystkim, co powiedział mu Griñán.

– Tak jak wspominałem, oni się nie mieszają, proszę nie niepokoić się ich reakcją, to można było przewidzieć. Wyjaśniałem już wcześniej, że dla nich to także wielkie zaskoczenie, podobnie jak dla pana, wszak Álvaro ukrył przed nimi wiele aspektów swojego życia i być może przestraszyła ich kwestia pieniędzy, ale proszę nie myśleć, że coś ponadto. – Przechylił głowę, po czym dodał: – Być może jedyną osobą, dla której problemem będzie pogodzenie się z tym, że zostanie bez własnej fortuny, jest starsza pani, chociaż żyła tak przez połowę swojego życia dzięki „zdolnościom” męża – powiedział z grymasem na twarzy. – Pozostali nie przysporzą panu kłopotów, nigdy ich nie przysparzali. Álvaro dusił je w zarodku. Dopóki będą mieć pieniądze, które zostały im przydzielone, aby robili, co im się żywnie podoba, dopóty będą szczęśliwi, a poza tym Álvaro ustanowił coroczne zwiększanie środków, z czego będą bardziej niż zadowoleni. Oczywiście wydatki na utrzymanie pazo As Grileiras i domu w Arousie zawierają się w tym.

Wstał i przekazał dokumenty czekającemu cierpliwie Dovalowi, który pospiesznie schował je do aktówki. Griñán wyszedł zza stołu, minął kilka krzeseł, po czym obrócił jedno z nich i usiadł naprzeciwko Manuela.

– Wiem o ich całkowitym zaskoczeniu, kiedy dowiedzieli się, że Álvaro

miał męża, ale jeszcze rozumieją, że to logiczne, iż zapisał swój majątek panu. Tym bardziej jeśli weźmiemy pod uwagę, że pieniądze, którymi spłacono rodzinne długi i wyprowadzono interesy na prostą, należały do Álvara, a pochodziły z jego osobistej fortuny, wielkiego marketingowego sukcesu, który trwał już od lat. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, uzna za logiczne, że pieniądze zarobione przez Álvara podczas trwania małżeństwa zostały zapisane jego małżonkowi. Jasne, że jedno to logika, a drugie ogromna złość, jaką musi wywoływać w nich to, że ktoś obcy rodzinie, i proszę zrozumieć, że mam tu na myśli wyłącznie ich punkt widzenia, stanie się osobą, od której będą zależni. Ale przyzwyczajają się, musieli to już zrobić, kiedy ojciec przepisał interesy na Álvara, chociaż przypuszczano, że ten został wydziedziczony. Być może Santiago czuje się trochę rozczarowany, dziedziczy tytuł szlachecki, ale bez majątku. Gwarantuję panu jednak, że nie przysporzy dodatkowych problemów, interesy nigdy go nie zajmowały i raczej tak zostanie. Dlatego mówiłem panu, że w ogóle nie brano pod uwagę możliwości, by stary markiz zapisał je jemu.

– Wygląda na to, że są bardzo bogaci... – powiedział Manuel.

– Cóż, teraz to pan jest bogaty – odparł notariusz.

– Chodzi mi to, że nie każdy arystokrata jest bogaty. Skąd pochodziła fortuna tej rodziny, czym zajmował się ojciec Álvara?

– Już panu powiedziałem, że jest to jedna z najważniejszych rodzin w Galicji, jej historia sięga setek lat wstecz i początkowo była związana z władzami kościelnymi. To wielcy właściciele ziemscy, poza tym posiadają ważny zbiór dzieł sztuki.

– Jak prawie wszystkie arystokratyczne rodziny w kraju – zauważył Manuel. – Zazwyczaj niechętnie pozbywają się swoich dzieł, a mnóstwo terenów między Lugo i Ourense może pociągać za sobą więcej wydatków niż

wpływów, jeśli nie będzie się nimi odpowiednio zarządzać.

Griñán spojrział na niego z szacunkiem.

– Zapomniałem, że jest pan historykiem. Rzeczywiście, wiele arystokratycznych rodzin wpadło w tarapaty z tych właśnie powodów, ale ojciec Álvara w czasach młodości miał dużo szczęścia w interesach i uzyskał koncesje, ziemie, prowizje... Niestety nie był tak dobry w utrzymaniu swojej fortuny, jak w jej zgromadzeniu.

Manuel obserwował Griñána ze świeżym zainteresowaniem. Chociaż to normalne, że mężczyzna z jego pozycją nie ryzykowałby takiego stwierdzenia, było ewidentne, do czego się odnosił.

– Interesy, o których pan mówi, musiał robić w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, w samym środku frankistowskiego reżimu... – Griñán lekko skinął głową. Manuel kontynuował: – A powszechnie wiadomo, że w tamtych czasach arystokratom, którzy pozostali wierni królowi na wygnaniu, nie wiodło się zbyt dobrze.

– Udało mu się zgromadzić wielką fortunę, ale czasy się zmieniają. Rozrzutność, złe zarządzanie interesami, zabawa, wszyscy o tym wiedzą... Ludzie mówili, że miał przynajmniej dwie kochanki, którym opłacał luksusowe mieszkania w A Coruñii. Możliwe, że w ostatnich latach nie miał zbyt dobrej ręki do inwestycji, ale nie był głupcem i zawsze znalazł sposób, by zapewniać rodzinie wygodne warunki, do jakich była przyzwyczajona. Chociaż wyższe klasy zawsze tak robią, prawda?

Manuel pomyślał o reakcji rodziny na sali.

– Mógłbym zrozumieć, że Santiago poczuł się urażony... – ocenił Manuel.

Notariusz machnął ręką w geście pogardy, nie przywiązując do tego wagi.

– Stary markiz wiedział, że jego środkowy syn jest zerem. Ludzie

opowiadają straszne historie o publicznych poniżeniach, jakim go poddawał. To prawda, że nie tolerował orientacji Álvara, ale wiedział, że on zadba o rodzinę i że w jednym palcu ma więcej talentu niż oni wszyscy razem wzięci. Jedno nie wyklucza drugiego, ale już panu powiedziałem, że dla tego mężczyzny najważniejsze było chronienie honoru swojego nazwiska albo, innymi słowy, chronienie stylu życia własnej rodziny. W tym celu był gotowy na wszystko, łącznie z zostawieniem całego dorobku w rękach Álvara. Ten stary lis wiedział, co robi. W ciągu trzech lat Álvarowi udało się nie tylko spłacić długi, lecz także przywrócić blask interesom na wsi i w bodedze, osiągając ogromne dochody.

– Nie rozumiem tylko, w jaki sposób zarządzał tymi interesami z Madrytu – powiedział Manuel prawie do samego siebie, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– W większości przypadków przez telefon. Álvaro doskonale wiedział, jakich zmian należało dokonać. Z mojej kancelarii udostępnił mi doradztwo prawne, administrację i zarządzanie za pośrednictwem wspólników satelickich, którzy często z nami pracują. To grupa profesjonalistów. Wszyscy wiedzieli, co trzeba robić, a jeśli należało podjąć ważną albo wiążącą decyzję, to wtedy do niego dzwoniłem. Nawet administrator nie miał numeru telefonu Álvara. Ja byłem źródłem informacji.

– A rodzina? – zapytał Manuel, pokazując ręką na salę, w której siedzieli jej członkowie.

– Wyłącznie ja – podkreślił Griñán. – Álvaro od samego początku był bardzo stanowczy odnośnie do tego, czego chce.

Przez sympatyczną twarz notariusza przebiegł cień, wzbudzając ciekawość Manuela, który chciał zadać pytanie, ale w tym samym momencie Griñán wstał.

– I na dzisiaj już wystarczy, samochód odwiezie pana do hotelu. Proszę

wziąć tabletki i się wyspać, potrzebuje pan tego. Jutro przyjadę, żeby zabrać pana na pogrzeb, a później będziemy mieli jeszcze czas, by porozmawiać, jednak proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że wszyscy poczuli ulgę, dowiedziawszy się, że nie muszą się martwić nadzorem biznesu. Ani jedna z tych osób, które pan tu dzisiaj widział, nigdy nie okazała najmniejszego zainteresowania rodzinnymi interesami, nie kiwnęła nawet palcem. Nie pracują i nigdy nie pracowali, chyba że pracą nazwiemy uprawianie gardenii, polowanie albo jazdę konną.

Wyszedł z kancelarii, pragnąc odetchnąć na zewnątrz słodkim powietrzem, ale kiedy znalazł się na ulicy, dziwny chłód galisyjskiego wrzeźnia wykąpał go w tak przykrych rzeczywistości, że zamiast znaleźć spokój, o którym marzył, by móc pomyśleć, poczuł, że jest zmęczony, głodny, bolą go oczy od tego blasku wydobywającego się spod chmur i że jest jak sierota, jak przechodzień obcy miastu, które nie chce go na swoich ulicach. Uciekł, by schronić się przed światłem, przed głosami, przed greckim chórem, który nadal bębnił w jego głowie.

Opróżnił teraz pół butelki wody, popijając dwie tabletki, które dał mu Griñán, i pozbył się całego ubrania, gdy obserwował przez okno swojego pokoju fasady pobliskich budynków, wyblakłe przez dominującą tyranię światła bijącą z szarego i zbolatego nieba w godzinach południowych. Przesunął zasłony i położył się do łóżka. Zasnął po kilku sekundach.

Śnił mu się sześciolatek chłopiec, który nie przestawał płakać. Jego szloch go obudził i w półmroku panującym w pokoju dopiero po kilku sekundach Manuel przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Znowu zasnął. Kiedy wstał, niebo było zupełnie ciemne. Poprosił obsługę hotelową o olbrzymią porcję jedzenia, które pochłoniął przed telewizorem, oglądając wieczorne wiadomości. Po kolacji ponownie się położył i zasnął. O piątej rano otworzył oczy i zobaczył Clintę Eastwooda, który z ekranu telewizora mierzył do

niego palcem udającym pistolet. Efekt był tak samo groźny.

Poczuł, że wróciła mu bystrość umysłu. Pierwszy raz, odkąd piękna sierżantka przekazała mu w Madrycie wiadomość, zdołał przezwyciężyć dezorientację i niezdarność, które ciągnął za sobą jak zbłąkana dusza. Pewien rodzaj spokoju przejął kontrolę nad jego wnętrzem, uciszając w końcu szaloną kakofonię urojonych głosów, które bez ustanku rozbrzmiewały w jego głowie od chwili, gdy piękna sierżantka poinformowała go o śmierci Álvara. Ten stan opanowania rozpoznał jako swoje naturalne środowisko. Jego jasny i spokojny umysł nie był przyjacielem zamętu i hałasu. Westchnął i tonąc w nocnej ciszy, wiedział, że jest sam. Kompletnie sam. Rozejrzał się dookoła.

– Co tutaj robisz? – wyszeptał.

Nikt nie odpowiedział, chociaż Eastwood rzucił mu stalowe spojrzenie, którego przekaz był jasny: „Wynoś się, niepotrzebnie szukasz problemów”.

– Tak zrobię – odpowiedział telewizorowi.

Wzięcie prysznic, ogolenie się i zebranie swoich nielicznych rzeczy zajęło mu czterdzieści minut. Usiadł przed telewizorem i cierpliwie zaczekał, aż wybije siódma. Wtedy wziął telefon, który był wyciszony od poprzedniego dnia, z zamiarem zadzwonienia do Griñána. Miał czterdzieści trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Mei. Aparat zaczął wibrować, gdy Manuel trzymał go w dłoni. Pomyślał, żeby nie odbierać, wiedział jednak, że Mei nie da za wygraną. Przyjął połączenie i słuchał w milczeniu, nazbyt zmęczony, by wykonać jakikolwiek ruch.

Kobieta zaczęła płakać, a dopiero później się odezwała.

– Manuelu, bardzo mi przykro... Nie wyobrażasz sobie, jak cierpię, to były dwa najgorsze dni mojego życia. Ja go kochałam, Manuelu, wiesz o tym.

Zamknął oczy i nadal słuchał, nie odpowiadając.

– Wiem, że masz powody, by się na mnie złościć, ale musisz zrozumieć, że zrobiłam to, o co mnie prosił. Powiedział, że to dla twojego dobra.

– Okłamywać mnie dla mojego dobra? – wybuchnął. – Oszukiwać mnie dla mojego dobra? Co z was za ludzie? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby usprawiedliwić coś takiego, mówiąc, że to dla mojego dobra?

Po drugiej stronie linii Mei szlochała dwa razy głośniej.

– Przepraszam, bardzo przepraszam... Gdybym mogła coś zrobić...

Posłuszna akceptacja Mei tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyła. Wstał, nie mogąc się powstrzymać.

– Teraz możesz sobie przepraszać. Oboje schrzaniście mi życie, to, które mi zostało, i całe, które już za mną, bo odkryłem, że wszystko, co uważałem za fundamentalne, było stekiem kłamstw, a ja okazałem się jedynym głupcem, który nie znał prawdy. Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście.

– To nie tak! – krzyknęła Mei, nie przestając płakać. – To zupełnie nie tak. Álvaro cię kochał i ja też, wiesz o tym, nigdy świadomie nie zrobilibyśmy ci krzywdy. On mi powiedział, że tak musi być, że chce cię chronić.

– Chronić? Chronić przed czym, Mei? Co ty za bzdury opowiadasz? – krzyknął. Uświadomił sobie, gdzie się znajduje, z wściekłością przeciągnął ręką po twarzy i zniżył głos. Niemal szepcząc, dodał: – Poznałem jego rodzinę. Ci ludzie nie są potworami, Mei, nie mają dwóch głów, nie zjadają dzieci. Spotkałem kilka osób tak samo jak ja zaskoczonych i przestraszonych tym, co się dzieje. Jediną osobą, która w tej całej historii była chroniona, jest Álvaro. On chronił się przed udzielaniem odpowiedzi, chronił się przed małżeństwem ze mną, którego się wstydził, chronił się, by móc prowadzić podwójne życie, będąc arystokratą, a po kryjomu zachowując się jak baba.

– Jakim arystokratą? – zapytała Mei. Sprawiała wrażenie naprawdę

zaskoczonej.

– Dziwię się, że o tym nie wiedziałaś. Jak się okazuje, rodzina Álvara jest liczącą się w Hiszpanii rodziną, a on miał tytuł szlachecki.

– Nie mam pojęcia, co sobie myślałaś, ale prawda jest taka, że ja prawie nic nie wiedziałam. Trzy lata temu powiedział mi, że jego ojciec zmarł, że musi się zająć rodzinnymi firmami i że od tego momentu będzie prowadzić te sprawy z gabinetu. Dodał, że jego rodzina jest straszna i że z wyjątkiem interesów nic go z nią nie łączy. Stwierdził, że są bardzo destrukcyjni i chce trzymać się z dala od ich wpływów, w związku z czym nigdy nie powinien się o nich dowiedzieć, a ja miałam unikać mówienia o czymkolwiek związanym z tymi interesami w twojej obecności.

– I tobie wydawało się to normalne?

– Manuelu, co miałam zrobić? Poprosił mnie o to, kazał przysiąc. I nie, nie było to dla mnie takie dziwne, wielu homoseksualistów ukrywa się przed swoimi rodzinami. Wiesz o tym.

Milczał, nie będąc w stanie odpowiedzieć.

– Manuelu, przyjadę tam, mam bilety i wyjeżdżam dzisiaj w południe...

– Nie.

– Manuelu, chcę być przy tobie, nie pozwolę, żebyś sam przechodził przez to wszystko.

– Nie – zaprzeczył zawzięcie.

– Manuelu – znowu się rozplakała – skoro mnie tam nie chcesz, pozwól mi przynajmniej zawiadomić niektórych waszych przyjaciół.

Usiadł. Wyczerpany, wypuścił z płuc całe powietrze.

– I co im powiesz, Mei? Skoro ja sam jeszcze do końca nie wiem, co tutaj robię i co się stało... Co Álvaro robił tak daleko od domu? Chcę tylko, żeby to wszystko się skończyło, bym mógł wrócić.

Podczas gdy ona zalewała się łzami po drugiej stronie linii, on słuchał jej wyczerpany, czując łatwą do usprawiedliwienia zazdrość o to, jak lekko przychodził jej płacz. Lęk opanował jego głos tak, że mógł go rozszarpać. Zwymiotował cały swój niepokój w postaci złości i urazy.

– Mam pięćdziesiąt dwa lata, Mei, i obiecałem sobie, że nie będę już więcej przez to przechodził. Nigdy nie sądziłem, że to właśnie Álvaro sprawi, że będę się tak czuł... Nic nie rozumiem, jestem tutaj od dwóch dni, za dwie godziny będę na jego pogrzebie i jeszcze nie płakałem... A wiesz dlaczego? Bo nic nie rozumiem, bo nic tu nie pasuje, to jest szaleństwo, jak cholerny żart w bardzo złym guście.

– Przestań ze sobą walczyć, Manuelu, płacz dobrze ci zrobi – wyszeptała.

– Nie miał obrączki, Mei. Mężczyzna, który tutaj zmarł, nie był moim mężem. Nie mogę po nim płakać.



Notariusz Griñán odebrał natychmiast.

– Muszę z panem porozmawiać. Podjąłem pewną decyzję.

– Za pół godziny w kawiarni pańskiego hotelu – odpowiedział.

Kiedy zamykał drzwi do pokoju, trzymał w ręku torbę ze swoimi rzeczami. Nie miał zamiaru tu wracać.

Griñán przyszedł punktualnie. Zamówił kawę i zanim usiadł, spojrzał na skromny bagaż Manuela.

– Wyjeżdża pan?

– Zaraz po pogrzebie.

Notariusz popatrzył, oceniając jego determinację, a Manuel zapytał:

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę: teraz to pan jest moim prawnym przedstawicielem, prawda?

– Chyba że postanowi pan powierzyć swoje sprawy innemu profesjonalistcie...

Manuel zaprzeczył.

– Chcę, by jeszcze dzisiaj powiadomił pan rodzinę Álvaro, że rezygnuję ze spadku, że nie mają się czym przejmować, bo ja niczego nie chcę. Nie chcę wiedzieć nic więcej o tej sprawie. Proszę jak najszybciej przygotować wszystko do podpisania cesji i przesłać mi do domu. Chyba zna pan adres.

Griñán się uśmiechnął.

– Co pana tak bawi?

– To, że Álvaro musiał bardzo dobrze pana znać. Jeśli pan chce, mogę zakomunikować to rodzinie, ale pański mąż dołączył klauzulę, która nie pozwala panu zrezygnować ze spadku przez trzy miesiące po jego śmierci albo, co wychodzi na to samo, do czasu ujawnienia testamentu.

Manuel przez dwie sekundy patrzył na niego z urazą. Potem się rozluźnił – koniec końców odpowiedzialny za to wszystko był Álvaro.

– To niewiarygodne – powiedział zniechęcony. – W porządku, proszę więc zakomunikować to rodzinie, a dokumenty prześle mi pan w grudniu.

– Jak pan sobie życzy – odparł. – Będzie pan miał czas, żeby to przemyśleć.

Spojrzał na Griñána, chcąc się powstrzymać, jednak tym razem temperament zwyciężył.

– Nie ma o czym myśleć. Álvaro ukrył przede mną to, kim był, ukrył przede mną swoje życie. Teraz się dowiaduję, że prawie piętnaście lat spędziłem z mężczyzną, którego nie znałem, mającym rodzinę, o której istnieniu nie miałem pojęcia, i zostaję dziedzicem fortuny, której nie chcę być posiadaczem. Już to przemyślałem i nie zmienię zdania.

Niewzruszony notariusz spuścił wzrok i upił łyk kawy. Manuel rozejrzał się dookoła, natrafiając na niezdarnie skrywany wzrok nielicznych klientów

lokalu, i zdał sobie sprawę, że mówił zbyt głośno.



Prowadził samochód przez czterdzieści minut po drodze szybkiego ruchu i kolejne piętnaście po regionalnej, jadąc za audi Griñána. Zapowiadany przez meteorologów deszcz zatrzymał się na niebie za kłębiastymi chmurami, tworzącymi warstwę wystarczającą, by przepuszczać promienie słońca i uwolnić z jego palety najtrwalsze kolory. Miasto szybko się skończyło. Krajobrazem natychmiast zawładnęły wiejskie tereny z ciągiem jednorodzinnych domów przylepionych do drogi i szeregiem gospodarstw rozsianych po bokach. Potem gospodarstwa zaczęły zanikać, ustępując miejsca rozległym polom w kolorze szmaragdowej zieleni, przyozdobionym murami ze starych kamieni i tak artystycznymi ogrodzeniami, że zachwyciłyby każdego fotografa. Manuela zaskoczyło piękno sztucznych lasków z drzewami w kolorze niebieskawozielonym, które – jak się domyślił – były eukaliptusami, a także nieomal idealna czerń janowca ciernistego, mającego jeszcze swoje charakterystyczne żółte kwiatki, kontrastujące z różowym wrzosem rosnącym wzdłuż drogi. Griñán skręcił w prawo na dróżkę prowadzącą do lasu i niecałe sto metrów dalej zatrzymał samochód przed olbrzymią żelazną bramą, która była otwarta na oścież. Manuel wysiadł z pojazdu i podszedł do notariusza, który czekał na niego przy bramie, wyraźnie zadowolony.

– Mogliśmy wjechać samochodem – wyjaśniał, kiedy szli – ale chciałem się przekonać, jakie zrobi na panu wrażenie, gdy zobaczy pan go po raz pierwszy.

Strzeżona przez stuletnie drzewa aleja była pokryta małymi igłami, a tu i ówdzie dało się dostrzec szyszki otwarte jak róże, niektóre jeszcze przytwierdzone do gałęzi. Teren nachylał się nieznacznie, przechodząc

w równinę z bardzo zadbanym trawnikiem i jednopiętrowym budynkiem z kamienia z podkowiastymi łukami, w które wbudowanych było dwoje wspaniałych drewnianych drzwi.

Manuel spojrział na Griñána, gdy ten z niecierpliwością czekał na jego reakcję.

– Jest bardzo piękny – musiał przyznać.

Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Owszem, ale to są pomieszczenia dla służby, a obok znajduje się stajnia. Dom jest tutaj – powiedział, zatrzymując się i pokazując w prawą stronę. – Panie Ortigosa, pazo As Grileiras, dom, w którym urodził się pański mąż, i siedziba markizów Santo Tomé od siedemnastego wieku.

Budynek na planie prostokąta był trzy razy większy od tego nieopodal i miał małe okna osadzone głęboko w kamieniu koloru jasnego brązu. Zbudowany był na delikatnym wzniesieniu rozciągającym się wzdłuż całej posiadłości i kontrastującym z głęboką kotliną, która znajdowała się za nią, oraz z płaskim terenem od frontu, otoczonym gęstym laskiem starych drzew oliwnych, które nie pozwalały dostrzec niczego więcej na poziomie ziemi i które – był tego pewien – nie utrudniały widzenia z najwyższego piętra pałacu. Szereg latarni z kutego żelaza i kamienne pojemniki pełne kwiatów stały naprzeciwko głównej fasady w stylu watykańskim, otoczonej żywopłotem z błyszczącymi liśćmi i białymi kwiatami tak pachnącymi, że ich woń Manuel wyczuł z daleka.

– To gardenie. As Grileiras posiada największą plantację tych kwiatów w Europie, a prawdopodobnie też na świecie. Catarina, żona Santiaga, jest ich znawczynią; odkąd wzięli ślub, ona zajmuje się ich uprawą i wygrała najbardziej prestiżowe konkursy w tej dziedzinie. Obok stawu jest wspaniała szklarnia, w której uprawia kilka naprawdę interesujących hybryd. Jeśli pan chce, potem możemy pójść je obejrzeć.

Manuel podszedł do żywopłotu od zewnętrznej strony i podziwiał kremowe oraz matowe kwiaty z płatkami niczym z wosku. Urwał jeden, odcinając paznokciem twardą łodygę. Zamknął go w dłoni i wdychał zapach, który wciskał się między jego palce. Wyjaśnienia Griñána z całym tym cyrkiem braci i szwagrów, rodzina z dyplomami, której nigdy sobie nie wyobrażał – to wszystko było dla niego wrogiem, sztuczne i wywoływało w nim poniżające poczucie wstydu, które niemal popychało go do ucieczki. Nawet potrzeba otrzymania odpowiedzi nie była wystarczającym bodźcem, żeby został tu choćby minutę dłużej, niż było to konieczne. A jednak odwzajemniając uprzejmość notariusza, zapytał:

– Co znaczy As Grileiras? Brzmi jak *grilleras*, klatki na świerszcze.

– Tak, ale nie ma z tym nic wspólnego – powiedział z uśmiechem. – As Grileiras albo *herbameira* to magiczne zioła o leczniczych właściwościach, niemal cudotwórczych. Według legendy rosną nad brzegiem stawów, jezior i źródeł. Termin pochodzi od słowa *grilo* albo *grelo*, co oznacza pączkowanie, z uwagi na małe pączki tych ziół.

Jeszcze raz wciągnął zapach kwiatu i wsunął go do kieszeni marynarki, po czym ruszył za Griñánem.

– Cmentarz jest jakieś dwieście metrów stąd, obok kościoła przy pazo.

– Mają cmentarz i kościół?

– Tak naprawdę coś pomiędzy małym kościołem a dużą kaplicą. Kilka lat temu piorun trafił w wieżę kościoła we wsi i rodzina zgodziła się udostępnić tę świątynię na parę miesięcy do czasu odnowienia tamtej. Proboszcz był zachwycony. Odprawiał nabożeństwa nie tylko w niedziele, ale też we wszystkie dni powszednie. I wydaje mi się, że kiedy msze odbywały się tutaj, przychodziło na nie więcej ludzi. Wiadomo, chodziło o przyjemność, jaką daje wejście na teren pazo markizów, tutaj ludzie wciąż zwracają uwagę na do takich rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– No wie pan, masy są bardzo snobistyczne, a im uboższe, tym gorzej. Markizowie Santo Tomé przez wieki byli panami tym ziem. Połowa rodzin z okolicy w różnych okresach pracowała dla nich, więc przetrwało to feudalne poczucie ochrony przypisywane arystokracji; to, że się dla niego pracuje albo że rodzina robiła to w przeszłości, jest rodzajem zaszczytu czy wyróżnienia.

– Wyróżnienie ignorantów.

– Proszę tak nie myśleć – zaproponował Griñán. – Większość arystokratów w tym kraju jest dzisiaj nadzwyczaj skromna. Z wyjątkiem czterech, o których piszą tabloidy, pozostali żyją dyskretnie. Jednak wśród niektórych klas obnoszenie się z przyjaźnią z arystokratą nadal uważa się za przywilej, jego rekomendacja albo wsparcie w biznesie czy polityce wciąż jest korzyścią, z której niewielu by zrezygnowało.

Mnóstwo miejscowości miało kościoły znacznie mniejsze niż ten. Idealnie okrągłą polanę, na którą weszli przez naturalny tunel ze stuletnich drzew oliwnych, zagospodarowano na świątynię i cmentarz. Wejście znajdowało się naprzeciwko, chociaż były też boczne drzwi, strzeżone przez dwa wąskie, masywne okna oraz trzy niewygodne wysokie stopnie.

Wiatr, z wielkim trudem zatrzymywany przez rząd starych drzew, zrzucił szyszki na ścieżkę prowadzącą do wejścia i hulał śmiało po opustoszałej równinie, która otaczała świątynię z trzech stron. Z czwartej był cmentarz. Pośród przyciętej krótko, zadbanej trawy Manuel naliczył dwadzieścia krzyży – prostych, z kamienia. I nic więcej z wyjątkiem ogromnej ilości ziemi tuż przy świeżo wykopanym dole. Nie było nawet żadnego ogrodzenia, które wytyczałoby granice cmentarza, ale właściwie po co, skoro i tak wszystko należało do nich.

To tutaj Álvaro chciał być pochowany. Nie miał mu tego za złe, koniec

końców – co on by mu dał? Czuwanie w kostnicy przy drodze M-30 i niszę na przepelnionym cmentarzu Almudena? Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek rozmawiali na ten temat. Pomimo niezaprzeczalnego piękna okolicy i subtelnej prostoty starych kamieni było w tym miejscu coś przygnębiającego. Ale czy nie jest tak na wszystkich cmentarzach? Stawiwszy czoła faktom, Manuel przyznał się do swoich uprzedzeń; z jakiegoś powodu spodziewał się wielkiej nekropolii.

– Są praktykującymi katolikami, jak większość arystokratów, i jak wielu z nich w drugim życiu chcą się przystosować do powściągliwości i prostoty, których nie mieli w tym – wyjaśnił Griñán, gdy kierowali się w stronę świątyni, gdzie stało mnóstwo ludzi, może ze sto.

Zauważył, że szeptali, chowając się w swoich ciemnych kurtkach przed wiatrem, który wzmagał się na polanie przy wejściu do kościoła. Nikt nie podszedł, chociaż wiele osób odwróciło się, żeby na niego popatrzeć. Uczynny sekretarz Doval, który czekał przy ścianie, starając się chronić przed porannym chłodem, opuścił swój azyl i przywitał się z nimi. Wtedy Manuel zwrócił uwagę, że obaj mężczyźni byli ubrani w czarne garnitury. Poczuł się nie na miejscu w swojej niebieskiej marynarce i wygniecionej koszuli, obmawiany, osądzany i skazany przez spojrzenia, które, padając z twarzy nieznanym, prześladowały go z mieszanką ciekawości i niepokoju. Poczuł się pokrzepiony dzięki litościwej ręce Griñána umieszczonej na jego barkach. Mężczyzna poprowadził go w stronę wejścia, uwalniając od inkwizytorskiego osądu osób za jego plecami.

– Nie ma zbyt wielu ludzi, ale to normalne o tej porze... – tłumaczył sekretarz.

– Nie ma zbyt wielu ludzi? – zapytał Manuel. Nie odwrócił się, ale miał świadomość narastającego za nim zgiełku oraz tego, że liczba osób skupionych przed świątynią podwoiła się w czasie, kiedy tam stali.

– Rodzina podeszła do tego z rezerwą – stwierdził Griñán. – Skoro była to niespodziewana śmierć... Mam na myśli to, że gdyby doszło do niej w inny sposób...

Manuel patrzył na niego ze smutnym wyrazem twarzy, a notariusz spuścił wzrok, uciekając od zagmatwanych wyjaśnień. Doval przyszedł mu z pomocą.

– Możemy wejść, rodzina zaraz tu będzie. Przepraszam – dodał, przesadnie zaniepokojony – mam na myśli resztę rodziny.

Kościół był pełen. Manuelowi wydawało się, że przyszło dużo ludzi, kiedy uważał tych zgromadzonych na zewnątrz za jedynych uczestników uroczystości. Jednakże przekraczając próg świątyni, zdał sobie sprawę, że widział tylko osoby, które nie mogły wejść do środka. Przytłoczony i oszołomiony, spuścił głowę niczym zagubione dziecko, dziękując za opiekuńczą, silną rękę Griñána na jego ramieniu. Mężczyzna prowadził go w stronę ołtarza nawą główną. Idąc, Manuel usłyszał głośnie zawołanie, a podniósłszy wzrok, mocno się zdziwił. Kilka ubranych na czarno kobiet podtrzymywało jedna drugą i płakało, a ich lament unosił się w świątyni, dudniąc w jego uszach. Obserwował je z poruszeniem. Spośród wszystkiego, co wyobrażał sobie tego dnia, nie spodziewał się, że zobaczy kogoś, kto zalewa się łzami z powodu śmierci Álvara. Co tutaj robią ci wszyscy ludzie? Kim oni są? Było dla niego niepojęte, że nadal zdarzają się takie pogrzeby jak ten. Dotąd tylko kilka razy uczestniczył w uroczystościach pogrzebowych i zwykle była na nich wyłącznie rodzina oraz dwudziestu kilku przyjaciół i znajomych; często modlitwa pogrzebowa odbywała się w kostnicy tuż przed kremacją. I nic więcej. A tutaj? Co to wszystko ma znaczyć? W duchu przeklął folklor tego regionu, prostackie upodobanie do pogrzebów w pazo i ten poddańczy szacunek, który Griñán doceniał, a który jego wprowadził w zażenowanie. Ale uświadomił sobie również, że te dzielące się własnym

bólem osoby czyniły go jeszcze bardziej samotnym, opuszczonym i zranionym. Álvaro i on od początku tworzyli parę, która wspierała się nawzajem, nie przywiązując dużej wagi do życia towarzyskiego. Długie okresy w zamknięciu, do jakich zmuszało go pisanie, oraz przyjemność spędzania czasu w domu po zakończeniu tras promujących książki sprawiły, że w ostatnich latach zmniejszył się krąg ich znajomych, który zresztą nigdy nie był zbyt szeroki. Oczywiście mieli kilku przyjaciół, ale odrzucił pomysł Mei, aby zawiadomić ich o pogrzebie. Uważał za niedorzeczne, że ktoś mógłby mu towarzyszyć w sytuacji, która dla niego była tak upokarzająca, którą pragnął jak najszybciej zakończyć. Jeszcze trudniej było mu sobie wyobrazić mówienie przyjaciołom o okolicznościach, kiedy nawet on sam nie potrafił ich zrozumieć. Szedł między ławkami i widział wielu mężczyzn, kilku bardzo starych, z mokrymi oczami i starannie wyprasowanymi chusteczkami, z pewnością przez kobietę. Przepiękne bólem spojrzenia krzyżowały się na ciemnej i błyszczącej trumnie, która wydawała się smutna i szklista, niczym oczy psa. Uwalniając się od pokrępowanego uścisku notariusza, zachęcony jego obecnością, Manuel podszedł do trumny, dziękując w duchu za to, że była zamknięta. Oczarowany akompaniamentem kobiecego płaczu i blaskiem eleganckiego drewna, wyciągnął rękę, żeby go dotknąć, akurat w chwili, gdy narastający szum przerwał magiczną harmonię cichych szlochów i zaczął się rozprzestrzeniać po świątyni jak postępująca plaga: rodzina wchodziła do środka. Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że puste są jedynie dwie ławki z przodu. Skierował się do tej po swojej prawej stronie i usiadł. Szum nagle ustał. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczył, że ubrana na czarno staruszka, wsparta na ramieniu syna, przystanęła i szeptała coś Griñánowi, który po chwili podszedł do Manuela szybkim krokiem i nachylił się, żeby powiedzieć mu coś na ucho.

– Nie może pan tutaj siedzieć, to jest ławka dla rodziny. – Notariusz

niemal go zganił.

Manuel podniósł się z irytacją i zrobił dwa kroki, gotowy do odejścia, ale nagle się zatrzymał. Początkowe uczucie niezręczności ustąpiło miejsca oburzeniu.

– Ja jestem rodziną. To, że się nie mieszają, to ich sprawa. Mężczyzna, który leży w tej trumnie, jest moim mężem, więc jeśli się nie mylę, w tej chwili ta ławka jest moja. Proszę im powiedzieć, że mogą sobie usiąść tutaj albo w jakiegokolwiek innej ławce tego kościoła. Ja się stąd nie ruszę.

Griñán zbladł, a Manuel ponownie usiadł – był tak wściekły, że ledwie potrafił opanować drżenie rąk. Słyszał, jak notariusz szepcze wśród absolutnej ciszy, w jakiej pograżyła się cała świątynia. Po chwili znów rozległy się kroki w stronę ołtarza, które skierowały się do pierwszej ławki po lewej. Przez całą mszę unikał patrzenia w tamtą stronę.

Uroczystość trwała prawie dwie godziny. Nabożeństwo pogrzebowe odprawiał ksiądz w wieku około czterdziestu lat, który okazywał pewną zażyłość z rodziną. Po jego zapewne autentycznym smutku Manuel wywnioskował, że znał Álvara. Towarzyszyła mu niecodzienna liczba kapłanów, pisarz doliczył się dziewięciu. Wszyscy byli starsi i zdystansowani, pozostając na drugim planie i grając role asystentów ustawionych w półkolu wokół ołtarza, towarzyszących młodszemu koledze w ceremonii.

Manuel cały czas siedział, nie zwracając uwagi na wezwania księdza. Był przygnębiony wybuchem złości i delirycznym oszołomieniem uczestników pogrzebu, których pojękiwania słyszał za plecami. Na stojąco, siedząc, znów na stojąco, siedząc... Na chwilę podniósł wzrok i napotkał pytające spojrzenia kilku kobiet czekających w kolejce do przyjęcia komunii. Ukrył się, miał tego świadomość, spuszczać wzrok i walcząc z narastającą, dręczącą go potrzebą, aby opuścić to miejsce.

Po zakończeniu mszy kilku mężczyzn z szorstkimi dłońmi i wyprasowanymi chusteczkami podniosło trumnę i zaniósło ją na cmentarz. Był wdzięczny, że w miarę jak nadchodziło południe, wiatr ustawał, a słońce przedzierało się przez zawieszane nisko kłębiaste chmury.

– Zakomunikowałem już markizowi pańską decyzję – szepnął mu Griñán tuż przy drzwiach świątyni.

W odpowiedzi Manuel skinął głową, zastanawiając się, kiedy mógł mu to powiedzieć, i doszedł do wniosku, że podczas mszy. Koniec końców konto należące do Muñizów de Dávilów było jednym z najważniejszych, którymi zarządzał, i chcąc upewnić się, że jego kancelaria go nie straci, notariusz nie okazał skrupułów i jak najszybciej oddał się do dyspozycji nowych właścicieli fortuny. Manuel został w tyle, pozwalając, żeby grupa osób go wyprzedziła i otoczyła grób. Obserwował ich z miejsca, w którym zaczynał się cmentarz, nie mając odwagi podejść bliżej. Ponieważ całą energię spożytkował na walkę o ławkę w kościele, teraz czuł się wycieńczony i niezdolny do kolejnej konfrontacji.

W przeciwieństwie do niekończącej się mszy pochówek był szybki. Tylko modlitwa nad grobem. Pośród tłoczących się ciał Manuel nie mógł nawet zobaczyć, jak opuszczali trumnę. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Kapłani grzecznie pożegnali się z członkami rodziny i poszli w stronę bocznych drzwi kościoła, z pewnością do zakrystii. W tym momencie poczuł drobną rękę, która przesuwiała się po jego dłoni, i zobaczył chłopca z rodziny. Nachylił się, a wtedy mały zarzucił mu ręce na szyję i pocałował w policzek. Potem pobiegł do swojej matki, która czekała na niego w pewnej odległości, i uśmiechnął się, zanim ruszyli ścieżką do domu.

– Panie Ortigosa.

Manuel odwrócił się i zobaczył, że stoi przed nim Santiago, nowy markiz. Kilka metrów dalej Griñán skinął głową w jego stronę, a następnie skierował

się do domu w towarzystwie kobiet.

– Jestem Santiago Muñiz de Dávila, Álvaro był moim bratem – powiedział mężczyzna, wyciągając do niego rękę, częściowo zakrytą gipsem.

Manuel popatrzył na niego zdezorientowany.

– Proszę się nie przejmować, to nic poważnego. Wypadek podczas jazdy konnej, złamany palec i kilka zadrapań.

Ostrożnie uściśnął dłoń Santiaga, czując pod ręką sztywny gips.

– Pan Griñán powiedział mi o pańskiej decyzji i mogę jedynie podziękować w imieniu swoim i rodziny. Chcę także przeprosić, jeśli wydaliśmy się panu chłodni i źle wychowani. Wydarzenia z ostatnich dni – powiedział, odwracając się na chwilę, żeby popatrzeć w stronę grobu – nas przerosły.

– Nie musi pan przepraszać. Wiem, jak się państwo czują.

Nie powiedział nic więcej. Santiago pożegnał się nieznacznym skinieniem głowy i przyspieszył kroku, żeby dogonić żonę. Zastąpił ją, podając rękę starej matce.

Do Manuela podszedł najmłodszy ksiądz, przechodząc przez cmentarz, na którym nie został już nikt z wyjątkiem grabarza i ekipy robotników, którzy w grupce palili papierosy pod osłoną bocznej ściany kościoła.

– Chciałbym przez chwilę z panem porozmawiać. Jestem przyjacielem Álvaro z dzieciństwa, razem chodziliśmy do szkoły. Muszę tylko to zdjąć – powiedział, dotykając ornatu. – Jeśli pan na mnie zaczeka, przebiorę się w ciągu minuty.

– Nie wiem – odparł wymijająco Manuel, patrząc na ścieżkę. – Szczerze powiedziawszy, trochę się spieszę.

– Tylko minutę, obiecuję – powiedział, ruszając biegiem do bocznych drzwi kościoła.

Manuel obrzucił spojrzeniem robotników, którzy palili i rozmawiali,

zajęci własnymi sprawami, i zobaczył, że grabarz, jedyny, który nie miał na sobie roboczego kombinezonu, ciągle go obserwował; odniósł wręcz wrażenie, że mężczyzna zaraz oddali się od grupy i podejdzie, żeby mu coś powiedzieć. Ostatecznie postanowił pozdrowić go skinieniem głowy i poszedł w stronę otwartego grobu. Mijał krzyże, czytając inskrypcje. Być może Griñán miał rację. Wszędzie widział tylko imiona i nazwiska oraz daty urodzin i śmierci, bez żadnych tytułów czy zaszczytów. Niektóre groby pochodziły aż z osiemnastego wieku, a od najnowszych różnił je jedynie kolor kamienia, z którego zrobiono krzyż. Obok otwartego grobu niczym wyperfumowany stos leżały przyozdobione wstążkami bukiety i wieńce, które jak wielkie identyfikatory wskazywały na to, od kogo pochodzą i ile kosztowały. Instynktownie włożył rękę do kieszeni i wyjął woskową gardenię zerwaną po drodze, powodując, że jej zapach zaczął się roznosić, aż przyćmił woń pozostałych kwiatów. Zrobił krok do przodu, żeby zobaczyć trumnę pozbawioną połysku przez kurz czarnej ziemi, którą rodzina wrzuciła do grobu podczas modlitwy. W dole nie było kwiatów. Może Griñán się mylił: ostatecznie piękno tych drogich wieńców było chętnie zarezerwowane do pozostania na powierzchni, gdzie wszyscy będą mogli je zobaczyć.

Ponownie spojrzął na matowe wieko trumny i krzyż z chudym konającym Chrystusem. Podniósł kwiat do ust, wciągnął jego zapach, złożył na nim pocałunek i zawiesił rękę nad grobem. Zamknął oczy, usiłując znaleźć w sobie twierdzę, w której bronił się ból, ale mu się nie udało. Za plecami poczuł czyjąś obecność i zacisnął dłoń z kwiatem w środku.

Odwrócił się do księdza, który czekał na niego kilka metrów dalej i który w codziennym ubraniu wydał mu się młodszy. Zauważył jednak, że duchowny nie zdjął koloratki.

– Jeśli potrzebuje pan więcej czasu...

– Nie – odparł, idąc w jego stronę i chowając gardenię do kieszeni marynarki. – Już skończyłem.

Ksiądz uniósł brwi, zaskoczony jego szorstkością. Manuel dostrzegł ten gest i wykluczył możliwość ewentualnego okazania współczucia.

– Jak już powiedziałem, nie mam dużo czasu – stwierdził pospiesznie. Nagle melancholijny nastrój cmentarza zrobił się dla niego nieznośny. Chciał stamtąd uciec.

– Gdzie ma pan samochód?

– Przed bramą, przy wjeździe.

– Więc pójdę z panem. Ja też już jadę, muszę wracać do mojej parafii.

– Och, myślałem, że... – powiedział, pokazując w stronę kościoła.

– Nie, dzisiaj jestem tutaj w roli gościa, ze względu na moją przyjaźń z rodziną. Odpowiedzialny za najbliższą parafię jest jeden z księży, którzy pomagali mi w nabożeństwie. Ta świątynia w rzeczywistości nie ma wyznaczonego proboszcza, przeznaczono ją do użytku prywatnego, a dla ludzi otwiera się na specjalne uroczystości.

– Widząc tylu kapłanów, sądziłem...

– Tak, przypuszczam, że musi to być zaskakujące dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony, ale taka jest tradycja regionu.

– Folklor – wycedził pogardliwie przez zęby.

Nie miał pewności, czy ksiądz go usłyszał, dopóki nie wyczuł o wiele chłodniejszego tonu głosu kapłana, kiedy odparł:

– Ich sposób na oddanie czci zmarłym.

Manuel nic nie powiedział. Zacisnął usta i spojrzał tęsknie na ścieżkę, która miała go stąd zabrać.

Zaczęli iść.

– Mam na imię Lucas – powiedział znów przyjacielskim tonem

duchowny, wyciągając do niego rękę. – Jak już powiedziałem, byłem razem z Álvarem w seminarium, właściwie ze wszystkimi braćmi, tyle że pozostali są młodszy i mieliśmy ze sobą słabszy kontakt...

Manuel, nie zatrzymując się, uściśnął jego dłoń.

– W seminarium? – zapytał zaskoczony.

– Tak – powiedział ksiądz z uśmiechem – ale proszę nie myśleć sobie nie wiadomo czego, w tamtych czasach wszyscy bogaci chłopcy z okolicy uczyli się w seminarium. To była lepsza szkoła niż ta tutaj. Poza tym markizowie zawsze byli jej dobroczyńcami, więc to naturalne, że chłopcy tam uczęszczali. Nie miało to żadnego związku z powołaniem.

– W księdza przypadku chyba jednak miało.

Zaśmiał się.

– Ale jestem wyjątkiem, z całego mojego rocznika jako jedyny przyjąłem święcenia.

– Ksiądz też jest bogaty?

Znow się roześmiał.

– Pod tym względem też byłem wyjątkiem. Jestem jednym z tych, którzy skorzystali ze stypendium pana markiza dla biednych i obiecujących chłopców.

Trudno mu było wyobrazić sobie Álvara w seminarium. Kiedyś mąż opowiadał mu o czasach spędzonych na uniwersytecie, o internacie w Madrycie, o szkole średniej, ale nigdy o szkole z dzieciństwa. Dzieciństwo w tym sielankowym świecie wydawało mu się sprzeczne z tym, które wyobrażał sobie dla Álvara. Słyszał, jak żwir trzeszczy im pod stopami. Przedłużające się pauzy i cisza zapadająca między nimi, zamiast mu przeszkadzać, działały na niego uspokajająco. Drzewa chroniły ich przed wiatrem, południowe słońce zaczynało ogrzewać plecy, a w powietrzu unosił się zapach gardenii, który pochodził z okalającego dom żywopłotu.

– Manuelu, czy możemy mówić sobie po imieniu? Mam czterdzieści cztery lata, tyle samo co Álvaro, dziwnie jest mi zwracać się do ciebie na pan.

Manuel nie odpowiedział. Wykonał dwuznaczny gest, który niczego nie określał. Z doświadczenia wiedział, że taka propozycja bywa pretekstem do następnej zuchwałości.

– Jak się czujesz?

Pytanie zaskoczyło go nie tyle swoją naturalnością, ile tym, że ksiądz był pierwszą osobą, która się nim zainteresowała. Nawet sładka Mei ze swoim ciężarem poczucia winy i wyrzutów sumienia go o to nie zapytała. I chociaż Manuel wyładował na niej cały swój ból i niepokój, tak naprawdę się nad tym nie zastanawiał. Jak się czuł? Nie wiedział, przypuszczał, jak powinien się czuć: załamany, przygnębiony, przybity, ale był tylko apatyczny i głęboko rozczarowany, częściowo zły na wszystko, co musiał znieść. Nic więcej.

– Dobrze – odpowiedział po namyśle.

– Cóż, obaj wiemy, że to nie może być prawda.

– Ale jest. Nie czuję niczego poza żalem i rozczarowaniem z powodu tego, co się stało. Chcę tylko stąd wyjechać, odzyskać moje życie i zapomnieć o wszystkim.

– Obojętność – stwierdził ksiądz. – Czasami to jeden z etapów bólu, który po śmierci bliskiej osoby przychodzi po zaprzeczeniu, a przed pogodzeniem się.

Chciał polemizować, ale zobaczył samego siebie odrzucającego każdy argument sierżantki Acosty, kiedy poinformowała go o śmierci Álvaro. Wzbraniał się przed zaakceptowaniem tej wiadomości, szukał koła ratunkowego, uparcie odrzucał to, z czym nie chciał się pogodzić.

– Można powiedzieć, że jesteś ekspertem w tym temacie – skomentował nieuprzejmie.

– Owszem, codziennie stykam się ze śmiercią i przygnębieniem, a także z innymi chorobami duszy. To jest moja praca, ale oprócz tego byłem przyjacielem Álvara. – Zrobił przerwę i spojrzał na Manuela w oczekiwaniu na jego reakcję. – A do tego prawdopodobnie jedną z niewielu osób, które w ciągu tych wszystkich lat utrzymywały z nim kontakt i znały jego codzienne życie.

– A więc wiedziałeś więcej niż ja... – wyszeptał z niezadowoleniem.

Ksiądz się zatrzymał i spojrzał na Manuela z poważnym wyrazem twarzy.

– Nie bądź taki surowy w swoim osądzie. Jeśli Álvaro ukrył przed tobą wszystko, co miało związek z jego rodziną, zrobił to nie dlatego, że wstydził się ciebie, lecz rodziny.

– Jesteś drugą osobą, która mówi mi coś podobnego, ale nie wiem, co masz na myśli. Poznałem ich i nie wydają się tacy straszni.

Ksiądz uśmiechnął się mimo woli.

– Álvaro nie utrzymywał kontaktów z nikim ze swojego domu, odkąd jako młody chłopak wyjechał do szkoły w Madrycie. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał, odrzucenie ze strony bliskich wzrastało, aż pewnego dnia postanowił już nigdy nie wracać. Jego ojciec zmarł, nie zgodziwszy się, by syn go zobaczył przed śmiercią, chociaż nie przeszkodziło to w tym, by Álvaro odziedziczył po nim obowiązki. Wrócił, przejął interesy, wyznaczył pensję dla członków rodziny i znowu zniknął. Myślę, że z wyjątkiem jego notariusza tylko ja wiedziałem, gdzie go znaleźć – powiedział, ruszając dalej.

– Wiem, że był w życiu szczęśliwy, był szczęśliwy u twojego boku.

– Skąd możesz mieć taką pewność? Byłeś też jego spowiednikiem? – zapytał arogancko.

Lucas na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Można by wręcz powiedzieć, że słowa Manuela trafiły go prosto w klatkę piersiową, niczym cios.

– Kimś w tym rodzaju, ale nie trzymając się protokołu. Dużo rozmawialiśmy o tobie, o wszystkim... – odpowiedział, odzyskawszy spokój.

Manuel przystanął. Zwracając głowę ku księdzu, uśmiechnął się sarkastycznie i zareagował:

– Chwileczkę... Po co mi to wszystko opowiadasz? Nie widzisz, jakie to absurdalne, że ksiądz stara się mnie pocieszyć po tym, jak mój homoseksualny mąż ukrywał przede mną swoje życie? Jak mam się czuć, kiedy dowiaduję się, że miał większe zaufanie do ciebie niż do mnie? Jasne jest dla mnie jedynie to, że nie znałem mężczyzny, z którym dzieliłem moje życie, i że przez cały ten czas mnie okłamywał.

– Wiem, jak się czujesz...

– Gównu wiesz! – wykrzyknął.

– Może tak, a może nie. Wiem natomiast, że teraz jesteś odporny na wszystko, co powiem, ale za kilka dni sprawy będą wyglądać inaczej. Przyjedź do mnie wtedy – powiedział i podał mu wizytówkę, na której znajdował się adres sanktuarium w Pontevedrze. – Osoba, którą Álvaro był naprawdę, to ta, którą znałeś. Cała reszta – dodał, pokazując majestatyczną aleję i górującą nad nią bramę wjazdową – była sztuczna.

Zmiał wizytówkę i od razu chciał rzucić ją na ziemię. Instynktownie jednak wsunął kawałek papieru do kieszeni obok pachnącego kwiatu, jedynej rzeczy, którą ukradkiem stąd zabrał.

Przeszli przez bramę i w milczeniu weszli na drogę. Widząc, że nadchodzą, mężczyzna oparty o bagażnik swojego samochodu wyprostował się i zrobił w ich kierunku kilka kroków, po czym przystanął.

W jego sylwetce było coś znajomego, czego Manuel nie potrafił rozpoznać do momentu, aż mężczyzna znalazł się bliżej nich. Był to funkcjonariusz Gwardii Cywilnej, z którym rozmawiał w szpitalu, aż zmienił go jego przełożony. Nie pamiętał nazwiska, ale nie mógł zapomnieć

homofobicznej pogardy i piwnego brzuszka, który pod mundurem bez wątpienia skrywał się lepiej niż pod spodniami w kant noszonymi prawie na miednicy i cienkim swetrem w serek podkreślającym guziki koszuli niczym rząd nitów.

Z biegiem lat Manuel wypracował w sobie radar, który wychwytywał prostaków, i był pewien, że ten facet przysporzy mu problemów. Mimo to jeszcze bardziej zaskoczyła go reakcja księdza, który wyszeptał:

– A ten co tu robi?

– Manuel Ortigosa? – zapytał mężczyzna, chociaż było oczywiste, że to wiedział. – Porucznik Nogueira z Gwardii Cywilnej – powiedział, pokazując legitymację, która szybko zniknęła w jego kieszeni. – Poznaliśmy się przedwczoraj w szpitalu...

– Pamiętam – odparł ostrożnie Manuel.

– Jedzie pan gdzieś? – zapytał, pokazując w stronę torby podróźnej na tylnym siedzeniu samochodu.

– Wracam do domu.

Gwardzista pokręcił głową. Wyglądał na poirytowanego.

– Muszę z panem porozmawiać – powiedział, jakby przekonywał samego siebie.

– Proszę mówić – odparł nieuprzejmie Manuel.

Funkcjonariusz rzucił gniewne spojrzenie księdzu.

– Na osobności – zaznaczył.

Najwyraźniej awersja tego mężczyzny nie ograniczała się tylko do homoseksualistów. Albo mężczyźni byli starymi znajomymi.

Ksiądz nie dał się zastraszyć.

– Jeśli chcesz, żebym został... – zaproponował, spoglądając na Manuela i lekceważąc nieprzyjazne nastawienie gwardzisty.

– Dziękuję, to nie będzie potrzebne – odparł stanowczo Manuel.

Nie dało się ukryć, że księdzu bardzo zależało na tym, by zostać. Nogueira nie wyglądał Manuelowi na człowieka, któremu można ufać, ale z dwóch obcych zdecydował się na tego drugiego.

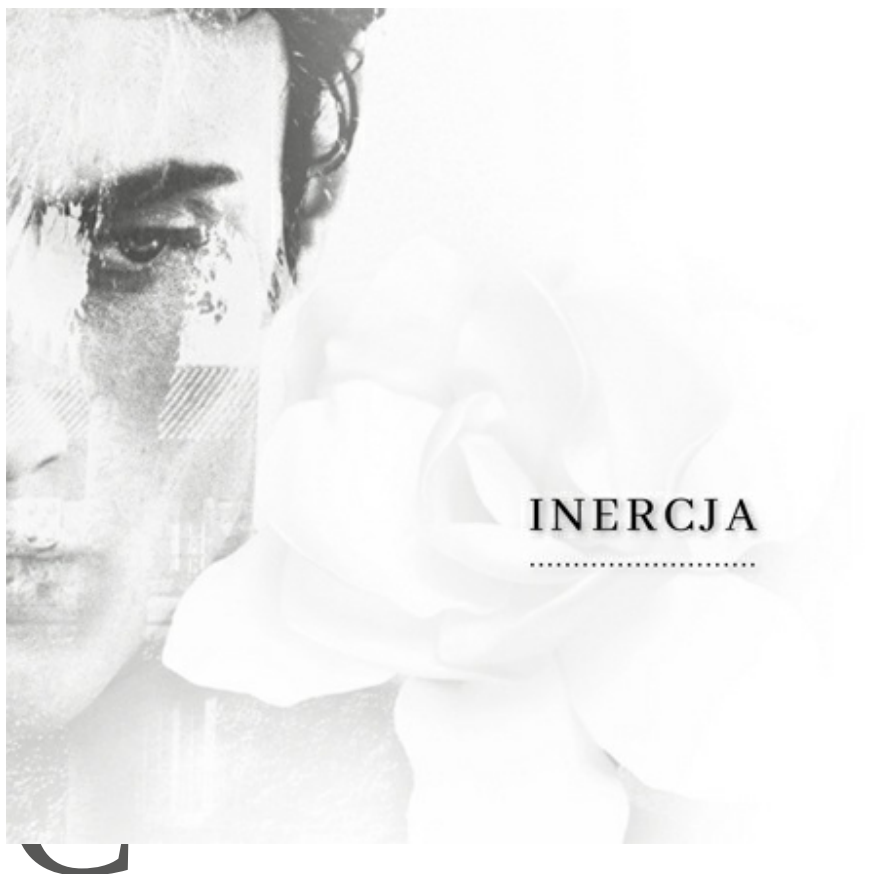
Ksiądz czekał jeszcze chwilę, odwołując swój odjazd. W końcu się pożegnał, podając pisarzowi rękę, a na funkcjonariusza nawet nie patrząc, i wsiadł do małego szarego SUV-a zaparkowanego za nimi.

– Przyjedź do mnie.

Manuel patrzył, jak odjeżdża, a potem odwrócił się do gwardzisty.

– Nie tutaj – odezwał się Nogueira. – We wsi jest bar, tuż przed wjazdem na główną drogę. Można zaparkować na placu przy wejściu. Proszę jechać za mną.

Miał już zaprotestować, ale uznał, że skoro ten facet chciał porozmawiać, lepiej, żeby odbyło się to w miejscu publicznym niż przy opuszczonym wjeździe do As Grileiras, gdzie zostało tylko audi Griñána.



choć na zewnątrz powietrze było rześkie, południowe słońce nagrzało wewnątrz samochodu, zamieniając je w piekarnik. Manuel zaparkował na placu z ubitej ziemi obok starego bmw gwardzisty oraz pół tuzina zakurzonych terenówek. Wsiadł z samochodu i zanim zamknął drzwi, wrzucił do środka marynarkę. Szedł w stronę wejścia do baru, kiedy funkcjonariusz go zatrzymał.

– Proszę zaczekać, tutaj jest dobrze – powiedział, przystając na tarasie z plastikowymi stolikami i zmiętymi parasolami.

Wrócił po chwili z dwiema czarnymi kawami oraz talerzami pełnymi czegoś, co przypominało gulasz. Przez rozpoczęciem rozmowy zapalił papierosa. To tłumaczyło, dlaczego wybrał miejsce na zewnątrz.

– Bardzo szybko pan wyjeżdża... – powiedział, wsypując do kawy podwójną porcję cukru.

– Pogrzeb się zakończył, nie mam tu nic więcej do zrobienia – odparł oschle.

– Nie zostanie pan kilka dni ze swoją rodziną?

– To nie jest rodzina moja, tylko mojego męża – celowo powiedział „męża”, jednak tym razem gwardzista nie zwrócił na to uwagi. – Nie znałem jej, zanim... to się stało.

– To prawda, mówił pan w szpitalu – wymamrotał zamyślony. – Dzwonili do pana z kwatery z jakimiś wyjaśnieniami?

– Tak, dzisiaj rano. Powiedzieli, że wszystko jest w porządku, że mogę przyjechać, by odebrać jego rzeczy osobiste, i że przyślą mi raport na wypadek, gdybym musiał go przedstawić, aby dostać pieniądze z ubezpieczenia.

– Skurwysyny! – wykrzyknął gwardzista. – Zrobili to, kolejny raz to zrobili! Że też mieli czelność! – dodał, wskazując na Manuela dymiącym krańcem papierosa.

– Co takiego zrobili kolejny raz?

Zamiast odpowiedzieć, mężczyzna wypytywał dalej.

– Co pan sądzi o tej rodzinie?

– Zabrakło mi czasu, żeby wyrobić sobie opinię – skłamał. Jeśli miał o nich jakieś zdanie, to oczywiście nie zamierzał dzielić się nim z tym człowiekiem. – Ledwie zamieniliśmy kilka słów.

– Wyobrażam sobie...

– Powie mi pan, o co w tym wszystkim chodzi?

Nogueira zaciągnął się głęboko papierosem, dopalając go do filtra z nieprzyjemnym dźwiękiem ssania, a potem rzucił niedopałek pod stolik i zmiażdżył czubkiem buta, chociaż koło niego stała popielniczka. Manuel popatrzył na niego zde gustowany, podczas gdy gwardzista przysunął sobie talerz z gulaszem i wbił widelec w kawałek mięsa.

– Chodzi o to, że Álvaro Muñiz de Dávila nie miał wypadku, a przynajmniej nie był to tylko wypadek. – Włożył do ust kawałek mięsa. Manuel, zaskoczony i oszołomiony, czekał, aż gwardzista skończy przeżuwać i wznowi wyjaśnienia. – Jego samochód wypadł z drogi i to prawda, że na asfalcie nie było śladów hamowania ani niczego, co świadczyłoby o obecności drugiego pojazdu, ale, jak panu mówiłem, kiedy mój przełożony przerwał nam w kostnicy, samochód miał wgniecenie i trochę białej farby na karoserii.

– Tak, pytałem o to kapitana, gdy zadzwonił do mnie dzisiaj rano; on uważa, że to mogło mieć związek z małą kolizją na parkingu i nie miało nic wspólnego z wypadkiem. Niewykluczone, że doszło do tego nawet kilka dni wcześniej.

– Tak, jasne. A jak wytłumaczył nacięcie, które pan Muñiz de Dávila miał z boku tułowia? – zapytał, pochłaniając kolejny kawałek mięsa.

– Nacięcie?

– Głębokie i cienkie. Rana kłuta, która spowodowała bardzo małe zewnętrzne obrażenie, wystarczające, żeby pozwolić mu wsiąść do auta i uciec przez agresorem, ale nie na tyle, by wewnętrzny krwotok nie przyczynił się do zasłabnięcia. Być może to go zabiło, zanim samochód wypadł z drogi, chyba że w tym też ktoś mu pomógł.

– Ale kapitan nic nie mówił o ranie kłutej.

– Jasne, że nie, arystokraci nie giną od ran kłutych, to jest zarezerwowane dla ćpunów i kurew... Ale prawda jest taka, że Álvaro Muñiz de Dávila miał nacięcie na prawym boku, na wysokości podbrzusza. Lekarka sądowa widziała je podczas wstępnych oględzin na miejscu wypadku. To moja przyjaciółka; jeśli ją poproszę, zgodzi się z panem spotkać. Ona też nie znosi takich rzeczy.

– Takich rzeczy? O czym pan mówi? Ma pan na myśli napaść czy uraz

pasujący do obrażeń po wypadku?

Mężczyzna uważnie rozejrzał się dookoła, chociaż na tarasie nie było nikogo poza nimi.

– Mam na myśli co najmniej jedną bardzo podejrzaną sytuację związaną z jego śmiercią.

– A dlaczego pan mi to wszystko mówi? Dlaczego dzisiaj rano powiedzieli mi, że to był wypadek? I dlaczego nie wszczęli śledztwa?

– To właśnie próbuję panu wyjaśnić. W tej śmierci jest seria bardziej niż podejrzanych zbiegów okoliczności, które nie zostaną wyjaśnione. I nie będzie to pierwszy raz, ponieważ chodzi o Muñiza de Dávilę, a rodzinę właścicieli ziemskich, do której należał, trzeba za wszelką cenę pozostawić czystą, podczas gdy to właśnie oni srają, a gówno się rozpryskuje.

Manuel trawił słowa gwardzisty, starając się je zrozumieć.

– Mówi mi pan, że...

– Mówię panu, że jak świat światem istniały klasy: biedacy, czyli większość ludzi, którzy harują w pocie czoła, żeby dotrzeć do gównianej emerytury, a dalej już ziemscy panowie, książęta świata, którzy przez całe pokolenia żyli z naszego potu i nadal robią to, co im się żywnie podoba, bez żadnych konsekwencji.

– Ale Álvaro nawet tutaj nie mieszkał, on nie był...

– Był jednym z nich – przerwał porucznik. – Sam pan przyznaje, że nawet nie wiedział pan o istnieniu jego rodziny. I mogę panu powiedzieć, że z tego, co się dowiedziałem, Álvaro prowadził podwójne życie. Nie wiem jeszcze, czym się zajmował, ale pod wieloma względami to absolutnie nie to, na co wyglądało.

Manuel milczał przez kilka sekund, próbując przemyśleć słowa Nogueiry. Patrzył na niego i mimo że usiłował zrozumieć, o co chodzi w tej grze, nie był w stanie podzielać jego oburzenia. Funkcjonariusz nie ujawnił mu

niczego, czego sam by nie podejrzewał w ciągu ostatnich kilkunastu godzin, kiedy oznaki zdrady nabrały kształtu martwego ciała, a cała sytuacja kosztowała go część zdrowia psychicznego, aż postanowił pójść za radą Clint Eastwooda. Álvaro go okłamywał, oszukiwał jak zakochanego nastolatka. Wszystko było kłamstwem, wielką kupą gówna. I tak, to prawda, był głupcem, który złapał się na to kłamstwo. Najtrudniej było mu się do tego przyznać przed samym sobą, ale już to uczynił. Co więcej mógł zrobić?

– I co się teraz stanie? – zapytał zniechęcony.

Gwardzista wpatrywał się w niego przez chwilę, aż poirytowany rozłożył ręce.

– Hej, nie słyszał pan, co powiedziałem?

– Słyszałem doskonale. – Mężczyzna westchnął zniecierpliwiony, po czym znów zaczął mówić. – Powiem panu, co się stanie. Nic się nie stanie; sprawę odłożą do akt, zresztą już to zrobili. Oficjalnie Álvaro Muñiz de Dávila zmarł wskutek wypadku samochodowego, nie ma innych przyczyn.

– Ale pan się z tym nie zgadza, będzie pan prowadził śledztwo...

Zapalił kolejnego papierosa i znów sztachnął się tak, jakby ssał.

– Wczoraj był mój ostatni dzień, jestem na emeryturze – powiedział, odsuwając filiżankę z resztką kawy, jakby w środku znajdował się pomysł, który on uważał za obraźliwy. – Mam miesiąc urlopu, a potem przechodzę do rezerwy.

Manuel przytaknął. Teraz rozumiał, dlaczego funkcjonariusz nie miał na sobie munduru. Oficjalnie nie był już porucznikiem Gwardii Cywilnej, chociaż kiedy podszedł do niego przy samochodzie, przedstawił się wraz ze stopniem i na krótko pokazał mu swoją legitymację. Na bardzo krótko... To zrodziło w nim wątpliwości: w takim razie co ten mężczyzna tutaj robi? Dał już jasno do zrozumienia, jak wielką odrazę budzi w nim rodzina Álvaro, i nie ukrywał swojej homofobii, tak więc czego chce? Manuel wyprostował

się na swoim krześle, odsuwając je nieco od stołu, aby pokazać, że rozmowa dobiegła końca.

– Poruczniku Nogueira – powiedział ostrożnie – wysłuchałem pana, jestem wdzięczny za pańską troskę, ale skoro, jak pan mówi, sprawa została zamknięta i jest pan jedynym, który wydaje się nie zgadzać z wnioskami przełożonych, to proszę mi powiedzieć, dlaczego pan mi to wszystko opowiada? Skoro pan nie był w stanie ich przekonać, to co ja mogę zrobić?

– Dużo, pan jest członkiem rodziny.

– To nieprawda – zaprzeczył gorzko. – Nie jestem i wygląda na to, że nigdy nie byłem.

– A jednak pan jest, i to pełnoprawnym – odparł szybko Nogueira. – Z pańską pomocą możemy poprowadzić śledztwo, które zostało zawieszona.

– Przed chwilą powiedział pan, że nie jest już gwardzistą...

Oczy Nogueiry na moment przesłonił cień i to wystarczyło, by Manuel utwierdził się w przekonaniu, że ten mężczyzna może być bardzo trudny. Funkcjonariusz złagodniał jednak, ponieważ to, co miał za chwilę powiedzieć, musiało go kosztować mnóstwo wysiłku.

– Był pańskim... pańskim mężem, mógłby pan nawet wnioskować o przeprowadzenie autopsji.

Manuel spojrzał na niego zaskoczony i zaczął kręcić głową, zanim cokolwiek powiedział.

– Nie, nie, nie, pan tego nie rozumie. Dopiero co pochowałem tego mężczyznę, mężczyznę, który spędził ze mną prawie całe życie. Wiem, że panu jest to obojętne, ale razem z nim pochowałem wszystkie nasze wspólne lata... Nic mnie to nie obchodzi, wszystko mi jedno, w co był zamieszany albo z kim spędził ostatnie chwile, to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Chcę tylko stąd wyjechać, wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć – powiedział, wstając. – Dziękuję za pańską troskę, ale ja nie mam siły na nic

więcej. – Wyciągnął do niego rękę, lecz gwardzista ją zignorował i nie przestając patrzeć mu w oczy, wzruszył ramionami. Manuel skierował się w stronę parkingu.

– Álvaro został zamordowany – powiedział Nogueira za jego plecami.

Manuel przystanął, nie odwracając się.

– To nie był wypadek, zamordowano go. I jeśli nic pan nie zrobi, jego śmierć pozostanie bezkarna. Będzie pan mógł z tym żyć?

Zesztywniał. W jednej chwili zrozumiał, że nieważne było to, co czuje, ani to, co chciałby zrobić, że nie miała znaczenia sytuacja, ponieważ straszna i niewytłumaczalna siła rzuciła go w stronę rzeczywistości. Inercja dociskała go, bez współczucia ani wyrzutów sumienia, i prowadziła w kierunku, który wyznaczał wszechświat. Wszystko dookoła niego było wrogie, powinien pójść za radą Eastwoda i nie szukać problemów. Ale siedział tutaj ten odrażający mężczyzna i rzucał najgorszą z obelg. Manuel czuł, jak fala uderzeniowa bomby, którą właśnie zrzucił Nogueira, dosięga go, potrząsa jego wnętrznościami i chce go powalić. Zanim się odwrócił, minęła może minuta, a może kilka sekund. Powoli wrócił na krzesło, które zajmował wcześniej.

Jeśli gwardzista czuł z tego powodu satysfakcję, to doskonale to ukrywał. Nadal palił, głęboko się zaciągając, aż Manuel zapytał:

– Co chce pan zrobić?

Nogueira rzucił na ziemię dopalonego do filtra papierosa i pochylił się, opierając łokcie o stół. W jego dłoniach pojawił się mały czarny notes, który otworzył na stronie z drobnymi literami.

– Najpierw trzeba porozmawiać z lekarką sądową, żeby nie miał pan najmniejszych wątpliwości co do tego, o czym panu opowiedziałem, a później odtworzymy każdy ruch Álvaro z ostatnich dwóch dni: gdzie był, z kim się spotykał, a jeśli będzie to możliwe do sprawdzenia, to też co robił

podczas swoich poprzednich wizyt, jak wyglądały jego dni, kiedy tutaj przebywał, gdzie jeździł... Ja panem pokieruję, ale prawie wszystko musi zrobić pan. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, ma pan do tego prawo i to zupełnie normalne, że krewny interesuje się okolicznościami, w jakich zmarł jego bliski, a jeśli komuś zacznie to przeszkadzać, to wtedy będziemy się martwić. Najpierw jednak muszę pana ostrzec, bo możliwe, że to, czego się pan dowie, wcale się panu nie spodoba. Często, kiedy prowadzi się śledztwo w sprawie morderstwa, na wierzch wypływa mnóstwo brudów, które przez cały czas były przyczepione do dna.

Manuel skinął głową.

– Może pan na mnie liczyć – zgodził się ze smutkiem.

– I jeszcze coś: może pan z tego wyjść poszkodowany, bo mam przeczucie, a zazwyczaj się nie mylę, że Muñiz de Dávila siedział w gównie aż po czubek głowy. Jeśli się wyda, że ja stoję za pańskimi działaniami, to mogę mieć poważne problemy. Zbyt długo pracuję, żeby teraz zostać bez emerytury. Oczywiście wiemy o tym tylko ja i pan, no i jeszcze ta lekarka sądowa, ale do niej mam pełne zaufanie. Tak więc gdy ktoś poza nami się o tym dowie, będę wiedział, że to pana sprawka. A jeśli tak się stanie, znajdę pana, zabiorę do lasu i zastrzelę. Zrozumiał pan?

– Zrozumiałem – powiedział, wierząc, że Nogueira mógłby dotrzymać słowa.

Funkcjonariusz spojrział na zegarek.

– Lekarka sądowa jest wielką profesjonalistką z wieloletnim doświadczeniem. Skończyła swoją zmianę o trzeciej, więc powinna już być w domu. Pewnie na nas czeka.

– Skąd mieliście pewność, że się zgodzę?

Nogueira nieznacznie wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

– Dziwne by było, gdyby pan tego nie zrobił, a także dosyć podejrzane –

dodał, patrząc na niego z ukosa. – Proszę zostawić tutaj swój samochód, pojedziemy moim. W tej gospodzie wynajmują pokoje, na razie może pan się tu zatrzymać. Będę potrzebował dostępu do kont bankowych i wyciągów z ostatnich działań pańskiego... krewnego; dobrze by było wiedzieć, czy miał długi. Jego ojciec, stary markiz, wypracował sobie reputację dzięki pochlebstwom wobec pożyczkodawców i ludzi z branży, chociaż wygląda na to, że w ostatnich latach podnieśli głowę. W każdym razie dobrze by było wiedzieć, kto dziedziczy, ale wyobrażam sobie, że jest jeszcze zbyt wcześnie. Może ten notariusz, który był z panem ostatnio, będzie mógł coś zdradzić, jeśli wykaże się pan zaradnością i dobrze to rozegra. Koniec końców Álvaro Muñiz de Dávila był pańskim... krewnym. Powinien pan jak najszybciej udać się do szpitala oraz do kwatery Gwardii Cywilnej i poprosić o jego rzeczy osobiste. Ofelia będzie musiała jeszcze raz sprawdzić jego ubranie, skontrolujemy także telefon komórkowy, więc proszę się upewnić, że jest w jego rzeczach. Nie byłoby źle, gdyby poprosił pan operatora sieci, z której korzystała ofiara, o wykaz połączeń. Proszę podać się za niego i zdobyć możliwie najwięcej informacji z ostatniego okresu, a jeśli będą utrudniać, niech pan zagrozi zwrotem ostatniej faktury.

– To nie będzie potrzebne – przerwał. – Mam dostęp do wszystkich naszych faktur przez Internet, mogę sprawdzić użytkowanie i szczegółowy spis wszystkich połączeń.

Nogueira popatrzył na niego życzliwie i nagle współczucie gwardzisty uraziło go bardziej niż powątpiewanie czy drwina. Spuścił wzrok i zaczerwienił się ze wstydu. Brakowało jeszcze tego, by dodał, że nie było między nimi sekretów. Pomyślał, że jest głupi.

Nogueira dalej wyliczał punkty ze swojej listy.

– Rachunki, mandaty, notatniki, rzeczy osobiste... Proszę zwrócić się też o zwrot samochodu, powinien być w depozycie kwatery, chciałbym rzucić na

niego okiem. I myślę, że na początek to wszystko. – Schował notes w ubraniu, po czym oparł się o krzesło, zapalając kolejnego papierosa.

Manuel pochylił się i położył ręce na stole.

– Dwie sprawy. Pierwsza: ja jestem spadkobiercą całego majątku Álvaro Muñiza de Dávili; notariusz odczytał nam wczoraj coś w rodzaju wstępnego testamentu, rachunki są uregulowane, a interesy właściwie mają się świetnie. Dzisiaj rano przekazałem notariuszowi, by zakomunikował rodzinie, że zrezygnuję z tego całego mienia, gdy tylko zostanie ujawniony testament, czyli za trzy miesiące.

Zaskoczony Nogueira uniósł brwi, a Manuel wiedział, że nie jest to u niego częsty gest.

– Cóż, więc takie zachowanie sytuuje pana jako głównego podejrzanego, a jednocześnie pana wyklucza... Przynajmniej na gruncie ekonomicznym. – Uśmiechnął się, zadowolony z własnego żartu.

Manuel spojrzał na niego twardo.

– I druga sprawa: Álvaro nie był moim kuzynem ani szwagrem, był mężem. Jeśli to słowo jest dla pana tak obraźliwe, że nie może panu przejść przez gardło, to proszę mówić na niego Álvaro, ale nie nazywać go więcej moim „krewnym” ani tym bardziej „ofiara”.

Nogueira rzucił niedopałek papierosa i wstał.

– W porządku – powiedział, patrząc smętnie na drugi talerz z mięsem, który pozostał na stole nietknięty, i ruszył do samochodu.

Chociaż bmw Nogueiry było starym modelem i lakier dawno wyblakł – nawet na dachu dało się dostrzec wyraźnie wypalone ślady, typowe dla zniszczenia wskutek wilgoci – to w środku wyglądało nieskazitelnie. Tapicerki były świeżo wyprane, a skóra na desce rozdzielczej niedawno czyszczona. Z kratki wentylacyjnej zwisał odświeżacz powietrza. Porucznik Nogueira należał do tych nielicznych nałogowców, którzy nie ulegli

nawykowi palenia w aucie. Prowadził w milczeniu, podczas gdy Manuel żałował, że nawet nie włączył radia, żeby ukryć panującą między nimi napiętą ciszę, która w małej przestrzeni wzmacniała oddechy obydwu, jeszcze bardziej uwidaczniając, jak paradoksalna jest tutaj jego obecność.

Droga składała się z ciągu skrętów i zmian nachylenia, a Nogueira utrzymywał prędkość na granicy przepisów. Wszedł w zakręt, znacząco zwalniając, i wyjął papierosa, którego nie zapalił, tylko trzymał w kąciku ust, aż kilka kilometrów dalej zatrzymał samochód naprzeciwko bramy jakiegoś domu. Przywitały ich cztery szczekające psy różnej wielkości i innego umaszczenia. Nogueira wysiadł z pojazdu, zapalił papierosa, włożył rękę przez bramę, odsunął rygiel i ruszył, odganiając się od bezowocnych prób ze strony psów, które chciały się z nim przywitać i które znalazły sobie nowy obiekt zainteresowania, kiedy zauważyły Manuela.

Z domu wyszła kobieta około pięćdziesiątki, poważna, szczupła, z krótkimi włosami, które nie sięgały nawet do ramion i były odgarnięte z twarzy za pomocą materiałowej opaski. Zganiła psy, przywitała się z Nogueirą dwoma buziakami i kiedy prowadziła ich do środka, wyciągnęła do Manuela silną rękę, wolną od pierścionków czy bransoletek, uśmiechając się przy tym tak, że natychmiast ją polubił.

– Jestem Ofelia – powiedziała, ograniczając prezentację do imienia, bez zajmowanego stanowiska, zawodu ani nazwiska.

Czekała na nich, tak jak zapowiedział Nogueira. Z kuchni płynął zapach obiadu, który z pewnością właśnie zjadła, ale na stole w salonie rozłożyła biały obrus, trzy filiżanki kawy, wspaniale wyglądające ciasteczka i butelkę muscatu, który zaproponowała im w małych kieliszkach.

– Cieszę się, że postanowił pan mnie wysłuchać, nie byliśmy pewni, jak pan zareaguje.

Manuel skinął apatycznie.

– Jak się państwo domyślają, nigdy nie sądziłem, że będę musiał reagować na taką wiadomość jak ta. Mam nadzieję, że rozumieją państwo, że jest zbyt... zbyt... – powtórzył, nie mogąc znaleźć właściwego słowa.

– Rozumiemy doskonale – powiedziała kobieta, stawiając filiżankę na spodku. – Przypuszczam, że porucznik Nogueira powiadomił pana o konsekwencjach, które ta sprawa może mieć dla nas obojga, jeśli się wyda, że ujawniliśmy panu informacje związane ze śledztwem... czy jak tam to nazwać.

Manuel przytaknął.

– Mają państwo moje słowo, że nikt się o tym nie dowie – powiedział, pamiętając ostrzeżenie Nogueiry, który odkaslnął, wbijając w niego wzrok.

– Miałam dyżur w nocy z soboty na niedzielę. O pierwszej czterdzieści pięć dostałam powiadomienie z Gwardii Cywilnej; wypadek drogowy. Na miejsce pojechał ambulans, ale nie mogli już nic zrobić. Dojazd tam zajął mi dwadzieścia minut. – Westchnęła, po czym mówiła dalej: – To, co panu opowiem, może być bardzo bolesne. Jeśli nie będzie pan mógł tego znieść, proszę powiedzieć, a ja przerwę.

Manuel skinął powoli.

– Samochód wypadł z drogi, nie było śladów hamowania ani na asfalcie, ani na trawie. Jechał jakieś pięćdziesiąt metrów po pastwisku i zatrzymał się na murku granicznym. Pański mąż był martwy, miał ranę na brwi, prawdopodobnie spowodowaną uderzeniem o kierownicę w momencie zderzenia z przeszkodą. I zarówno pozycja samochodu, jak i niewielkie zniszczenia muru, a także fakt, że poduszka powietrzna się nie otworzyła – to wszystko kazało nam myśleć, że był nieprzytomny, kiedy samochód wypadł z drogi i przestał przyspieszać. Moją uwagę zwróciło to, że rana na brwi prawie nie krwawiła, a takie obrażenia zazwyczaj wyglądają paskudnie. Zauważyłam, że jest blady, poszukałam więc innych ran i wyczułam, że

okolica jamy brzusznej jest spuchnięta w sposób wskazujący na krwotok wewnętrzny. Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnej rany, ale kiedy ułożyliśmy go na noszach, znalazłam małe nacięcie na koszuli, które pasowało do rozcięcia na ciele, szerokiego na dwa centymetry i głębokiego na ponad piętnaście. Moim zdaniem jednak ta rana nie miała związku z okolicznościami wypadku, a w pojeździe nie znalazłam niczego, co mogłoby ją spowodować. Przy wypadkach samochodowych, w których przyczyna śmierci jest jasna, nie wykonuje się autopsji; stwierdzam zgon i na tym koniec. Powodem, dla którego poprosiłam, żeby ciało pańskiego męża zostało przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej, były podejrzenia oparte na tym, że to śmierć mogła być przyczyną tego, że wypadł z drogi, a nie odwrotnie. Kiedy znaleźliśmy jego dokumenty i zobaczyliśmy, że to Muñiz de Dávila, wiedziałam już, że wieść o tym rozleje się niczym plaga. Przewieźliśmy go, a kiedy miałam zamiar zacząć autopsję, otrzymałam polecenie, by ją anulować. Rozeszła się informacja o tożsamości zmarłego i poradzono mi, żeby jeszcze bardziej nie niepokoić rodziny, kiedy było ewidentne, że śmierć nastąpiła przypadkiem. Oczywiście zaprotestowałam, ale powiedzieli mi, że „prośba” pochodzi z góry i nie podlega dyskusji.

– Kazali pani zatrzymać autopsję? – zapytał z niedowierzaniem Manuel.

Lekarka gorzko się uśmiechnęła.

– Tutaj wszystko robi się w subtelniejszy sposób, polecili mi zaoszczędzić rodzinie cierpienia.

– Wbrew jej opinii – zaznaczył Nogueira.

– Tak jest – potwierdziła kobieta.

– Od kogo pochodziło to polecenie? Czy przypadkiem nie od rodziny? – zapytał Manuel.

– Nie sędzę – wtrącił Nogueira – ale też nie byłoby to konieczne. To właśnie próbowałem panu wytłumaczyć wcześniej. Rodzina Muñizów de

Dávilów od wieków rządzi na tej ziemi, najpierw, jak sądzę, jako panowie feudalni, a później jako właściciele ziemscy, i to w miejscu, w którym warunki do życia nigdy nie były dla ludzi łatwe, nie licząc ich samych... Musi pan zrozumieć, że istnieje tu coś w rodzaju absurdalnego szacunku wobec tego, kim są i co reprezentują, i nad skandalami, nadużyciami, rozpasaniem, nawet drobnymi przestępstwami tych rodzin przez całe wieki przechodzono do porządku dziennego; było to coś w rodzaju milczącego przyzwolenia i wiązało się ze wszystkimi ich przywilejami.

Manuel stopniowo wypuszczał z płuc całe powietrze, splatając dłonie i starając się myśleć.

– Pani doktor, czy uważa pani, że Álvaro został zamordowany?

– Jestem o tym przekonana. Takiej rany nie mógł zrobić sobie sam, został pchnięty długim i wąskim przedmiotem, jak sztylet albo okazały szpikulec. Miał jeszcze siły, żeby wsiąść do samochodu, ale szybko się wykrwawił, doznał wewnętrznego krwotoku, więc nie było widać krwi, z wyjątkiem rany nad okiem. Stracił przytomność i dlatego wypadł z drogi. Nie wiem, dokąd się kierował, być może w jakimś momencie zdał sobie sprawę z tego, jak poważna jest rana, i szukał pomocy. Najbliższy szpital znajduje się jakieś pięćdziesiąt kilometrów w kierunku, w którym jechał, ale może tylko uciekał przed napastnikiem. Nie wiemy, gdzie doszło do ataku ani ile czasu prowadził, zanim stracił przytomność.

Manuel zakrył twarz dłońmi. Czuł, że gorączka, która w ostatnich dniach przychodziła i odchodziła, na nowo rośnie w jego głowie, więc zimne dłonie na oczach przyniosły mu tymczasową ulgę. Siedział tak, aż poczuł na kolanie małą, silną rękę lekarki. Odstłonił twarz, by na nią popatrzeć, a w jej stanowczym spojrzeniu chyba znalazł nadzieję.

– Bardzo cierpiał? To znaczy... Tak głęboka rana wydaje się... okropna. Jak mógł potem prowadzić?

– To tylko ukłucie, chwila intensywnego bólu, który ustaje niemal natychmiast. Tego rodzaju rany, choć prawie zawsze śmiertelne, niekoniecznie bywają bardzo bolesne. Jedną z ich cech jest to, że ranny zazwyczaj nie jest świadomy, że to, co się dzieje, jest bardzo poważne, dopóki nie dopada go osłabienie związane z krwotokiem wewnętrznym, ale wtedy jest już za późno. Z takich ran nie ma tyle krwi, co z nacięć zewnętrznych, ciało w sposób naturalny dąży do zamknięcia obrażenia i ślad zewnętrzny jest tylko niewiele większy od ukłucia insekta. Ból odczuwany w pierwszej chwili przechodzi po wyjęciu szpikulca i zostaje tylko znośna dolegliwość. Istnieje wiele udokumentowanych przypadków, ponieważ jest to typowy uraz w więzieniach, gdzie broń można stworzyć z codziennych przedmiotów, wystarczy tylko je zaostrzyć, żeby otrzymać szpikulec. W trakcie bójki ktoś może zostać ukłuty i kilka godzin później umrzeć w celi, nie zdając sobie sprawy z tego, jak poważna jest to rana. Nic dziwnego, że większości osób to umyka, ale porucznik Nogueira zobaczył to, co ja, i potraktował jako śledztwo w sprawie zabójstwa, aż otrzymał takie samo polecenie, by sobie odpuścić. Kiedy dowiedzieliśmy się o pańskim istnieniu, pomyśleliśmy, że może zechce pan poznać prawdę.

– Myśli pani, że powód, dla którego „polecono” zatrzymać autopsję, był w gruncie rzeczy próbą utrudnienia zbadania tego, co mogło być zabójstwem?

Kobieta popatrzyła na niego protekcjonalnie i przez kilka chwil siedziała w milczeniu, po czym odparła:

– Szczerze mówiąc, nie sędzę. Ale w jakiś sposób jesteśmy ofiarami kacykostwa, które w naszej społeczności i w naszych zwyczajach jest zakorzenione bardziej, niż byśmy chcieli. To wirus, z powodu którego godzimy się na to, że niektóre rzeczy muszą pozostać takie, jakimi były zawsze. Tak samo jak dzieci burmistrzów nigdy nie dostają mandatów za

przekroczenie prędkości, a przejawy obywatelskiego nieposłuszeństwa ze strony polityków czy aktywistów społecznych, które każdego innego człowieka kosztowałyby zatrzymanie, u nich są tolerowane. Ktoś rozpoznał nazwisko i postanowił wyeliminować jakiegokolwiek podejrzenia mogące położyć się cieniem na dobrym imieniu rodziny.

Nie kryjąc zdumienia, Manuel zapytał:

– Mimo że to oznacza bezkarność dla zabójcy?

– Nie posunęliby się tak daleko, gdyby było to ewidentne, ale jak już panu powiedziałam, trudno tu znaleźć ślady przemocy. Álvaro miał na sobie czarną koszulę, na materiale nacięcie było niewidoczne i brakowało śladów krwotoku zewnętrznego, który wskazywałby na ranę. Delikatna opuchlizna na brzuchu, która kazała mi powziąć przypuszczenie o ewentualnym krwotoku wewnętrznym, była niedostrzegalna dla laika, nie było też śladów świadczących o walce albo obronie, a poza tym wypadł z prostej drogi... Porucznik Nogueira także zauważył coś dziwnego, ale dla kogoś mniej doświadczonego sprawa była prosta: kierowca, który zasnął za kierownicą, lekko pachniał alkoholem, więc nie da się uniknąć podejrzeń, że wypił za dużo. To skandal, którego w tym kraju oszczędza się takim rodzinom jak ta pańskiego męża. Kiedy miałam zacząć autopsję, krążyła już oficjalna wersja mówiąca o wypadku, a niewiele jest rzeczy trudniejszych do zatrzymania niż mechanizm systemu, który zaczął już działać.

– Jeszcze tylko jedna rzecz: dlaczego państwo to robią? Ja wiem, że to jest właściwe i tak dalej, ale sama pani przyznaje, że może przysporzyć pani dużo problemów, a mimo to...

Odpowiedziała natychmiast:

– Wiem, że zabrzmie stereotypowo, kiedy powiem, że taki mam obowiązek, bo to moja praca, ale tak właśnie jest. Zawsze kiedy mam na stole ofiarę, czuję, że zobowiązuję się do czegoś, że jeśli nie ja, to nikt inny tego

nie robi.

Lekarka miała rację, jak na stereotyp było to bardzo wiarygodne. Manuel skinął głową i dostrzegł, że Nogueira z niezadowoleniem mlasnął językiem. Ale co w takim razie powodowało tym facetem, jeśli nie było to zobowiązanie wobec ofiary ani wypełnianie służbowych obowiązków? Jeszcze tego nie wiedział, ale powód musiał być ważny, skoro gwardzista potrafił schować do kieszeni odrazę żywioną do klas wyższych, homofobię i ten rodzaj samowoli, która kazała mu kwestionować ustalone racje. Manuel miał nadzieję, że powód był tylko ważny, a nie też podejrzany.

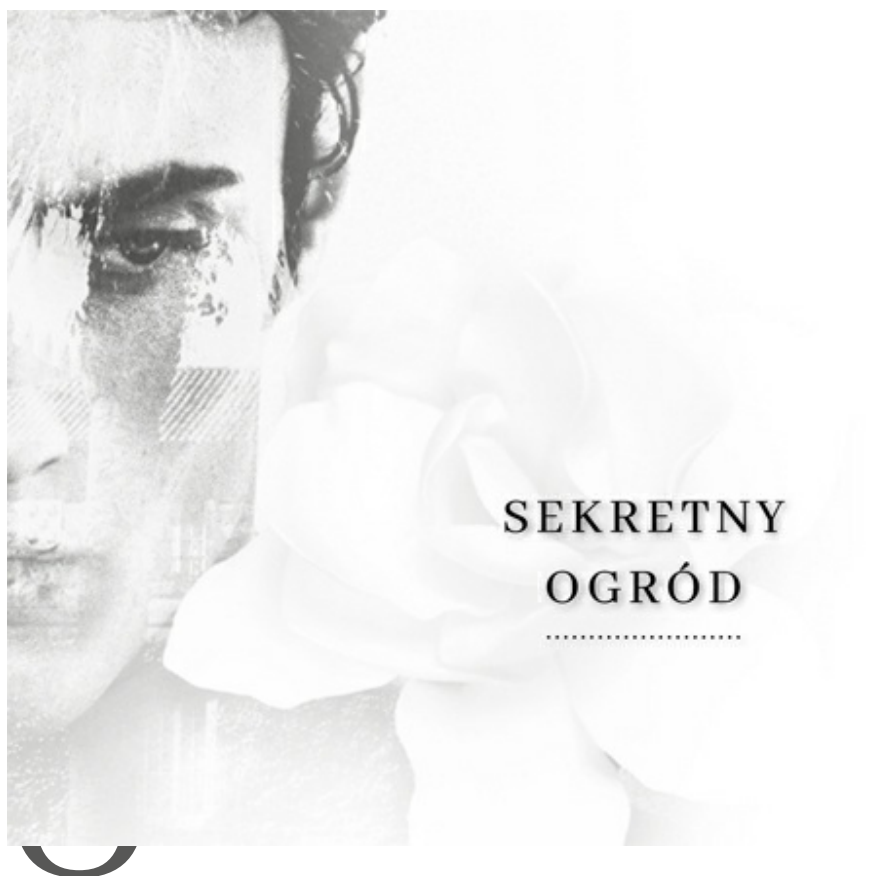
– Nic więcej? – zapytał.

Kobieta skinęła głową.

– I nie lubię, kiedy ktoś miesza mi się do pracy albo podważa mój autorytet. Decyzja o tym, czy trzeba wykonać autopsję, czy nie, z jednej strony jest kwestią procedury postępowania, ale gdy ofiara trafia na stół, to już moja sprawa. Nie znoszę, gdy ktoś się wtrąca – powiedziała, patrząc na Nogueirę, który tym razem przytaknął jej słowom.

Ofelia dołała kawy, którą wypili niemal w całkowitej ciszy; powiedzieli już to, co mieli powiedzieć, i spotkanie zaczynało być kłopotliwe dla tych osób, które ledwie się znały i trafiły tutaj z powodu zaistniałych okoliczności. Manuel uściskał dłoń lekarki, ponownie dziękując jej za współpracę, i ruszył do samochodu, obserwowany przez psy, które – zmęczone popołudniowym słońcem – leżały na werandzie i wyglądały tak, jakby straciły całe zainteresowanie okazywane, kiedy przyjechał. Przy wejściu do domu Nogueira pożegnał się z kobietą szybkim buziakiem w usta i delikatnym klapssem w tyłek. Ona się uśmiechnęła i zamknęła drzwi. Manuel zastanawiał się, czy te czułe gesty między nimi mogły być jednym z powodów, które zaważyły na decyzji lekarki... Wywnioskował, że tak, przynajmniej częściowo. Natomiast nadal nie wiedział, co powodowało porucznikiem. Coś

jednak kazało mu myśleć, że nie jest to nic dobrego.



budził się bardzo wcześnie. Telewizor był włączony. Poprzedniej nocy po dwóch próbach pogodził się z tym, że nie zaśnie w ciszy, obcej temu hostelowi, który aktywował w jego umyśle kakofonię odgłosów odbytych i niedokończonych rozmów oraz nieustającego płaczu sześciolatniego dziecka. Ściszył dźwięk telewizora na tyle, by był akceptowalny, zostawiając go w tle niczym pępowinę, która szybko przywróciłaby go do rzeczywistości, gdyby ból przybył we śnie. W ciągu ostatnich godzin ciężar zdania wypowiedzianego przez Eastwooda został zastąpiony jakimś mentalnym zleceniem, które nadawało sens jego obecności w tym miejscu. Pięć godzin spokoju i odpoczynku przełożone na głęboki i pusty sen, z którego na szczęście nic nie zapamiętał. Wziął prysznic, ogolił się i włożył ostatnią czystą koszulę, wyglądającą równie żałośnie jak ta z poprzedniego dnia, ale całkiem znośną w połączeniu z marynarką. Ostatni raz rzucił okiem na listę

przygotowaną przed zaśnięciem, złożył kartkę na pół razem z fakturą za telefon Álvaro, którą właściciel hostelu pozwolił mu wydrukować ze swojego komputera, i wkładając je do kieszeni marynarki, wyczuł obecność delikatnej, zwiędniętej gardenii, którą zabrał z As Grileiras. Zostawił kwiat na stoliku, ale w ostatniej chwili, zanim zamknął za sobą drzwi, wrócił i wrzucił go do szuflady.

Zobaczył audi Griñána stojące przy wjeździe do As Grileiras. Chciał zatrzymać samochód tuż obok, ale notariusz wyciągnął rękę przez okno i pokazał, żeby jechał za nim. Zaparkowali przy głównej drodze, równoległej do żywopłotu okalającego dom.

Mężczyzna wysiadł z pojazdu i pospieszył, by otworzyć drzwi Manuelowi. Na twarzy malował mu się uśmiech zadowolenia i chociaż poprzedniego wieczoru – kiedy Manuel przekazał mu przez telefon, że postanowił zostać na kilka dni i chce jeszcze raz przyjechać do As Grileiras – nie powiedział wiele, ograniczając się do wyznaczenia godziny spotkania, to Manuel niemal widział jego szeroki uśmiech po drugiej stronie aparatu. Nie cierpiał być przewidywalny, a przede wszystkim nie cierpiał na takiego wyglądać, mimo to tym razem rozumiał, że przepowiednie Griñána być może zapewniały mu niezłe alibi, gdy będzie robił to, co ma zrobić, by jak najszybciej wszystko zakończyć.

– Tak więc ostatecznie postanowił pan zostać? – W jego tonie dało się wyczuć satysfakcję ze spełnionej przepowiedni.

– To za dużo powiedziane, ale jestem ciekaw miejsca, w którym Álvaro spędził dzieciństwo.

Griñán cały czas się w niego wpatrywał, więc chcąc uciec od jego spojrzenia, Manuel ruszył w stronę ścieżki.

– Tylko tyle?

– I być może uda mi się trochę lepiej poznać jego rodzinę...

– Och, obawiam się, że to będzie znacznie trudniejsze – ubolewał notariusz. – Santiago i Catarina wyjechali dzisiaj rano, a pani markiza niedomaga od czasu pogrzebu.

Manuel przypomniał ją sobie, jak opuszczała cmentarz pod rękę ze swoją synową, wyprostowana, jakby wcale jej nie potrzebowała, i szła w stronę domu, nawet na niego nie spojrzawszy. Jego niedowierzanie musiało być widoczne, ponieważ Griñán pospieszył z wyjaśnieniem.

– Wczoraj, kiedy powiedział mi pan o zamiarze odwiedzenia ich, zadzwoniłem do pazo, żeby pana zapowiedzieć; mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe. Zrobiłem to po to, by uniknąć przypadkowego spotkania, które mogłoby się okazać trudne dla obu stron. Pan markiz poprosił mnie, bym przekazał panu pozdrowienia i wytłumaczył jego nieobecność, ale dzisiejsze zobowiązanie miał w planach już od dłuższego czasu.

Tak więc uczynny Griñán ze swoimi pochlebstwami wybrał już osobę, której ma służyć. Nie tracił czasu ani okazji, żeby być przydatnym nowemu panu, który w ciągu zaledwie kilku godzin ze zwykłego Santiaga stał się panem markizem i którego akurat dzisiaj nie ma w domu. A najgorsze było to, że Manuel nie miał notariuszowi nic do zarzucenia: kiedy zadzwonił do niego wczoraj wieczorem, nie prosił o spotkanie z rodziną, tylko o obejrzenie As Grileiras, które miał przed sobą.

Ścieżka obok domu dla służby prowadziła na placyk w kształcie podkowy, gdzie była stajnia, do której wchodziło się przez kamienny portyk. Dwaj mężczyźni sprawdzali tylne kopyta pięknego konia o błyszczącym umaszczeniu.

– To weterynarz – wyjaśnił Griñán. – Ostatni koń kupiony przez Santiaga od samego początku przysparza problemów.

– Zły zakup? – zasugerował Manuel.

Na twarzy Griñána pojawił się grymas. Mężczyzna poruszył lekko głową,

jakby wahał się między zgodą a powątpiewaniem, ale nie odpowiedział.

– Człowiek obok niego to Damián, stróż, ale zajmuje się wszystkim po trochu: stajnią, ogrodem, drobnymi naprawami i konserwacją, a wieczorem zamyka dojścia do rezydencji i otwiera je rano, żeby na teren posesji mogli się dostać pracownicy zewnątrz. Mieszka tutaj z Herminią, swoją żoną, która jest gosposią i kucharką. Wychowywała wszystkich chłopców, kiedy byli mali, i nadal zajmuje się domem.

– Ile osób tu pracuje?

– Cóż, to zależy, w jakim momencie. Stróże, którzy mieszkają w domu dla służby, i Estela, pielęgniarka pani markizowej. Chociaż widział pan seniorkę w dobrym stanie, cierpi na artretyzm, który czasami przykuwa ją do łóżka na długie tygodnie, a pielęgniarka jest wystarczająco silna, żeby nosić ją na rękach. Z oczywistych powodów ma swój pokój w pomieszczeniach należących do pani markizy. A dalej są jeszcze: Sarita, która przychodzi codziennie i pomaga Herminii w pracach domowych, Vicente, który pracuje z Catariną przy gardeniach, i Alfredo, ktoś w rodzaju brygadzysty. Musiał pan go widzieć wczoraj na cmentarzu, jest też grabarzem, ale przede wszystkim zajmuje się zatrudnianiem pracowników do orki, prac w ogrodzie, przycinania drzew... Jest też mężczyzna, który przychodzi od czasu do czasu, żeby zebrać owoce, a także pasterz zajmujący się krowami. W normalny dzień może tu być od ośmiu do dziesięciu osób wykonujących różne prace. Zbiera się kasztany, ziemniaki, jabłka, oliwki. Tego typu rezydencje zostały obmyślane w taki sposób, żeby były całkowicie samowystarczalne. Już pan widział, że mają tu własny kościół i cmentarz, jak w małym, niezależnym miasteczku. As Grileiras ma swoje studnie, ziemię pod uprawy, krowy, świnie i owce w gospodarstwie oddalonym o dwa kilometry, młyn wodny, a nawet własną tłocznnię oliwy.

Zauważył, że weterynarz i stróż wyprostowali się i przerwali rozmowę,

kiedy zobaczyli, że Griñán i Manuel nadchodzą.

Griñán przedstawił go, podając tylko imię, bez żadnego wyjaśnienia, które usprawiedliwiłoby jego obecność w tym miejscu.

Weterynarz mocno uściskał jego dłoń, po nim słabiej i drżącą ręką zrobił to Damián, który oprócz tego zdjął czapkę angielską i ścisnął ją między palcami, chudymi i wysuszonymi jak pędy winorośli. Kiedy się oddalali, czuł jeszcze na plecach wilgotny wzrok stróża.

– Nie wydają się bardzo zaskoczeni pańską obecnością – zauważył Manuel.

– W kancelarii mamy księgowego, który zajmuje się szczegółami dotyczącymi funkcjonowania pazo i codzienną działalnością. Moje kompetencje jako notariusza są bardziej ogólne i nie obligują mnie do tylu rzeczy, ale od czasu do czasu lubię tu przyjeżdżać. Uwielbiam to miejsce.

Spacerowali w milczeniu po trzeszczącej żwirowej nawierzchni, która wiodła pośród drzew do kościoła. Kiedy dotarli na plac, Griñán się zatrzymał, pomyślał chwilę i wskazał w stronę cmentarza.

– Może chce pan... – zaczął, nie kończąc zdania.

– Nie – odparł Manuel, nawet nie patrząc w tamtym kierunku.

Minęli zamknięte wrota kościoła i Griñán wyjaśnił:

– Drzwi zawsze są zamknięte. To rodowa tradycja, że każdy z męskich członków rodziny pilnuje klucza, który zostaje mu podarowany w dniu narodzin. Choć w rzeczywistości służy on do otwierania i zamykania drzwi świątyni, to przede wszystkim jest interesującym klejnotem, częścią tradycji sięgającej czasów, kiedy członkowie tej rodziny byli ważnymi obrońcami Kościoła: pochodzą od bardzo potężnego w owym czasie zakonnika. Kiedy chcą wejść do świątyni, każdy z nich musi użyć własnego klucza. Jeśli odprawiane jest nabożeństwo, otwieranie i zamykanie kościoła jest zadaniem któregoś z męskich przedstawicieli rodu. Mimo to niedawno, przez

nieuwagę, z ołtarza zniknęły dwa kandelabry z antycznego srebra. Santiago poruszył niebo i ziemię, żeby znaleźć podobne. Teraz ten kościół niestety otwiera się tylko na tak smutne okazje jak... no cóż... – znów nie dokończył.

Po lewej stronie świątyni ścieżka się nachylała, kreśląc opadający wąski zakręt. Griñán został w tyle, przeklinając swoje nieodpowiednie obuwie. Manuel wykorzystał to, żeby wysunąć się naprzód, niedużo, zaledwie kilka metrów, które pozwoliły mu uwolnić się od wpływu notariusza nieodstępującego go na krok, odkąd tutaj przyjechali. Wywoływało to w nim poczucie, że jest nieustannie pilnowany, niczym konwojowany więzień albo gość, do którego nie ma się pełnego zaufania. Za plecami usłyszał zasapany głos.

– As Grileiras nie zawsze się tak nazywało. W siedemnastym wieku było znane jako pazo Święta Klara i należało do bogatego przeora, przodka rodziny, który otrzymał przywileje królewskie. Przed śmiercią zapisał je swojemu jedynemu bratankowi, markizowi Santo Tomé, a ten ustanowił tutaj swoją zimową siedzibę i nazwał ją As Grileiras, przez co, jak przypuszczam, przeor przewraca się w grobie; wspominałem chyba, że nazwa wywodzi się z folkloru.

Kiedy skończył się stromy odcinek, Manuel odkrył starą szkółkę leśną z kamiennymi posągami ustawionymi na schodach, żeby czerpały ze słońca jak najwięcej światła i ciepła. Dalej rozciągała się równina, na której ktoś zaprojektował ogród o prostych liniach; zostało w nim niewiele róż i zaczynały królować chryzantemy o wielkich, rozpostartych kwiatach, tworzących fioletowe, różowe i purpurowe pompony, niepozbawione jednak blasku, ponieważ przywiązano je do pali, które trzymały rośliny wyprostowane i ściśnięte między sobą. Nie czekając na notariusza, postanowił iść drogą gruntową, gdzie niczym w tunelu roślinność stworzyła dach, nadając ścieżce na poły tajemniczego, a na poły bezpiecznego

charakteru. Droga prowadziła do małego, ujarzmionego przez człowieka lasu, a dalej dookoła okrągłego stawu, w którym ledwie dostrzegało się wodę między liśćmi nenufaru, niemal całkowicie zakrywającymi jego powierzchnię.

Żwir, którym wysypano drogę oraz alejki między idealnie utrzymanym ogrodem złocieni, zanikał na piaszczystej warstwie amortyzującej odgłos kroków, mokrej w tych miejscach, gdzie roślinność otwierała się na tyle, by przepuścić deszcz. Pnącza, które wyściełały podłoże, groziły wtargnięciem na drogę, jakby niedbale to zaplanowały, co Manuelowi wydało się urocze.

Nieświadomie zwolnił kroku, prawie się zatrzymując, żeby posłuchać szeptu wiatru, i podniósł wzrok, by poszukać wierzchołków wysokich koron eukaliptusów, które przeplatając się z figowcami, kasztanowcami, dębami oraz niższymi paprociami drzewiastymi, sprawiały, że niebo było ledwie dostrzegalne. Teren cały czas się obniżał i w wielu miejscach Manuel widział kamienne schodki, pociemniałe z powodu wilgoci i zaanektowane przez porosty. Źródła wytryskiwały ze zboczy z żelaznych rur, które wystawały z pulchnych twarzy aniołków albo z paszcz ślepych gargulców. Odruchowo wspiał się po jednym z takich wąskich odcinków i przeszedł zacienioną ścieżką, która pachniała ziemią i kreśliła zakręt, uniemożliwiając mu dostrzeżenie tego, co znajduje się dalej. Dróżka kończyła się w miejscu, w którym niebo otwierało się na tyle, by rzucić wrześnie światło na spokojną i zieloną lagunę, w której błyszcząły setki malutkich kamieni, chwytając słoneczny blask i nadając powierzchni srebrzystą barwę. Stare, zmęczone drzewa nachylały się tu i tam dookoła, a gdzieniegdzie gałęzie prawie dotykały wody. Manuel z trudem poruszał się między grubymi korzeniami, które wydstały się na powierzchnię, przechylając tym samym stare kamienne ławki, otaczające w przeszłości lagunę, a teraz tworzące powykrzywiane i opuszczone mauzoleum. Poruszony pięknem tego miejsca,

zawrócił w poszukiwaniu notariusza, który z trudem za nim nadążał.

– To miejsce jest... niesamowite.

– Atlantycki ogród z wpływami angielskimi. Na przestrzeni wieków nad jego upiększeniem pracowało przynajmniej dziesięcioro architektów krajobrazu. – Sapiąc, popatrzył ze wstrętem na ławkę pokrytą porostem, ale ostatecznie na niej usiadł. – I pomyśleć, że moja żona martwi się pańskim sercem... Lepiej by było, gdyby przejmowała się moim.

Manuel nawet na niego nie spojrział. Zafascynowany milczącą siłą ogrodu, rozglądał się we wszystkie strony. Jak to możliwe, że takie miejsce istnieje na terenie posiadłości? Że to jest czyjś ogród? Złapał się na tym, że myślał o szczęściu, jakie miał Álvaro, spędzając tutaj najmłodsze lata, i myśl o dzieciństwie męża od razu przywołała mu jego własne wspomnienia.

Cisza panująca w domu starej ciotki jego matki, która przygarnęła ich, kiedy rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Manie starej kobiety, która z trudem tolerowała w domu obecność dzieci. Zapach gotowanych warzyw, sprawiający wrażenie, jakby z biegiem lat przeniknął ściany pokoi, aż stał się ich częścią. Prowadzone szeptem rozmowy na balkonie, w jedynym miejscu, gdzie siostra i on mogli swobodnie zamienić kilka słów. I letnie zachody słońca w Madrycie, które były niczym więcej jak czerwonym światłem odbitym od budynku naprzeciwko, a które wydawały im się takie piękne.

Stuletni figowiec dominował na pierwszym planie przed laguną. Jego liście w dwóch odcieniach błyszcząły, tworząc swoistą kaskadę, a żylaste, twarde korzenie nadawały mu majestatycznego wyglądu, jakby był posłuszny własnym pragnieniom, a nie ręce człowieka, który znalazł się tutaj i mógł, gdyby tylko miał na to ochotę, opuścić to miejsce w każdej chwili.

Zachwyciła go majestatyczność drzewa i podszedł bliżej, by dotknąć jego kory, cienkiej i ciepłej niczym skóra zwierzęcia. Odwrócił się znowu

w stronę Griñána, zapewne nawet go nie widząc, i uśmiechnął się, po czym zdał sobie sprawę, że zrobił to po raz pierwszy od wielu dni. Spojrzał na ścieżkę, która prowadziła dalej i pozwalała dostrzec młyn wodny. Udał się tam, niemal powstrzymując ochotę, by pobiec. Zszedł po schodkach pilnowanych przez dwa lwy z piaskowca, które z powodu upływu czasu były zaokrąglone jak na rysunkach małego dziecka, i okrążył budynek pokryty starą dachówką, kierując się szumem wody przepływającej przez koło. Paprocie dotykały jedne drugich i rozciągały się na zbocze, gdzie roślinność robiła się coraz gęstsza. Na każdym zakręcie ścieżka przechodziła w kolejne alejki, które niczym w labiryncie kazały mu wracać po własnych śladach, ale tylko po to, by odkrywać nowe zakątki, nowe źródła, kolejne widoki. Uśmiechał się oczarowany, na każdym kroku podziwiając celowy nieporządek, z jakim zaprojektowano ogród, spokojne i chaotyczne piękno, ujarzmioną dzikość lasu. Pomyślał, jak szczęśliwe byłoby jego dzieciństwo w takim miejscu... I nagle zakątki i zakręty przestały należeć do teraźniejszości, a stały się częścią jego wspomnień. Dotknął wody wypływającej z amfory anioła i niemal mógł usłyszeć wymieszany z szumem strumienia śmiech swojej siostry, rozpryskującej lodowate krople, które spadały na nią jak błyszczące kryształki naszyjnika. Wyobrażał sobie zabawy, bieganie, krzyki, kryjówki i zasadzki, do których zachęcał krajobraz. Szedł dalej, odwracając się na każdym zakręcie i wiedząc, że jeśli zrobi to ułamek sekundy wcześniej, zobaczy, jak chowa się między paprociami, pokładając się ze śmiechu, z grzywką przyklepioną do spoconego czoła. Zamknął oczy, żeby zatrzymać ten obrazek i odgłos jej śmiechu, który docierał do niego tak wyraźnie, jakby stała tuż obok. Ruszył dalej, nie przestając się uśmiechać, zbierając ślady swojej siostry, ślady własne oraz te, które zostawili w powietrzu podczas zabawy. Marzył, by mieć takie dzieciństwo, i robił to bez żadnego rozgoryczenia ani rozżalenia; czuł raczej

melancholię, tęsknotę za czymś, czego nie było i już nie mogło być, ale co byłoby takie piękne.

Zorientował się, że nogi przywiodły go na powrót do stawu z nenufarami. Usiadł, aby zaczekać na Griñána, i pomyślał, że to pierwszy raz od śmierci siostry, kiedy był w stanie myśleć o niej bez bólu, przypomnieć ją sobie z czasów szczęśliwego, choć przecież wymyślonego dzieciństwa, i stwierdził wtedy, że koniec końców tym właśnie jest wiara. Z całego serca zapragnął, żeby istniało dla niej niebo, dla nich dwojga, oraz żeby to w tym ogrodzie, w raj, mogli się spotkać pewnego dnia i bez żadnych zmartwień bawić się jak w dzikim zakątku edenu.

Usłyszał Griñána, zanim go zobaczył. Szedł, sapiąc, a na przedramieniu niósł złożoną starannie na pół marynarkę.

– Dobrze się pan czuje? Myślałem, że się pan zgubił.

– Potrzebowałem побыć sam, ale czuję się dobrze – odpowiedział Manuel, a kiedy to mówił, wiedział, że nie kłamał.

Griñán skinął głową i wybełkotał coś niezrozumiałego.

Manuel zrobił miejsce na ławce, żeby notariusz usiadł obok niego, i wyrozumiale zaczął czekać kilka minut, aż mężczyzna złapał oddech, po czym znowu wstał.

– W lewo – wskazał stanowczo Griñán, żeby Manuel znowu mu się nie zgubił. – Do szklarni.

Konstrukcję otaczały dziesiątki imponujących krzewów różnej wielkości. Przyczepione do gałązek albo wbite ostrymi szpikulcami u podnóża, tabliczki informowały o gatunku, wieku i odmianie każdej z roślin. Na niektórych można było dostrzec kwiaty w różnych stadiach, od grubych i ciemnych pączków, niczym zielone żołędzie, aż do idealnych gardenii o jasnych płatkach, otwartych tak, że niemal wywracały się na drugą stronę. Z jakiegoś powodu, zapewne pod wpływem brytyjskich inspiracji w ogrodzie, Manuel

spodziewał się szklarni z drewna, z arkadami, może nawet konstrukcji na planie pięciokąta. Jednakże budowla, która z jednej strony opierała się o zbocze wzgórza, była wykonana z szarego kamienia z Galicji, z charakterystyczną błyszczącą warstwą, w niektórych miejscach ciemniejszą. Ramy, w których umocowano szkło, miały biały kolor; dwuspadowy dach też był ze szkła. Nie dało się jednak zobaczyć wnętrza: do wysokości oczu szkło było pokryte błotem i kurzem.

– Stary markiz kazał ją zbudować dla Catariny jako prezent ślubny, kiedy Santiago i ona się pobrali i wprowadziła się do pazo. Słyszał, jak mówiła, że będzie tęsknić za szklarnią, którą miała w domu swoich rodziców, więc postawił tę, dziesięć razy większą i nowocześniejszą. Ma system nawadniający zamontowany na suficie, ogrzewanie, muzykę. Taki właśnie był markiz, wszystko w wielkim stylu.

Manuel nic nie powiedział. Faraońska rozrzutność nie robiła na nim wrażenia, ludzie posiadający władzę często mają tendencję do trwonienia pieniędzy i do przesady, a on miał już dosyć przyglądania się temu. Musiał jednak przyznać, że ogród rezydencji zdradzał zamiłowanie do piękna oraz niebywałą cierpliwość, a nieposkromiona kontrola, z jaką rosła tu roślinność, być może ujawniała też ducha człowieka, który kazał go stworzyć.

Griñán popchnął uchylone drzwi. Dzwonek rozbrzmiał nad ich głowami, a ze środka dobiegły dźwięki muzyki.

– Vicente pewnie pracuje – wyjaśnił.

Razem z muzyką dobiegł do nich intensywny, niemal duszący zapach setek kwiatów, które otwierały swoje płatki, zmuszone do tego gorącym powietrzem panującym w środku. Od wejścia rozciągało się pięć rzędów stołów roboczych, na których stały setki doniczek. Gatunki roślin były różne, niektóre z nich rozpoznał, chociaż nie mógł sobie przypomnieć ich nazw, jednak przede wszystkim rosły tu gardenie na każdym możliwym etapie

rozwoju, od małych pączków z korzonkami zawiniętymi w płótno workowe do krzewów tak dużych jak te na zewnątrz.

Młody i dość wysoki mężczyzna szedł głównym przejściem, niosąc w rękach coś, co przypominało mały worek ziemi. Zostawił go po drodze, gdy ich zobaczył, zdjął rękawiczki i przywitał się mocnym uściskiem dłoni.

– Dzień dobry, pewnie przyszli panowie do Catariny. Przykro mi, dzisiaj jej nie ma, ale jeśli mogę w coś pomóc...

– Tylko spacerujemy, żeby Manuel poznał pazo.

Vicente wydawał się zaskoczony, chociaż szybko to ukrył.

– Widział pan już lagunę? To nadzwyczajne miejsce.

– Cały ogród jest taki.

– Tak... – przyznał leniwie mężczyzna, a jego wzrok pobłądził w głąb szklarni. – Szkoda, że nie ma Catariny, jestem pewien, że byłaby zachwycona, mogąc pokazać panu, czym się zajmujemy. W ciągu ostatnich dwóch lat zrobiliśmy wyraźne postępy na polu botaniki. – Ruszył i pokazał dłonią, żeby goście poszli za nim. – Catarina ma dobrą rękę do gardenii. Mimo że nie studiowała botaniki, posiada tę rzadką umiejętność, dzięki której wie, czego potrzebuje roślina w danym momencie. W ostatnim roku w ważnych publikacjach została uznana za wielką hodowczynię; specjalistyczne pismo „Life Gardens” nazwało ją najlepszą plantatorką gardenii na świecie – powiedział, wskazując na roślinę wysoką zaledwie na pół metra, pełną kwiatów tak dużych jak otwarte dłonie. – Osiągnęliśmy znakomite wyniki pod względem nie tylko wielkości i czasu kwitnienia, ale też zapachu. Dwa laboratoria perfum z Paryża zainteresowały się naszymi kwiatami do swoich kompozycji.

Manuel słuchał go, udając zainteresowanie, chociaż bardziej niż to, co mówił, jego uwagę zwracały ruchy mężczyzny, sposób, w jaki mowa jego ciała zmieniała się, gdy zaczął opowiadać o Catarinie. Kiedy Vicente trochę

się oddalił, Manuel stwierdził, że jego niezgrabne z powodu wysokiego wzrostu kroki są krótkie i sprawiają wrażenie, jakby ogrodnik ślizgał się między stołami. Wyciągał palce i opuszkami przebiegał po twardych i błyszczących liściach kwiatów, niemalże pieścił gardenie, opowiadając o zdolnościach Catariny, o tym, że widział, jak z jednego liścia usuwa białą plamę z wapna, delikatnie przesuwając po nim koniuszkiem palca. W jego głosie dało się słyszeć podziw.

Nie dzielił fascynacji mężczyzny wzrostem gardenii ani ich odpornością na pasożyty, jednak nierzeczywiste, męskie i surowe piękno tych niezwykłych kwiatów przykuwało jego wzrok i sprawiało, że miał nieodpartą chęć dotknięcia ich, musnięcia poprzez matowe i blade płatki kruchości ich egzystencji.

Przypomniawszy sobie woskowy dotyk kwiatu, który miał zamiar pogrzebać z Álvarem, a który ostatecznie przez cały dzień nosił w kieszeni. Było coś uzależniającego w cieplej teksturze tego gatunku, coś, co zapraszało do jego dotykania, do czucia krótkotrwałego istnienia, jak ludzkiego ciała. Nieświadomie wyciągnął ręce i musnął otwarte płatki, czując ich delikatność między palcami. Nachylił się uroczyście i wdychał zapach, a ten w magiczny sposób przeniósł go nad trumnę Álvara, do momentu, w którym trzymał kwiat – co było pożegnaniem nad otwartym grobem – do momentu, w którym spojrzął na trumnę, gdzie znajdowało się jego serce. Wszystko zaszło mgłą, Manuel otworzył oczy i ledwie mógł rozróżnić kształty wewnątrz szklarni. Jak gdyby działała na niego jakaś ogromna siła odśrodkowa, jego ciało zachwiało się i upadło na ziemię. Nie stracił przytomności. Słyszał pospieszne ruchy mężczyzn, którzy do niego podbiegli, i poczuł zimną rękę na czole. Otworzył oczy.

– To przez wysoką temperaturę i wilgotność – wyjaśniał Vicente. – Nie jest pierwszym, któremu to się przytrafia, tu jest co najmniej dwanaście

stopni więcej niż za zewnątrz, a wilgotność utrudnia trochę oddychanie, jeśli ma się problemy z ciśnieniem, do tego jeszcze zapach kwiatów...

Wyczerpany i zawstydzony, pozwolił, żeby pomogli mu się podnieść, i otrzepał swoje już i tak zmaltretowane ubranie z piasku, myśląc o tym, jak żałośnie musi wyglądać.

– Co pan jadł na śniadanie? – zapytał Griñán.

– Kawę.

– Kawę – powtórzył notariusz, kręcąc głową, jakby chciał podkreślić absurdalność jego odpowiedzi. – Idziemy do kuchni, żeby Herminia dała panu coś do jedzenia – powiedział, popychając go w stronę wyjścia i nie zdejmując ręki z jego ramienia.

Fasada rezydencji składała się w dwóch symetrycznych łuków. Jeden prowadził do głównego wejścia, drugi, jak Manuel się domyślał, w dawnych czasach służył za wjazd na patio dla powozów, a teraz był zamknięty. Gruby i czarny kot pilnował drzwi połączonych z otwartym oknem, przez które dolatywały zapachy jedzenia, co kazało mu przyznać, że być może Griñán miał rację.

Dwie kobiety, starsza i młodsza, uwijały się nad garnkami w nowoczesnej kuchni, w której jednak królował piec na drewno.

– Dzień dobry! – krzyknął Griñán z zewnątrz, zwracając uwagę kobiet, które odwróciły się z zainteresowaniem. – Herminio, może miałyby pani coś do jedzenia dla tego człowieka, bo jest osłabiony.

Kobieta podeszła do drzwi, wycierając ręce o fartuch. Otworzyła dolną część i stała tak, patrząc uważnie na Manuela z uśmiechem na twarzy. Pamiętał ją z pogrzebu, płakała razem z grupą kobiet. Po kilku sekundach nachyliła się w jego stronę i wzięwszy go za rękę, wprowadziła do ciepłego pomieszczenia, całkowicie ignorując notariusza. Zwracając się na zmianę do Manuela i do dziewczyny, zaprowadziła go do szerokiego drewnianego stołu.

– Ach, moje dziecko, nawet sobie nie wyobrażasz, ile ja o tobie myślałam przez te dni. Ileż ty musiałeś przejść! Sarita, uprzątnij stół i nalej kubek wina dla Manuela. A ty siadaj tutaj, daj mi marynarkę – powiedziała, po czym powiesiła ją na oparciu krzesła – i pozwól, żeby Herminia się tobą zajęła. Sarita, ukrój kawałek empanady.

Przytłoczony, oddał się w ręce kobiety, czując za plecami obecność rozbawionego Griñána, który powiedział:

– Herminio, zrobię się zazdrosny, cała uwaga skupiona na Manuelu, a dla mnie nie ma nic.

– Nie zwracaj na niego uwagi – odparła, specjalnie go ignorując i kierując swoje słowa tylko do Manuela. – Jest takim lizusem jak ten gruby kot i gdy tylko się zagapię, to tak samo jak kot już siedzi w kuchni, jedząc wszystko, co wpadnie mu w ręce. Sarita, daj też kawałek empanady panu Griñánowi.

Sarita postawiła na stole ogromną jak taca empanadę i zaczęła kroić pod uważną obserwacją Herminii.

– Większe, kobieto! – wykrzyknęła, wrywając jej z ręki nóż i odkrawając dwa kawałki, które położyła naprzeciwko mężczyzny na dużych talerzach z białego fajansu.

Manuel spróbował. Cebula uzupełniała się z aromatycznym i delikatnym mięsem, a ciasto z mąki kukurydzianej nadawało całości nowego aromatu oraz takiej konsystencji, żeby jeść ręką.

– Smakuje ci? Jedz, jedz jeszcze – powiedziała kobieta, nakładając mu na talerz kolejny kawałek. Zmieniając ton i zniżając głos, zwróciła się do Griñána: – Sarita ma dla pana wiadomość. Sarito, co masz przekazać panu Griñánowi?

– Pani markiza chce pana widzieć, prosiła, żebym pana zawiadomiła, gdy tylko pan przyjdzie – powiedziała nieśmiało dziewczyna.

Notariusz wyprostował się na krześle i spojrzał tęsknie na jeszcze ciepłe

żółte ciasto oraz nadzienie z cebuli i mięsa, które spod niego wystawało.

– Najpierw obowiązki – powiedział, wstając. – Schowaj mi to, Herminio, proszę nie pozwolić, żeby kot mi zjadł – dodał i skierował się do wewnętrznych drzwi, które prowadziły na schody.

Kiedy je otworzył, mały Samuel wbiegł do środka – za nim weszła jego matka – i uczeplił się nóg Herminii.

– A kto tu przyszedł?! – wykrzyknęła kobieta, gdy go zobaczyła. – Toż to król mojego domu! – dodała, starając się go podnieść. Jednak chłopiec zauważył obecność Manuela, zawstydził się i pobiegł się schować za Elisą, która promieniała w uśmiechu, nie kryjąc matczynej dumy.

– Mamusiu... – zawołał słodko.

– Co się dzieje? Nie wiesz, kto to jest? – zapytała go czule kobieta.

– Wiem, wujek Manuel – odparł chłopiec.

– I nie przywitasz się z nim? – nalegała Elisa.

– Cześć, wujku. – Mały się uśmiechnął.

– Cześć, Samuelu – odpowiedział Manuel, zakłopotany ostrożnością chłopca i ciężarem więzi, jaki zamykał się tylko w tym jednym słowie.

Samuel zaczął biec do drzwi.

– Dzisiaj rozpiera go energia, zobaczymy, czy uda nam się trochę jej zużyć – powiedziała kobieta zamiast pożegnania, wychodząc pospiesznie za chłopcem.

Herminia patrzyła, jak wychodzą, po czym zwróciła się do Manuela:

– Elisa to dobra dziewczyna i przykładna matka, była narzeczoną Frana, najmłodszego brata Álvara. Zmarł, kiedy ona była w ciąży.

Manuel przypomniał sobie, że Griñán mu o tym opowiadał: przedawkowanie.

– Nie zdążył poznać swojego syna – ciągnęła Herminia. – Elisa mieszka

tu od tamtej pory. A o Samuelu co ci mam mówić – dodała z uśmiechem. – Już go widziałeś, to małe słońce. Udało mu się wnieść do tego domu trochę radości, której tu brakuje. – Jej twarz posmutniała po ostatnich słowach.

Stojąca za nią Sarita westchnęła i położyła kobiecie rękę na ramieniu, a ta szybko przykryła ją swoją, pochylając przy tym głowę na znak wdzięczności i sympatii.

Griñán wrócił bardzo poważny. Nie dojadł empanady, ledwie umoczył usta w winie. Sprawdził swój telefon.

– A niech to, przykro mi, Manuelu, w kancelarii wyskoczyło coś nieprzewidzianego i muszę wracać do Lugo. – Kłamstwo w jego głosie było tak ewidentne, że obie kobiety spuściły wzrok i zaczęły zajmować się czymkolwiek, byle na niego nie patrzeć.

– Proszę się nie przejmować, ja też mam swoje sprawy do załatwienia – skłamał Manuel.

Wstał i zabrał marynarkę z krzesła, ale zanim zdążył się pożegnać, Herminia uścisnęła go, zmuszając, by nachylił się w jej stronę, i przytrzymała, aż on sam, czując się nieswojo wobec tak przesadnego okazywania czułości i przypuszczając, że kobieta nigdy go nie puści, udał, że też ją obejmuje.

– Proszę tu wrócić – wyszeptała mu na ucho.

Włożył marynarkę i dogonił notariusza, który zatrzymał się na drodze i na niego czekał.

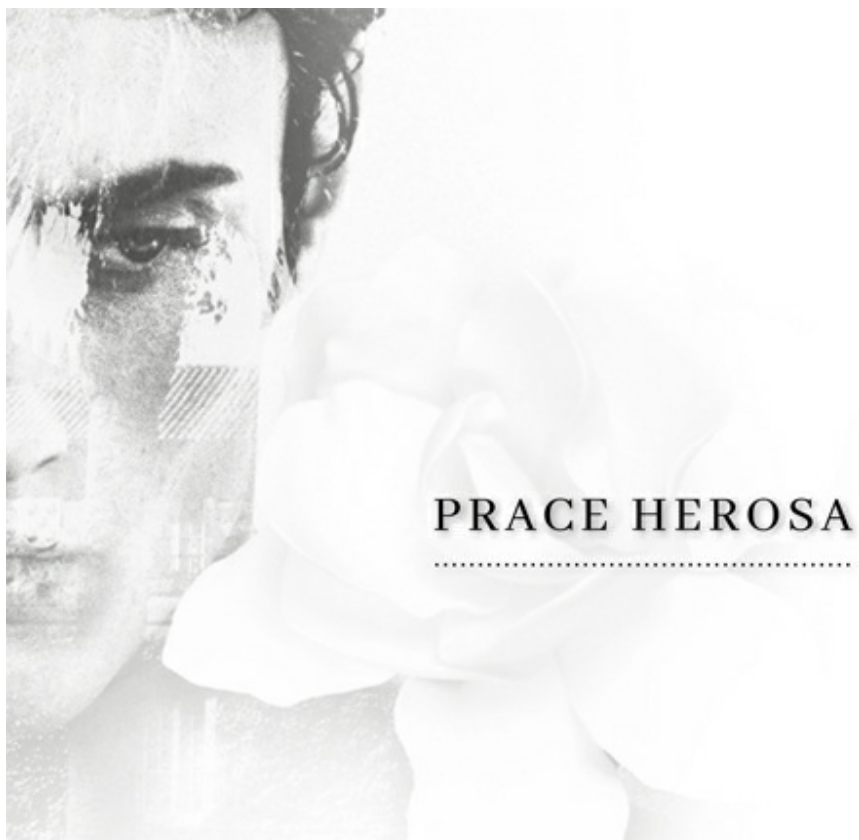
– Wujku! – Usłyszał za plecami przenikliwy głos chłopca.

Odwrócił się i zobaczył, jak biegnie w ten nieporadny sposób, charakterystyczny dla małych dzieci, co sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się przewrócić. Zaczerwienione policzki z powodu chłodnego poranka i otwarte ramiona w nieznoszącej sprzeciwu prośbie sprawiły, że Manuel się uśmiechnął i też rozpostarł ręce. Podniósł małego, wzruszony

jego zainteresowaniem. Przy klatce piersiowej poczuł ciało chłopca, mocne i niezdyscyplinowane niczym ryba. Ramionka jak małe pnącza silnie przyległy do jego szyi i Manuel dał mu buziaka, zostawiając na policzku wilgotny i zimny ślad ust. Trzymał go zdezorientowany, nie wiedząc, co robić, i czekał na Elisę, która biegła za swoim synem.

– Myślałam, że jestem w formie – zażartowała, sapiąc. Otworzyła ramiona, a mały rzucił się w jej stronę. – Proszę nas jeszcze odwiedzić, oboje byśmy się ucieszyli...

Skinął głową, po czym dołączył do notariusza, który w milczeniu towarzyszył mu do miejsca, gdzie zaparkowali. Dotarwszy do samochodu, Manuel odwrócił się i zobaczył, że matka i syn nadal stoją w tym samym miejscu. Pomachał i wsiadł do pojazdu, a oni odwzajemnili mu pozdrowienie.



PRACE HEROSA

iał wrażenie, że na niego czekali. Gdy tylko przedstawił się jako krewny Álvara Muñiza de Dávili, chcąc odebrać jego rzeczy osobiste, kazano mu przejść do gabinetu kapitana. Wszedłszy do środka, od razu zauważył, że na stole leżał egzemplarz jednej z jego poprzednich powieści. Ukrył zaskoczenie i ścisnął dłoń funkcjonariusza, który ponownie przekazał mu kondolencje i postawił przed nim kartonowe pudło. Manuel je otworzył, licząc przedmioty z listy, którą odczytywał kapitan.

– Portfel, osiemdziesiąt euro w gotówce, dwa zestawy kluczy, dokumenty, dwa telefony komórkowe oraz torba z ubraniami, paskiem i butami, które zostały zdjęte w szpitalu po jego... – Odchrząknął zakłopotany. – W chwili przyjęcia.

– Dwa telefony? – zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

– Nie zgadza się? – zdziwił się kapitan.

– Przypuszczam, że tak – przyznał, stwierdzając, że ostatecznie Nogueira miał rację, bo dlaczego by nie? Dwa zestawy kluczy, dwa telefony, dwa życia...

– Przykro mi, obrączka się nie znalazła – ubolewał gwardzista.

Manuel skinął głową, nie wiedząc, co powiedzieć, i wstał.

– Będę też potrzebował kluczyków do samochodu.

– Tak, proszę podpisać ten dokument, jest to standardowy certyfikat zgodności z tym, co się oddaje – zakomunikował, podając mu długopis i odwracając formularz w stronę Manuela.

Nagryzmolił podpis, a kapitan wyciągnął do niego kluczyki, lecz zanim mu je oddał, zapytał:

– Panie Ortigosa, podpisałby mi ją pan dla mojej żony? – Pokazał na książkę, wyraźnie zdenerwowany, choć do tego momentu zachowywał pewność siebie.

Manuel spojrzał na okładkę; pamiętał, że razem z Álvarem wybrał ją spośród dwóch wersji, jakie zaproponowało wydawnictwo. To były czasy, kiedy każda okładka i każde tłumaczenie ukazujące się w innym kraju były cudownymi wieściami, które świętowali z butelką cavy. Usprawiedliwienia kapitana wyrwały go ze wspomnień.

– Wiem, że nie jest to najodpowiedniejszy moment i może... jeśli nie ma pan ochoty... nie powinienem był pana o to prosić.

– Jasne, że tak – powiedział, chowając kluczyki i biorąc książkę. – Jak ma na imię pańska żona?



Pudło wstawił do bagażnika samochodu. Wieczorem przekaże je Nogueirze, żeby lekarka sądowa mogła przejrzeć ubranie, ale wcześniej oba telefony

schował do kieszeni marynarki. Na parkingu odszukał auto Álvara. Było zaparkowane z tyłu, między dwoma samochodami patrolowymi, i z daleka nie wyglądało na pojazd, który uległ wypadkowi. Manuel nie miał zamiaru go zabierać. Żeby to zrobić, musiałby zostawić własny samochód, a o tym wcześniej nie pomyślał. Podszedł i przyłożywszy rękę do czoła, zajrzał do środka. Wewnątrz było czysto i panował porządek, tylko kilka kropel zaschniętej krwi poplamilo siedzenie oraz kierownicę. Nacisnął pilot i otworzył drzwi.

On tam był. Czuł obecność męża, jakby siedział obok; zapach jego skóry, ślad jego życia, sam jego duch... I była to obecność tak fizyczna i realna, jak gdyby widmo Álvara pojawiło się wraz z jego przyjściem. Zaskoczony tym odkryciem, nagle cofnął się oszołomiony zapachem, który zalewał jego kanały nosowe; czuł, że z wrażenia serce wali mu jak młotem, a oczy napełniły się łzami, podczas gdy kolana zginały się, nie utrzymując jego ciężaru. Cofnął się i oparł o stojący obok samochód, pozwalając, by plecy ześlizgnęły mu się po karoserii zielonego nissana patrola. Jęknął, przestraszony silną obecnością połączoną z zapachem, który został schwyty w małej przestrzeni jak perfumy uwięzione w fiolce z delikatnego szkła, które nagle eksplodowały. Zamknął oczy, żeby skoncentrować się na łapaniu tego aromatu aż do ostatniej nuty, woni, która szybko zniknęła, wymieszana z pospolitymi zapachami z reszty świata, kradnącymi mu tę cudowną możliwość, by zatrzymać Álvara jeszcze na moment. Manuel kręcił głową z bezradności, podczas gdy w myślach przeklinał męża za całe cierpienie, za to, co mu zrobił. Przy ostatniej próbie, żeby go zatrzymać, żeby nie pozwolić, by ta odrobina aromatu przepadła na zawsze, zamknął drzwi samochodu i został tak, pozbawiony jego zapachu, pozbawiony jego obecności i z płynącymi po twarzy łzami czystego gniewu. Wtedy zdał sobie sprawę z obecności młodego gwardzisty, który obserwował go zmartwiony

i niezdecydowany, nie mając odwagi podejść.

– Dobrze się pan czuje, proszę pana? – zapytał formalnym tonem.

Manuel spojrział na niego i prawie się roześmiał. Siedział na ziemi oparty o samochód Gwardii Cywilnej, zalany łzami, a chłopak pyta, czy dobrze się czuje. „Po prostu zajebicie”, pomyślał.

Pomacał kieszenie, szukając chusteczki, chociaż wiedział, że jej nie ma, i poczuł złowieszczą obecność drugiego telefonu, z drugiego życia. Dotknięcie aparatu wystarczyło, żeby odczarować obraz Álvara, zostawiając tylko wspomnienie tego obcego mężczyzny, o którym kiedyś myślał, że go zna, i odcinając strumień łez jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; ciężar podejrzenia był tak poniżający, że wystarczył, aby zabronić mu płakać. Znowu spojrział na drzwi samochodu i pilotem zamknął auto, po czym podniósł się, otrzepał ubranie i odpowiedział:

– Tak, proszę się nie martwić, nic mi nie jest, tylko trochę zakręciło mi się w głowie.

Młody mężczyzna nic nie powiedział, jedynie wyrozumiale skinął głową, zaciskając usta.

Manuel siedział za kierownicą swojego samochodu, zbyt zmęczony, żeby prowadzić, i zbyt skonfundowany, by podjąć decyzję. W rękę trzymał najnowszy model iPhone'a, którego nigdy nie widział, i przyglądał mu się pełen obaw; był czarny i błyszczący jak odpychający skarabeusz, który jednak skrywał w środku istotną dla losów ludzkości tajemnicę. Podświetlił ekran i zobaczył, że bateria niedługo się wyczerpie. Podłączył go do ładowarki samochodowej i ze swojego telefonu zadzwonił do Mei.

– Manuelu...

– Mei, Álvaro miał telefon firmowy, inny niż ten, którego używał na co dzień.

Kobieta nie odpowiedziała, wywołując tym oburzenie Manuela.

– Na miłość boską, Mei, nie pytam cię o to, trzymam go w ręku. Álvaro nie żyje, nie ma sensu, żebyś dalej go kryła.

– Przepraszam, Manuelu, to nie tak, chodzi o to, że jeszcze nie mogę się pogodzić... Tak, miał drugi telefon.

– Przypuszczam, że faktury przychodziły do biura, bo ja o nim nie wiedziałem.

– Tak, przychodzą tutaj, są opłacane z firmowego konta.

– Dobrze, potrzebuję szczegółowych faktur tego telefonu.

– Skoro masz telefon, możesz sprawdzić w aplikacji użytkownika i sam zobaczyć... Ale jeśli wolisz, żebym ci wysłała, nie ma problemu. Podaj adres.

– Jestem w hostelu, wyślę ci przez WhatsAppa, jak się rozłączymy. Będę też potrzebował jego terminarza ze spotkaniami i wyjazdami.

– Masz go w iPhone, ale wyślę ci też fizyczny.

Uruchomił ekran i przeglądał ikony, aż znalazł terminarz. Kalendarz był pełen notatek i kolorów wskazujących na terminy wykonania zleceń, projekty, spotkania; bałagan informacji i dat, wśród których Manuel nie znalazł żadnego wyjaśnienia.

– Potrzebuję twojej pomocy, Mei. Jak mam wyłowić konkretną informację spośród tego wszystkiego?

– Nie wiem, a czego szukasz?

– Wyjazdów do Galicii. Wykonawca jego testamentu mówi, że przyjeżdżał tu co jakiś czas, muszą być w jego terminarzu.

– Co dwa miesiące – powiedziała nieśmiało, przeczuwając wybuch złości.

Kochał Mei i wiedział, że ona kocha jego oraz że uwielbiała Álvara. Przewyciężywszy pierwszy moment zdziwienia i wściekłości, mógł

postawić się na jej miejscu i przyznać, że on też zrobiłby wszystko, o co Álvaro by go poprosił, i że z pewnością źle to znosiła, ale był jeszcze zbyt wściekły, by przyznać, że może jej przebaczyć. Odparł beznamiętnym głosem:

- W terminarzu nie widzę niczego, co by na to wskazywało.
- To spotkania z The Hero's Works.

Firma The Hero's Works była jednym z głównych klientów agencji, nie pamiętał, czym się konkretnie zajmowała, brzmiało jak coś związanego z chemią, w każdym razie nazwa była tak zaskakująca, że utkwiała mu w głowie. W ostatnich latach cykliczne spotkania z The Hero's Works stały się częścią kalendarza Álvaro, dwa albo trzy dni co dwa miesiące.

- Wykorzystywał spotkania, żeby tu przyjeżdżać?
- Manuelu, The Hero's Works należała do Álvaro.
- Chcesz powiedzieć, że...
- To była jego firma.

Ponizenie paliło mu twarz. Wstyd sprawił, że łzy, przeznaczone do tego, by płakać po Álvaro, gotowały się i wyparowywały. Opanowawszy się z trudem, wyszeptał:

- Co dwa miesiące od trzech lat... – Zanim się rozłączył, zapytał: – Mei, czym się zajmuje The Hero's Works?
- To przedsiębiorstwo macierzyste, są jeszcze inne, połączone z nim, ale zasadniczo wytwarzaniem i eksportem wina.



Wanna okazała się tak ciasna, że ledwie mógł się w niej poruszać. Plastikowa zasłonka była przyozdobiona girlandą pleśni, która znajdowała się na dolnej części niczym brudna obwódka. Przewyciężając obrzydzenie, zdołał rozciągnąć ją między ścianami wanny. Z dyfuzora prysznicowa wytrysnęła duża

i silny strumień, który zmuszał go do wykrzywiania się, by mógł zmoczyć całe ciało. Spadająca na głowę gorąca woda powodowała niemalże ból, mimo to odkręcił kurek do końca, zamknął oczy i pozwolił, by spływała po wyczerpanych członkach, uderzając o barki jak niewidzialnymi ciosami pięścią, które jednak były pokrzepiające. Bolały go plecy, ręce, nogi, w nerkach i za oczami czuł palący się nieustannie ogień. Był prawie chory, ale wiedział, że powodem, jaki podtrzymywał go na duchu, tym małym, okrutnym fundamentem, jest gniew. Czuł, jak gotuje się w jego wnętrzu, destylując się przez alembik z delikatnego szkła, który zamieniał go w krople czystej trucizny walczące o to, by stać się jedynym pożywieniem dla jego duszy.

Gniew był konieczny, potrzebował go, żeby nie uciec, żeby nie ulec odruchowi, by wsiąść do samochodu i wydostać się z tego miejsca, jak najdalej od kłamstw, od bólu i od głupiego zobowiązania wobec tego gwardzisty, który go nie znosił i nienawidził wszystkiego, co sobą reprezentował.

Sam pokój był do zaakceptowania. Ręczniki i prześcieradło czyste, meble nieliczne i przestarzałe, a drewniana podłoga trzeszcząca w niektórych miejscach. W jednej ze ścian znajdowały się zamknięte na rygiel drzwi, które z pewnością prowadziły do przyległego pokoju i które tłumaczyły rozmiar okropnego pojedynczego łóżka. Zbyt miękki materac pozwalał dostrzec sprężyny metalowego stelaża, przede wszystkim jednak Manuel nie cierpiał go dlatego, że przypominało mu łóżko bezsenności i rozpoczy, które zajmował w domu ciotki, kiedy był mały. Teraz na materacu leżały torby z zakupami zrobionymi, zanim poszedł do kwatery Gwardii Cywilnej. Dwie marynarki, trzy pary spodni, pół tuzina koszul, skarpetek i slipek. Wybrał ubranie, które miał włożyć, resztę schował do szafy, a na stoliku położył książkę kupioną w księgarni w tym samym centrum handlowym. Był

twardym obrońcą tradycyjnych księgarń, ale nie miał czasu ani ochoty ryzykować, że zostanie rozpoznany przez księgarza, więc wybrał miły uśmiech młodego chłopaka, który prędzej rozpoznałby youtubera niż pisarza. Rozczarowany, chodził między półkami, myśląc o tym, że jest zbyt roztargniony, żeby czytać powieść albo esej; w końcu zdecydował się na książkę, której znalezieniem w tym miejscu był zaskoczony, którą już czytał, ale uznał – jak wtedy, gdy był pochłonięty pisaniem – iż ponowne jej przeczytanie będzie dobrym pomysłem. Wziął okrojone wydanie twórczości Edgara Allana Poeego, które zawierało *Serce – oskarżycielem*, *Czarnego kota* i *Kruka*.

Kupił coś jeszcze. Mechanicznie położył to na ciemnym biurku, miejscu, które było najodpowiedniejsze. Unikał patrzenia w tamtą stronę, kiedy układał ubrania i decydował, co na siebie włożyć. Dwie paczki papieru biurowego i zestaw długopisów. Tak też zatytułował jeden ze swoich pierwszych artykułów i jedyny, który napisał na temat tworzenia literatury. Kilka miesięcy po wydaniu debiutanckiej powieści, gdy sprzedaż sięgała już pół miliona egzemplarzy, słynne czasopismo literackie przekonało go, żeby napisał o swojej metodzie, o własnym laboratorium alchemicznym, o tym, jak osiąga magię. Dwie paczki papieru biurowego i zestaw długopisów, tak streścił wszystko to, czego potrzebuje pisarz do stworzenia powieści. Napisał tak, ponieważ w to wierzył, ponieważ sam się o tym przekonał, ponieważ wiedział, że pisanie bierze się z ludzkiej potrzeby, z nędzy duszy, z wewnętrznego głodu i chłodu, który, tymczasowo, zaspokaja się tylko podczas pisania. Krytyka ze strony kolegów po fachu była przykra. Jak taki nowicjusz, ignorant, któremu przez przypadek coś się udało, ma odwagę udzielać rad? Czy liczba sprzedanych egzemplarzy nie była przypadkiem niezbitym dowodem na to, że jest tylko kompozytorem pastiszy na sprzedaż?

Wiele książek i wywiadów później wzbogacił swoje sprawozdanie na

temat potrzebnych rzeczy o ściany wytapetowane książkami, szklany stół, wpadające przez okno światło, białe orchidee i ciszę. Wokół zawodu pisarza panowała odrażająco sztuczna atmosfera, prowadząca do wywyższania najgorszych rzeczy jako metod kreatywnych: alkoholizmu i narkotyków, przemocy czy doświadczenia wszelkiego rodzaju deprawacji jako kopalni kreatywności. Wierzył w siłę opuszczenia, w inspirację nieszczęściem, w dumę pogardzanego, w bodziec nieporadności i w zmartwychwstanie zapomnianych jako potężne narzędzia, wewnętrzne źródła, z których można czerpać, ale wierzył również, że miały one swoją wartość tylko wtedy, gdy były sekretne, były podziemnymi rzekami zimnej wody albo rozżarzoną lawą, które zalewały autora od środka, a pokazanie ich stawało się równie nieprzyzwoite jak oczekiwanie, że wystarczy oświetlony gabinet, sprzęt informatyczny i doktorat z filologii, by ot tak z każdego zrobić pisarza. To prawda, że niczym sułtan, ze swoim komputerem i swoimi papierami, zajmował w domu zawsze najlepsze miejsce, którym był piękny stół, a do tego miał doskonałe światło i prawie zawsze orchidee w pobliżu; i że cicha obecność czytającego Álvara, kiedy on pisał, zamieniła się w talizman, w ideał doskonałości oraz szczęścia, który czasem go rozpraszał, kradnąc mu inspirację, kiedy podnosił wzrok i obserwował pomieszczenie, ale wiedział też, że to wszystko wcale nie było niezbędne.

Ze wzrokiem zagubionym w bieli kartek zastanawiał się, w którym momencie to zaniedbał, zapomniał, że pisanie rodzi się z czystej nędzy, ze wstydliwego bólu, z tajemnic, które umrą razem z nami, ponieważ magia polegała na tym, żeby sugerować ich istnienie, ale nigdy ich nie pokazywać, nie pozwalając, by nagość duszy stała się pornografią emocji. Zawinięty w ręcznik, który zaczynał się robić zimny, Manuel podszedł do biurka i poczuł, jak ciało traci ciepło prysznicą. Wyciągnął rękę i opuszkami palców dotknął opakowania, w którym znajdowały się kartki. Dwie paczki papieru

biurowego i zestaw długopisów, nic więcej. Westchnął i uciekł stamtąd.

Ręcznikiem wytarł zaparowaną powierzchnię lustra w łazience i stojąc naprzeciwko niego, zapiął guziki koszuli. Już najwyższy czas. Włożył jedną z nowych marynarek, ściszył dźwięk telewizora, który z przyzwyczajenia zostawiał włączony. Przed wyjściem chwycił brudną marynarkę, wyjął z kieszeni portfel i telefony i wtedy zauważył, że w środku było coś jeszcze. Już po dotyku wiedział, co to takiego, ale musiał ją zobaczyć, by mieć pewność. Choć godziny spędzone w kieszeni dały się jej we znaki, była gładka, mocna i wydzielala męski, elegancki zapach. Gardenia. Przez kilka sekund trzymał ją w dłoni, spojrzał na marynarkę i ponownie na kwiat, zastanawiając się, skąd się tutaj wziął. Zakłopotany, otworzył szufladę i stwierdził, że leży tam – zwiędnięty, ale do rozpoznania – kwiat, który tego ranka sam włożył do środka. Położył obie gardenie na matowej powierzchni stolika i przyglądał się im, po czym doszedł do wniosku, że musiało się to stać, kiedy źle się poczuł w szklarni; podziwiał gardenie i gdy upadł, być może kwiat... Wytłumaczenie brzmiało absurdalne, kwiaty w szklarni były dwa razy większe niż tamte, a jednak... To był dziwny dzień, dziwny dzień, który następuje po wcześniejszym dziwnym dniu. W ostatnim czasie wszystko było tak osobliwe, że miał trudności z ustaleniem porządku. Chaos przejął kontrolę nad jego życiem. Może nieświadomie zerwał gardenię i włożył do kieszeni tak jak poprzedniego dnia.

Wystraszyło go stukanie do drzwi. Otworzył, spodziewając się żony właściciela hostelu, która, zaniepokojona jego odosobnieniem, uparcie pukała, żeby zaproponować mu coś do jedzenia, czyste ręczniki albo by mu przekazać, że w telewizji jest mecz piłki nożnej, chociaż zwrócił jej już uwagę, że nie za bardzo lubi futbol. Przed drzwiami stała jednak Mei Liu, ze zmienioną twarzą, na której odbijało się zmęczenie. Sprawiała wrażenie przestraszonej i proszącej o wybaczenie.

– Co ty tutaj robisz, Mei?

W jego pytaniu nie było wyrzutu, lecz naturalna mieszanka zaskoczenia i tolerancji. Otworzył ramiona i objął kobietę, a ta się rozpląkała. Kiedy ją przytrzymał, zniknął cały gniew, który w następnych godzinach wróci ze zdwojoną siłą; na razie jednak ciepła obecność jej ciała wzmocniła go w taki sposób, jakiego się nie spodziewał, w sposób, o którym nawet nie myślał, że jest mu potrzebny, a dzięki któremu zdał sobie sprawę, że od pożegnania z Álvarem przed wyjazdem nikogo tak naprawdę nie obejmował, nikogo z wyjątkiem małego Samuela.

Dłuższą chwilę zajęło mu uspokojenie Mei na tyle, żeby chusteczki higieniczne, które jej dał, mogły zahamować płacz. Wtedy rozejrzała się po pokoju. Musiał jej się wydać mroczny, ponieważ zapytała zasmuconym głosem:

– To ja pytam, co tu robisz, Manuelu.

– Jestem w miejscu, w którym powinienem teraz być. A ty?

Mei uwolniła się od jego uścisku i podeszła do okna, po drodze zostawiając torebkę i zdejmując lekki płaszcz. Szybko popatrzyła na zewnątrz i ponownie objęła wzrokiem pokój. Manuel obserwował, jak spogląda na biel kartek ułożonych na stosie na starym biurku. Przez kilka sekund patrzyła na nie w milczeniu, jakby wyciągała z nich słowa, które miała wypowiedzieć.

– Wiem, że mówiłeś, bym nie przyjeżdżała, i starałam się uszanować twoje życzenie, tylko... Manuelu, nie spodziewam się, że mi wybaczysz, ale chciałabym, żebyś zrozumiał moje położenie. Álvaro poprosił, żebym trzymała te sprawy osobno od chwili, kiedy musiał przejąć interesy swojej rodziny. I prawda jest taka, że nigdy nie przyszło mi do głowy, by jego plan mógł cię tak bardzo zranić, w przeciwnym razie nigdy bym na taki układ nie przystała. Wyglądało to na coś czysto handlowego, co zostało mu

przydzielone, po prostu część biznesu, o której się nie mówiło.

– W porządku, Mei, przypuszczam, że masz rację i pewnie kiedyś to zrozumie, chociaż minie sporo czasu. Ty nie byłaś niczemu winna, ale to wszystko już mi powiedziałaś przez telefon, więc po co przyjechałaś?

Pokiwała głową i nawet lekko się uśmiechnęła, przyznając, że Manuel ma dobrą intuicję.

– Ponieważ jest coś, o czym muszę ci opowiedzieć, coś, co sobie przypomniałam, kiedy zadzwoniłeś, żeby zapytać o drugi telefon Álvara...

Manuel popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Ten iPhone zazwyczaj leżał na stole. W tych nielicznych przypadkach, kiedy dzwonił, odbierał on, ale czasami robiłam to także ja. Za każdym razem rozmawiałam z tym samym mężczyzną, który posługiwał się perfekcyjnym kastylijskim z wyraźnym galisyjskim akcentem; był bardzo dobrze wychowany i uprzejmy, takie rzeczy można wyczuć w głosie. To był pan Griñán. Przypuszczam, że go poznałeś.

Manuel przytaknął, słysząc opis notariusza.

Mei kontynuowała:

– W piątek Álvaro i ja pracowaliśmy u niego w gabinecie. Rano zadzwonił Griñán; wiem, że to był on, bo słyszałam, jak się z nim witał, ale po południu telefon zadzwonił ponownie. Osoba, która była po drugiej stronie, krzyczała tak, że mogłam ją usłyszeć, i chociaż nie zrozumiałam, co powiedziała, dało się wyczuć, że była bardzo zła. Álvaro kazał mi wyjść, ale wiesz, że nasze gabinety oddzielają tylko szklane drzwi. Przez chwilę słuchał, potem coś powiedział i się rozłączył. Kiedy wyszedł z gabinetu, był zmartwiony, znałam go wystarczająco dobrze, aby to dostrzec. Wymamrotał, że idzie napić się kawy czy coś takiego, i wyszedł. Wtedy znów zadzwonił telefon. Chcę, abyś wiedział, że miałam pozwolenie, by go odbierać, zapewniam cię, że zawsze były to wiadomości w rodzaju: „Proszę przekazać

Álvarowi, żeby do mnie zadzwonił” albo „Proszę przekazać Álvarowi, że wysłałam mu pocztą dokumenty do podpisu”, na co ja odpowiadałam: „Tak, przekażę mu” albo „W tym momencie jest na spotkaniu”. Mam na myśli to, że Álvaro starał się odbierać i w jego zachowaniu względem dzwoniącego nie było nic, co sugerowałoby cokolwiek niepokojącego... – Mei zagryzła dolną wargę, wyraźnie zdenerwowana. – Kiedy telefon zadzwonił, odczekałam chwilę, zanim go wzięłam. Moją uwagę zwróciło to, że numer wyświetlony na ekranie był bardzo dziwny, składał się z trzech albo czterech cyfr. Kancelaria notarialna ma dużo numerów wewnętrznych i czasami ten, z którego dzwonił Griñán, nie był przypisany do jego nazwiska. Odebrałam i rozpoznałam charakterystyczny dźwięk monet wypadających z publicznego telefonu, choć od lat go nie słyszałam. Osobą po drugiej stronie nie był Griñán, lecz jakiś inny mężczyzna. Był bardzo zdenerwowany, nie dał mi nawet czasu, by zareagować. Kiedy odebrałam, powiedział: „Nie możesz tego ignorować, słyszysz? Ma dowody, wie, że go zabiłeś, i powie o tym, jeśli czegoś nie zrobisz”.

Mei zamilkła, jej ciało osłabło niczym u marionetki, której ucięto nici, aż musiała oprzeć się o framugę okna, żeby nie stracić równowagi, jakby to, co właśnie powiedziała, całkowicie ją wyniszczyło.

Manuel patrzył na nią zdziwiony.

– „Wie, że go zabiłeś”? Jesteś pewna?

Mei przytaknęła i na kilka sekund zamknęła oczy. Gdy na powrót je otworzyła, miała spojrzenie pełne smutku.

– Rozłączyłam się, nic nie mówiąc. Telefon od razu zadzwonił ponownie. Zapewne mężczyzna z budki sądził, że połączenie zostało przerwane. Nie odebrałam. Poszłam po kawę, żeby stamtąd uciec. Kiedy wróciłam, Álvaro był już z powrotem. Nikt więcej nie dzwonił, chociaż później widziałam, że Álvaro rozmawiał przez ten telefon. Kiedy skończył, wyszedł i powiedział,

że musi przyspieszyć spotkanie z The Hero's Works, że wyjeżdża od razu i że „oficjalnie” spędzi weekend w Barcelonie na konferencji Condal Hotels.

Manuel milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Odnosił wrażenie, że przeskoczył przez lustro i trafił do równoległego, enigmatycznego świata, w którym wszystko wymyka się logice. „Wie, że go zabiłeś”. Kto wie? Że zabił kogo? Podniósł do czoła lodowate ręce i poczuł, że jest rozpalone gorączką, która trawiła go w ostatnich dniach. Mei spuściła wzrok, ale i tak obserwowała jego gesty. Rozczarował ją, tak samo jak rozczarował wszystkich, którzy spodziewali się po nim wybuchu bólu. Uświadomił to sobie, widząc zaskoczenie Mei jego następnym pytaniem.

– Czy ty wiedziałaś, że Álvaro miał tyle pieniędzy?

Spojrzała na niego, na jej twarzy zarysowało się niedowierzanie. Manuel wiedział, że musi się wytłumaczyć.

– Chodzi mi o to, że... No dobrze, wiedziałem, że w ostatnich latach podpisaliście ważne kontrakty z firmami sportowymi, farmaceutycznymi i... Cóż, tamta umowa z Chevroletem i z tą japońską firmą... Jak ona się nazywała? Takensi?

– Takeshi – poprawiła go.

– Tak, właśnie ta. Ale wykonawca jego testamentu mówi o bardzo dużych pieniądzach, ogromnych.

Mei wzruszyła ramionami.

– Tak, można powiedzieć, że był bardzo bogaty.

– Wiedziałem, że interesy dobrze się układają, ale nigdy nie przypuszczałem...

– Cóż, Manuelu, ty byłeś zajęty innymi sprawami, wyjazdami, swoimi książkami.

Innymi sprawami. Czy w słowach Mei krył się wyrzut? Czy to możliwe, że żył odwrócony plecami do rzeczywistości? Do tego stopnia, że wszyscy,

którzy go otaczali, zaakceptowali jego ignorancję wobec scenerii własnego życia jako cechę jego charakteru? Czy jego wyjazdy i książki były wystarczającym powodem, by nie wiedzieć o czymś takim? Starał się nadażyć myślami, ale jego umysł wpadł w stan obronnego letargu wobec nadmiaru i brutalności tego, co powiedziała mu Mei.

– Manuelu, powinnam już iść.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Mei z powrotem włożyła płaszcz i szukała czegoś w torebce. Podała mu średniej wielkości terminarz z czarną okładką, który on szybko przejrzał i odłożył na szafkę, by nie musieć patrzeć na pismo Álvara.

– Już go sprawdziłam – powiedziała, wskazując podbródkiem na notes. – Jest tam to samo, co w telefonie, ale jeśli nie wierzysz, może sam będziesz chciał go przejrzeć.

W jej głosie nie było pretensji, raczej posłuszna akceptacja winy, która jednocześnie łamała jej serce i denerwowała ją tak, że było to nie do zniesienia. Pochyliła twarz nad torebką, nadal w niej czegoś szukając. Zorientowawszy się, że Manuel ją obserwuje, delikatnie odwróciła się w stronę okna, opuszką palca podtrzymując łzę, jakby chciała z powrotem wepchnąć ją tam, skąd wypłynęła. Manuel uświadomił sobie wtedy, że nie wie nawet, gdzie się zatrzymała ani jak dotarła do Galicii.

– W którym jesteś hotelu?

– W żadnym, wracam do Madrytu.

Spojrzał na godzinę w telefonie.

– Ale jest bardzo późno. Jeśli teraz wyjedziesz, nie dotrzesz wcześniej niż na drugą w nocy.

– Po rozmowie z tobą poczułam się fatalnie, chciałam do ciebie oddzwonić, żeby opowiedzieć ci to wszystko, ale wiedziałam, że powinnam przyjechać i porozmawiać osobiście, bo kochałam Álvara i Kocham Ciebie,

Manuelu, i nie mogę pogodzić się z tym, że uważasz mnie za zdrajczynię.

Spojrzał na nią poruszony, ale ciągle siedział na łóżku nieruchomo, patrząc, jak Mei traci czas, grzebiąc w torebce – wymówka, żeby nadal tu być. Chciał wstać, znów ją objąć, lecz tego nie zrobił, nie był jeszcze gotowy, by jej wybaczyć, chociaż powiedział:

– Nie uważam cię za zdrajczynię i jestem ci wdzięczny, że przyjechałaś ze mną porozmawiać.

Pogodzona z tym, że nawet jeśli ze strony Manuela pojawi się absolutne przebaczenie, to nie nastąpi ono tego dnia, Mei zasunęła powoli suwak torebki i zawiesiła ją na ramieniu.

– W takim razie idę.

Manuelowi zrobiło się jej szkoda.

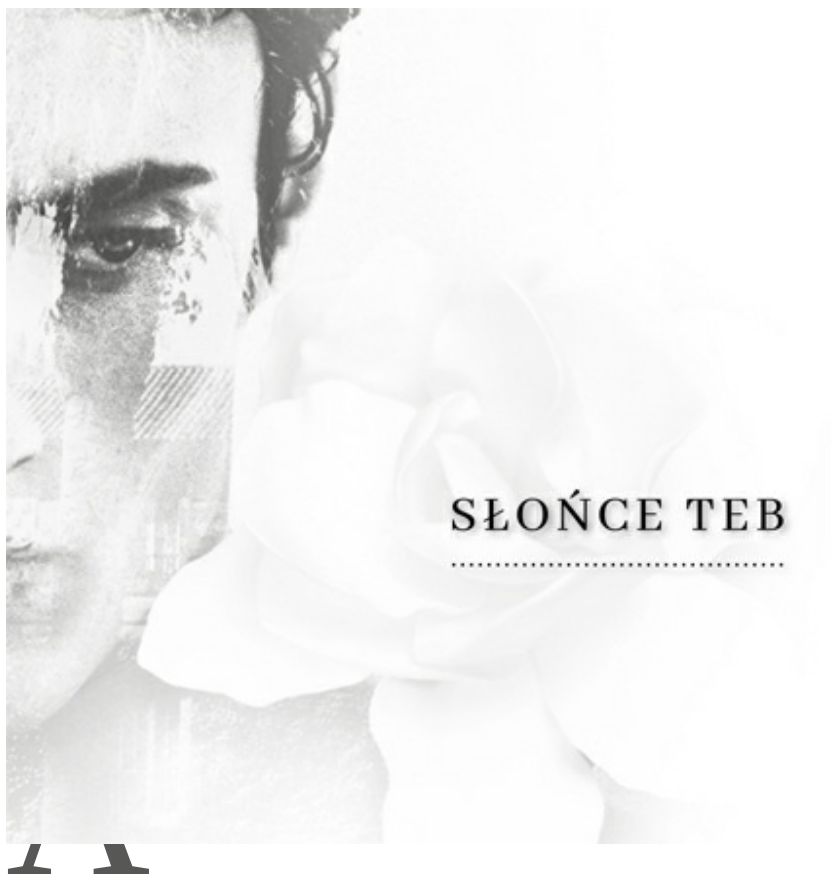
– Dlaczego nie zostaniesz na noc i nie wrócisz spokojnie jutro rano?

– Nikomu nie powiedziałam o tej wizycie, nawet mężowi. To był... impuls. Gdy się rozłączyliśmy, wiedziałam, że muszę cię zobaczyć.

Mei skierowała się do wyjścia i dopiero wtedy Manuel wstał, żeby za nią pójść. Dogonił ją, kiedy już dotykała klamki.

– Mei, w tej chwili nie potrafię jasno rozumować, ale nie myśl sobie, że nie jestem ci za to wdzięczny. Jeszcze porozmawiamy, może za jakiś czas, teraz... nie mogę.

Ona stanęła na palcach, a on się nachylił, żeby mogła go pocałować. Uścisnął ją szybko na pożegnanie i zamknął za nią drzwi.



lvaro czytał, leżąc na sofie z bosymi stopami i podwiniętymi nogawkami spodni. Był szybkim czytelnikiem – zaczął rano, a w południe już zgromadził obok siebie prawie połowę z czterystu stron, jakie liczyła powieść.

Manuel gotował. Zazwyczaj to Álvaro odpowiadał za przygotowywanie jedzenia, jednak w dni, w które czytał powieści męża, zamieniali się rolami i to Manuel dbał, aby wszystko wokół Álvaro było idealnie, aby mógł czytać bez przerw.

Wrócił do salonu i przez kilka minut udawał, że sprawdza coś w wielkiej książce o włoskiej kuchni, podczas gdy kątem oka patrzył na Álvaro. Obserwował grymasy na jego twarzy, zachłanność, z jaką pożerał stronę po stronie, dowolny mały znak, który zdradziłyby przeżywane w tym czasie emocje.

– Rozpraszasz mnie – wyszeptał Álvaro, nie podnosząc wzroku nad kartek maszynopisu.

Jak gdyby zamiast wyrzutu było to zaproszenie, aby się zbliżyć, Manuel odłożył ciężki tom służący mu za pretekst, podszedł do niego i usiadł na podłokietniku fotela.

– Powiedz mi tylko, jak ci idzie – poprosił.

– Dobrze, ale musisz mi dać przeczytać do końca – odpowiedział Álvaro, nie zwracając uwagi na jego błaganie.

– Wiesz doskonale, że całość nie jest jeszcze napisana, dokończę, kiedy to przeczytasz, jak zawsze...

– Ty natomiast wiesz, co mam na myśli i że nic nie powiem, dopóki nie dojdę do ostatniej strony. A teraz idź już i daj mi czytać.

Przygotowywał gnocchi, przede wszystkim ze względu na pracochłonny przepis. Obrąć i pokroić ziemniaki, ugotować je, przepuścić przez maszynkę, zrobić ciasto, uformować wałeczki i pokroić na kawałki, przygotować sos... Prosta receptura, ale wystarczająco zajmująca, żeby miał co robić przez kilka godzin. Jednakże czasu miał aż nadto; z tarasu obserwował koty na dachach Madrytu, porządkował swoje swetry, przeglądał bez zainteresowania gazety albo zaczynał – tylko po to, by po kilku stronach ją porzucić – lekturę jednej z wielu książek, które czekały w kolejce do przeczytania, gdy tylko skończy pisać tę powieść. Wszystkie próby ucieczki przeplatał ukradkowymi spojrzeniami w stronę salonu, gdzie czytał Álvaro. Uwielbiał widzieć go takiego. Bez koszuli, zrelaksowanego, podczas gdy światło dnia pokonywało swoją trasę za plecami Álvaro, odbijając się w jego brązowych włosach, trochę dłuższych, w jego spokojnej i skoncentrowanej twarzy. Odwracał kartkę za kartką, układając je obok siebie tekstem do dołu na stosie, który teraz był już większy niż to, co zostało mu do przeczytania. Gasły ostatnie sierpniowe promienie słońca, kiedy odłożył ostatnią zapisaną kartkę.

Manuel postawił na stole butelkę wina i dwa kieliszki, napełnił je ostrożnie, po czym podał mu jeden.

– No i?

Álvaro wyciągnął prawą rękę i położył ją na kartkach, które właśnie skończył czytać.

– Jest bardzo dobra, Manuelu...

– Naprawdę?

– Twoim czytelnikom się spodoba.

Manuel postawił kieliszek na stole i się nachylił.

– A tobie? Tobie się podoba?

– Jest bardzo dobra.

– Nie o to cię pytałem. Podoba ci się?

Manuel zauważył, jak Álvaro odsuwał od siebie przeczytane kartki, wykonując ruch ręką niczym krupier. Też się nachylił, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Jeśli pytasz o to, czy jest taka jak *To, co oddane złu*, to powiem ci, że nie, nie jest.

– Przecież mówiłeś, że jest dobra.

– Tak, i że twoim czytelnikom się spodoba...

– A tobie dlaczego się nie podoba?

– Manuelu, piszesz bardzo dobrze, jesteś zawodowcem, ale to nie jest... nie jest szczerze, nie posiada tego, co miało *To, co oddane złu*.

Manuel wstał i poszedł na środek salonu, odwróciwszy się do niego plecami.

– Mówiłem ci już tysiąc razy, że nie mogę napisać drugiej takiej powieści jak *To, co oddane złu*.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Manuel wrócił na swoje miejsce na sofie, siadając bokiem, żeby patrzeć na Álvara z przodu.

– Napisałem *To, co oddane złu* w momencie, w którym taką właśnie historię musiałem opowiedzieć. To była potrzeba, pokuta i żeby to napisać, czerpałem ze źródła bólu i ze wspomnień; moje dzieciństwo, to, jak zostaliśmy sierotami, życie ze starą ciotką, która nas nienawidziła, a potem czas, kiedy sądziliśmy, że już nic złego nie może nas spotkać, ponieważ przytrafiło nam się wszystko, aż w końcu moja siostra zmarła.

– To twoja najlepsza powieść, a nawet nie udzielasz wywiadów, by o niej mówić.

– To było moje życie, Álvaro, moje prawdziwe życie. Ilu okropnych przeżyć trzeba doświadczyć, żeby stworzyć coś takiego... Nie chcę o tym pisać, nie chcę przeżywać tego kolejny raz – powiedział i znowu wstał.

Álvaro ruszył za nim.

– Nie chodzi o to, żebyś kolejny raz to przeżywał, Manuelu. Jesteś bezpieczny, masz mnie, nie jesteś już sześcioletnim chłopcem. *Słońce Teb* to dobra powieść, twoi czytelnicy będą zachwyceni, ale nie jest szczerą. A jeśli nie chcesz znać mojej opinii, nie powinieneś był mnie o nią prosić.

– Jasne, że chcę znać twoją opinię, piszę dla ciebie, ale oczekuję też, że mnie zrozumiesz. Wierzę w literaturę, która czerpie z rzeczywistości, a nie w obnoszenie się z bólem.

– I tutaj jesteś w błędzie. Nie chodzi o to, żeby się obnosić, nikt nie musi wiedzieć, skąd czerpiesz, z wyjątkiem ciebie. Ale kiedy jesteś szczerą, w jakiś pośredni sposób zauważają to wszyscy, którzy cię czytają. Jak myślisz, dlaczego *To, co oddane złu* uważa się za twoją najlepszą powieść?

Manuel usiadł i oparł głowę na dłoniach, pozwalając, by palce przesuwwały się po włosach.

– Nie wiem – odparł.

Álvaro zbliżył się, by go dotknąć.

– Owszem, wiesz, Manuelu. Wiem, że gdzieś w tobie siedzi jeszcze ten sześćioletni chłopiec, który budzi się z płaczem. Wiem, że ten chłopiec nadal tęskni za swoimi rodzicami i siostrą, która nie może go już pocieszyć. Wiem, jak bardzo boli cię rzeczywistość, i wiem, że prawdopodobnie dlatego jesteś znakomitym pisarzem, właśnie dzięki twojej umiejętności ukrycia się w tym bezkresnym pałacu i wyciągania stamtąd jednej historii za drugą. Ale był mężczyzna, który stawiał czoła temu bólowi, który pocieszył tego chłopca i pogrzebał swoich rodziców oraz siostrę, i zrobił to za pomocą książki. Zakochałem się w tym mężczyźnie, nie możesz prosić, żebym przestał podziwiać tę siłę i zrezygnował z najlepszego, co spotkało mnie w życiu.

Manuel patrzył na niego, uparcie zaprzeczając.

– Ty nie rozumiesz, że przez wszystkie lata staram się uciec od tego życia, próbuję o nim zapomnieć. Odniosłem sukces, mam tysiące czytelników, pieniądze, mieszkanie, to wystarczy do życia i, jak mówisz, moim fanom spodoba się *Słońce Teb*, oni tego właśnie chcą. Dlaczego miałbym cierpieć, żeby pisać, skoro mogę być szczęśliwy?

– Bo w tym jest prawda.

Nie wytrzymałszy, Manuel znowu wstał.

– Nie chcę prawdy, Álvaro. Miałem już wystarczająco dużo prawdy przez całe dzieciństwo, przez całe życie, aż pojawiłeś się ty. Kocham to, co mamy – powiedział, nachylając się i zabierając stertę maszynopisu. Przycisnął ją do klatki piersiowej. – To jest cała prawda, której pragnę i którą mogę znieść.

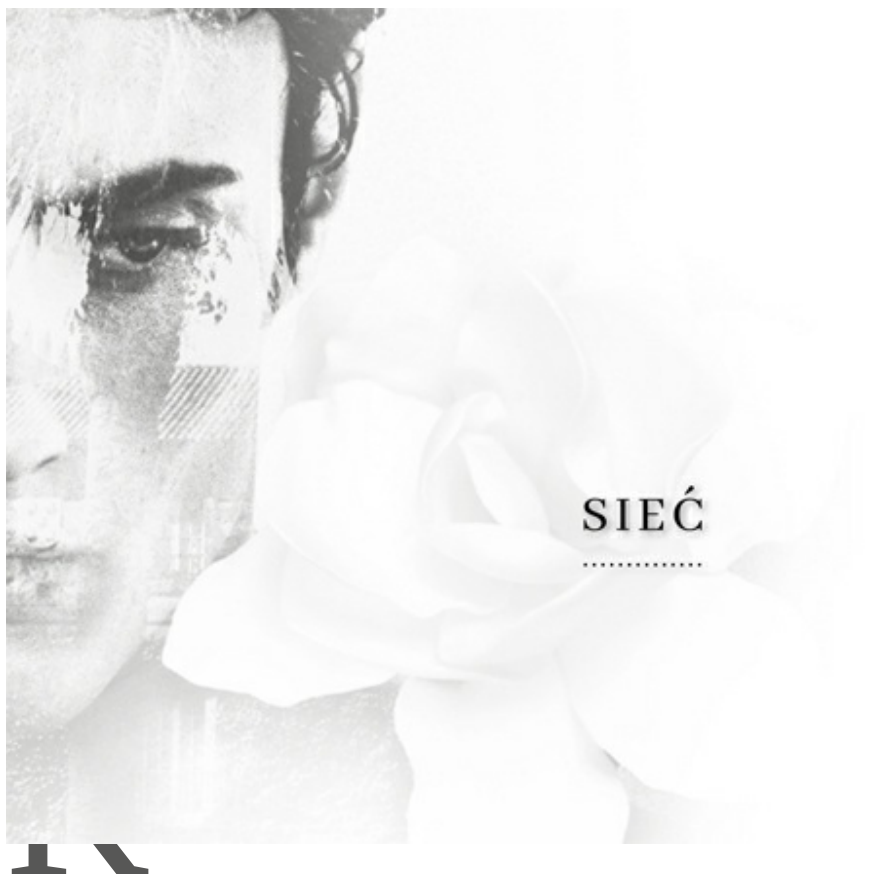
Álvaro patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund. Potem zamknął oczy, westchnął. Wstał i podszedł do niego.

– Przepraszam cię, masz rację – powiedział, wyjął mu kartki z rąk i go przytulił.

– To ja cię przepraszam, Álvaro, ale ty nie wiesz, co to znaczy mieć takie

dzieciństwo jak moje.

– Nie, nie wiem – wyszeptał.



ilkunastu mieszkańców zajmowało bar przy hostelu. Między nimi dostrzegł opartego o kontuar porucznika Nogueirę. Przeżuwał kawałek smażonego boczku zawiniętego w kilka papierowych serwetek, które były przesiąknięte tłuszczem i robiły się przezroczyste. To, co zostało, przepchnął łykiem piwa i wziął z pojemnika jeszcze dwie czy trzy serwetki, którymi dokładnie wytarł usta i wąsy.

– Lepiej porozmawiajmy na zewnątrz – powiedział zamiast powitania.

Manuel przytaknął. Zobaczył, że Nogueira dawał znak kelnerowi, prosząc go o napoje i pokazując, że będą na tarasie.

Gdy tylko przeszli przez drzwi, porucznik zapalił papierosa. Zaciągnął się mocno z przyjemnością charakterystyczną dla nałogowych palaczy i ręką pokazał mu najciemniejszy, stojący najdalej od wejścia stolik.

– Jak panu poszło w As Grileiras?

– Niezbyt dobrze. Wczoraj wieczorem Griñán zadzwonił do rodziny, żeby zapowiedzieć naszą wizytę, w związku z czym dzisiaj matka niedomagała, a Santiago i Catarina wyjechali. Widziałem tylko krótko Elisę, narzeczoną Frana, która kręciła się tam z dzieckiem, ale tylko się przywitaliśmy.

Nogueira mlasnął językiem na znak niezadowolenia.

– Ten Griñán nie spodobał mi się od chwili, gdy zobaczyłem go w szpitalu.

– Czy ja wiem, myślę, że on tylko wykonuje swoją pracę. – Bronił go, chociaż sam uważał, że notariusz zbyt szybko oddał się do dyspozycji nowego markiza.

Nie mógł mu nic zarzucić, ale musiał przyznać, że jego pochlebstwa z pierwszego dnia, kiedy wiedział, że to on jest spadkobiercą, zbyt szybko się ulotniły, by mogły wyglądać na autentyczne. Denerwowało go, że był tak łatwowierny. W pierwszej chwili polubił Griñána, jego podziw i szacunek dla Álvaro wyglądały na naturalne, więc wciąż trudno mu było pogodzić się z tym, że jego zachowanie wynikało wyłącznie z zainteresowania, jakie budzi okazałe konto. Chociaż Manuel nie przyznałby tego przed Nogueirą.

– Towarzyszył mi podczas oglądania całej posiadłości... Ogród to niesamowite miejsce.

– Tak, jest naprawdę piękny – zgodził się gwardzista.

Manuel spojrzał na niego zdziwiony: wyrażenie „naprawdę piękny” pasowałoby do każdego, tylko nie do Nogueiry.

Gwardzista, świadomy badawczego spojrzenia rozmówcy, zmarszczył brwi, dopalając papierosa.

– Tylko proszę nie mylić wizyty turystycznej ze współpracą. Najpierw zawiadomił rodzinę, a potem zabrał pana do ogrodu, żeby pana

zdezorientować.

– Poznałem kilka osób, które tam pracują, stróża i weterynarza, pomocnika Catariny przy uprawie gardenii, Herminię, gosposię, która jest tam od zawsze, i Saritę, która pomaga jej w pracach domowych.

– Mógł pan z nimi porozmawiać?

– Przez chwilę z Herminią, zaledwie kilka minut. Była bardzo serdeczna – powiedział, przypominając sobie zbyt wylewny uścisk kobiety. – Przez pozostałą część wizyty Griñán nie odstępował mnie na krok – przyznał Manuel – i wydaje mi się, że pomimo jego wysiłków, by zminimalizować moją obecność w posiadłości, pani markizie wcale się to nie spodobało. Kazała, żeby do niej przyszedł, a kiedy wrócił, nagle zaczęło mu się spieszyć i podał nędzną wymówkę, żebyśmy wyjechali. Nawet Herminia to zauważyła.

Nogueira pokręcił głową.

– Byłem też w kwaterze – ciągnął Manuel. – W aucie mam pudło z ubraniami i rzeczami osobistymi.

– Dobrze, zawiozę je Ofelii.

– Samochód nadal tam jest. Żeby go przyprowadzić, musiałbym zostawić swój; jutro pojedę taksówką.

– Powinienem był o tym pomyśleć – powiedział z irytacją. – Niech mi pan da kluczyki, poproszę zaprzyjaźnionego gwardzistę, żeby go tutaj przyprowadził, a kluczyki zostawił w barze. Ja go odbiorę.

Manuel odwrócił na chwilę wzrok, nabrał powietrza i powoli je wypuścił, nim zaczął mówić. Miał problem z przyznaniem się, że był idiotą.

– Oddali mi dwa telefony komórkowe. O jednym wiedziałem, ale nie miałem pojęcia o istnieniu tego drugiego. Najwyraźniej Álvaro korzystał z niego do prowadzenia tutaj swoich spraw – powiedział, wyjął z kieszeni iPhone i położył go na stole, nie mogąc przestać myśleć o Mei, która

odebrała tamto połączenie. – Sieć przedsiębiorstw skupiająca całe mienie, posiadłości, hodowlę bydła i produkcję rolną, co wcale nie jest nieistotne. – Manuel przesunął telefon w stronę gwardzisty. – W terminarzu wszystkie wizyty są pod hasłem „spotkanie z The Hero’s Works”.

Nogueira wziął aparat, nie przestając patrzeć na Manuela, który mówił dalej.

– The Hero’s Works jest firmą, która połączyła wszystkie poprzednie plus dwie bodegi i eksportera galisyjskich win. Faktury za ten telefon były wysyłane do jego biura, tak więc ja nigdy niczego nie podejrzewałem, a przecież – dodał, gorzko się uśmiechając – wiedziałem o każdym spotkaniu z The Hero’s Works. Sekretarka Álvaro miała je w firmowym terminarzu wymieszane ze spotkaniami z pozostałymi klientami. Dokładnie co dwa miesiące Álvaro wyjeżdżał na dwa dni, żeby zobaczyć się z tym ważnym klientem, którym był on sam. Co dwa miesiące od trzech lat...

Przyjście kelnera z napojami sprawiło, że Manuel pogrzyżył się w mrocznej ciszy, w której rozbrzmiewały słowa Mei: „Wie, że go zabiłeś”. Wziął swoje piwo i pogardził talerzem z jedzeniem, które wydawało się towarzyszyć każdej konsumpcji alkoholu w tym miejscu.

Zastanawiał się, czy powinien przekazać gwardziście to, co usłyszał od Mei. Nie był pewien. Uświadamiał sobie wagę tej informacji, jednak z drugiej strony rozumiał, że dla porucznika ten fragment rozmowy byłby wystarczający, aby bez wahania skazać Muñiza de Dávilę. Podniósł wzrok i go obserwował. Nogueira uważnie analizował terminarz w iPhonie, przesuując palcem po ekranie. Spojrzał na Manuela, wstał i odsunął krzesło, ustawiając je obok.

– Proszę spojrzeć na to – powiedział, pokazując na ekran. – Jak pan mówi, spotkania z The Hero’s Works były regularne i terminowe, dwa dni co dwa miesiące, z wyjątkiem września, gdzie w terminarzu zarezerwowano aż

pięć dni, widzi pan? To zawsze te same dni albo bardzo zbliżone. Ostatnie spotkanie odbyło się między drugim a trzecim lipca... Ale następne było zaplanowane na końcówkę tego tygodnia.

– Griñán poinformował mnie o rutynie cyklicznych spotkań, powiedział też, że teraz Álvaro nie powinien tu być i że nie wiedział o jego przyjeździe.

Nogueira odetchnął głęboko. Odłożył na chwilę telefon, dojadając zawartość talerza i jednym łykiem dopijając piwo. Spojrzał na drugi talerz.

– Nie będzie pan tego jadł?

Manuel zaprzeczył, kręcąc głową, a porucznik pochłonął to, co przypominało makaron z pomidorami i mięsem. Zadowolenie pojawiło się na jego twarzy dopiero wtedy, gdy zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

– Zdobył pan faktury za ten telefon? – zapytał.

Manuel wziął aparat, uruchomił ekran i poszukał wśród ikonek.

– Nie ma takiej potrzeby, telefon posiada aplikację, w której można sprawdzić wszystkie połączenia wykonane i odebrane, nawet jeśli znikną z rejestru.

W ciągu ostatniego miesiąca wykonano z tego aparatu wiele telefonów, a odebrano bardzo mało; trzy z rzędu z numeru z czterema cyframi, z tego dziwnego numeru, o którym mówiła Mei, i kolejne dwa z numeru z ciągiem niezidentyfikowanych cyfr. Wszystkie z dnia, w którym Álvaro pojechał do Galicji.

Manuel podniósł wzrok znad ekranu.

– Co pan o tym sądzi?

– Czterocyfrowy numer jest z budki telefonicznej – powiedział gwardzista, potwierdzając przeczucie Mei. – Możemy ją zlokalizować, choć na wiele się to nie zda. Ale spróbujemy, bo samo miejsce mogłoby być jakimś tropem. Ten drugi jest z telefonu stacjonarnego, a prefiks to ten rejon...

Nogueira wyjął swój notes i nagryzmolił numery na jednej ze stron. Potem wyciągnął telefon i zaczął dzwonić. Podniósł go do ucha i po kilku sekundach podał Manuelowi, który usłyszał jeszcze część wiadomości: „... kancelaria pracuje w godzinach od ósmej do szesnastej. W sprawie umówienia się na spotkanie proszę zostawić swój numer telefonu po sygnale, a my oddzwonimy”.

Manuel odsunął telefon w chwili, gdy rozbrzmiało znajome piknięcie. Nogueira nacisnął przycisk i się rozłączył.

– Kancelaria notarialna Adolfo Griñán. Nie uważa pan tego za zbyt duży zbieg okoliczności, że notariusz dzwonił do Álvaro dokładnie w tym samym dniu, w którym ten postanowił tu przyjechać? I, jak sam twierdzi, był jedyną osobą mogącą kontaktować się z nim pod tym numerem. Jeśli Álvaro był tutaj, to dlatego, że Griñán do niego zadzwonił, i być może zrobił to też z budki...

Manuel pomyślał o drugim telefonie, o głosie drugiego mężczyzny, co do którego Mei miała pewność, że nie był to Griñán, i o tym, co powiedział: „Wie, że go zabiłeś”. Ale opowiedzenie o tym Nogueirze oznaczało rzucenie na Álvaro oskarżenia, które wpłynęłoby na pogląd gwardzisty, nie zostawiwszy miejsca na nic więcej. Jeszcze za wcześnie.

– Tak więc jutro z samego rana, bez zapowiedzi – powiedział stanowczo Nogueira – chcę, żeby stawił się pan w kancelarii, przerwał to, co akurat będzie robił nasz przyjaciel notariusz, i poprosił go o wyjaśnienia. Proszę mu powiedzieć, że wie pan o tym, iż Álvaro tutaj był, ponieważ on do niego dzwonił, i zobaczymy, z czym wyskoczy tym razem. Mówiłem panu, że on mi się ani trochę nie podoba.

Manuel przytaknął zamyślony. Nie był to triumf, jak myślał Nogueira, ale owszem, niezły trop.

– I proszę wrócić do As Grileiras. Do diabła, ma pan pełne prawo, koniec

końców jest pan prawnym właścicielem. Bez tego pyszałka Griñána ktoś na pewno powinien być bardziej rozmowny.

Manuel przekazał Nogueirze kluczyki do samochodu Álvara razem z telefonami oraz resztą jego rzeczy i patrzył, jak odchodzi. Myślał przy tym o Griñanie i o tej zwyczajowej służalczości, o której opowiadała mu lekarka sądowa. Uznał też, że pomysł powrotu do As Grileiras był całkiem dobry.



Recepcjonistka w kancelarii notarialnej uśmiechnęła się na jego widok. On odwzajemnił uśmiech i skierował się na korytarz prowadzący do gabinetu Griñána. Witał się na lewo i prawo z mijającymi go osobami – sekretarzami, doradcami. Informacja o tym, że jest znanym pisarzem, krążyła po biurze, rozbudzając ciekawość wszystkich pracowników i wywołując pojawienie się tych spojrzeń, które widział już tyle razy, tych nieśmiałych uśmiechów, podziwu... Doval zatrzymał go tuż przy drzwiach gabinetu.

– Pan Griñán nie mówił mi, że pan dziś przyjdzie – powiedział z uśmiechem.

– Ponieważ nie wie, że tu jestem.

Doval popatrzył na niego zmieszany, ale natychmiast się pozbierał.

– Och, w takim razie gdyby był pan łaskaw zaczekać, powiem mu, że pan przyszedł.

– Nie, nie będę łaskaw, myślę, że cała łaskawość, jaką miałem, już mi się wyczerpała – odparł, mijając sekretarza i dotykając drzwi.

– Ale... nie może pan... – powiedział Doval za jego plecami, kładąc mu rękę na ramieniu.

Manuel zatrzymał się, puszczając klamkę i ostrożnie się odwracając.

– Proszę mnie nie dotykać – zwrócił mu uwagę.

Doval zabrał rękę, jakby dotknął przewodu elektrycznego.

Nagle drzwi się otworzyły i naprzeciwko stanął notariusz, który nie potrafił ukryć zaniepokojenia.

– Pan Ortigosa, nie spodziewałem się pana, co mogę dla pana zrobić?

– Och, na początek może pan przestać mnie okłamywać – odparł Manuel, patrząc na niego surowo.

Twarz Griñána, z natury przyjazna, teraz nabrała oznak wściekłości. Spojrzał na sekretarza, który stał za plecami Manuela, i powiedział:

– Doval, ja się tym zajmę, zapomniałem, że mam coś ważnego do omówienia z panem Ortigosą. Przynieś nam kawę.

Odsunął się, by pozwolić Manuelowi przejść, i zamknął za sobą drzwi.

– Nie okłamywałem pana – stwierdził poważnym tonem, upewniając się, że drzwi są zamknięte.

– Álvaro przyjechał do Galicji, bo pan do niego zadzwonił – wypalił, nie dając mu czasu, by schronił się bezpiecznie za swoim biurkiem.

Griñán spuścił wzrok i milczał. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie rozbrzmiewał głęboki smutek, który Manuelowi wydał się szczery.

– I do końca życia będę żałował, że to zrobiłem... Ale nie okłamywałem pana, nie wiedziałem, że tu jest, dowiedziałem się dopiero, kiedy mnie powiadomiono.

– Po co pan do niego dzwonił? – zapytał tym samym surowym tonem.

Griñán dowlóknął się do swojego fotela i ruchem ręki pokazał Manuelowi, żeby usiadł.

– Chodziło o kwestię finansową. Santiago potrzebował pewnej sumy pieniędzy, poprosił mnie o nią, a ja poinformowałem Álvaro. Jako jego pełnomocnik dysponuję dodatkową miesięczną kwotą w wysokości dziesięciu tysięcy euro, które mogę przekazać administratorowi posiadłości. Jest to suma przeznaczona na pokrycie ewentualnych nieprzewidzianych

wydatków, ale kwota, o jaką poprosił Santiago, była znacznie wyższa.

– Ile chciał?

Griñán myślał przez chwilę.

– Trzysta tysięcy euro.

– Powiedział panu, na co mu są potrzebne te pieniądze?

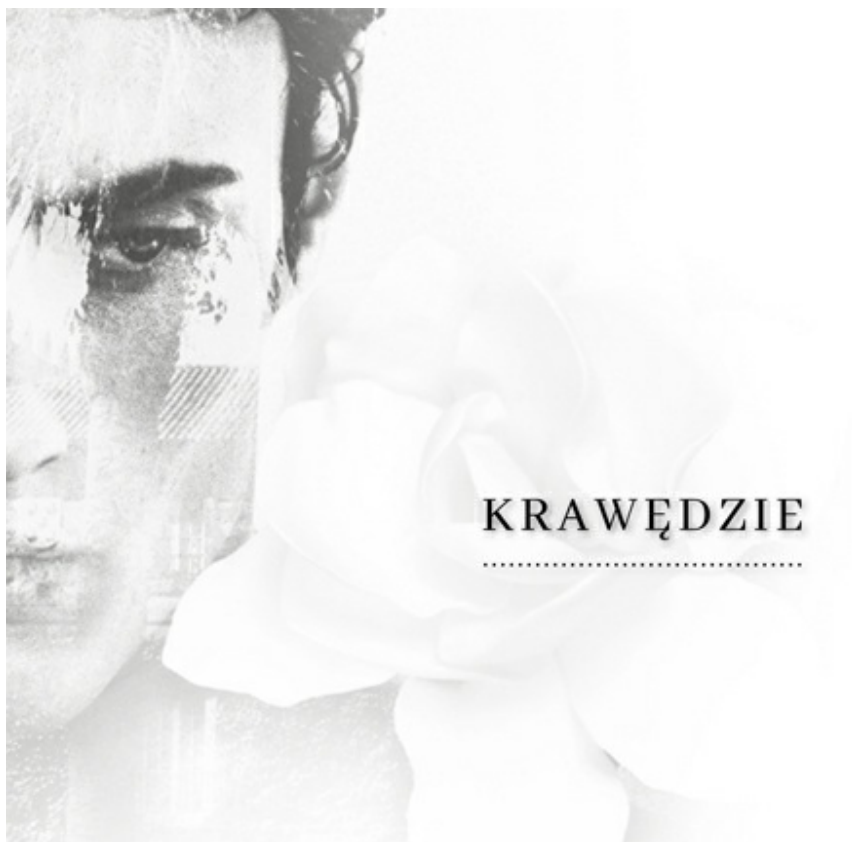
Pokręcił głową.

– Nie chciał nic zdradzić, ale spieszył się i ewidentnie było to dla niego bardzo ważne. Zadzwoiłem do Álvara i poinformowałem go o tym. Nic więcej. Nie kłamałem, nie wiedziałem, że tu przyjechał, do momentu, aż Santiago zawiadomił mnie o jego śmierci.

Wychodząc, minął Dovala, który niósł kawę na posrebrzanej tacy. Manuel odwrócił się w stronę notariusza.

– Griñán, następnym razem niech pan nie ostrzega As Grileiras, proszę nie zapominać, że nadal jestem właścicielem.

Mężczyzna skinął głową, nie kryjąc przygnębienia.



KRAWĘDZIE

Drudne światło z chlorowatego nieba, dominujące w ostatnich dniach, zostało zastąpione innym, o wiele wyraźniejszym, które po obu stronach drogi pozwalało odróżnić srebrzystą niebieskość eukaliptusów od zieleni i czerni janowca ciernistego. Mury ze starego kamienia prawie całkowicie pokryte porostami, liche drewniane ogrodzenia, domy, których było coraz mniej, w miarę jak oddalał się od miasta. Wszystko wydawało się skąpane w patynie. Nachylił się, aby przez przednią szybę samochodu spojrzeć na niebo. Niebieskie chmury wyglądały jak namalowane farbami olejnymi, których nie wystarczyło i w kilku miejscach pozostał biały kolor. „Tam wysoko pewnie wieje wiatr”, pomyślał. Tymczasem na ziemi nie poruszał się nawet liść. Wilgotność wypełniała już powietrze swoim ciężarem, na deszcz nie trzeba będzie długo czekać.

Zaparkował w tym samym miejscu co poprzedniego dnia przy okazji

wizyty z Griñánem. Samochód można było zobaczyć z każdej części domu, ale nie przejmował się tym. Jak powiedział Nogueira, nie była to wizyta kurtuazyjna – miał pytania i przyjechał po odpowiedzi.

Czerwony nissan jechał żwirową drogą w stronę wyjazdu. Manuelowi wydawało się, że za kierownicą rozpoznał twarz mężczyzny, którego widział w kościele podczas pogrzebu. Pojazd zmniejszył prędkość, niemal zatrzymując się obok niego. Kierowca nie ukrywał zdziwienia w oczach. Kiedy Manuel był pewien, że się zatrzyma i coś mu powie, ten przyspieszył i opuścił rezydencję.

Zamknął drzwi samochodu i zatrzymał się na kilka chwil, przyciągnięty białą kwiatów, które sprawiały, że błyszcząca zieleń żywopłotu wyglądała niemal na czarną. W głowie pojawił mu się obraz dwóch gardenii, które z powrotem włożył do szuflady stolika nocnego przed wyjściem z hostelu. Przywabiony bladą delikatnością płatków, wyciągnął rękę i dotknął korony kwiatu w momencie, w którym Herminia – prawdopodobnie zaalarmowana odgłosem zatraskiwanych drzwi samochodu – wyjrzała przez okno w kuchni i pokazała mu gestem, żeby podszedł.

Przed wejściem siedział nieustraszony czarny, gruby kot i trzymał straż. Manuel uśmiechnął się, widząc, jak Herminia go przeganiała.

– Wynocha, diable! – krzyknęła, tupiąc nogą w podłogę.

Zwierzak oddalił się zaledwie o metr, usiadł i żeby pokazać pewność siebie, zaczął machać ogonem, udając, że nie zwraca na nich uwagi.

– Chodź, *fillo*[2], wejdz, niechże cię zobaczę – powiedziała, ciągnąc go do kuchni. – Nie wychodzisz mi z głowy, nie myślę o niczym więcej, tylko o tym, przez co musisz przechodzić. Siadaj i zjedz coś – nakazała, kładąc przed nim wielki bochenek galisyjskiego chleba i krojąc ciemną, pachnącą kromkę, na którą położyła kielbasę i ser.

Manuel się uśmiechnął.

– Naprawdę nie jestem głodny, w hostelu zjadłem śniadanie.

– Wolisz coś na ciepło? Zaraz zrobię ci dwa jajka.

– Nie, naprawdę... Nie jestem głodny.

Kobieta popatrzyła na niego zasmucona.

– Jak ty masz mieć apetyt, dziecko, przy tym, co przechodzisz? – Westchnęła. – A kawa? Kawy się napijesz.

– Dobrze – zgodził się, wiedząc, że gdyby tego nie zrobił, Herminia proponowałaby mu jedzenie przez cały dzień. – Napiję się kawy, jednak wcześniej mam pewną sprawę do omówienia z Santiagiem.

– Jeszcze nie wrócili, ale dzwonili dziś rano i powiedzieli, że przyjadą w nocy.

Manuel skinął zamyślony.

– Ale jest Kruk.

Spojrzał na nią, niczego nie rozumiejąc.

– Kruk – powtórzyła kobieta, pokazując ręką na sufit. – Ona zawsze tam stoi i obserwuje.

Manuel dał jej znać, że rozumie, podczas gdy w jego myślach pojawiły się złowieszcze słowa z poematu Poego, który kupił poprzedniego popołudnia: „Nigdy więcej!”. Siedział posłusznie, a kobieta układała ciasteczka na talerzu przykrytym serwetką.

– Są też Elisa i chłopiec – powiedziała, zmieniając ton. – Pewnie poszli na cmentarz. Elisa zawsze tam siedzi.

Przygotowała kawę, którą naląła do dwóch filiżanek z kociołką z przykrywką stojącego na gorącym piecu, usiadła obok i popatrzyła na Manuela z czułością.

– Aj, *nenó*! Nie czujesz się dobrze, choćbyś nie wiem, co mówił. Wiem, myślisz, że cię nie znam, ale to nieprawda, bo znałam Álvara i wiem,

że osoba, która wybrała mojego chłopca, musi mieć wielkie serce.

– Mówił ci o mnie?

– Nie było takiej potrzeby, oczywiście wiedziałam, że w jego życiu ktoś jest, to było widać w jego uśmiechu, w jego spojrzeniu. Wychowywałam dzieci tej rodziny od chwili narodzin, widziałam, jak dorastają i stają się mężczyznami, i kochałam je najbardziej na świecie. Serce mojego chłopca nie miało przede mną tajemnic.

– Dla mnie i owszem – wyszeptał Manuel.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Manuela. Była sucha i ciepła od trzymania filizanki.

– Nie bądź wobec niego taki surowy. Nie powinnam tego mówić, bo kochałam ich wszystkich, na swój sposób wszyscy byli dobrzy, ale Álvaro to mój ulubieniec. Od małego było widać, że jest silniejszy i odważniejszy od pozostałych. Z powodu takiego charakteru miał tyle konfliktów ze swoim ojcem.

– Griñán mi o tym mówił. Niestety są ojcowie, którzy nie akceptują swoich dzieci takimi, jakimi są.

– Powiedział ci, że dla jego ojca problemem była homoseksualność?

– Tak... – odparł zmieszany.

Kobieta wstała i otworzyła szafkę, z której wyjęła torebkę, następnie poszukała portfela, wyciągnęła z niego zdjęcie i położyła je na stole przed Manuelem. Było dobrze zachowane, chociaż rogi się zagięły, przyjmując kształt portfela, w którym leżało, z pewnością przez długie lata. Znajdowało się na nim trzech chłopców. Tylko jeden z nich patrzył w obiektyw kamery, pozostali dwaj spoglądali na niego.

– Ten najwyższy to Álvaro, dalej jego przyjaciel Lucas, ksiądz, i jego brat Santiago. Miał tutaj jakieś dziesięć lat, a Santiago osiem.

Manuel wyciągnął palec i pogłaskał fotografię. Było to pierwsze zdjęcie

Álvara z czasów dzieciństwa, jakie widział. „Musiałeś być pięknym dzieckiem”, mówił mu nieraz. „Przeciętnym”, odpowiadał on. Ale chłopiec z brązowymi włosami rozjaśnionymi słońcem i wielkimi oczami, którego miał przed sobą, bynajmniej nie był przeciętny. Uśmiechał się szeroko do obiektywu i przyjaźnie trzymał rękę na ramieniu Lucasa. Santiago, w połowie schowany za swoim bratem, niemalże wisiał na jego lewej ręce w geście przypominającym zależność albo błaganie.

– Mój mąż zrobił to zdjęcie w tym miejscu, przed kuchnią, aparatem, który wtedy podarowałam mu na urodziny. Zawsze uważałam tę fotografię, która przecież nie jest niczym nadzwyczajnym, za najlepszy portret moich dzieci z czasów, gdy były małe.

Przywódstwo chłopca patrzącego w obiektyw ze środka zdjęcia było ewidentne. Lucas uśmiechał się z takim podziwem, jak ktoś, kto jest gotów podać za swoim przyjacielem zawsze i wszędzie. Najmłodszy chłopiec wyglądał na obrażonego, a w sposobie, w jaki zwisał z ramienia brata, można było dostrzec niepokój, tak jakby się obawiał, że to zdjęcie w jakiś sposób skradnie potężny magnetyzm jego Álvara.

Herminia ze wzruszeniem obserwowała reakcję Manuela na fotografię.

– Nie wydaje mi się, by miało to coś wspólnego z homoseksualnością, choć nie powiem, że to pomagało, ale może gdyby Álvaro miał inny sposób bycia, sprawy potoczyłyby się inaczej. Konflikty z Álvarem zaczęły się dużo wcześniej, kiedy był bardzo małym chłopcem. Jakbym go teraz widziała, ledwo odrósł od ziemi i już kłócił się ojcem, spierając się z nim, przeciwstawiając mu się, patrząc na niego w sposób, który markiza wyprowadzał z równowagi... Nie sądzę, by przez całe swoje życie kogokolwiek kochał, ale za to Álvara nienawidził i jednocześnie go podziwiał. – Zrobiła pauzę i popatrzyła na Manuela z powagą. – Nie wiem, czy rozumiesz, o czym mówię, ale był tego typu człowiekiem, który odwagę

ceni ponad wszystko, nawet u wroga.

Manuel skinął głową.

– Tak, wiem, co masz na myśli, jednak trudno mi zrozumieć, że zderzenie charakterów może skłonić ojca do odsunięcia swojego syna ot tak od reszty rodziny.

– To było coś silniejszego niż zwykle zderzenie charakterów. Ojciec Álvaro zawsze był bardzo dominującym mężczyzną i w tej rodzinie wszyscy tańczyli tak, jak im zagrał, z wyjątkiem Álvaro, a to było dla niego nie do zniesienia. Pamiętam takie zdarzenie – ciągnęła kobieta – Álvaro musiał mieć wtedy osiem albo dziewięć lat; o dwa lata młodszy Santiago, który już wtedy był bardzo niespokojnym i kapryśnym dzieckiem, wziął zapalniczkę z gabinetu ojca i przyszło mu do głowy, żeby podpalić stertę słomy w stajni. Nie ugasił jej potem do końca i kiedy już sobie poszedł, stajnia zajęła się ogniem. Na szczęście jeden z chłopaków widział, że się tam kręci, i postanowił sprawdzić, co mógł zmagistrować, dzięki czemu od razu ugasił ogień. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, z paskiem w ręku zaczął szukać Santiaga, który schował się przed nim ze strachu. Wtedy na ojca natknął się Álvaro i powiedział, że to on. Nigdy nie zapomnę, jak tamten na niego spojrzał, jakby nagle to, co się stało, kompletnie straciło znaczenie; koncentrował się tylko na chłopcu i na jego słowach. Zrobił się bardzo poważny i powiedział: „Wiesz, co myślę? Myślę, że mnie okłamujesz, myślę, że chcesz mnie oszukać, a nie pozwolę, żebyś ze mnie szydził”. Przez cały dzień trzymał go tutaj, przed wejściem do domu, na stojąco, nie pozwalając mu usiąść, jeść ani pójść do toalety. W południe zaczął padać deszcz, a mimo to ojciec nie pozwolił Álvarovi wejść do środka. Co dwie godziny wychodził ze swoim czarnym parasolem i pytał: „Kto to zrobił?”, a on odpowiadał: „To ja, ojczu”.

Manuel słuchał słów Herminii i nietrudno mu było wyobrazić sobie tego

chłopca z ciemnymi włosami i dumnym spojrzeniem, którym prowokował swojego ojca, pozostając nieugiętym.

– Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się stało, ale była zima, mróz i o wpół do szóstej już zaczęło się ściemniać, a na dodatek rozpętała się burza, grzmoty, wiatr i tyle błyskawic, że o szóstej zgasło światło i naprawili je dopiero nazajutrz. Podczas kolacji Santiago był tak przestraszony, że z płaczem wyznał ojcu prawdę. Markiz nawet na niego nie spojrzął, odwrócił się i kazał mu iść do łóżka. Wszyscy się położyli, poza mną i markizem. Nic mi nie powiedział, ale nie miałam zamiaru kłaść się spać, zostawiając tam dziecko. O pierwszej w nocy zszedł tutaj, do kuchni, i to było dziwne, bo oni, rodzice, nigdy tu nie wchodzili. Ona tu do dzisiaj nie zajrzała. W ręku niósł świecę i w tej ciemności rozświetlonej słabym płomykiem wyglądał na jeszcze groźniejszego. Zatrzymał się przy oknie i powiedział: „Ten dzieciak ma większe jaja niż wszyscy znani mi mężczyźni razem wzięci”. W jego głosie pobrzmiwały duma i podziw. Kazał, żebym poczekała, aż on się położy, i żebym wtedy wpuściła chłopaka. Później, z biegiem lat, widziałam to spojrzenie wiele razy; nienawidził Álvaro, ale w sposobie, w jaki chłopiec go prowokował, było coś, co jednocześnie mu się podobało. Tylko nie mył tego z miłością, nie kochał żadnego ze swoich starszych synów, Álvaro wprost nienawidził, a Santiaga poniżał od urodzenia i *pobriño*^[4] przez całe życie chodził za nim jak pies, liżąc mu palce w poszukiwaniu odrobiny miłości, a nie dostawał nic z wyjątkiem pogardy. Widziałam, z jakim szacunkiem patrzył na Álvaro...

– Jak żyli ze sobą Álvaro i Santiago? – zapytał Manuel, zaintrygowany dominującą postawą chłopca ze zdjęcia.

– Dobrze, bardzo dobrze, mocno się kochali. Santiago oprócz tego, że był młodszy – powiedziała, wskazując na fotografię – był też niższy i trochę grubszy. Inne dzieci mu dokuczały, a Álvaro zawsze go bronił. Dbał o brata,

odkąd ten zaczął chodzić, prowadzał go za rękę i w pewnym sensie nigdy jej nie wypuścił, a Santiago go podziwiał, całował ziemię, po której stąpał. Wszystko, co robił Álvaro, było dobre. Santiago zawsze był najbardziej sentymentalny z całej trójki, najwrażliwszy. Kiedy umarł jego brat Fran, był rozbity, ale nigdy nie widziałam go tak zrozpaczonego jak w tamtą noc, gdy odszedł Álvaro. Zachowywał się jak szaleniec, myślałam, że może zrobić jakieś głupstwo.

Manuel pomyślał o dwóch sytuacjach, w których widział Santiaga w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Nie wiem, wydają się bardzo różni...

– I to prawda, ale byli ze sobą związani, chociaż w dziwny sposób; Álvaro traktował to jako pewne zobowiązanie, jakby czuł się odpowiedzialny za swojego brata. On miał mnóstwo przyjaciół poza rezydencją, a Santiagowi trudniej było nawiązywać relacje. Gdyby nie Álvaro, biedne dziecko całe dzieciństwo spędziłoby samo.

– Byli sporo starsi od najmłodszego, prawda?

– Kiedy Fran się urodził, Álvaro miał jedenaście lat, a Santiago dziewięć. Z nim też dobrze się rozumiał, choć jasne, że bardzo krótko mieszkali razem, niedługo po narodzinach Frana wysłano Álvára do internatu w Madrycie, a potem przyjeżdżał tylko na wakacje. Większy kontakt mogli mieć po śmierci ojca, ale Fran przeżył go tylko o dwa dni. Mój biedny mały chłopiec! Jego jedyne markiz kochał, oczywiście na swój sposób, i widzisz, zniszczył go dzięki rozpieszczaniu i pozwalaniu mu na wszystko. – Na jej twarzy pojawił się głęboki ból. – Chociaż muszę przyznać, że każde z nas to robiło... Być może z powodu różnicy wieku, jaka dzieliła go z Álvarem i Santiagiem, dla wszystkich stał się zabawką. Był cudowny, zawsze się śmiał, śpiewał, tańczył, miał wesoły i pochlebny charakter; wciąż mi się wydaje, że go widzę. Wchodził tu, ścisnął mnie, całował, rozwiązywał mi

fartuch, prosił mnie o pieniądze, a ja mu je dawałam – przyznała smutno, godząc się z własną częścią winy.

Manuel popatrzył na nią zaskoczony.

– Rozpuścili go – wywnioskował.

– Tak. No cóż, ja, brat, wszyscy w jakimś momencie dawaliśmy mu pieniądze. Jak możesz sobie wyobrazić, nigdy niczego im nie brakowało. W swoim czasie mieli prawo jazdy, dobry samochód po osiągnięciu pełnoletności, podróże, jeździectwo, szermierkę, polo, polowania, cokolwiek chcieli... Ojciec napełniał im portfele, bo synowie markiza nie mogli chodzić bez pieniędzy, ale Fran... – Na jej twarzy znów pojawił się głęboki ból. Pokręciła głową. – Fran nigdy nie miał dosyć, nie chcieliśmy tego dostrzec, aż było za późno. Pewnego dnia miałam zamiar wejść do łazienki w jego pokoju i okazało się, że była zamknięta. Nikt nie odpowiadał, aż w końcu mój mąż razem z innym mężczyzną wyważyli drzwi i tam go znaleźliśmy. Leżał na podłodze ze strzykawką zwisającą z ręki. Był uzależniony od narkotyków, on i jego narzeczona, Elisa.

– Nikt się nie zorientował? Niczego nie zauważyliście?

– Słyszałeś o ludziach, którzy patrzą, ale nie chcą widzieć? Wszyscy to podejrzewali albo myśleli o tym w jakimś momencie. Stan chłopaka znacznie się pogarszał. Ojciec znalazł mu bardzo dobrą i bardzo drogą klinikę w Portugalii, ale Fran zgodził się pojechać pod warunkiem, że będzie przy nim Elisa. Spędzili tam prawie rok, przyjeżdżali tylko na specjalne okazje, jak święta Bożego Narodzenia czy urodziny ojca, i zaraz potem musieli wracać, żeby realizować program kliniki. I nawet wtedy nastawienie ojca do niego się nie zmieniło, ciągle był jego oczkiem w głowie. Matka prawie nie mogła na niego patrzeć, wystarczy się jej tylko przyjrzeć, by mieć pewność, że ktoś z taką słabością jak Fran był dla niej wariatem. Ale z ojcem to już inna historia, jakby ten zły człowiek zdał sobie sprawę, że jego syn był

ulepiony z innej, wyjątkowej gliny, i ja też tak uważam. Są tacy ludzie jak Álvaro, którzy potrafią znieść wszystko, i tacy jak Fran, zbyt wrażliwi, by żyć na tym świecie.

– I Fran zmarł podczas jednej z tych wizyt w domu – wywnioskował Manuel.

– Ojciec kazał do niego zadzwonić, kiedy zdał sobie sprawę, że umrze. Miał raka, chorował od wielu lat, ale dzięki leczeniu udało mu się trzymać chorobę na dystans i prowadzić w miarę normalne życie, aż nagle ten drań dał o sobie znać i choroba zajęła wszystkie organy, powodując takie szkody, że nie było już odwrotu. Trwało to zaledwie dwa miesiące, jednak cierpiał jak nikt, mimo że do samego końca stał pod wpływem morfiny. Fran wrócił do domu, żeby przy nim być, całymi dniami siedział u jego boku, a stary nie chciał widzieć nikogo więcej, nawet Santiaga. I Fran zachował się jak mężczyzna, prawie nie spał, trzymał go za rękę, wycierał mu ślinę, mówił do niego, cały czas byli tylko we dwóch... Aż markiz umarł.

Kobieta zamilkła i kilka razy pokręciła głową, jakby chciała spłoszyć niepożądane wspomnienie.

– Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak płakał. Stał tam, mocno trzymając rękę ojca, aż opadła, i wtedy zaczął płakać, że serce się krajało. Wszyscy, którzy wchodziliśmy do tego pokoju, od członków rodziny po lekarza, od księdza po pracownika zakładu pogrzebowego, wszyscy koniec końców płakaliśmy, ale zapewniam cię, że jedyne łzy, które tam płynęły z powodu zmarłego, należały do Frana. Płakał jak małe dziecko, nie kryjąc twarzy. Łzy spływały mu po policzkach, a on jakby ich nie zauważał, jak zagubiony chłopiec... Powinniśmy zdać sobie sprawę, że właśnie nim był, chłopcem zagubionym w ciemności i umierającym ze strachu. Nigdy nie zapomnę twarzy jego matki, kiedy weszła do pokoju i zobaczyła, że Fran tak płacze: najwyższa pogarda, ani śladu litości czy szacunku. Z obrzydzeniem

odwróciła wzrok i wyszła stamtąd, żeby na niego nie patrzeć. Dzień po pogrzebie znaleźli go martwego po zażyciu narkotyków, leżącego na grobie ojca.

Herminia westchnęła i przez kilka sekund Manuel cierpliwie czekał, żeby wznowiła opowieść. Spojrzawszy na nią, zobaczył, że zamknęła oczy, mocno je zaciskając, jakby nie pozwalała wyjść łzom, którym udało się jednak uciec spod jej powiek i teraz płynęły jej po twarzy.

Siedziała nieruchomo, nie wydając żadnych dźwięków, aż w końcu odetchnęła głęboko i zakryła twarz dłońmi.

– Przepraszam – zdołała powiedzieć łamiącym się głosem.

W tym czasie Manuel, zakłopotany bolesną sytuacją, wahał się między impulsem, by ją objąć, a poczuciem wtrącania się w cierpienie, które było mu obce. Ostatecznie wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia i ścisnął delikatnie, by zapewnić Herminię o swoim wsparciu. Ona zareagowała i położyła dłoń na jego dłoni. Znow była spokojna.

– Przepraszam – powtórzyła, ocierając łzy i biorąc się w garść. – Najpierw Fran, teraz Álvaro... – dodała, kierując rękę ku zdjęciu leżącemu na stole.

– Nie musisz przeproszać, Herminio – odparł Manuel i przysunął do niej fotografię po blacie.

Popatrzyła na nią czule.

– *Pobriño*, to ja ciebie powinnam pocieszać. Możesz ją zatrzymać, *fillo* – powiedziała i położyła swoją dłoń na jego.

Uciekając od niepożądanego litości, gwałtownie odsunął rękę.

– Nie, Herminio, jest twoja, przechowywałaś ją przez te wszystkie lata...

– Chcę, żebyś ją zachował – nalegała kobieta.

Przygnębiony, spojrzał chłopcu ze zdjęcia prosto w oczy, a jego czyste spojrzenie przeszło go niczym sztylet. Ukrywając zaniepokojenie, wziął

fotografię i aby uniknąć kolejnego kontaktu z tą siłą, wsunął zdjęcie do wewnętrznej kieszeni marynarki. Próbował przekierować rozmowę na inne tory, świadomy spojrzenia Herminii.

– A Elisa?

– Elisę uratował jej syn. Była już w ciąży, w początkowej fazie, ale to wystarczyło, żeby nie nastąpił nawrót. Przez cały czas była czysta i jest już całkowicie wyleczona. To cudowna dziewczyna, a chłopiec... Czy mam ci mówić, że kocham go jak własnego wnuka? Jest bardzo zdolny. Ma trzy lata i już umie czytać, Elisa go nauczyła. Czasem chłopczyk mówi takie rzeczy, jakby był małym mężczyzną, ale to jasne, skoro całymi dniami przebywa wśród dorosłych, tutaj w pazo...

Manuel mimowolnie wykonał gest dezaprobaty, co zachęciło Herminię do pogłębienia tematu.

– Nie mówię, że to źle, pazo jest dobrym miejscem do wychowywania dziecka, ale mały nie chodził do żłobka, a Elisa nie chce nawet słyszeć o wyjeździe stąd. Wątpię, czy kiedykolwiek zabrała go do parku. Dzieci muszą przebywać z innymi dziećmi, w przeciwnym razie stają się dziwne.

Manuel popatrzył na nią zaskoczony, ale kobieta unikała jego wzroku.

– Wcześniej mówiłaś, że zawsze przesiaduje na cmentarzu...

– Codziennie, rano i po południu. Latem siedzi tam aż do zachodu słońca. Bawi się z dzieckiem na placu przed kościołem, ale patrzenie na nią wywołuje... Zawsze sama ze swoim małym między grobami.

– Jak traktuje ją rodzina?

Oboje się odwrócili, słysząc, że weszła Sarita. W rękach trzymała kilka ścierek i produktów do sprzątnia. Herminia zmieniła ton.

– Proszę cię, Sarito, umyj teraz okno w gabinecie don Santiaga.

– Wcześniej mówiła mi pani, żebym umyła lodówkę – powiedziała dziewczyna.

– Później to zrobisz – odparła Herminia.

– Jeśli teraz tego nie zrobię, to dzisiaj nie skończę! – zaprotestowała Sarita.

– Więc przełożysz to na jutro – odpowiedziała zgryźliwie kucharka. – Teraz zajmij się oknem w gabinecie.

Dziewczyna odwróciła się w stronę schodów i zamknęła za sobą drzwi.

Herminia przez kilka sekund siedziała w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w drzwiach, a potem wyjaśniła:

– To dobra dziewczyna, ale nie pracuje tu zbyt długo... Tak samo jak Griñán; ani Sarita, ani ja nie uwierzyłyśmy wczoraj w wymówkę, którą podał, żeby wyjechać.

– Rozmawialiśmy o Elisie – przypomniał jej Manuel.

– Tak, rodzina dobrze ją traktuje, bardzo dobrze, oczywiście to pewne, że z powodu chłopca. Santiago i Catarina przepadają za nim, oni jeszcze nie mają dzieci, więc szaleją na punkcie Samuela, który jest aniołkiem. Sam go zresztą widziałeś: ciepły, wesoły, zawsze jest w dobrym humorze. Álvaro go uwielbiał, rozmawiał z nim całymi godzinami, zabawnie było patrzeć na Samuela, który wyjaśniał mu różne rzeczy z taką pewnością siebie jak dorośli.

– A co z... – zapytał, wskazując na sufit i zniżając głos. – Przez moment widziałem ją w kancelarii notarialnej i nie wyglądała na zbyt miłą dla niej i dla dziecka.

– Kruk. – Pokręciła głową. – Ona nie jest miła dla nikogo, ale ten chłopiec to syn Frana i jej wnuk, płynie w nim krew Muñizów de Dávilów, chociaż ona przeklina związek, z jakiego się narodził, i wysiła się, żeby go nie kochać. Ale to jednak Muñiz de Dávila i na razie jedyny dziedzic, dopóki Santiago nie będzie miał dzieci. Dla nich wszystkich, nawet dla niej, to najważniejsze.



Szedł ścieżką między drzewami, dostrzegłszy, że pod coraz bardziej ołowianym niebem słabe światło, które zazwyczaj sączyło się przez korony drzew, teraz zgasło, a łaty słońca malujące się na ziemi poprzedniego dnia zostały zastąpione przez szare odbicie nieba. Korytarz pod drzewami zrobił się ciemny, a obietnica jasności ostatecznie zniknęła. I chociaż w tym naturalnym tunelu cieszył się ochroną przed podmuchami wiatru, czuł gęsią skórkę spowodowaną obniżeniem temperatury. „Niedługo spadnie deszcz”, powiedział do siebie. Pomyślał też o smutku, którego wszyscy się po nim spodziewali – Griñán, Herminia... nawet on sam.

Był smutny, owszem, ale nie tak, jak przypuszczał. Był pewien, że gdyby miesiąc wcześniej choćby pomyślał o możliwości utraty Álvara, nie zdołałby znieść bólu, nie mógłby go wytrzymać. Wiedział o tym, ponieważ przeżył już coś podobnego. Pamiętał czas, kiedy zmarli jego rodzice, siostrę, która każdej nocy kładła się do jego łóżka, żeby go przytulić, bo nie potrafił przestać płakać, pamiętał ich brak odczuwany na każdym kroku, okrutne i bezlitosne widmo sieroctwa samotnych dzieci, których nikt nie kocha. I przez lata, po tym, jak rak zabrał jego siostrę, sądził, że już nikogo nie pokocha, aż pojawił się on.

To, że w ostatnich dniach odmawiał płakania po Álvarze, wynikało z niezaakceptowania jego zdrady, z trudności, żeby zrozumieć, co zaszło, kto go zamordował i dlaczego. I bez wątpienia dystans, jaki udało mu się stworzyć wobec bólu, pozwalał mu spojrzeć na te wydarzenia z perspektywy, która dawała mu bezpieczeństwo. Dzisiaj jednak coś się stało, coś podróżowało w czasie i przestrzeni za pośrednictwem starej fotografii, żeby dosięgnąć go z całym impetem tych znajomych oczu, tego stanowczego i pewnego siebie spojrzenia, które kochał od początku i o którym zapomniał w ostatnich dniach, spojrzenia herosa.

Podniósł rękę, żeby przez materiał poczuć przywołującą wspomnienia fotografię z zagiętymi brzegami, które niczym haki wbijały się w delikatny materiał jego marynarki oraz w jego serce.

Usłyszał ich, a dopiero potem zobaczył. Samuel śmiał się głośno i niezdarnie uderzał piłką o drzwi kościoła. Znajdująca się przy wejściu Elisa udawała, że stoi na bramce, do której piłka wpadała raz za razem ku ucieście chłopca, który każdego gola celebrował z otwartymi ramionami, jakby fruwał, i biegnąc, zakreślał pełne koło.

Zobaczywszy Manuela, przybiegł do niego, ale zamiast rzucić mu się w ramiona, jak poprzedniego dnia, wziął go za rękę i zaczął ciągnąć, krzycząc:

– Bramkarz, bramkarz, będziesz bramkarzem! – powtarzał, prowadząc go w stronę drzwi kościoła, gdzie matka czekała na nich z uśmiechem. – Mamusia wpuszcza wszystkie gole, ty będziesz bramkarzem, dobrze? – poprosił.

Rozbawiona Elisa wzruszyła ramionami, ukrywając swoją porażkę, i wzięwszy kurtkę, którą zostawiła na schodku przy wejściu, ustąpiła mu pola.

Manuel zdjął marynarkę i położył ją w tym samym miejscu, tuż przy drzwiach.

– Już po tobie, chłopcze, bo jestem niepokonanym bramkarzem – powiedział małemu, gdy ten biegł na środek placu z piłką pod pachą.

Przez kwadrans bawił się z chłopcem, który krzyczał jak szalony za każdym razem, kiedy Manuel zatrzymywał piłkę, i który z jeszcze większą radością cieszył się z goli, które pisarz pozwolił sobie strzelić. Elisa obserwowała ich z uśmiechem, dopingując swojego syna. Później chłopiec zaczął zdradzać oznaki zmęczenia i wtedy pojawiły się cztery zaledwie kilkutygodniowe kotki, które całkowicie pochłonęły jego uwagę.

Manuel zostawił chłopca bawiącego się ze zwierzątkami i podszedł do Elisy.

– Całe szczęście, że przyszedłeś, ja byłam już wyczerpana, a on, biedny, nudzi się, grając zawsze ze mną – powiedziała kobieta.

– Nie ma sprawy, to dla mnie przyjemność – odparł, odwracając się, by spojrzeć na chłopca, i uśmiechnął się, gdy zauważył, że wszystkie cztery koty były czarne.

– Jak się czujesz? – zapytała Elisa, przypatrując mu się z autentycznym zainteresowaniem. Nie była to kurtuazja ani forma pozdrowienia.

– Dobrze – odpowiedział.

Ona patrzyła na niego, delikatnie przechylając głowę na bok. Znał ten gest, oznaczał niedowierzanie; mierzyła go wzrokiem w poszukiwaniu jakiegoś sygnału, znaku, że kłamie. Odwróciła spojrzenie na groby i powoli zaczęła iść w tamtą stronę. On ruszył za nią.

– Wszyscy ci powiedzą, że to kiedyś minie, że z czasem można sobie z tym lepiej radzić. To nieprawda.

Nie odpowiedział, ponieważ tego właśnie się spodziewał, tego, że to wszystko minie, że wyjaśni się okoliczności śmierci Álvara i nadejdzie litościwe zapomnienie, porządek, spokój. Wtedy uświadomił sobie, że Elisa mówiła o własnym bólu.

– Przykro mi – powiedział, leniwie pokazując w stronę grobów. – Griñán wspominał, co się wydarzyło, dzisiaj Herminia wyjaśniła mi okoliczności...

– A więc nie znasz prawdy – odparła szorstko. Złagodziła ton i mówiła dalej: – Herminia nie ma złych intencji, wiem, że szczerze kochała Frana, ale ani ona, ani Griñán nie wiedzą, co się stało. Wydaje im się, że wiedzą, ale nikt nie znał Frana tak jak ja. Jego ojciec przez całe życie go rozpieszczał i traktował nadopiekuńczo, dla wszystkich w rodzinie zawsze był małym chłopcem, tak go traktowali i oczekiwali, że tak się będzie zachowywał.

Tylko ja widziałam we Franie mężczyznę, i nie był on samobójcą – podkreśliła własne słowa spojrzeniem, którym w oczach Manuela szukała jakiejś oznaki sprzeciwu.

– Herminia powiedziała, że nigdy nie widziała nikogo tak zdruzgotanego. Elisa westchnęła.

– I ma rację. Ja też się przestraszyłam, widząc, w jakim był stanie. Cały czas tylko płakał. Nie rozmawiał, nie chciał jeść, z trudem wciskaliśmy w niego trochę rosołu, ale pozostał nieugięty, czuwał przy swoim ojcu przez całą noc, razem z braćmi przeniósł jego trumnę do kościoła, a później do grobu. Godził się ze stratą. Kiedy opuścili trumnę, przestał płakać, pograżył się w spokojnej ciszy... Chciał zostać sam, wyrzucił nas wszystkich, usiadł na ziemi przy grobie i spędził tam cały dzień, nie przyjmując żadnych argumentów, patrząc na pracującego grabarza, aż o zmroku Álvaro przekonał go, żeby wszedł do kościoła. Wieczorem, zanim się położyłam, przyszłam się z nim zobaczyć i przyniosłam mu coś do jedzenia. Był spokojny. Powiedział, żebym się nie martwiła, że wszystko się ułoży i że wraz ze śmiercią ojca uświadomił sobie wiele rzeczy. Poprosił, bym poczekała na niego w domu, potrzebował jeszcze trochę czasu, bo umówił się z Lucasem. Dodał, że musi z nim porozmawiać i że potem przyjdzie do łóżka.

– Z Lucasem, tym księdzem?

– Tak, on odprawiał mszę pogrzebową Álvaro, jest przyjacielem rodziny odkąd chłopcy byli mali. Fran i w ogóle cała rodzina to katolicy. Mnie trochę trudno to zrozumieć, ponieważ nie jestem wierząca, ale dla Frana było to ważne, wiara służyła mu za oparcie podczas odwyku i to oczywiste, że wszystko, co mogło mu pomóc albo go wzmocnić, wydawało mi się dobre... Chociaż trudno jest pogodzić się z tym, że twój partner woli rozmawiać z księdzem niż z tobą.

Manuel przytaknął, czując się niemalże właścicielem tych słów.

– Lucas powiedział mi to samo, co policja: że wypowiadał Frana i że później rozmawiali przez godzinę, że kiedy się rozstawali, był spokojny, i że nic nie wskazywało na to, by miał zamiar popełnić samobójstwo. Wtedy ostatni raz widziałam go żywego. Kiedy obudziłam się rano i uświadomiłam sobie, że nie wrócił, przyszłam tutaj... I go znalazłam. – Odwróciła się, żeby nie mógł zobaczyć jej łez.

Manuel się zatrzymał, celowo zostając w tyle, by dać jej przestrzeń, odwrócił się i spojrzał na Samuela. Chłopiec nadal bawił się z kotkami. Po kilku sekundach kobieta wróciła i stanęła obok niego. Wyglądała na spokojniejszą, chociaż miała wilgotne oczy.

– Eliso, czy ty masz jakichś przyjaciół, rodzinę poza rezydencją?

– Pytasz mnie o to, dlaczego stąd nie wyjadę, dlaczego wciąż tutaj jestem? Moja matka prawie cały rok spędza w Benidormie ze swoimi siostrami. Nie żyjemy ze sobą w zgodzie i kiedy zmarł mój ojciec, ona wyjechała na wybrzeże. Rozmawiamy w Boże Narodzenie i w urodziny; ona myśli, że wiodę cudowne życie. Wszystkim o tym opowiada. – Uśmiechnęła się smutno. – Mam brata, to przyzwoity człowiek, jest żonaty i ma dwie córki, ale cóż, w przeszłości popełniłam wiele błędów, więc od lat ze sobą nie rozmawiamy. Nie mam nikogo więcej, nasi przyjaciele z tamtego okresu nie żyją albo są bliscy śmierci. Poza tym miejscem nie ma dla mnie nic... A zresztą tutaj mieszka rodzina Samuela.

Przypomniał sobie słowa Herminii o tym, że może dla tak małego dziecka nie jest dobrze dorastać tylko wśród dorosłych.

– Samuel mógłby odwiedzać swoją rodzinę, nawet gdybyście mieszkali poza rezydencją.

– Tak... ale nie chodzi tylko o to. Nie mogę wyjechać – powiedziała, przebiegając dłonią po krawędzi krzyża z imieniem Frana. – Jeszcze nie. Dopiero wtedy, gdy będę pewna.

- Czego pewna? Co się twoim zdaniem tak naprawdę stało?
- Nie wiem... – wyszeptała zmęczona.
- Herminia powiedziała, że lekarz stwierdził przedawkowanie.
- Wszystko mi jedno, co stwierdził lekarz. Ja go znałam, Manuelu, znałam lepiej niż ktokolwiek inny i wiem, że nie kazały mi czekać na siebie samej, w ciąży, w naszym łóżku, gdyby nie miał zamiaru wracać.

Manuel przystanął, uświadamiając sobie, że znajdował się tuż przy grobie Álvara. Przyniesione na pogrzeb kwiaty zawinięte w celofan oklapły, tylko goździki w wieńcach zachowały ładny wygląd.

On też sądził, że znał pewnego mężczyznę lepiej niż ktokolwiek inny.

Odwrócił się, żeby nie czytać jego imienia wykutego w kamieniu.

Sarita, służąca, szła w ich stronę. Przystanęła na chwilę, by przywitać się z chłopcem, a potem skierowała się na ścieżkę prowadzącą na cmentarz.

– Coś się stało, Sarito?

– Pani markiza prosiła, żebym przekazała, by zaprowadziła pani do niej chłopca, bo chce go zobaczyć.

– Tak... – odparła młoda kobieta, podnosząc wzrok w stronę odległych okien wielkiego domu.

Na tarasie na drugim piętrze dało się dostrzec ciemną postać i Manuel niemal słyszał słowa Herminii: „Ona zawsze tam stoi i obserwuje”.

Samuel, trzymany za rękę przez Saritę, szedł do domu, nie pożegnawszy się z Manuelem, który patrzył, jak ten się oddala, po części przygnębiony, a po części zaskoczony tym, że odejście chłopca wywołało w nim smutek. Dostrzegł powstrzymywany uśmiech obserwującej go Elisy.

– Jest wyjątkowy, prawda? – powiedziała.

Przytaknął, po czym zapytał:

– Dlaczego ma na imię Samuel?

– Przypuszczam, że tak naprawdę pytasz o to, dlaczego nie ma na imię jak jego ojciec.

Manuel przechylił głowę.

– Dziecku nie nadaje się imienia po zmarłym, ponieważ nie jest to zaszczyt, tylko obraza – powiedziała szorstko i żeby złagodzić stanowczość swoich słów, dodała z uśmiechem: – Tak naprawdę wcześniej wszystkie imiona należały do kogoś, kto już nie żyje, kto nosił je pierwszy... – Jej twarz znów się zachmurzyła. – Ale Fran zmarł niespodziewanie, przedwcześnie, to jeszcze nie był jego czas. Tutaj niektórzy wierzą, że nie powinno się nadawać dziecku imienia po kimś, kto zmarł nagle, bo zmarły zabierze go ze sobą.

Manuel popatrzył na nią ze zdumieniem. To, że była niewierząca, najwyraźniej nie zwalniało jej od trzymania się lokalnych przesądów. Był tak wstrząśnięty tymi słowami, że w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć, a kiedy chciał to zrobić, było już za późno – Elisa kierowała się na ścieżkę pod drzewami, podążając za swoim synem.

– Eliso! – zawołał.

Odwróciła się, nie przestając iść, i starała się pożegnać uśmiechem. Bez powodzenia.

Został sam na cmentarzu i czuł, jak wiatr, który rano robił bałagan wysoko na niebie, obniżał się, targając mu włosy, i odrywał zwiędnięte płatki goździków, odsłaniając słomianą konstrukcję, którą czyjeś zwinne ręce przykryły liśćmi asparagusa i drucianymi haczykami, żeby kwiaty trzymały się na swoim miejscu. W powietrzu latało setki małych czerwonych płatków, aż w końcu opadły na groby niczym krople krwi. Widok drutów przytrzymujących ścięte kwiaty sprawił, że Manuel zaczął myśleć o tym, jak to w ostatnich dniach wydawało się, że zdobył miejsce na jakiejś baszcie, skąd widać fałszywą część świata, druty, liny, kurz na latarniach, zupełnie

inną scenerię, mrzonki, w które się wierzy i w które potrzebujemy wierzyć.

– Wszystko jest kłamstwem – wyszeptał w stronę nieba.

Wziął swoją marynarkę ze schodka przy wejściu do kościoła akurat w chwili, gdy zaczynał padać deszcz. Chciał ruszyć w stronę ścieżki, ale dobiegł go, wymieszany z deszczem, odgłos lamentu, chrapliwe, głośne zawodzenie, wyraźny płacz mężczyzny. Wtedy zauważył, że drzwi kościoła, z reguły zamknięte, były uchylone. Ze środka wydobywał się zapach świec i drewna, przypominający – wraz z tym rozdzierającym szlochem – ból i głęboki żal. Dotknął dłonią wypolerowanego, polakierowanego drewna drzwi i metalowego zakończenia, które jak ostrze włóczni wystawało ze środka niczym ból tego człowieka. Powstrzymał się, myśląc, co Herminia opowiadała mu o płaczu. Mężczyzna o twardym spojrzeniu, ale czułym sercu, który podziwiał swojego brata tak, jak tylko dziecko może podziwiać inne dziecko. Jedyny, który miał odpowiedni wiek i zaszczyty, żeby posiadać klucz do tego miejsca. Santiago. A więc był w pazo. Herminia go okłamała albo nie wiedziała, że wrócił. Manuel delikatnie popchnął drzwi, które przesunęły się o kilka centymetrów, nie robiąc hałasu. Około trzydziestu świeczek paliło się na metalowym pulpicie po prawej stronie ołtarza, rzucając na mężczyznę światło pozwalające bez trudu go rozpoznać. Santiago płakał z kolanami na klęczniku, ukrywając twarz w dłoniach i przyciskając do niej kawałek materiału mający zdusić jego szloch. Manuel poczuł mieszaną wstyd i głębokiego żalu wobec tego mężczyzny i przestraszony surowością jego bólu, po raz pierwszy był wdzięczny za to, że nie może płakać, a przynajmniej potrafi trzymać ból na dystans, nie dając mu szansy, by zdominował go w taki sposób. Chyląc się przed ulewą, pobiegł do samochodu.



Deszcz i niska temperatura najwyraźniej wystraszyły stałych bywalców baru, których tego wieczoru przebywało tu znacznie mniej, chociaż oczywiście było też o wiele później niż poprzedniego dnia. Porucznik Nogueira nalegał, żeby spotkać się po dwudziestej trzeciej. Manuelowi było wszystko jedno. Po powrocie z As Grileiras zjadł zupę i filet z hostelowego menu i spał przez całe popołudnie, senny z powodu znikomej ilości światła, jaką dawał ten deszczowy dzień, światła, którego nie było już prawie wcale, kiedy się obudził. Ponownie zamknął oczy, żeby jeszcze na chwilę zatrzymać wspomnienie snu, w którym jego siostra obejmowała go, leżąc tuż obok. Na nic się to nie zdało, sen zniknął. Spojrzał przez okno na pociemniałe od wody kamienie i przemoczone deszczem drzewa, które cierpliwie znosiły taką pogodę. Wszystko wydawało się smutne i zatrzymane w miejscu, jak niedziele w czasów jego dzieciństwa w mieszkaniu ciotki. Otworzył okno, by odetchnąć głęboko powietrzem naładowanym wilgocią oraz zapachami ziemi i kamieni, którym cisza nadawała znaczenie. Znowu pomyślał o tym, że to idealny klimat, by pisać, aż odwrócił głowę w poszukiwaniu... Z blatu mrocznego biurka krzyczała biel kartek, które nadal znajdowały się w opakowaniu z przezroczystego celofanu. W głębi siebie rozumiał, że jego opór przed pisaniem był śmieszny, że w jego odmowie tkwiła dziwna przyjemność z cierpienia, z przedłużania tej tortury własnej duszy. Znów był głupim aniołem śpiącym pod gołym niebem, z powodu swojej dumy odmawiającym wejścia do raju. Wrócił do łóżka i przykrył się kocami, zostawiając otwarte okno i jedną rękę na wierzchu, by przytrzymać nią mroczne dzieła Poe'go, czekając, aż nadejdzie godzina spotkania z Nogueirą.



Gwardzista czekał, popijając piwo. Na talerzu obok, jak Manuel przypuszczał, leżały resztki po przekąskach, które już zjadł. Zamówił piwo

i miał zamiar zrezygnować z kawałka tortilli, który został mu podany.

– Ma pan ochotę?

Nogueira przytaknął bez podziękowania, lecz dodał:

– Powinien pan to doceniać, świat jest taki, że lepiej nie wyrzucać jedzenia.

„Cóż, od tego mamy już pana”, pomyślał, rzucając okiem na wydatny brzuch porucznika, który cienki sweter ledwie zakrywał.

– Pamięta pan, co mu powiedziałem pierwszego dnia?

– Że zabierze mnie pan do lasu i zastrzeli? Jasne, jak mógłbym zapomnieć.

Nogueira zatrzymał się z nożem w połowie drogi i odpowiedział bez śladu uśmiechu:

– Dzisiaj jest pan dowcipny, co? Lepiej niech pan o tym pamięta, bo mówiłem całkiem serio. Dużo ryzykujemy przy całej tej sprawie.

– Wiem.

– Więc proszę nie zapomnieć. Dzisiaj odwiedzimy pewną moją przyjaciółkę, która ma panu coś do opowiedzenia.

– Ofelię?

Pod wąsami Nogueiry zarysował się lekki uśmiech.

– Nie, przyjaciółkę innego rodzaju, ale ostrzegam, że to, co pan usłyszy, może się panu nie spodobać.

Manuel przytaknął.

– W porządku.

Porucznik zapłacił rachunek i wyszedł z baru, ale tylko po to, żeby schronić się pod daszkiem przy wejściu, gdzie wyjął papierosa i palił go z rozkoszą.

– Zlokalizowaliśmy budkę, tę od tego dziwnego numeru, z którego

dzwonili do Álvaro. Nie, żeby na wiele nam się to przydało, ale znajduje się w Lugo. To jasne, że ten, kto się z nim kontaktował, musiał to zrobić ze swojej okolicy albo dla zmylenia poszukać właśnie budki telefonicznej.

Manuel skinął, nic nie mówiąc.

– Co powiedział panu notariusz?

– Przyznał się, że dzwonił, chociaż utrzymuje, że o przyjeździe Álvaro dowiedział się dopiero, kiedy Santiago powiadomił go o wypadku. Powiedział, że Santiago pilnie potrzebował dużej sumy pieniędzy, którą nie mógł dysponować.

– Ile?

– Trzysta tysięcy euro.

– Łał! – wykrzyknął ożywiony Nogueira. – To śmierdzi kłopotami! Powiedział mu, na co potrzebował takiej gotówki?

– Nie chciał, ale dał mu do zrozumienia, że to pilne.

– I na tyle ważne, by sprawić, że z Madrytu przyjechał brat, kiedy wcale nie musiał tego robić, i by nie móc poczekać tygodnia, aż pojawi się z zaplanowaną wizytą – stwierdził Nogueira. – Co powiedział panu Santiago?

– Jeszcze nie wrócił z wyjazdu, ma to zrobić dzisiaj w nocy – skłamał, przypominając sobie, jak ten klęczał w kościele, zakrywając twarz, by zdusić płacz tak gorzki, że aż Manuel poczuł strach.

– Jest pan pewien, że Griñán go nie ostrzegł?

Pomyślał o przygnębionej twarzy notariusza, kiedy opuszczał jego biuro.

– Nie zrobił tego i już więcej nie zrobi.

– No dobrze – odetchnął gwardzista – przynajmniej coś drgnęło. Jedna rzecz mi tylko nie pasuje: dlaczego Santiago nie zadzwonił bezpośrednio do Álvaro?

– Nie miał jego numeru telefonu, rodzina mogła kontaktować się

z Álvarem tylko przez Griñána.

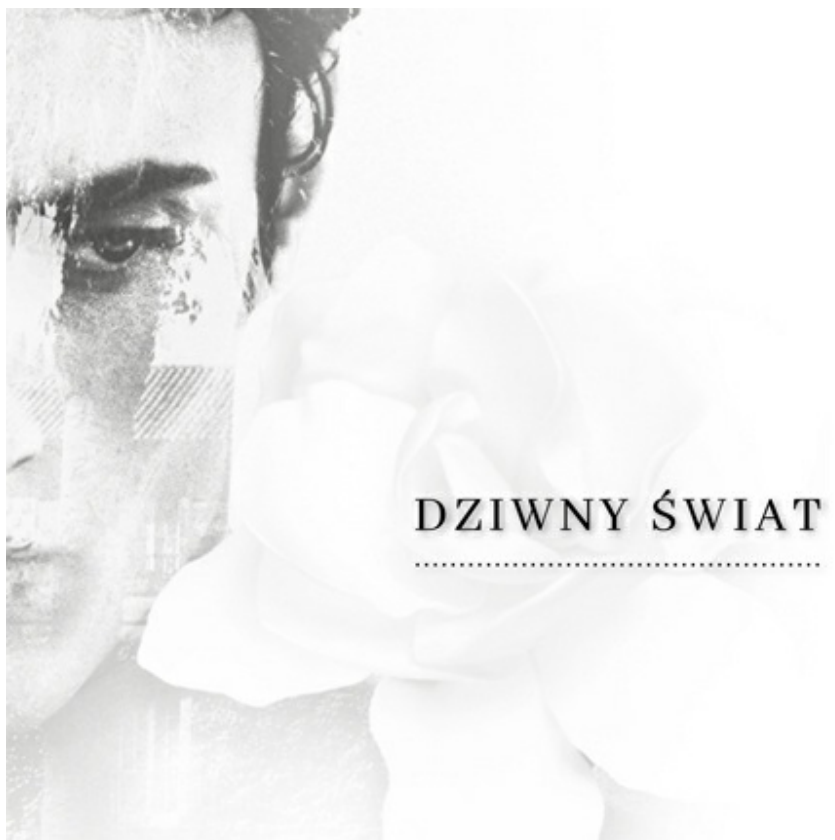
Nogueira zastanawiał się nad czymś przez kilka sekund, ale wyraźnie odrzucił tę myśl.

– Pojedziemy moim samochodem – powiedział, po czym zgasił niedopałek papierosa w stojącym przy wejściu pojemniku na piasek i w deszczu udał się w stronę zaparkowanego pojazdu.

[2] (gal.) Synku.

[3] (gal.) Dziecko.

[4] (gal.) Biedaczek.



DZIWNY ŚWIAT

I racująca na najwolniejszych obrotach wycieraczka zbierała krople z szyby, głośno sycząc, co było jedynym dźwiękiem słyszonym w samochodzie. Manuel czekał, aż wyjadą na główną drogę, żeby zacząć mówić.

– Dzisiaj mogłem porozmawiać chwilę z Herminią i z Elisą. Obie opowiedziały mi o Franie, najmłodszym bracie.

Nogueira przytaknął, dając do zrozumienia, że wie, kim był.

– Herminia mówiła mi coś podobnego, co wcześniej usłyszałem od Griñána, że Fran załamał się po śmierci ojca i że popełnił samobójstwo, przedawkowując heroinę. – Zrobił pauzę, zastanawiając się nad tym, co ma powiedzieć. – Ale Elisa jest pewna, że Fran to nie typ samobójcy i że był wyleczony. Rozmawiał z nią i przekonywał, że wszystko się ułoży, chociaż jasne, że u takiej osoby dwuznaczność podobnych słów nie jest wolna od

podejrzeń.

Nogueira nie odpowiedział, włączył prawy kierunkowskaz i zjechał na plac, na którym zatrzymał samochód. Przez zaparowane szyby Manuel dostrzegł migoczące światła jakiegoś baru i kilka zaparkowanych pojazdów.

– Tego rodzaju gównu miałem na myśli ostatnio – powiedział poirytowany gwardzista, odwracając się w jego stronę.

Manuel czekał w milczeniu.

– Już panu mówiłem, że nie pierwszy raz zamiatano pod dywan przykrą dla rodziny Muñizów de Dávilów sprawę. Dowodziłem ekipą, która tamtego dnia rano przyjechała do As Grileiras, i zastaliśmy martwego młodego narkomana, leżącego na grobie swojego ojca ze strzykawką zwisającą z ręki. Zarówno rodzina, jak i pracownicy opowiadali to samo: ojciec zmarł dwa dni wcześniej i pochowali go poprzedniego poranka, Fran wciąż był bardzo poruszony i po pogrzebie powiedział wszystkim, że chce zostać sam. Z relacji członków rodziny wynika, że musiał być bardzo przygnębiony. Po roku spędzonym razem ze swoją narzeczoną na odwyku w klinice dla osób uzależnionych wrócił, żeby towarzyszyć ojcu w jego ostatnich dniach. Wszyscy podkreślali to, jak bardzo byli ze sobą zżyci, i zauważyłem, że przyjmowali za pewnik, że nie mógł sobie z tym poradzić i że rozwiązał to w taki sposób, najgorszy z możliwych. Tylko narzeczonej trudno było to zaakceptować. Rozmawiałem z nią i powiedziała mi to samo, co panu. Pomyślałem, że to normalna reakcja, trudno jest się pogodzić, że ktoś bliski zrobił coś takiego, ale kiedy obejrzelśmy ciało, przyznałem jej rację.

Manuel popatrzył na niego zaskoczony.

– Oprócz strzykawki chłopak miał ranę na głowie i porysowane czubki butów, jakby ktoś go ciągnął. Zaczęliśmy standardowe postępowanie i podobnie jak teraz dostaliśmy polecenie, by nie przysparzać rodzinie cierpienia przedłużaniem śledztwa, skoro znana już była przyczyna śmierci

chłopaka. Oczywiście przeprowadzono badanie, które wykazało, że śmierć nastąpiła wskutek przedawkowania heroiny. W kościele znaleziono elementy potrzebne do przygotowania dawki, w związku z czym ustalono, że tam się naszprycował, a potem przyszedł na cmentarz. Że idąc po ciemku między grobami, potknął się i uderzył w czoło. Na tyle mocno, że go zamroczyło, ale nie aż tak, by nie mógł dowiec się do grobu ojca, gdzie stracił przytomność i zmarł.

Manuel wzruszył ramionami.

– I co tu się panu nie zgadza?

– Nie zgadza mi się... – Gwardzista głośno westchnął. – Nie zgadzają mi się obtarcia na czubkach butów; wiem, że można to wytłumaczyć tym, że po upadku doczołgał się aż do miejsca, w którym go znaleźliśmy, ale nogawki spodni były czyste. Mokre, bo padało przez całą noc, ale czyste. Jeśli ktoś się czołga albo idzie na kolanach po mokrej trawie tego cmentarza, to niemożliwe, że ocierają się wtedy tylko czubki butów. Rana, którą miał na czole, była tępa, zaokrąglona, bez uszkodzeń skóry. Musiał ją spowodować jakiś owalny przedmiot o delikatnej i gładkiej powierzchni. Sprawdziłem jeden po drugim wszystkie krzyże i płyty kamienne na cmentarzu i rana nie pasowała do kształtu żadnego z nich.

Manuel słuchał go uważnie, myśląc, że koncepcja Nogueiry momentami miała sens.

– No i jeszcze ta sprawa z kluczem... W tej rodzinie istnieje pewna tradycja: mężczyźni członkowie po narodzinach otrzymują własny klucz do kościoła, srebrny w kształcie krzyża i wysadzany cennymi kamieniami. To symbol, który przypomina ich tradycję jako aktywnych działaczy Kościoła; najwyraźniej wywodzą się z długiego rodu religijnych przywódców, zresztą pierwszym właścicielem ich pazo był znany w okolicy przeor. Tamtego dnia rano kościół był zamknięty. Moją uwagę zwróciło, mając na względzie stan,

w jakim chłopak musiał stamtąd wyjść, to, że zatrzymał się jeszcze, by zamknąć drzwi na klucz, ale kiedy przeszukaliśmy ciało, nie znaleźliśmy go. Sprawdziliśmy dokładnie całą trasę od wejścia do świątyni do miejsca, w którym leżały zwłoki, użyliśmy nawet wykrywacza metalu, szukając go w trawie. Ani śladu.

– Ktoś zamknął kościół i zabrał klucz.

– Bracia byli poza podejrzeniami. Nie musieli tego robić: każdy miał własny, z wygrawerowanymi swoimi inicjałami, jak klejnot, i nie mieli nic przeciwko, żeby nam je pokazać.

– I było ich tylko trzy...

– Cztery. Stary markiz został pochowany ze swoim, to kolejna z ich głównianych tradycji. Przypuszczam, że mały chłopak dostał swój po narodzinach, ale w tamtym momencie istniały tylko klucze braci. Rozmawialiśmy też z Frana przyjacielem księdzem, który jako ostatni miał go widzieć żywego. Powiedział, że go wyspowiadał, a potem jeszcze chwilę rozmawiali. Powołał się na tajemnicę spowiedzi i odmówił udzielenia nam informacji o jej naturze, ale powiedział, że Fran ani przez moment nie myślał o popełnieniu samobójstwa... I tak oficjalnie chłopak umarł z powodu przedawkowania, nie mogąc znieść smutku po śmierci ojca, co znów dobitnie pokazało działanie na korzyść Muñizów de Dávilów w sprawie, w której było przynajmniej kilka niewiadomych, a w której po raz kolejny postanowiono zostawić wszystko tak, jak było.

– Ale dlaczego? Czemu miało służyć to, że ktoś przeniósł jego ciało po śmierci? Myśli pan, że może chcieli ukryć sposób, w jaki umarł, żeby oczyścić wizerunek syna uzależnionego od narkotyków?

Nogueira nawet nie musiał się zastanawiać.

– Nie, skąd. O tym, że Fran był narkomanem, wiedzieli wszyscy w okolicy i proszę mi wierzyć, że było to coś, co w jakimś sensie

humanizowało tę rodzinę.

Manuel pokazał, że nie rozumie.

– W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych tysiące młodych Galisyjczyków popadło w uzależnienie. Handlarze narkotyków rządzą Galicją. Rodzina, która nie miała uzależnionego syna, a często nawet kilku, była wyjątkiem... To prawdziwa tragedia, która trwa do dzisiaj. Codziennie znajdowaliśmy martwych młodych ludzi, którzy przedawkowali. To gówna było wszędzie, jak plaga, a taki bogaty chłopak jak Fran był żyłą złota dla handlarza. Fakt, że jeden z synów markizów też popadł w narkotyki, przysporzyło im sympatii ze strony wielu ludzi, to ten rodzaj pocieszenia, kiedy się widzi, że pieniądze nie uwalniają człowieka od nieszczęścia. Wie pan, bogaci też płaczą; taka boska sprawiedliwość, która rekompensuje różne rzeczy.

Manuel przytaknął.

– No i?

– To jasne, że chłopak z powodu tego gówna był w klinice odwykowej, za którą płacili, przechodził przez trudne chwile i znów zaczął brać. Zgadzam się z jego narzeczoną, że nie chciał się zabić. Najpewniej szukał tylko ucieczki, od dawna się nie szprycował i przesadził. Prawdopodobnie zmarł w kościele. Zrobił sobie zastrzyk i stracił przytomność. Gładka powierzchnia ławek bardziej pasuje do rany, którą miał na czole... A później, kto wie, może ktoś z rodziny, chociaż najprawdopodobniej nie musiał sobie nawet brudzić rąk, albo pracownik, możliwe, że stróż, ktoś w każdym razie zaufany, znalazł ciało i wiedział, co należy zrobić.

– Ale dlaczego? Po co?

Złość w głosie Nogueiry pokonała bariery, które ją powstrzymywały.

– Już panu tłumaczyłem. W pańskiej pieprzonej rodzinie nie ma ćpunów ani dziwkarzy, ani gwałcicieli, a jeśli są, to rodzinka stara się, żeby wszystko

było oglądane z ładniejszej strony, a najgorsze jest to, że nawet nie muszą o to prosić; tak było przez całe wieki i tak jest nadal. Oni są Muñizowie de Dávilowie, trzeba wyświadczać im przysługi, trzeba oszczędzać im bólu, hańby i wstydu, nie mówiąc o profanacji, jaką jest znalezienie w kościele syna-ćpuna zmarłego po przedawkowaniu. Im takie rzeczy się nie przytrafiają, ale już syn przygnębiony bólem, leżący martwy na grobie ojca ma w sobie coś poetyckiego. I oni tacy właśnie są, posiadają tę rzadką umiejętność wychodzenia obronną ręką z gówna, które wciąga wszystkich pozostałych.

Manuel odwrócił wzrok w stronę świateł, które za szybami, w nieustającym deszczu, wyglądały jak zamazane. Myślał przy tym, że wylądował w innym świecie, dziwnym i nieznanym. W świecie, w którym zachowaniami, reakcjami i przymierzami rządziły zupełnie inne zasady. Był świadkiem chaosu, na który nie potrafił zareagować, niczym unieruchomiony widz. Miał jednak świadomość, że ten rodzaj znieczulenia dla zmysłów dawał mu perspektywę niezbędną do zastanowienia się, do przeanalizowania każdego słowa Nogueiry i oglądania anarchicznego spektaklu, który miał przed sobą, z obojętnością właściwą komuś, kto obserwuje z dystansu, nie tracąc zdrowego rozsądku i nie dając się ponieść niszczącym emocjom. Przeklął tę atmosferę.

– Uważa pan, że to samo stało się z Álvarem? – zapytał, spoglądając na Nogueirę.

Gwardzista tym razem też nie musiał długo rozważać swojej odpowiedzi.

– Częściowo tak, już to ustaliliśmy, ale jest pewna różnica. Tym razem próby chronienia wizerunku rodziny przyczyniają się do przykrycia czegoś znacznie poważniejszego niż samobójstwo pod postacią przypadkowego przedawkowania. Tym razem chodzi o zabójstwo.

Manuel chciał o coś zapytać, ale Nogueira nie dał mu dojść do słowa.

– Chodźmy – powiedział, pokazując w stronę świateł baru. – To tutaj.

Czerwone i niebieskie neony, które przez zaparowane szyby samochodu wyglądały na słabsze, świeciły pełnym blaskiem na fasadzie budynku. Manuel odwrócił się do Nogueiry i spojrzał na niego pytająco.

– Tak, to jest klub nocny – powiedział. – Przypuszczam, że nigdy w żadnym pan nie był, a przynajmniej w żadnym takiej klasy.

Drzwi pilnował mężczyzna z nażelowanymi i tak jasnymi włosami, że wyglądały prawie na białe. Miał na sobie kowbojki i granatową koszulę z frędzlami w najczystszy styl piosenkarza country. Wykonał coś w rodzaju wojskowego salutowania dwoma palcami i uśmiechnął się, pokazując uzębienie, które błysnęło w niebieskim świetle neonów. Musiał mieć ze dwa metry wzrostu.

Lokal pretendował do miana eleganckiego, ale pachniało w nim wilgocią ukrywaną tanim odświeżaczem powietrza i drogimi perfumami. Mimo znikomej ilości światła Manuel dostrzegł odpryski farby w niektórych miejscach przy linii podłogi. Panująca w klubie wysoka temperatura nie mogła złagodzić wilgoci, która z zewnątrz wciskała się przez mury i nasyciała powietrze w niewidzialny, ale wyczuwalny sposób, i która ciążyła na ciele Manuela jak hańba, odkąd przyjechał do Galicii.

Kilkunastu mężczyzn siedziało na fotelach ze sztucznej skóry, a obok nich tyle samo prostytutek w różnym stopniu bliskości. Dwóch kolejnych facetów przy barze kupowało dziewczynom drinki i szeptało im coś na ucho. Nogueira wyglądał na zadowolonego, że miejsce na końcu baru było wolne. Usiadł i pokazał Manuelowi, by zrobił to samo, patrząc bezczelnie na klientów lokalu.

Około pięćdziesięcioletni barman błyskawicznie podszedł z drugiej strony lady.

– Dobry wieczór, poruczniku, czego się pan napije?

– Wezmę gin z tonikiem, a... – powiedział, pokazując na Manuela.

– Piwo.

– Piwo – zakpił Nogueira. – Proszę wziąć coś mocniejszego!

– Piwo wystarczy – odparł Manuel, zwracając się do barmana, który skinął głową i zaczął podawać napoje.

– Aha, Carlos, przekaz Nieves, że tu jesteśmy.

Mężczyzna pokazał na wyższe piętro.

– Jest zajęta, ale niedługo powinna przyjść.

Postawił na barze dwie szklanki oraz dwie miseczki z frytkami i suszonymi owocami.

Manuel się uśmiechnął.

– Nawet w klubie nocnym nie potrafią podawać alkoholu bez jedzenia.

Nogueira upił łyk ze swojej szklanki i spojrzał na niego z wyrzutem.

– Dlaczego to panu przeszkadza?

– Nie przeszkadza, tylko zwraca moją uwagę. W Madrycie za taki kawałek tortilli, jaki podali mi wcześniej razem z piwem, nie wzięliby mniej niż dwa euro.

– Bo jesteście głupcami, że płacicie takie kwoty – powiedział kategorycznie gwardzista. – Widzi pan, tutaj jesteśmy tacy, nie lubimy, kiedy nas oszukują, i chcemy dostać wszystko, co jest warte naszych pieniędzy. Jeśli jakiś bar nie podaje przekąsek do alkoholu, to już może się zamykać, bo nikt tam nie pójdzie.

W głębi lokalu na schodach o niepewnym przeznaczeniu pojawiła się kobieta. Manuel zauważył zazdrosne spojrzenia rzucone jej przez niektóre dziewczyny oraz niepokój, który sprawił, że znacząco wyprostowały plecy.

Wiek Nieves był nieokreślony, na oko trzydzieści, czterdzieści lat. Miała jasne włosy, obcięte prosto nad ramionami, była niskiego wzrostu i pozbawiona przesadnych krągłości. Oczy, dość szeroko rozstawione, mogły

być niebieskie, chociaż przy słabym świetle wyglądały na ciemne. Poważny wyraz twarzy nadawał jej niezbędnej surowości, by być szefową tego przybytku. Nogueira przywitał się z nią dwoma pocałunkami w policzki, a Manuel podał jej rękę.

Kobieta zamówiła drinka, za którego Nogueira od razu zapłacił, a Manuel dostrzegł, jak się niecierpliwił, kiedy ona małymi łykami piła swój alkohol.

– Opowiedz jeszcze raz to, co mówiłaś mi wczoraj.

– Wszystko? – odparła prowokująco.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedział porucznik, próbując ukryć uśmiech, który rysował mu się pod wąsami.

Kobieta popatrzyła na nich znad szklanki, udając, że zachowuje ostrożność.

– Dobrze, ale niech będzie jasne, że opowiadam to, wyświadczając przysługę porucznikowi – powiedziała poważnie. – Bo jeśli coś cechuje mój dom, to właśnie dyskrecja.

Nogueira przytakiwał zniecierpliwiony, podczas gdy ona mówiła.

– Wie pan, tutaj przychodzą bardzo ważni ludzie – wyjaśniła, przecząc swojemu poprzedniemu stwierdzeniu. – Grube ryby z wojska, prezesi firm, burmistrzowie...

Irytacja Nogueiry przybierała na sile i delikatnie zaczął ją ponaglać.

– No już, Nieviñas, *que non temos toda a noite*^[5].

Popatrzyła na niego urażona.

– Jak mówiłam wczoraj porucznikowi, don Santiago jest naszym stałym klientem. Przychodzi przynajmniej raz na dwa tygodnie, czasami co tydzień, a od czasu do czasu towarzyszy mu brat.

Nogueira wyjął telefon i pokazał jej zdjęcie Álvara.

– Kiedy był ostatni raz?

– Z bratem dosyć dawno, ponad trzy miesiące temu, a sam don Santiago jakieś dwa tygodnie wstecz. Tak, to on – powiedziała, stukając sztucznym paznokciem w ekran telefonu. – Nie znam imienia, ale to on, ten przystojniak.

Manuel spojrział z niedowierzaniem na ekran telefonu i ponownie na kobietę.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie, zazwyczaj siedł z Dziewczynką. No, żadna z niej dziewczynka – wyjaśniła pospiesznie – ma dziewiętnaście lat, ale mówimy na nią Dziewczynka, bo jest najmłodsza i ma najmniej ciała. Teraz jest zajęta – powiedziała, pokazując na dziewczynę, która siedziała okrakiem na nogach jednego z klientów.

Owszem, wyglądała młodo. Ciemne, długie włosy zakrywały jej plecy, ale nogi miała szczupłe i opalone. W sposobie, w jaki napinała mięśnie, było widać, że ma silne ciało. Manuel przechylił nieco głowę i dostrzegł jej rysy twarzy, drobne i kobiece. Jego uwagę mimowolnie przykuła harmonia ruchów i to, jak poruszała rękami. Jakby z daleka usłyszał kobietę, która mówiła:

– Santiago zazwyczaj idzie z Mili, chociaż nie robi problemów z powodu zmiany dziewczyny. Mili dzisiaj nie ma. Jej matka umiera, już drugi raz w tym roku – dodała złośliwie – więc jeśli umrze, Mili zjawi się tutaj za kilka dni, a jeśli to znowu fałszywy alarm, wróci jutro. Już ją ostrzegłam: lepiej, żeby twoja matka się zdecydowała i niech umrze albo niech nie umiera. Ale żeby to się wreszcie skończyło.

– Dobrze – odparł Nogueira – przynajmniej będziemy mogli porozmawiać z jedną.

– Tylko musisz poczekać, teraz jest zajęta i wydaje mi się, że będzie jeszcze przez dobrą chwilę – odpowiedziała kobieta.

Jakby na jej słowo, dziewczyna wstała i prowadząc klienta, poszła w stronę schodów w głębi lokalu. W pewnym momencie odwróciła twarz w kierunku Manuela i przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały, po czym poszła dalej, najwyraźniej nieświadoma mrocznej przepaści, którą jej ciemne oczy otworzyły w jego sercu. Podążał za nią wzrokiem, aż roztopiła się w czerni. Wówczas, jakby właśnie obudził się ze snu, odwrócił się do Nogueiry i poprosił:

– Chodźmy.

– Trochę cierpliwości, długo jej to nie zajmie. Wbrew temu, co mówi Nieviñas, dobra chwila nie trwa tutaj dłużej niż pół godziny.

Kobieta posłała mu krzywy uśmiech i oddaliła się między taboretami, na których siedzieli mężczyźni, lecz za chwilę przystanęła jedynie po to, by się odwrócić i spojrzeć na Nogueirę. Nic nie powiedziała, tylko delikatnie przechyliła głowę w szybkim i ponagląjącym geście, na który gwardzista posłusznie zareagował. Wymamrotał „zaraz wracam”, rzucając na bar banknot pięćdziesięcioeurowy i dając barmanowi znak, żeby dobrze obsługiwał jego gościa.

Czując się kompletnie nie na miejscu, Manuel pozwolił, aby barman ceremonialnie podał mu piwo w szklance, chociaż wolałby je wypić z butelki. Nie mając odwagi podnieść głowy, upił łyk, który z ostrzegawczym syczeniem wymieszał się w jego ustach z zapachem odświeżacza powietrza rozprzestrzenionym przez dyfuzor z miejsca ponad barem. Obserwował pianę, która szybko rozkładała się na bursztynowej powierzchni w jego szklance. Zostawił szkło na wypolerowanym drewnie lady i wyszedł z lokalu.

Intensywność deszczu zmalała, osiągając rytm, który zwiastował, że będzie padać przez całą noc. Natychmiast przeklął się za to, że nie wziął swojego samochodu, i rozgoryczony popatrzył na stare bmw Nogueiry. W środku nadal było wystarczająco ciepło, żeby utrzymać zaparowane szyby,

a rozbłyśniętym światłem neonów auto wyglądało, jakby urwało się z wesołego miasteczka. W ostatnich godzinach wzrosła temperatura powietrza, a niemalże fizyczna obecność wilgoci sprawiała, że Manuel czuł, jakby do ciała przyklejono mu mokry całun. Wyszedł na deszcz i dotarł aż do pobocza, skąd odchodziły dwa rozwidlenia niepewności i ledwie dało się dostrzec blask farby na przerywanych liniach, gdzie dobiegające z parkingu światło pochłaniała ciemność. Nie dostrzegł żadnego sygnału, który wskazywałby na obecność człowieka. Natomiast ruch na drodze mimo ciągłych opadów był szybki i płynny, co kilka sekund oślepiając go krótkotrwałym blaskiem płochliwego światła przecinanego deszczem.

Zrezygnował ze spaceru po drodze i wrócił na parking, świadomy absurdalności swojej sytuacji. Nie chciał tutaj zostać. Nie mógł też odejść. Rozejrzał się dookoła. Kilkanaście zaparkowanych samochodów i ani jednego kierowcy, którego mógłby poprosić, by zabrał go do rozwidlenia. Zauważył, że kowboj opuścił swój stołek ze skaju przy drzwiach i obserwował go z zaciekawieniem, stojąc w portyku. Zrezygnowany, Manuel wrócił do wejścia, marząc o tym, żeby przynajmniej być palaczem, dzięki czemu miałby dobry pretekst, by przebywać na zewnątrz. Desperacko zaczął dotykać marynarki w poszukiwaniu telefonu, kierując się w stronę kowboja.

– Myślałem, że zgubiłem komórkę...

Na co mężczyzna zareagował, wracając na swój stołek i dając do zrozumienia, że w takim razie każde zachowanie było usprawiedliwione. Manuel dokończył pantomimę, wyjmując telefon i jednocześnie bezwiednie wyciągając z kieszeni blade kwiat, który upadł na posadzkę jak martwy motyl. Zapominając o kowboju i o swojej nieudolnej wymówce, nachylił się i nieufnie dotknął kwiatu opuszkami palców. W świetle neonów gardenia ukazała doskonałe piękno, zranione z powodu wilgotnego brudu posadzki,

która poplamiła płatek. Powoli usunął błoto dwoma palcami, czując delikatność kwiatu, podniósł go do twarzy i zamknąwszy oczy, wdychał jego zapach.

Drzwi się otworzyły, wypuszczając na zewnątrz muzykę, ciepłe powietrze i wyziewy klubu nocnego. Kowboj rozpoczął ożywioną rozmowę z klientem, który wyszedł na papierosa. Manuel grzebał w telefonie, udając, że pisze wiadomość, i portykiem przeszedł na drugi koniec budynku. Znalazł schronienie we wnęce w ścianie i stał tam przez następne minuty. Ze wzrokiem zagubionym w nierealnym świecie, którym stał się mokry parking zalany światłem klubu nocnego, oraz z telefonem w dłoni, uważając, aby ekran nie zgasł, co przestałoby zapewniać mu wymówkę utrzymującą na dystans czujne oczy kowboja. Druga dłoń, trzymana w kieszeni marynarki, przesuwała palcami po gładkich i delikatnych płatkach, zostawiając na skórze zapach, który Manuel rozpozna wiele godzin później.

Nagle w drzwiach wejściowych pojawił się Nogueira, włożył do ust papierosa, którego kowboj pośpiesznie mu zapalił, rozejrzał się na boki i zobaczywszy Manuela, wykrzyknął:

– Cholera, co pan tam robi?! Myślałem, że pan zniknął.

Manuel nie odpowiedział. Schował telefon do kieszeni i mijając gwardzistę, ruszył w deszczu w stronę samochodu.

Nogueira przypatrywał mu się przez kilka sekund, wymamrotał przekleństwo, rzucając do kałuży dopiero co zapalonego papierosa, otworzył auto i obaj wsiedli, chociaż porucznik nie ruszył. Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym uderzył ręką w kierownicę.

– Ostrzegałem pana. Mówiłem, że tego typu rzeczy mogą się zdarzyć, że dużo brudu wypłynie na powierzchnię. Ostrzegałem pana – powtórzył, uwalniając się od jakichkolwiek konsekwencji.

– Ostrzegał mnie pan – przyznał Manuel.

Nogueira westchnął.

– Rozmawiałem z dziewczyną. Powiedziała...

– Nie chcę tego wiedzieć – przerwał Manuel.

Gwardzista popatrzył na niego rozczarowany.

– Jestem wdzięczny za to, co pan robi, i to prawda, że mnie pan ostrzegął, ale nie chcę tego wiedzieć... Bo już wiem, zgoda? Może mi pan oszczędzić szczegółów.

Nogueira uruchomił samochód.

– Jak pan chce. Powiem tylko, że to potwierdziła.

– W porządku... – odpowiedział ostro.

Nogueira pokręcił głową. Skierował się na drogę i zatrzymał auto, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Wyciągnął się i odchylił do tyłu na tyle, żeby włożyć rękę do kieszeni spodni. Wyjął z niej złotą obrączkę, którą włożył na palec. Światła klubu nocnego ledwie rzucały blask na niemal matowy metal ślubnej obrączki.

Przez całą drogę jechali w milczeniu. Nogueira przekazał już Manuelowi instrukcje co do następnego dnia, a Manuel czuł się zbyt przygnębiony, żeby cokolwiek mówić. Jak między dwoma biegunami, jego myśli płynęły od kwiatu, który trzymał w kieszeni, do posępnego błysku obrączki Nogueiry. Wydawało mu się niemożliwe, że ktoś taki jak on ma kogoś, kto gdzieś na niego czeka. Było coś nieprzyzwoitego w tym, że ponownie wkładał na palec obrączkę, którą zdejmował, żeby iść na dziwki. Manuel usiłował sobie przypomnieć, czy miał ją tamtego dnia, gdy odwiedzili Ofelię i on tak czule się z nią zegnał. Zastanawiał się, czy Álvaro też zrobił to tamtej nocy, czy właśnie to tłumaczyło brak obrączki; może taka jest powszechna praktyka wśród dziwkarzy. Nogueira również musiał zdać sobie z tego sprawę, ponieważ Manuel widział, że przynajmniej dwa razy patrzył na obrączkę albo miętosił ją kciukiem tej samej dłoni, jakby powodowała nieznośne

podrażnienie, kiedy jej obecność została uświadomiona. Manuel spojrzał na własną obrączkę, którą wciąż miał na palcu, i zaczął się zastanawiać, dlaczego jej nie zdjął. Wydał z siebie głębokie westchnienie wstydu i zniechęcenia. Kiedy wysiadł z samochodu przed hotelem, wymamrotał tylko „dobranoc”, na co Nogueira po raz pierwszy uprzejmie odpowiedział.



Energooszczędne żarówki lampek zaświeciły słabym światłem, zyskując na intensywności w miarę upływu kolejnych minut. Stał przy drzwiach swojego pokoju i patrzył na wąskie zakonne łóżko, które raz za razem przywoływało wspomnienia bezsennych nocy z dzieciństwa. Podeszedł do biurka, odsunął niewygodne krzesło i usiadł.

Otworzył opakowanie kartek i nie wyjmując ich ze środka, wdychał aromat; robił tak samo, gdy zaczynał czytać nową książkę. Pachniały delikatnie białą papieru, wonią niepełną, która osiągała swoją dojrzałość dopiero po stopieniu się z wyraźnym zapachem tuszu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w głowie pojawił mu się obraz wydrukowanych czterystu kartek przyciśniętych do klatki piersiowej. *Słońce Teb*, powieść, którą właśnie kończył, kiedy poinformowano go, że Álvaro zmarł, leżała pięćset kilometrów stąd. Dwa krótkie rozdziały, może dwadzieścia cztery strony, dzieliły go od zakończenia tej powieści, która spodoba się jego czytelnikom, która jest dobra, ale nie tak dobra... „Nie mogę napisać drugiej takiej powieści jak *To, co oddane złu* – powiedział Álvaro. – To jest cała prawda, której pragnę i którą mogę znieść”.

Wyjął spory blok kartek i położył je przed sobą, resztę odkładając z boku biurka. Wziął długopis z zestawu i u góry strony napisał tytuł.

TO, CO WYPARTE

Stukanie do drzwi zabrzmiało autorytarnie. Osiem pewnych, szybkich uderzeń kogoś, kto oczekuje, że zostanie sprawnie obsłużony. Żądanie, którego nie sposób pomylić z pukaniem zaproszonego gościa, robotnika albo dostawcy. Później pomyślał, że właściwie zabrzmiało to w taki sposób, w jaki spodziewałby się, że puka policja.

Przez kilka sekund obserwował w zamyśleniu migoczący kursor na końcu ostatniego zdania. Poranek miał bardzo produktywny, lepszy niż w ciągu ostatnich trzech tygodni, ponieważ – choć nie cierpiał się do tego przyznawać – pisało mu się łatwiej, kiedy był w domu sam, kiedy pracował bez wyznaczonych godzin, uwolniony od standardowych przerw na obiad albo kolację, i po prostu dawał się ponieść. Na tym etapie pisania zawsze było tak samo, powieść Słońce Teb ukończyłby za dwa tygodnie, a może wcześniej, jeśli wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem. I do tego czasu ta historia byłaby jedyną rzeczą w jego życiu, jego obsesją, tym, co zajmowałoby go dniem i nocą, jedynym, o czym by myślał. Doświadczał tego przy każdej powieści: pobudzające, a jednocześnie niszczące uczucie, jakby składał się w ofierze, co uwielbiał i co go w równym stopniu przerażało. Prywatny rytuał, o którym wiedział, że w ciągu tych dni nie stanie się jego najlepszym towarzyszem. Podniósł wzrok, aby rzucić szybkie spojrzenie na korytarz oddzielający salon, gdzie pisał, od drzwi wejściowych, po czym znowu popatrzył na kursor, który wyglądał, jakby pulsował, naładowany już słowami do wystukania. Pomieszczeniem zawładnęła fałszywa cisza, tworząc na chwilę złudną nadzieję, że niespodziewany gość się poddał. Ale tak się nie stało, po drugiej stronie drzwi wyczuwał obecność jego milczącej, władczej energii.

[5] (gal.) Przecież nie mamy całej nocy.



ogueira palił papierosa w koszulce i slipach, patrząc w ciemność. Latarnie przy drodze prowadzącej do jego domu były tak od siebie oddalone, że wiązki ich światła tworzyły na ulicy pomarańczowe koła, niezależne i oddzielone, które nigdy się ze sobą nie stykały. Zostawił zaświeconą lampkę, ledwie rzucającą różowe światło w pokoju, i wyobrażał sobie, że z zewnątrz jego sylwetka doskonale wyróżniała się na tle ścian dziecięcej sypialni. Trzymał papierosa za framugą okna i za każdym razem, gdy się zaciągał, wystawiał ciało przez otwór, chcąc, żeby dym nie wpadł do środka. Ona nienawidziła dymu. On zaś nienawidził palić w taki sposób ostatniego papierosa dnia, który tyle już razy pozwalał mu na chwilę trzeźwego rozumowania, kiedy wszystko do siebie pasowało, a ostatnio zamienił się w wymówkę, by nie myśleć o innych sprawach. Światło na zewnątrz było niewystarczające, żeby wydobyć blask z jego obrączki, ale jej obecność paliła

mu palec, jakby była rozżarzona. Jak to możliwe, że coś, co jest widoczne, staje się niewidzialne dla naszych oczu, a dostrzegamy to dopiero dzięki spojrzeniu kogoś innego? Jak gdyby odzyskał przedmiot, który stopniowo się zużywał, aż stał się niematerialny, a to spojrzenie dopiero przywróciło mu jego istotę. Przyglądał się obrączce na palcu i potrząsnął głową, żeby wyzwolić się od siły owej myśli, która tej nocy – już o tym wiedział – nie pozwoli mu spać.

Ostatni raz zaciągnął się głęboko, aż poczuł w płucach ciepło, i wypuścił dym, kierując go możliwie najdalej od domu. Zgasił papierosa o zewnętrzny parapet i schował niedopałek do plastikowej torebki, w której były już inne. Zamknął ją i położył na parapecie okna, które zostawił jeszcze na chwilę otwarte, by mieć pewność, że z pomieszczenia zniknie cały zapach tytoniu. Odwrócił wzrok w stronę wnętrza i wykrzywił usta, nie odpowiadając na uśmiech Myszki Minnie patrzącej na niego z narzuty. Przesunął jednego z pluszaków leżących na poduszce, odwinął kołdrę i wślizgnął się do łóżka. Zgasił lampkę księżniczek Disneya.



ZRYWAĆ KORE

anuel otworzył oczy w ciemności panującej w pokoju i zdał sobie sprawę, że w którymś momencie nocy nieświadomie wyłączył telewizor. We śnie słyszał płaczące dziecko, a ona znowu przysłała, żeby je pocieszyć... Wstał z łóżka i po omacku podszedł do okna, które zdradzała cienka strużka światła przeciskająca się między okiennicami. Musiało przestać padać kilka godzin wcześniej, ponieważ choć zostały kałuże, ziemia w wielu miejscach była już sucha, ale po rzucanym cieniu wywnioskował, że słońce nie wisi jeszcze zbyt wysoko. Na skotłowanym prześcieradle bez powodzenia szukał pilota do telewizora i widząc, że go nie znajdzie, obszedł łóżko, po czym otworzył szufladę stolika nocnego. Ze środka wyjął swój zegarek, nie dotykając gardenii, które wołały do niego w różnym stopniu zwiędnięcia. Pospiesznie zamknął szufladę, ale mimo to – dominując nad zapachem starego drewna i naftaliny – dobiegły go woń kwiatów i pewne siebie spojrzenie chłopca

z fotografii, która w otoczeniu zwiędniętych gardenii bardziej niż kiedykolwiek nabrała charakteru zdjęcia zmarłego.

W lustrze przyglądał się swojemu odbiciu. Jego twarz była szara, zdradzająca bezsenność, przez którą pisał do późna w nocy. Odwrócił się, żeby spojrzeć na zapełnione jego pismem kartki leżące na blacie biurka; niektóre zsunęły się jak lawina, zakrywając kawałek podłogi, jakby kreśliły śnieżnobiałą ścieżkę aż pod łóżko. Przez kilka sekund patrzył na nie jak zaczarowany, po czym wrócił do odbicia w lustrze. Oczy, tak mętne jak galisyjskie niebo o poranku, pokryte patyną smutku, który pożarł ich blask. Przesunął dłonią po twarzy, chcąc pozbyć się zniechęcenia, palcami przecesał krótką, ciemną fryzurę i zauważył, że nieliczne siwe włosy na skroniach pomnożyły się w ostatnich dniach. Miał kilkudniowy zarost, na którym też pojawiało się coraz więcej siwych włosów, i kontrastujące z nim wargi, bardzo czerwone, ale obwisłe jak usta smutnego pajaca. Próbował się uśmiechnąć, lecz tylko delikatny dreszcz przebiegł po masce, w którą zamieniała się jego twarz, jakby pijany dentysta wstrzyknął mu za dużo prokainy albo toksyna botulinowa sparaliżowała mięśnie jego twarzy.

– Nie możesz tego tak dalej ciągnąć – powiedział do mężczyzny w lustrze.

Odsuwając na bok kwiaty, z głębi szuflady wydobył wizytówkę księdza, którą ten dał mu przy wjeździe do pazo, a przed zamknięciem chwycił jeszcze zdjęcie i wsunął je do wewnętrznej kieszeni marynarki, czując, jak zagięte brzegi drapią satynową podszewkę, trzymając się jej niczym żywe stworzenie.

Wyszedł na korytarz hostelu i znalazł panią domu, kierowany stertą pościeli rzuconej na podłogę przed otwartym pokojem, zdradzającej, że ktoś ścieli tam łóżko. Śpiewała cicho, a mimo to jej niemal dziewczęcy głos kontrastujący z szerokim ciałem sprawił, że Manuel się uśmiechnął.

– Czy może mi pani powiedzieć, jak tam dojechać? – zapytał i wyciągnął do niej wizytówkę, stojąc na korytarzu. Nie wykonał ani kroku dalej.

Kobieta studiowała karteczkę z zainteresowaniem, które zwiększyło się, kiedy podniosła wzrok.

– Tam wyciągają *o meigallo*^[6], wiedział pan?

– Co takiego? – zapytał skonfundowany.

– *O meigallo*, diabła, złe oko i całą resztę.

Manuel otworzył szeroko oczy, zaskoczony jej rewelacjami. Przyglądał się twarzy kobiety, szukając uśmiechu, który zazwyczaj towarzyszy żartowi lub kpinie. Ale ona się nie uśmiechała.

– Chwileczkę... Gdyby była pani tak uprzejma i zechciała mi to wytłumaczyć.

– Pewnie, że panu wytłumaczę – odparła życzliwie i zostawiła swoje zajęcie, by stanąć obok niego, jeszcze z wizytówką w dłoni. – Proszę posłuchać – powiedziała, pokazując na karteczkę. – To sanktuarium od dawien dawna było celem pielgrzymek i jednym ze świętych miejsc w Galicji, do których się przyjeżdżało, żeby wyciągnąć *o meigallo* albo *demo*^[7].

Nachylił się, aby móc spojrzeć jej w twarz, szukając znaku, którego potrzebował do zaakceptowania tego, co mu opowiadała. Kobieta musiała to zauważyć, bo popatrzyła na niego surowo, stwierdzając:

– Mówię jak najbardziej poważnie.

Manuel przytaknął, nie mając odwagi nic powiedzieć.

– To, że istnieje diabeł, jest tak oczywiste jak to, że istnieje Bóg. I że czasem, zachęcany przez tych, którzy źle nam życzą, albo z własnej woli, wciska się w nasze życie, czyniąc je nieznośnym.

Manuel wyciągnął rękę, aż dotknął wizytówki, chcąc ją odzyskać. Nie miał zamiaru dłużej słuchać tej kobiety. Ona jednak mocno trzymała

przedmiot i nie puszczając, zrobiła krok do tyłu, po czym ostro skarciła Manuela.

– Już wiem, o co chodzi, pan jest jednym z tych, którzy w nic nie wierzą, prawda? Więc proszę pozwolić, że opowiem panu pewną historię.

Manuel spojrzał na korytarz. Miał ochotę odejść i zostawić ją tutaj z tą historią, ale pomyślał, że koniec końców żona właściciela hostelu była dla niego miła i uczynna, odkąd pojawił się w ich domu. Manuel był pisarzem, nigdy nie odmawiał wysłuchania historii. Wzruszył więc ramionami i zamienił się w słuch.

– Mam siostrzeńców w A Coruñii. Właściwie to siostrzeńcem jest on, nauczyciel matematyki w szkole średniej, a ona, bardzo sympatyczna dziewczyna, to pracownica socjalna. Od ośmiu lat są małżeństwem i mają pięcioletnią córkę. No i dziewczynka rok temu, kiedy skończyła cztery lata, zaczęła mieć nocne koszmary. Przerażona, budziła się z krzykiem i mówiła, że w jej pokoju są ludzie, bardzo źli ludzie, okropni, którzy ją budzili i straszili. Początkowo jej rodzice nie przywiązywali do tego dużej wagi, myśleli, że to tylko koszmary wywołane czymś, co działo się w szkole, może jakieś dziecko jej dokuczało... Wie pan, takie rzeczy. Ale koszmary się powtarzały, dziewczynka krzyczała, rodzice biegali do jej pokoju i starali się ją obudzić, ale nawet z otwartymi oczami mówiła, że widzi te osoby. Pokazywała na ścianę za rodzicami, a przerażenie na jej twarzy było tak wielkie, że oni sami zaczynali się bać.

Zaprowadzili ją do pediatry, który stwierdził, że chodzi o lęki nocne, rodzaj powszechnego kosmaru, w którym dzieci nawet z otwartymi oczami widzą obrazy ze swojego snu. Dał im kilka rad: unikanie stresu, bardzo aktywne zabawy przed położeniem córki do łóżka, obfite kolacje; zalecił też kąpiel, masaż... Ale koszmary pojawiały się tak samo jak wcześniej. Zdesperowani, skonsultowali się z innymi lekarzami i ostatecznie skierowano

ich do psychiatriy dziecięcego. Po ocenie dziewczynki lekarz powiedział, że nic jej nie jest, ale że czasem dzieci z bujną wyobraźnią zaczynają wierzyć, iż widzą to, co sobie wyobrażają. Nie było to złe wytłumaczenie, jednak rodzicom nie wystarczało, więc psychiatra przepisał dziewczynce środek nasenny, według niego bardzo łagodny, ale koniec końców dla dzieci to narkotyki.

Może pan sobie wyobrazić ich zmartwienie. Przygnębieni wrócili do domu i opowiedzieli o tym mojej siostrze, którą tego dnia odwiedziła bardzo bliska przyjaciółka. To właśnie ona dała im radę. Powiedziała: „A dlaczego nie zabierzecie jej do sanktuarium?”. Oni odparli: „Ach, ale my nie wierzymy w takie rzeczy i prawdę mówiąc, nie wyobrażamy sobie, że moglibyśmy zabrać nasze dziecko do egzorcysty”. „Z pewnością nie wyobrażaliście sobie także, że będziecie musieli zabrać ją do psychiatriy i podawać czterolatce narkotyki”, odpowiedziała im kobieta. „Zabierzcie ją tam, jesteście katolikami, dziewczynka była ochrzczona, a wy braliście ślub kościelny, koniec końców nic nie straciecie, jeśli pójdziecie na mszę”.

Zwlekali jeszcze kilka dni i chyba nawet zaczęli dawać jej te tabletki przepisane przez lekarza, ale na nic się nie zdały, więc desperacko stawili się w sanktuarium akurat w dniu, w którym trwały uroczystości. Po mszy ojciec podszedł do księdza i wyjaśnił mu powód ich wizyty. „Teraz wyjmą Dziewicę z ołtarza i będą ją nosić wokół świątyni. Proszę wziąć małą za rękę i przechodzić z jednej strony na drugą pod feretronem”, powiedział mu kapłan. „Tylko tyle?” „Tylko tyle”.

Czekali na zewnątrz między ludźmi, patrząc, jak wielu innych robiło to samo, co ksiądz polecił ojcu: przechodzić z jednej strony na drugą pod Dziewicą. Uznali, że to nie może wyrządzić ich córce żadnej krzywdy, tak więc ojciec wziął ją za rękę i próbował podejść do figury. Dziewczynka zaczęła krzyczeć jak szalona, przywarła do ziemi, dysząc, piszcząc

i krzycząc: „Nie, nie, nie!”. Rodzice uklękli z niepokojem obok niej, nie mając pojęcia, co zrobić, osłupiali z powodu tego, co się działo, i przerażeni cierpieniem dziewczynki. Wtedy przybiegł do nich ksiądz, wziął na ręce małą, która nie przestawała krzyczeć, i szybko przeszedł z nią pod feretronem.

Może mi pan wierzyć lub nie, ale kiedy wyszedł z drugiej strony, dziewczynka przestała piszczeć, była całkowicie spokojna, jakby nic się jej nie stało, i nie pamiętała ani słowa z tego, co działo się wcześniej.

Manuel nabrał powietrza.

– Co mam panu powiedzieć? – Westchnęła kobieta, oddając mu wizytówkę. – Nie wiem, czy moi siostrzeńcy są teraz bardziej wierzący niż przedtem, ale dziewczynka nie miała już więcej koszmarów i za każdym razem wracają tam na różne uroczystości, żeby przejść z nią pod Dziewicą.



Przez prawie pięćdziesiąt kilometrów jechał główną drogą, mijając wiele ważnych miejscowości i nieduże miasteczko, cały czas myśląc o historii, którą opowiedziała mu żona właściciela hostelu. Kilka razy dostrzegł tabliczki informujące, że jakieś miejsce jest atrakcją turystyczną albo architektoniczną. Następnie skręcił, a oznaczenia zniknęły na kilka kilometrów. Nawigacja pokazywała, żeby jechał dalej, chociaż Manuel był przekonany, że się zgubił. Nie przejął się tym jednak: tego poranka piękno krajobrazu potęgowało wyzwalające poczucie ucieczki i samowoli.

Kilka skromnych domów otaczało kościół i sąsiadujące z nim budynki stanowiące część świątyni. Objechał dookoła całą konstrukcję, będąc pod wrażeniem wielkości parkingu, który był pusty, i wrócił do głównego wejścia, gdzie zaparkował pod altaną z platanów klonolistnych, jeszcze prawie wszystkich z zielonymi liśćmi. Wysiadł z samochodu i popatrzył na

rozwidlające się w dwie strony schody prowadzące do świątyni.

Usłyszał hałas, po czym zobaczył dwóch starszych mężczyzn, którzy nie zwracając na niego uwagi, wchodzili do aluminiowego pomieszczenia zidentyfikowanego przez Manuela jako bar tylko dzięki wyblakłej reklamie Schweppesa przytwierdzonej do blachy, za którą w antykwariacie dostaliby niemało pieniędzy. Zanim ruszył w kierunku świątyni, podszedł do stuletniego pnia platana klonolistnego i zerwał sporej wielkości płat, odsłaniając nieregularną żółtawą plamę, która w ciągu kilku dni zleje się z resztą kory. Jego siostra uwielbiała to robić. Podczas spacerów w madryckich parkach rywalizowali ze sobą, rozbierając platany z ich łuskowatych płatów. Czasami znajdowali prawie nietknięte, z popękana i powyginaną korą, jakby drzewo trzęsło się w środku, by się od niej uwolnić. Z prawdziwą przyjemnością zrywali łuskowate płaty; zadanie polegało na tym, żeby wyrwać największy kawałek, nie uszkodzając go. Uśmiechnął się. Zrobił to drugi raz, gdy sobie uświadomił, że w tych niepewnych dniach wspomnienie, które tyle czasu pozostawało na wygnaniu, ponieważ było bolesne, stało się jedynym potrafiącym złagodzić jego smutek.

Ukrył w dłoni płat kory i skierował się na schody prowadzące do świątyni. Przypuszczał, że główne wejście musi być zamknięte, chociaż nawet tego nie sprawdził, tylko wolał obejść świątynię, zwracając uwagę na zadrapania w postaci krzyży na kamieniach od ziemi aż na wysokość, do której sięgała ręka wysokiego mężczyzny. Kobieta o bardzo krótkich włosach wyszła bocznymi drzwiami, przyciskając do ciała wełnianą kurtkę w geście, który miał więcej wspólnego z manią niż z chłodem. Spojrzała na niego i powiedziała:

– Kościół jest otwarty, ale musi pan wejść tędy; jeśli chce pan kupić świece albo inne przedmioty liturgiczne, to już otwieram – dodała, pokazując na sklepik z kamienia, na którym afisz głosił: „Pamiętki Dziewicy”.

– Nie – odpowiedział może nazbyt szorstko Manuel. – Przyjechałem, żeby spotkać się z Lucasem, ale nie wiem nawet, czy to dobry moment. Chyba powinienem był wcześniej do niego zadzwonić...

Kobieta zamieniła swoje pierwotne rozczarowanie na zdziwienie, chociaż wyglądało, że szybko zrozumiała. W końcu odparła:

– Ach! Przyjechał się pan spotkać z ojcem Lucasem; jasne, że jest, proszę wejść i go zawołać, pracuje w zakrystii. – I więcej nie zwracając na niego uwagi, z kieszeni swojej zniekształconej kurtki wyjęła karabinek wspinaczkowy, do którego było przyczepionych ponad dwadzieścia kluczy, po czym skierowała się do prostych drzwi sklepu z pamiątkami.

Przedpołudniowe słońce, które ogrzewało mury, wpadało przez wysokie okna do nawy kościoła i kreśliło zawieszony w powietrzu ścieżki kurzu oraz słabego światła kładącego się Manuelowi zatrzymać, aż jego oczy przyzwyczyły się do półcienia.

Wiele osób, stojących albo klęczących, zajmowało pierwsze ławki. Były to prawie same kobiety, które mimo że tworzyły jednolitą grupę, zachowywały między sobą wystarczającą odległość wskazującą na to, że były same. Manuel ruszył do głównego wejścia, obchodząc ławki, by uniknąć przejścia przed ołtarzem i obok nich.

Nastawy ołtarzowe były surowe i barwne. Zauważył też anachroniczne wota dziękczynne z częściami ludzkiego ciała – głowami, nogami, rękami – a nawet przedstawienia dzieci czy mężczyzn z żółtego wosku, które wywołały w nim dużą awersję. Dystrybutory świeczek na monety zastąpiły świece, które z pewnością paliły się tutaj dawniej. Szczelina domagała się pięćdziesięciu centów, które wsunął dla samej przyjemności zobaczenia, jak za szkłem akrylowym zapala się plastikowa świeczka. Świętym też trzeba płacić. Skierował się w stronę zakrystii, zostawiając za sobą parafianki i słysząc syczenie ich żarliwie szeptanych modlitw. Podążając za kierunkiem

ich spojrzeń, podniósł wzrok na ołtarz, gdzie zaskakująco młoda i szczęśliwa Dziewica trzymała w ramionach półtorarocznego chłopca. Oboje się uśmiechali; zarówno kolor płaszcza, jak i ozdób wyrażał radość i zabawę. Obserwował ją, myśląc, że po odwiedzeniu strony internetowej sanktuarium wyobrażał sobie Dziewicę zboląłą, przygnębioną spoczywającym na niej ciężarem i pogrążoną w wielkim smutku. Doszedł jednak do wniosku, że zrobił to pod wpływem zabytkowości świątyni i ciężaru mrocznych tradycji, które się z nią wiążą.

Przekroczywszy próg zakrystii, zobaczył kobietę, która mogłaby być siostrą poprzedniej. Siedziała za stołem i porządkowała bloki broszurek, z pewnością przeznaczone do rozdania podczas niedzielnej mszy.

– Dzień dobry, szukam... ojca Lucasa – powiedział, zwracając na siebie uwagę.

Z przyległego pomieszczenia dobiegł go dźwięk odsuwanego krzesła i po chwili w drzwiach pojawił się ksiądz. Zobaczywszy go, uśmiechnął się i podszedł bliżej, wyciągając rękę.

– Manuelu, jak się cieszę, że postanowiłeś mnie odwiedzić.

Uścisnął mu dłoń, ale nic nie powiedział.

Siedząca za stołem kobieta wyglądała jak nauczycielka ze szkoły podstawowej, co dodatkowo podkreśliła oceniającym spojrzeniem, z jakim mu się przypatrywała, będącym mieszanką wątpliwości i pewności. W geście pobudzenia pamięci podrapała się po głowie, nie przestając na niego patrzeć.

– Chcesz wejść? – zapytał Lucas, pokazując w stronę pomieszczenia, z którego wyszedł, ale musiał zauważyć zakłopotanie Manuela i natychmiast zaproponował: – Czy wolisz się przespacerować, żebym wszystko ci pokazał? Po wczorajszej ulewie mamy dzisiaj piękny dzień.

Nic nie mówiąc, Manuel odwrócił się i poszedł przez nawę do wyjścia, podczas gdy ksiądz na kilka sekund schylił się przed ołtarzem, oddając

pokłon. Dogonił go za grupą parafianek.

Kiedy opuścili kościół, Manuelowi wydało się, że słońce świeci jaśniej, a powietrze jest bardziej rześkie. Odetchnął głęboko i jakby na rozkaz zaczęli spacerować wzdłuż murów kościoła.

– Manuelu, co za radość. Miałem nadzieję, że przyjedziesz, ale nie byłem pewien. Nie wiedziałem, czy jeszcze tu jesteś, czy wyjechałeś... Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedział zbyt szybko.

Ksiądz zacisnął usta i przechylił głowę w geście, do którego Manuel już się przyzwyczaił: w ten sposób reagowały osoby zadające mu to pytanie. Manuel milczał, czekając. Wiedział, że Lucas się nie podda, nikt tego nie robił, a po pogrzebie przekonał się już, że on jako kapłan czuł się jeszcze bardziej uprawniony do tego, by grzebać w jego uczuciach, niż pozostali.

– Co sądzisz o sanktuarium? – zapytał Lucas, podnosząc wzrok na dzwonnice.

Manuel się uśmiechnął, nie dając się oszukać: ksiądz nawiązywał rozmowę z innej perspektywy.

– Z daleka wygląda dość imponująco – przyznał.

– A z bliska?

– Nie wiem. – Zastanawiał się przez chwilę. – Przypomina trochę jakby... Nie zrozum mnie źle, jest... intymne, ale na swój sposób opuszczone, wywołuje podobne wrażenie jak stary szpital, ośrodek psychiatryczny albo geriatryczny...

Lucas wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał.

– Wiem, co masz na myśli, i masz rację. To miejsce przez całe wieki było schronieniem dla krzywd ludzkości. Nie zostało zbudowane z myślą o rozmowie z Bogiem, lecz z myślą o pokonaniu grzechu.

– Grzech... – wyszeptał nieufnie Manuel. – To prawda, że tutaj dokonuje

się egzorcyzmów?

Ksiądz się zatrzymał, zmuszając go, żeby zrobił to samo.

– Ludzie przyjeżdżają tutaj po wszelkiego rodzaju ulgę w cierpieniu, ale ty tu po to nie jesteś, prawda? – powiedział ostro.

Manuel pożałował swojej śmiałości. Powoli wypuścił powietrze, zastanawiając się, co powodowało, że był wobec tego człowieka tak okrutny. Słowa Elisy mocno nim wstrząsnęły: „Trudno jest pogodzić się z tym, że twój partner woli rozmawiać z księdzem niż z tobą”. Tak, być może o to chodziło, ale przecież Lucas nie ponosił winy za tę sytuację. Manuel ruszył dalej, lecz ksiądz, jeszcze urażony, dołączył do niego dopiero po kilku sekundach. Pisarz próbował uporządkować swoje myśli, zanim się odezwie, ponieważ nie był do końca świadomy tego, że przyjechał tu w pewnym celu. W dłoni poczuł obecność płata kory i ścisnął go na chwilę niczym odnaleziony talizman. Idąc, paznokciem kciuka nieświadomie odcinał jego kawałki, czując, jak łamie się z ledwie słyszalnym trzaskiem, którego nie potrzebował słyszeć, ponieważ dźwięk ten wyrzył sobie w pamięci, i stwierdził, że – chociaż wydawało mu się, iż z biegiem lat go zapomniał – pozostał nienaruszony.

Ksiądz przemówił jako pierwszy.

– Posłuchaj, Manuelu, byłem przyjacielem Álvara, opłakuję jego stratę i będę opłakiwał przez resztę mojego życia. Wiem, jak się czujesz, i cieszę się, że postanowiłeś przyjechać, że nadal tu jesteś, ale jeśli chcesz zostać, to porzuć to podejście intelektualisty, który już wszystko widział, i okaż szacunek. Tutaj dużo ludzi kochało Álvara, a to, że nie wiedziałeś o ich istnieniu, nie czyni ich uczuć mniej ważnymi. Nie miałem zamiaru ci o tym wspominać, bo nie sądzę, żebyś to docenił, ale fakt, że w pogrzebie Álvara uczestniczyło dziewięciu księży, był zasługą Herminii. Rodzina powiadomiła mnie, a ja księdza z parafii; markiza poprosiła, żeby pogrzeb był skromny.

Pozostałym kapłanom z własnej kieszeni zapłaciła Herminia. Po pięćdziesiąt euro dla każdego księdza, żeby oddać hołd mężczyźnie, którego kochała jak syna, żeby nie był gorszy, żeby nie pozwolić, by jego własna rodzina pochowała go w otoczeniu ciszy i wstydu. To ona powiadomiła całą wioskę, to ona zadbała o jego honor w miejscu, w którym na każdym pogrzebie obecnych jest przynajmniej pięciu księży, a mniejszą ich liczbę uznaje się za obrazę.

Manuel spojrział na niego, będąc pod wrażeniem tych słów.

– Tak, Manuelu, ten prostacki zwyczaj, ten folklor, z którego sobie drwiesz, to jest szacunek, czysta miłość, ta sama, dla której pracownicy bodegi zapłacili za nowennę mszy świętych tutaj, w sanktuarium. Szczerze mówiąc, nie potrafię wyobrazić sobie większego aktu miłości wobec kogoś, kto zmarł, niż dbanie o jego pomyślność po śmierci. Myślę, że jesteś dobrym człowiekiem, co prawda zranionym, zbolełym, ale to nie daje ci prawa, by sobie drwić, tak więc powiedz mi, Manuelu, po co przyjechałeś.

Manuel westchnął, zacisnął usta i podniósł brwi, przyjmując reprimendę. „Zasłużoną”, pomyślał.

– Przyjechałem z powodu Elisy.

– Elisy... – powtórzył bardzo cichym głosem ksiądz, zaskoczony, ale ostrożny.

Manuel nie zamierzał wyjawiać mu prawdziwych powodów, dla których postanowił zostać w Galicji, chociaż nie chciał też księdza okłamywać. Czuł się zawstydzony swoją zarozumiałością i z całych sił pragnął mu ufać, ale było jeszcze zbyt wcześnie, żeby mówić o tym bez ogródek.

– Wczoraj wróciłem do As Grileiras, żeby odwiedzić cmentarz – skłamał częściowo – i tam ją spotkałem. Ma prawdziwą obsesję na punkcie tego, że jej narzeczony nie popełnił samobójstwa.

Lucas dalej szedł w milczeniu, patrząc na ziemię i nie pokazując, by

w najmniejszym stopniu go to zaskoczyło. Manuel postanowił ciągnąć temat. Jeśli Lucas mógłby poruszyć kwestię nieprawidłowości wokół śmierci Frana, to być może byłby także w stanie mówić o Álvaro. Jak sam podkreślał, był jedyną osobą z jego przeszłości, z którą Álvaro utrzymywał kontakty wykraczające poza sprawy biznesowe.

– Pamiętasz gwardzistę czekającego na mnie po pogrzebie? On też sugerował, że są elementy, które nie zgadzają się w sprawie śmierci Frana.

Tym razem ksiądz podniósł głowę i spojrzał mu w oczy. Wiedział, że go bada, oceniając, ile wie, a ile ukrywa. Manuel rzucił mu coś jeszcze.

– Powiedział mi, że przesłuchał cię w tej sprawie, ale nic mu nie powiedziałeś.

– To była tajemnica...

– Tak, tajemnica spowiedzi, powiedział mi o tym, i dodał też, że nie wierzyłeś, iż mógłby się zabić.

– Nadal tak uważam.

– A więc jeśli w jego śmierci jest coś podejrzanego, to mając na uwadze fakt, że Fran nie żyje, a także ból, jaki sprawia to Elisie, dlaczego nie powiedzieć jej prawdy?

– Ponieważ czasem lepiej jest milczeć, niż częściowo kłamać – odparł ksiądz.

Czuł, że znowu rośnie w nim gniew; jego rezerwy samokontroli zaczynały się topić.

– Powiedz mi jedną rzecz, księżu, mnie też będziesz częściowo okłamywać czy powiesz mi prawdę? Pytam tylko dlatego, żeby nie tracić czasu. Mam już dosyć tego, że wszyscy mnie okłamują: Álvaro, jego sekretarka, Herminia... A poza tym – powiedział, odwracając się w stronę ogrodzenia – masz rację, mamy piękny dzień i mogę robić milion rzeczy, zamiast stać tu i wysłuchiwać łgarstw.

Lucas popatrzył na niego surowo przez kilka sekund, a potem znowu zaczął iść.

Manuel miał świadomość, że podniósł głos. Był wściekły. Wypuścił z płuc całe powietrze i postawiwszy dwa długie kroki, znowu znalazł się obok księdza. Słyszał, jak coś mówi, ale robił to tak cicho, że musiał się przysunąć, dotykając go, aby dosłyszeć jego słowa.

– Nie mogę zdradzić ci tego, co usłyszałem od Frana pod tajemnicą spowiedzi – stwierdził stanowczo. – Ale opowiem, co widziałem, co czułem i jakie wyciągnąłem wnioski.

Manuel się nie odezwał. Przeczynał, że cokolwiek by powiedział, byłoby to nieodpowiednie, a nawet mogłoby sprawić, że ksiądz zmieniłby zdanie i na powrót pogрузzył się w milczeniu.

– Odprawiałem nabożeństwo pogrzebowe starego markiza w kościele przy pazo. Wszyscy byli poruszeni, chociaż każdy w inny sposób. Álvaro siedział naprzeciwko, bardzo poważny. Domyślał się już, jaki ciężar odpowiedzialności odziedziczył. Santiago przeżywał ból inaczej. Był sfrustrowany, zły, tak jakby ojciec mocno go rozczarował, umierając. Już wcześniej widziałem takie zachowania: dzieci często myślą, że ich ojcowie będą przy nich zawsze, a potem reakcje bywają bardzo różne. Niezmiennie jednak towarzyszy im złość. No i był jeszcze Fran... Możliwe, że Santiago potrzebował ojca, ale Fran ojca kochał, a taki ból jest nie do opisanania.

Było widać, że wszyscy się o niego martwili, może dlatego, że w jakimś sensie przypisywali jego cierpieniu największą prawdziwość. Po pogrzebie Fran nie chciał wracać do domu i został sam przy grobie ojca. Álvaro odprowadził mnie do wyjścia i powiedział, że bardzo się martwi o swojego brata. Uspokoilem go; wiedziałem, że to normalne, że to jest ból, przez który musi przejść, cena, jaką trzeba zapłacić za miłość – powiedział Lucas, odwracając się, by na niego spojrzeć. – Mimo to nalegałem, żeby po mnie

zadzwoił, jeśli uzna to za korzystne dla Frana, ale tylko wtedy, gdy on zgodzi się ze mną spotkać. Jak sam mogłeś się przekonać, odrzucano jakiegokolwiek propozycje pomocy z obawy, że kryją się za nimi ckliwe współczucie albo zawoalowany osąd. Fran zadzwonił do mnie późno, o dziesiątej wieczorem, i poprosił, żebym przyszedł się z nim zobaczyć. Kiedy przyjechałem, musiało być po jedenastej. Drzwi do kościoła były przyknięte, popchnąłem je i znalazłem go w środku, siedzącego w pierwszej ławce z nieruszoną kanapką i coca-colą, oświetlonego jedynie świecami z pogrzebu ojca. Poprosił, żebym go wyspowiadał; zachowywał się jak dobry człowiek, a nie rozkapryszone dziecko. Miał świadomość bólu, jaki sprawił innym, żałował popełnionych błędów, było w nim mocne postanowienie poprawy. Dałem mu rozgrzeszenie i komunię świętą. Kiedy skończyliśmy, wrócił do ławki, uśmiechnął się i zjadł kanapkę. „Umierałem z głodu”, powiedział. – Ksiądz zamilkł i spojrzał Manuelowi prosto w oczy. – Rozumiesz, co to znaczy? Pościł, żeby móc przystąpić do spowiedzi i komunii. Od lat się nie spowiadał, ale nie zapomniał drogi. Człowiek, który stosuje się do takich reguł, nigdy nie popełniłby samobójstwa. Wiem, że trudno to wyjaśnić agnostykowi albo policjantowi, ale uwierz mi, że tak jest: nigdy, przenigdy nie popełniłby samobójstwa.

Manuel myślał o tym, gdy ruszali dalej powolnym krokiem, a to, że Lucas określił go jako agnostyka, nie umknęło jego uwadze. Wtedy zobaczył, że przed bocznym wejściem do kościoła stoją dwie kobiety, które wziął za siostry. Ich gesty wskazywały na to, że na nich czekają: nerwowe uśmiechy, szeroko otwarte oczy i niespokojne szturchańce, jakie dawały sobie nawzajem, ujawniały poruszenie w ich niemalże dzieciennym zachowaniu.

Lucas w pierwszej chwili popatrzył na nie z zaniepokojeniem, ale szybko zrozumiał, co się dzieje, i szepnął Manuelowi, żeby im wybaczył.

Ta, która wcześniej siedziała za stołem w zakrystii, przemówiła pierwsza.

– Jesteś Manuel Ortigosa, prawda?

Manuel się uśmiechnął i lekko przytaknął. Bycie rozpoznawanym na ulicy nadal wywoływało w nim mieszankę wdzięczności i zaskoczenia, której nie potrafił wytłumaczyć.

– Kiedy wszedłeś, pomyślałam: „Skądś znam tego mężczyznę”, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Gdy potem usłyszałam, że ojciec Lucas zwraca się do ciebie Manuel... Szybko przybiegłam do mojej kuzynki. – Druga kobieta uśmiechnęła się, wykrzywiając ręce w nerwowym geście. – To ona odkryła twoje książki i kazała je przeczytać nam wszystkim, całej grupie z katechezy, z koła kobiet wiejskich, wszystkim kuzynkom...

Manuel wyciągnął rękę, którą one pospiesznie i z uśmiechem uściśniły w niezdatnym geście. Ta dotąd milcząca zacisnęła usta, powstrzymując płacz. Poruszony tym przypływem szczerych emocji, przytulił ją, a ona się rozplakała.

– Pomyślisz, że jestem głupia – zdołała powiedzieć, szlochając.

– Oczywiście, że nie, właściwie to sprawiłaś, że ja też się wzruszyłem. Bardzo ci dziękuję za czytanie moich książek i rekomendowanie ich innym.

Kobieta zaczęła jeszcze głośniej płakać, przytrzymywana przez kuzynkę, która nie przestawała mówić.

– Szkoda, że nie wiedziałyśmy o twoim przyjeździe, bo tak to przyniosłybyśmy tutaj wszystkie twoje książki, żebyś nam je podpisał, ale może jeszcze wrócisz...

– Nie wiem – odpowiedział Manuel wymijająco, patrząc w dal.

Lucas przyszedł mu z pomocą.

– Już wystarczy, przestańcie się naprzykrzać, nie dajecie mu spokoju, a Manuel nie przyjechał tutaj, żeby podpisywać książki – powiedział, biorąc go pod rękę i delikatnie popychając do przodu.

– Nie naprzykrzają mi się – odparł pisarz, znowu wywołując uśmiech

u kobiet.

– Przynajmniej mogłybyśmy zrobić sobie zdjęcie... – zaproponowała ta, która mówiła mniej.

Nie zwracając uwagi na udawany gest znużenia Lucasa, Manuel stanął między obiema kobietami i telefonem jednej z nich sam zrobił zdjęcie, ponieważ obie były tak zdenerwowane, że nie mogły trafić w przycisk.

Pożegnał się i zostawił je uśmiechnięte, trzymające się pod rękę, stojące w tym samym miejscu i patrzące, jak się oddalali. Szli w milczeniu, aż mieli pewność, że kobiety już nie mogą ich usłyszeć.

Manuel zabrał głos jako pierwszy.

– Przemyslałem to i masz rację. Normalne, że Nogueira nie widział nic dziwnego w zachowaniu Frana tamtego wieczoru ani w tym, że się wypowiadał. Nawet on mógłby powiedzieć, że zrobił to wszystko, aby przed popełnieniem samobójstwa pogodzić się ze światem; wiadomo, że tacy ludzie często zostawiają pozalutwane sprawy, zanim zdecydują się na ostateczny krok.

Lucas przytaknął i powiedział:

– Ale nie jest normalne, że przejmują się innymi ludźmi. Samobójcy nie mają tyle empatii, żeby zostać z powodu innych, a znaczna część tego, co zasmucało Frana, miała związek z jego rodziną, za którą czuł się w pewnym sensie odpowiedzialny. Cokolwiek by go martwiło i zajmowało, nie zachowywał się jak ktoś, kto chce uniknąć problemu; on starał się go rozwiązać. Niestety znałem osoby, które z własnej woli postanowiły zakończyć swoje życie, i nigdy, u żadnej z nich, nie widziałem podobnego zachowania... A oprócz tego kolejną godzinę spędziłem na rozmowie z nim. – Przerwał, przypominając sobie tamto spotkanie. – Przede wszystkim o jego ojcu, o braciach, o dzieciństwie, z którego miał szczęśliwe wspomnienia; nawet śmialiśmy się, wspominając niektóre psoty. Powiedział mi, że kiedy

jego ojciec umierał, zdał sobie sprawę z tego, jak ważne jest mieć kogoś, kto będzie o ciebie dbał, że w chwili, gdy ręka ojca puściła jego dłoń, wiedział, że nie jest już niczym synem, że został sam... Wtedy zobaczył obok siebie Elisę i jej wydatny brzuch z dzieckiem, które rosło w środku, i zrozumiał, że bieg rzeczy się zmienił i że od tego momentu to on musi trzymać rękę swojego syna. Kiedy odchodziłem, zjadł już kanapkę i miał wyraz twarzy jak ktoś, kto zaczyna nowe życie, a nie je kończy.

– A więc jak sobie tłumaczysz to, co się stało?

– Na pewno nie teorią o samobójstwie.

– Zrobił to przypadkowo? – zasugerował Manuel, pamiętając, że tak brzmiała hipoteza Nogueiry. – Poszukiwanie ulgi, pocieszenia, środka uśmierzającego smutek, z którym przesadził...

– Nie, ty go nie widziałeś, Manuelu, ale ja tak. Pożegnał się ze mną i powiedział, że zostanie jeszcze przez chwilę, żeby wszystko zgasić i zamknąć.

– Sugerujesz, że ktoś...

– Ja nie mogę tego stwierdzić – odparł ostro. I dodał: – Ale to, o czym powiedział mi na spowiedzi, mogło mu zagrażać.

– Masz na myśli jego zmartwienia w związku z rodziną?

Ksiądz przytaknął.

– Powiedział ci, czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Nie, ale możliwe, że osoba albo osoby w to zaangażowane zdawały sobie sprawę, że on wiedział.

– Osoba albo osoby – powtórzył Manuel, tracąc cierpliwość. – Kto to był?

– Nie powiedziałbym ci, nawet gdybym wiedział. Nie rozumiesz, że nie mogę złamać tajemnicy spowiedzi? Ale prawda jest taka, że nie wyjawiał mi nic więcej – odparł ksiądz, urażony.

– Sądziłem, że się wypowiadał...

– Spowiedź to nie policyjne przesłuchanie, trzeba pozwolić, żeby człowiek sam to z siebie wyrzucił, a nie jest łatwo; czasem spowiedź przebiega w kilku etapach. Od lat nie przyjmował sakramentu, więc nie uważałem za właściwe naciskania na niego, tym bardziej gdy zdałem sobie sprawę, że jest owcą wracającą do stada. Przypuszczałem, że będzie jeszcze okazja, aby kontynuował spowiedź, aż osiągnie spokój. – Zrobił pauzę. – W każdym razie mam wrażenie, że jeszcze do tego dojrzywał. Podzielił się ze mną swoim zmartwieniem, czymś poważnym, co mogło się zdarzyć, ale nie był tego całkowicie pewien, i zapewne dlatego ważył słowa.

– Co się stało później? Odszedłeś i zostawiłeś go tam samego?

– Cóż... – W jego głosie dało się wyczuć niepewność.

– Nie?

Zawahał się, zanim odpowiedział, jakby rozważał, czy powinien o tym w ogóle wspomnieć. Manuel był pewien, że to, co ksiądz miał wyznać, zmieni wszystko.

– Kiedy wyszedłem, musiałem przejść po ciemku między drzewami. Miałem włączoną latarkę w telefonie, ale odwróciłem się, bo wydawało mi się, że coś usłyszałem, i zobaczyłem, jak ktoś wchodzi do kościoła.

– Kto to był?

– Nie wiem, stałem jakieś dwieście metrów dalej, prawie po ciemku. Jedynym światłem ze środka było światło świec i rozjaśniło go tylko na kilka sekund, kiedy przechodził przez drzwi, które po chwili zamknęły się za jego plecami.

– Ale ty wiesz, kto to był – naciskał Manuel.

– Nie jestem pewien, właśnie dlatego wołałem milczeć.

– Kim była ta osoba? – dopytywał nieustępliwie.

– Wydawało mi się, że to Álvaro.

Manuel nagle się zatrzymał.

– Nie ma w tym nic dziwnego – pospieszył z wyjaśnieniem ksiądz. – Już ci mówiłem, że tamtego poranka, po pogrzebie ojca, mówił mi, jak bardzo się martwi o brata. Kiedy następnego dnia powiadomiono mnie o jego śmierci, przypomniałem sobie o tym, ale nie byłem pewny na sto procent, kogo zobaczyłem. Im więcej o tym myślałem, tym więcej pojawiało się wątpliwości, aż w końcu całkowicie straciłem rozeznanie, czy widziałem Álvara, czy nie.

– I?

– Zapytałem go o to.

– Zapytałeś o to Álvara?

– Tak, i powiedział, że to nie mógł być on, że tamtego wieczoru nie zbliżał się do kościoła. Wtedy uznałem, że się pomyliłem. Nie wiem, kto to był, pomyliłem tę osobę z Álvarem, to wszystko.

– On ci powiedział, że nie poszedł do kościoła, a ty mu uwierzyłeś.

– Álvaro nigdy nie kłamał.

– Przepraszam cię, Lucasie, ale w mojej sytuacji takie stwierdzenie brzmi jak żart...

Ksiądz udął, że tego nie słyszał.

– Powiedziałem mu, że Fran martwił się czymś, co miało związek z ich rodziną. W innych okolicznościach bym tego nie zrobił, ale Fran właśnie umarł i... Cóż, Álvaro musiał o tym wiedzieć, w tamtym momencie był już głową domu. Wysłuchał mnie uważnie i z jego reakcji wywnioskowałem, że wie, o co może chodzić.

Manuel wyprzedził go o krok i zatrzymał się naprzeciwko księdza, postanawiając, że nie pozwoli mu się wymigać.

– Fran mówi ci, że martwi go, iż może wydarzyć się coś poważnego, po czym umiera; opowiadasz o tym Álvarowi, który teraz też nie żyje.

Obrażony Lucas zmarszczył brwi. Wydawało się, jakby już sama ta koncepcja była dla niego odrażająca.

– To nie ma ze sobą nic wspólnego. Od tamtej nocy minęły trzy lata, a Álvaro zginął w wypadku.

Manuel wiedział, że ufanie komuś oznaczało zawsze skok wiary, rzucenie się w pustkę. Nie zostało mu nic innego, jak zawierzyć czystemu instynktowi, który poprowadził rodzaj ludzki przez ewolucję w czasie, kiedy jedna błędna decyzja oznaczała śmierć. Pozostało tylko zawierzyć pierwotnej intuicji kłusownika na sawannie, którą posiadał każdy, lecz gdy w ciągu ostatnich pięciu dni wszystko, co uważał za trwałe i prawdziwe, zostało zniszczone, znów nabrał pewności, że jest zdany na łaskę czystej inercji. A przeciwko temu nie mógł zrobić nic.

Zamknął oczy i westchnął, wykonując gest podobny do modlitwy.

– Być może nie – odparł.

– Ale...

– To jest powód, który mnie tutaj trzyma, dla którego nie mogę wyjechać... Są rzeczy każące mi myśleć, że śmierć Álvaro nie nastąpiła wskutek wypadku.

Lucas popatrzył na niego pojednawczo.

– Manuelu, wiem, że czasem trudno jest się pogodzić...

– Cholera, posłuchaj mnie, nie mówię ci o czymś, co mi się wydaje, to Gwardia Cywilna tak podejrzewa. Gdyby nie to, już dawno by mnie tutaj nie było.

Lucas mówił do niego spokojnie, powoli, jak do dziecka.

– Pojechałem z Santiagiem do szpitala, kiedy powiadomili nas o wypadku, i byłem przy nim, gdy przekazali, że Álvaro nie żyje. Gwardia

Cywilna powiedziała, że to był wypadek; samochód wypadł z drogi na prostym odcinku, bez udziału innych pojazdów. Wypadek, Manuelu...

– Jasne, a w przypadku Frana samobójstwo, chociaż na głowie miał ślad po uderzeniu, a na butach oznaki ciągnięcia... Kościół zamknięty na klucz, którego nigdzie nie było... Mimo że chłopak nie mógł utrzymać się na nogach... Odnoszę wrażenie, że dla tej rodziny między oficjalną wersją a prawdą zawsze istnieje czarna przepaść, nie sądzisz?

Zbladł.

– Nie wiedziałem o tym... – Zaczerpnął powietrza i mocno je wypuścił. – Jak oni myślą, co przytrafiło się Álvarowi?

Czuł przemożne pragnienie opowiedzenia mu o wszystkim, że ci, którzy „myślą”, ograniczają się do lekarki sądowej odsuniętej od sprawy, emerytowanego funkcjonariusza Gwardii Cywilnej i do niego samego, chciał mu wyjaśnić każdy najdrobniejszy szczegół, podzielić się tym, co nie dawało mu spokoju, ale obiecał Nogueirze i Ofelii, że nikomu o nich nie powie. Wiedział, że szczerłość jest drogą dwukierunkową i że niewiele otrzyma od Lucasa, jeśli nie da mu czegoś w zamian, ale instynktownie czuł także, że jest jeszcze za wcześnie, by ufać mu bezgranicznie.

– Nie wiem, to właśnie staram się sprawdzić. Nie wiem nawet, czy mogę ci ufać, czy nie popełniam błędu, mówiąc ci o tym.

W wewnętrznej kieszeni marynarki czuł obecność fotografii chłopca o spokojnym spojrzeniu. Położył rękę na tym miejscu, jakby chciał tym gestem powstrzymać nadzwyczaj bolesny atak.

Lucas popatrzył mu w oczy.

– Możesz mi zaufać.

Zamyślony Manuel zmierzył go wzrokiem.

– Już to zrobiłem – odparł. – Uwierz mi, ale spowiedź zajmuje niekiedy trochę więcej czasu, czy nie tak mi powiedziałeś?

– Pomogę ci, w czym tylko zechcesz. Nie odsuwaj mnie od tego.

Manuel skinął.

– Muszę to przemyśleć. Na razie mam mnóstwo wątpliwości. Z powodu tego, co już ci powiedziałem, mógłbym mieć poważny problem.

– W co ty się wpakowałeś, Manuelu?

– Chyba chciałeś zapytać, w co się wpakował Álvaro... – odpowiedział poirytowany.

– W nic złego, zapewniam cię.

– Zapewniasz mnie? Zapewniasz mnie?! – powtórzył, podnosząc głos. – Jak ty mnie możesz zapewniać? Przypadkiem znałeś wszystkie jego działania? Wiedziałeś, że kiedy umarł, nie miał na palcu obrączki? Wiedziałeś, że chodził na dziwki ze swoim bratem? – W jego głosie rozbrzmiewały słowa Mei: „Wie, że go zabiłeś”, słowa, które ktoś jej powiedział, myśląc, że rozmawia z Álvarem, i to z publicznego telefonu.

Lucas zamknął oczy i pragnąc dobitniej pokazać, że nie chce nic widzieć, zakrył je rękami. Manuel nadal go dręczył.

– Tak, Lucasie, twój homoseksualny i zamężny przyjaciel był dziwkarczem, miał nawet dziewczynę, do której zawsze chodził. Co teraz mi powiesz? Nadal za niego ręczysz? Znowu powiesz, patrząc mi prosto w oczy, że nigdy nie kłamał? – Krzyczał, łzy oburzenia płonęły mu w oczach, a gniew sprawił, że cały się trząsał.

Odwrócił się plecami do księdza i odszedł kilka kroków. Nie zobaczy go płaczącego.

Lucas odsunął ręce od twarzy i otworzył oczy. Był zdruzgotany.

– Nie wiedziałem – wyszeptał.

– Wszystko jedno – odparł gorzko Manuel. – Nawet gdyby, i tak byś mi nie powiedział, nie jest tak?

– Manuelu – zaczął pojednawczo, podchodząc za jego plecami – wiem tylko, że Álvaro, którego ja znałem, był dobrym człowiekiem; być może miał powód, żeby tak postępować...

Manuel uparcie kręcił głową, oczy pełne łez miał utkwione w ogrodzeniu.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale rozumiem, przez co przechodzisz. Po obojętności i fałszywym spokoju, po głębokim smutku, bezsenności albo ciągłej senności, momentami po wściekłości przychodzi gniew: to normalne, że tak się czujesz – powiedział, kładąc mu rękę na ramieniu, którą Manuel gwałtownie odsunął i odwrócił się w stronę księdza.

– Nie wkurwiał mnie tą swoją tanią psychologią, nie potrzebuję księdza egzorcysty po teologii, który będzie mi mówił, że jestem wściekły i że to normalne; jasne, że jestem wściekły, jestem tak wściekły, że sam nie wiem, jak w moim ciele nie doszło do samospalenia. Ale przede wszystkim jestem sfrustrowany i niedobrze mi się robi od tych wszystkich kłamstw. Jak mam nie być wściekły, skoro na każdym kroku dostaję kolejne dowody na to, że mężczyzna, którego, jak mi się wydawało, znałem, jest mi całkowicie obcy? Superfirma, rodzina arystokratów, praktykujący katolik i dziwkarz... Jak mam nie być wściekły, skoro każdego dnia, gdy się budzę, przeczuwam, że znajdę kolejną związaną z nim kupę gówna? A najgorsze jest to, że jego już tu nie ma i nie może mi niczego wyjaśnić; to ja muszę dźwigać ciężar jego pieprzonej hańby. Na dodatek miał jeszcze jaja, żeby zapisać mi wszystko w testamencie, jakby to była nagroda albo rekompensata za krzywdy. „Proszę bardzo, mianuję cię dziedzicem całego mojego gówna” – wyrzucił z siebie.

Jego słowa były pełne goryczy i żółci, jak coś wydalonego z najgłębszych zakamarków żołądka. Miał świadomość, że tracił nad sobą panowanie, zaślepiony czarnym gniewem, którego nigdy dotąd nie zaznał, który zawładnął nim i jednocześnie go wzmacniał. Zamilkł, cały się trzęsąc, ze sztywną, zaciśniętą aż do bólu szczęką.

Stracił kontrolę, musiał stąd odejść.

– Naprawdę chcesz mi pomóc, księżu? – zapytał, wyczerpany i pozbawiony nadziei.

– W czym tylko będziesz chciał – odparł z uprzejmością, która kontrastowała z gniewem Manuela.

– Już więcej żadnych kłamstw ani zatajeń – poprosił.

– Daję ci moje słowo – usłyszał Manuel, kiedy już się oddalał.

Opuścił teren wokół świątyni, nie odwracając się za siebie. Przez kilka metrów czuł jeszcze na plecach ciężar spojrzenia Lucasa. Mur, za którym były schody, ostatecznie uwolnił go od jego wpływu.

Szedł pod gęstwiną platanów klonolistnych, zmuszając się do zwolnienia kroku. Słuchał własnego głosu: „Nie możesz tego tak dalej ciągnąć”. Majestatyczność tych gigantów go uspokajała, więc niczym ranne zwierzę szukające miejsca, gdzie mogłoby znaleźć schronienie, schował się pod klonowymi liśćmi, które dały nazwę tym drzewom.

Starając się odzyskać spokój, nabrał głęboko powietrza, z którego wyparowywała już niewidzialna wilgoć deszczu z poprzedniego dnia i które pachniało teraz sianem i drewnem. Wiedział, że ten głos miał rację, wykańczał się na każdym kroku. Każdy mięsień jego ciała oznaczał wysiłek, wyczerpanie fizyczne i mentalne spowodowane udziałem w tych bataliach. Mei, Nogueira, Lucas... Wycieńczony, rozejrzał się dookoła, szukając schronienia. Wyblakły plakat z napojem orzeźwiającym z zardzewiałymi krawędziami wydał mu się uwodzicielski, a zarazem niestosowny, jednak pokonany przez zmęczenie, Manuel dał się skusić tej jego bardziej czarującej treści i skierował tam swoje kroki, marząc tylko o odpoczynku.

Za kontuarem stało dwóch mężczyzn. Starszy kroił na desce chleb i ser, żywo rozmawiając po galisyjsku z krajanami, których Manuel widział, jak tu wchodzili, kiedy przyjechał, i z jakimiś dwoma, którzy widocznie dołączyli

później; pili wino z białutkich porcelanowych filiżanek. Kontuar zajmował całą szerokość lokalu, który nie miał więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych i w którym znajdowały się tylko dwa stoliki oraz pół tuzina krzeseł po obu stronach wejścia. Nie było więcej drzwi z wyjątkiem tych do toalety, o których przeznaczeniu informowała mała, zapisana odręcznie kartka. Przypuszczał, że za bar wchodziło się przez uchylone kuchenne drzwi, pozwalające dostrzec przez szczelinę pomieszczenie prywatnego domu. Kobieta, w podobnym wieku co mężczyzna za kontuarem, krzątała się tam i z powrotem, zajęta swoimi pracami; była absolutną królową tego kobiecego zakątka, w którym Manuel zauważył fragment wielkiego drewnianego stołu i starannie upiętych zasłon, częściowo zakrywających okno. Za barem nie było wystawionych butelek. Regał, nadający się bardziej do garażu, wypełniały białe filiżanki i dzbanuszki, a za dekorację służyły tylko rodzinne zdjęcia w małych ramkach, z których każda była inna, melancholijny kalendarz zakładu pogrzebowego oraz przyklejona kartka głosząca – zgodnie z wydobywającym się z kuchni zapachem – „Jest rosół”. Różnica między schludną kuchnią a niedbale wyglądającym kontuarem jasno wskazywała, kto zajmował się którą częścią i że ta para doskonale wie, gdzie zaczynają się i kończą granice terytorium drugiej osoby.

Manuel wskazał podbródkiem na kieliszki z winem, które pili mężczyźni, i wyszeptał:

– Poda mi pan wino?

Podczas gdy młody nalewał trunek, starszy mężczyzna położył na talerzyku dwa kawałki sera i kromkę chleba, po czym bez słowa przesunął go po kontuarze w stronę Manuela. Ten upił łyk i spróbował sera, bardzo mlecznego, który zaskoczył go bogatym i intensywnym smakiem. Zjadł oba kawałki, zamówił kolejną porcję wina i uświadomił sobie, że jest głodny.

Mężczyźni żywo ze sobą rozmawiali i śmiali się od czasu do czasu.

Wysłuchawszy się uważnie, potrafił zrozumieć jakiś fragment rozmowy po galisyjsku, ale niespecjalnie go ona interesowała. Ze swojego miejsca, widząc krzątającą się po kuchni kobietę i, jak przypuszczał, jej męża z rękami opartymi o kontuar niczym ojciec chrzestny, który przyjmował swoich przyjaciół, czuł, jak wzrasta w nim przekonanie, że wcisnął się do domu tych ludzi, którzy traktowali go z taką dawką obojętności, by mógł się tu czuć swobodnie. Tymczasem fale, uderzające o brzegi jego duszy, stopniowo się uspokajały, a poczucie samoświadomości znów powracało. Spojrzał na swoje dłonie, szukając jakiegoś śladu po zdenerwowaniu. Nie znalazł go; zauważył natomiast, że paznokcie kciuka i palca wskazującego miały żółto-brązowy kolor, co było skutkiem dzielenia kory platana klonolistnego na małe kawałki, niczym połówki księżyca. Przypomniawszy sobie, że – podobnie jak w przypadku owoców orzecha włoskiego – na nic się nie zda mycie i tarcie, bo ten kolor pozostanie na skórze i paznokciach jeszcze przez kilka dni.

– Czy mógłbym zjeść trochę rosółu? – zapytał.

Młodzieniec pokazał mu, żeby usiadł przy jednym ze stolików, na którym postawił dzbanek wina oraz położył pół bochenka ciemnego, pachnącego chleba. Na miejscu leżały już dwie serwetki z materiału: jedna jako taka, a druga pełniąca funkcję obrusa.

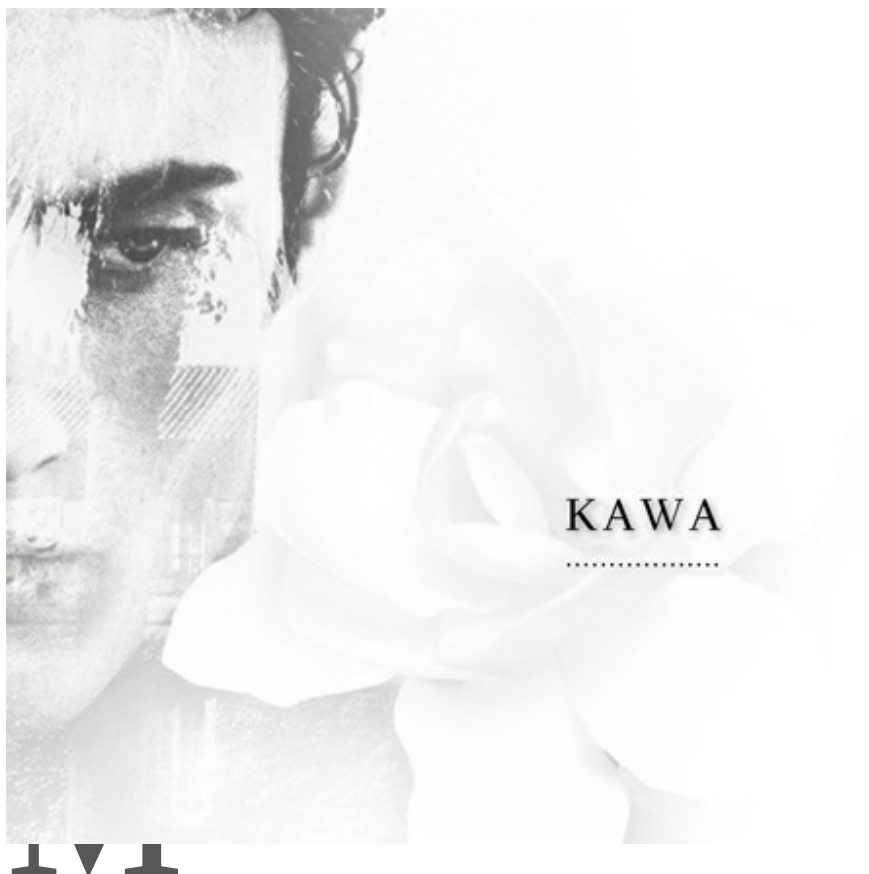
Usiadł plecami do drzwi, w miejscu, które zapewniało najlepszy widok na telewizor, nadający bez głosu jakiś program galisyjskiej telewizji. Wkrótce postawiono przed nim miskę, której nie mógł objąć rękami i której zawartość otoczyła go słonym, silnym zapachem. Nabrał łyżką trochę zupy i dmuchnął na parującą ciecz, przed którą młodzieniec już go ostrzegł: „Jest bardzo gorące”. Czuł, że spokój ogarnia go z każdym łykiem rozgrzewającego rosółu z mocno pachnącymi warzywami i goryczą tłuszczu, potężnego dania wymyślonemu po to, żeby przywracać siłę ciałom i duszom, przynosić ulgę podróżnikom oraz zapewniać ciepło zimową porą. Odłożył

łyżkę, chwycił miskę obiema rękami i pił łyk za łykiem, czując, jak gorąca zupa schodzi do żołądka niczym napój leczniczy, redukując jego pole widzenia do wnętrza miski i ograniczając zmysły do tych najbardziej pierwotnych. Rosół jadł razem z ciemnym, ciężkim chlebem, tak smacznym, że pomyślał nawet, iż pierwszy raz w życiu spróbował prawdziwego chleba. Na deser wziął kolejny kawałek sera i kawę „z garnka”, którą kobieta przyniosła z kuchni w szklance, a po którą musiała wcześniej wyjść z domu.

Zapłacił za te rarytasy śmieszłą sumę. Pożegnał się z rodziną, szczerze dziękując za posiłek. Czuł, że odzyskał siły, jakby na chwilę wrócił do domu, do tego idealnego domu z bożonarodzeniowych reklam, jaki wszyscy powinni mieć, a kiedy opuścił lokal, kiedy na powrót szedł pod platanami klonolistnymi i wyrwał kolejny odpryskujący kawałek kory, kiedy położył go ostrożnie na desce rozdzielczej własnego samochodu, tam, gdzie mógł go widzieć przez cały czas, wtedy wiedział już, że wróci do As Grileiras.

[6] (gal.) Czary.

[7] (gal.) Demon.



inał bramę i przejechał drogą, żeby zaparkować tuż przy gardeniach. Były tam jeszcze dwa samochody: czarna terenówka, która, jak sobie przypominał, należała do weterynarza, oraz biała furgonetka dostawcza z otwartymi tylnymi drzwiami, stojąca obok wejścia do ogrodu.

Manuel zobaczył Santiaga, który szedł w stronę stajni ubrany w niebieską koszulę z zapiętymi mankietami i spodnie włożone w buty do jazdy konnej.

On też musiał go zobaczyć, ponieważ zatrzymał się w połowie drogi i utkwiał w nim wzrok. Było oczywiste, że obecność Manuela mu się nie podobała. Dało się to wyczuć w tym, jak zastygł w bezruchu, co potwierdzało, że niespodziewany gość mu przeszkadza; w tym, jak się w niego wpatrywał, śledząc każdy jego ruch, i w pozycji jego ciała zatrzymanego na ścieżce, które wyglądało, jakby wyzywało go na pojedynek, niczym archanioł wojownik u bram raju.

Manuel nie dał się zastraszyć; zachowując pewność siebie, niespiesznie zdjął marynarkę i ostrożnie położył ją na tylnym siedzeniu. Zamknął samochód, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w stronę nowego markiza. Mimo jego prowokującego zachowania Santiago przemówił, zanim Manuel do niego podszedł, co świadczyło o tym, że – chociaż starał się to ukryć – jego obecność go denerwowała.

– Nie przypuszczałem, że jeszcze pan tu jest. Sądziłem, że wyjechał pan po pogrzebie.

Manuel się uśmiechnął.

– Taki miałem zamiar, ale zatrzymało mnie tu kilka spraw, które muszę wyjaśnić.

– Och – odparł Santiago, próbując nad sobą panować.

Cień niepewności przesłonił mu twarz i przez chwilę Manuel myślał, że ogarnięty ciekawością, zapyta o te sprawy.

– I myślę, że pan mógłby mi pomóc jak najszybciej je zakończyć.

Być może ożywiła go zawołowana obietnica, że to spotkanie szybko dobiegnie końca. Odparł jednak ostrożnie:

– Oczywiście, jeżeli jest to w mojej mocy.

– Jest – stwierdził kategorycznie Manuel. – Álvaro przyjechał tutaj z pańskiego powodu.

Santiago po raz pierwszy spuścił wzrok, tylko na sekundę, ale kiedy znów spojrzał na Manuela, jego pewność siebie była odbudowana na nowo, chociaż wymieszana z silną pogardą.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Jego słowom towarzyszył nawet gest wskazujący na to, że chce już pójść w stronę stajni.

– Wiem, że zwrócił się pan do administratora z prośbą o trzysta tysięcy euro. To ogromna suma pieniędzy. Álvaro do pana zadzwonił, rozmawialiście i o cokolwiek chodziło, uznał to za wystarczająco poważną

sprawę, żeby tu przyjechać.

Santiago znowu spuścił wzrok i zacisnął usta niemal w dziecinny sposób. To oczywiste, że nie był przyzwyczajony do zdawania relacji ze swojego życia, a konieczność zrobienia tego przed nim przeszkadzała mu w sposób szczególny. Podczas pracy na uczelni Manuel nieraz spotykał się z krnąbrnymi studentami i wiedział, jak ich traktować. Poczł niemalże przyjemność, nakazując mu:

– Proszę na mnie patrzeć!

Santiago posłuchał. W jego oczach płonęło upokorzenie.

– Álvaro przyjechał tutaj, a jednak nie dał panu pieniędzy. Chcę wiedzieć, na co były one panu potrzebne.

Usta Santiaga zacisnęły się jeszcze bardziej, aż zamieniły się w okrutną kreskę na jego twarzy. Głęboko wciągnął powietrze przez nos i przymknął oczy, okazując całą swoją pogardę.

– To nie jest sprawa... – Powstrzymał się przed dokończeniem i musiał nawet zagryźć dolną wargę, żeby nie mówić dalej.

– Widzę, że w porę się pan zorientował. Owszem, teraz to jest moja sprawa – odparł z największym spokojem, na jaki tylko mógł się zdobyć.

Santiago wypuścił powietrze.

– W porządku. – Słowa wymawiał pospiesznie, niemal je wypluwał, starając się jak najszybciej zakończyć tę niewygodną rozmowę. – Pieniądze były na konia. W zeszłym roku Álvaro zgodził się powiększyć liczbę koni, to miała być inwestycja. Griñán był ze wszystkim na bieżąco i w ciągu kilku miesięcy poszerzyliśmy tabun o kilka zwierząt. Parę dni temu pojawiła się możliwość dobrego zakupu, chodziło o konia wyścigowego, ale należało podjąć szybką decyzję. Poprosiłem brata o pieniądze, lecz z uwagi na niedawną pomyłkę w pewnej operacji biznesowej on nie ufał zanadto mojej opinii i się nie zgodził. To wszystko.

– I przyjechał aż tutaj, aby zakomunikować, że nie da panu pieniędzy?

– Nie siedziałem w głowie Álvara, miałem znać jego myśli i powody? Jak już pewnie pan wie, prowadził wiele różnych interesów i nigdy mi nie opowiadał, kiedy ma zamiar przyjechać. – Rozluźnił twarz, na której teraz zarysowało się coś w rodzaju uśmiechu. – Ale wygląda na to, że panu też nie.

Manuel popatrzył na niego z zainteresowaniem; ostatecznie wychodziło na to, że ten facet jest odważny. Zastanawiał się tylko, do jakiego stopnia. Postanowił zignorować ostatni komentarz Santiaga i rzucił mu wyzwanie.

– Czyż jestem stróżem brata mego?

Santiago nagle podniósł głowę. To było ostrzeżenie czy obraza? Czuł zaskoczenie czy strach wobec takiej aluzji? Wobec odpowiedzi Kaina na pytanie o jego brata Abla, którego właśnie zabił.

Krzyk i śmiech Samuela sprawiły, że Manuel odwrócił się w stronę domu. Catarina trzymała go na rękach, a obok niej Elisa i Vicente nieśli bukiety kwiatów, które włożyli przez otwarte drzwi na tylne siedzenia furgonetki dostawczej, którą Manuel zobaczył po przyjeździe. Chłopiec znowu krzyknął swoim wysokim głosem:

– Wujku, wujku...

Patrzyła na nich cała grupa. Catarina szła z małym wyrywającym jej się z rąk aż do końca ścieżki, która łączyła się z główną drogą. Gdy tylko postawiła go na ziemi, chłopiec zaczął biec w stronę obu mężczyzn. Kiedy był już kilka metrów od nich, Santiago otworzył ramiona i nachylił się, żeby wziąć dziecko na ręce, lecz Samuel go minął i przywarł do nóg Manuela, który popatrzył na małego wzruszony i zakłopotany sytuacją, do której chłopczyk doprowadził w sposób nieświadomy. Santiago się podniósł. Położył rękę na szyi Samuela, który nadal nie zwracał na niego uwagi, i nie odezawszy się, ruszył w kierunku domu. Przechodząc obok swojej żony, zatrzymał się tuż przy jej ramieniu, nachylił się i powiedział coś zwięźle; ona

spuściła głowę, a Santiago szedł dalej w milczeniu. Manuel nie mógł usłyszeć jego słów, ale być może Vicente i Elisa tak. Zauważył, jak na siebie patrzyli. Elisa odwróciła głowę, udając, że zajmuje się kwiatami, lecz Vicente podszedł do tylnych drzwi furgonetki i zamknął je przesadnie mocno, powodując, że kobiety aż podskoczyły. Wszystkie oczy spoczęły na nim, łącznie ze spojrzeniem Santiaga.

Manuel podniósł chłopca i go uściśnął, rozmawiając z nim i mając świadomość tego, w jak osobliwej sytuacji się znajduje. Choć markiz zniknął mu już z pola widzenia, pozostali wciąż trzymali się na dystans, łącznie z Catariną stojącą w połowie drogi między Elisą, Vicentem i nim. Wreszcie po kilku sekundach, które wydawały się wiecznością, Catarina ruszyła w jego kierunku niepewnym krokiem. W miarę jak się zbliżała, Manuel zauważył, że udawała, iż poprawia sobie włosy, by otrzeć łzy. Kiedy stanęła przy nim, jej oczy były jeszcze wilgotne.

– Dzień dobry – powiedziała, wyciągając małą, ale silną dłoń z krótkimi paznokciami zabrudzonymi na zielono i z licznymi zadrapaniami. Nie była korpulentna, lecz jej niski wzrost rekompensowała mocna muskulatura i opalona cera, która zdradzała godziny pracy na świeżym powietrzu. – Jestem Catarina. Chyba widzieliśmy się przez moment w kancelarii notarialnej, ale tamtego dnia nie było okazji...

– Miło mi – powiedział Manuel, przekładając chłopca na drugą stronę, żeby podać jej dłoń.

– Ubolewam, że nie było mnie ostatnio, kiedy przyszedł pan do szklarni. Ach, i mam nadzieję, że czuje się pan lepiej. Vicente mówił, że pan zasłabł.

Uśmiechnął się, próbując rozładować atmosferę.

– Do dzisiaj nie wiem, co mi się stało.

Kobieta odwzajemniła uśmiech i można było odnieść wrażenie, że odetchnęła z ulgą, mogąc skupić się na temacie, który nie miał nic wspólnego

z tym, co wydarzyło się przed chwilą.

– Nic dziwnego, wilgotne i ciepłe powietrze w połączeniu z intensywnym zapachem to może być za wiele.

– Mają państwo piękne kwiaty – powiedział Manuel, pokazując w stronę furgonetki. – Sprzedaje je pani prywatnym osobom?

– Tak – odparła z dumą. – Znaczna część idzie do perfumiarzy i innych twórców zapachów, ale czasem przyjmujemy też zamówienia na specjalne okazje. Właśnie teraz mamy je zawieźć do pazo moich rodziców. W ten weekend odbędzie się tam wesele i chcę się zająć kwiatami. – Urwała i znów wyglądała na zasmuconą; spojrzała w stronę domu, po czym przechyliła głowę w geście usprawiedliwienia. – Santiagowi nie podoba się, że pracuję...

Manuel przytaknął wobec tego niecodziennego stwierdzenia, jakby je akceptował albo tylko wyrażał zrozumienie. Odgłos silnika furgonetki zakończył rozmowę.

– Musimy jechać – powiedziała, wyciągając ręce w stronę chłopca, który śmiało się w nie rzucił. – Mam nadzieję, że jeszcze mnie pan odwiedzi, przed południem zawsze jestem w szklarni.

– Być może to zrobię – odpowiedział Manuel.

Wciąż stał w tym samym miejscu, patrząc, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Kiedy go mijali, Elisa i chłopiec pomachali do niego z wnętrza pojazdu. Zobaczył, jak przejeżdżają przez bramę As Grileiras, i nagle wokół zrobiło się cicho. Słońce było wysoko, delikatny wiatr ledwie poruszał liśćmi drzew, a ptaki zamilkły, otepiałe niespodziewanie ciepłym wrześnieowym popołudniem. Manuel wyciągnął telefon komórkowy i wybrał prywatny numer Griñána.

Po drugiej stronie odpowiedział mu zaspany głos notariusza. Manuel spojrzał na zegarek i zobaczył, że była szesnasta. Prawdopodobnie przerwał mu sjęstę. Nie obeszło go to.

– Właśnie rozmawiałem z Santiagiem. Nie zaprzecza, że poprosił o pieniądze, i mówi, że były na konia, że pan był ze wszystkim na bieżąco i że zwiększenie tabunu było pomysłem Álvara.

– Chwileczkę, niech pomyślę... – Potwierdziło się, że faktycznie spał, kiedy do niego zadzwonił. – To prawda, że w zeszłym roku nabyto w tym celu wiele koni, łącznie z koniem angielskim, który okazał się złym zakupem, będącym owocem osobistej decyzji Santiaga, i który prawie sięgnął tej kwoty. Od tamtej pory nie było żadnego zakupu, chociaż dwa czy trzy miesiące temu mówiło się o nabyciu klaczy zarodowej. Konie to nie jest moja działka, ale sumy, jakie się za nie płaci, już tak. I opierając się na tym, jakie kwoty osiągały pozostałe zwierzęta, mogę potwierdzić, że za klacz zarodową nie wydaliby trzystu tysięcy euro... A poza tym gdyby pieniądze miały iść na zakup nowego konia, to don Santiago powiedziałby mi o tym, tak jak przy wcześniejszych transakcjach.

Manuel milczał przez kilka sekund, myśląc o wątpliwościach notariusza.

– Manuelu, mam nadzieję, że był pan tak uprzejmy i nie powiedział mu, że ta informacja pochodzi ode mnie.

– Proszę mi wierzyć, Griñán, w tym momencie to powinno być pańskie najmniejsze zmartwienie. – Rozłączył się.

Przyłożył rękę do czoła i popatrzył na wyższą część domu, gdzie dostrzegł jakiś cień przy oknie. Wysoka i ciemna postać stała nieruchomo, nie dając się zidentyfikować, ale nie ukrywając też swojej obecności. „Ona zawsze tam stoi i obserwuje”.

Odgłosy dochodzące ze stajni przykuły jego uwagę i przypomniał sobie, że Santiago szedł w tamtym kierunku, kiedy go zatrzymał, chociaż później zmienił zdanie. Jakby wykonywał taneczny krok, Manuel pochylił głowę w stronę okna i udał się do stajni.

Weterynarz, z którym przywitał się podczas poprzedniej wizyty, był

młodym człowiekiem, nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Właśnie prowadził pięknego konia do jednego z boksów. Manuel zaczekał, aż mężczyzna zasunie rygiel, i wtedy podszedł. Weterynarz uśmiechnął się na jego widok.

– Ach, widziałem pana ostatnio, musi pan być...

– Nowym właścicielem – powiedział Manuel autorytarnie. Nie mógł owijać w bawełnę, jeśli chciał nakłonić go do współpracy, a poza tym wcale nie kłamał.

Mężczyzna głęboko wciągnął powietrze i podał mu rękę, z której uprzednio zdjął zamszową rękawiczkę. Ewidentnie na nowo wyrabiał sobie o nim zdanie.

– Och! Tylko że... Myślałem... W każdym razie miło pana poznać.

– Mam kilka wątpliwości co do koni i może pan mógłby mi pomóc.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął.

– Oczywiście, jeśli w czymś mogę być pomocny, to właśnie w tym.

– Ile mamy tu koni?

– W tym momencie dwanaście. Większość to konie hiszpańskie, wspaniałe, takie jak te – powiedział, pokazując na niektóre boksy – a także klacz arabska oraz Slender, który jest wyścigowym koniem czystej krwi angielskiej. To właśnie nim zajmowałem się ostatnio, kiedy przyszedł pan razem z panem Griñánem.

– Mówił mi, że ma jakiś problem – stwierdził.

Weterynarz westchnął.

– Powiedzieć, że ma jakiś problem, to nic nie powiedzieć. Slender ma wrodzoną deformację tylnych nóg. U innego konia nie byłoby to tak poważne, ale on jest koniem wyścigowym i dolegliwość, na którą cierpi, ogranicza go podczas zawodów.

– Kiedy go nabyto?

– Już ponad rok temu.

– Mówi pan, że jest to wrodzona deformacja, a zatem koń miał ją od zawsze. Dlaczego więc go państwo nie zwrócili i nie domagali się zwrotu pieniędzy? Myślę, że w takim przypadku sprzedaż zostałaby unieważniona.

Weterynarz, który przytakiwał przez cały czas, kiedy Manuel mówił, odwrócił się teraz w stronę stajni.

– Proszę za mną – powiedział, zaczynając spacer, podczas którego zatrzymywał się przy każdym boksie, żeby pokazać mu zwierzęta; ich imiona znajdowały się na złotych tabliczkach przyczepionych do każdych drzwi. – W tej stajni są wspaniałe okazy: na przykład Noir to znakomita klacz arabska, żwawa i o dobrym charakterze; Swift, Orwell i Carrol to konie hiszpańskie, też zostały kupione w zeszłym roku i to ja towarzyszyłem Santiagowi przy każdej transakcji; są spokojniejsze i dają sobą kierować, idealne na wystawy...

Dotarli do boksu, który był zamknięty. Weterynarz odsunął rygiel i otworzył okno. Koń był znacznie większy od tych, jakie Manuel widział przed chwilą. Zwierzę zaniepokoiło się nieco, ale potem stało spokojnie, bokiem do mężczyzn, obserwując ich czarnym i nieufnym okiem.

– Don Santiago kupił Slendera minionego lata, kiedy ja byłem na urlopie. Nigdy nie chciał mi powiedzieć, ile kosztował, ale jestem pewien, że o wiele więcej, niż jest wart, przynajmniej jak na konia wyścigowego. Wziął udział w dwóch zawodach, a potem musiał się wycofać. Don Álvaro bardzo się zdenerwował i zabronił kupowania kolejnych koni bez mojego nadzoru. Don Santiago nie chce się przyznać do porażki i co dwa dni muszę dokonywać przeglądu nóg konia, testować kuracje przeciwzapalne, wykonywać masaże, robić zimne okłady, jakby to była tylko tymczasowa kontuzja, którą można wyleczyć. Slender jest dobrym koniem, może trochę nerwowym, ale to

typowe dla tej rasy; nieźle znosi jazdę, lecz jako koń wyścigowy to porażka, bardzo droga porażka.

Mężczyzna znowu zamknął drzwi i wrócili do głównego wejścia do stajni.

– Jak wiem, rozważano kupienie klaczy...

– Owszem – przyznał weterynarz. – Uważam, że kupno hiszpańskiej klaczy byłoby trafną decyzją. Sam skontaktowałem don Santiaga z pewnym hodowcą, moim znajomym, i to prawda, że mało nam brakuje do osiągnięcia porozumienia, ale klacz jest ciężarna i dopóki się nie ożrebi, nie domkniemy transakcji, a możliwe, że będzie ona dotyczyła i klaczy, i źrebaka, jeszcze zobaczymy...

– Ile hodowca chciał za klacz?

– Cóż, jedno to cena początkowa, a drugie, ile się ostatecznie ustali, ale myślę, że powinniśmy ją dostać za jakieś czterdzieści tysięcy euro. Kolejna sprawa to źrebak, tutaj zależy: może zwiększyć cenę, jeśli okaże się dobry, ale może też ją obniżyć. Koniec końców klacz przez kilka miesięcy nie będzie w stanie znów zająć w ciążę.

– Czy don Santiago mówił panu o możliwości nabycia nowego konia wyścigowego w ostatnich dniach, mniej więcej tydzień temu?

Weterynarz spojrzał na niego zaskoczony.

– Nowy koń wyścigowy? Nie i nie wydaje mi się, by chciał takiego kupić po tym, co stało się ze Slenderem. Dlaczego pan pyta?

– Santiago powiedział mi, że kilka dni temu zaproponowano mu nabycie dobrej jakości konia, operacja miała się zamknąć bardzo szybko.

Weterynarz pokręcił głową.

– Możliwe, ale nie sądzę, by to była prawda, a przynajmniej mnie nic o tym nie powiedział. Nie, nie wydaje mi się, by don Santiago sam pojechał obejrzeć jakiegoś konia, tym bardziej jeśli chodziło o pilne sfinalizowanie

umowy, ponieważ doskonale wie, że póki ja tego nie potwierdzę, to nie ma żadnej szansy, by don Álvaro wydał na to zgodę. – Milczał przez kilka sekund, po czym dodał: – Jeśli im się spieszyło, to może dokonali transakcji z innym nabywcą, zanim mógł mi cokolwiek powiedzieć...

Boczna ścieżka przecinała główną i Manuel zatrzymał się, słysząc szczekanie dochodzące z pobliskiej części stajni.

– To psy myśliwskie. Denerwują się, kiedy słyszą nieznanym głosy. Chce pan je zobaczyć?

Manuel spacerował przed kojcami, w których zwierzęta poruszały się niespokojnie, zbliżył rękę do kraty, pozwalając, by go obwąchały, podczas gdy inne zdenerwowane wyły i szczekały, aż wreszcie dotarł do końca alejki. W ostatniej klatce mały mieszaniec spoglądał na niego bojaźliwie ze sterty słomy, w której się kulił, i nieśmiało poruszał ogonem, z daleka przypominającym postrzępiony sznur. Oczy miał wielkie i wilgotne niczym głębokie kałuże. Z szorstkiej sierści wystawały mu dłuższe kosmyki, które sprawiały wrażenie naelektryzowanych i powodowały, że wyglądał, jakby był potargany. Z jednej strony pyska wystawał mu kieł, ale obserwując go, Manuel zdał sobie sprawę, że to z jego pyskiem coś jest nie w porządku i ten ząb wbija się w dolną wargę, która nie może go zakryć. Wyglądał żałośnie: gdyby nie ciepłe popołudnie, można by przysiąc, że było mu zimno; wydawało się nawet, jakby drżał. Dopiero po chwili Manuel uświadomił sobie, że zwierzak trząsał się ze strachu.

– Widzę, że poznał pan już Kawę. Biedny kundel nie pozostaje niewidzialny między tymi psami.

– Kawę?

Rzeczywiście, jego sierść, wyglądająca na szorstką i twardą, przypominała barwę kawę z mlekiem. Niestosowna obecność tej istoty w takim miejscu wydała się Manuelowi dziwnie pełna nadziei.

– Álvaro przywiózł go rok temu. Powiedział mi, że znalazł psiaka przy drodze. Jak można się było spodziewać, nie miał czipa identyfikacyjnego i Álvaro postanowił go zatrzymać. Miał szczęście, bo gdybyśmy oddali go do schroniska, nie przeszedłby pierwszej selekcji. Nikt nie zaadoptuje takiego psa jak ten, kiedy może wziąć sobie ładnego szczeniaka.

Weterynarz otworzył klatkę, a piesek przeciągnął się powoli i wstał, chociaż nie zrobił ani kroku z miejsca, w którym leżał.

– Chodź, Kawa! Nie bój się, mały.

Bardzo powoli, wielokrotnie przesuając językiem po pysku, zwierzę podeszło do nich i przystanęło. Manuel wyciągnął rękę i obserwował szybkie mruganie oczami oraz sposób, w jaki pies spuszczał głowę.

– Po jego zachowaniu wnioskuję, że często go bito. Tylko przy Álvaroze okazywał ufność – wyjaśnił weterynarz, chcąc usprawiedliwić postawę zwierzęcia.

Manuel zawiesił w powietrzu nieruchomą rękę i pies krok po kroku zbliżał się, aż umieścił głowę pod otwartą dłoń. Obronne zachowanie zwierzęcia zmusiło Manuela do wysiłku, musiał się wyciągnąć, aby nadal móc go głaskać. Mimo to udało mu się zarysować palcami linię małej czaszki i zmierzwionych brwi. Chociaż tułów wyglądał normalnie, to kiedy przesunął ręką po grzbiecie, poczuł każdą kosteczkę kręgosłupa i zauważył, że tylna część ciała była skrajnie chuda.

– Co mu się stało z tylnymi łapami?

Weterynarz wzruszył ramionami.

– Złożyło się na to wiele rzeczy, na przykład niedożywienie. Jest taki kościsty od małego, chociaż wygląda na więcej, to przypuszczam, że ma jakieś dwa, może trzy lata i prawdopodobnie przez cały czas do momentu, w którym do nas trafił, spędził unieruchomiony. Poza tym miał pasożyty jelitowe i chociaż w pierwszej kolejności go wyleczyłem, to nie da się tego

rozwiązać w krótkim okresie. Tak czy siak, teraz wygląda znacznie lepiej, musiałby go pan zobaczyć, gdy został przywieziony przez Álvara.

Manuel przestał głaskać zwierzaka i luźno oparł dłonie o kolana. Wtedy pies podszedł, stanął między jego nogami i z największą ostrożnością go obwąchał – niespiesznie i uważnie, starając się, by jego nosek, suchy jak wiór, nie dotknął nawet skóry Manuela, podczas gdy zapoznawał się z wewnętrzną i zewnętrzną częścią jego dłoni, palcami, zagłębieniami, nadgarstkami i ciepłem, którym emanował. Następnie podniósł głowę i pokazał mu oczy o odcieniu ciemnej wody, które patrzyły i widziały człowieka, jakim był Manuel. W tym momencie wiedział już, dlaczego Álvaro przywiózł do domu tego psa i że być może istnieje dla niego jakaś nadzieja.

– Mały cud – wyszeptał wzruszony.

– Przepraszam, co pan powiedział? – zapytał weterynarz.

– Kto wybrał mu imię? – dopytywał, odwróciwszy się w jego stronę. Spostrzegł wówczas, że lekarz cofnął się prawie na drugi koniec alejki, ponaglając go, by szedł za nim do wyjścia.

– Przypuszczam, że Álvaro... – odparł.

– Och! Może się pan spieszy, a ja pana zatrzymuję.

– Cóż, już wychodziłem, kiedy pan przyszedł, ale nie ma problemu – powiedział.

Manuel dalej stał w tym samym miejscu.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – poprosił, robiąc pauzę, która zwróciła uwagę mężczyzny. Weterynarz podszedł bliżej, żeby lepiej go usłyszeć.

– Proszę bardzo – odparł uprzejmie, przeczuwając, jak ważne może być to ostatnie pytanie.

– Widział pan Álvara w dniu, w którym zmarł?

Mężczyzna przytaknął smutno.

– Tak, w południe, spotkaliśmy się na chwilę, kiedy już wyjeżdżałem.

– Rozmawialiście może o koniach Santiaga?

– Nie, właściwie to zapytał mnie tylko o Kawę. Gdy opuszczałem pazo, spojrziałem w lusterko i widziałem, jak szedł w stronę stajni, przypuszczam, że po to, by go zobaczyć. To był jego zwyczaj, kiedy tu przyjeżdżał.

Manuel skinął, nie przestając patrzeć na psa.

– Bardzo dziękuję i przepraszam, że pana zatrzymałem. Może pan spokojnie iść, ja jeszcze trochę tu zostanę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Gdyby czegoś pan potrzebował, jestem do pańskiej dyspozycji. Mój numer telefonu jest na tablicy przy wejściu, w razie wątpliwości proszę śmiało do mnie dzwonić – powiedział, ruszając do głównej ścieżki, ale po chwili się zawahał, zatrzymał i cofnął o kilka kroków. – Jeszcze jedno: kiedy będzie pan odchodził, proszę się upewnić, czy klatka Kawy jest dobrze zamknięta. Don Santiago nie cierpi, gdy on się tu kręci. – Wydawało się, że zdał sobie sprawę z czegoś, o czym wcześniej nie pomyślał. – Oczywiście jeśli pan...

Manuel przytaknął ostrożnie.

– Jasne – odparł.

Weterynarz nie wiedział, czy akceptował prośbę, czy zgadzał się z jego spostrzeżeniem dotyczącym nastawienia Santiaga.

W stajni zapanowała cisza. Psy myśliwskie, które początkowo, zdenerwowane nowym zapachem, szczekały jak szalone, teraz znowu siedziały w spokoju. Z daleka, przez arkadę, która wychodziła na główną drogę, Manuel usłyszał dźwięk silnika odjeżdżającego samochodu. Kiedy ten zniknął, zostały jedynie odgłosy popołudniowej pory dnia końca lata, donośny oddech koni i trzeszczenie rozluźniających się muskulatur zwierząt.

– Kawa... – wyszeptał znowu. Pies ostrożnie pomachał ogonem, jakby bał się przesadnie okazywać radość. – Ty o tym nie wiesz, ale jesteś jedną

wielką niespodzianką.

Wstał, ożywiony magią chwili, która zniknęła, gdy zobaczył, jak zwierzę się oddala, ale tylko trochę. Niczym mały satelita, utrzymywał z nim stały kontakt, zarówno kiedy podchodził, jak i wtedy, gdy się cofał.

– Chcesz pójść na spacer? – zapytał go niezbyt głośno, jako że po raz pierwszy zwracał się do psa. Uśmiechnął się nieznacznie, kiedy o tym pomyślał.

Piesek pomerdał ogonem, jakby uznał, że to dobry pomysł, ale nie ruszył się ze swojego miejsca, dopóki nie zrobił tego Manuel. Szedł w stronę wyjścia, odwracając się przy każdym kroku, by sprawdzić, czy zwierzę idzie za nim, i zatrzymując się zawsze wtedy, gdy robił to pies. W ten sposób dotarł do wrót stajni i przystanął, żeby rozejrzeć się w obie strony ścieżki i pomyśleć, w którym kierunku pójść. Zobaczył samochód jadący główną drogą, która zakręcała wokół domu służby i prowadziła do drugiego dojazdu do pazo, pokazanego mu przez Griñána podczas pierwszej wizyty. Głośny hałas silnika zdradzał zdecydowane prowadzenie auta, które skojarzył, nawet zanim zobaczył pojazd, z czerwonym nissanem, z którym minął się poprzedniego popołudnia, i, podobnie jak wtedy, miał teraz pewność, że zobaczywszy go, mężczyzna za szybą był zaskoczony. Zwolnił, chociaż już go minął, i zatrzymał się kilka metrów dalej.

Manuel czekał z niecierpliwością i tylko na moment odwrócił głowę, żeby sprawdzić, czy pies jest w pobliżu. Mężczyzna wysiadł z samochodu i szedł w jego stronę, wyciągając rękę, jeszcze zanim znalazł się blisko niego.

– Don Manuelu, może mnie pan nie pamięta, ale widzieliśmy się na pogrzebie. Jestem Daniel Mosquera, enolog z bodegi. Wyczekiwałem, by móc się z panem przywitać. Wczoraj chyba pana widziałem... I cóż... – Mężczyzna w końcu puścił jego dłoń. – Byłem zaskoczony, bo don Santiago powiedział nam, że pan wyjechał, a wczoraj, kiedy pana zobaczyłem... no

cóż... to było zaskoczenie.

– Proszę, mów mi na ty – powiedział.

– Oczywiście – odparł z uśmiechem.

Znowu podał mu rękę, a drugą poklepał go po ramieniu.

Manuel czuł się przytłoczony reakcją enologa, który mówił bez przerwy.

– Bardzo się cieszę, że wciąż tutaj jesteś – powiedział w końcu na pożegnanie. Zrobił dwa kroki w stronę samochodu i zawrócił. – Przepraszam, zostaniesz jeszcze?

Niepohamowana szczerłość zawsze go bawiła. Uśmiechnął się.

– Na razie.

Mężczyzna patrzył na niego z przymkniętymi oczami; było oczywiste, że kalkulował. Pokręcił głową, jakby zaprzeczał jakiejś myśli, a następnie przytaknął i zapytał:

– Masz teraz coś do zrobienia?

Manuel rozejrzał się w obie strony, przypominając sobie swój dylemat dotyczący obrania kierunku. Spojrzał pytająco na Kawę, który zgodził się, machając ogonem.

– Nie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– To pojedź ze mną. – Musiał zauważyć wahanie, z jakim Manuel spoglądał na psa, ponieważ dodał: – I weź ze sobą Kawę.

Przeszli kilka kroków w stronę samochodu, kiedy mężczyzna się odwrócił.

– Chwileczkę, jaki masz numer buta?

– Czterdzieści trzy – odpowiedział zdezorientowany Manuel.

Enolog wszedł do stajni i po chwili wrócił z parą kaloszy oraz szarą kurtką z kapturem obszytym futrem. Wrzucił wszystko na tył swojej

terenówki i schylił się, żeby wziąć na ręce zwierzę, które nie było w stanie samo wskoczyć do wysokiego pojazdu.

Daniel prowadził w kierunku Lalín przez wiele kilometrów, nie przestając mówić. W pewnym momencie skręcił i znaleźli się na drodze, która wiła się coraz bardziej i bardziej, w miarę jak przechylała się na zakrętach, zmuszających ich do ostrego manewru; ścieżka wiła się na zboczach wzgórz, a te rozciągały się aż do rzeki Sil.

Wzdłuż zbocza setki tarasów tworzyły szarawe schodki z surowego galisyjskiego kamienia, a na każdym z nich rząd winorośli zajmował przestrzeń między jednym schodkiem a drugim. Gdziekolwiek spojrzeć, wykonany ręcznie murek podtrzymywał ziemię, aby się nie zsunęła. Nad murem widać było brąz szorstkich łodyg winorośli i wieńczącą je obfitość zielonych, błyszczących liści końca lata, wśród których dało się zauważyć kilka zaczynających nabierać czerwonego koloru, wskazującego na to, że nadszedł czas zbiorów. Czarne owoce opadały w połowie wysokości, częściowo zakryte przez nieujarzmioną obfitość liści. Blask winogron był przygaszony jasną patyną, przez co wyglądały one niczym klejnoty oszronione lodem, a na tych wysokościach nie jest to możliwe. Dojechali nad brzeg rzeki i dalej poruszali się wąską drogą, która wyglądała jak przylepiona do ściany góry.

Daniel minął miejsce, gdzie w rzędzie zaparkowano kilka samochodów, i pojechał kawałek dalej, po czym zatrzymał terenówkę na prywatnym terenie przy domu, który posiadał własną przystań. Wysiedli z pojazdu i Manuel zobaczył, że Kawa, bez wahania i znacznie ich wyprzedzając, podreptał w stronę łodzi przycumowanej do nowoczesnego pływającego pomostu i usadowił się na dziobie. Mężczyźni podążyli za nim.

Łódź wypłynęła, mieszając w powietrzu hałas silnika z charakterystycznym zapachem paliwa. Daniel skierował się w stronę

naturalnego biegu rzeki, przepływając pod łukami mostu Belesar i mijając szerokie mola, przy których łodzie rekreacyjne eksponowały swoje wnętrza pełne długich ławek dla wycieczkowiczów. Czuwający na dziobie Kawa wychylał się śmiało niczym żywy maskaron i machał ogonem, zauroczony wspaniałością rzeki, która rozciągała się przed statkiem.

– Ale dokąd my się wybieramy? – zapytał Manuel, coraz bardziej zdziwiony. – Mówiłeś chyba, że odwiedzimy winnicę – dodał, pokazując na zbocze.

– I właśnie tam zmierzamy – odpowiedział rozbawiony Daniel.

– Łodzią?

– Jasne, to jest Ribeira Sacra, Manuelu, od której wywodzi się chroniona nazwa pochodzenia wina. Do wielu winnic nad brzegiem można się dostać tylko w taki sposób, przepływając się przez rzekę, i na szczęście większość naszych to winnice nad brzegiem, najlepsze – powiedział z dumą.

– Sądziłem, że pojęcie „Ribeira Sacra” jest związane ze sztuką romańską, która wypełnia ten region.

– Sztuka sakralna jest ważna, ale to miejsce wyróżnia uprawa winorośli w ten właśnie sposób, na tarasach z łupków i granitu. Robi się tak od czasów Rzymian i oczywiście robiło się jeszcze przed przybyciem zakonników i zakładaniem przez nich klasztorów; mówi się, że trafiali tutaj, aby uniknąć przechodzenia zimą przez O Cebreiro^[8], ale najważniejsze jest to, dlaczego zostali, a powodem bynajmniej nie była sztuka, lecz to samo, co trzymało Rzymian, wino – powiedział ze śmiechem.

Manuel podniósł wzrok; szukał dojścia, dróg albo ścieżek, które prowadziłyby na te tereny.

– Nie ma innego sposobu, żeby się tam dostać?

– Do naszej bodegi dojeżdża się drogą. – Wskazał na wąskie ścieżki, na których, jak przypuszczał Manuel, samochód ledwie się mieścił. – Ale do

części winnic można się dostać tylko rzeką, a niektóre są tak nachylone, że aby zbierać winogrona, mężczyźni muszą się opuszczać, przywiązani linami.

Prawa strona rzeki tworzyła małą zatokę, z której wyłaniała się wioska. Nad brzegiem widać było dachy kilku zanurzonych domów, a dalej kolejne, zniszczone przez wodę wlewającą się otworami w drzwiach i oknach. Daniel zwerbalizował myśli Manuela.

– Bardzo dziwnie jest widzieć domy w takim stanie, prawda?

– Zastanawiałem się, dlaczego ich nie rozbiorą.

– Przypuszczam, że tutaj postępują inaczej... Pod wodą jest siedem wiosek tak dużych jak Belesar. Kiedy płynę w dół rzeki, nie mogę przestać myśleć, że łódź przepływa nad dachami domów, kaplicami i kościołami, starymi cmentarzami i szkołami, dawnymi tarasami winnic i drzew oliwnych – powiedział Daniel, pogrążony w zadumie. – Nie uwierzysz, ale gdy tu przyjechałem, nienawidziłem tego miejsca. Wcześniej pracowałem w wielkiej bodedze w centralnej części kraju, bez porównania z tą tutaj: uprawa na równinie, wszystko w pełni zmechanizowane. Miałem własną wizję tego, jak powinno się to robić. – Uśmiechnął się, okazując zrozumienie dla własnej ignorancji. – Stary markiz najwyraźniej nie był zainteresowany winnym biznesem, ale trzy lata temu Álvaro rozpoczął wielki projekt, który jest już punktem odniesienia dla wielu producentów.

– To Álvaro cię zatrudnił?

Daniel przytaknął, manewrując łodzią.

– On nie miał doświadczenia w świecie wina. Zaskoczył mnie jego sposób zarządzania, ale najważniejsze, że posiadał naturalną intuicję, by zrozumieć to miejsce, jego potrzeby i odmienność.

Manuel słuchał go z rezerwą.

– Teraz wiem, że nigdy stąd nie wyjadę, ale kiedy Álvaro mnie zatrudnił, nie byłem taki pewien. Chociaż zabrzmiało to niewiarygodnie, na początku to

miejsce wydawało mi się nieprzyjazne, zacofane i surowe.

Manuel przytaknął, czując, że tak mocno identyfikuje się z jego słowami, jakby enolog czytał mu w myślach. Ale się nie odezwał.

– Gdyby Álvaro mi pozwolił, zmieniłbym wszystko zaraz po moim przyjeździe... – Pokręcił głową, zdziwiony własną żywiołowością. – Całe szczęście, że tego nie zrobił. Miał jasną wizję swojego projektu, nowoczesną koncepcję, ale w ramach ograniczeń, które wyznacza ta ziemia. Na pierwszym miejscu przekuł ją w nazwę naszej bodegi, markę wina i koncepcję winiarstwa heroicznego – dodał, patrząc na Manuela i szukając zrozumienia, którego jednak nie znalazł.

– Przepraszam cię, Danielu, ale nie wiem, o czym mówisz – powiedział szorstko.

Enolog nie stracił ani odrobiny entuzjazmu.

– Wiele bodeg z Ribeira Sacra docenia wpływ Rzymian w nazwach swoich win, inni skłaniają się bardziej ku pracy ówczesnych mnichów i nadają im nazwy klasztorów albo plebanii, jednak Álvaro miał w tym wypadku pewność: chciał uszanować wysiłek i pasję dawnych heroicznych winiarzy, bezpośrednio oddając im hołd.

– The Hero's Works – wyszeptał Manuel, ubiegając go. – Prace herosa, niemożliwe zadania, które otrzymał Herkules.

Daniel przytaknął z dumą, po czym kontynuował:

– The Hero's Works jest firmą założoną przez Álvaro po to, żeby eksportować wina, ale nasza bodega i nasze produkty nazywają się Heroica, na cześć wysiłku tylu ludzi na przestrzeni wieków oraz winiarstwa heroicznego. Szczerze mówiąc, nie sędzę, by mógł wybrać lepszą nazwę.

Manuel w milczeniu słuchał słów Daniela, pozwalając, by wzrok odpoczywał na niezmiernym pięknie krajobrazu, ale w jego w głowie dochodziło do walki – stykały się ze sobą sprzeczne uczucia. Z jednej strony

zauważał zalety, których nie mógł Álvarowi odmówić: poświęcenie pracy, dumę ze stworzenia czegoś własnego, co doświadczył już w swojej agencji reklamowej; z drugiej natomiast strony to poczucie przynależności i tradycji, o którym opowiadał Daniel, było mu nieznane, a słuchając, jak ktoś w taki sposób mówi o Álvaroze, czuł, że chodzi o kogoś obcego. Przede wszystkim jednak zastanawiał się, dlaczego – skoro wszystko było tak cudowne, tak czyste i uczciwe – Álvaro nie podzielił się tym z nim? Manuel zaakceptował fakt, że oni obaj nie mieli przeszłości. Najpierw sieroctwo, a później nowotwór siostry jednym ruchem zakończyły krótkie streszczenie jego życia, które ograniczało się do kilku czarno-białych zdjęć ślubnych rodziców, na których wyglądali zbyt poważnie, oraz do wspomnienia – nigdy nie miał pewności, czy było ono prawdziwe – słonecznego poranka, kiedy wszyscy śmiali się przy stole podczas śniadania. A teraz okazuje się, że Álvaro miał rodzinę. Czy nie ma jej każdy człowiek, żywej lub martwej? On ucinał wszystkie pytania krótkim: „Nigdy mnie nie akceptowali”. Dlatego teraz to poczucie przynależności traktował jako coś obraźliwego, ale przede wszystkim odnosił wrażenie, że został wykluczony z życia Álvaro. „Chroniony”, powtarzała Mei, ale chroniony przed czym?

Kawa opuścił swój posterunek na dziobie i podszedł do nich.

– Tak, Kawa, już dopływamy – ogłosił enolog.

Zmniejszył prędkość, zostawiając silnik na niskich obrotach, i skierował łódź w stronę brzegu, aż całkowicie zatrzymał motor.

Taras był podtrzymywany jedynie przez mur z płyt kamiennych, który dotykał samego brzegu rzeki i wznosił się zaledwie metr nad poziomem wody. Za poler służył gruby pał i do niego Daniel przywiązał linę cumowniczą. Woda jakby w rytmicznym aplauzie uderzała między murem tarasu a kilem statku. Manuel zyskał świadomość innego krajobrazu, rozciągającego się przed nim w ciszy, która nastąpiła po wyłączeniu silnika;

delikatny wiatr ledwie muskający liście, lina trzeszcząca w zetknięciu z drewnianym słupkiem przy każdym kołysaniu łódki, ożywione obietnicą końca popołudnia ptaki, które na krótko wzbijały się do lotu i nieśmiało świergotały.

Włożył kalosze i grube skarpetki podarowane mu przez Daniela, po czym spojrział nieufnie na zbocze, które nachylało się nad rzeką, kreśląc schody ze zbyt małymi i nieregularnymi stopniami, niczym zepsuty suwak, na których – był tego pewien – nie zmieściłaby się cała stopa.

Enolog wszedł na murek i wyciągnął do niego rękę. Manuel odwrócił się w stronę psa, który, niezdecydowany, biegał po pokładzie tam i z powrotem.

– Chodź, przyjacielu! – krzyknął do niego.

Zwierzę stanęło przy nim, patrząc niepewnie i nerwowo się oblizując. Wziął go na ręce, czując silne ciało, zaskakująco ciężkie jak na niepozorny wygląd zwierzaka, i wepchnął Kawę na mur. Chwycił rękę, którą podał mu Daniel i nie bez wysiłku dostał się na wał. Ledwie wystarczyło miejsca, żeby mogło tam stać dwóch mężczyzn. Enolog odwrócił się w stronę zbocza.

– Wchodź powoli, jedna noga za drugą. Jeśli poczujesz, że tracisz równowagę, pochyl się, wtedy nie można spaść.

Manuel nie czuł się pewnie, ale szedł za enologiem, który ruszył jako pierwszy, chociaż Kawa wyprzedził go błyskawicznie. Pomimo problemów z tylnymi łapami nie wydawało się, by nieregularne stopnie sprawiały mu większą trudność. Miały różną wysokość i szerokość, jakby celowo zostały zaprojektowane tak, by się od siebie różnić, i Manuel przekonał się, że trudność nie tkwiła w wąskości, która pozwalała jedynie na umieszczenie palców, lecz w bezładnym rozmieszczeniu pokrywających je płyt kamiennych oraz szalonych różnicach wysokości, które co rusz zawodziły jego refleks, ponieważ szukał stopnia tam, gdzie go nie było, i zahaczał tam, gdzie był.

Skupiony na stopniach, szedł, potykając się; czuł się przy tym jak niezdarny mieszcuch i żałował, że nie odmówił udziału w tej przygodzie. Telefon komórkowy zaczął dzwonić w jego kieszeni niczym reminiscencja tego drugiego, tak obcego i odległego, życia i w tej sytuacji wywołał u niego równie silne zawstydzenie, jakby zadzwonił podczas audiencji w Pałacu Królewskim.

Dźwięk zamilkł, co pozwoliło mu odzyskać spokój. Usłyszał wtedy wesołe szczekanie Kawy, który z wysokości zbocza wyglądał, jakby celebrował zakończenie swojej wspinaczki.

Daniel przesunął się w prawo, więc Manuel zrobił to samo, aż znalazł się na szerokim na ponad metr stopniu. Wtedy odwrócił się w stronę rzeki. Znajdujące się u jego stóp tarasy, które z perspektywy rzeki wydawały mu się idealnymi liniami, kreśliły fale i krzywizny, precyzyjnie dostosowujące się do kamienistej powierzchni wzgórza. Tu i tam wystawały skały głęboko osadzone w ziemi. Z góry zielona moc liści winorośli dawała efekt szmaragdowych żywych fal, które popychał delikatny wiatr, a w dole, na ciemnej i głębokiej rzece, kołysała się łódź, wskazując tym samym na silny prąd niezauważony przez Manuela podczas żeglugi.

Usłyszeli hałas i niosące się po rzece śmiechy, a za drzewami, które wyznaczały początek meandra, dostrzegli dziwną konstrukcję. Płynęły nią trzy dziewczyny. Nie wyglądały na więcej niż dwadzieścia lat i śmiały się, równocześnie plażowymi wiaderkami, takimi, jakie dzieci wykorzystują do robienia babek, wylewały wodę ze środka dziwnej barki, przypominającej dużą drewnianą skrzynię, z gatunku tych, do których jeszcze załadowywano ryby na niektóre łodzie.

– To typowa łódka w tym rejonie: niewiele większa od skrzyni, nie ma stępki i została wymyślona do transportowania rzeką winogron – wyjaśnił Daniel.

– Wygląda na to, że mają problemy – powiedział niezbyt przekonany Manuel, widząc, jak wylewają wodę wiaderkami.

– Skąd! Nawet jeśli zaleje się zupełnie, to jest niezatopialna, jak pływający pomost. Muszą tylko uważać, żeby woda nie zamoczyła silnika, a nie widać, by się tym zbytnio przejmowały – dodał.

– To prawda – przytaknął Manuel, uśmiechając się lekko, gdy znowu usłyszał ich beztroski śmiech.

– Znam je, urodziły się na rzece. Nie ma zagrożenia.

A jednak – w znacznej mierze po to, aby uspokoić Manuela – przyłożył do ust ręce w kształcie trąbki i krzyknął:

– Ej, dziewczyny! Wszystko w porządku?

Zobaczyli, że się odwracają, by na nich spojrzeć i jeszcze głośniej się zaśmiać.

– Wszystko pod kontrolą! – krzyknęła jedna z nich. – *Non morremos hoxe, tranquilo*^[9]. – Pozostałe odpowiedziały śmiechem, nie zaprzestając wylewania wody.

Patrzyli na nie w milczeniu, jak się oddalają i zabierają ze sobą całą wrzawę.

Znowu zadzwonił telefon i tym razem Manuel wyciągnął go w porę, żeby dostrzec na ekranie połączenie od Nogueiry. Nacisnął przycisk, by wyciszyć aparat, chociaż nadal patrzył na ekran, aż połączenie się urwało. Sprawdził i zobaczył, że to poprzednie, podczas wspinaczki, też było od gwardzisty.

– Możesz odebrać, jeśli chcesz... – powiedział Daniel.

– Nie – odparł – to nic ważnego.

I nie dbał o to, czy naprawdę było ważne; oddzwoni do niego później. Nie chciał odbierać tutaj, nie tylko dlatego, że nie mógłby swobodnie rozmawiać, lecz także ze względu na to, że nie zamierzał wysłuchiwać Nogueiry w miejscu, w którym w powietrzu wciąż unosiły się śmiechy

dziewczyn i w którym pies – teraz należący do niego – cieszył się ze wspinaczki na zbocze. Nogueira i jego podejrzenia, jego drinki i dziwki, jego gruby brzuch i ślubna obrączka... Nogueira i jego ewidentna obsceniczność, nieustające podejrzenia, gesty pełne wyrzutów i ciągłych żądań. Porozmawia z nim później, chociaż – teraz to wiedział – postanowił, że nie spotka się z funkcjonariuszem tego dnia. Nic się nie zmieni, jeśli zaczeka jeden dzień. Dzisiaj nie miał siły na Nogueirę. A odzyskanie siły, którą stracił poprzedniego dnia, kosztowało go wyznanie, miskę rosołu, zbitego psa, płynięcie rzeką i wspinanie się na górę. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby Nogueira czy ktokolwiek inny mu teraz przeszkadzał.

Przemierzyli taras, mijając krzewy winorośli, przy których enolog się nachylał, aby obejrzeć schowane pod liśćmi owoce. Łapczywie chwycił w ręce wielkie kiście złocistych winogron i dotykał je zdecydowanym ruchem. Zerwał jeden owoc i trzymając go między palcami, nacisnął na tyle mocno, że pękła napięta skórka.

– Dzisiaj rano oprowadzałem po naszych winnicach enolożki z Instytutu do spraw Chronionych Nazw Pochodzenia. Mencia musi zaczekać jeszcze tydzień, ale ta odmiana, godello, jest już gotowa. Będziemy ją zbierać w ten weekend; chciałbym, żebyś nam towarzyszył, i jestem pewien, że pozostali też.

Manuel wziął owoc, który podał mu enolog. Był napięty i pachnący, o zielonym, świeżym aromacie, który zaprzeczał ciepłej miazdze rozlewającej się teraz po jego palcach.

– Pozostali?

– Reszta pracowników bodegi.

– Tak – odparł bez zastanowienia. – Tak, przyjdę z przyjemnością. – Nagle jednak ogarnęły go wątpliwości. – Tylko nie wiem, czy na coś się przydam, nigdy nie brałem udziału w winobraniu.

Mężczyzna uśmiechał się szeroko.

– Przydasz się, uwierz mi. Bardzo się przydasz.

Enolog został z tyłu, tu i tam powtarzając swój degustacyjny rytuał. Manuel tymczasem przemierzał tarasy, podążając za psem, który zdradzał swoim zachowaniem, że był tu nie pierwszy raz. Przechodząc, wewnętrzną stroną dłoni dotykał chropowatych liści i nachylał się, żeby poczuć ziemię nagrzaną od płyt kamiennych, których ciepło odrywało się od podłoża na dusznej chmurze gorąca, tak suchej, jakby pochodziła z kaloryfera.

– Pies wydaje się oswojony z tym miejscem... – powiedział.

– Álvaro przyjeżdżał z nim do winnicy, od kiedy go uratował.

– Weterynarz powiedział, że Álvaro znalazł go przy drodze.

– Tak ci powiedział? – zapytał wymijająco. Unikając udzielania dalszych wyjaśnień, pokazał w stronę rzeki i wyszeptał: – Musimy wracać, zaczyna zmierzchać.

Zeszli do łodzi, poruszając się twarzą w kierunku ściany, tak jak weszli, i Manuel musiał przyznać, że poszło znacznie łatwiej, niż sobie wyobrażał, widząc całość z góry. Słońce, które oświetlało jeszcze zbocza, gasło za rzeką i kiedy wypłynęli w drogę powrotną, pot pokrywający skórę Manuela utworzył na jego ciele wilgotną powłokę, a on poczuł chłód.

– Tutaj masz kurtkę – wskazał Daniel, który włożył już swoją. – Jeszcze mamy bardzo ciepłe dni, ale w tym rejonie, począwszy od końca sierpnia, wieczory zaczynają być zimne, a na rzece, kiedy zachodzi słońce, chłód jest jeszcze bardziej odczuwalny.

Włożył kurtkę, która była w jego rozmiarze, zasunął suwak do samej szyi i wsadził ręce do kieszeni. Otworzył usta, podskakując z zaskoczenia, i wyjął dłonie, jakby dotknął czegoś niepożądanego. Nie musiał na nie patrzeć, żeby rozpoznać teksturę płatków, mleczną delikatność, twardą i drzewiastą łądygę. Spojrzał na Daniela, który prowadził łódź, pozornie nieświadomy jego

niepokoję. Odwrócił się, żeby enolog nie mógł zobaczyć zdziwienia na jego twarzy, i przez pozostałą część podróży siedział w milczeniu, obserwując spokojne wody rzeki, które pochłonęły siedem wiosek. Podczas gdy słońce zachodziło i woda robiła się czarna, próbował znienawidzić to miejsce, wyobrazić je sobie jako złowieszcze, ale zdołał jedynie zobaczyć je jeszcze piękniejszym.

Kiedy dopłynęli do przystani w Belesar, wrześniey wieczór zaczął zwiastować ucieczkę światła, która będzie się nasilać w miarę nadciągania jesieni; na sielankowej drodze sprzed kilku godzin panowały teraz egipskie ciemności, ponieważ gęste kasztanowce pochłaniały i tak niewielką ilość światła docierającego z nieba na dno kanionu. Manuel spojrział na enologa, który żywo opowiadał, prowadząc samochód. Nie miał żadnego powodu, by go podejrzewać. Jak sam przyznał, widzieli się na pogrzebie i poprzedniego dnia na drodze, ale ostatecznie poznali się dopiero tego popołudnia. Jaki powód miałby Daniel, żeby napełnić gardeniami kieszenie kurtki, którą mu pożyczył? Jaki ktokolwiek mógłby mieć powód, żeby to zrobić?

Daniel wysadził Manuela tuż przy jego samochodzie, ustaliwszy wcześniej godzinę, o której go odbierze następnego dnia, i się pożegnał.

- Buty i kurtka – przypomniał mu Manuel, zaczynając je zdejmować.
- Zostaw, przydadzą ci się jutro.
- Ale nie będą wam potrzebne? – zapytał, pokazując w stronę stajni.

Nagle twarz Daniela posmutniała.

– Nie, należały do Álvaro, wkładał je zawsze, kiedy wybierał się na pole... – Zamilkł na moment, jakby zrozumiał coś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy. – Nie znalazł go przy drodze...

– Słucham?

– Kawy... Nie znalazł go przy drodze. Pytałeś mnie wcześniej i podałem ci oficjalną wersję, pewnie Álvaro opowiedział ją pozostałym. Tak naprawdę

widował psa codziennie w drodze z bodegi, był przywiązany pod gołym niebem, bez wody, bez jedzenia. Álvaro często się zatrzymywał, aby dać mu pić i jeść. Poprosił, bym dowiedział się dyskretnie, kto jest jego właścicielem: okazało się, że to żalosny typ, który mieszkał sam. Tamtego wieczoru, kiedy wracaliśmy, Álvaro zatrzymał samochód przy jego domu; był tak oburzony, że przysięgam ci, myślałem, że go pobije, ale tego nie zrobił. Widziałem, jak rozmawiał z tym człowiekiem i pokazywał na psa. Stali tak przez kilka minut, w końcu wyjął portfel i nie wiem, ile mu dał, ale widziałem, jak facet został w drzwiach, licząc banknoty. Álvaro wyszedł na skraj posesji, uwolnił psa i musiał go wziąć na ręce, żeby wsiadł do samochodu. Lina, którą miał na szyi, spowodowała okropną ranę, z której wydobywał się ohydny zapach. Nic nie powiedziałem, uważałem, że to, co zrobił, było godne pochwały, ale tak naprawdę jakakolwiek cena była zbyt wysoka za zwierzę, które, byłem przekonany, nie przeżyje najbliższej nocy. A jednak – powiedział, odwracając się, by spojrzeć na psa – wciąż jest z nami.

Siedzący na ścieżce Kawa patrzył na niego, przechylając łebek.

– Dziękuję... – wyszeptał Manuel, skinąwszy lekko głową.

Daniel przytaknął smutno. Nic nie powiedział, tylko uruchomił samochód i podniósł rękę w geście pożegnania, po czym zniknął w ciemności. Było ewidentne, że lubił Álvaro: Manuel zastanawiał się jedynie, do jakiego stopnia. Czy do tego, żeby wypełniać jego kieszenie gardeniami? Ale pisarz nie znał Daniela aż do tego popołudnia, jak więc wytłumaczyć pojawienie się kwiatów przy poprzednich okazjach?

– I co one, do diabła, oznaczają? – zapytał na głos.

Przez kilka sekund stał w ciemności, a jego oczy przyzwyczajały się do otoczenia z pomarańczowym światłem latarni, które stały wzdłuż domu, ale nie oświetlały drogi. Włączył latarkę w telefonie, spoglądając na pięć

połączeń od Nogueiry i czując złośliwą satysfakcję, że nie odebrał. Przeszedł kilka kroków w stronę stajni, aż zorientował się, że Kawa za nim nie podąża. Odwrócił się, by skierować światło na psa, który stał nieruchomo przy samochodzie.

– Chodź, mały! – zachęcił go.

Ale Kawa nawet nie drgnął.

Wrócił do pieska i oświetlił go z góry, uśmiechając się na widok tego, jak udawał, że patrzy na niego z niechęcią.

– Musisz tam wrócić – powiedział. – Nie możesz tutaj zostać, no chodź – nalegał, zaczynając iść, ale pozycja Kawy nie zmieniła się ani o milimetr.

Znowu wrócił i się pochylił, wyciągając rękę, żeby zwierzak do niego podszedł i umieścił głowę pod otwartą dłońią. Głaskał go przez kilka sekund, przypominając sobie wnętrze boksów i klatkę przeznaczoną dla Kawy na końcu alejki. Podniósł się i otworzył drzwi samochodu.

Kawa wskoczył do środka, chociaż w ostatnim momencie zawiodły go tylne łapy i zawisł na siedzeniu. Manuel popchnął go delikatnie i patrzył, jak układał się na miejscu pasażera.

Zanim ruszył, po raz ostatni rzucił okiem na dom. Na tarasie na piętrze odcinała się od tła ciemna postać, która pozostała nieruchoma, podczas gdy on kierował się w stronę bramy wyjazdowej.

Prowadził, żałując swojej decyzji przez całą trasę i zastanawiając się, co zrobić z psem. Okazało się, że właściciel hostelu nie spodziewał się aż tylu problemów. Jeśli zapłaci podwójnie, będzie mógł trzymać psa w pokoju, pod warunkiem, że zwierzę nie zacznie tam załatwiać swoich potrzeb i będzie spać na podłodze. Skinął jak automat, mając świadomość, że nie może tego obiecać, i nadal tego żałował, gdy czekał na korytarzu, aż mężczyzna przyniesie mu stary koc, który mu zaproponował. Manuel zdał sobie sprawę, że nic nie wie o tym psie. Czy nauczyli go, że nie można załatwiać się

w domu? Już było za późno, żeby się wycofać. Przyjął koc, miskę na wodę i kanapkę z kurczakiem, którą żona właściciela przyniosła mu do pokoju razem z resztkami dla psa, wyglądającymi niemal równie smakowicie jak jego własne jedzenie. Po kolacji rozłożył koc dla Kawy, ściszył telewizor i zadzwonił do Nogueiry.

– Cholera! Przez całe popołudnie próbowałem się z panem skontaktować, gdzie się pan podziewał?

Manuel zacisnął usta, próbując powstrzymać złość, i pokręcił głową, zanim odpowiedział:

– Byłem zajęty.

– Zajęty... – powtórzył gwardzista tonem, który tak bardzo denerwował jego rozmówcę. – Był pan w As Grileiras?

– Tak, ale wcześniej pojechałem spotkać się z Lucasem, z ojcem Lucasem – doprecyzował. – Po naszej wczorajszej rozmowie miałem mnóstwo wątpliwości.

– Tak myślałem – odparł chełpliwie Nogueira – i gratuluję panu inicjatywy. Nie wiem, co mu pan powiedział, ale po pańskiej wizycie ksiądz zadzwonił do mnie, żeby porozmawiać. Wyjaśnił mi ze szczegółami, co stało się tamtej nocy, kiedy umarł Fran, to, o czym rozmawiali, i to, co on myśli, oczywiście z wyjątkiem wszystkiego, co Fran powiedział mu podczas spowiedzi.

Zaniepokojony Manuel zastanawiał się, czy ksiądz wspomniał też o osobie, którą widział, jak wchodziła do kościoła, i o swoich wątpliwościach co do jej tożsamości.

– Nie jest to wiele więcej niż to, co już wiedzieliśmy, ale muszę przyznać, że fakty przedstawione z jego punktu widzenia potęgują moje wątpliwości co do samobójstwa, choć też nie wzmacniają wersji, że to był wypadek: ojciec Lucas ma pewność, że Fran nie bawiłby się z narkotykami nawet po to, by

sobie ulżyć. Jest jednak przekonany, że się nie zabił, i na razie skłaniam się ku jego teorii... Wzmacnia ją to, że ktoś wszedł do kościoła po wyjściu księdza.

Manuel wstrzymał oddech, czekając na słowa Nogueiry, i jednocześnie strofował się za swoje podejście. Dlaczego tak się przejmował, że podejrzenia padną na Álvaro, skoro powątpiewał w niego jako pierwszy? Czy był w stanie zaakceptować udział Álvaro w czymkolwiek, co przytrafiło się Franowi tamtej nocy? Nie chciał o tym myśleć, ale kto mógłby mu robić wyrzuty z powodu tych wątpliwości? Álvaro ukrywał go przed oczami wszystkich jak wstydlivy sekret. Za jak ważne miał zachowanie pozorów? Czy dla Álvaro najistotniejsza była ochrona dobrego imienia rodziny, stojąca ponad wszystkimi innymi rzeczami, jak w przypadku jego ojca?

„Wiesz, że nie”, zganił go wewnętrzny głos.

„Bo znałam tego mężczyznę lepiej niż ktokolwiek inny”, rozbrzmiały słowa Elisy.

„Zamknij się!”, nakazał tamtemu głosowi.

– Mówi, że nie mógł dostrzec, kto to był, ale to i tak nieco zmienia postać rzeczy. Ta osoba byłaby ostatnią, która widziała Frana żywego. I podejrzane jest, że nie mając z tym nic wspólnego, nie powiedziała tego po śmierci chłopaka... Cóż. – Westchnął. – Co pan wyciągnął z As Grileiras?

Manuel odetchnął z ulgą, ale jednocześnie czuł się winny.

– Santiagowi wcale się nie spodobało, że mnie tam zobaczył, a jeszcze bardziej nie spodobało mu się, że zapytałem go o pieniądze. W pewnym momencie powiedział mi, że jestem nikim, by domagać się od niego wyjaśnień.

– Ha! – ucieszył się Nogueira po drugiej stronie linii.

Manuel wiedział, że się uśmiecha. To go bawiło; poniżanie rodziny Muñizów de Dávilów niezmiernie mu się podobało i nie wydało mu się złe,

choć raz rozmyślał, dlaczego tak jest.

– Ostatecznie Santiago przyznał, że poprosił o pieniądze. Mówi, a Griñán to potwierdza, że od roku zwiększali liczbę koni, że pojawiła się możliwość kupienia nowego okazu podczas szybkiej transakcji i że właśnie na to potrzebne były pieniądze.

– Trzysta tysięcy euro na konia?

– To koń wyścigowy pełnej krwi angielskiej. Rok temu Santiago kupił innego, który prawie osiągnął tę sumę.

– Cholera!

– Ale ten koń okazał się fiaskiem, ma kontuzję i nie będzie mógł już więcej brać udziału w wyścigach. Z uwagi na warunki, na jakich dokonano zakupu, nie ma możliwości domagania się zwrotu, w związku z czym pieniądze zostały wyrzucone w błoto i od tamtej pory Álvaro zabronił swojemu bratu dokonywania jakichkolwiek transakcji bez opinii eksperta. Potwierdzili mi to zarówno weterynarz, jak i Griñán, tak więc jego wyjaśnienie, że Álvaro przyjechał tu tylko z powodu ewentualnego zakupu konia za taką kwotę, jest całkowicie niewiarygodne. Obaj są przekonani, że Santiago wiedział, iż Álvaro by się na to nie zgodził i że bez opinii nie wzięłyby nawet takiego pomysłu pod uwagę.

– A więc braciszek beczelnie kłamie.

– Cóż, nie jest tak nierozważny. Chowa się za cudzymi plecami, ponieważ sam przyznaje, że to był powód, dla którego Álvaro odmówił przekazania mu pieniędzy.

– Ale skoro wiedział, że bez opinii eksperta ich nie dostanie, że jego brat nawet się nad tym nie zastanowi, to po co miałby go prosić o taką sumę? A jeśli tak było, jaki sens miałby przyjazd Álvaro tylko po to, by powiedzieć mu „nie”?

– Też się nad tym zastanawiam...

– Co jeszcze?

– Cóż, Santiagowi nie podoba się, że jego żona pracuje...

– Nie podoba mu się! Chyba mu odbiło, przecież ona hoduje kwiaty! Gdyby musiała myć tyłki chorym w szpitalu, tak jak moja...

Nogueira po raz pierwszy odnosił się do czegoś związanego ze swoją rodziną. Manuel zanotował to w myślach, powstrzymując się, by mu nie odpowiedzieć: „Tak bardzo przejmujesz się tym, że twoja żona myje tyłki w szpitalu, ale potem idziesz na dziwki; oczywiście zdejmujesz obrączkę, kiedy to robisz, żeby grzech był mniejszy”.

– A pomocnikowi Catariny nie podoba się, jak mąż ją traktuje. Dzisiaj doszło do niezbyt przyjemnej scenki i facet z trudem mógł się powstrzymać.

– Myśli pan, że mają romans?

Westchnął wobec uproszczonego postrzegania świata Nogueiry.

– Nie wiem, to ewidentne, że ją lubi, ale wydaje mi się, że chodzi o coś innego – powiedział, przypominając sobie sposób, w jaki Vicente opowiadał o niej w szklarni. – Nogueira, chciałem panu powiedzieć, że może dzisiaj...

– Tak, właśnie po to do pana dzwoniłem, dziś nie możemy się spotkać.

Manuel czuł się rozczarowany jak dziecko. Tak bardzo pragnął mu powiedzieć, że się nie spotkają, nawet przygotował w myślach odmowę, że nie może mu tego dnia towarzyszyć, wyobrażając sobie złość porucznika, kiedy by mu o tym powiedział.

– Pamięta pan, jak mówiłem, że ktoś przyprowadzi nam samochód Álvara z parkingu kwatery? Ofelia i ja sprawdziliśmy auto, a teraz zajmujemy się telefonami.

– Sądziłem, że już wyciągnęliśmy z faktur wszystkie możliwe informacje.

Nogueira milczał przez kilka sekund, a kiedy się odezwał, zrobił to takim tonem, jakby udzielał wyjaśnienia, którego wcale nie musi dawać.

– Wie pan? Prawie wszyscy mają telefon komórkowy, ale bardzo niewiele osób wie, co tak naprawdę trzyma w dłoniach. Komórka Álvara to aparat najnowszej generacji: pozwala, tak jak wszystkie, zobaczyć numery, na które się dzwoniło i od których odbierało się połączenia, oraz czas ich trwania, ale oprócz tego posiada usługę lokalizacji podającą dokładne położenie telefonu w momencie wykonania połączenia. Poza tym, i to już jest bardziej skomplikowane, staramy się zweryfikować, do kogo należą numery, na które dzwonił albo od których odbierał połączenia.

– To coś rozjaśni?

– Na razie zaczęliśmy z telefonami, ale sprawdziliśmy też samochód i dlatego pilnie potrzebowałem z panem porozmawiać.

Manuel czekał w milczeniu.

– Ofelia mówi, że w noc wypadku, kiedy oglądała ciało w aucie, była w nim nawigacja, której teraz nie ma.

– Tak, Álvaro używał nawigacji, to był TomTom. Miał ją od lat i choć kiedy kupowaliśmy samochód, można było wziąć wbudowaną, on wolał tę; mówił, że miała wgrane wszystkie trasy i że była w stu procentach niezawodna.

– Tak. – Mlasnął Nogueira z niezadowoleniem. – Nie wiem, czy zdaje pan sobie z tego sprawę, ale we wbudowanych nawigacjach zostaje zapis wszystkich tras i adresów; jeśli zostaną usunięte, a nawet jeśli ktoś zresetuje ich adresy, to można je odzyskać z pamięci.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Że często osoby, które nie chcą, by ktoś podążał ich śladem, wolą nawigację przenośną, bo mogą ją ze sobą zabrać albo zniszczyć, bez potrzeby wrywania kawałka deski rozdzielczej samochodu.

– Istnieje jeszcze inna możliwość...

Tym razem to Nogueira zamilkł.

– Że ktoś ją sobie zabrał. Wypadek drogowy, jedyna osoba w aucie zmarła, przenośna nawigacja, co do której nikt nie miałby pewności, czy tam była, i w związku z tym istnieje małe prawdopodobieństwo, że ktoś się po nią zgłosi...

Ton Nogueiry wyraźnie się zaostrzył, kiedy powiedział:

– Nie wiem, o kim pan mówi, ale Gwardia Cywilna co roku ma do czynienia z tysiącami wypadków w tym kraju i nasza uczciwość jest niepodważalna. Ryzykujemy życie i często je tracimy, pomagając innym. Ręczę za uczciwość wszystkich funkcjonariuszy w tej kwaterze. W Gwardii Cywilnej nie ma złodziei.

– Mówię tylko o tym, co mogło się zdarzyć. – Manuel pozostał nieugięty.

– Nie, nie mogło się zdarzyć. Mogło natomiast być tak, że włożono ją do oddzielnego pudełka i zapomniano panu oddać. Proszę się o nią upomnieć, musimy wiedzieć, gdzie Álvaro był i dokąd jechał, kiedy zmarł. Możliwe, że ta informacja jest jeszcze w nawigacji.

– Zadzwoń jutro – zgodził się Manuel.

– Przyjadę po pana późno, o dwunastej. Ta prostytutka, z którą musimy porozmawiać, będzie pracować jutro w nocy.

Miał zamiar zaprotestować. Poprzedniego wieczoru przysięgł sobie, że za nic w świecie tam nie wróci; a jednak wiedział, że tego dnia musi to zrobić, nie po to, by nie sprzeciwić się Nogueirze, lecz ze względu na to, że – chociaż było to dla niego nieznośne – chciał się przekonać, czy zaangażowanie tego mężczyzny w odkrycie prawdy jest znacznie większe niż jego, że w ostatnich godzinach miotał się między bezwzględny żądaniem wobec Lucasa a pragnieniem, by ksiądz nie opowiedział Nogueirze całej prawdy. Tylko z tego powodu był mu to winien. Pożegnał się i rozłączył. Musiał uciec i to zrobił.

Pisał bez przerwy przez co najmniej cztery godziny, podczas gdy pies

leżał nieruchomo przy jego stopach. Pomyślał, że może przywiezienie go tutaj nie było wcale takim złym pomysłem.

TO, CO WYPARTE

Zesztywniał. W jednej chwili zrozumiał, że nieważne było to, co czuje, ani to, co chciałby zrobić, że nie miała znaczenia sytuacja, ponieważ straszna i niewytłumaczalna siła rzuciła go w stronę rzeczywistości. Inercja dociskała go, bez współczucia ani wyrzutów sumienia, i prowadziła w kierunku, który wyznaczał wszechświat.

Była prawie druga, kiedy Manuel, ulegając nieustającemu ziewaniu zwierzęcia, zostawił pisanie i włożył kurtkę, żeby na chwilę wyjść z Kawa, w razie gdyby ten chciał „załatwić swoje potrzeby”. Po powrocie do pokoju ostrożnie wyjął zawartość kieszeni kurtki, przełożył ją do szuflady stolika nocnego i przez kilka sekund patrzył na gardenie, jakby z samej tylko obserwacji kwiatów mogłoby wydobyć jakiś sens. Bardzo powoli zasunął szufladę, nie tracąc ich z oczu, aż usłyszał, jak drewno uderza o korpus. Przypomniawszy sobie wtedy fotografię, którą nosił cały dzień. Wyjął ją i poczuł, jak zagięte rogi zdjęcia przyczepiły się do satyny w kieszeni. Zdecydowane spojrzenie chłopca dosięgnęło go ze zdjęcia. Patrzył na nie przez kilka minut: gesty dzieci, język ich rąk, widoczna koleżeńskość, która wykluczała Santiaga, zaborczy ruch najmłodszego dziecka i chłopiec o czystym spojrzeniu, wyniosły, dumny, niczym księżę z bajki.

Wysunął szufladę, żeby włożyć do niej fotografię, ale zobaczywszy kwiaty, wolał z powrotem schować ją do kieszeni marynarki. Położył się do łóżka i zgasił wszystkie światła, ale zostawił włączony telewizor, bez głosu. Przez chwilę zastanawiał się, czy będzie przeszkadzać psu, i poczuł się trochę głupio, że w ogóle przyszło mu to do głowy. Leżący na kocu Kawa

przyglądał mu się z głową opartą o przednie łapy. Manuel patrzył na niego ze współczuciem. Żał mu było tego zwierzęcia, ale nie wiedział jeszcze, czy jego towarzystwo mu odpowiada. W każdym razie peszyło go jego szkliste spojrzenie, destabilizowała ciągła obecność żywej istoty, która go obserwowała, i pewność, że pies wiedział, kim on jest. Nigdy nie miał żadnego zwierzęcia. W dzieciństwie – kiedy, jak później rozmyślał, powinno się pojawić takie marzenie – było to po prostu nie do pomyślenia, a gdy był starszy, nigdy nie czuł wezwania do odpowiedzialności, jaką inni brali na siebie z przyjemnością. Przypuszczał, że lubił zwierzęta, ale w taki sam sposób, w jaki lubił skrzypce albo rzeźby Fernanda Botera, bez żadnej chęci ich posiadania. Kolejny raz rzucił okiem na telewizor i postanowił, że nie będzie go wyłączał, przynajmniej przez chwilę. Gdy tylko zamknął oczy, poczuł, jak coś podskoczyło na materacu. Usiadł przestraszony i spojrzał na Kawę, który obserwował go, stojąc w nogach łóżka. Mężczyzna i pies trwali tak przez kilka sekund, nieruchomi, badając się nawzajem wzrokiem, uwzględniając prośbę, czekając na odpowiedź.

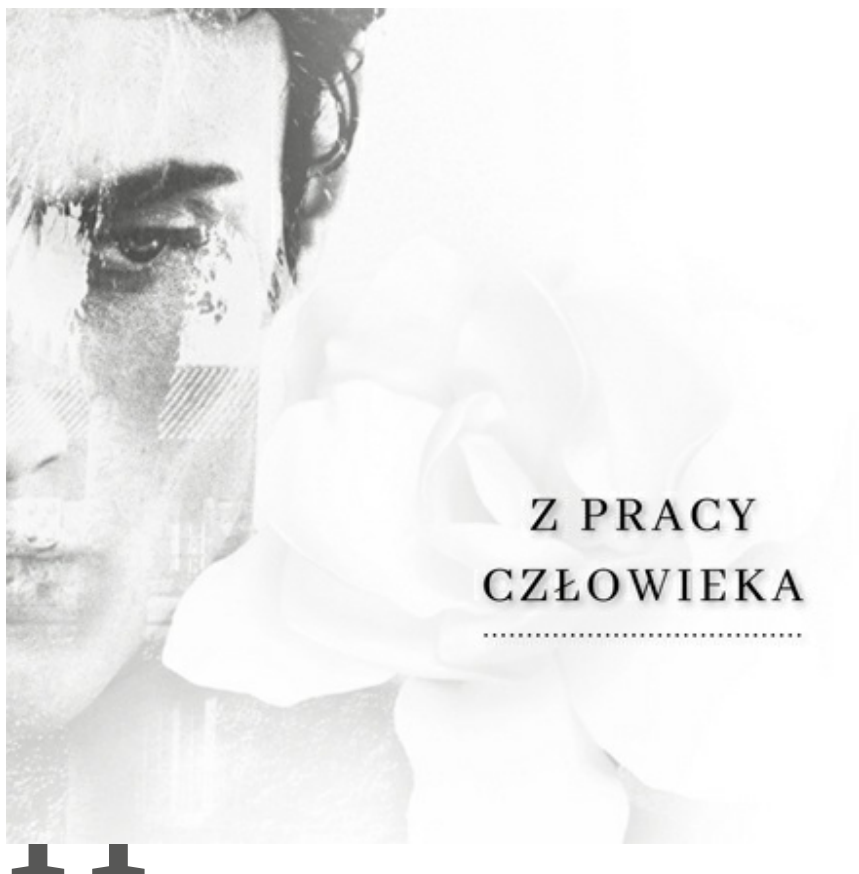
– Przypuszczam, że skoro płacisz jak każdy gość, to też masz prawo spać w łóżku.

Pies zwinął się w kłębek obok jego stóp, a Manuel położył się z uśmiechem. Minutę później wyłączył telewizor.

Tej nocy chłopiec nie płakał po raz pierwszy, odkąd Manuel przyjechał do Galicii.

[8] Miasteczko O Cebreiro znajduje się na jednym ze szlaków Świętego Jakuba prowadzących do Santiago de Compostela; aby do niego dotrzeć, należy pokonać ośmiokilometrowe podejście (O Cebreiro leży na wysokości 1293 m n.p.m.).

[9] (gal.) Dziś nie umrzemy, spokojnie.



Z PRACY CZŁOWIEKA

eroicę skonstruowano tak, jakby ześlizgiwała się ze zbocza. Pierwszym wrażeniem, jakie robiła na kimś, kto docierał do niej drogą, było to, że – chociaż wejście wyglądało na bardzo zadbane – stał przed fantazyjnym małym domkiem, którego zaprojektowanie powierzono być może ambitnemu architektowi i który miał służyć za zimowe schronienie dla jakiegoś nietowarzyskiego pisarza.

Przemysłowa waga szalkowa służąca do ważenia winogron zdradzała ślady użytkowania. Zajmowała sporo miejsca przy wejściu, naprzeciwko budynku, do którego prowadziły rampa oraz cztery stopnie, zbudowane tak, by wykorzystać naturalne nachylenie terenu. Drzwi, podobne do tych, jakie można zobaczyć w każdym domu na wsi, były dwuskrzydłowe, żeby do środka mogły wjeżdżać wózki z winogronami. Obok wielkie okno z żelaznymi sztabami wzmacniało efekt nowoczesnej wiejskiej rezydencji.

Drzwi strzegły lampy z kutego żelaza, które wystawały ze ściany, a także kwietniki przerobione ze starych beczek. Z belek na portyku zwisały brązowe plecione koszyki, w których znajdowało się geranium z małymi kwiatkami, dotykającymi głów przechodzących pod nimi osób i uwalniającymi swój jabłkowy zapach.

Około dwudziestu mężczyzn, może więcej, stało na schodach i w małym portyku. Odwrócili się, słysząc dźwięk silnika, kiedy Daniel z Manuelem przyjechali.

– *Bos días*^[10] – przywitał się Daniel, wysiadając z samochodu.

Mężczyźni odpowiedzieli, chociaż wszystkie spojrzenia zwrócone były na Manuela. Kawa pobiegł w ich stronę i większość schyliła się, żeby go pogłaskać.

– Chłopie, Kawa! Ty tutaj? – zażartował jeden z pracowników.

– Jak widzicie, dzisiaj w winnicy będzie nam towarzyszył don Manuel – powiedział enolog i odwracając do niego głowę, dodał z zamaszystym gestem w stronę grupy: – Będą się stopniowo przedstawiać, jest ich wielu, a mamy przed sobą cały dzień.

Mężczyźni zareagowali podniesieniem ręki albo skinieniem głowy. On odpowiedział im tak samo.

– Teraz zabierajcie się do pracy, a ja pokażę Manuelowi bodegę – oznajmił Daniel. – Później zejdziemy na tarasy, żeby szef mógł was zobaczyć przy pracy.

Manuel, zmieszany takim tytułowaniem, zaczął protestować, ale mężczyźni stworzyli już ożywione grupki, kierując się za budynek.

– Żywa część bodegi – powiedział enolog, otwierając główne drzwi. – Nie ma sensu, jeśli nie widzisz jej podczas pracy. Pokażę ci, chociaż tak naprawdę w całej okazałości owoce.

Popchnął drzwi i oczom Manuela ukazała się sala, która zadziwiła go

swoimi rozmiarami. W pełni wyłożona posadzką od podłogi po sufit i przykryta grubym, przezroczystym plastikiem, jakby ktoś miał zamiar tu malować, rozciągała się na o wiele większej przestrzeni, niż mogło się wydawać.

– Patrząc z zewnątrz, nie sądziłem, że jest taka wielka – powiedział.

Wszedł do środka, gdzie liczne maszyny tak jakby unosiły się w jasnej przestrzeni, a efekt ten potęgowało jeszcze światło wpadające przez okna tylnej części budynku.

– Pierwotna bodega zajmowała to, co teraz jest parterem, a tę zbudowano na następnym naturalnym stopniu, opierając jedną część struktury na poprzedniej, a drugą wydłużając do wąwozu za sprawą wielkich kolumn, które grają rolę fundamentów w powietrzu wbitych we wzgórze na dużą głębokość.

Manuel podszedł do okien wychodzących na zbocze góry, na którym wiły się setki symetrycznych stopni wypełnionych winoroślami, a całość w głębi doliny wieńczył rząd okazałych kasztanowców, swoimi najniższymi gałęziami dotykających wód rzeki. W górze, lewitując tajemniczo, wisiał welon szarej mgły, niezbyt gęstej, pozwalający dostrzec winorośle, które w porannym słońcu zaczynały błyszczeć, skąpane w tych oparach unoszących się znad rzeki.

Enolog otworzył boczne drzwi i pomieszczenie, które Manuel za nimi zobaczył, zaskoczyło go jeszcze bardziej. Wielkie okna, ściany i podłoga wyłożone drewnem, a na suficie ciemne przecinające go belki. Wnętrze rozciągało się aż do szerokiego balkonu zwisającego nad przepaścią, który wydawał się zawieszony w pustce. Zobaczył mężczyzn schodzących z boczem oświetlonym nieśmiałym porannym słońcem, które nie zachęcało jeszcze do zdjęcia kurtki; przecinali chmurę mgły i pojawiali się kilka metrów niżej. Z głównego pomieszczenia wznosiły się szerokie schody

z ciemnego drewna, prowadzące do jadalni otwartej na taras z balustradą z kutego żelaza. W małym kącie w pobliżu okna z żelaznymi sztabami znajdowała się lada i butelki z etykietami; dyskretna obecność kasy fiskalnej kazała Manuelowi przypuszczać, że tutaj sprzedaje się wino zwiedzającym.

Wziął do ręki jedną butelkę. Na etykiecie była nazwa, którą Álvaro ochrzcił bodegę i wino: Heroica. Nieskazitelną biel etykiety naruszały jedynie dumnie nakreślone srebrne litery, wyglądające, jakby wyżłobiono je w roztopionym metalu. W pionowych kreskach „H” widać było skumulowane srebro sugerujące, że to tam osiadł rozżarzony metal, a ogonek ostatniej litery został przedłużony śmiałym ruchem pełnym pasji. Manuel czuł, że jego serce zamiera, gdy rozpoznał pismo Álvaro.

Delikatnie przeciągnął palcami po literach, po czym odłożył butelkę na miejsce.

– Powiedziałaś, że inni producenci przyniosą swoje zbiory. Tworzycie rodzaj kooperatywy czy czegoś takiego?

– Kiedy Álvaro przejął biznes, utrzymywaliśmy się z własnej produkcji, ale szybko zdaliśmy sobie sprawę, że to nie wystarczy, aby zaspokoić popyt, tak więc kupujemy zbiory od setek małych winogrodników, którzy sprzedają je najlepszemu oferentowi. W taki właśnie sposób ludzie tutaj rozumieją wino: niewielkie działki raz i drugi dzielone są między członków rodziny, aż stają się zupełnie maleńkie, mimo to niełatwo jest znaleźć ludzi, którzy byliby chętni do sprzedaży swojego terenu. – Zamilkł na chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie postanowił milczeć.

Wyszli przez recepcję, a następnie zeszli nachyloną boczną ścieżką, którą wcześniej mężczyźni kierowali się do winorośli. Dotarli na plac połączony z betonowym pasem, po którym bez problemu powinna przejechać ciężarówka i który był niewidoczny z góry. Prowadził do ogromnej bramy, od ziemi do sufitu zajmującej całą ścianę hali.

– Tutaj trzymamy beczki i tu pracujemy przez większość czasu, ale teraz wszyscy pracownicy są na tarasach. Wejdźmy się przywitać – zachęcił Daniel.

Enolog popchnął połowę bramy, która była tylko przymknięta. W środku czterech mężczyzn pracowało przy czymś, co wyglądało na maszynę czyszczącą, kierując jej końcówki do wnętrza gigantycznej stalowej kadzi.

Było tam zimno. Na niebieskich kombinezonach z nankinu, których Manuel nie widział od czasów dzieciństwa, mieli grube pikowane kamizelki, a ich oddechy, w połączeniu z parą, którą niczym nowoczesny smok wydzielala maszyna, wznosiły się, tworząc spiralne wyziewy wskazujące na to, że temperatura w pomieszczeniu była znacznie niższa od tej panującej na zewnątrz.

Kiedy zobaczyli, że Daniel i Manuel wchodzi, zatrzymali hałasującą maszynę i piąty mężczyzna wyłonił się z otworu podobnego do bulaja w dolnej części cysterny. Manuel natychmiast zauważył sposób, w jaki się prostowali i oceniali jego obecność, zastanawiając się, czy jest wroga, czy nie. Przywitali się nieśmiało, a ich głosy rozbrzmiały niczym dalekie echo na wysokości magazynu.

– Czyszczą wewnątrz na przyjęcie nowego wina, a najlepiej robić to od środka – wyjaśnił Daniel. – Mario jest najszczuplejszy, więc musi wchodzić do kadzi – dodał, pokazując na mężczyznę, który przykucnął, żeby mogli go zobaczyć, i przywitał się wzruszeniem ramion wobec wątpliwego zaszczytu, jaki mu przypadł.

– Lepiej nie będziemy przeszkadzać – powiedział Manuel, podnosząc krótko rękę na pożegnanie mężczyzn stojących nieruchomo przy swoich stanowiskach.

Schodzili, mijając pierwsze tarasy i zbieraczy winogron, którzy pracowali nachyleni nad krzewami i wkładali kiście do niebieskich plastikowych skrzyń

zgrupowanych na początku każdego stopnia.

Daniel zwracał się po imieniu do sześciu zbieraczy, którzy schodzili razem z nimi wzdłuż całego zbocza aż do brzegu rzeki. Prowadząc Manuela na wolny stopień, enolog pochylił się w pewnym momencie nad krzewem, żeby pokazać mu, jak zrywać owoce, by ich nie uszkodzić. Lewą ręką chwycił kiść w taki sam sposób, w jaki bierze się noworodka: pewnie, uważając, żeby nie upadł, ale ostrożnie, by nie zrobić mu krzywdy, zaś prawą ręką za jednym pociągnięciem skosił gałązkę podtrzymującą pęk, który leżał na jego dłoni jak śpiący malec.

– Jestem pewien, że spodoba ci się zbieranie winogron – powiedział Daniel. – To najbardziej pierwotne zajęcie; zanim człowiek nauczył się uprawiać ziemię, już był zbieraczem, a zanim został mięsożercą, był owocożerny.

Manuel, odmówiwszy włożenia rękawiczek, nachylił się nad krzewem i wziął sierpak, który wydał mu się nadzwyczaj anatomiczny i dobrze dopasowywał się do jego dłoni. Jednocześnie zachował ostrożność, mając świadomość, że trzyma broń. Chwycił chłodną, błyszczącą kiść i naśladując enologa, przesunął sierpakiem po gałązce szybkim ruchem przypominającym pociągnięcie. Musiał użyć obu rąk, ponieważ owoc rozlał mu się między palcami. Chociaż nie zrobił tego idealnie, to Daniel go pochwalił.

– Nie przejmuj się, trochę trudno jest dobrać odpowiednią siłę, żeby podtrzymać ją bez zgniatania, ale jeśli chodzi o resztę, to powiedziałbym, że nie pierwszy raz zbierasz winogrona.

Manuel wyprostował się z uśmiechem, trzymając ręce na lędźwiach.

– Myślę, że na koniec dnia żaden z nas tego nie powie.

Enolog towarzyszył mu przez kilka minut. Kiedy miał już pewność, że nie odetnie sobie palca, zostawił go samego. Wtedy Manuel poczuł, że jest obserwowany, i podniósłszy wzrok, napotkał spojrzenia mężczyzn. Nie było

w nich jednak złych intencji ani osądzania, a jedynie ciekawość i, jak się później dowiedział, trochę nadziei.

Pracował w ciszy, oddalony od pozostałych i skoncentrowany na owocach, które robiły się coraz bardziej aromatyczne, w miarę jak mijały kolejne godziny i ogrzewało je słońce. Rozróżniał drzewny zapach starych winorośli, zapach granitu z podłoża wymieszanego z aromatycznymi ziołami, które rosły na skraju tarasów, i jeszcze jeden, świeży i cytrusowy, jakby mandarynkowy. Wzrokiem poszukał jego źródła i zobaczył, że na końcu działek, bardziej na północy, rosły drzewa cytrynowe i pomarańczowe, co wzbudzało jego zdziwienie. Kawa biegał swobodnie po tarasach, niemal jakby witał się z każdym ze zbieraczy, ale później położył się obok niego i drzemał spokojnie, wyciągnięty na kurtce, którą Manuel zdjął, rozgrzany już przez słońce, które nagrzewało płyty kamienne i całkowicie rozwiało mgłę. Pogłaskał swojego biednego psa, mając świadomość, że nadal jest obserwowany, i nie podnosząc głowy, puścił oko do zwierzęcia, po czym wrócił do pracy.

– Ej, panie markizie!

Zaskoczony, odwrócił się w stronę wyższych partii i zobaczył wieśniaka trzymającego bukłak wina. Mężczyzna podniósł skórzany worek, pokazując mu go.

– Chce pan łyk wina?

Uśmiechnął się, przytakując i podchodząc bliżej, żeby sięgnąć po bukłak.

– Ja nie jestem markizem – powiedział, biorąc wino.

Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby mu nie wierzył.

Smakowało mu: miało mocny zapach, z całym prawdopodobieństwem pogłębiony skórzanym bukłakiem; było orzeźwiające i aromatyczne, pozostawiło w ustach lekko kwaskowaty posmak, niemal idealny, by przypomnieć mu orzeźwiającą świeżość lata.

– Proszę pić, proszę pić! – zachęcał go.

Upił jeszcze jeden łyk i zwrócił buklak.

– Robimy przerwę na drugie śniadanie – przekazał mu mężczyzna, którego nazywano Abu i który jako jedyny zwrócił się do niego bezpośrednio, pokazując w stronę wynajętych pracowników rozdzielających pachnące kawałki ciemnego chleba i sera.

Podczas posiłku Manuel zauważył jedną z tych osobliwych łodzi, a Daniel spojrział na niego porozumiewawczo.

– Abu, wczoraj, kiedy byliśmy na tarasach godello, widzieliśmy twoje córki na barce. Wylewały wodę kubełkami i Manuel się zaniepokoił, że mogą pójść na dno – powiedział rozbawiony.

Zaskoczony Manuel podniósł głowę.

– *Eso no hunde, home*^[11]! – wykrzyknął roześmiany Abu, dzieląc się żartem z pozostałymi pracownikami. – Gdyby ci z Titanica mieli takie barki, toby pływali tam do dzisiaj!

Mężczyźni się roześmiali.

Manuel uśmiechnął się na myśl o wrzawie wywołanej przez dziewczyny, o ich głosach unoszących się na rzece, o beztroskim, radosnym śmiechu i sposobie, w jaki się z nimi przywitały, podnosząc ręce.

– A więc to były pańskie córki?

– Były i są – potwierdził Abu z typowym sarkazmem, który Manuel zaczynał już rozpoznawać w tym rejonie. – I dzisiaj na pewno też są gdzieś w pobliżu, zbierają winogrona na naszej działce.

– To pan też ma winorośle? – zapytał, zadowolony, że znalazł wspólny temat z tymi mężczyznami, którzy wydawali mu się bliscy, a jednocześnie niedostępni.

– W Ribeira Sacra wszyscy mają winorośle, nawet jeśli tylko na małej działce. Te należące do mojej rodziny są niczym w porównaniu

z winoroślami Heroiki, to *pedaciño pequeno*^[12] o silnym nachyleniu, ale od kiedy weszła w życie chroniona nazwa pochodzenia, moje córki zajmują się nim, żeby zarabiać na życie. Przynajmniej nie musiały wyjeżdżać, tak jak inni.

– A więc bardzo się cieszę – odpowiedział Manuel szczerze. – Proszę je ode mnie pozdrowić i powiedzieć, że jestem szczęśliwy, że nie poszły na dno.

Abu się uśmiechnął, kręcąc głową, jakby Manuel powiedział coś głupiego, i jadł dalej.

Nadeszło popołudnie, tworząc mokre fatamorgany z powodu wysokiej temperatury. Od czasu do czasu delikatny wiatr powiewający nad rzeką chłodził pot na ogorzalej skórze pracowników, którzy w miarę jak napełniali skrzynie, ustawiali je na brzegu tarasu. Kiedy skończyli zbierać winogrona, utworzyli łańcuch i zaczęli przekazywać sobie kosze, aż dotarły nad brzeg rzeki, a stamtąd ruszyły do jedyne go załoganta, który ustawiał je na dziwnej barce, najpierw na podłodze łodzi, a potem jeden na drugim, aż stał się między nimi prawie niewidoczny.

– Heroica jest jedną z nielicznych bodeg, które zainstalowały metalowe przewodnice, żeby transportować winogrona w górę zbocza; to jedyna nowinka, na jaką pozwoliliśmy sobie w Ribeira Sacra w ciągu dwóch tysięcy lat – wyjaśnił Daniel. – Ale tutaj nie są skutecznie, nie przy takim nachyleniu. Praktyczniej jest zabrać je łodzią do portu w Belesar i stamtąd drogą lądową do bodegi.

Była piąta po południu i enolog uznał pracę za zakończoną, obiecując obiad w godnych warunkach, więc mężczyźni zaczęli wspinać się po zboczu.

Manuel dał znak Kawie, który przeciągnął się powoli i czekał na niego cierpliwie przy stopniach będących dla niego nie do pokonania. Pisarz podniósł spięte i drżące ciało i trzymając je na rękach, zaczął się wspinać za

mężczyzną, którego nazywano Abu. Musiał być przynajmniej dwadzieścia lat od niego starszy, ale wchodził szybko, zmuszając go, by dotrzymywał mu kroku, podczas gdy pisarz czuł, jak płoną wszystkie mięśnie jego nóg. Dotarłszy na górę, Manuel postawił na ziemi Kawę, który – niewdzięcznik – zostawił go, rzucając mu słabo skrywane pogardliwe spojrzenie, gdy Manuel, zgięty do przodu, próbował odzyskać oddech.

– W weekendy do pracy przychodzą zazwyczaj młodzi chłopcy, tacy w szkolnym wieku – powiedział mu mężczyzna. – Ja ich ostrzegam, że to bardzo ciężka robota, a oni zawsze się ze mnie śmieją i się chełpią: „My jesteśmy młodzi i w formie”, ale niejeden z nich po zbieraniu w sobotę następnego dnia nie może się podnieść z łóżka.

– Wierzę panu – wysapał Manuel.

– Panu dobrze to idzie – przyznał mężczyzna, po czym ruszył za Kawę, zostawiając go samego.

Wrzawa wywołana przez trzydzieści osób siedzących przy jednym stole zwiastowała ucztę. Podano pieczone ziemniaki, zielone sałatki, a po chwili także tace pełne pieczonego mięsa, które pracownicy bodegi upiekli na zewnętrznym grillu, stosując jako podpałkę pędy winorośli. Wino rozlano do kieliszków, które szybko zaczęły dzwonić podczas toastów za dobre nowe zbiory. Siedzący obok Daniel wyciągnął do Manuela kieliszek, prosząc, by zwrócił uwagę na kolor trunku.

– Młode czerwone wino ma kolor fioletowy, który zmienia się w miarę dojrzewania w dębowej baryłce. Pamiętasz winogrona mencia, które pokazywałem ci wczoraj przy rzece? Jeśli nadal będzie ładna pogoda, to zbierzemy je za tydzień.

Manuel przypomniał sobie owoc z grubą i zadziwiająco czarną skórką, która gdzieniegdzie wydawała się zamrożona, jakby pokrywał ją szron. Spojrzał pod światło, obserwując, jak wokół kieliszka, na błyszczącym winie

zarysował się cienki pierścień w kolorze granatowofioletowym.

Jedli bez przesadnego ceremoniału i niepotrzebnych rozmów. Zamiast deseru podano aromatyczną kawę z garnka, którą przyniesiono do stołu w metalowych kociołkach z przykrywką i którą Manuel wypił bez cukru, chociaż nie miał takiego zwyczaju.

Niektórzy mężczyźni wstawali od stołu, by rozprostować nogi, a grupa, którą Manuel widział rano podczas pracy w środku bodegi, podeszła, żeby zająć wolne miejsca wokół niego. Jeden z mężczyzn, przedstawiony przez Daniela jako kierownik, zwrócił się do Manuela, spojrział na enologa, który potwierdził ruchem głowy, po czym powiedział:

– Proszę posłuchać, panie markizie...

Ten podniósł rękę, powstrzymując go.

– Manuelu, bardzo proszę.

Mężczyzna zaczął od początku, co kosztowało go trochę wysiłku.

– Dobrze, Manuelu, wiem, że Daniel trochę już pana zaznajomił z bodegą, a poza tym bardziej szczegółowych informacji będzie mógł panu udzielić pan Griñán.

Manuel patrzył, jak nieswojo kręci się na krześle, i niemal poczuł litość. Widać było, że jego rozmówca jest zdenerwowany, zapewne długo zastanawiał się nad tym, co ma powiedzieć, a musiało to być ważne, ponieważ pozostali mężczyźni w skupieniu patrzyli w pustkę, przytakując każdemu jego słowu.

– Myślę, że zobaczył pan już trochę, jak pracujemy – ciągnął – jak ważna jest tutaj każda roślina i, co za tym idzie, jak istotny jest każdy centymetr kwadratowy ziemi.

Manuel przytaknął zdecydowanie, widząc, że jego gest natychmiast wzmocnił pewność siebie mężczyzny.

– I cóż, teraz bodega pracuje na najwyższych obrotach, ale zimą wygląda

to zupełnie inaczej. Od pewnego czasu rozważamy możliwość nabycia sąsiedniej winnicy. Należała do człowieka, który uprawiał ją sam przez całe życie, ale zmarł kilka miesięcy temu i bratanica, która ją odziedziczyła, myśli tylko o tym, by ją sprzedać. Najlepsze jest to, że przy winnicy stoi dom i jest prawie hektar ziemi, na której nigdy niczego nie sadzono i która leży obok parkingu bodegi.

Mężczyzna chwycił korek i mimowolnie zaczął przesuwać nim po stole, jakby przyciskał go do niewidzialnych poduszek na tusz, zdradzając tym samym, że doszedł do najtrudniejszej części swojej przemowy.

– W dniu, w którym don Álvaro miał wypadek, przyjechał tutaj rano i zakomunikował nam, że postanowił kupić ten teren, ale właścicielka mówi, że nic o tym nie wie, co każe nam myśleć, że nie miał czasu, by porozmawiać o tym z Griñánem i... cóż... Daniel wytłumaczy panu lepiej ode mnie, ile możemy zyskać na kupnie tej starej winnicy, ale oznaczałoby to także zbudowanie tarasów i sadzenie, co zapewniłoby pracę na całą zimę, i to dla wszystkich obecnych pracowników bodegi. Poza tym moglibyśmy przebudować dom, żeby zamienić go na magazyn, dzięki czemu opróżnilibyśmy ten główny i, cóż... Chcielibyśmy wiedzieć, czy pociągnie pan ten projekt... czy nie.

Mężczyzna zamilkł i wydawało się, że wstrzymał oddech, a wszystkie spojrzenia spoczęły na Manuelu. Żeby zyskać na czasie, wziął swoją filiżankę kawy, która była już zimna, i upił łyk, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– No cóż – powiedział – nic o tym nie wiedziałem i obawiam się, że Griñán też mi o tym nie wspominał...

– Ale myśli pan, że można to załatwić? – zapytał mężczyzna imieniem Mario, który ze względu na drobną budowę czyścił wnętrze kadzi.

Czuł się przytłoczony. Oczy, ręce, postawa ciała tych mężczyzn

domagały się odpowiedzi, zapewnienia, którego nie mógł im dać.

– Właścicielka napomknęła, że zainteresowana jest jeszcze inna bodega. Nie możemy pozwolić, żeby nas ubiegli, tym bardziej tutaj, w kanionie.

Głos zabrał Daniel:

– W kanionie panują najlepsze warunki do uprawy tych winorośli, nie tylko ze względu na to, co już panu wyjaśniłem w związku z klimatem, ale też dlatego, że znajdujemy się dwieście pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza i podłoże tutaj jest granitowe, a nie łupkowe, jak w innych miejscach w Ribeira Sacra. Ze względu na swoje cechy jest ono idealne. Towarzyszyłem Álvarowi podczas rozmowy z właścicielką; wszystko wskazywało na to, że dojdzie do podpisania umowy, zapewniam.

– Nie wiem, kiedy będę mógł porozmawiać z Griñánem – powiedział Manuel wymijająco.

Jednakże z reakcji mężczyzn można było wywnioskować, że dał im odpowiedź, jakiej oczekiwali. Kierownik uściśnął jego dłoń i podziękował, patrząc mu prosto w oczy; pracownicy jeden po drugim również dziękowali, wstając od stołu i się żegnając.

Daniel zatrzymał go na chwilę.

– Cały czas myślę, co mogło się wydarzyć, że Álvaro zaniedbał sprawę tej winnicy. To było coś dziwnego – powiedział zamyślony. – Kiedy rozmawialiśmy z właścicielką, zdałem sobie sprawę, że Álvaro nie spuszczał z oka komórki, jakby czekał na jakiś telefon; zresztą dostał go, kiedy od niej wychodziliśmy. Był wtedy przy mnie, odebrał, a później odszedł na bok, żeby porozmawiać.

– Która była godzina?

– Z kobietą umówiliśmy się na czwartą, a spotkanie zajęło nam bardzo mało czasu, myślę, że nie więcej niż dwadzieścia minut... Wiem, że nie jest to nic niezwykłego – wzruszył ramionami – ale po tym, jak Álvaro wysłuchał

tej osoby, która dzwoniła, powiedział: „Nie będziesz mi groził”.

[10] (gal.) Dzień dobry.

[11] (gal.) To nie utonie, człowieku.

[12] (gal.) Mały kawałek.



MARKIZ

ęzczyźni udali się do swoich samochodów, a Manuel niemal dziękował Bogu, kiedy Daniel zapowiedział, że odwiezie go do domu. Wsiedli do nissana, a pisarz z wielkim trudem zachował spokój, aż oddalili się kilka metrów od bodegi, i wtedy na jego twarzy zarysował się grymas bólu.

– Na Boga! Wszystko mnie boli!

Daniel zaśmiał się na całe gardło i otworzył schowek.

– Tam masz ibuprofen, a w kieszonce na drzwiach jest butelka wody.

Manuel nie protestował. Wyjął tabletkę z blistra i popił.

– Lepiej łyknij od razu dwie i weź ze sobą te, które zostały; przydadzą ci się jutro rano. Abu ma rację, to jest cięższe, niż się wydaje.

– A i tak wydaje się bardzo ciężkie... – powiedział Manuel w zamyśleniu. – Powiedz mi, Danielu, ty też nazywasz mnie „markizem”,

kiedy nie znajdują się w pobliżu?

– Nie powinieneś mieć tego za złe. – Uśmiechnął się. – Wręcz przeciwnie. Mężczyźni z tych terenów przez całe wieki pracowali dla kolejnych markizów i wbrew temu, co możesz sobie myśleć, nigdy nie traktowali tego jako pańszczyznę, lecz jako ochronę. Stary markiz, ojciec Álvara, nie wykazywał zainteresowania winem, nawet nie potraktował tego na poważnie, kiedy w 1996 roku przyznano nam znak kontrolowanego pochodzenia. Bodega przetrwała, podobnie jak wszystkie inne. Był to biznes, który nie przynosił dużo pieniędzy, ale też nie pochłaniał więcej wydatków niż zapłaty dla kilku pracowników dniówkowych. Po przejęciu biznesu przez Álvara wszystko się zmieniło... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale ludzie tutaj robili to z czystej dumy, z miłości do ziemi, która ma dwa tysiące lat. Jeśli nagle pojawia się ktoś, kto docenia to, co robisz, kto sprawia, że czujesz dumę z tego, kim jesteś i czym się zajmujesz, i kto na dodatek pozwala ci zarabiać tym na życie, to ta osoba zaczyna być bardzo ważna.

Manuel słuchał w milczeniu.

– Wczoraj w winnicy powiedziałaś mi, że nie wiesz, czy się na coś przydasz, a ja ci odpowiedziałem, że jestem pewny, że tak. Dzisiaj to potwierdzam: twoja obecność była kluczowa. Po śmierci Álvara nasz świat też się zachwiało. Podobnie jak stary markiz nowy w ogóle nie jest zainteresowany winem. Oczywiście pozostawi bodegę; posiadanie winnic przez klasę arystokratyczną zawsze uchodziło za eleganckie, a własne wino dodaje wytworności, ale nie o to chodzi. Álvaro postawił tę bodegę na nogi, sprawił, że została zauważona, przyjeżdżał do winnicy tak ja ty dzisiaj i to każe tym ludziom myśleć, że będzie kontynuacja, że istnieje przyszłość dla projektu, który rozpoczął Álvaro, a w związku z tym również dla ich własnych planów na życie.

Manuel milczał, myśląc o każdym słowie Daniela. Popatrzył na swoje

dłonie, które piekły go tak, jakby trzymał je w mrowisku, chociaż nie było to do końca nieprzyjemne, podczas gdy przyznawał rację enologowi. Owszem, zbieranie winogron ma w sobie coś pierwotnego i uszlachetniającego, co godzi człowieka z nim samym, ale przede wszystkim w ostatnich godzinach pojawiło się coś, co zbliżało Manuela do pewnego rodzaju pojednania z Álvarem, z Álvarem, którego znał; to uczucie zakiełkowało wraz ze znalezieniem Kawy i rosło po odwiedzeniu Heroiki. Tajemnicza duma, ciężka praca na roli, nazwa wina, pewna i pełna pasji linia liter, to wszystko mówiło o Álvaroze, mężczyźnie, którego podziwiał, o tym wszystkim, co go wyróżniało i co sprawiło, że go pokochał.

Mimo to Manuel nie mógł dać im nadziei; praca przez cały dzień w słońcu nad brzegiem rzeki nie spowoduje, że zapomni, iż to wszystko jest mu obce, że jego miejsce jest daleko stąd.

– Obawiam się... że może moja obecność tutaj mogła zostać przez was niewłaściwie zinterpretowana. – Westchnął. – Nie będę wchodził w szczegóły, ale to wszystko jest dla mnie nowe, jeszcze tydzień temu nawet nie mogłem sobie wyobrazić tego świata. I chociaż nie wiem jeszcze kiedy, to prawda jest taka, że wcześniej czy później wrócę do domu i do mojego życia.

Wypowiadając ostatnie słowa, nie mógł nie myśleć o swoim salonie wypełnionym tym dziwnym światłem, które pożerało wąskie marginesy rzeczywistości, o swojej pustej sypialni, o ich wspólnym zdjęciu stojącym na komodzie, o ubraniach Álvaroza wiszących w szafie niczym kukły wisielca, wreszcie o pulsującym kursorze, czekającym, być może wiecznie, na dokończenie ostatniego zdania. I wiedział, że nie chce wracać... ani zostać. Nie miał domu. Podczas tych rozważań pokręcił głową i Daniel musiał chyba pomyśleć, że była to odpowiedź na jego słowa, ponieważ nie odezwał się przez resztę trasy.



Pomógł Kawie wejść do łóżka i sam runął obok psa. To, co usłyszał potem, było przenikliwym i powtarzającym się dźwiękiem, który rozbrzmiewał w całym pokoju, wyciągając go z głębokiego snu, w jaki zapadł od razu po dotknięciu łóżka.

Złote światło, które dominowało na zewnątrz, kiedy wrócił do hostelu, teraz zniknęło i pokój oświetlał jedynie słaby blask latarni stojącej w pobliżu jego okna. Po ciemku odszukał na stoliku nocnym komórkę, żeby wyłączyć alarm, jednak ten nadal dzwonił, aż w końcu zorientował się, że głośny dźwięk dobiegał ze starego telefonu stacjonarnego, który stał na zniszczonym stoliku i którego do tej pory nie zauważył. Zdezorientowany, podszedł do niego nie bez trudności, zastanawiając się, która jest godzina i jaki dzień. Odebrał, podniósłszy słuchawkę do ucha.

– Panie Ortigosa, ma pan gościa, czeka w barze.

Odłożył słuchawkę, włączył stojącą na biurku lampkę i ze zdziwieniem stwierdził, że jest już po dwunastej. Umył twarz wodą, która śmierdziała rurociągiem. Był zdezorientowany i otępiały, jakby po spaniu przez dwadzieścia godzin albo dwadzieścia minut obudził się na innej planecie, na której panuje gęstsza i cięższa atmosfera. Tylko od bolących mięśni docierały do niego jasne i ostre sygnały przywracające do żalosnej rzeczywistości: nogi płonęły, lędźwie wyły. Ignorując białawy odrapany kubek stojący na umywalce, utworzył zagłębienie z dłoni i napił się wody, która była niezbędna, by przepchnąć przez gardło jeszcze dwa ibuprofeny.

Kawa czekał przy drzwiach. Manuel wahał się przez chwilę, obserwując z zafascynowaniem jego zwyczajową nieśmiałość, tak bardzo przypominającą lekceważenie.

– Dlaczego nie? – powiedział do niego, gasząc światło.



Podejrzewał, że czekając na niego, Nogueira zdążył już zjeść kilka tłustych przekąsek, które podawano w hostelowym barze, ponieważ zobaczył przez szklane drzwi, że stoi na zewnątrz i pali w ten charakterystyczny dla siebie sposób, jakby przy każdym sztachnięciu wysysał życiową i nigdy niewystarczającą esencję.

– Jak pan okropnie wygląda! Co pan robił? – przywitał się gwardzista.

– Zbierałem winogrona w Ribeira Sacra.

Funkcjonariusz nie odpowiedział, tylko wykrzywił usta pod wąsami i skinął lekko, co zdradzało jego zaskoczenie i... Czy to był szacunek?

Wyrzucił niedopałek do pojemnika na piasek.

– Chodźmy – powiedział, ruszając w stronę prawie pustego parkingu.

– Nie opowie mi pan o tym lokalizowaniu połączeń?

– Lepiej później... – odparł Nogueira. – Jedźmy już, potem dziewczyna będzie zajęta i trudno będzie z nią porozmawiać.

Wtedy zauważył psa, który szedł za Manuelem.

– Co to, do diabła, jest?

– „To” jest mój pies, wabi się Kawa i jedzie ze mną – odpowiedział z wystudiowanym spokojem.

– Ale nie moim samochodem – oznajmił stanowczo Nogueira.

Manuel się zatrzymał i popatrzył na niego uważnie.

– Myślałem, że pojedziemy moim, żeby później mógł pan zostać... Jeśli pan chce.

Zauważył, że Nogueira opuszcza rękę i chowa obrączkę za plecami.

– Już panu mówiłem, że później musimy porozmawiać o połączeniach.

– Zgoda, więc pojedźmy moim – powiedział Manuel, uruchamiając zamek centralny; otworzył tylne drzwi i pomógł wejść Kawie.

Nogueira wahał się przez kilka sekund, stojąc na środku parkingu.

– I jeśli pan poprowadzi, wyświadczy mi przysługę. Ja jestem wykończony – dodał Manuel, czując ociężałość w nogach.

To najwyraźniej ucieszyło Nogueirę, który zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi od strony kierowcy.

– Kluczyk?

– Nie ma kluczyka, włącza się automatycznie – powiedział, pokazując na guzik, który od razu nacisnął i samochód został uruchomiony.

Nogueira obserwował w milczeniu, jak rozkładają się lusterka boczne, a światła zapalają się po wykryciu ciemności i same się przystosowują. Nic nie powiedział, ale Manuel czuł, że sprawiało mu to radość. Wystarczyło zobaczyć, jak porucznik dbał o własny samochód, by przypuszczać, że jeżdżąc takim najnowszej generacji, cieszyłby się jak dziecko. Poruszył głową w stronę lusterka wstecznego.

– Skąd pan go wziął? – zapytał, mając na myśli Kawę.

Manuel uśmiechnął się na myśl o zdziwieniu, jakie okaże Nogueira, kiedy się dowie.

– Z As Grileiras, należał do Álvara. Znalazł go na drodze i przywiózł do domu – powiedział, decydując się na pierwszą wersję, bo choć jemu wydawało się bardziej szlachetne, że go uratował, to nie chciał przyznawać tego przed Nogueirą. Przypuszczał, że gwardzista prawdopodobnie kpiłby sobie z takiego gestu.

Wpatrywał się w twarz funkcjonariusza, który uniósł brwi ze zdziwienia, raz jeszcze rzucając szybkie spojrzenie w lusterko wsteczne, chociaż Manuel wątpił, czy w ciemności mógł cokolwiek zobaczyć.

– Taki pies w As Grileiras?

– Tak, mniej więcej od roku. Kiedy Álvaro znalazł go na drodze prowadzącej do bodegi, był w bardzo złym stanie, zabrał więc psa do pazo

i nakazał weterynarzowi, by o niego dbał. Santiago najwyraźniej nie znosi jego obecności.

– I w tym przypadku przyznaję rację markizkowi, ten pieprzony kundel musi być najbrzydszy ze wszystkich stworzeń.

– Nogueira! – zganił go.

Porucznik spojrział na Manuela, a pod wąsami zarysował mu się uśmiech, szczery, radosny, który w jednej chwili odjął mu jakieś dwadzieścia lat.

– Nie no, panie pisarzu, musi pan przyznać, że pies jest diabelsko brzydki.

Manuel odwrócił głowę i zobaczył, że Kawa siedzi wyprostowany na kanapie, jakby uczestniczył w ich rozmowie; szorstka i naelektryzowana sierść, opadłe ucho, wystający z pyska krzywy kieł. Raz jeszcze spojrział na Nogueirę i lekko się uśmiechnął, po czym skinął głową, przyznając punkt gwardziście.

Parking przy klubie był tego dnia zapełniony, od pojazdów odbijało się czerwone i niebieskie światło napisu. Zrobili kółko i ostatecznie postanowili zaparkować z boku, dosyć daleko od wejścia. Nogueira zatrzymał auto i przesunął dłońmi po kierownicy w geście podobnym do pieszczoty.

– Wspaniały samochód, o tak, proszę pana. Musiał trochę kosztować.

– W zeszłym roku sprzedałem sporo książek – powiedział Manuel z uśmiechem, czekając na jakąś kpinę, która jednak się nie pojawiła.

– Musi być pan z niego zadowolony – dodał, przesuwając palcami po desce rozdzielczej.

Dobry humor gwardzisty dodał Manuelowi odwagi.

– Nogueira, nie wiem, czy pan to zrozumie, ale wchodzenie tam jest dla mnie dosyć krępujące...

– Chce pan tu poczekać? – zapytał.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę wejścia do klubu. Z wnętrza pojazdu Manuel widział, jak kurtka ze sztucznej skóry, którą miał na sobie Nogueira, zmieniała kolor pod wpływem światła neonów, kiedy gwardzista kierował się do drzwi. Manuel pozwolił, żeby Kawa zajął miejsce kierowcy, po czym poszukał w radiu stacji muzycznej, a podczas czekania myślał o jakże życzliwej przepowiedni Daniela, że następnego dnia wszystko będzie go boleć.

Wystraszyło go stukanie w szybę. Spojrzał na zewnątrz i zobaczył zamazaną przez zmieniające się światła neonu młodą kobietą twarz; rozpoznał w niej prostytutkę, którą nazywano Dziewczyną. Zaczął otwierać drzwi, ale ona popchnęła je i pokazała mu, żeby opuścił szybę.

– Dobry wieczór – przywitała się. Jej głos go rozczarował, był trochę ochryply, jakby cierpiała na afonię w początkowym stadium.

Patrzył na nią otepiały, a ona znów się odezwała.

– Wie pan, kim jestem? – Przykucnęła przy drzwiach samochodu, pozwalając mu widzieć z bliska swoją twarz.

– Tak.

– Jest coś, o czym muszę panu powiedzieć, a nie mogę tego zrobić w środku.

Zauważył, że miała na sobie tylko cienki satynowy szlafrok i bieliznę.

– Proszę wsiąść, przezięb się pani.

– Nie. Jeśli otworzy pan drzwi, Mamut – powiedziała, pokazując w stronę kowboja-albinosa, który pilnował wejścia do klubu – zobaczy światło i przyjdzie węszyć. Poza tym to jest zabronione, szefowa nie chce, żebyśmy przychodziły na parking i robiły biznesy, które wymykają się spod jej kontroli.

Manuel skinął, dając jej do zrozumienia, że zna zasady panujące

w klubie, i cały czas przyglądał jej się z bliska. Była naprawdę ładna. Duże i grzeszne oczy patrzyły na niego, oceniając wiek, ubranie, stopień zamożności. Wargi miała pełne i jeszcze dziewicze, różowe i bez pomadki, jak u dziewczynki. Gładkie, ciemne i niefarbowane włosy opadały jej po obu stronach twarzy, idealnie owalnej, przypominającej mu twarz pięknej sierżantki, która wtargnęła do jego mieszkania, żeby przekazać mu najgorszą wiadomość na świecie, i pomyślał, że to może być znak, coś w rodzaju cechy szczególnej, że to piękno nie przyniesie mu lepszych wiadomości niż te poprzednie. W jednej chwili ją znienawidził.

– Co chce mi pani powiedzieć? – zapytał podejrzliwie.

– Nic nie robiliśmy – rzuciła bez zastanowienia.

– Co? – odparł skonfundowany.

– Pański narzeczony i ja nic nie robiliśmy.

Manuel otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć.

– Podwójne zaprzeczenie – dodała dziewczyna, śmiejąc się z żartu, który w tym momencie rozumiała tylko ona. – No dobrze, coś tam robiliśmy, rozmawialiśmy. Chcę tylko powiedzieć, że się nie pieprzyliśmy.

Manuel nadal patrzył na nią w milczeniu, niezdolny, by odpowiedzieć.

– Brat i owszem, jest dobrym klientem. Często tu bywa i pański narzeczony przychodził razem z nim.

– Był moim mężem – zdołał wydusić cienkim głosem. Ona mówiła dalej, a Manuel był pewien, że go nie usłyszała.

– Za pierwszym razem don Santiago był bardzo pijany i zaczął nalegać, żeby wybrał sobie dziewczynę; wybrał mnie, ale kiedy znaleźliśmy się w pokoju, wyjaśnił mi, że zgodził się tu przyjść, aby nie tłumaczyć się przed bratem, ale że on jest wierny swojemu partnerowi i że nic nie będziemy robić. Don Santiago już mi zapłacił, lecz on też dał pieniądze i poprosił, żebym niczego nie mówiła. Mnie jest wszystko jedno, rozumie pan? Nie

miałabym nic przeciwko temu, żeby się z nim przespać, był bardzo przystojny, chociaż kiedy ostatnio pana zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że nie chodziło tylko o to, że był wierny. – Uśmiechnęła się, pochylając delikatnie głowę. – Przyszedł kilka razy, chyba trzy, nie więcej, i zawsze było tak samo. Szliśmy do pokoju, rozmawialiśmy, płacił mi. I to wszystko. Tamtego dnia zobaczyłam pana z Nogueirą, a dzisiaj szefowa przekazała Mili i mnie, że chcą panowie wypytać nas o ich wizyty. Nie mogę przyznać się do tego przed szefową, zawsze każe nam dokończyć usługę, bo potem trafia się jakiś spryciarz, który prosi o zwrot pieniędzy. W tym przypadku tak nie było, ale kazałaby mi oddać część zarobku, gdyby się dowiedziała, że w dodatku zapłacił mi podwójnie...

Podniosła rękę, szczupłą, z pomalowanymi na czarno sztucznymi paznokciami, i przytrzymała się drzwi samochodu, aby utrzymać równowagę.

– Dlaczego mi pani o tym opowiada?

Ona uśmiechnęła się do niego czarująco i dziwnie melancholijnie jak na tak młodą kobietę.

– Niewiele jest przyzwoitych facetów, a pan takiego miał. Warto o tym wiedzieć.

Manuel skinął, wzruszony jej słowami.

– Muszę już wracać, pewnie się zastanawiają, gdzie jestem. Nie palę, więc nie mam wymówki. – Niespodziewanie otworzyła szeroko oczy, zaalarmowana. – Nie biorę też narkotyków ani nic takiego. Staram się prowadzić zdrowe życie... I oszczędzać... – Znów zamilkła, patrząc na niego uważnie.

– Och! – powiedział nagle Manuel, prostując bolące nogi, żeby wyciągnąć portfel, który nosił w kieszeni jeansów.

Wyjął pięćdziesiąt euro i zastanowiwszy się przez chwilę, dołożył drugie pięćdziesiąt. Ona chwyciła je przez okno ze zwinnością krupiera z Las

Vegas.

– Wszystkiego dobrego, przyjacielu, i piękny pies! – dodała, prześlizgując się schylona między samochodami, po czym zniknęła.

Manuel zamknął okno i spojrzał na Kawę.

– Wyobrażasz to sobie, Kawa? Za sto euro każdy jest piękny.

Zadowolony pies pomerdał ogonem, chociaż – jak miał w zwyczaju – patrzył przy tym z ukosa. Dokładnie tak jak robił to sam Manuel, starając się nie przywiązywać wagi do tego, co się działo.

Ból niepewności jest żrący.

Drażył w jego wnętrzu jak wiertłem od momentu, gdy piękna sierżantka przekazała mu, gdzie zmarł Álvaro. Dowiedzione kłamstwo, podszyte kpina słowa Nogueiry albo Santiaga zamieniały się w żrące krople spadające na jego ranę, paląc, torując sobie drogę wśród organów w okrutnym i nieodwracalnym pędzie, niszcząc go ładunkiem wstydu i hańby. Postanowił nie zwracać na to uwagi, uciec od ognia i stanąć na widoku z wysoko podniesioną głową, krzycząc w obronie, że to wszystko jest mu obce i że nie ma nic wspólnego z nim ani z jego życiem. On, który czuł się tak urażony tym, co ukrywał Álvaro, on, który wymagał od pozostałych, żeby nie zatajali prawdy – on sam kłamał.

Wynalazł sobie tę wymówkę, aby się przekonać, że może uciec przed kłamstwem, chociaż tak naprawdę uciekał przed prawdą, lekceważąc sygnały, że w swoim wnętrzu miał już tę substancję, która zżerała jego wnętrze, niszcząc go doszczętnie. A później zaimprovizował rodzaj misji Herkulesa, redutę, na której mógł walczyć, zasłaniając się tym, że został zdominowany przez urojoną siłę, nieuniknioną inercję zmuszającą go do robienia tego, co należało robić.

Oszukiwał się, popełniając w ten sposób największy błąd, jaki człowiek może popełnić przeciwko samemu sobie, łamiąc fundamentalne zasady

prawa, które od dzieciństwa miał wyryte na czole i którymi zawsze się szczyił, nosząc je z dumą. Okłamywał jedynego człowieka na tym świecie, który powinien zawsze znać prawdę: samego siebie.

Niepewność jest paląca.

Jak głupiec wierzył, że może żyć pod ciężarem nierozwiązanego problemu tak, by nie miał na niego wpływu, że może iść do przodu tak, by nie dręczyły go rozpacz albo strach, iż nie był kochany. I nagle zmaltretowany pies, winnica na zboczu i dziwka o twarzy dziewczynki stały się lekiem na jego cierpienie, balsamem kojącym ból. Jednakże nie przestawał mieć przed oczami nieznanego Álvara. Mężczyzna, który kupił Kawę od starca, zanim ten by go zatłukł albo zagłodził na śmierć, mężczyzna, który pracował w winnicy ramię w ramię z robotnikami dniówkowymi, mężczyzna, który płacił dziwce, żeby z nią nie spać: wszyscy oni byli równie obcy jak markiz Santo Tomé, mężczyzna bez obrączki albo właściciel drugiego telefonu. Manuel miał mnóstwo pytań i być może po raz pierwszy chciał poznać odpowiedzi; czuł, że Kawa, winnica nad rzeką i dziwka byli fałszywymi nutami, listą zarzutów mówiących być może o innej rzeczywistości, takiej, o której nawet nie chciał myśleć, zaślepiony wstydem i hańbą wynikającymi z oszustwa, i którą zaczynał akceptować wraz z tamtymi słowami, których dziewczyna nie usłyszała: „Był moim mężem”.

Wyciągnął rękę w stronę Kawy i zaczął, aż się przysunie, dotykając jego opuszków palców. Głaskał go i obserwował, jak pies krok po kroku porzucał swój wrodzony brak zaufania i poddawał się pieśszczocie, po raz pierwszy zamykając przy tym oczy.

– Gdybym tylko ja tak mógł – wyszeptał Manuel. Kawa otworzył oczy i na niego spojrzał. – Zamknąć oczy, Kawa, gdybym tylko ja tak mógł...

Zobaczył, że wraca Nogueira, i zerknął na zegarek: tylko dwadzieścia

minut; stwierdził, że raczej nie miał czasu na więcej niż jednego drinka. Porucznik otworzył drzwi, wpuszczając do środka samochodu chłód nocy i słodki zapach klubu.

– No dobrze, porozmawiałem z dziewczyną – powiedział, wsiadając i umieszczając ręce po obu stronach kierownicy, jakby miał zamiar prowadzić, chociaż nie uruchomił samochodu. Zostawił na widoku swoją obręczkę, której tym razem nie zdjął. – Potwierdza to, co wczoraj powiedziała nam Nieviñas, że Santiago przychodzi kilka razy w miesiącu i najczęściej idzie do pokoju z nią. Moją uwagę zwróciło to, co powiedziała o jego sposobie działania, wcale nie tak zwyczajnym.

Manuel uniósł pytająco brwi.

– Jest jakiś zwyczajny sposób?

– No więc – wyjaśniał – wiadomo, po co człowiek tutaj przychodzi, to oczywiste, ale większość lubi wejść, usiąść przy barze, zamówić drinka, wypatrzeć dziewczynę, zaprosić ją, wykonując cały rytuał podrywu, tylko że tutaj podrywasz, którą chcesz.

– Za sto euro każdy jest piękny – powiedział Manuel, odwracając się, by rzucić okiem na Kawę, który wrócił na tylne siedzenie.

– I za znacznie mniej. Mili mówi, że Santiago robi dokładnie na odwrót. Przychodzi, bierze ją pod ramię i idą na górę, a dopiero później spokojnie pije przy barze.

– Spiesz mu się – zasugerował Manuel.

– Tak, i to każe mi myśleć, że może pośpiech wiąże się z czasem działania.

– Sądzi pan, że bierze niebieską tabletkę, aby stanąć na wysokości zadania?

– Dziewczyna mówi, że nawet dzwoni, by się dopytać, czy jest dostępna. Ale wydaje mi się, że gdyby chodziło o niebieską tabletkę, to koleś byłby

bardziej nakręcony...

Manuel spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– Viagra – wyjaśnił Nogueira – zaczyna działać od trzydziestu do sześćdziesięciu minut po zażyciu, a efekty utrzymują się od trzech do sześciu godzin. Nie oznacza to, że kołesiowi będzie stał przez sześć godzin, ale dzięki seksualnej stymulacji w tym czasie bez problemu osiągnie erekcję.

– Wygląda na to, że jest pan ekspertem – zauważył Manuel.

Nogueira szybko wzruszył ramionami, podnosząc podbródek.

– Co pan insynuuje? Myśli pan, że ja potrzebuję tego gówna? Nie potrzebuję go, u mnie wszystko funkcjonuje bez zarzutu.

– Ale ja nic nie powiedziałem... – bronił się Manuel, uśmiechając się sarkastycznie, podobnie jak wcześniej gwardzista. – Jednak przyzna pan, że dużo wie na ten temat.

– Co za podlec! Wiem dużo o różnych rzeczach, ale to dlatego, że wykonuję swoją pracę, czytam, uczę się, jestem badaczem. Czy to jasne?

Manuel przytaknął, nie przestając się uśmiechać.

– Jak słońce.

– Wracając do rzeczy, to ciekawe, że markizkowi tak się spieszy. A jak mówi dziewczyna, kilka razy nie mógł skończyć i to go strasznie rozzłościło. Obwinił ją, ponoć robił się nawet dość agresywny.

Manuel przypomniał sobie wyraz twarzy Santiaga, kiedy rozmawiali, i w jego głowie bardzo wyraźnie pojawił się okrutny grymas na ustach markiza, pogardliwie zmrużone oczy, jego zdecydowane kroki oraz to, jak zatrzymał się na chwilę przy swojej żonie, żeby powiedzieć jej coś, co sprawiło, że się rozplakała.

– Bił ją?

– Tego nie powiedziała. To dobry klient i woli nie ryzykować, że go

straci, ale wygląda na to, że może być bardzo nieprzyjemny. Właśnie to każe mi myśleć, że świństwo, które zażywa, nie jest pigułką miłości.

Manuel przytaknął, a Nogueira ciągnął swoją teorię.

– Możliwe, że wstydzi się pójść do swojego lekarza; trzeba zrobić badania, aby sprawdzić, czy serce wytrzyma, czy problem nie jest fizyczny, coś takiego jak obstrukcja kanałów nawadniających... No, rozumie mnie pan, i czy człowiek nie jest uczulony na substancję aktywną. Niejeden dostał zawału albo zaczął widzieć świat w niebieskich barwach. Ale często ci, którzy nie chcą się przyznać do swoich problemów lekarzowi, zażywają silne środki pobudzające, jak kokaina, i nikomu nie muszą się tłumaczyć. Rezultat jest natychmiastowy, chociaż efekty są niepewne, a czas trwania ograniczony, głównie jeśli chodzi o regularnych konsumentów.

– Pytał pan o to dziewczynę?

– Oczywiście, chociaż domyślałem się odpowiedzi: Nieviñas dobrze je przyuczyła; nawet za milion lat nie przyznają się do zażywania narkotyków w lokalu. Wiedzą, że rozmawiają z policjantem, a dla nich, bez względu na to, jak przyjacielsko są nastawione, pies zawsze jest psem. Ostatecznie nie mogłem się zobaczyć z tą drugą dziewczyną, musiała być zajęta.

– Była tutaj, ze mną – powiedział Manuel.

Nogueira spojrział na niego zaskoczony.

– Podeszła do samochodu i kazała mi przysiąc, że jej szefowa nie dowie się, co powiedziała, tak więc mam nadzieję, że pan też zachowa dyskrecję, bo w przeciwnym razie narobimy jej problemów.

– Jasne, niech pan sobie nie myśli, że jestem takim wielkim przyjacielem Nieviñas, żeby donieść na źródło informacji – powiedział urażony gwardzista.

– Ja wcale tak nie myślę, tylko pana informuję.

Nogueira skinął.

– Wspomina, że wobec nacisków Santiaga Álvaro poszedł z nią kilka razy, ale nic nie robili, tylko rozmawiali. Álvaro zapłacił jej podwójnie, żeby nic nikomu nie powiedziała. Dlatego nie chce, by jej szefowa знаła prawdę.

Nogueira pokiwał powoli głową z rękami wciąż opartymi o kierownicę, ale się nie odezwał.

Manuel spojrział na niego zaniepokojony.

– Nie wygląda pan na zaskoczonego... Przysięgłbym, że jeszcze dwa dni temu insynuował mi pan, że Álvaro mógł być dziwkarzem.

Nogueira włączył silnik i wyjechał spod blasku neonów na główną drogę. Słabe światło w środku pojazdu oświetlało jego twarz na tyle, by pozwolić Manuelowi dostrzec zaciśnięte pod wąsami usta. Prowadził w milczeniu, wyraźnie skupiony na czarnej drodze i unikaniu oślepiających świateł pojazdów jadących z naprzeciwka. Manuel się tym nie przejmował. Zaczynał się już przyzwyczajać do chłodnej powściągliwości Nogueiry, któremu niebywale podobało się zachowywanie informacji dla siebie, żeby później wystrzelić ją jak precyzyjną torpedę skierowaną w linię wodną. Chociaż było jasne, że coś ukrywa, to nie dało się nie zauważyć, że prowadzeniem auta cieszy się jak dziecko. Manuel zobaczył, że przejechali przez skrzyżowanie prowadzące do jego hostelu, i pomyślał, że chce jeszcze trochę pojeździć, ale gwardzista zaskoczył go kilka kilometrów dalej, kiedy zatrzymał samochód przy drzwiach baru, który – jak to w sobotę – był pełen ludzi, i zaproponował drinka.

Średnia wieku w lokalu przekraczała czterdzieści lat; było mnóstwo par, ale także grupki samych kobiet. Wielkość i wytworność kieliszków, podobnie jak muzyka, nawiązywały do lat osiemdziesiątych, a głośność była na takim poziomie, jaki pozwalał swobodnie rozmawiać. Manuel ocenił, że musieli się znajdować około dwudziestu kilometrów na północ od As Grileiras, w lokalu wyraźnie heteroseksualnym i wystarczająco daleko od jego strefy, aby

zminimalizować ryzyko, że ktoś mógłby zobaczyć ich razem, postrzegając inaczej niż dwóch facetów, którzy piją drinka w dowolnym barze w sobotni wieczór.

Zauważył, że w głębi lokalu znajdowało się ciemniejsze miejsce ze stolikami, idealne do rozmowy, ale nie zdziwił się, kiedy Nogueira wybrał niewygodne metalowe krzesła przy barze. Zamówił dwa giny z tonikiem, które barmanka uzupełniła kolorowymi jagodami, i musiał niemal powstrzymać śmiech, widząc, jak Nogueira wyrzuca słomki wieńczące szklankę i siorbie jej zawartość odwrócony w stronę baru, opierając się oboma łokciami o ladę w najczystszy styl żigolaka.

Rozbrzmiewała piosenka *West End Girls* Pet Shop Boys. Manuel upił łyk swojego drinka i uznał, że jest gorzki i delikatnie aromatyzowany, niczym dziecięce perfumy.

– Wyjaśni mi pan, co tutaj robimy? – zapytał cierpliwie.

Nogueira odwrócił się w jego stronę, próbując udawać, że nie spodziewał się tego pytania.

– A co mamy robić? Jest sobotni wieczór, pijemy drinka i rozmawiamy jak...

– Jak dwaj przyjaciele?

Twarz Nogueiry spochmurniała; westchnął i spojrzał na Manuela rozdrażniony.

– Już panu powiedziałem, że musimy pomówić o połączeniach.

– Więc proszę mówić – zasugerował Manuel, nie rezygnując z tonu niekończącej się cierpliwości.

Nogueira usiadł na niewygodnym krześle bokiem do lady i podniósł rękę, zakrywając częściowo twarz, by być bardziej dyskretnym.

– Już panu wyjaśniałem, że ciekawe jest ustalenie nie tylko tego, kto do niego dzwonił i z kim rozmawiał, lecz także tego, skąd wykonywano

połączenia – powiedział cicho.

Manuel upił drugi łyk ginu z tonikiem, który tym razem nie wydawał mu się taki zły.

– Po pierwsze, muszę powiedzieć, że nie będąc czynnym funkcjonariuszem i mając na uwadze, że śledztwo uznano za zakończone, mam ograniczone pole działania. Mimo to zidentyfikowaliśmy wiele numerów i pracujemy nad resztą. Odbierał połączenia od Griñána i Santiaga, a telefonował do seminarium, w którym się uczył i które rodzina nadal sponsoruje, do bodegi w Ribeira Sacra, do Griñána, do Santiaga. I... – zrobił pauzę – do dilerów z tego rejonu.

– Do dilerów?

– Tak, to nawet nie jest drobny handlarz. Kombinuje, żeby mieć na swoje wydatki, i jest starym znajomym policji.

– Po co Álvaro miałby dzwonić do dilerów?

– Cóż, to pan może wiedzieć lepiej niż ja.

Manuel wyprostował się na krześle.

– Álvaro nie brał narkotyków.

– Jest pan tego pewien?

– Całkowicie – zapewnił.

– Nie wszyscy konsumenci wyglądają jak skończone ćpuny. Jest wiele rodzajów narkotyków; mógł je zażywać, a pan niczego by nie zauważył, aż osiągnąłby poziom krytyczny.

– Nie – powiedział kategorycznie. – To niemożliwe.

– Może...

– Mówię panu, że nie – odparł, podnosząc nieco głos.

Gwardzista spojrział na niego, popisując się spokojem, jakim Manuel wykazywał się wcześniej, i wykonał gest ręką, napominając, by się

pohamował i ściszył głos.

– Przepraszam – pokajał się. – Ale nie ma dyskusji: Álvaro nie brał narkotyków.

– Zgoda – przyznał Nogueira – mogą istnieć inne powiązania... Kiedy zmarł Fran, ten koleś pojawił się w krótkim śledztwie. Dowiedzieliśmy się, że w przeszłości był jego dostawcą, ale ponieważ z takim pośpiechem zamknięto sprawę, nie zdążyliśmy go nawet przesłuchać.

– Ale z jakiego powodu Álvaro utrzymywałby kontakt z tym dilerem? Tym bardziej trzy lata po śmierci Frana.

– Jak już powiedziałem, istnieją inne możliwości. – Nogueira wziął swoją szklankę, upił łyk i trzymał ją w ręku, żeby napić się po tym, jak dodał: – Toñino zajmuje się tym głównie po to, by mieć na swoje wydatki, ale jest też znaną męską prostytutką.

A więc to tutaj – torpeda na linii wodnej. Teraz rozumiał, dlaczego Nogueira nie zareagował na informację, że Álvaro nie przespał się z Dziewczynką. Przetrzymał tę bombę z ładunkiem hańby, żeby zrzucić ją w najbardziej odpowiednim momencie.

Manuel postawił szklankę i wyszedł z baru, niezdarnie omijając innych klientów. Nogueira dogonił go przy samochodzie.

– Dokąd się pan wybiera? Nie skończyliśmy rozmowy.

– Ja skończyłem – powiedział stanowczo, kierując się do drzwi kierowcy i dając jasno do zrozumienia, że nie pozwoli mu prowadzić z powrotem.

Kiedy porucznik wsiadł do auta, Manuel ruszył i wyjechał na drogę.

– Ostrzegąłem pana, że jeśli zaczniemy grzebać w przeszłości Muñizów de Dávilów, to na wierzch może wypłynąć dużo gówna. – Nie krzyczał, ale mówił bardzo głośno.

Przez lusterko wsteczne Manuel zobaczył, że Kawa zwinął się w kłębek i wyraźnie się trząsł.

– I pogodziłem się z tym – zapewnił Manuel. – Nie potrafię tylko zrozumieć, dlaczego wywołuje to u pana tak niezdrową przyjemność, że ledwie potrafi pan ją ukryć.

– Niezdrową? – oburzył się Nogueira. – Wypraszam sobie! Starłem się być na tyle dyplomatyczny, na ile potrafiłem. Przywiozłem pana tutaj, żeby się napić i powiedzieć to w delikatny sposób.

– Pan dyplomatyczny? A to dobre – powiedział gorzko.

– Wolałby pan, żebym przy drzwiach klubu nocnego rzucił informacją, dlaczego pański mąż nie pieprzył dziewczyny?

– Na pewno byłoby to mniej przyjemne niż przywiezienie mnie tutaj, by mi powiedzieć, że był albo narkomanem, albo puszczał się z tym... Proszę mnie nie wkurzać! Pan się tylko z tego cieszy.

Nogueira milczał i nie odezwał się słowem, aż Manuel zatrzymał samochód obok jego auta na parkingu przy hostelu. Kiedy zaczął mówić, odzyskał spokój oraz chłodny i zdystansowany ton z pierwszych dni ich znajomości.

– Powinien pan wrócić do As Grileiras. Proszę porozmawiać z Herminią, ona jest prawdziwą kopalnią informacji, większą, niż sama myśli. I dobrze by było, gdyby mógł pan rzucić okiem na pokój Álvara w pazo. Proszę poszukać czegokolwiek: dokumentów, narkotyków, paragonów ze sklepów albo rachunków z restauracji, przyda się wszystko, co może nas naprowadzić na ślad tego, co robił, z kim i po co. – Gwardzista wysiadł i zanim zatrasnął drzwi, nachylił się jeszcze do środka i powiedział: – Ma pan rację w pewnych sprawach, być może w niezdrowy sposób cieszę się z nieszczęścia tych skurwysynów, ale nie wie pan wszystkiego, nawet pan sobie nie wyobraża. I możliwe, że nie jestem pańskim przyjacielem, ale kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciela ze wszystkich osób, które pan tutaj zna. – Zamknął drzwi, wsiadł do swojego samochodu i odjechał, zostawiając Manuela

w ciemności.

Ten pochylił głowę nad kierownicą, czując się ośmieszony, jak wtedy, kiedy wiesz, że się mylisz, a jednak postanawiasz brnąć dalej z twarzą spaloną ze wstydu i sercem zablokowanym przez adrenalinę. I po raz drugi tej nocy powtórzył słowa, które kiedyś były dumą, potem bólem, zawsze zaś prawdą, a teraz na powrót zniewagą: „Był moim mężem”.

Spojrzał w noc, oślepiiony panoramą wewnętrznego spustoszenia, jaką miał przed oczami: wreszcie zrozumiał, że miejsce, w którym krył się do tej pory, nie da mu już schronienia; własnymi rękami zniszczył redutę służącą mu za azyl. On sam zrezygnował z fałszywego pocieszenia, które wytworzył sobie zaledwie kilka godzin wcześniej, kiedy przysięgał, że nie będzie już się okłamywał, a jednak – niczym nastolatek, który nie chce widzieć wad swojej ukochanej – uciekał przed okrucieństwem prawdy. Czy przypadkiem prawda nie istnieje tylko wtedy, gdy pokazuje nam to, co chcemy zobaczyć? Kiedy jej ujawnienie przynosi ulgę wobec postępującej, żrącej niepewności? A jeśli, zamiast być balsamem na ranę, prawda jest kolejnym, jeszcze silniejszym kwasem?

Niczym Hiob, który nie spodziewa się otrzymać odpowiedzi, od kilku dni zastanawiał się, kim naprawdę był Álvaro. I tej nocy sam znalazł rozwiązanie, odkrywając, że zawiera ono wyrok: „Był moim mężem”.

Łzy zapłonęły w jego oczach i po raz pierwszy pozwolił im ujść; były ciche i tak pełne, że zalały mu twarz, prześlizgując się po brodzie i kapiąc na tapicerkę samochodu. W przeciwieństwie do poprzednich sytuacji, kiedy zduszał płacz argumentami dumy, które nie pozwalały łzom płynąć, tym razem nie miał wystarczających środków. Rzym ostatecznie zapłacił zdrajcom łzami wstydu. Manuel poczuł na ramieniu delikatne pchnięcie pyszczkiem. Pies zbliżał się do niego, aż oparł przednie łapy o jego udo i wcisnął się w otwór pod ręką, żeby być w miejscu, które do tej pory

zajmowała jedynie rozpacz. Manuel objął psa, pozwalając, by łzy spadały na niego, mocząc mu sierść i suchy nos. Przez cienką podszewkę marynarki poczuł zagięte rogi starej fotografii, które wbijały mu się w klatkę piersiową.



Przebudzenie było jak utrata kotwicy utrzymującej go w bezpiecznym i głębokim miejscu, jak biblijne zmartwychwstanie w rzeczywistości pełnej ponurego światła wciskającego się przez okno, które zapomniał zasłonić poprzedniej nocy, światła zalewającego pokój swoim smutnym białawym kolorem.

Oparł się o poduszki, doznając na ramionach nieprzyjemnego porannego chłodu, z którym dobrze się czują tylko ci wstający o brzasku. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie staremu żeliwnemu kaloryferowi, który w tym momencie ogłosił swoim metalicznym dźwiękiem, że zaczyna się nagrzewać, i – jak działo się za każdym razem po przebudzeniu, odkąd tutaj przyjechał – Manuel nie był pewien ani wcale go nie obchodziło, jaki jest dzień. Kawa spał obok niego, najwyraźniej odporny na chłód poranka, wciskający się do pokoju niczym niepożądany gość. Przez lekką kołdrę i niewielki wełniany

koc Manuel czuł ciepło jego ciała. Bolały go plecy i głowa. Wyciągnął rękę do stolika nocnego i bez wody połknął dwie tabletki ibuprofenu, przeklinając ból spowodowany wysiłkiem, pieczenie rąk wynikające z dźwigania, napięcie lędźwi i ciężkość nóg, ale to wszystko stanowiło alibi dla drugiego bólu, tego, który wznosił się z miejsca, gdzie został zakotwiczony; po zerwaniu się z cumy wzbijał się jak duch ze statku, który długo leżał zatopiony. Manuel czuł go w klatce piersiowej jak ciężki ładunek zajmujący miejsce, w którym wcześniej znajdowały się jego serce i płuca. Napompowany wodą głębinową i nasycony sekretami, naciskał na tors, uniemożliwiając mu oddychanie. Wiedział, że już nic nie może zrobić: otworzył puszkę Pandory, by pozwolić odejść nadziei, która tryskała ze szklistych oczu oczu Kawy, z wiary zbieraczy winogron, ze słów prostytutki, nadziei, że gdzieś istnieje wytłumaczenie, usprawiedliwienie, ważny, może heroiczny powód, który uzasadni kłamstwo Álvara w imię czegoś wyższego.

Nachylił się, żeby pogłaskać psa, i poczuł dobiegające ze starego kaloryfera zbawienne ciepło, które sprawiło, że z powodu kontrastu zjeżyły mu się włoski na nagich ramionach. Chwycił telefon i zadzwonił, po drugiej stronie linii spodziewając się usłyszeć pogodny głos Daniela.

– Dzień dobry, Manuelu. Gotowy na kolejny dzień winobrania? Czy zrobisz tak jak ci młodzi, o których mówił Abu, i zostaniesz w łóżku?

– Właśnie dzwonię, by ci powiedzieć, że dzisiaj nie mogę wam towarzyszyć. Pojawił się problem, który muszę jak najszybciej rozwiązać, i nie zdołam przyjechać.

W głosie Daniela usłyszał rozczarowanie.

– Dzisiaj po południu winogrodniczy przyniosą winogrona, które zbierali przez cały weekend, nie możesz tego przegapić...

Jego rozczarowanie było tak wielkie, że ostatecznie Manuel wydobył z siebie obietnicę, której być może nie będzie w stanie spełnić.

– Postaram się przyjechać po południu, możliwe, że późnym popołudniem... Nie wiem.

Daniel nie odpowiedział, zapewne dlatego, że w tonie jego słów wyczuł wielką wagę, ciężar tego, co nieodwołalne i czego nie można pomylić z niczym innym, kiedy zostanie rozpoznane w czyimś głosie.



Chlor, który mącił powietrze, opadł na ziemię, mocząc swoją lotną obecnością powierzchnię wszystkich rzeczy. Na całej trasie minął ledwie kilka samochodów. Wszystko wyglądało, jakby było zastygłe w miejscu. Podniósł wzrok w stronę światła słońca, które z powodu mglistego nieba było znikome, ale ostre, jakby zrobione z małych kawałków szkła, i niewystarczające, by zwyciężyć chłód, który będzie odczuwalny jeszcze przez cały poranek, aż południowe ciepło ostatecznie rozproszy mgłę.

Zaparkował tam, gdzie zawsze, obok żywopłotu gardenii. Po dwóch bezowocnych próbach przekonania psa, żeby z nim poszedł, zgodził się, by Kawa zaczekał w samochodzie. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, podziwiając gardenie o woskowym i pudrowym wyglądzie. Zebrała się na nich poranna rosa w postaci wielkich, pełnych niczym łyzy kropli, jednak odnosiło się wrażenie, jakby wcale nie dotykały one kwiatów, tylko się nad nimi unosiły. Zapach emanujący z kwiatów o zmierzchu teraz był uśpiony z powodu zimna i wilgoci, która z gęstych krzewów wydobywała nuty zapachowe drzewa i ziemi. Nachylił się, szukając słodkiego aromatu kwiatów, i odruchowo włożył rękę do pustej kieszeni marynarki. Wtedy usłyszał charakterystyczny dźwięk zamykanych drzwi samochodu. Podszedł do ogrodzenia i zobaczył, że tuż przy wejściu do ogrodu stała furgonetka, którą widział podczas poprzedniej wizyty. Na bokach i drzwiach miała kolorowe nalepki przedstawiające pełne kosze kwiatów. Ale kolor furgonetki był biały.

Podszedł bliżej i wówczas zobaczył Catarinę wyjmującą z tylnej części pojazdu worek, zauważalnie ciężki; zarzuciwszy go sobie na plecy, minęła furtkę prowadzącą do ogrodu.

Manuel obszedł samochód i zauważył, że jedno przednie nadkole było ostatnio wymieniane. Zarówno kolor farby, jak i połysk nowego światła kontrastowały z wyblakłą barwą reszty pojazdu i porysowanej powierzchni pozostałych kierunkowskazów. Szedł ścieżką aż do szklarni, a gdy dotarł do drzwi, zauważył, że ktoś postawił worek – taki jak ten, który niosła Catarina – opierając go o drzwi wejściowe tak, żeby się nie zamknęły. Manuel przywitał się z progu, chociaż wiedział, że jego głos był niesłyszalny wśród rozbrzmiewającej w całej szklarni muzyki. Mimo otwartych drzwi intensywny zapach gardenii ogarnął go całkowicie, powodując płataninę uczuć: od wspomnienia kwiatów, które przechowywał w szufladzie stolika nocnego, aż po narkotyczny efekt, jaki wywołał upadek podczas jego poprzedniej wizyty w szklarni. Przechodził alejkami wyznaczonymi przez stoły w poszukiwaniu Catariny. Miał pewność, że jeszcze powinna tu być. Tylko jedna ścieżka prowadziła bezpośrednio do ogrodu. Między końcem grającej piosenki i początkiem następnej usłyszał rozzłoszczony głos kobiety.

Stojąc w połowie następnej alejki, Vicente i Catarina kłócili się i było widać, że to ona grała pierwsze skrzypce; jego głos był niesłyszalny, zduszony z powodu zdenerwowania.

– Bardzo bym żałowała, gdybym musiała podjąć tak drastyczną decyzję. Naprawdę cię lubię i uwielbiam z tobą pracować, uważam cię za wielkiego profesjonalistę, więc zrezygnowanie z ciebie byłoby dla mnie wielką stratą...

Słów Vicente'go Manuel nie zrozumiał, ale wyraźnie usłyszał to, co odpowiedziała Catarina:

– Rozumiem twoje uczucia i pochlebiają mi one, ale muszę też być wobec ciebie szczerą: to, czego ty chcesz, nigdy nie może się spełnić, bo

jestem żoną Santiaga i to z nim chcę być. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek dała ci choćby najmniejszą nadzieję, ale być może starając się nie ranić twoich uczuć, nie powiedziałam tego wystarczająco wyraźnie, więc robię to teraz.

– On na ciebie nie zasługuje – powiedział Vicente ochryłym i zduszonym przez napływ emocji głosem.

– Kocham mojego męża ze wszystkimi jego wadami, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go zostawić.

– To niewiarygodne, Catarino – powiedział, prawie szlochając.

– Nie ma innej możliwości; albo dasz za wygraną, albo będziemy musieli przestać razem pracować – oznajmiła, odwracając się i kierując tam, gdzie stał Manuel.

Cofnął się szybko o dwa albo trzy metry, po czym odwrócił się, udając, że dopiero wszedł, i jeszcze raz się przywitał.

– Jest tu kto?

Catarina pojawiła się w alejce z uśmiechem na ustach. Z wyrazu jej twarzy niemożliwe byłoby wyczytanie, że zaledwie kilka sekund wcześniej kłóciła się z Vicentem.

– Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie.

– Proszę mówić mi na ty – odparł, wyciągając do niej rękę. – Zobaczyłem otwarte drzwi...

– Tak, pojechałam do naszego gospodarstwa po kilka worków mulczu, który jest nam potrzebny, dzisiaj wszystko zamknięte – powiedziała, pokazując na worek oparty o drzwi.

– Chcesz, żebym ci pomógł? Wydaje się ciężki – zaproponował Manuel.

Odwróciła się i popatrzyła na niego z uśmiechem.

– To? Przecież to nic nie waży – stwierdziła rozbawiona. – Dlaczego

mężczyźni zawsze tak się upierają, by kobiety nie podejmowały żadnego wysiłku fizycznego? Jestem silniejsza, niż się wydaje – dodała, układając worek na tych, które przyniosła wcześniej.

Zauważył, że Vicente zamknął się w szklanej kabinie w głębi i stojąc plecami do nich, udawał, że pracuje. Nie zwracając na niego uwagi, Catarina podeszła do Manuela, wzięła go pod rękę i zaczęła prowadzić od jednej rośliny do drugiej po całej szklarni, przy czym śmiała się jak mała dziewczynka pokazująca swój ogród. Manuel obserwował ją, zaskoczony tą serdecznością, tym, że żartowała i nawet się śmiała. Catarina zdecydowanie nie pasowała do dyskretnej, formalnej i sztucznej atmosfery As Grileiras i Manuel zrozumiał, dlaczego Kruk ją uwielbia: emanowała pewną naturalną elegancją, która nadawała znaczenie słowu „prezencja”. Miała na sobie białą bluzkę z kilkoma śladami ziemi, które bynajmniej nie odejmowały jej uroku, i granatowe spodnie, pozornie proste, choć zapewne bardzo drogie. Do tego ciemne, kręcone włosy średniej długości i wyraźny błysk małych diamentów pierścionka, który lśnił na jej palcu obok ślubnej obrączki. Była kobietą pewną siebie, dowodziły tego jej szeroki uśmiech, błyszczące oczy i szczerłość.

– Bardzo dobrze udawałeś, Manuelu – powiedziała z uśmiechem. – Ale myślę, że słyszałeś, jak się kłóciliśmy.

Manuel spojrzał na nią i przytakując, doszedł do wniosku, że lubi Catarinę.

– Cóż, jeśli słyszałeś wszystko, to nie ma nic więcej do wyjaśniania, takie rzeczy się zdarzają... – stwierdziła z uśmiechem i wzruszeniem ramion.



Zobaczył, że gruby czarny kot wybrał na swoje stałe miejsce strażnicze naprzeciwko kuchni pierwszy stopień tuż przy drzwiach, który – osłonięty

małym daszkiem nad wejściem – uchronił się przed wilgocią. Tym razem Manuel pozwolił, by Herminia go uścisnęła, akceptując ten gest, jakby był czymś zupełnie normalnym, choć kilka dni wcześniej wydał mu się zbyt przesadny. Uśmiechnął się z wielką czułością, ale stanowczo odmówił jedzenia, kawy, słodkości... I odczekawszy chwilę, żeby mogła dokończyć swoje gorące powitanie, w końcu powiedział:

– Herminio, muszę prosić się o przysługę – zaczął poważnie, co wskazywało na to, jak istotna jest jego prośba.

Kobieta odłożyła na stół ścierkę, którą wycierała sobie dłonie.

– Jasne, *fillo*, co tylko zechcesz.

– Chcę obejrzeć pokój Álvara.

Wydawało się, że kobieta przestała oddychać; przez dwie sekundy stała jak sparaliżowana i dopiero po tym czasie zareagowała. Odwróciła się do kuchenki i zmniejszyła do minimum płomień palnika, na którym gotowało się puchero^[13]. Następnie dotknęła kieszonek fartucha, wyjęła pęk kluczy i skierowała się do drzwi prowadzących do środka domu.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Naprzeciwko wejścia do kuchni znajdowały się masywne drewniane schody, które on wziął za główne, a które Herminia ominęła. Ruszyła do drugiego wejścia, prowadzącego ku pomieszczeniu, które rozciągało się aż na wyższe piętro i w którym były eleganckie drzwi oraz wielki westybul na planie kwadratu. Były tam dwa przejścia w kształcie łuków i początek majestatycznych schodów z białego kamienia. Jasność wapienia kontrastowała z wyłożonym lastrykiem wejściem oraz mahoniowym drewnem, które pokrywało ściany i zastępowało marmur na schodach rozgałęziających się na dwie strony. Wieńczyła je, otaczająca główną salę, wisząca galeria, na którą wychodziły drzwi licznych pokoi.

Szedł za Herminią po schodach, odwracając się, by spojrzeć na salę, kilka

mebli, liczne obrazy i gobeliny, a także by dostrzec sposób, w jaki jasność wpadająca przez głęboko osadzone w kamieniu okna wyższego piętra kreśliła ścieżki światła, tak precyzyjne jak zjeżdżalnie, po których można zsuwać się aż do wejścia. Galeria z ciemnego drewna nadawała całemu pomieszczeniu lekkiego, a zarazem masywnego wyglądu, co przywiodło Manuelowi na myśl stare dziedzińce dla powozów i zaczął się zastanawiać, czy w przeszłości nie taka właśnie była jego rola. Tymczasem Herminia poszła do bocznego, szerokiego i bardzo głębokiego korytarza, na który wychodziły tylko liczne drzwi, wszystkie zamknięte, co dla kontrastu pogrążało w ciemności całe skrzydło pazo. Przypuszczał, że miała już przygotowany klucz, odkąd wyszła z kuchni, ponieważ nie musiała go szukać; delikatnie wsunęła go do zamka pierwszych drzwi, a te otworzyły się z niemal niesłyszalnym kliknięciem. Kobieta zniknęła w mroku z taką pewnością siebie, jaką posiada ktoś, kto doskonale zna rezydencję. Manuel podejrzewał, że po tylu latach służby mogłaby poruszać się tutaj po ciemku, mechanicznie wykonując swoje zajęcia i nigdy się nie potykając. Zdezorientowany panującą ciemnością, czekał przy wejściu, nie mając odwagi przestąpić progu. Usłyszał, że otwiera się okno, a kiedy Herminia popchnęła okiennice, jego oczom ukazał się pokój. Był pod wrażeniem. Nie wiedział dokładnie, jakiego rodzaju pomieszczenia się spodziewał, ale z pewnością nie takiego, jakie miał przed sobą. Niemal czarne drewno, które dominowało przy wejściu, znajdowało się też na podłodze, na ramach okien i na prostych meblach, bez wątplenia bardzo starych, kontrastując z zakonną bielą gołej ściany. Stulecia historii i wspaniała konserwacja mebli najwyższej jakości, które w rzeczywistości niewiele różniły się od tych wypełniających jego smutne schronienie w hostelu. Pojedyncze łóżko było wąskie jak dla mężczyzny, chociaż rama i drewniane rzeźbione listwy boczne nadawały mu lepszego wyglądu. Było ono przykryte grubą białą kołdrą, która niemal łagodziła jego smutny widok.

Poza tym Manuel przyjrzał się toaletce z wielkim lustrem, które, jak przypuszczał, było srebrne, oraz ciężkiej ciemnej szafie pasującej do łóżka. Na stolikach nocnych stały dwie lampy z brązu, a na nich przykryte zaledwie zwiewnym welonem nimfy wznosiły ręce, przytrzymując klosz z weneckiego szkła. Nad łóżkiem wisiał krucyfiks, a naprzeciwko stały niepasujący tu telewizor i na samym wierzchu sejf, którego nikt nie pofatygował się schować za obrazem.

Nie mógł ukryć zdumienia, a jednocześnie ulgi. Sypialnia wyglądała równie sterylne jak hotelowy pokój przygotowany na przyjęcie nowego gościa, czysty i wywietrzony, z odpowiednią dawką bezosobowego komfortu, by każdy mógł się w nim czuć jak u siebie. Ani jednego osobistego przedmiotu, ani jednego znaku, który zdradzałby, kto mieszkał tu wcześniej.

Manuel rozejrzał się dookoła, szukając jakiegoś śladu świadczącego o obecności Álvara. Ale go nie znalazł. Pomyślał, że może po wypadku ktoś zabrał jego rzeczy. Odwrócił się do Herminii, która stała za nim w milczeniu, i zapytał ją o to.

– Wszystko wygląda tak, jak to zostawił, nikt niczego nie dotykał – powiedziała, po czym wymamrotała wymówkę związaną z kuchnią i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Manuel podszedł do okna i popatrzył na widok rozciągający się na szkółkę leśną i szopy za domem, na korony drzew, które były częścią magicznego ogrodu w pobliskiej kotlinie.

Jedna po drugiej otwierał szuflady toaletki tylko po to, by się przekonać, że są puste. W przepastnej szafie kilka koszul, które Álvaro zabrał ze sobą, wisiało idealnie wyprasowanych na grubych wieszakach. Zagubione, kołysały się, wywołując swoim ruchem niepokojący efekt. Chciał ich dotknąć, pogłodzić delikatny materiał, pozwolić, by opuszki palców poszukały obecności ich właściciela. Patrzył na nie przez kilka sekund, po

czym mocno zamknął drzwi szafy, żeby raz na zawsze przestać je widzieć, tym samym odczyniając urok. Znow dopadła go myśl, niemal jak pragnienie, że wszystko to, co należało do Álvara, powinno zniknąć razem z nim. Byłoby łatwiej, gdyby zmarli nie zostawiali po sobie swoich rzeczy, jak puste muszle wymarłych ślimaków; byłoby prościej, gdyby jakkolwiek ślad ich egzystencji został starty wraz z ich odejściem, gdyby świat wymazał imiona, jak w przypadku faraonów starożytnego Egiptu. W drugiej części szafy leżały dwie pary butów i torba podróżna, stanowiąca część tego samego zestawu co ta druga, w którą sam Manuel bezmyślnie wrzucił kilka nienadających się do noszenia ubrań. Schylił się szybko, by potwierdzić to, co zdradzał wygląd torby: była pusta. W szufladzie stolika nocnego znalazł książkę, którą Álvaro czytał; pamiętał, jak wrzucił ją do torby, kiedy się pakował. Było też wiele paragonów ze skromnych zakupów – wśród nich Manuel rozpoznał logo stacji benzynowej. Nie sprawdził go jednak od razu, postanawiając zająć się tym później.

W przyległej łazience znalazł neseser Álvara schowany w szufladzie zapełnionej ręcznikami i kostkami mydła do rąk. Samotna, porzucona w szklance szczoteczka do zębów stanowiła jedyny ślad, że ktoś z tego pomieszczenia korzystał.

Rzucił okiem na sejf. Prosty, elektroniczny model z czterocyfrowym hasłem. Był zamknięty. Nie spróbował nawet odgadnąć kodu.

Usiadł na łóżku i przygnębiony rozejrzał się dookoła. Byłby mniej zaskoczony, gdyby zobaczył pokój pamiętający czasy nastolatka, z wyblakłymi plakatami i zabawkami skazanymi na zapomnienie podczas okresu dojrzewania. Nie widział tu ani jednego śladu Álvara. Osobie tworzącej profil osobowości trudno byłoby domyślić się po przedmiotach z tego pokoju choćby jednej cechy charakteru jego lokatora. Ta sypialnia do niego nie pasowała i Manuel nie mógł pozbyć się wrażenia pewnej ulgi,

kiedy stwierdził, że pobyt Álvaro w tym miejscu był na tyle sterylny, że nic tu z niego nie zostało. W ciągu ostatnich dni przypominał sobie setki jego gestów, mając pewność, że nigdy nie zauważył w nich żadnego znaku, który przypominałby mu As Grileiras. Poczł zadowolenie, stwierdziwszy, że Álvaro też nie chciał zostawiać tutaj kawałka siebie. To nie była jego sypialnia. To nie był jego dom.

Zebrał paragony oraz faktury i włożył je do kieszeni marynarki. Znów podszedł do szafy i sprawdził wewnętrzne kieszenie torby podróźnej, a po chwili wahania przeszukał również kieszenie obu marynarek powieszonych obok koszul. W jednej znalazł kolejne paragony, a w drugiej gardenię, która zżółkła, zasuszona, nie tracąc jednak charakterystycznego wyglądu. Dekadenckie martwe piękno zwiędłego kwiatu przypomniało Manuelowi motyla: sztywne z natury płatki stały się cieńsze i aż było przez nie widać skórę jego dłoni. Obraz martwego motyla wywołał dreszcz, który przebiegł mu po plecach, jakby na chwilę przyczepiło się do nich coś niepożądanego i mokrego. Będąc przesądnym, z powrotem umieścił kwiat w kieszeni i nieświadomie wytarł rękę o ubranie, żeby całkowicie pozbyć się wszelkich śladów jego żalobnej obecności. Skierował się do drzwi, ale w ostatniej chwili wrócił do sejfów i, wiedziony przecuciem, wbił datę jego ślubu z Álvarem. Dwa, pięć, jeden, dwa. Usłyszał charakterystyczny dźwięk pozwalający na otwarcie sejfów, a w środku zaświeciło się małe światło. Zobaczył uwięzione w niewielkiej ramce i oparte o tylną ścianę sejfów ich wspólne zdjęcie, kopię tego, które trzymali na komodzie w sypialni i na które nie chciał spojrzeć przed wyjściem z domu. Jego obrączka leżała na książce *To, co oddane złu*; rozpoznał błyszczącą okładkę, typową dla jego wydawnictwa, oraz zagięte rogi tego egzemplarza, który podpisywał mu piętnaście lat wcześniej.

– *To, co oddane złu* – wyszeptał, uśmiechając się delikatnie i nie mogąc

ukryć zaskoczenia. – *To, co oddane złu* – powtórzył, ponieważ obecność tej książki tutaj i w tym momencie znaczyła dla niego tyle, co obecność obrączki ślubnej.

Wbudowany na wysokości jego klatki piersiowej sejf pozwalał z miejsca, w którym Manuel stał, dostrzec początek jego imienia wygrawerowanego wewnątrz obrączki zaraz po dacie wybranej przez Álvara jako kod do tej skrytki. Wyciągnął rękę i zdołał jej dotknąć opuszkami palców. Metal był ciepły, jakby minęło zaledwie kilka sekund od chwili, gdy właściciel ją zdjął.

Zaalarmowały go krzyki dobiegające z korytarza. Chwycił obrączkę, rezygnując z pozostałych rzeczy, i popchnął drzwiczki sejfu, które zamknęły się z delikatnym brzękiem. Otworzywszy drzwi sypialni, niemal zderzył się z Santiagiem, który, owładnięty złością, wyciągał już swoją zagipsowaną rękę w stronę klamki. Za nim, tuż przy schodach, stała Herminia i obserwowała ich niepokieszona.

Santiago postąpił krok naprzód. Na jego twarzy pojawiła się czerwona plama, która rozprzestrzeniała się aż do uszu i szyi, niczym złośliwa infekcja, i chociaż przyszedł tutaj krzycząc, to kiedy się do niego odezwał, jego głos był zduszony.

– Co pan robi? Kto pozwolił panu tu wejść? Nie może pan tutaj wchodzić, jakby był pan...

W pierwszej chwili pomyślał, że go uderzy – jakikolwiek inny równie wściekły mężczyzna już by to zrobił – ale zdał sobie sprawę, że rozpalone oburzenie malujące się na twarzy Santiaga nie było niczym innym jak tylko frustracją, dziecięcą frustracją w starciu, którego nie mógł wygrać. Wtedy Manuel uświadomił sobie, że drzwi na końcu korytarza są uchylone i że stoi w nich ciemna postać.

Postanowił zareagować pojednawczo.

– Chciałem tylko zobaczyć pokój Álvara.

– Nie ma pan prawa – powtórzył Santiago jeszcze bardziej zduszonym głosem.

– Owszem, mam, Álvaro był moim mężem.

Frustracja na twarzy zamieniła się w arogancję, która wystąpiła na jego ustach w postaci okrutnego grymasu, jaki Manuel widział u niego nie pierwszy raz. Trwał tylko sekundę, ale to wystarczyło, żeby dostrzec nienawiść i pogardę bijące z tego mężczyzny. Nie był jednak tak odważny; cofnął się natychmiast i wrócił do swojej poprzedniej postawy, bliższej dziecięcym dąsom.

– Powiedział pan, że wyjeżdża, ale nadal tu jest, okazując nam brak szacunku i węsząc wszędzie jak zwykły złodziej. Co pan stąd zabrał?

Manuel zacisnął dłoń z obrączką i niewiele myśląc, wsunął ją na palec obok swojej, podczas gdy Santiago mijał go, ocierając się o jego ramię, żeby skontrolować wnętrze sypialni.

Wytrzymał ten kontakt, nie ruszając się z miejsca i patrząc na szepczącą swoje „przepraszam” Herminię, która podniosła wzrok w poszukiwaniu siły tak samo, jak robi się to, żeby usprawiedliwić dziecko, które płacze ze zmęczenia, albo przyjaciela, który przesadził z alkoholem.

Santiago musiał uznać, że pokój jest równie pusty jak on sam, ponieważ od razu wyszedł.

– Co pan tu robił?! – zapytał, krzycząc. – Czego pan szukał? Herminia! Dlaczego pozwoliłaś mu tutaj wejść?

– A kim ja jestem, żeby mu zabronić? – odparła kobieta, nie tracąc spokoju.

Sfrustrowany Santiago znowu stawił mu czoła.

– Nie może pan tutaj być, nie może pan tu wchodzić, kiedy się panu podoba, nie może pan...

Manuel patrzył mu prosto w oczy.

– Mogę wchodzić i będę wchodził tyle razy, ile to konieczne, aż dostanę odpowiedzi, po które przyjechałem.

Zauważył, że Santiago robi się jeszcze bardziej czerwony, będąc bliski zapaści, aż nagle zmienił się wyraz jego twarzy, jakby stracił całe zainteresowanie albo wręcz przeciwnie, właśnie znalazł rozwiązanie swoich problemów.

– Zadzwoń na policję.

Manuel uśmiechnął się, sprawiając, że Santiago, który zdecydowanym krokiem ruszył już w stronę schodów, przystanął w połowie drogi, by znowu na niego spojrzeć, prawdopodobnie zaskoczony tym, że jego groźba nie wywołała spodziewanej reakcji.

– Ach tak? I co pan im powie? Żeby przyjechali wyrzucić właściciela? – Drwiący uśmiech, który towarzyszył jego słowom, mocno odcisnął się na dumie mężczyzny.

Wyglądał, jakby miał się rozplakać, kiedy znów podszedł do Manuela i powiedział:

– A więc o to chodzi, prawda? Od początku mogłem przypuszczać, że ktoś, kto przymiera głodem, nie zrezygnuje tak łatwo z czegoś, na co w żaden sposób nie zasłużył. Chodzi o pieniądze. – Niemal wypluł te słowa.

Uchylone drzwi na końcu korytarza otworzyły się całkowicie i światło dobiegające z pokoju przecięło wysoką i szczupłą postać.

– Już wystarczy, Santiago! Przestań zachowywać się jak kretyn. – Głos był stanowczy, oficjalny i nieznoszący sprzeciwu.

– Matko! – zaprotestował, a jego głos brzmiał jak głos małego, bezbronnego dziecka.

– Panie Ortigosa – powiedziała kobieta z głębi korytarza – chciałabym z panem porozmawiać. Będzie pan tak miły?

Gniew na twarzy Santiaga ustąpił miejsca upokorzeniu. Zdołał

powtórzyć:

– Matko... – Z jego tonu można było wywnioskować, że nie oczekiwał reakcji.

Chociaż w szczytowym momencie złości Santiago nie wydał mu się niebezpieczny, to Manuel przeczuwał, że mógłby taki być, gdyby poczuł się upokorzony. Przyjął zaproszenie, nie spuszczał z niego wzroku, i musiał jeszcze poczekać dwie długie sekundy, zanim markiz cofnął się i odwrócił w stronę schodów. W ostatniej chwili uderzył pięścią w ścianę, a część gipsu, która zakrywała mu rękę, rozbiła się na kawałki.

Postać z głębi korytarza zniknęła, chociaż drzwi nadal były otwarte, zapraszając Manuela do środka. Tylko Herminia posłała mu smutne spojrzenie, kręcąc przy tym głową, i ruszyła za Santiagiem schodami w dół niczym cierpliwa niania.

Oszacował, że te pomieszczenia zajmowały całe zachodnie skrzydło na piętrze. Liczne okna wychodziły zarówno na główną bramę, jak i na cmentarz i były zasłonięte przewiewnymi białymi firankami, które pozwalały widzieć to, co na zewnątrz. Duży kominek z surowego galisyjskiego kamienia zajmował wewnętrzną ścianę, palił się w nim spory ogień, a obudowa na dole i po bokach była zaczerniona. Ozdobne listwy, z tego samego ciemnego drewna co pozostała część pazo, były widoczne tylko na drzwiach, na znikomych fragmentach podłogi, które nie były przykryte perskimi dywanami w czerwonych i złotych kolorach, oraz na belkach przecinających podłużnie sufit. Pomieszczenie ciągnęło się aż do oszklonego tarasu, teraz zamkniętego. Obok niego pod światło zarysowała się wydłużona postać kobiety, której początkowo nie dostrzegł, a którą zaczął widzieć, w miarę jak się do niej zbliżał.

Miała na sobie czarne spodnie i gruby golf, który przylegał do jej figury, sprawiając, że wyglądała na słabą, jakby była zakatarzona albo było jej

zimno, choć takie sygnały wysyłało tylko ubranie. Pokój był dobrze ogrzany, a ona czuła się swobodnie. Włosy zebrała na karku, a jej jedyną ozdobą były dwie grube szare perły w uszach. Nie podała mu ręki, kiedy znów odezwała się stanowczym i oficjalnym głosem:

– Jestem Cecilia de Muñiz de Dávila, markiza Santo Tomé. Dotąd nie zostaliśmy sobie należycie przedstawieni.

– Jestem Manuel Ortigosa, wdowiec po pani synu – odparł takim samym tonem.

Patrzyła na niego, a na jej twarzy pojawił się lekceważący uśmiech. Wskazała mu sofę naprzeciwko kominka, podczas gdy sama usiadła w fotelu.

– Proszę wybaczyć Santiagowi – powiedziała, kiedy Manuel już zajął miejsce. – Jest bardzo temperamentny, zawsze taki był, od małego. Kiedy ktoś mu się sprzeciwiał, rzucał zabawkami i je psuł, a później godzinami po nich płakał. Ale proszę nie dać się zwieść: mój syn nie ma odwagi, jest kompletnym tchórzem.

Manuel popatrzył na nią zaskoczony.

– Tak, panie Ortigosa, to nieszczęście, ale wszyscy moi synowie okazali się prawdziwym rozczarowaniem. Mam nadzieję, że napije się pan ze mną herbaty – powiedziała, podnosząc wzrok na miejsce za jego plecami.

Manuel się odwrócił i zobaczył, że podchodzi do nich kobieta, której obecności wcześniej nie zauważył. Miała na sobie staroświecki biały uniform pielęgniarki, z szorstkiej bawełny i z długimi rękawami, na nogach grube pończochy w tym samym kolorze oraz wykrochmalony czepek na krótkich włosach, matowych z powodu zbyt dużej ilości lakieru utrwalającego i napuszonych tak, że przypominały kask. Kiedy podeszła, Manuel poczuł zapach kosmetyku w sprayu, który przywiódł mu na myśl okropny zapach jego starej ciotki.

Kobieta postawiła na stole tacę, naląła herbatę i rozdzieliła filiżanki,

zostawiając jedną dla siebie. Następnie zajęła miejsce naprzeciwko swojej pani, nie odzywając się ani słowem.

– Ma pan dzieci, panie Ortigosa?

Zaprzeczył.

– Nie, oczywiście, domyślam się, że nie. Więc muszę panu powiedzieć, że pod tym względem ma pan nade mną przewagę. – Upiła mały łyk ze swojej filiżanki i ciągnęła: – Wbrew całej taniej literatury, która istnieje na ten temat, prawda jest taka, że w znacznej części przypadków dzieci są rozczarowaniem. Większość ludzi nigdy by się do tego nie przyznała, to oczywiste; przypuszczam, że to dlatego, iż porażka ich dzieci bierze się z porażki ich samych. W moim przypadku tak nie jest. W żadnym razie nie czuję się odpowiedzialna za ich błędy i proszę mi wierzyć, że winę za nie ponosi ich ojciec. Mój mąż nie nadawał się prawie do niczego, do finansów, do edukacji własnych dzieci... Jak mogłabym czuć się odpowiedzialna za takie zachowanie jak to Santiaga przed chwilą? – powiedziała do pielęgniarki, która w odpowiedzi przytaknęła stanowczo. – Mimo to proszę, żeby pan mu wybaczył – powtórzyła. – Nigdy nie miał poczucia proporcji: jest słaby mentalnie, biedak już narobił sobie nadziei, że po śmierci brata to on zajmie się naszymi sprawami; a do tych rzeczy, proszę pozwolić, że to powiem, jest całkowicie niezdolny. Całe szczęście, że jego brat był mądrzejszy.

– Czy to oznacza, że aprobuje pani decyzję Álvara?

– To oznacza, że pośród licznych wad mojego męża wyróżniała się jedna zaleta: to, że wiedział, komu przekazać tytuł. Przypuszczam, że jest to typowa dla arystokracji umiejętność, nabywana przez stulecia. Gdyby tak nie było, jak wytłumaczyć przetrwanie naszych rodów, kiedy najprostsze działania musieliśmy powierzać osobom trzecim? Gdyby nie mądrość w momencie przekazywania tytułu, arystokraci by wymarli. Mój mąż powierzył swoje

dziedzictwo Álvarowi i postąpił słusznie, tak więc muszę wierzyć, że ten sam rozsądek dziedziczony przez całe wieki wpłynął na decyzję Álvaro, aby przekazać wszystko panu.

Zaintrygowany Manuel zastanawiał się nad tymi słowami. O to chodziło? Może umiejętności jednego kandydata do tytułu pokonały wszystkie inne argumenty za tym drugim, nawet jeśli ten kandydat był znienawidzony, jak w przypadku Álvaro.

– Rozumiem, że relacje między Álvarem i jego ojcem nie były zbyt dobre...

– „Zbyt dobre”... – zadrwiła markiza, patrząc na pielęgniarkę. – Panie Ortigosa, proszę mi powiedzieć, co pańscy rodzice myślą o... Jak to nazywają? Pańską przypadłość? Mam nadzieję, że nie powie mi pan, że są takimi nieszczęśnikami, którzy udają, że akceptują pańskie odchylenie.

Manuel ostrożnie postawił filiżankę na stole, znów oparł się o sofę i dumnie popatrzył jej w oczy.

– Jestem pewien, że nazywaliby to „homoseksualizmem”, bo właśnie tak to się nazywa, ale nie mieli ku temu okazji: moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy byłem bardzo mały.

Kobieta pozostała niewzruszona.

– A więc mieli wielkie szczęście, proszę mi wierzyć. Zazdroszczę im, ponieważ nie, relacje Álvaro z ojcem nie były zbyt dobre, i to nie z winy mojego męża. Álvaro sprawiał problemy, odkąd się urodził, i można powiedzieć, że przeciwstawianie się nam we wszystkim sprawiało mu złośliwą przyjemność. Więc widzi pan, miałam dwóch synów pozbawionych charakteru i jednego, który posiadał go aż nadto, tyle że został on źle wykorzystany.

Manuel kręcił głową, słuchając jej.

– Proszę to powiedzieć – prowokowała go. – Proszę powiedzieć, co pan

myśli.

– Myślę, że jest pani potworem, jest pani obłudna i zepsuta.

Markiza zaniósła się śmiechem, jakby usłyszała żart, patrząc z niedowierzaniem na pielęgniarkę.

– Słyszałaś go? On mnie nazywa obłudną.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, kręcąc głową, jakby chodziło o głupstwo albo absurd.

– Zboczeniec, tchórz i niedorozwój rozpuszczony przez swojego ojca, który nigdy nie stał się mężczyzną. – Jej ton się zmienił, teraz mówiła z goryczą. – To są moi synowie. Bóg nie pobłogosławił mnie córką i to był mój krzyż. Trzech szaleńców, którzy nie potrafili nawet dać mi godnego dziedzica.

– Samuel – wyszeptał Manuel niemal do samego siebie, przypuszczając, że kobieta ma na myśli tego chłopca.

– Tak, Samuel, mały bękart – powiedziała, zwróciwszy się do pielęgniarki, jakby wyjaśniała jej, o kim rozmawiają. – Wie pan, jak się mówi, panie Ortigosa: dzieci moich córek są moimi wnukami, dzieci moich synowych będą nimi albo nie.

Manuel wykrzywił się z odrazą.

– Jest pani godna pogardy – rzucił, zaskoczony własnym grubiaństwem.

– Cóż, to kwestia perspektywy, dla mnie to pan jest godny pogardy – odparła, delikatnie się uśmiechając.

– A Catarina?

– Catarina pochodzi z dobrej rodziny, której finansowo nie wiecie się najlepiej, ale nikt nie jest od tego wolny, prawda? – przyznała z niezadowoleniem, mając na myśli również siebie. – Mimo to jest dobrze wykształconą arystokratką i bardziej przydatną kobietą niż wielu mężczyzn. Nie potrafię zrozumieć, co ona widziała w moim synu.

– A syn Catariny byłby pani wnukiem?

Wykrzywiła usta w grymasie wiecznego znudzenia, rzucając na stół talerzyk i filiżankę, które nie stłukły się pomimo głośnego brzęku.

– Catarina jest cenniejsza niż mój syn. To jedyna osoba w tym domu, oprócz mnie, która wie, gdzie jest jej miejsce. Chciałabym, żeby była moją córką, natychmiast wymieniałabym ją na ich wszystkich.

Manuel nadal kręcił głową, nie potrafiąc zaakceptować takiej podłości.

– Uważa mnie pan za potwora, panie Ortigosa? Myśli pan, że jestem okrutna? Więc coś panu powiem: mój mąż postawił Álvara na czele naszego domu nie z dobrego serca, tylko dlatego, że to on łączył w sobie zdolność do okrucieństwa i siłę, które były potrzebne, aby za wszelką cenę chronić dziedzictwo, nasz ród i wszystko, co się z nim wiąże, i zapewniam pana, że – wyciągnęła szyję i lekko poruszyła głową, jakby nosiła na niej koronę – nie zawiódł nas: wykonał bardzo dobrą pracę, której od niego oczekiwaliśmy, i to z nawiązką. Tak więc jeśli uważa mnie pan za bezdusznego potwora, to niech pan wie, że nie dorastam nawet do pięt pańskiemu ukochanemu Álvarowi. Dbał o honor tej rodziny; jego ojciec wiedział, że wywiąże się ze swoich obowiązków, ponieważ robił to już wcześniej, wiedział, że zrobi wszystko, co będzie potrzebne, cokolwiek by to było, i tak się stało. Bez względu na to, jak dużą budzi to we mnie odrazę, muszę pogodzić się z tym, że jeśli Álvaro podjął decyzję, by to pan stał na czele dziedzictwa, to widocznie miał swoje powody. Zaakceptuję to, wszyscy to zaakceptujemy. Proszę nie przejmować się Santiagiem: to, co stało się dzisiaj, było tylko napadem złości rozpieszczonego dziecka. Przejdzie mu i zrozumie, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Sprzeczne zachowanie kobiety, która przeszła od głębokiej pogardy do okazania szacunku, wydało mu się niezdrowe i nienormalne, jak rozmowa z szaleńcem. Znów była spokojna, miła, nie uśmiechała się, kiedy mówiła,

ale w tonie jej głosu Manuel dostrzegł stanowczość i pewność nabyte przez pokolenia.

– Nie zazna pan wrogości ani przeszkód prawnych z naszej strony, tak więc może się pan zająć zbieraniem winogron albo bawić się w robienie wina, jeśli się to panu podoba – powiedziała, dając do zrozumienia, że wie o jego wizycie w winnicy i w bodedze.

Manuel zastanawiał się, czy informatorem był Daniel, aż przypomniał sobie jej ciemną postać obserwującą – niczym kruk, którym była, z popiersia Pallas – jak wsiadał do samochodu enologa.

– Proszę cieszyć się spadkiem, zarządzać firmami i wszystkimi dobrami oraz proszę zapewnić tej biednej staruszce bezpieczeństwo finansowe do końca jej dni – dodała z uśmiechem, jakby ta okoliczność była szczególnie zabawna. Miała bardzo czerwone dziąsła, wyglądały niemal, jakby krwawiły. Manuel był zaskoczony, myśląc o okrucieństwie, jakie symbolizowały. Markiza zrobiła teatralną pauzę, po czym starła z twarzy wszelkie pozostałości poprzedniego uśmiechu; jej usta zamieniły się w prostą kreskę. – Ale jeśli myślał pan, że dzięki temu zyskał rodzinę, to muszę panu powiedzieć, że się pan pomylił. Pan nie przynależy do tego miejsca i nie zmieniają tego żadne klauzule własności na świecie. To nigdy nie będzie pański dom ani pańska rodzina, proszę stąd wyjść i więcej nie wracać.

Obie kobiety wstały i skierowały się w stronę drzwi najbliższej kominka. Pielęgniarka je otworzyła i odsunęła się na bok, by umożliwić przejście swojej pani. Kobieta odwróciła się do Manuela i spojrzała tak, jakby była wielce zaskoczona, że jeszcze tam siedzi.

– Skończyłam z panem – powiedziała. – Na pewno trafi pan do wyjścia. – Weszła do pokoju, a za nią jej asystentka, która rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, po czym ostrożnie zamknęła drzwi.

Siedział tam jeszcze przez chwilę, naprzeciwko ognia i filiżanek

z resztkami herbaty, które komuś, kto zobaczyłby je w tym momencie, sugerowałyby, że właśnie zakończyła się tu przyjemna rozmowa. Czuł się osłabiony, jakby ten kruk, ten gatunek wampira wbił swoje wątle usta w jego szyję, aby wyssać krew i życie z jego żył. Każde podłe słowo, każdy drwiący gest były strzałami nie tyle służącymi temu, by go zranić, lecz wylatującymi ku uciezce tej hydry. Świadomość tego, że mimowolnie stał się jej błaznem, sprawiła, że trząsał się z oburzenia. Obszedł sofę, stąpając po grubych dywanach i czując, że przez cały czas jest obserwowany, aż stamtąd wyszedł, myśląc: „Nigdy więcej”.

Zamknął za sobą drzwi i udał się w kierunku korytarza aż do delikatnego światła, które padało na schody w postaci lśniącego zjeżdżalni. Przechodząc obok pokoju Álvara, zauważył, że drzwi były tylko przymknięte; popchnął je i znów wszedł do środka, zbliżył się do stolika nocnego i zabrał książkę. Przed wyjściem szybko wstukał kod do sejfu, otworzył go i wziął wszystkie papiery, jakie znajdowały się w środku, łącznie z *To, co oddane złu*; podważył brzegi małej ramki, by wyjąć fotografię, i nie patrząc na nią, razem z dokumentami włożył ją do książki. Dopiero wtedy przypomniał sobie o obrączce. Podniósłszy rękę, zobaczył ją na swoim palcu przylegającą do drugiej, jakby tworzyły jedność. Uciekł.

Ledwo żywy opadł na krzesło naprzeciwko pieca w kuchni.

– Herminio, teraz chętnie napiję się tej kawy. Herbata markizy mnie osłabiła; nie zdziwiłbym się, gdyby dodała do niej cykuty.

Kobieta stanęła naprzeciwko niego i popatrzyła zasmucona.

– Teraz już znasz Kruka. Nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego, co zaszło. Santiago był w stajni, widział, że wchodzisz do kuchni, i przyszedł mnie zapytać... Nie mogłam go okłamywać.

– Oczywiście, że nie, Herminio, nie przejmuj się. Santiago jest szalony, ale jego reakcja do pewnego stopnia była normalna.

– O tym chciałam ci opowiedzieć – odparła, biorąc krzesło i siadając naprzeciwko niego. – Wiesz, że wychowywałam tych chłopców, odkąd się urodzili, i mogę stwierdzić, że kochałam ich bardziej niż własna matka; znam Santiaga, to dobry chłopak.

Manuel zaczął protestować, ale ona go powstrzymała.

– Bardzo impulsywny, owszem, ale właśnie dlatego, że brakuje mu charakteru. W dzieciństwie był jak marionetka Álvaro, a jako nastolatek próbował zaskarbić sobie sympatię ojca. Zawsze był bezużyteczny w tym domu, mój biedny chłopiec. Álvaro miał charakter, Fran był uroczy, on natomiast był biednym, grubym i płaczkliwym chłopcem, na którego ojciec patrzył z pogardą, nie próbując tego nawet ukrywać; musiał z tym dorastać – powiedziała. – A mimo to mogę ci przysiąc, że kochał swoich braci bardziej niż kogokolwiek na świecie.

– To nie ma nic do rzeczy, Herminio – odparł Manuel.

– Posłuchaj mnie! – upierała się kobieta. – Kiedy umarł Fran, Santiago przez kilka dni leżał w łóżku, nie przestając płakać. Już myślałam, że się rozchoruje. W zeszłym tygodniu, kiedy zawiadomili go, że Álvaro miał wypadek, pognął do szpitala, a gdy wrócił do domu po tym, jak musiał zidentyfikować ciało, przyszedł do mnie, nie do swojej matki, tylko do mnie, Manuelu, bo wiedział, że ja będę czuła to samo co on. Stał tutaj, w wejściu, i spojrzał na mnie, nic nie mówiąc. „Co się stało?”, zapytałam. „Co się stało mojemu chłopcu?” Rozpłakał się i szalejąc z bólu, pięściami zaczął walić w ścianę i krzyczeć, że jego brat nie żyje. Nie spadł z żadnego konia, Manuelu, Santiago obił sobie ręce o tę ścianę i złamał kilka palców... Więc nie mów mi tego, co już wiem, bo nikt nie zna go tak jak ja. Od tamtego dnia nie stanął na nogi, myśli, że o tym nie wiem, ale od śmierci Álvaro każdego popołudnia kryje się w kościele, żeby płakać.

„Z powodu bólu czy poczucia winy?”, zastanawiał się Manuel.

Herminia jakby usłyszała jego myśli, ponieważ dodała:

– Mam wrażenie, że czuje się trochę winny, bo w dniu wypadku się pokłócili.

Manuel popatrzył na nią zaintrygowany.

– To nic wielkiego – powiedziała, bagatelizując sprawę. – Takie tam głupstwo. Santiago siedział tutaj i pił kawę, kiedy Álvaro wszedł i zapytał: „Kogo ty chcesz oszukać z tymi kandelabrami?”. Santiago nie odpowiedział, ale zrobił się czerwony jak burak. Álvaro się odwrócił i ruszył do swojego samochodu. A Santiago poszedł na górę, trzaskając drzwiami. Ja nie wiem, nie znam się na tych sprawach, mnie wydają się tak samo piękne jak te oryginalne. Być może takie nie są, mówię, że się na tym nie znam, ale Santiago bardzo się starał, żeby móc je zastąpić. On jest tego typu osobą, która potrzebuje aprobaty, a to, że nie dostał jej od brata, bardzo go uraziło; potem jednak, kiedy dzieje się coś tak strasznego, wszystko przestaje mieć znaczenie i wydaje się głupstwem, ale znając go tak, jak ja go znam, jestem pewna, że zadręcza się za to, że nie był pogodzony z bratem w chwili jego śmierci.

Manuel odwrócił się w stronę ściany przy wejściu, gdzie jeszcze można było dostrzec odbarwienia w miejscach, z których Herminia usunęła krew przy pomocy wybielacza.

– Gdzie on teraz jest?

– Damián zabrał go do szpitala, żeby założyli mu nowy gips. Zawsze był taki porywczy... Od małego.

– A co się dzieje z Catarina? Nie wydaje się, by Santiago traktował ją zbyt dobrze, a ona mi powiedziała, że mąż nie chce, by pracowała.

– Musisz zrozumieć, że pewne rzeczy nie są dla nich takie jak dla nas. Chociaż dzisiaj większość ludzi ma to za coś dziwnego, dla nich zajmowanie się pewnymi rzeczami jest haniebne. Rodzina Catarina wywodzi się

z jednego z najstarszych rodów w kraju, ale z różnych powodów w ostatnich latach sprawy nie układały im się dobrze i musieli szukać innych sposobów, by zarabiać na życie. Sprzedali sporo swoich ziem, zostało im niewiele więcej niż teren, na którym stoi dom, a dwa lata temu zamienili pazo na restaurację, którą wynajmują na wesela, konferencje i tego typu wydarzenia. Santiago nie akceptuje takich rzeczy i chociaż Catarina nie ma z tym żadnego problemu, to musisz zrozumieć, że dla niego jest to coś wstydliwego, tak jakby robotnik byłby zmuszony prosić o pieniądze.

– Myślę, że nie można tego porównywać, Herminio. Między przekształceniem pazo w miejsce na bankiety a byciem zmuszonym prosić, by mieć co jeść, jest duża różnica.

– Dla ciebie i dla mnie, ale dla nich to coś poniżającego. Odkąd otworzyli pazo dla ludzi, noga Santiaga już tam nie stała. W każdym razie to nie jest jedyny powód, dla którego Santiago się martwi, że Catarina pracuje; on tylko ją chroni.

Manuel spojrział na Herminię zaskoczony, a ona zniżyła głos, żeby powiedzieć:

– Ma problemy, kobiece sprawy... Starali się od dłuższego czasu i pod koniec roku zaszła w ciążę, ale poroniła na bardzo wczesnym etapie, jeszcze nawet nic nie było widać. Byłam przy niej, kiedy to się stało, w tym miejscu: poczuła mocny ból i zaczęła krwawić. W szpitalu zrobili jej łyżeczkowanie. Znosi to w miarę dobrze, poprosiła mnie, żebym o tym nie mówiła. Zresztą wystarczy tylko spojrzeć, jak patrzy na Samuela, aby zdać sobie sprawę, jak bardzo pragnie własnego dziecka, ale Santiago... Już ci mówiłam, jaki on jest, bardzo go to dotknęło i od tamtej pory naciska na Catarina, żeby przestała pracować. Lekarz im powiedział, że nie trzeba przywiązywać do tego wagi, że bardzo często traci się pierwszą ciążę i że za drugim razem z pewnością nie będzie żadnego problemu, ale Santiago ma obsesję na

punkcie tego, by uważać, dbać o zdrowie... Cały czas o tym rozmyśla, jakby to była jego wina. On taki jest, że wszystkiego robi wielką sprawę.

Manuel przytaknął.

– A Vicente?

Herminia udała obojętność.

– Pomaga Catarinie...

– Wydaje mi się, że wiesz, co mam na myśli. Kiedy ostatnio Santiago ją zganił, Vicente zareagował tak, że z trudem się powstrzymał, by mu czegoś nie powiedzieć, jakby Catarina była dla niego szczególnie ważna. – Herminia czekała w milczeniu. – Myślisz, że coś jest między nimi?

– Z jej strony na pewno nie, ale z jego być może tak, też zauważyłam, jak na nią patrzy. Jest młodym mężczyzną, a ona bardzo ładną kobietą, całymi dniami pracują sami przy kwiatach... Ale jej miłość do Santiaga jest bezwarunkowa, zawsze o niego dbała. Kiedy umarł Fran, to ona wyciągnęła męża z depresji: karmiła go całymi tygodniami, niemal zmuszała do wyjścia do ogrodu, siadali przy stawie i godzinami do niego mówiła, podczas gdy on słuchał ze spuszczoną głową... I teraz historia się powtarza; czasem słyszę, jak Santiago płacze, a ona zawsze jest przy nim, pociesza go, uspokaja, i robi to z dużą cierpliwością, bo już sam się przekonałeś, jaki temperament ma Santiago. Nie dziwię się, że Vicente chce ją chronić, a być może coś więcej... Ale jeśli nie jest głupi, to powinien się uczyć na błędach – powiedziała pogardliwie.

– Co masz na myśli, Herminio?

Ona wzruszyła ramionami lekceważąco.

– To, że może aż tak bardzo się nie mylisz.

Popatrzył na nią, oczekując wyjaśnienia, podczas gdy kobieta westchnęła z poirytowaniem.

– Posłuchaj, *fillo*, zaczęłam służyć w tym domu, jeszcze zanim wyszłam

za mąż. Wychowywałam dzieci, gotowałam im, zajmowałam się nimi, kiedy były chore, poświęciłam pazo całe moje życie, ale nigdy nie popełniłam tego błędu, by uważać się za jedną z nich, by myśleć, że jestem częścią tego wszystkiego. Jesteśmy ich pracownikami, dobrze nam płacą, ale bez względu na wszystkie uściski i pieśczoćy, jakie możesz zobaczyć, bez względu na to, ile ich sekretów poznamy albo ile gówna im wyczyścimy, nadal pozostaniemy tylko pachółkami, służącymi, a jeśli ktoś zapomni, gdzie jest jego miejsce, oni natychmiast mu o tym przypominają.

Manuel przyjął pozycję obronną. Herminia z innego punktu widzenia wykladała tę samą doktrynę co jej pani, wyższość klasową, która budziła taką odrazę u Nogueiry, którą wszyscy akceptowali i której znaczenie on zaczynał rozumieć.

– Herminio, próbujesz mi o czymś powiedzieć?

Popatrzyła na niego zaalarmowana.

– Nie, nic o tobie, *fillo*, i o Álvaroze też nie, on był taki jak my. Chodzi mi o Vicentego.

– O Vicentego?

Mlasnęła językiem, okazując niechęć, po czym kontynuowała. A kiedy to robiła, Manuel nie wiedział, co ją męczyło: czy to, że musi o tym opowiadać, czy to, że nie znała wszystkich szczegółów.

– Posłuchaj, nie wiem, co się wydarzyło, ale w grudniu go zwolnili.

– Zwolnili Vicentego?

– Dzień przed świętami Bożego Narodzenia, nagle i bez mrugnięcia okiem, bez żadnego wyjaśnienia. Z dnia na dzień powiedzieli nam, że Vicente już tutaj nie pracuje. Wyobraź sobie nasze zaskoczenie, pozostałych pracowników pazo. Nie, żeby pierwszy raz kogoś zwalniali, ale nie zdarza się to często. W wiosce są ludzie, którzy sezonowo pracują w pazo od dwudziestu pięciu lat, markizowie zazwyczaj zatrudniają tych samych

i pierwszeństwo mają ich rodziny.

Manuel skinął, przypominając sobie słowa Griñána o wyróżnieniu, jakim dla wielu była praca w pazo.

– Pamiętam tylko, że zwolnili stajennego i drwala, jednego za maltretowanie koni, a drugiego za kradzież, i odbyło się to tak samo, drastycznie i nagle, z tą różnicą, że Vicentego przyjęli z powrotem dwa miesiące później.

– I jaki podali powód?

– Taki sam jak wtedy, gdy go zwalniali. Żaden. Wiem tylko, że Catarina ponownie go zatrudniła, i przypuszczam, że jest jej za to wdzięczny, ale wierz mi, jeśli ktoś w tym domu wie, gdzie jest jego miejsce, to właśnie Catarina.

Manuel zdumiał się, słysząc znowu, i to w przeciągu kilkunastu minut, te same słowa na temat Catariny od tak różnych osób. Sam się przekonał, że jest wyjątkową kobietą.

Herminia wstała i podała mu kawę. Manuel upił gorący łyk, który delikatnie spłynął mu do gardła, podczas gdy myślał o Catarinie, o tym, jak Santiago doprowadził ją do łez, i o oszałamiającym zapachu setek kwiatów.

– W marynarkach Álvara były zasuszone gardenie...

Kobieta uśmiechnęła się melancholijnie.

– Od dziecka miał taki zwyczaj. Przed upraniem jego ubrań trzeba było je przeszukać, bo w kieszeniach często znajdowały się jakieś kwiaty.

– Kto wiedział, że Álvaro zwykł to robić?

– Kto? – Herminia wzruszyła ramionami. – Sarita i ja, bo zajmowałyśmy się jego ubraniami, i może ktoś z domu, kto widział kiedyś, jak chowa kwiat do kieszeni... Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – odparł wymijająco. – Herminio, jeszcze jedno, tamten pokój, pokój Álvara... Czy zawsze go zajmował, kiedy mieszkał w tym

domu?

Przestała się krzątać po kuchni i znowu usiadła naprzeciwko niego.

– Nie, oczywiście, że nie, to jest tylko pokój gościnny. Kiedy jego nie było, zawsze pozostawał zamknięty. Gdy Álvaro był mały, zajmował pokój na galerii, obok pokoi swoich braci. Po wysłaniu go do internatu w Madrycie ojciec nakazał rozebrać pokój, a wszystkie jego rzeczy wynieść do piwnicy.

Manuel pomyślał o zniewadze, jaką pociągała za sobą tamta decyzja, o jej znaczeniu dla Álvaro, który wtedy był jeszcze dzieckiem, i o ostrzeżeniu, jakim musiała być dla pozostałych członków rodziny.

– Jakby umarł albo miał już nigdy nie wrócić – pomyślał głośno.

– Wydaje mi się, że dla jego ojca w jakiś sposób był od tamtego dnia martwy. Potem, kiedy Álvaro kilka razy wracał do domu, zawsze zajmował pokój gościnny.

– Ale dlaczego, Herminio? Ile miał wtedy lat? Dwanaście? Co się tamtego dnia wydarzyło, o co chodziło?

Herminia na chwilę spuściła wzrok.

– Nie wiem, tak się tylko mówi, to nie był żaden konkretny dzień. Ja nie znajduję żadnego wytłumaczenia, ale teraz, kiedy poznałeś już Kruka, możesz sobie wyobrazić, jaka ona była.

Manuel przytaknął, wciąż dotknięty podłością tamtej kobiety.

– Herminio, przepraszam za te przykrości i mam nadzieję, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji z powodu tego, że pozwoliłaś mi wejść, a jeśli tak się stanie, to daj mi znać. Nie pozwolę, żeby wyrządzili ci krzywdę.

Ona się uśmiechnęła.

– Już wiem, dlaczego Álvaro cię wybrał – powiedziała.

Manuel popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Kiedy zmarł stary markiz i Álvaro przejął interesy rodziny, mnie i mojemu mężowi przekazał do użytkowania dom dla służby oraz bardzo szczerą sumę pieniędzy, która pozwoliłaby nam, gdybyśmy tylko chcieli, przestać pracować nawet dzisiaj. Nikt nie może mnie stąd wyrzucić, Álvaro już się tym zajął.

Pozwolił, by Herminia go uścisnęła, pocałowała i poprawiła ubranie, strzepując niewidzialne pyłki z jego marynarki. Najbardziej jednak poruszyło Manuela to, że zanim ostatecznie go wypuściła, wyszeptła mu na ucho: „Uważaj, proszę cię”.

Ruszył do wyjścia, ale wcześniej się zatrzymał, żeby obejrzeć z bliska odbarwione plamy na ścianie, w miejscu, w które Santiago uderzał tak mocno, aż połamał sobie kości. Znowu zwrócił się do Herminii.

– Jest coś, co powiedziałaś mi o nocy, której umarł Fran: że w twoim przekonaniu znów brał narkotyki. Dlaczego? Masz dostęp do całego domu, może coś widziałaś?

– Nie dostrzegłam strzykawek, igieł ani tego typu rzeczy, które widziałam, kiedy było z nim bardzo źle, jeśli o to pytasz. Ale wiedziałam, że nie mogło się dziać nic dobrego, bo zobaczyłam tutaj tego kolesia, który sprzedawał mu narkotyki. Widziałam go tamtej nocy, kiedy umarł Fran, ale kręcił się po pazo już kilka dni wcześniej. Powiedziałam o tym Gwardii Cywilnej, nie miałam wątpliwości, że to był on. Dobrze go znam, to chłopak z Os Martiños, zawsze miałam kontakt z jego rodziną, to dobrzy ludzie, ale wiesz, jak jest... Kiedy do domu wchodzi demon narkotyków, nie można już nic zrobić.

– Gdzie go widziałaś?

– Elisa zaniósła Franowi kanapkę, ale ja nie miałam zamiaru kłaść się spokojnie do łóżka, wiedząc, że został tam mój chłopiec. Kiedy skończyłam tutaj pracę, wstąpiłam do domu po płaszcz, bo chciałam do niego pójść; to

wtedy z okna wychodzącego na stajnię zobaczyłam tego szubrawca. Wyglądał, jakby ukrywał się za żywopłotem, a potem ruszył ścieżką prosto do kościoła. Więc sam widzisz.

– Poszłaś do kościoła?

– Taki miałam zamiar, ale wtedy zobaczyłam Elisę, która wychodziła z domu i kierowała się w stronę ścieżki.

– Elisę? Jesteś pewna, że to była ona?

– Wzrok tej staruszki jest idealny – powiedziała, wskazując na siebie. – Widziałam ją w świetle latarni, kiedy wychodziła, a później, żeby oświetlić sobie drogę, zaświeciła latarkę, tak więc mogłam zobaczyć ją doskonale.

– I wtedy postanowiłaś nie iść.

– Dziecko, jeśli młoda dziewczyna idzie do swojego narzeczonego, to staruszka nie jest tam do niczego potrzebna. Zostałam w domu i oglądałam z mężem telewizję.

– Widziałaś ją, jak wracała?

– Tak, byłam czujna i po chwili zobaczyłam, że idzie sama. Przypuszczam, że Fran nie chciał z nią pójść.

– Myślisz, że ona widziała dilerę?

– Nie, nie sędzę. Zawsze miałam mnóstwo wątpliwości co do Frana, ale kiedy wrócili z kliniki, Elisa była wyleczona i w ciąży, bardzo poważnie traktowała swoje zdrowie i przyszłość z Franem; nigdy nie zostawiłaby go samego z tym szubrawcem, wiedząc, z czym to się wiązało.

Manuel zastanawiał się nad jej słowami i będąc już w drzwiach, odwrócił się i zapytał:

– Herminio, widziałaś tamtej nocy Álvara?

– Jasne, widziałam go na kolacji, przed pójściem spać. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu.

Znowu był na zewnątrz. Chociaż mgła zaczęła się rozpraszać, światło nadal pozostawało mętne i było dosyć chłodno. Szedł w stronę samochodu, tęskniąc za kurtką Álvara, którą zostawił w hostelu. Kawa niespokojnie merdał ogonem i gdy tylko jego pan otworzył drzwi, pies w mgnieniu oka wyskoczył z pojazdu i pobiegł drogą, na której Manuel zobaczył nadchodzącą Elisę z dzieckiem. „Mały bękart”, słowa Kruka rozbrzmiały w jego głowie, podczas gdy stojąc na środku drogi, obserwował radość chłopca widzącego psa oraz radość zwierzęcia, które biegało szczęśliwe dookoła niego, nie dając się jednak pogłaskać. Manuel podniósł wzrok w stronę okien w zachodnim skrzydle i poczuł złośliwą satysfakcję, gdy zauważył obecność mrocznej postaci stojącej obok tarasu. „Na popiersiu Pallas”. Wyszedł na spotkanie małemu, wołając go głośno, po czym otworzył ramiona i podniósł Samuela z uśmiechem. Uścisnął go, wiedząc, że ona ich obserwuje, że jego gest jest aktem zemsty, i w tym momencie zdał sobie sprawę, że kocha tego chłopca.

Kiedy spojrzał ponownie, Kruka już tam nie było.

Elisa uśmiechnęła się na jego widok i wzięła go pod rękę, by dalej spacerować razem i bardzo powoli. Poczekała jednak, aż chłopiec wyprzedził ich o kilka metrów, biegnąc za Kawą, żeby powiedzieć:

– Dziękuję, Manuelu.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Lucas przyjechał do mnie wczoraj i opowiedział o kilku rzeczach, które tamtej nocy usłyszał od Frana, o rzeczach, o których już wiedziałam i byłam ich pewna, ale potrzebowałam je usłyszeć.

Przygnębiony, Manuel przytaknął.

– Przyznał, że to dzięki tobie zdał sobie sprawę, że powinien mi o tym opowiedzieć. Pewnie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ból i cierpienie, które czułam przez te wszystkie lata, ta niepewność, bo chociaż byłam przekonana, to nie zaprzeczę, że zdarzały się chwile, w których miałam wątpliwości.

Dziękuję, Manuelu.

– Eliso, tamtej nocy...

– Tak?

– Nie powiedziałaś mi, że później wróciłaś do kościoła.

– Przypuszczam, że wiesz to od Herminii, bo widziała, jak wychodziłam. Ja też widziałam ją w oknie jej domu. Nie mówiłam ci, że tam poszłam, ponieważ nie zdążyłam wejść do środka. Kiedy byłam już na placu, Santiago, który wychodził z kościoła, powiedział, że Fran czuje się dobrze, że się modli i nie chce, by ktoś mu przeszkadzał.

Manuel się zatrzymał, zmuszając ją, by zrobiła to samo i na niego spojrzała.

– Ale zdołałaś zobaczyć Frana?

– Widziałam, jak zamykał drzwi kościoła, kiedy wyszedł Santiago.

– Powiedziałaś o tym policji? – zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

– Nie pamiętam, czy o tym wspomniałam. W każdym razie to nie ma żadnego znaczenia, nawet tam nie weszłam i zawsze się za to obwiniałam. Nie powinnam była go posłuchać, moje miejsce było wtedy przy Franie – powiedziała udreńczonym głosem i Manuel zdał sobie sprawę, że słyszał go nie pierwszy raz.

Wziął Elisę pod rękę i szli dalej.

– Widziałaś Álvara tamtej nocy?

– Álvara? Nie.

– A kogoś innego?

Tym razem to ona się zatrzymała.

– Do czego zmierzasz, Manuelu? Skąd te wszystkie pytania?

Nie mógł ukrywać prawdy, nie przed nią.

– Kilka dni przed śmiercią Frana okoliczny diler kręcił się po pazo

i tamtej nocy Herminia widziała, jak szedł do kościoła.

– Ale to niemożliwe – zaprotestowała zdezorientowana. – Słyszałeś Lucasa: Fran nie popełnił samobójstwa, nie chciał umierać, chciał ułożyć sobie życie ze mną i ze swoim synem.

– Prawda jest taka, że jedno nie wyklucza drugiego – powiedział, przypominając sobie słowa Herminii. – Może on nie był do końca wyleczony, tak jak ty...

– Mylisz się, Manuelu, mylisz się – powiedziała, puszczając jego ramię i przyspieszając kroku, aż doszła do chłopca.

Wzięła go za rękę i bez pożegnania oboje ruszyli w stronę domu. Kiedy dotarli do drzwi, Samuel się odwrócił i pomachał.

Manuel otworzył drzwi samochodu i pomógł Kawie wejść do środka, a na siedzeniu położył książkę, którą zabrał z sejf. Jakby ktoś go wołał, podniósł wzrok i zobaczył, że ciemna postać Kruka znowu stała na swoim miejscu. Wyjął telefon i wybrał numer, który zapisał tego poranka.

– Mówi Manuel – powiedział, odpowiadając Lucasowi po drugiej stronie linii.

– Dzień dobry, Manuelu.

– Cześć – powiedział, nie przestając patrzeć na ciemną postać za szybą. – Jestem w As Grileiras i przed chwilą rozmawiałem z Elisą... Chciałbym ci podziękować, że postanowiłaś opowiedzieć jej o tym, co się stało.

– Ja tylko spełniłem obietnicę, „już więcej żadnych kłamstw ani zatajeń”.

– Dzwonię też z innego powodu. Nogueira mi powiedział, że rozmawialiście, i z tego, co mówił, wywnioskowałem, że nie wspomniałaś nic o swoich wątpliwościach co do tożsamości osoby, którą widziałeś tamtej nocy.

– Już o tym rozmawialiśmy, Manuelu, to mógł być każdy – odparł.

– Ale myślałaś, że to był Álvaro. Często zdarza się tak, że kiedy mózg

coś nam podpowiada, to dlatego, że w jakiś sposób otrzymaliśmy potrzebną informację, by dojść do takiego wniosku.

– Co insynuujesz, Manuelu? Już ten temat przedyskutowaliśmy i wydaje mi się, że jesteśmy zgodni.

– Lucasie, myślę, że powinniśmy porozmawiać. – Ta sugestia zabrzmiała niedorzecznie, zważywszy że właśnie rozmawiali, ale Lucas doskonale rozumiał, co miał na myśli.

– Co robisz dzisiaj po południu?

– Obiecałem enologowi, że przyjadę do bodegi...

– Świetnie, tam się zobaczymy – powiedział. – A teraz muszę już kończyć.

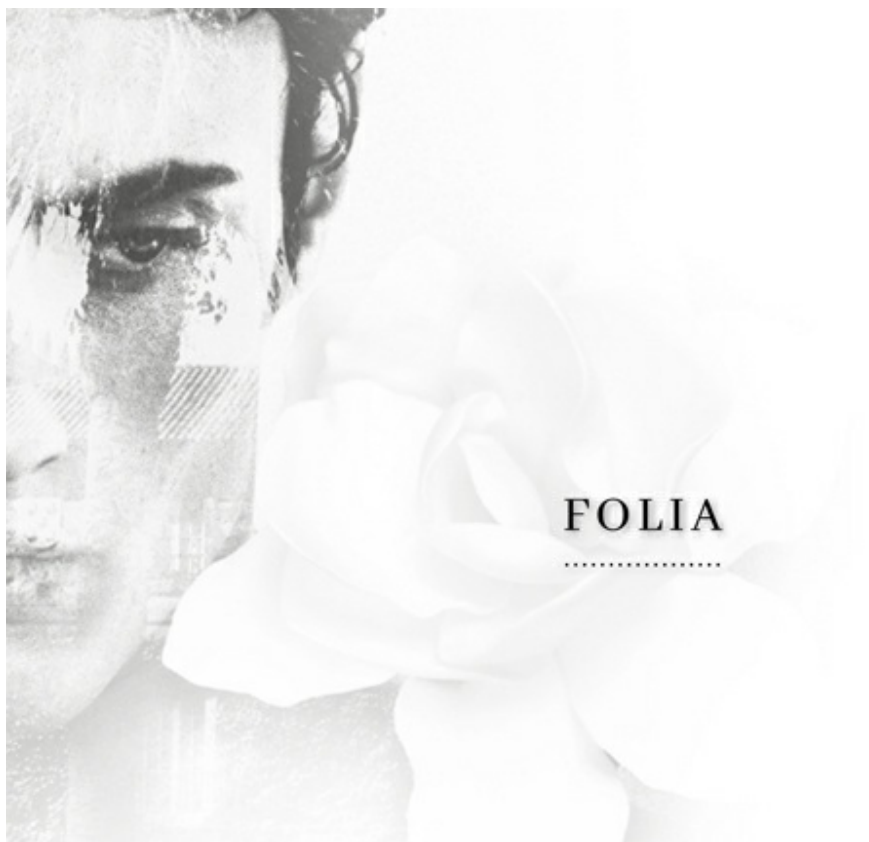
– Co jest takie pilne? – zapytał Manuel, który z chęcią przedłużyłby rozmowę.

Ksiądz zwlekał chwilę z odpowiedzią, a on znalazł wyjaśnienie dla zamkniętego sklepu, do którego nie mogła pojechać Catarina, i niewielkiego ruchu na drodze do As Grileiras. Wszystko się zgadzało, nie wiedział tylko, jak wyjaśnić to, że zapomniał, jaki jest dzień, podczas gdy jeszcze tego samego poranka narzekał na to, że mijały mu one, jakby były jednym.

– Jest niedziela, prawie dwunasta, muszę odprawić mszę.

Był wdzięczny, że Lucas się rozłączył, nie mówiąc tego, o czym obaj myśleli: mijał tydzień od śmierci Álvara.

[13] Potrawa z różnych rodzajów mięsa i warzyw, popularna w Hiszpanii i w krajach Ameryki Południowej.



FOLIA

.....

ogueira zaparkował naprzeciwko swojego domu. Patrząc z zewnątrz, światła zapalone na pierwszym piętrze tworzyły przyjemną atmosferę, zachęcającą, żeby wejść do środka. Gwardzista siedział jednak jeszcze przez kilka minut, obserwując zza kierownicy drzwi frontowe. Od jego przejścia na emeryturę nie minął tydzień, a już nie mógł tego znieść. Pięćdziesiąt osiem lat, z czego przez dwa ostatnie wysłuchiwał żony, która domagała się, żeby wreszcie to zrobić; koniec końców, z racji wieku i zgodnie z przepisami, miał prawo poprosić o przejście na emeryturę, co pozwoliłoby mu spędzać więcej czasu z dziewczynkami i być może zapobiec temu, by relacje z młodszą nie skończyły się tak źle jak ze starszą. Już w chwili podpisywania rezygnacji wiedział, że to kiepski pomysł, ale był to winny Laurze, może dzięki temu... Jeszcze raz wyjął mały notes, aby przejrzeć swoje notatki, rozważając przy tym, co się z nim stanie, kiedy to wszystko dobiegnie końca. Postanowił, że

wtedy o tym pomyśli. Chowając notes do kieszeni, zwrócił uwagę na swoją obrączkę ślubną; obserwował jej przygaszony blask i mimowolnie obrócił ją na palcu kilka razy, szukając być może bardziej błyszczącej strony. Znów spojrzął na drzwi frontowe i westchnął przygnębiony. Wsiadł z samochodu, po czym skierował się do domu.

Otworzył drzwi i przy wejściu przywitał go ciepły aromat ciasta cytrynowego. Z salonu dobiegł go stłumiony dźwięk telewizora.

– Już wróciłem – powiedział z przedpokoju, wieszając kurtkę.

Nie spodziewał się odpowiedzi i jej nie otrzymał. Najpierw poszedł do kuchni; ostatnie dwie godziny spędził dla zabicia czasu za kierownicą i zgłodniał. Wszystkie powierzchnie w kuchni wyglądały tak jak zawsze – nieskazitelnie. Ani jednego okruszka, ani jednego talerza z resztkami, nigdy żadnej brudnej łyżki ani rondla w zlewie. Podążając za aromatem ciasta, bez większej nadziei otworzył piekarnik. Zachował jeszcze ciepło i zapach, chociaż nie było w nim ani śladu wypieku. Zajrzał do koszyka na pieczywo i znalazł tam bułeczkę, której nie cierpiał i która miała nienaturalnie białawy kolor, jakby została napromieniowana. Otworzył drzwi lodówki i niepokieszony przejrzał jej zawartość: ser Arzúa, chorizo Lalín, część karkówki, szynka, kawałek kiełbasy morcón. Można by powiedzieć, że ta wiedźma robiła zakupy z myślą o nim.

W jednym pojemniku było coś, co wyglądało na duszone mięso, a w drugim pyszności w postaci szynki z serem w sosie śmietanowym, którą tak bardzo lubił. Stał się ekspertem w rozróżnianiu takiego jedzenia, opakowanego w całe metry folii spożywczej, w którą jego żona owijała pojemniki niczym cierpliwy pająk w jednym tylko celu, a mianowicie – był tego pewien – żeby mieć pewność, iż on nie będzie w stanie dostać się do żadnej z tych potraw. Od czasu do czasu stawał tak, patrząc całymi minutami na pyszności, które żona przygotowywała i chowała. Nie miała nic przeciwko

temu, że patrzył, ale gdyby ośmielił się dotknąć choćby jednego z tych opakowań, ona, niczym pajak, wiedziałaby o tym z drugiej strony swojej pajęczyny. Postanowił zrobić test, wyciągnął rękę i podniósł idealne opakowanie, do którego jego żona schowała ser. Nie mógł go nawet wyjąć z lodówki. Z salonu dobiegł go wyraźnie przekrzykujący telewizor głoś.

– Teraz niczego nie bierz, warzywa na twoją kolację są już gotowe. Jeśli nie możesz wytrzymać, zjedz jabłko.

Jak zawsze pokręcił głową na poły zaskoczony, a na poły będąc pod wrażeniem jej niezwykłej intuicji. Zamknął lodówkę i rzucił bezduszne spojrzenie jabłkom, czerwonym i błyszczącym jak z obrazka. Kierując się do salonu, wymamrotał pod nosem następne zdanie swojej żony. Aż się uśmiechnął, kiedy mówił:

– Albo możesz sobie wypić napar.

Wszedł do salonu. Fotele stały naprzeciwko telewizora. Na najdalszym z nich siedziała jego żona, która przywitała się z nim skinieniem głowy. Jego córki zajmowały dużą sofę, leżąc jedna obok drugiej; młodsza przeciągnęła się i stanęła na sofie, żeby dać mu buziaka, chociaż wymknęła mu się z rąk, kiedy próbował zatrzymać ją chwilę dłużej. Starsza podniosła rękę w geście powitania i ledwie na niego spojrzała. Na drugim fotelu, stojącym na prawo od zwyczajowego miejsca Nogueiry, siedział chudy i gamoniowaty nastolatek, którego mężczyzna znienawidził od pierwszej chwili, gdy go zobaczył, i który najwidoczniej był chłopakiem jego córki. Nawet się nie przywitał, co Nogueirze było na rękę. Na stoliku kawowym stało kilka już pustych filiżanek, a do tego ponad połowa ciasta, którego zapach porucznik poczuł od razu po wejściu do domu. Mimo że nie jadł go od ponad sześciu lat, uwielbiał je; nikt nie robił go tak jak jego żona. Podczas gdy dzieci oglądały jeden z tych nużących amerykańskich seriali, ona czytała. Obok siebie miała zaświeconą lampkę, a na kolanach trzymała otwartą książkę,

którą przeczytała do połowy. Nogueira zwrócił uwagę na zdjęcie na wewnętrznej stronie okładki. Pokazał na książkę.

– Manuel Ortigosa – powiedział.

Nagle zaskoczenie ze strony kobiety sprawiło, że poczuł się ważny.

– Znam go. – Widząc, że jej zainteresowanie błyskawicznie rośnie, podwoił stawkę. – Jest moim przyjacielem, pomagam mu w pewnej sprawie...

– Xulio – powiedziała kobieta, zwracając się do starszej córki – zrób miejsce dla ojca, żeby mógł usiąść.

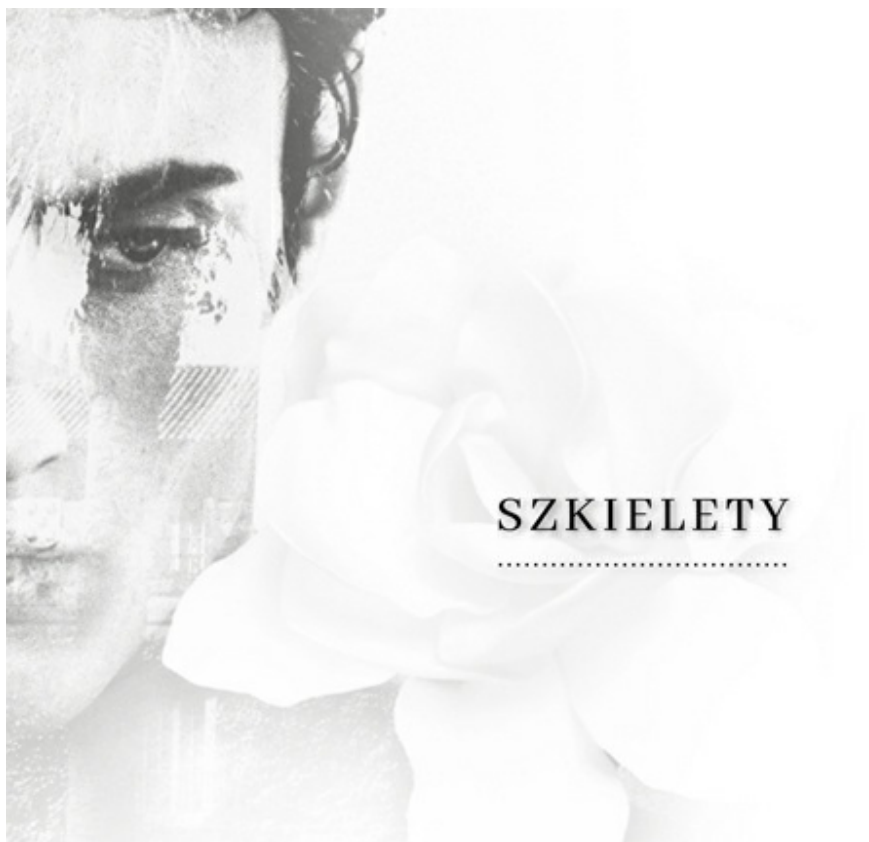
Zadowolony Nogueira posłuchał żony, która patrząc na niego, powiedziała zaintrygowana:

– Nie wiedziałam, że znasz Manuela Ortigosę.

– Manuela? No pewnie, kobieto, jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– I Xulio – dodała jego żona, ponownie zwracając się do nastolatki – idź do kuchni i przynieś talerzyk i widelczyk dla ojca, może chciałby zjeść kawałek ciasta.

Dziewczyna szybko spełniła prośbę matki.



SZKIELETY

a zewnątrz kończyły się pożegnania i ginął dźwięk silników terenówek winogrodników. Manuel widział przez szyby, jak enolog żywo rozmawia z tymi, którym się nie spieszyło. Nie mógł usłyszeć, co mówili, ale zauważył ich zadowolenie z tego, jak przebiegła sprzedaż.

Kiedy przyjechał po południu, wjazd naprzeciwko bodegi i przylegający do niej teren były zapełnione pojazdami. Terenówki i małe kolorowe przyczepy ciągnięte przez traktory na wąskiej drodze ledwie miały miejsce, żeby zakręcić. Zostawił samochód na ścieżce wiodącej do bodegi i pieszo pokonał odcinek do wejścia, omijając winogrodników, którzy prowadzili ożywione rozmowy, stojąc w wąskich przestrzeniach oddzielających pojazdy od kolorowych konstrukcji pełnych winogron. Nie mógł uciec przed spojrzeniami mężczyzn ze wsi, którzy z zaciekawieniem patrzyli na nowo przybyłego, oceniając przy tym doświadczonego okiem zbiory swoich rywali,

które niczym klejnoty błyszcząły w promieniach popołudniowego słońca.

Naprzeciwko bramy, tego dnia otwartej, Daniel dzielił uwagę między tych pracowników, którzy ustawiali skrzynki z winogronami na wadze przemysłowej, i tych, którzy po zważeniu owoców wnosili je do bodegi. W pewnym momencie podniósł wzrok i widząc Manuela, uśmiechnął się i zachęcił gestem, żeby ten do niego podszedł.

– Cześć, Manuelu – przywitał się wesoło. – Przyjechałeś w samą porę, właśnie zaczęliśmy. Jeśli staniesz obok mnie, to będę ci tłumaczył, co robimy.

Manuel obserwował winogrodników, którzy ustawiali na wadze skrzynki, tworząc z nich pięciokondygnacyjne wieże. W notesie na spirali Daniel zapisywał wagę i informację o danym winogrodniku, a po zważeniu winogron odrywał połowę kartki i wręczał ją właścicielowi owoców, powtarzając ten proces do momentu zważenia wszystkich zbiorów. Następnie pracownicy dniówkowi przenosili skrzynki do środka i opróżniali je na metalowym stole, gdzie czterej mężczyźni z podwiniętymi aż do łokci rękawami, wśród których Manuel rozpoznał Lucasa, oddzielali od kiści gałązki, grudki ziemi i kamyki, przypadkiem zmieszane z owocami podczas winobrania. Enolożka z Instytutu do spraw Chronionych Nazw Pochodzenia oglądała stoły i przyporządkowywała owoce do ich właściciela. Przez pierwsze minuty Manuel tylko w spokoju obserwował pracę mężczyzn, szybko jednak został zarażony jej wirem i śmiechem tych, którzy cieszyli się z dobrych zbiorów, widocznych między ich palcami w postaci owoców pełnych moszczu.

Podwinął rękawy koszuli i podszedł do stołu, a Daniel, który będąc przy wadze, nie spuszczał go z oka, odkąd przyjechał, polecił pracownikowi, żeby dał Manuelowi fartuch roboczy, który on założył od przodu niczym chirurg. Przez całe popołudnie intensywnej pracy patrzył, jak owoce przeciskały się

do prasy, która miażdżyła je, sprawiając, że wypuszczały słodki od słońca i cierpki od mgieł moszcz, a ten spływał przez wykonane w podłodze dziury aż do zimnych baryłek czekających na niego na dole.

Kiedy przyszła ostatnia tura, słońce już zaszło, a zaraźliwa radość wywołana dobrymi zbiorami uspokoiła Manuela i poczuł się dobrze. Dał znak Lucasowi, który z podwiniętymi do łokci rękawami pomagał pracownikowi bodegi przepchnąć do kontenera zgromadzone przez maszynę skórki, z których później powstanie wódka albo które zostaną zredukowane i wykorzystane jako nawóz. Przeszli przez drzwi oddzielające salę tłoczenia od pozostałej części bodegi i weszli po ciemku do przyległego pomieszczenia. Jakby przyciągani magnesem, podeszli do tarasu, z którego nad zboczem rozpościerał się szybki wrześnieowy zachód słońca; miał on w sobie jeszcze letnie bogactwo, zauważył Manuel, chociaż domyślał się, że nie potrwa to długo.

Z sąsiedniej sali nadal dobiegały różne odgłosy, śmiechy mężczyzn i syk węży wodnych, którymi czyścili maszynę, niewidzialnych pośród pary, która powodowała, że zapach moszczu unosił się, tworząc pod sufitem białą, pachnącą chmurę.

Manuel uśmiechnął się ufnie w ciemności, słuchając odgłosów łap stawianych przez Kawę na wybrukowanej nawierzchni i starając się po omacku znaleźć włącznik światła. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się dobrze i musiało to mieć związek z tym miejscem. Przyjechał tu smutny i zraniony, zarażony przygnębieniem panującym w pokoju Álvara oraz zmartwiony gniewem Elisy i jej chłodnym pożegnaniem. Bolało go jej niezrozumienie, które niczym echo niosło mu słowa Kruka: „To nigdy nie będzie pański dom ani pańska rodzina”. Brzmiały one jak wyrok i w tym momencie wiedział, że odczuwał smutek nie przez Elisę, tylko z powodu pustki, jaką ręce Samuela zostawiły w zagłębieniu jego rąk, z powodu jego

zabków, małych i równych, które pokazywał w uśmiechu, jego wysokiego głosu, kiedy krzyczał, jego śmiechu oraz uścisku małego i tak silnego jak wąs czepny wokół jego szyi.

Do tego ta rana. Nie przestawał sobie powtarzać, że każde słowo, które wyszło z ust tamtej kobiety, niosło ze sobą spory ładunek trucizny i miało jasno określony cel: wyrządzić możliwie największą krzywdę. Żaden z jej gestów ani samo spotkanie, z pewnością przygotowane i ćwiczone przez kilka dni, nie były spontaniczne. Jej wykład posiadał idealne proporcje teatralności i składał się z dogmatów, które bez wątpienia nie pierwszy raz głośno wypowiadała. Sposób, w jaki groźna pielęgniarzka słuchała jej przemowy, przytakując tym bzdurom niczym przyuczona adeptka, kazał mu myśleć, że każde słowo markizy płynęło z miejsca, w którym powinna mieć serce, ale mógł zauważyć również wystudiowane okrucieństwo, złośliwość sączącą się powoli i delikatnie. Niewątpliwie uczestniczył w przedstawieniu, które zostało przełożone do czasu, aż on zajmie swoje miejsce niczym niezbędny widz przed kimś, kto wystawia sztukę, której nie zna jedynie oglądający. Wiedział, że powtarzając swoje słowa, grała z nim i że powinien unikać tego za wszelką cenę, że ta trucizna była przeznaczona do wypicia małymi łykami, które uwalniały go od moralnego ciężaru, że miała drażyć go od środka, a on, jak pracowita pszczoła, nie mógł uniknąć wysysania mrocznego ładunku, który ta sprowadzała. Wiedział dlaczego. Kiedy jej słuchał, pośród całej tej podłości i czystej nienawiści dostrzegł pocisk, kapsułkę zawierającą śmiertelną truciznę, która nie była niczym innym jak czystą prawdą. Szczerość jest najostrzejszą bronią, a ona o tym wiedziała, miała świadomość, że Manuel nie jest żadnym idiotą, że jej gadanina, jakkolwiek przesadna czy wyrafinowana by nie była, mimo wielkiego efektu, jaki mogła wywołać w tamtym momencie, zostałaby odrzucona niczym prymitywne alibi przez dobrego prokuratora. Nie, ona wiedziała, że zwykła

nienawiść w żadnym razie nie wyrządziłaby takiej krzywdy jak zimna bezpośredniość. Już samo otarcie się o tę perwersyjną szczerłość zostawiło mu na skórze ślady, które będą się długo goić, oraz niezbędnego pasażera płynącego w jego żyłach, tak przerażającego jak diabelskie opętanie i tak realnego jak wirus: prawdę.

Napełnił winem dwa kieliszki i jeden podał księdzu, pokazując na hamaki rozwieszane na tarasie. Lucas przyjął kieliszek z uśmiechem, ale nic nie powiedział. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, zajmując się kontemplowaniem coraz ciemniejszych zarysów wzgórz, które zaludniały się cieniami, pijącymi światło tak jak oni pili wino.

– Wiesz co? – powiedział po chwili Lucas. – Odkąd Álvaro zajął się bodegą, co roku przychodziłem na winobranie przynajmniej na jeden dzień i zawsze kończyliśmy pracę tak jak teraz, pijąc butelkę wina w tym samym miejscu.

Manuel rozejrzał się dookoła, jakby w zagięciach czasoprzestrzeni potrafił dostrzec mglisty obraz, o którym wspominał Lucas.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? – zapytał zdezorientowany Lucas.

– Dlaczego ksiądz przyjeżdża na winobranie?

Mężczyzna się uśmiechnął, myśląc nad odpowiedzią.

– Cóż, chyba mógłbym zacytować Świętą Teresę od Jezusa, ponieważ skoro, jak mawiała ona, „pośród garnków też Bóg się przechadza”, to bez wątplenia powinien także przechadzać się między winoroślami. – Zrobił pauzę i powiedział zamyślony: – Mogę znaleźć Boga w każdym miejscu, ale kiedy przyjeżdżam tutaj, kiedy pracuję razem z nimi, jestem jednym z wielu, jestem pracującym człowiekiem. Uważam, że w pracy fizycznej znajduje się jakieś wspólne dla wszystkich ludzi poczucie godności, które rozkłada się na codzienne oraz łatwiejsze zajęcia i które odzyskuję, kiedy tu przyjeżdżam.

Znów siedzieli w milczeniu i Manuel ponownie napełnił kieliszki. On też mógł to poczuć: Heroica w jednym słowie łączyła działania, zalety i zachowania często zapominane w codziennym życiu, które niczym linie geomantyczne zbiegały się na tym obszarze, nadając mu właściwości świętego miejsca, gdzie słabości, strach i zło reszty świata można było zmyć, poczuć ulgę i przebrać się w nową tunikę bohatera.

Obserwował Lucasa: pogrążony w myślach, patrzył na pofalowany horyzont i uśmiechał się beztrudnie. Manuel aż żałował, że musi się do niego odezwać.

– Powiedziałem ci to już przez telefon, ale chcę jeszcze raz podziękować za to, że porozmawiałeś z Elisą... I z Nogueirą.

Lucas nieznacznie pokręcił głową, nie przywiązując do tego wagi.

– Nie wiedziałem, że się znacie, Nogueira i ty. – Manuel zrobił pauzę, porządkując myśli. – No dobrze, wiedziałem, to było ewidentne w dniu pogrzebu Álvaro, kiedy wyjeżdżaliśmy z As Grileiras, ale nie sądziłem, że utrzymujesz z nim tak bliskie relacje, by mieć jego numer telefonu.

– Cóż, że się znamy, to za dużo powiedziane – odparł ksiądz. – Pamiętałem go z dnia, w którym zmarł Fran. Był jednym z pierwszych przybyłych na miejsce, gdzie znaleziono go martwego. Najpierw przyjechał ambulans, potem Gwardia Cywilna, a następnie ja, żeby udzielić Franowi ostatniego namaszczenia. Nie zrobił na mnie zbyt dobrego wrażenia. Nie był wrogo nastawiony, ale zachowywał się dosyć chłodno, lekceważąco; nie wiem, odnosiło się wrażenie, że patrzył na nas wszystkich z nieskończoną pogardą, którą z trudem skrywał pod profesjonalizmem swojej pracy.

– Wiem, o czym mówisz... – powiedział Manuel, przypominając sobie okrutny grymas na twarzy gwardzisty.

– Kiedy znowu zobaczyłem go przy bramie do As Grileiras, po powrocie do domu poszukałem jego numeru. Pamiętałem, że gdzieś go schowałem,

gdy dał mi go po złożeniu zeznań, na wypadek gdybym przypomniał sobie coś jeszcze.

– I trzymałeś go przez trzy lata?

Lucas nie odpowiedział.

– Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby do niego zadzwonić?

Pokręcił głową, chociaż jego zachowanie dawało do zrozumienia, że nie był przekonany.

Manuel spojrzał na księdza z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. – Przerwał. – Wiem, co ci powiedziałem tamtego dnia w sanktuarium, ale teraz mam wątpliwości.

„Wie, że go zabiłeś”, rozbrzmiało w jego głowie.

– Wątpliwości, dlaczego? Chyba zgodziliśmy się co do tego, że to nie mógł być Álvaro, a nawet gdyby, to co by to dało? Nic dziwnego, że chciał sprawdzić, jak czuje się jego brat. I absolutnie zgadzamy się do tego, że Álvaro w żaden sposób nie mógł być uwikłany w to, co przytrafiło się Franowi, ani w to, że, jak podejrzewał Nogueira, ciało zostało przeniesione. – Zamilkł, obserwując Manuela, który patrzył w podłogę. – Czy mógł?

Manuel wypił zawartość kieliszka.

– Już nie jestem taki pewien.

„Wie, że go zabiłeś”. Zacisnął zęby, powstrzymując tę myśl.

Lucas spojrzał na niego zmartwiony.

– Co do czego nie jesteś pewien? Nie możesz mi mówić, że z dnia na dzień masz jakieś wątpliwości, nie udzielając mi żadnych wyjaśnień. Myślałem, że ustaliliśmy, że niczego nie będziemy ukrywać.

Manuel powoli wypuścił powietrze, patrząc na horyzont, który był już prawie niewidoczny, zredukowany do małego granatowego blasku w miejscu, gdzie łączył się z niebem. Odwrócił się w stronę księdza.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że Álvaro chodził na dziwki ze swoim bratem?

Lucas przytaknął zasmucony.

– Rozmawiałem z prostytutką i przyznała, że udawali, aby zadowolić Santiaga. Wierzę w to, bo on jest niebezpiecznym homofobem. Za każdym razem, gdy mówię „mój mąż”, wygląda, jakby miał dostać ataku apopleksji.

– Cóż – powiedział ostrożnie Lucas – przypuszczam, że poczułeś ulgę.

– Chwilową. Kilka godzin później odkryłem w jego połączeniach, że utrzymywał kontakt z miejscową męską prostytutką.

Lucas nie krył niezadowolenia.

– Wiesz, kim jest męska prostytutka, prawda?

– Jasne, że wiem. To, że jestem księdzem, nie oznacza, że żyję oderwany od świata – zaprotestował. – Ale to jeszcze bardziej nie pasuje mi do charakteru Álvaro.

– Lucasie, myślę, że wyidealizowałeś go sobie i nadal postrzegałeś jako chłopaka, który chodził z tobą do szkoły, ale Álvaro przez wiele lat mieszkał sam w Madrycie i kiedy się poznaliśmy, mówił mi, że przez pewien czas, jak by to ująć, „starał się odnaleźć siebie”, ze wszystkim, co to ze sobą niesie. Kiedy zaczął się nasz związek, to wszystko zostało w tyle. Myślę, że był wobec mnie szczery, kiedy opowiadał o wszystkim, co wiązało się z tamtą częścią jego przeszłości, i nigdy nie mówił mi, że korzystał z tego rodzaju usług. Wtedy mu wierzyłem, on tego nie potrzebował...

– I co się zmieniło? Dlaczego teraz myślisz, że było inaczej?

– Co się zmieniło? Lepiej zapytaj o to, co się nie zmieniło, Lucasie. Czuję, że nie wiem, kim był Álvaro. To tak, jakbym rozmawiał o nieznajomym.

– Myślę, że tu się mylisz. Miałem z nim kontakt przez wszystkie te lata i uważam, że się nie zmienił, że był tym samym odważnym i uczciwym

chłopakiem, jakiego znałem. To wszystko, co opowiadasz, w ogóle mi nie pasuje...

Manuel milczał; był sfrustrowany, odizolowany, niezrozumiany. Znow napęłnił kieliszki.

– W każdym razie uważam, że powinieneś porozmawiać z Nogueirą i wyjaśnić mu, co widziałeś albo co wydawało ci się, że widziałeś tamtej nocy.

– Myślałem, że twoim zdaniem wpłynie to negatywnie na śledztwo, że gdy tylko porucznik się o tym dowie, przestanie szukać innego wytłumaczenia.

– Tak, pamiętam, co mówiłem, ale teraz wiem, że tamtej nocy w kościele i w jego pobliżu było więcej osób. – Podniósł rękę i zaczął wyliczać: – Herminia miała tam pójść, ale zrezygnowała, bo zobaczyła, że Elisa wybiera się po raz drugi; Elisa widziała, jak Fran i Santiago żegnają się w drzwiach kościoła, a kiedy była już blisko, Fran wracał do środka; Santiago powiedział, że jej narzeczony czuje się dobrze, i poprosił ją, żeby wróciła do domu, bo Fran się modli, i nie chce, by mu przeszkadzano; Herminia widziała także przez okno tę męską prostytutkę, o której wspomniałem wcześniej i która zaopatrywała też Frana w narkotyki, kiedy był uzależniony.

– Cholera! – wykrzyknął Lucas.

Manuel spojrzał na niego, zdziwiony przekleństwem w ustach księdza, i lekko się uśmiechnął.

– Nikt mi nie powiedział, że widział Álvaro, chociaż pytałem o to wprost. Nie miałem jeszcze tylko okazji zapytać Santiaga, czy może on widział kogoś jeszcze oprócz Frana i Elisy, ale nie sądzę, bym mógł to zrobić albo przynajmniej by on wykazywał chęci do współpracy: dzisiaj rano wcale mu się nie spodobało, że zobaczył mnie w As Grileiras.

Lucas popatrzył na niego z niepokojem.

– Co się stało?

– Poszedłem do pokoju Álvara, żeby zabrać kilka rzeczy – powiedział Manuel, nieświadomie dotykając obrączek. – Santiago mnie tam zobaczył i się wściekł.

– Coś ci zrobił?

Manuel spojrzał na niego zaskoczony.

– Ciekawe, że o to pytasz. Nie, był sfrustrowany i przez kilka minut zajmował się pomstowaniem, a później poszedł sobie rozgniewany, uderzając pięścią w ścianę. Niemal zrobiło mi się go żal; z tego, co mi powiedziano, to jest jego typowa reakcja, kiedy ktoś mu się przeciwstawia – powiedział, przypominając sobie odbarwione plamy na ścianie w kuchni.

Lucas nachylił się nieco, żeby nadać więcej powagi temu, co chciał powiedzieć.

– Manuelu, musisz uważać. Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś trzymał się od tego z daleka i zostawił śledztwo Nogueirze; koniec końców to jest jego praca.

– Lucasio, Gwardia Cywilna oficjalnie zamknęła tę sprawę, traktując ją jako wypadek drogowy, a Nogueira właśnie przeszedł na emeryturę, rezygnując ze stanowiska dwa dni po śmierci Álvara.

– Zatem? Ciebie mogę zrozumieć: to normalne, że w takich okolicznościach chcesz poznać prawdę, ale jaki interes ma Nogueira, żeby nadal prowadzić śledztwo?

Manuel pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, nigdy nie znałem nikogo takiego jak on... Zresztą nawet go nie lubię, momentami jest obrzydliwy – powiedział, uśmiechając się lekko. – I mam pewność, że on też mnie nie lubi. Myślę jednak, że on jest z tych ludzi z dziwnym poczuciem humoru, z tych, którzy nie zostawiają pracy, dopóki jej nie dokończą. Dlatego musisz z nim

porozmawiać i powiedzieć, co widziałeś. Bez względu na to, jak bardzo bym się wysiłał, nie znajduję powodu, by przyznać, że Álvaro był w to wszystko uwikłany.

Lucas pokręcił głową, dając do zrozumienia, że to mu się nie podoba.

– W każdym razie, chociaż na początku mogłoby się tak wydawać, Santiago nie jest najbardziej wrogą osobą, jaką spotkałem.

W oczach Lucasa znowu pojawił się niepokój.

– Markiza zaprosiła mnie do siebie na herbatę i myślę, że nawet jeśli dziesięć razy wezmę prysznic, to i tak nie będę mógł się pozbyć tego okropnego wrażenia, jakie na mnie zostawiła. Słyszałem o rodzicach, którzy nienawidzą własnych dzieci, ale nigdy żadnego nie poznałem.

– Zawsze była trudną kobietą...

– Trudną? Odrażające jest słuchanie osoby przepełnionej nienawiścią i pogardą, których nawet nie próbuje ukryć. Nie sądzę, by jakoś szczególnie nienawidziła Álvaro, wydaje się, że nie cierpi swoich trzech synów w równym stopniu, ale dała do zrozumienia, że niezbyt łatwy charakter Álvaro uczynił z niego syna, który przysporzył im najwięcej zmartwień, a mając na względzie, że inny był narkomanem, to mocno powiedziane. Jednak nie mogę sobie wyobrazić żadnego ważnego powodu, dla którego można by tak małego chłopca odsunąć od jego domu, od rodziców i braci i zachowywać się tak, jakby nie żył. Wiedziałeś, że rozebrali jego pokój, kiedy wysłali go do Madrytu w wieku dwunastu lat? Za każdym razem, gdy Álvaro wracał do domu, musiał spać w pokoju gościnnym, jak ktoś obcy, kto nie ma miejsca we własnym domu.

Milczał przez kilka sekund, zastanawiając się nad konsekwencjami swoich słów.

– Ty chodziłeś z nim do szkoły, myślisz, że to mogło się wziąć stąd, że w tym wieku zaczęły się uwidaczniać jego tendencje homoseksualne?

– W wieku dwunastu lat Álvaro nie był zniewieściały ani delikatny, ani wyjątkowo wrażliwy; jeśli to masz na myśli, to muszę powiedzieć, że nie, raczej wprost przeciwnie. Był szczupły i umięśniony, ale niezbyt silny, pamiętam, że zawsze miał poobijane kolana... Nie będąc szczególnie zadziornym, nie uciekał przed konfrontacjami, chociaż te kilka razy, kiedy widziałem, jak bił się z innym chłopakiem, zawsze było w obronie jego brata Santiaga.

– Herminia mi powiedziała, że kiedy Santiago był mały, nie miał wielu kolegów...

– Przede wszystkim dlatego, że był papłą i zawsze pakował się w kłopoty. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby w pobliżu nie było Álvaro, który stawał w jego obronie. Pamiętam, że wśród kolegów nikt go nie znosił: był męczący i zawsze się do nas przyczepiał, przypuszczam, że to typowe dla młodszych braci. Wydawało się, że fascynowało go wszystko, co robił Álvaro. I pamiętam, jak podczas przerw albo po wyjściu ze szkoły nieraz robiliśmy wszystko, żeby go zmylić i od niego uciec; przypuszczam, że zachowywaliśmy się dosyć okrutnie, ale byliśmy tylko dziećmi... Wiesz, jak to jest. Trzeba jednak przyznać, że Santiago był nudziarzem.

– Jego matka z przyjemnością się wyżywała: powiedziała, że dwóch jej synów urodziło się bez charakteru, a Álvaro miał go aż w nadmiarze, tyle że według niej został źle wykorzystany.

Lucas zacisnął usta i pokręcił głową, ewidentnie odrzucając wspomnienie, które musiał przywołać.

– Wiem, o czym mówiła markiza. Álvaro ciągle sprzeciwiał się swoim rodzicom i ich nie słuchał. Przede wszystkim chodziło o jego kolegów, wszyscy byli biednymi chłopcami z wioski. Zawsze gdzieś z nimi chodziliśmy: do lasu albo nad rzekę, żeby się kąpać. Możliwe, że z dzisiejszej perspektywy nie wydaje się to tak poważne, ale dla ojca Álvaro

klasa społeczna była granicą nie do przejścia, a to, że jego syn uparcie zadawał się z niewłaściwym towarzystwem, było dla niego wielkim wstydem. Między ósmym a dwunastym rokiem życia był stale karany, chociaż to nigdy nie stanowiło dla niego przeszkody: uciekał przez ogród należący do pazo, a potem na przełaj aż do starego opuszczonego gospodarstwa, gdzie zazwyczaj się spotykaliśmy. Ciągłe pojawiała się groźba wysłania go do internatu i ojciec ostatecznie dotrzymał słowa. – Lucas wzruszył ramionami. – Z drugiej strony to było normalne, że chłopcy z dobrych rodzin, którzy zeszli na złą drogę, byli posyłani do bardzo drogich szkół z internatem, gdzie mogli się zadawać z chuliganami ze swojej klasy społecznej. Po pierwszym roku wrócił na wakacje, ale później już nie, chyba tylko na Boże Narodzenie... Nigdy jednak nie zostawał dłużej niż dwa albo trzy dni, po czym wysyłali go z powrotem do Madrytu.

– Na całe wakacje zostawiali go w Madrycie?

– Jeździł na obozy, kolonie, wakacji nigdy nie spędzał w domu. Kiedy zaś osiągnął pełnoletność, już więcej nie wrócił, aż do śmierci swojego ojca... A przynajmniej taka była oficjalna wersja.

Manuel postawił kieliszek na stoliku między hamakami. Nachylił się i popatrzył na Lucasa, oczekując wyjaśnienia.

– Pewnie ci powiedzieli, że skłonności Álvara i fakt, że wziął z tobą ślub, były dla wszystkich zaskoczeniem.

– Tak...

– A więc nie dla wszystkich to był sekret. Chociaż Álvaro nie wrócił do domu, to ojciec nadal pokrywał jego wydatki, opłacał jego studia do chwili, aż syn całkowicie się uniezależnił. Nie sądzę, by jego działania były podyktowane szczodrością albo troską, myślę, że zrobił to, ponieważ uważał za haniebne, by syn słynnego w kraju arystokraty skończył, pracując na kasie w supermarkecie, i, co było jeszcze gorsze, by ktoś się o tym dowiedział.

Jestem pewien, że dla starego markiza mniej obelżywe było finansowanie stylu życia zagubionego syna niż pozwolenie, by zadawał się z gawiedzią. Kiedy Álvaro tutaj wracał, prawie ze sobą nie rozmawiali i przestali to robić, gdy definitywnie zerwał z rodziną, ale ojciec zawsze miał informacje o życiu, jakie Álvaro prowadził w Madrycie. Należał do tego typu ludzi, którzy mają wszystko pod kontrolą, przyjaciół i wrogów, tych, którzy go zadowolają, ale przede wszystkim tych, którzy mogą przysporzyć mu problemów, a Álvaro był właśnie problemem. – Opróżnił swój kieliszek, po czym ciągnął dalej: – Sam ci powiedziałem, że Álvaro nie miał kontaktu ze swoją rodziną aż do śmierci starego markiza, ale to nie do końca prawda. Wrócił tutaj raz, dziesięć lat temu. Jego ojciec kazał go wezwać, żeby z nim porozmawiać.

Manuel wyraźnie się wyprostował. Głęboko nabrał powietrza i skierował wzrok w ciemność, która już całkowicie dominowała nad horyzontem i na bezchmurnym wrześnieowym niebie, pełnym migoczących gwiazd, które zapowiadały kolejny słoneczny dzień. Dziesięć lat. Niemożliwe, by zapomniał tamtą datę. Mieszkali razem od dłuższego czasu, ale kiedy w dwa tysiące piątym roku przyjęto ustawę, która wszystkim przyznawała prawo do zawarcia małżeństwa, ustalili termin i pobrali się w Boże Narodzenie następnego roku. W grudniu obchodziliby dziesiątą rocznicę ślubu.

– Opowiedz mi o tym – poprosił.

Lucas skinął ze smutkiem, przygnieciony ciężarem słów, które bolały jeszcze przed ich wypowiedzeniem, ale które był winien Manuelowi po tym, jak przysiągł, że już więcej go nie okłamie.

– Stary markiz złożył mi pewną propozycję. Powiedział mniej więcej, nie zwracając się do niego po imieniu, że wie o jego skłonności i o życiu, jakie prowadzi w Madrycie, że przez te lata za sprawą agencji detektywistycznej miał informacje o wszystkim, co robił, że dał mu wystarczającą wolność, aby całymi latami żył tak, jak mu się podoba, sugerował nawet, że wie o twoim

istnieniu i że to nie ma żadnego znaczenia. „Każdy ma jakieś nałogi, wiem o tym, bo też mam swoje: zabawa, hazard, kobiety... Mężczyzna musi rozładowywać emocje”. Álvaro nie mógł uwierzyć własnym uszom: „Jestem chory, rak nie zabije mnie w ciągu dwóch dni, ale ostatecznie to zrobi, a kiedy tak się stanie, ktoś musi przejąć nadzór nad rodziną i interesami. Twoi bracia są zerami, a gdybym zapisał majątek twojej matce, oddałaby wszystko Kościołowi”. Powiedział, że ma świadomość, iż różnili się, odkąd był dzieckiem, ale że zawsze podziwiał go za odwagę. Dodał, że chociaż był pewien, że jego matka nigdy nie zaakceptuje „nałogu” Álvaro, a i jemu trudno było go zrozumieć, to mogłoby tolerować, że ma swoje słabości, podobnie jak miał je on sam. W tym momencie rozmowy Álvaro zaczął myśleć, że może ostatecznie jego ojciec, mężczyzna z innego pokolenia, który został wychowany w odmiennej tradycji, przyznawał, na tyle, na ile człowiek taki jak on byłby w stanie to przyznać, że się pomylił.

„Musisz wrócić do domu, Álvaro. Natychmiast postawię cię na czele interesów i przekażę ci wszystko, z wyjątkiem tytułu, który otrzymasz po mojej śmierci. Wkrótce nie będę się mógł zajmować naszymi sprawami i chcę wykorzystać czas, który mi pozostał, wiedząc, że wszystko zostało porządnie załatwione i że będziesz pilnował naszych interesów, kiedy mnie już nie będzie. Tylko ty potrafisz to zrobić i wiem, że za wszelką cenę będziesz dbał o nasze dobre imię. Wróć do domu, ożeń się z jakąś dziewczyną z dobrej rodziny i zachowuj pozory. Małżeństwa z rozsądku są czymś powszechnym wśród arystokracji: moje z twoją matką, uzgodnione przez naszych rodziców, jest najlepszym dowodem na to, że taki związek może być bardzo korzystny dla obu stron, a ty będziesz mógł wymykać się do Madrytu, żeby odetchnąć”. – Lucas zamilkł. Wciąż patrzył Manuelowi w oczy, mając świadomość ciężaru tych rewelacji i spodziewając się dostrzec w jego spojrzeniu pogodzenie się z faktami. – Manuelu, mówiłem ci, że

mylisz się co do oceny Álvaro, że to ich się wstydził, a nie ciebie. Álvaro, który słuchając ojca, zaczął myśleć, że może dokonał się cud i ten wreszcie go zaakceptował, znowu poczuł całe zło jego odrzucenia, jego nienawiści. Wstał, spojrział ojcu prosto w oczy i odpowiedział: „Dam ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon”.

– Tak powiedział szatan do Jezusa, rzucając świat do jego stóp... – wyszeptał Manuel.

Lucas skinął od razu. Duma z jego przyjaciela była zauważalna w tym, jak ksiądz się wyprostował, przywołując słowa Álvaro, w sposobie, w jaki patrzył Manuelowi w oczy, prowokacyjnie.

– Jego ojciec nie odpowiedział. Odwrócił wzrok, kręcąc głową z nieskończoną pogardą. Wiesz już, co stało się później: Álvaro wrócił do Madrytu i wziął z tobą ślub. Przez lata nie utrzymywał żadnego kontaktu ze swoją rodziną, będąc przekonany, że wraz z tą odmową i nieposłuszeństwem skończył z nimi na zawsze. Dlatego przeżył wstrząs, gdy po śmierci ojca Griñán zakomunikował mu, że to on został dziedzicem.

– I Álvaro ostatecznie się zgodził – wyszeptał Manuel ze wstrętem.

– Nie sędzę, by miał inne wyjście. To, co ojciec powiedział o jego braciach, było prawdą. Jeśli Álvaro w ogóle się zastanawiał, czy przyjąć tytuł, czy nie, to sprawy w okropny sposób przyspieszyły wraz ze śmiercią Frana. Naprawdę, Manuelu, nie sędzę, by mógł wybierać, ale i tak to zrobił, tylko dokładnie na odwrót, niż chciał jego ojciec. Swoje prawdziwe życie prowadził razem z tobą w Madrycie, a tutaj to drugie, ukryte.

– Ale dlaczego, Lucasie? Wszystko to, o czym mi opowiadasz, czyni z niego bohatera: pogarda ze strony ojca, decyzja o tym, by żyć własnym życiem, by wybrać mnie, rezygnując ze wszystkiego, co oferował mu ojciec. Ale dlaczego ciągnął to później? Dlaczego dalej ukrywał mnie przed swoją rodziną, skoro jego ojciec zmarł? Z powodu matki i brata? Na miłość boską!

Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Myślisz, że bardziej traumatyczne byłoby dla nich, gdyby poznali mnie trzy lata temu niż teraz, w takich okolicznościach?

Lucas spojrział na niego zasmucony. Było oczywiste, że oddałby wszystko, aby udzielić mu odpowiedzi.

Manuel westchnął z rezygnacją. Zaczynał być pijany, a wino zdołało oszołomić go na tyle, żeby wykazał się zmysłem analitycznym wobec faktu, który normalnie oburzyłby go tak, że przesłoniłby mu zdolność logicznego myślenia.

– Jego matka powiedziała – kontynuował Manuel – że powodem, dla którego ojciec wybrał Álvara na swojego następcę, były jego naturalna skłonność do okrucieństwa i przekonanie, że dla rodziny zrobi wszystko, co tylko będzie konieczne, cokolwiek. I dodała coś jeszcze: że już to zrobił i że nie był to pierwszy raz... Ojciec powiedział mu to samo: „Będiesz zdolny do wszystkiego, żeby chronić interesy rodziny”. Dlaczego był tego taki pewien, Lucasie? Jego matka powiedziała, że nie pomylili się co do niego. Co to znaczy? Czym była ta zdolność do okrucieństwa Álvara, która sprawiła, że jego ojciec, pomimo nieposłuszeństwa syna, postawił go na czele rodziny?

Lucas uparcie kręcił głową.

– Nie wierz jej, Manuelu, niczego takiego nie było; powiedziała to tylko po to, żeby cię zranić.

Tego był pewien, ale wiedział też, że Kruk mówiła prawdę.

Za ich plecami pojawił się Daniel, stąpając po cichu.

– Na dzisiaj skończyliśmy, pracownicy bodegi już odjeżdżają, jutro zaczynają wcześniej rano. – Zauważył puste butelki na stoliku i dodał: – Mógłbym zostawić wam klucz, żebyście jeszcze posiedzieli, ale myślę, że będzie lepiej, jeśli odwiozę was do domu.

– Tak, tak będzie lepiej – powiedział Manuel, podnosząc się z trudem i uśmiechając się do Lucasa i do Kawy, który ziewnął, gdy się przeciągał.



BRZYDOTA

anim otworzył oczy, poczuł ostry blask porannego światła, żałując, że wieczorem zapomniał zamknąć drewniane okiennice. Dostrzegł rozczarowujący szarawy świt, który przeczył pierwszemu wrażeniu związanemu z jasnym światłem. Usłyszał niemal metaliczne dzwonięcie kropel o szyby. Nieśmiałe słońce, które torowało sobie drogę między chmurami, niedbale rzucało blask, tutaj oświetlając drzewo, tam budynek, niczym światło punktowe w eksperymentalnej sztuce teatralnej.

Nie był w stanie określić godziny, chociaż pomyślał, że musiało być rano, wczesna pora kolejnego dnia. Uświadomił sobie, że przyjął nowy system, aby mierzyć swój czas – rodzaj kalendarza, w którym wszystkie dni zlewały się w jeden. Początkowe zamieszanie, poczucie chaosu, jakiego doświadczył podczas pierwszych dni, teraz zostało zrównoważone powolną łagodnością, która zakładała zgodę na to, przyznanie się, że było mu wszystko jedno,

ponieważ Álvaro wraz ze swoją śmiercią zabrał jakikolwiek sens pozwalający Manuelowi rozróżnić jeden dzień od drugiego. Uświadomienie sobie tego zapewniało mu spokój, akceptacja oznaczała pogodzenie się z pustką, objęcie nicości, litościwej nicości, w której mógł żyć, nie pozwalając na to, żeby ból po kawałku wyrywał mu duszę. Delikatne chrapanie Kawy w połączeniu z deszczem uderzającym w szybę potęgowało poczucie spokoju i ukojenia. Czuł rytmiczny oddech małego ciała przyklejonego do swojej nogi. Usiadł i stwierdził z zaskoczeniem, że poprzedniego wieczoru zapomniał nie tylko zamknąć okiennice – powierzchnia łóżka była pomięta i rozmemłana, ale narzuta leżała na swoim miejscu; nie zdjął jej i wciąż miał na sobie ubranie z ubiegłego dnia. Nachylił się, żeby pogłaskać psa.

– Dzięki, Kawa, że przyprowadziłeś mnie do domu.

Pies otworzył oczy i ziewając, spojrzał na niego z ukosa.

– To musiałeś być ty, bo ja niczego nie pamiętam – powiedział z uśmiechem.

W odpowiedzi Kawa zeskoczył z łóżka, podszedł do drzwi wejściowych i usiadł przy nich, by pokazać, że czas na spacer. Telefon komórkowy zawibrował na stoliku nocnym, wywołując dźwięczne, głośnie echo na lichym drewnie mebla. Manuel odebrał i usłyszał władczy głos Nogueiry:

– Dojeżdżam do pańskiego hostelu. Proszę zejść, mamy robotę.

Nie odpowiadając, odsunął telefon na tyle, żeby móc sprawdzić godzinę na ekranie: była dziewiąta rano. Rzucił pytające spojrzenie psu, który cierpliwie czekał przy drzwiach, i znów przyłożył telefon do ucha.

– Nie pamiętam, żebyśmy się umawiali...

– Bo tego nie zrobiliśmy, ale są nowe informacje.

Słuchając Nogueiry, obserwował swoje odbicie w lustrze. Potrzebował prysznicza i czystego ubrania, musiał się ogolić.

– Proszę posłuchać, Nogueira, trochę mi to zajmie. Niech pan poprosi właściciela, żeby przygotował panu jajecznicę z chorizo, jajka ma od własnych kur. I niech dopisze to do mojego rachunku.

Nogueira nie protestował.

– W porządku, ale proszę się pospieszyć.

Zanim porucznik się rozłączył, Manuel spojrział na Kawę, który niezłomnie czekał przy drzwiach, i dodał:

– Nogueira, Kawa musi wyjść na spacer. Właśnie schodzi na dół, proszę otworzyć mu drzwi baru, żeby mógł wyjść, on już wie co i jak...

Uśmiechnął się, kiedy uchylał drzwi, żeby wypuścić psa, i rozłączył się, ucinając protesty porucznika, który złościł się po drugiej stronie linii.

Siedzący przy oknie Nogueira siorbał powoli kawę i jadł babeczkę owocową. Na stole stał talerz i już po samych tłustych plamach można było wywnioskować, że gwardzista posłuchał jego rady. Manuel pospiesznie wypił kawę, odmawiając jedzenia, i uśmiechnął się, gdy przed wyjściem z lokalu zobaczył, jak porucznik bierze ze spodka ciasteczko, które podają do kawy, a którego Manuel nie zjadł. Podczas gdy Nogueira tradycyjnie palił papierosa, on spoglądał w niebo, podziwiając delikatny i spokojny rytm, z jakim mżyło. Przypominał sobie rozgwieżdżone niebo z poprzedniego wieczoru, z którego to widoku odważył się przepowiedzieć, że następnego dnia nie będzie padać.

– Jedziemy moim samochodem – powiedział Nogueira.

Niemal naśladowując spojrzenie Kawy, Manuel popatrzył na gwardzistę z ukosa, myśląc o swoim postanowieniu, by nie być zależnym od Nogueiry i mieć możliwość zniknięcia, jeśli wymagałaby tego sytuacja. Wtedy przypomniał sobie, że nie ma samochodu. Poprzedniego wieczoru, po dwóch butelkach wina, Daniel odwiózł go do hostelu, obiecując, że przed południem pošle dwóch pracowników, aby przyprowadzili mu auto.

– A Kawa?

– Położyłem koc – odparł gwardzista, unikając jego wzroku i mając świadomość, że Manuel patrzył na niego ze zdumieniem.

Wpuścił psa, wsiadł do samochodu i milczał do chwili, aż wyjechali na główną drogę.

– Powie mi pan, gdzie jedziemy tak wcześnie? Przypuszczam, że o tej porze kluby nocne są zamknięte.

Nogueira rzucił mu szybkie złowrogie spojrzenie i przez chwilę Manuel myślał, że każe mu wysiąść z samochodu i iść w deszczu. Ale kiedy się odezwał, zrobił to spokojnie.

– Jedziemy do domu Antonia Vidala, Toñina, męskiej prostytutki, do której dzwonił Álvaro.

Manuel wyprostował się na siedzeniu i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale gwardzista mu to uniemożliwił, wyjaśniając:

– Dzisiaj rano zadzwoniłem do kontaktu z komendantury, żeby potwierdził mi jego adres, i poinformował mnie, że kilka dni temu ktoś z rodziny złożył zawiadomienie o zaginięciu. Zobaczymy, co nam powie.

Manuel się zamyślił, przeklinając każdy z kroków, który musiał wykonać, podążając śladami Álvaro. Nie posłuchał głosu mówiącego mu w głowie, żeby nie szedł do tego domu, żeby tego nie robił, ponieważ to, co tam spotka, będzie go bolało. Spojrzał ukradkiem na porucznika, który właśnie skręcił i prowadził pogrążony w myślach. Był świadomy wpływu, jaki miały na niego jego uwagi: koc, żeby pies mógł pojechać jego samochodem, sposób, w jaki powstrzymywał się od protestów, kiedy Manuel kazał mu czekać... Na swój sposób stanowiło to przeprosiny albo przynajmniej zawieszenie broni, a skoro Nogueira mógł się powstrzymać, to on też musiał to zrobić.

Osiedle Os Martiños położone było na wzniesieniu, wyasfaltowanym

tylko do połowy drogi; dalej przez kilka kilometrów rozciągał się pas z szorstkiego betonu, który sprawiał, że trzęsła się karoseria samochodu. Beton zamienił się w pstrokaciznę z błota i mielonego gruzu, która leżała aż do samych drzwi jednopiętrowych domów. Niektórzy właściciele wysilili się, nadając swoim budynkom pewnego dostojęstwa poprzez ustawienie geranium w plastikowych pojemnikach i ułożenie ścieżek z luźnych płyt, które prowadziły do drzwi frontowych i które w różnym stopniu tonęły w błocie. Większość domów wyglądała na chaotyczne i niedokończone, co Manuel zaobserwował już na wielu budowlach, odkąd przyjechał do Galicji, i co w tym miejscu najbardziej rzucało mu się w oczy. Mieszanina zgromadzonych materiałów przy wejściach i niedokończone prace budowlane nadawały tym konstrukcjom nędznego, szczerbatego wyglądu, a to w połączeniu z niespieszną mżawką idealnie oddawało smutek miejsca, w jakim się znajdowali.

– Galisyjska brzydota – stwierdził Nogueira.

– Co? – odparł Manuel, wrywając się z zamyślenia.

– Brzydota, ten nasz okropny zwyczaj, by wszystko robić połowicznie; wywodzi się z tradycji przekazywania małych kawałków ziemi dzieciom, żeby zbudowały sobie swoje domy. Stawiało się ściany i dach, a kiedy można było się wprowadzić, brano ślub i krok po kroku kończono budowę... Bez żadnych planów, bardzo często bez pozwolenia i konsultacji z fachowcami. To rodzaj budownictwa, który kieruje się bardziej potrzebą chwili niż estetyką. Brzydota.

Manuel przyglądał się ścianom z czerwonej cegły, na których dało się dostrzec resztki zaprawy murarskiej wystające ze spoin, oraz oknom wbudowanym w fasady, gdzie obok w wielu przypadkach stały jeszcze rusztowania. Przy wejściach do wielu domów leżały sterty cementu, piasku i gruzu.

- Ale że brzydota?
- Chyba pan nie zaprzeczy, że to jest diabelsko brzydkie...
- No cóż – odparł Manuel – rodzaj budowli wskazuje na brak pieniędzy.

Może...

– Jaki tam znowu brak! – wykrzyknął Nogueira. – To normalne, że przed tymi domami widzi się zaparkowane samochody za pięćdziesiąt tysięcy euro. Takie coś nie ma nic wspólnego z brakiem pieniędzy, tylko z kulturą typu „dobra, tak jest w porządku”, „tak już wystarczy”. W wielu przypadkach budowę domu kończy dopiero drugie pokolenie.

Nogueira sprawdził adres w swoim małym notatniku w skórzanej oprawie i zatrzymał samochód przed domkiem na planie kwadratu, na którego dachu antena telewizyjna górowała niczym flaga na wieży. Czerwonawa balustrada oddzielała wejście do domu od drzwi garażowych, które sprawiały wrażenie, jakby nie były otwierane od lat. Przed wejściem znajdował się około dwumetrowy pas wyłożony płytkami, a po obu stronach drzwi w kwietnikach z betonowych brył rosły rachityczne drzewka. Płytki pokrywała ciemna plama oleju. Nie było żadnego sygnału świadczącego o tym, że ktoś jest w środku. Tylko w oknie przyległego domu dostrzegli wyraźnie pomarszczoną twarz staruszki, która obserwowała ich ostentacyjnie.

– Proszę pozwolić, że ja będę mówił – uprzedził Nogueira jeszcze w samochodzie. – Pan niech się nie odzywa. Pomyśli, że jest pan z korpusu, a my nie będziemy wyprowadzać jej z błędu. I proszę zostawić psa w aucie – powiedział, oglądając się za siebie. – Odbiera nam wiarygodność.

Kawa rzucił mu jedno ze swoich krzywych spojrzeń.

W deszczu pospiesznie podeszli do wejścia. Nogueira zignorował dzwonek, kilka razy uderzając pięścią w malowane drewniane drzwi, co Manuelowi przywiodło na myśl pukanie do jego mieszkania sprzed kilku dni.

Otworzyła im kobieta około siedemdziesiątki, owinięta w wełniany

szlafrok, na który włożyła fartuch. Oczy miała zmętniałe z powodu katarakty, a prawe było wilgotne i zaczerwienione niczym oko wielkiej ryby.

– Dzień dobry – przywitał się Nogueira zawodowym tonem, którego przez lata używał jako funkcjonariusz Gwardii Cywilnej. Kobieta wyszeptała coś w odpowiedzi, a on mówił dalej: – Czy zgłosiła pani zaginięcie Antonia Vidala?

Staruszka podniosła obie ręce do twarzy, jakby chciała powstrzymać pytanie, które już wymykało jej się z ust.

– Coś mu się stało? Znaleźli panowie mojego Toñina?

– Nie, proszę pani, nie znaleźliśmy go. Czy możemy wejść?

Z jej reakcji wynikało, że wzięła ich za policjantów. Podczas gdy Nogueira mówił, ona otworzyła drzwi na oścież i odsunęła się, by zrobić im miejsce.

– Proszę – powiedziała i pokazała w stronę wejścia.

Dom składał się tylko z jednego pomieszczenia głównego, z którego przechodziło się do pozostałych, i kobieta zamieniła je na zbyt formalną jak na ten dom jadalnię. Duży owalny stół i ustawionych wokół niego osiem krzeseł, ciemny wypolerowany kredens, na którym stał drogocenny komplet porcelany, nigdy nieużywanej zgodnie ze swoim przeznaczeniem, wazon ze sztucznymi różami i mała drewniana kapliczka ze świętą figurą w środku, którą – wedle zwyczaju – parafianie po kolei przyjmowali do swoich domów. Przed nią paliła się mała lampka olejowa. W rogu były poustawiane różne pudełka z lekarstwami.

– Proszę usiąść – zaproponowała kobieta, odsuwając od stołu dwa krzesła.

Nogueira nadal stał naprzeciwko niej, a Manuel oddalił się o kilka kroków, żeby przyjrzeć się z bliska lampce podtrzymywanej na korku oraz kawałkowi karty do gry unoszącemu się na mętnej wodzie i złotym oleju.

– Myślałam, że nie ruszycie nawet palcem, skoro on miał problemy z narkotykami... Teraz nikt się nim nie interesuje – powiedziała, spoglądając na Manuela.

– Czy to pani złożyła zawiadomienie? – zapytał Nogueira.

– Tak, jestem jego ciotką. Toñino mieszka ze mną od dwunastego roku życia, żyjemy tu tylko we dwoje. Jego ojciec zmarł, a matka, no cóż, odeszła wiele lat temu i słuch po niej zaginął. Lekarze powiedzieli, że mój brat zmarł na serce, ale mnie się wydaje, że to z powodu cierpienia. Ona nie była dobrą żoną – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Pani ma na imię Rosa, prawda? – zapytał Nogueira, ucinając wywód, który kobieta chętnie prowadziłaby dalej.

– Rosa María Vidal Cunqueiro, w maju skończę siedemdziesiąt cztery lata – wyrecytowała kobieta, wyjmując z kieszeni fartucha chusteczkę z materiału i przykładając ją do prawego oka, które było zmętniałe i z którego spłynęła duża łza.

Manuel odwrócił wzrok.

– Dobrze, Rosa María, złożyła pani zawiadomienie o zaginięciu bratanka tydzień temu, w zeszły poniedziałek, zgadza się?

Manuel ponownie spojrzał na Nogueirę. Rozmawiając z kobietą, gwardzista przybrał inny, nieznany ton, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszał, niemal jakby rozmawiał z małą dziewczynką, pełen cierpliwości i czułości.

– Zgadza się – odpowiedziała kobieta z poważnym wyrazem twarzy.

– A od kiedy Antonia nie ma w domu?

– Nie ma go od piątkowego wieczoru, kiedy wyszedł, ale ja się tym nie przejęłam, wie pan, bo on jest młody i ciągle wychodzi w weekendy. Jeśli nie wraca na noc, zawsze mnie zawiadamia, żebym się nie martwiła. Czasem zostaje u jakiegoś kolegi i dzwoni nawet w środku nocy. Ale zaczęłam się

martwić, kiedy nie wrócił w sobotę...

Manuel wypuścił z płuc całe powietrze, odwracając się ze smutkiem do zbyt niskiego okna, które wychodziło na przygnębiające podwórko pogrążone w strugach deszczu. Nogueira nie mógł tego nie zauważyć. Pisarz potrafił łączyć fakty, a zniknięcie chłopaka plus wizyta Álvara dawały kolejną krzywdę.

– I od tamtej pory nie ma pani wieści o swoim bratanku? – kontynuował Nogueira, skupiając uwagę na kobiecie.

– Nie, proszę pana. Dzwoniłam już do wszystkich jego kolegów, których znam, i do wszystkich krewnych – powiedziała, wskazując na stary model ściennego telefonu. Między aparatem a framugą drzwi ktoś przykleił plastrem długi kawałek papieru, na którym wielkimi znakami wypisano serię numerów.

Nogueira wykonał taki gest, jakby o czymś sobie przypomniał.

– Jak się nazywa ten przyjaciel pani bratanek? Ten, który zawsze się z nim trzyma.

– Mówi pan o Ricardzie, ale już do niego dzwoniłam i o niczym nie wie.

– Kiedy z nim pani rozmawiała?

– Od razu w sob..., nie, w niedzielę.

– I nie zadzwonił do pani ani tutaj nie przyszedł?

– Nie, proszę pana, Ricardo nie. Codziennie dzwoni inny kolega, ale nie pamiętam, jak się nazywa. To on mi poradził, żebym złożyła zawiadomienie.

– Tak więc – powiedział Nogueira, udając, że zapisuje coś w swoim małym notatniku – pani bratanek nie wrócił do domu w piątek w nocy, w sobotę zaczęła się pani niepokoić, a w niedzielę złożyła zawiadomienie.

– Zgadza się, proszę pana... Już wiedziałam, że coś mu się stało.

Manuel rzucił Nogueirze zmartwione spojrzenie.

– A skąd pani o tym wiedziała? – dopytywał gwardzista.

Staruszka znowu wytarła sobie oko.

– Niech pan posłucha, znam mojego bratanka, ma wiele wad, tak jak wszyscy – powiedziała, patrząc teraz na Manuela. – Ja też je mam, trzeba się do tego przyznać, ale to dobry chłopak, który wie, że jeśli nie zadzwoni, to ja się zamartwiam. I dlatego odkąd dorósł i zaczął wychodzić, jeśli ma zostać na noc u jakiegoś kolegi, zawsze mnie zawiadamia i mówi: „Ciociu, proszę się nie martwić, zostaję u tego czy owego, proszę spać spokojnie”. Bo on wie, że jeśli tak nie postąpi, to ja nie śpię. Ten mój Toñino to dobry chłopak i nie zrobiliby mi tego...

Podniosła chusteczkę i tym razem przetarła oboje oczu. Płakała. Manuel popatrzył na nią zdumiony.

– Stało mu się coś złego... Wiem o tym – powiedziała staruszka ze łzami w oczach.

Nogueira podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

– Nie, zobaczy pani, że się pojawi, przyjdzie tu z kolegami. Po prostu zapomniał zadzwonić.

– Pan go nie zna – zaprotestowała kobieta. – Musiało mu się coś stać, bo wiedział, że miał mi wpuścić krople i... – powiedziała, pokazując na lekarstwa ustawione na kredensie. – To on zawsze mi je wpuszcza, dwa razy dziennie, rano i wieczorem. A teraz od kilku dni tego nie robię, bo sama nie mogę. – Rozłożyła chusteczkę, zakryła nią twarz i płakała.

Usta Nogueiry zamieniły się w wąską kreskę pod wąsami. Chwytając kobietę pod rękę jak zatrzymanego, tyle że z wielką ostrożnością, poprowadził ją do krzesła.

– Proszę się uspokoić, przestać płakać i usiąść. Które krople trzeba pani wpuścić?

Kobieta opuściła chusteczkę.

– Te w różowym opakowaniu, dwie do każdego oka.

Nogueira spojrział na ulotkę lekarstwa, nachylił się nad staruszką i zrobił, o co go prosiła.

– Tutaj jest napisane, że przez chwilę będzie pani widzieć jak przez mgłę, więc proszę spokojnie poczekać, aż będzie wyraźniej. Proszę się nie przejmować, ja zamknę, wychodząc – powiedział, dając znak Manuelowi i kierując się w stronę drzwi.

– Niech Bóg to panu wynagrodzi! – powiedziała kobieta, patrząc w sufit.
– I proszę, niech pan znajdzie mojego Toñina! Jeśli nie, to co ja sama pocznę?

Nogueira zatrzymał się w progu, rzucił okiem na podwórko, znów spojrział na płamę oleju na płytkach i zwrócił się do kobiety.

– Proszę pani, czy bratanek ma samochód?

– Tak, ma, kupiłam mu, bo potrzebował do pracy, ale później z tą pracą nie wyszło dobrze...

– Powiedziała pani funkcjonariuszowi, z którym rozmawiała, że zniknął też samochód?

Kobieta zasłoniła ręką usta.

– Nie, uważa pan, że to jest ważne? Nie pomyślałam o tym.

– Proszę się nie przejmować, przekażę koledze. Jeszcze tylko jedno: jakiego koloru jest samochód?

– Białego, proszę pana.

Nogueira zamknął drzwi i powoli wypuścił z płuc całe powietrze. Przestało padać, ale wokół wyczuwało się wilgoć, która opadała powoli, mocząc wszystko na swojej drodze.

Odeszli od drzwi, a wtedy Manuel powiedział:

– Białe.

– Tak – odparł zamyślony porucznik – ale to jeszcze nic nie znaczy: to najtańszy kolor i najczęściej spotyka się właśnie białe furgonetki, bardzo popularne na wiejskim obszarze. Powiedziałbym, że prawie wszystkie gospodarstwa mają takie pojazdy.

– Myśli pan, że kobieta ma rację i coś mogło mu się stać?

– Cóż, ma rację co do tego, że w takich przypadkach jak ten policja nie wysiła się za bardzo, żeby prowadzić poszukiwania. Chłopak jest narkomanem, ale też męską prostytutką; mógł dostać jakąś propozycję i nie zastanawiał się dwa razy. Ci, którzy zajmują się prostytutką, tacy są, ale...

– Ale? – dopytywał Manuel.

– Ale wierzę też w to, co mówi Rosa María. Jasne, że ona jest jego ciotką i uważa, że jej bratanek to aniołek, ale chodzi o to, że kobieta prawie nie widzi, a dom jest wysprzątany na błysk, i nie sędzę, by to ona sprzątała. Ma tak poskręcane palce, że prawdopodobnie cierpi na artretyzm. Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na tę listę numerów obok telefonu. Wygląda na to, że Toñino też zadał sobie trud, by były wypisane dużymi literami, aby ciotka mogła je zobaczyć. Wierzę jej, kiedy mówi, że zawsze dzwonił, jeśli miał nie wrócić do domu. Moja matka też taka była i wolałem zadzwonić, niż zastać ją wycieńczoną po nieprzespanej nocy, czekającą na mój powrót, i potem wysłuchiwać wyrzutów przez cały dzień.

Podobnie jak za każdym razem, gdy Nogueira uświadamiał sobie, że wymknęło mu się coś na temat jego prywatnego życia, zareagował tak, jakby okazał słabość, odwracając wzrok i uciekając przed spojrzeniem Manuela. Pisarz obserwował go, zaskoczony tym wyznaniem, które w połączeniu z serdecznym zachowaniem wobec starszej pani zabrzmiało jeszcze bardziej intymnie.

Po chwili porucznik znowu na niego spojrzął, żeby wyliczyć to, co zauważył.

– Ale nie chodzi tylko o czysty dom albo listę numerów: lekarstwa były ustawione zgodnie z godzinami, a mazakiem, dużymi literami, napisano, na co jest każde z nich. Według mnie ten chłopak dba o swoją ciotkę i podejrzewam, że, jak mówi ona, coś musiało mu się stać i dlatego do niej nie zadzwonił. Doskonale wie, że ta kobieta nie może funkcjonować sama.

– Kajman z sercem... – zauważył Manuel sceptycznie.

– Często się zdarza, że najbardziej okrutne osoby je mają, i to właśnie potrafi zmylić; gdyby dobrzy byli dobrzy, a źli po prostu źli, świat byłby dla mnie znacznie prostszy. Z drugiej strony niepokoi mnie zachowanie jego przyjaciela, Ricarda, wołają na niego Richi; są nierozłączni. Ciotka dzwoni do niego, by mu powiedzieć, że Toñino nie wrócił do domu, a on reaguje tak spokojnie... Jak dla mnie możliwości są dwie: albo wie, gdzie jest, albo wie, przed czym się ukrywa, i już zdał sobie sprawę, że jego zniknięcie zbiega się z wizytą Álvara.

Zaniepokojony Manuel odwrócił wzrok.

– Może to nie ma żadnego związku... – przyznał Nogueira, prawdopodobnie po raz pierwszy okazując mu szacunek.

Manuel nie podziękował. Zbył temat pytaniem.

– A ten drugi, ten, który wydzwaniał?

– Możliwe, że to klient, ale z racji tego, że poradził jej, by złożyła zawiadomienie, zapewne nic nie wie.

Manuel popatrzył na domy na osiedlu Os Martiños, które rozciągały się w dół wzgórza.

– I co teraz?

– Teraz odwiozę pana do hostelu, proszę się jeszcze przespać; zarówno pies, jak i pan wyglądacie na skacowanych – powiedział, rzucając okiem na Kawę, który nie ruszył się ze swojego koca na tylnym siedzeniu. – Ja porozmawiam z moim informatorem, żeby włączono samochód Toñina do

poszukiwań, auta łatwiej wytropić niż ludzi, a dzisiaj wieczorem wybierzemy się na wycieczkę do Lugo, żeby odwiedzić Richiego. Musi nam opowiedzieć, dlaczego nie przejmuję się zniknięciem swojego przyjaciela. Ale wcześniej... – dodał, wskazując podbródkiem w stronę przyległego domu. – Wcześniej złożymy wyrazy uszanowania sąsiadce.

Zrobił krok do przodu i zobaczył, że za oknem na parterze przyległego domu kobieta, która widziała ich po przyjeździe, pokazywała im, żeby podeszli.

Stojąca za firankami, była idealnym przykładem braku dyskrecji: pomijając bezczelność, z jaką obserwowała ich zza okna, kiedy przyjechali, zdradziło ją to, w jaki sposób ich powitała, zupełnie inaczej niż tamta staruszka. Uchyliła drzwi, wsadzając przez szparę spiczasty nos, i obwąchała ich jak wyżeł, po czym otworzyła nieco szerzej, wystarczająco, by mogli zobaczyć, że miała na sobie szlafrok, spod którego wystawały koronki koszuli nocnej.

– Panowie są z policji, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Przypuszczam, że przyjechali panowie z powodu Toñina. Znów go zatrzymali? Nie widzę go już od kilku dni...

Nogueira nie odpowiedział na jej pytania. Zamiast tego uśmiechnął się szeroko i poprosił zawodowym tonem:

– Dzień dobry, proszę pani. Czy byłaby pani tak miła i poświęciła nam kilka minut?

Wyraźnie zadowolona, kobieta uśmiechnęła się, ściskając pasek szlafroka i z udawaną ostrożnością przytrzymując klapy wokół szyi.

– Oczywiście, ale muszą mi panowie wybaczyć, nie miałam czasu, żeby się ubrać.

– Och, proszę się nie przejmować, doskonale rozumiemy i dziękujemy za uprzejmość – odpowiedział Nogueira.

Kobieta się odsunęła i nieco szerzej otworzyła drzwi, żeby obaj mogli się wcisnąć do środka, gdzie pachniało biszkoptami oraz moczem kota.

– Ma pani bardzo piękny dom! – powiedział gwardzista, podchodząc do okien zasłoniętych cienkimi firankami, które pozwalały widzieć wszystko, co działo się na podwórku. – I jakie to szczęście, że ma pani takie widoki – dodał, uśmiechając się złośliwie.

Kobieta postawiła sobie przy parapecie zajmującą całą szerokość okna ławkę, która była przykryta poduszkami różnej wielkości i z różnych materiałów, ewidentnie wykonanymi przez nią samą. Manuel zauważył, że obok ławki leżą robótki szydełkowe i koszyk z nićmi, a na nim wyleguje się gruby kot, z pewnością odpowiadający za połowę zapachów w domu.

– Cóż, niech pan nie myśli, że jestem plotkarą czy kimś takim, życie innych mnie nie interesuje, ale bardzo lubię szyć, robić na drutach, szydełkować, a najlepsze światło mam tuż przy oknie, tak więc nawet jeśli człowiek nie chce, to... – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Oczywiście – zgodził się Nogueira.

– Tak naprawdę ogromnie mi żal Rosy Marí. Jesteśmy sąsiadkami od ponad czterdziestu lat i nigdy nie miałyśmy ze sobą żadnych problemów, ale jej bratanek to zupełnie inna sprawa. Stracił ojca, a matka się ulotniła i ja myślę, że Rosa María tak bardzo go kochała, że go rozpuściła – oznajmiła poważnym tonem. – Proszę posłuchać, nie chciałam zrobić mu krzywdy, ale mogłam donieść na niego tysiąc razy przez te awantury, które wywoływał: wcześniej codziennie mieliśmy tutaj ludzi krzyczących przed drzwiami, jego koleżków przyjeżdżających w środku nocy...

– A ostatnio? – zapytał Nogueira.

– Teraz mamy bardzo spokojny okres, nie licząc tego, co się stało w zeszłym tygodniu... – rzuciła kobieta, mając świadomość rosnącego zainteresowania Nogueiry.

– No cóż, to nie ma nic wspólnego z awanturami, które wywoływali wcześniej, to znaczy nie chodziło o narkomanów ani nikogo takiego.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – nalegał uprzejmie Nogueira, prowadząc kobietę na ławkę i siadając obok niej.

– Rosa María powiedziała mi, że bratankowi dobrze się wiedzie i że nawet zaczął pracować u swojego wuja w seminarium.

Manuel jej przerwał.

– W seminarium? W seminarium San Xoan?

– Nie ma innego – odparła chłodno kobieta. – Przeor seminarium jest bratem Rosy Marii i był też bratem ojca Toñina. Nie pierwszy raz go zatrudnił, żeby pomagał ogrodnikowi, przy drobnych pracach remontowych i naprawach w klasztorze, ale on nigdy nie wytrwał długo w żadnej pracy i tym razem było podobnie – powiedziała złośliwie.

– Proszę mówić dalej – zachęcał ją Nogueira.

– No więc ostatnio siedziałam tutaj i zajmowałam się swoimi rzeczami, kiedy zobaczyłam, tak samo jak dzisiaj zobaczyłam panów, samochód, który zatrzymał się naprzeciwko wejścia. Wsiadł z niego przeor seminarium; nie ma w zwyczaju tu przyjeżdżać, ale ja go widywałam i go znam. No i cóż, zaczął walić do drzwi i głośno wołać bratanka. Wyszła Rosa María, kłócili się na progu, bo nie pozwoliła mu wejść, a Toñino się nie pokazał, tylko schował za spódnicą ciotki i wyklócał się ze środka, ale było widać, że nie miał odwagi wyjść.

– Kiedy to było?

– W sobotę wczesnym popołudniem. Po obiedzie.

Zaskoczony Manuel spojrzął za Nogueirę, ale było oczywiste, że gwardzista już przejrzał kłamstwo ciotki Toñina. Mogła to zrobić tylko po to, żeby móc złożyć zawiadomienie: przed upływem dwudziestu czterech godzin od zaginięcia dorosłego, zdrowego na umyśle człowieka zawiadomienie nie

zostaje przyjęte.

– Jest pani całkowicie pewna, że to było w sobotę, a nie innego dnia, na przykład w piątek?

– Oczywiście, że jestem pewna, to było w sobotę – odpowiedziała urażona.

– Słyszała pani, co mówili?

– Słyszałam, bo właściwie krzyczeli, ale nie, żebym celowo podsłuchiwała rozmowy sąsiadów czy coś takiego...

– Oczywiście! – powtórzył Nogueira, chociaż tym razem zabrzmiał niemal sarkastycznie.

W każdym razie staruszce to umknęło, ponieważ kontynuowała:

– Przeor mówił: „Nie wiesz, z kim się zadajesz, to może mnie wykończyć”. I powiedział też: „To nie będzie tak zostawione”.

– Jest pani pewna, że tak właśnie powiedział?

Kobieta spojrzała na niego z oburzeniem.

– Było tak, jak panu opowiadam – odrzekła bardzo poważnie.

– Co się stało później?

– Nic więcej... Przeor odjechał, a po chwili Toñino wsiadł do swojego samochodu i zniknął. I do dzisiaj go nie ma.



DŻENTELMENI

edytnym znakiem zdradzającym istnienie Vulcano była żarówka oświetlająca prosty baner nad drzwiami, które gdyby znajdowały się w małej uliczce, uchodziłyby za wejście służbowe.

Manuel szedł w deszczu za Nogueirą. Samochód zostawili kilka ulic wcześniej, w strefie barów, która każdego innego wieczoru byłaby bardziej ożywiona niż w ten poniedziałkowy. Dwóch chłopców, którzy palili przy wejściu do lokalu, szukając znikomej ochrony, jaką zapewniała ściana budynku, odsunęło się, pozwalając im przejść.

Dekorator Vulcano nie musiał sobie zbytnio łamać głowy: lokal miał ciemne ściany, a na nich abstrakcyjne i fosforyzujące obrazy, które błyszczały w neonowych światłach. Mimo to miejsce było pełne życia i wiele par tańczyło na zaimprovizowanym parkiecie naprzeciwko baru. Nogueira szybko rozejrzał się po klubie i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę

grupy młodych mężczyzn pijących piwo bezpośrednio z butelek.

– Co za zbieg okoliczności, jest tutaj Richi!

Wspomniany chłopak odwrócił się niechętnie, podczas gdy jego koledzy pospiesznie się oddalili.

– Cholera, poruczniku, ale mnie pan przestraszył!

Nogueira popatrzył na niego, uśmiechając się z przekąsem. Był wyraźnie zadowolony.

– To znaczy, że planowałeś coś podejrzanego...

– Nie, jasne, że nie. – Chłopak starał się uśmiechnąć. – Po prostu się tu pana nie spodziewałem.

Manuel ocenił go na dwadzieścia kilka lat, może trochę więcej, chociaż jego dziecinny wygląd mógł go zmylić. Nagle pomyślał, że nie wie, jak prezentuje się Toñino. Też jest taki młody? Czy wygląda niezdrowo, co wydawało się typowe wśród męskich prostytutek? Na myśl o tym źle się poczuł.

Richi musiał to zauważyć, ponieważ zapytał:

– Co jest pańskiemu przyjacielowi?

– Nie martw się moim przyjacielem, Richi, choć akurat w twoim przypadku byłoby to coś nowego, bo nie martwisz się nawet o swoich.

– Nie wiem, o co panu chodzi – odparł wymijająco chłopak.

– Chodzi mi o to, że twój serdeczny przyjaciel, twój nierozłączny Toñino zniknął tydzień temu, a ty nie pofatygowałeś się nawet do jego domu, żeby zapytać, co się dzieje, a to każe mi myśleć, że może wiesz, gdzie jest i dlaczego się nie pojawia...

Chłopak już miał odpowiedzieć, ale Nogueira mu przerwał.

– I nie waz się mnie okłamywać. Powiedziałaś jego ciotce, żeby się nie martwiła, więc wyjaśnisz mi teraz, w co się wpakował twój przyjaciel

i dlaczego mamy się nie martwić.

Richi powoli wypuścił z płuc powietrze, po czym zaczął mówić.

– Dobrze, poruczniku, ale ja nic nie wiem, okej? Tylko to, co on mi powiedział.

Nogueira dał znak barmanowi, który postawił na barze trzy butelki piwa Estrella Galicia; jedną z nich porucznik podał Manuelowi.

– Opowiadaj – poprosił gwardzista, zabierając mu z rąk pustą butelkę i podając nową.

Chłopak upił łyk i kontynuował.

– Mówił, że los się do niego uśmiechnął, że ma coś poważnego, z czego wyciągnie mnóstwo kasy.

– Co to było?

– Nie wiem, nie chciał powiedzieć.

– Nie wierzę ci – stwierdził Nogueira z obrzydzeniem.

– Przysięgam, poruczniku, nie chciał mi powiedzieć, ale wspominał o tym, że zmieni swoje życie, że rzuci to wszystko – odparł, szerokim gestem pokazując na bar. – To musiało być coś dużego. Dzień przed wyjazdem powiedział, że wszystko jest gotowe, dlatego nie zdziwiło mnie, kiedy zniknął.

– I ja mam uwierzyć, że twój serdeczny przyjaciel, twój nierozłączny koleżka wyjechał, nie zostawiając ci nawet okruchów ani nie świętując tego z tobą?

Zniechęcony chłopak wzruszył ramionami.

– Co pan myśli, że my jesteśmy żołnierzami piechoty morskiej? Nie mamy żadnego kodeksu honorowego ani niczego w tym rodzaju. Tak, jesteśmy przyjaciółmi, ale tutaj przyjaciele już tacy są, każdy robi swoje, a jeśli pojawia się dobra okazja, żeby stąd zwać i zapomnieć o tym

wszystkim... Myśli pan, że inni by tego nie zrobili? Ja bym zrobił.

– Mówił ci, czy to, co miał w garści, było związane z markizami?

– Ma pan na myśli tych z pazo As Grileiras? – Uśmiechnął się. – Nie, nie wiem... Ale przypuszczam, że nie, z nimi prowadził inne interesy.

– A jednak powiedziałaś, że to było coś poważnego. Czyżby szantaż? Może groził komuś ujawnieniem, że bierze narkotyki, albo zdradzeniem upodobań swoich klientów?

– Co? Chyba pan oszalał, Toñino nie jest głupi, a w tym domu bierze nawet ta najchudsza. Nie zabija się krowy, która wciąż daje mleko.

Manuel pomyślał o Elisie biegnącej po ogrodzie za Samuelem i o słowach Herminii: „Jej syn ją uratował”. Odwrócił się ze wstrętem, postawił piwo na barze i ruszył w stronę wyjścia. Nogueira dogonił go przy drzwiach.

– Nic nie wie.

W deszczu wyszli na ulicę, teraz już pustą, i skierowali się w stronę samochodu.

Zanim Manuel i Nogueira ich zobaczyli, usłyszeli za plecami:

– Proszę, proszę, co my tutaj mamy!

Odwróciwszy się, dostrzegli dwóch uśmiechniętych mężczyzn, patrzących na nich ze środka chodnika. Manuel spojrzał nerwowo na pustą ulicę i zauważył trzeciego, który wyszedł na jezdnię spośród samochodów i przeciął im drogę. Wydawało mu się, że w oddali widzi niebieskie światła policyjnego samochodu.

Rozpoznał głos tego, który się odezwał, kiedy znowu zaczął mówić.

– Para pedałów, którzy się poderwali i jadą razem do domu, żeby wsadzić sobie w dupę.

Nogueira podniósł rękę.

– Mylicie się.

Ten, który mówił, zaśmiał się, jakby bardzo go to rozbawiło. Pozostali nie zawtórowali mu, ale Manuel zauważył, że ten, który był na drodze, stanął z tyłu, w ten sposób ich otaczając.

– Mówi, że się mylę. To może nie będą sobie wsadzać w dupę, tylko wolą obciąganie...

– Dla pana ten z tyłu – powiedział Nogueira.

– Jazda! – odparł Manuel, rzucając się na faceta za swoimi plecami.

Mężczyzna nie spodziewał się chyba takiej reakcji, ponieważ przyjął pięść prosto w lewe oko, zachwiał się, wsadzając nogę między chodnik a zaparkowany samochód, i stracił równowagę, a przy tym wahał się, czy dotknąć rękami twarzy, czy przytrzymać się, by nie upaść. Mimo to niemal instynktownie wyprowadził jeszcze prawy sierpowy, którym niezbyt mocno trafił Manuela w lewe ucho. Pozostali dwaj nie mieli czasu, żeby rzucić się na Nogueirę. Stanęli jak wryci, widząc broń, z której gwardzista mierzył do nich, jak na zawodowca przystało.

– I co teraz? – zapytał Nogueira, nie przestając do nich celować. – Kto teraz jest pedałem, co, skurwysyny? Co chcieliście zrobić, he?

– Nogueira – ostrzegł Manuel, wskazując na niebieskie światła, które zbliżały się z daleka.

– Spieprzać stąd, sukinsyny! – wykrzyknął gwardzista, podchodząc do Manuela i tupiąc nogą, co pisarzowi przypomniało sposób, w jaki Herminia chciała przepędzić kota trzymającego straż naprzeciwko jej kuchni.

Dwaj faceci pomogli temu, który znajdował się między samochodami, i odeszli, wlokąc go za sobą.

– I jak was tu jeszcze zobaczę, to wsadzę wam ten pistolet w dupę! – Gwardzista krzyknął za mężczyznami, którzy przyspieszyli kroku.

Manuel i Nogueira szli dalej i skręcili w pierwszą ulicę, zanim zdążył ich

minąć samochód patrolowy. Porucznik nie odezwał się słowem, aż wsiedli do auta i uruchomił silnik.

– Jak się czujesz?

Zaskoczony Manuel odwrócił się w jego stronę; Nogueira po raz pierwszy zwrócił się do niego na ty. Podniósł rękę do ucha, ale gdy zdał sobie sprawę z ciepła, jakim emanuje, postanowił go nie dotykać.

– Dobrze.

– A ręka? – zapytał gwardzista, pokazując na pięść, którą Manuel nadal miał zaciśniętą.

– Dobrze, trochę spuchła, ale to normalne.

Nogueira uderzył rękami o kierownicę i wykrzyknął:

– Bardzo dobrze, cholera! Nieźle przywaliłeś temu palantowi!

Manuel skinął, powoli wypuszczając powietrze i czując przy tym, jak po jego ciele niczym żywa istota przebiega nerwowe napięcie.

– Bardzo dobrze, Manuel – powtórzył zadowolony gwardzista. – A teraz idziemy się czegoś napić jak dwóch wikingów, *qué carallo*^[14]! Bo nie wiem jak ty, ale ja tego potrzebuję.

– Dobry pomysł... – zdołał wycedzić Manuel, który wciąż cały się trząsał.



Przecisnęli się pod opuszczoną do połowy roletą zewnętrzną. W środku świeciło się tylko kilka świateł, a na większości stolików krzesła były ustawione do góry nogami. Za barem mężczyzna w średnim wieku oglądał w telewizji walkę bokserską i od czasu do czasu napełniał szklanki dwóm nałogowym pijakom oraz hazardziście, który przez cały czas, jaki tam spędzili, wkładał monety do maszyny. Pierwsze dwa łyki upili, stojąc przy barze, ale przy trzecim Nogueira wskazał na najdalszy stolik, obok drzwi do otwartych toalet, z których śmierdziało wybielaczem. Manuel zaczynał być

pijany; czuł uspokajający efekt alkoholu, który łagodził pulsujący ból puchnącej ręki. Nogueira z każdym łykiem wydawał się spokojniejszy.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedział poruszony.

Manuel spojrzał na niego wyraźnie zdezorientowany.

– Masz na myśli to zajście na ulicy?

– Tak.

Manuel pokręcił głową.

– To nie twoja wina...

– Owszem, moja – przerwał mu Nogueira. – Winni jesteśmy wszyscy, którzy myślimy tak jak te palanty.

Manuel przytaknął, rozumiejąc, co porucznik ma na myśli.

– Cóż, w takim razie twoja... – powiedział bardzo poważnie.

– Przykro mi – powtórzył gwardzista. – Nie wiem, dlaczego tak jest, ale jest i już – dodał Nogueira w stylu czysto alkoholowego filozofowania.

– Jesteś pijany – odparł Manuel z uśmiechem.

Nogueira zrobił się poważny i podniósł palec, by wskazać nim na Manuela.

– Jestem trochę pijany, ale wiem, co mówię. Pomyliłem się co do ciebie, a kiedy mężczyzna popełnia błąd, to przynajmniej powinien się do niego przyznać.

Manuel odwzajemnił spojrzenie Nogueiry z bardzo poważnym wyrazem twarzy, zastanawiając się, ile prawdy było w jego słowach.

– I tak naprawdę nie wiem, dlaczego to tak wygląda, bo nie mam żadnego powodu, by nienawidzić pedałów.

– Homoseksualistów – poprawił go Manuel.

– Homoseksualistów... – przyznał Nogueira. – Masz rację. Widzisz, o co mi chodzi? To ten cholerny sposób mówienia, a przecież tak naprawdę widzę

cię, jak pijesz kawę w barze, w normalnym barze – podkreślił – i nie myślę, że jesteś homoseksualistą.

– A jeśli myślisz, to co? – zapytał Manuel.

– Chodzi mi o to, że patrząc na ciebie, nikt by nie powiedział, że jesteś...

– Ale jestem, Nogueira, jestem homoseksualistą. Jestem nim od urodzenia, a to, czy widać to po mnie mniej lub bardziej, nie ma żadnego znaczenia.

Nogueira wyraźnie zaprzeczył.

– Cholera, jak trudno się rozmawia z pedałami! Chcę przez to powiedzieć, że porządny z ciebie facet i że jest mi przykro. – Znowu zrobił się bardzo poważny. – Przepraszam cię za siebie i za wszystkich kretynów na świecie, którzy nie mają pieprzonego pojęcia, kim jesteś.

Manuel skinął i uśmiechnął się wobec niezdarności mężczyzny. Ciesząc się z nawrócenia homofoba, podniósł swoją szklanę.

– Wypijmy za to!

Nogueira upił łyk, nie przestając na niego patrzeć.

– Skoro teraz już wiemy, że nie jesteś gównianym pedałem, kolej na mnie.

Manuel skinął powoli i czekał.

– Chcę powiedzieć, że czasem oceniamy innych, wcale ich nie znając. Nie mogę w tej kwestii zbyt wiele wymagać, bo pierwszy się do takiego zachowania przyznaję... Chcę powiedzieć, że ja nie jestem skurwysynem, Manuelu.

– Posłuchaj, Nogueira...

– Nie, daj mi dokończyć. Któregoś dnia powiedziałaś mi, że jestem sukinsynem bez uczuć, sadystą, który cieszy się z krzywdy kogoś innego.

– Tak się tylko mówi...

– Miałeś rację – przerwał mu. – Nienawidzę rodziny Muñizów de Dávilów. Od rana do wieczora przeklinam powietrze, którym oddychają, i aż do końca moich dni będę na nich pomstował.

Manuel patrzył na niego w milczeniu. Dał znak barmanowi, który podszedł z butelką i napełnił im szklanki.

– Proszę ją zostawić na stoliku – powiedział.

Mężczyzna zaczął protestować, ale Manuel wcisnął mu do ręki dwa banknoty, na co barman znowu zniknął w ciemności.

– Mój ojciec też był gwardzistą. Pewnej deszczowej nocy doszło do wypadku, tutaj niedaleko, na przejeździe kolejowym; był jednym z pierwszych, którzy przyjechali na miejsce. Pomagał wyciągać rannych z samochodu i najechał na niego jadący z przeciwnej strony pociąg. Zmarł od razu. Moja matka została wdową z trojgiem dzieci, ja byłem najstarszy z trzech chłopców.

– Przykro mi... – wyszeptał Manuel.

Nogueira skinął powoli, przyjmując kondolencje z takim smutkiem, jakby dopiero co stracił ojca.

– Wtedy nie było tak jak teraz. Z tego, co jej zostało, nie mogła nas wyżywić. Bardzo dobrze szyła, więc niedługo potem zaczęła pracować dla pazo.

– Dla As Grileiras?

Nogueira potwierdził ruchem głowy.

– To były inne czasy. Damy takie jak markiza ciągle zamawiały sobie suknie: na co dzień, na święta. Wkrótce moja matka zaczęła też szyć dla innych bogatych dam. Z czasem zarabiała więcej, niż zarabiał mój ojciec. Pewnego popołudnia poszła do pazo, żeby zanieść kilka sukienek, które markiza miała przymierzyć. Bywało, że szliśmy razem z nią i zostawaliśmy na zewnątrz, by się bawić. Dlatego znam ogród: spędziłem tam wiele

popołudniowych godzin, czekając razem z braćmi. Ale tamtego dnia z nią nie poszliśmy...

Manuel przypomniał sobie, jak zdziwiło go wyrażenie, którym Nogueira określił ogród przy pazo: „naprawdę piękny”, powiedział.

– Okazało się, że pani nie było w domu; wszyscy wyjechali, wszyscy z wyjątkiem ojca Álvara, który wtedy był brzydkim jak noc czterdziestolatkiem i kawałem sukinsyna.

Nogueira zacisnął usta, wykrzywiając je w okrutnym grymasie.

– Wracalem do domu z podwórka; grałem w piłkę i rozciąłem sobie kolano. Wszedłem do łazienki i ją zobaczyłem. Stała w wannie w ubraniu. Miała pomiętą, podartą sukienkę, podwiniętą do pasa, i krwawiła... tam. Krew spływała jej po nogach i mieszała się z wodą na dnie wanny. Myślałem, że umiera.

Manuel zamknął oczy i mocno je zacisnął, żeby odrzucić obraz, który powstawał już w jego głowie.

– Miałem wtedy dziesięć lat. Kazała mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Pomogłem jej położyć się do łóżka, w którym leżała ponad tydzień. Przez cały ten czas dbałem o nią i o moich braci, którzy byli jeszcze malcami i nie rozumieli, co się działo.

– Na Boga, Nogueira! – wymamrotał Manuel. – Byłeś taki mały...

Gwardzista przytaknął powoli. Oczy miał zamysłone, znajdował się lata stąd, w innym miejscu.

– Pewnego popołudnia samochód markizy zatrzymał się przed naszymi drzwiami. Szofer postawił przy wejściu wielki kosz pełen jedzenia: ciastka, czekolady, szynki, rzeczy, których zazwyczaj nie mieliśmy. Pamiętam, że moi bracia cieszyli się, jakby to było Boże Narodzenie. Markiza weszła do pokoju mojej matki i długo rozmawiała. Kiedy go opuściła, każdemu z nas dała po monecie, a matka powiedziała mi, że nadal będzie dla niej pracować,

choć nie wróci już do pazo. Od tamtej pory szofer przywoził i zawoził suknie do przymiarki i co jakiś czas dostarczał jeden z tych koszy z jedzeniem, a drugi pełen ręczników oraz eleganckiej pościeli należących do pazo. Moja matka była bardzo dzielną kobietą, Manuel.

– Musiała być bardzo dzielna... – zgodził się.

– Wychowała moich braci i mnie i nigdy nie narzekała. Robiła tylko to, co mogła robić, ale nigdy się nie ugięła. Nie ugięła się, Manuelu.

Spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Zmarła dwa lata temu, w mocno podeszłym wieku. – Uśmiechnął się lekko. – Kiedy była już bardzo chora, wręcz umierająca, kazała mi otworzyć ogromną szafę, która stała w jej pokoju. Leżały tam idealnie poskładane ręczniki i haftowana pościel z herbem Muñizów de Dávilów. Miała tego pełną szafę, od podłogi aż po sufit. I wiesz co? Przez wszystkie te lata ani razu nie użyła żadnej z tych cienkich pościeli. W dniu, w którym ją pochowaliśmy, po powrocie z cmentarza zrobiłem ognisko na podwórku i wszystko spaliłem. – Zaczął się śmiać. – Nawet teraz słyszę krzyki moich szwagierek, które nazywały mnie szaleńcem!

Manuel też zaczął się śmiać i przez chwilę obaj rechotali na całe gardło.

– Do dzisiaj wypominają mi to podczas wigilijnych kolacji! Cwaniary!

Nagle porucznik spowaźniał, wstał i pokazał w stronę drzwi.

– Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, ani moim braciom, ani żonie – powiedział, ruszając do wyjścia.

Nogueira nie odezwał się słowem na trasie między barem a hostelem. Nie było takiej potrzeby. Manuel doskonale wiedział, jak się czuje, i przypomniał sobie, dlaczego w konfesjonałach jest kratka oddzielająca spowiednika od grzesznika. Z braku kratki siedział w milczeniu, koncentrując się na własnym odbiciu, które ciemność nocy odznaczała na szybie.

Kiedy samochód zatrzymał się naprzeciwko hostelu, Manuel zapytał:

– Wybierasz się jutro do seminarium?

– Tak. Nie wiem, czy wiesz, ale przeor mi powiedział, że tereny, które zajmuje klasztor, należały do markizów, a teraz są twoją własnością.

– Jeśli chcesz, żebym z tobą pojechał...

– Jeszcze myślę, jak się z tym zmierzyć. Przeor i ja jesteśmy starymi znajomymi i jeśli go rozgniewam, ryzykuję, że zadzwoni do komendantury i narobi mi poważnych problemów. Z Kościołem trzeba uważać. Pojadę sam, a twoją wizytę, jeśli będzie potrzebna, przełożymy na inny termin. To, że jesteś właścicielem ziemi, dodaje ci pewnej wartości, ale też zamknęłoby usta temu ptaszkowi. Zobaczymy, jak się do tego zabrać, jeżeli wyjdzie, że to konieczne.

Manuel wysiadł z samochodu i wziął na ręce Kawę, który spał głęboko.

– Manuel! – zawołał do niego Nogueira ze środka pojazdu. W jego głosie było coś dziwnego, zawahał się, po czym kontynuował: – Moja żona chce, żebyś przyszedł do nas na kolację.

Manuel się uśmiechnął, nie kryjąc zaskoczenia.

– Ja?

– Tak, ty. – W głosie Nogueiry dało się wyczuć niezręczność. – O czymś rozmawialiśmy i nagle padło twoje nazwisko. Wspomniałem, że cię znam, i okazało się, że moja starsza córka i żona czytały twoje książki i bardzo chciałyby cię poznać. Już im powiedziałem, że prawdopodobnie nie będziesz mógł...

– Zgadza się – powiedział Manuel.

– Co?

– Mówię, że tak, zjem kolację z twoją rodziną. Chętnie poznam twoją żonę. Kiedy?

– Kiedy? Cóż, przypuszczam, że jutro.

Manuel został na środku parkingu, patrząc, jak samochód Nogueiry się oddala. Pocałował szorstką główkę Kawy i uśmiechając się, wszedł do hostelu. Potrzebował pisać.

TO, CO WYPARTE

Jedna po drugiej otwierał szuflady toaletki tylko po to, by się przekonać, że są puste. W przepastnej szafie kilka koszul, które Álvaro zabrał ze sobą, wisiało idealnie wyprasowanych na grubych wieszakach. Zagubione, kołysały się, wywołując swoim ruchem niepokojący efekt. Chciał ich dotknąć, pogłodzić delikatny materiał, pozwolić, by opuszki palców poszukały obecności ich właściciela.

[14] (gal.) Do cholery.



KONTROLA KRZYWD

.....

lasztor San Xoan, znany w całej okolicy jako „seminarium”, już od lat nie zajmował się nauczaniem. Miejsce przeznaczone uprzednio dla uczniów zamieniono na pokoje gościnne z myślą o turystyce religijnej i duchowych odosobnieniach, co w opinii porucznika Nogueiry było skrajną głupotą. Dla niego wakacje nie miały sensu, jeśli nie mógł poleżeć na słońcu z dobrze schłodzonym piwem na brzuchu.

Nogueira zadzwonił do przeora, aby zapowiedzieć, że przyjedzie z wizytą. Już przez telefon wyczuł wahanie i zdenerwowanie mężczyzny, który – wyraźnie zaintrygowany – uparcie dopytywał, o co chodzi.

„To dość delikatna sprawa i wolę, żebyśmy omówili ją w cztery oczy”, odpowiedział wymijająco Nogueira, zadowolony ze swojej strategii.

Chłodne „jak pan woli” zakończyło rozmowę, ale to, że przeor czekał na

niego w głównym wejściu, zdradziło jego niecierpliwość. Nogueira wysiadł z samochodu i zauważył, że duchowny ledwie mógł się powstrzymać, żeby zaczekać na niego przy bramie prowadzącej do ogrodów, do wejścia do kościoła i do klasztoru. Po uprzejmym powitaniu poprowadził go do swojego gabinetu, jak zawsze nie odciągając uwagi gwardzisty od podziwiania piękna tego miejsca. Wszedłszy do swojego pomieszczenia, zaproponował kawę, którą Nogueira przyjął, i usiadł za swoim potężnym klasztornym stołem.

– W czym mogę panu pomóc, poruczniku?

Nogueira upił łyk kawy i milczał przez kilka sekund, podziwiając obraz, który wisiał nad kominkiem.

Potem, kiedy wydawało się, że rzuci jakiś nic nieznaczący komentarz, odwrócił się w stronę przeora i powiedział:

– W poprzedni poniedziałek pańska siostra złożyła zawiadomienie o zaginięciu jej bratanka.

Nogueira obserwował twarz przeora, która nie drgnęła ani trochę, chociaż po upływie kilku sekund i wobec stoickiego milczenia gwardzisty mężczyzna w końcu przytaknął łagodnie.

Porucznik na niego naciskał.

– Wiedział pan o tym? Od kiedy?

– Tak, siostra do mnie zadzwoniła i mi o tym powiedziała. To było we wtorek, tak mi się wydaje...

– I?

Przeor wstał, głośno przy tym wzdychając, i podszedł do okna.

– Jeśli pyta pan, czy zrobiłem coś w tej sprawie, to odpowiem, że nie. Obawiam się, że nasz bratanek przysporzył nam wystarczająco dużo zmartwień, by teraz cokolwiek mogło mnie zdziwić.

– Rozumiem – powiedział Nogueira – ale pańska siostra mówi, że pomimo wszystkich swoich wad odnosi się do niej z szacunkiem i zawsze

dzwoni, kiedy ma zamiar nie wrócić na noc.

– Moja siostra rozpuściła tego chłopaka. Niech pana nie dziwi, że go usprawiedliwia i broni...

– Tak jak w sobotę, kiedy pan do niej przyjechał?

Przeor spojrział na niego zaskoczony, może nawet zaniepokojony.

– Ona panu o tym powiedziała?

– Nie, sąsiadka, która widziała, jak się kłóciliście.

Duchowny zatrzymał się i udał, że przestawia doniczki, przekręcając je w stronę światła.

– Dlaczego się kłóciliście?

– To prywatna sprawa, rodzinne tematy, bez znaczenia...

– Ale sąsiadka zeznała – powiedział Nogueira, podkreślając ostatnie słowo i udając, że czyta zapiski ze swojego notatnika – że pan wyglądał na bardzo rozwścieczonego, że czegoś się pan domagał, i wyraźnie słyszała, jak pan mówił, że to może pana wykończyć i że sprawy nie będą tak zostawione.

Czerwony z oburzenia przeor odwrócił się w stronę gwardzisty.

– Ta papla najlepiej by zrobiła, gdyby zajęła się swoimi sprawami.

– Ma pan rację, to dosyć odpychająca kobieta, ale przy tym to bardzo wiarygodny świadek. Rozumie pan, że o to pytam... Jak wiemy, pański bratanek wykonywał tutaj pewne prace, a pan pojawia się w jego domu rozwścieczony w tym samym dniu, w którym chłopak znika.

– Nie wiem, co pan insynuuje, poruczniku, ale to mi się nie podoba.

– Niczego nie insynuuję, przeorze, właściwie staram się nawet wyświadczyć pańskiej rodzinie przysługę, bo pańska siostra ciągle wydzwania do kwatery – skłamał – żeby zapytać, co robimy w sprawie Toñina, i jeśli nadal będzie tak naciskać, to ostatecznie ktoś się tym zajmie...

Twarz przeora się zmieniała i była teraz znacznie bledsza. Kiedy znowu

się odezwał, mówił ledwo słyszalnym głosem.

– Antonio zabrał coś z mojego gabinetu. Nie pierwszy raz dopuścił się kradzieży, ale o tym już pan wie.

– Co zabrał?

Przeor zastanawiał się przez chwilę.

– Pieniądze – odparł. Ewidentnie kłamał.

– Z pewnością złożył pan doniesienie.

Znowu musiał rozważyć odpowiedź.

– Poruczniku, to jest mój bratanek. Nie chcę dodawać zmartwień mojej siostrze.

– Rozumiem, ale jeśli wiedział pan, że pański bratanek popełnił przestępstwo, kradnąc pieniądze z seminarium...

– To były moje pieniądze, wziął je z mojego portfela.

Nogueira odczekał sześć sekund, zanim odpowiedział.

– I właśnie to mogło pana wykończyć, gdyby wyszło na jaw? Co nie mogło być tak zostawione? Nie wiem, ile pieniędzy zwykł pan nosić w portfelu, ale...

– Ta plotkara się myli. Powiedziałem „wykończysz mnie”, miałem na myśli kłopoty, których mi przysparza.

– Tak... – odparł Nogueira, odwracając się, by popatrzeć na obraz, który zobaczył, kiedy wchodził do gabinetu.

– Widzę, że zatrzymał pan portret starego markiza.

Przeor sprawiał wrażenie zdziwionego tą uwagą, ale natychmiast się pozbierał.

– Był wielkim dobroczyńcą tego miejsca, jego rodzina nadal nam pomaga...

– Ach tak? – Nogueira udawał zainteresowanie.

– Cały klasztor jest zbudowany na ich terenie.

Nogueira zmienił temat, chcąc przyrzeć się reakcji przeora.

– Jak pan wie, jego syn zmarł.

Duchowny spuścił na chwilę wzrok, po czym odpowiedział:

– Och, to prawda! Straszne nieszczęście.

– Wydaje mi się, że uczył się tutaj, kiedy był mały...

– Tak, podobnie jak wszyscy jego bracia, chociaż on przez bardzo krótki czas.

Nogueira poszedł w stronę drzwi, dając mężczyźnie czas, żeby się rozluźnić; wtedy się odwrócił i zapytał:

– Czy Álvaro Muñiz de Dávila był tutaj w zeszłą sobotę?

Gdy patrzył na reakcję przeora, Nogueira miał wrażenie, że mężczyzna dostanie ataku.

– W sobotę... Nie, nie było go tu.

– Ale dzwonił.

– Nie.

– Tak figuruje w jego połączeniach.

Przeor przyłożył dwa palce do mostka nosa.

– Tak, przepraszam, ma pan rację, zapomniałem. Dzwonił, ale rozmawialiśmy bardzo krótko.

Nogueira stał w tym samym miejscu, patrząc na niego w milczeniu. Wiedział, że duchowny czuje się wystarczająco zobligowany do udzielenia wyjaśnień bez jakichkolwiek próśb.

– Chciał, żebym go wyspowiadał – przyznał. – Zaproponowałem mu kilka różnych godzin, ale mu nie pasowały i ostatecznie przełożyliśmy spowiedź.

Nogueira nic na to nie powiedział. Bardzo powoli otworzył drzwi

i wyszedł, przeciągając to możliwie jak najdłużej. Odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na przeora. Był pewien, że mężczyzna jest bliski omdlenia.

– Nie musi mnie pan odprowadzać – powiedział na pożegnanie.

Wyszedł przed klasztor, odetchnął naładowanym wilgocią powietrzem i zapalił papierosa.

Zakonnik, który spacerował z rękami na plecach po brukowanej ścieżce, podszedł do niego z uśmiechem.

– Przez wiele lat miałem ten nałóg, ale rzuciłem już jakiś czas temu i od tamtej pory nawet jedzenie lepiej mi smakuje.

– Ja powinienem zrobić to samo – odparł gwardzista, dołączając do powolnego spaceru w stronę wyjścia. – Ale to takie trudne...

– Proszę spróbować tak jak ja: modlić się, prosząc o siłę. Bóg panu pomoże.

Minęli spacerem otwarty garaż, w którym stało kilka pojazdów. Nogueira spojrział w tamtą stronę.

– I myśli pan, że Bóg jest od takich rzeczy?

– Bóg jest od wszystkich rzeczy, dużych, ale także małych. – Zadzwoiła komórka zakonnika. – Przepraszam – powiedział, odbierając telefon.

Korzystając z okazji, Nogueira zajrzał do garażu. W środku stały kultywator, motocykl o małej pojemności, szary seat cordoba z 1999 roku i niewielka biała furgonetka ze śladem po uderzeniu z przodu. Porucznik odwrócił się, żeby zapytać o to zakonnika, i zobaczył, że jego wyraz twarzy się zmienił. Rozmawiając, patrzył w stronę okna na drugim piętrze, za którym stał przeor, obserwujący Nogueirę. Przy uchu trzymał słuchawkę telefonu. Zakonnik się rozłączył i podszedłszy do garażu, sięgnął do drzwi i opuścił je, zamykając niemal całkowicie.

Kiedy odwrócił się w stronę gwardzisty, na jego twarzy nie było już ani śladu sympatii. Powiedział tylko:

– Odprowadzę pana do wyjścia.



Manuel wyczuł wahanie w głosie Nogueiry, gdy tylko odebrał telefon. Tego się spodziewał. Mówił mu o tym Lucas, a i on sam doświadczył czegoś podobnego: po wyznaniu bardzo często przychodzi wstyd, wyrzuty sumienia, ale nie z powodu tego, co się wyznało, lecz ze względu na niemożność uniknięcia przeczucia, że postąpiliśmy pochopnie, że zawierzyliśmy niewłaściwej osobie i odkryliśmy część naszego życia, która – mimo że jest ciężarem – wzmacniała nas, dopóki była sekretem. Przypuszczał, że kiedy minęło upojenie alkoholowe, porucznik żałował trochę, że powiedział mu prawdę, i żałował całkowicie, że zaprosił go do swojego domu.

Manuel postanowił unikać tego tematu i zapytał swobodnie:

– Jaki ci poszło w seminarium?

Po drugiej stronie linii niemal wyczuł ulgę Nogueiry, który odpowiedział w typowym dla siebie stylu:

– Zależy, jak na to spojrzeć.

Manuel się uśmiechnął, słuchając go cierpliwie.

– Przeor nie chciał mi nic powiedzieć, ale zaprzeczał tyle razy, że ostatecznie ujawnił wiele. Mówi, że zdenerwował się na bratanka, bo ten zabrał mu pieniądze z portfela, ale myślę, że kłamie. Nie wygląda na zmartwionego tym, gdzie może być, tak jakby wydawało mu się czymś normalnym, że zwiął. Ale najciekawiej zrobiło się wtedy, gdy zasugerowałem mu, że może Álvaro się z nim widział. Zaprzeczył, tak samo jak temu, że do niego dzwonił, ale kiedy powiedziałem, że wiemy o połączeniu, nagle sobie przypomniał, że tak, dzwonił, według niego po to, aby się wypowiedzieć, chociaż ostatecznie się nie spotkali.

– Nie wierzę w to. Lucas mi mówił, że Álvaro się nie spowiadał,

a przynajmniej nie robił tego w rytuale katolickim – odparł Manuel. – Porozmawiam z nim.

– Jest coś jeszcze. Kiedy już wychodziłem, zobaczyłem biały pojazd ze śladem po uderzeniu po prawej stronie maski, które mogłoby się zgadzać z wgnieceniem na samochodzie Álvara. Prawie mnie wyrzucili, kiedy chciałem to obejrzeć z bliska.

– I co teraz zrobimy?

– Myślę, że dobrze by było, gdybyś ty spróbował, ale nie na wariata. Przyszło mi coś do głowy, wyjaśnię ci po kolacji, zobaczymy, jak zareagujesz...

Przynajmniej kolacja była aktualna, chociaż znowu wyczuł wahanie Nogueiry.

– Manuel, nie dzwonię tylko po to... Jest coś, o czym muszę cię uprzedzić, zanim do nas przyjdiesz.

– Mam nadzieję, że nie chcesz mi powiedzieć, że twoja żona bardzo źle gotuje – zażartował Manuel, by nie robić z tego wielkiej sprawy. – Już się nastawiłem na dobre domowe jedzenie.

Po drugiej stronie linii Nogueira zaśmiał się, uspokojony.

– Nie, to nie to, moja żona gotuje bardzo dobrze, właściwie jest doskonałą kucharką, ale nasz związek przechodzi mały kryzys i możesz zauważyć jakieś napięcie między nami.

– Rozumiem, nie przejmuj się – przerwał mu Manuel, nie pozwalając, by rozwodził się nad sprawą, która bez cienia wątpliwości była dla niego niezręczna.

– Z moją starszą córką też nie mam dobrych relacji. Wiesz, jest nastolatką, niedługo kończy siedemnaście lat i ostatnio musimy sobie radzić z drobnymi zgrzytami. W tym roku nie zdała z siedmiu przedmiotów, będzie powtarzać klasę, a przez całe lato nie widziałem jej z podręcznikiem. Ja ją

ganię, a moja żona jej broni... Zawsze kończy się kłótnią.

– Zajmę się tym.

– No i jest jeszcze chłopak.

– Myślałem, że masz tylko dwie córki.

– Chłopak Xulii. – Westchnął. – Przypuszczam, że też będzie na kolacji, zawsze przesiaduje w naszym domu. Jest wyższy ode mnie, nie mogę go znieść i to pewne, że mojej żonie również trudno go zaakceptować, ale ciągle tam siedzi, wkurzając mnie tym swoim głupkowskim wyrazem twarzy.

Manuel się uśmiechnął, wyobrażając sobie torturę, jaką musiała być dla Nogueiry obecność tego chłopaka.

– Wyobrażam sobie.

– Uwierz mi, nie jesteś w stanie.



Manuel jeszcze raz spojrział na Kawę, po czym nacisnął dzwonek.

– Dobrze się zachowuj, mały – powiedział mu.

Kawa popatrzył na niego z ukosa, jakby ta uwaga go uraziła.

Razem z dźwiękiem kuranta, który rozlegał się w środku, dobiegły do Manuela wrzawa i krzyki wydawane przez wysoki dziecięcy głos. Drzwi otworzyła mu około ośmioletnia dziewczynka.

– Cześć, jestem Antía – przywitała się. – Czekaliśmy na ciebie – powiedziała, biorąc go za rękę i wciągając do środka. – Och, masz psa! – dodała, zauważając małego Kawę i automatycznie tracąc całe zainteresowanie Manuelem. – Mogę go pogłaskać? Lubi dzieci?

– Tak – odparł. – Przypuszczam, że tak, nie wiem – przyznał, przytłoczony impetem małej.

– To Manuel, przyniósł kwiaty i wino i ma psa! – krzyknęła dziewczynka

z korytarza.

Nogueira pojawił się w drzwiach kuchennych i wziął od niego wino, prowadząc dalej. Na środku pomieszczenia był duży stół. Obok kuchenki blisko czterdziestopięcioletnia kobieta, bardzo ładna, z ciemnymi i długimi włosami związanymi w koński ogon, usiłowała uwolnić się od fartucha, który schowała za plecami, po czym podeszła do niego z uśmiechem, wyciągając rękę.

– Manuel, przedstawiam ci Laurę, moją żonę. Poznałeś już Antię, tę małą, która zaatakowała cię w drzwiach, a ta – powiedziała, odwracając się do młodej dziewczyny, której Manuel nie widział, kiedy wszedł – to moja starsza córka, Xulia.

Dziewczyna, bardzo ładna, była nastoletnią wersją swojej matki, tylko że miała rozpuszczone włosy. Podała Manuelowi rękę, czemu towarzyszyło pochmurne spojrzenie, które przypomniało mu wzrok jej ojca.

Manuel wręczył Laurze kwiaty.

– To dla pani.

– Proszę mówić mi na ty. Są przepiękne, ale nie musiałeś robić sobie kłopotu – odparła, chociaż uśmiechała się z zachwytem, niemal tuląc bukiet w ramionach. – Bardzo mi się podobają – powiedziała i spojrzała przelotnie na swojego męża – i twoje książki też – dodała, zawstydzając się nieco i wywołując natychmiastowy podziw u Manuela, a zdziwienie u Nogueiry.

Antia weszła do kuchni, niosąc na rękach Kawę.

– Och! Bardzo przepraszam, ale nie miałem gdzie zostawić psa. Jeśli przeszkadza, mogę go zabrać do samochodu – powiedział Manuel.

– Nie, proszę – błagała dziewczynka.

– Nie przejmuj się, uwielbiam psy – stwierdziła Laura.

Manuel rzucił szybkie spojrzenie chłopakowi, który siedział przy stole. Wyglądało na to, że nie był zainteresowany tym, co działo się wokół niego,

i nie podnosił wzroku znak ekranu swojego telefonu komórkowego.

– To Álex, chłopak Xulii – powiedział Nogueira, wskazując na niego podbródkiem.

– Przyjaciel – natychmiast poprawiła go dziewczyna, wywołując dezorientację u Nogueiry i nie powodując żadnej reakcji ze strony nastolatka.

Manuel bez trudu się domyślił, dlaczego chłopak wyprowadzał z równowagi Nogueirę: tolerowanie obecności kogoś, kto wygląda na otumanionego, musiało być nieznośne dla tak temperamentnego mężczyzny jak porucznik. Nogueira otwierał wino, podczas gdy Laura pokazywała, gdzie mają usiąść.

– Áleksie, mój drogi – powiedziała, zwracając się do chłopca, który siedział u szczytu – zajmij miejsce obok Xulii i zostaw to krzesło dla Andrésa.

Manuel spojrział na nich zdumiony, mając świadomość napięcia panującego w powietrzu.

– Przecież zawsze tu siadałem – narzekał chłopak.

– Ale nie dzisiaj – odparła niewzruszona gospodyni.

Nastolatek wstał bardzo niechętnie i usiadł dwa krzesła dalej.

Nogueira zajął miejsce u szczytu stołu, a Manuel zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy usłyszał jego imię. Porucznik nie kłamał: Laura była doskonałą kucharką. Manuel jadł tak, jak nie robił tego od bardzo dawna, ciesząc się rozmową i obecnością rodziny, pachnącym i pięknie wyglądającym jedzeniem wyłożonym w zbyt dużej ilości, jak przystało na galisyjski stół, co dla tej kobiety było bardzo ważne i czym się chełpiła. Dużo rozmawiali o jego powieściach, o tym, jak zaczął pisać, i o literaturze. Laura była wierną czytelniczką swoich ulubionych autorów. Manuel obserwował przez chwilę sposób, w jaki patrzyła na nich obu.

– I powiedz mi, Manuelu, jak poznałeś Andrésa? On nie chciał nam nic

wyjawić.

Manuel spojrział na porucznika, który skorzystał z okazji i wstał, żeby otworzyć drugą butelkę wina.

– Cóż, nic wam nie powiedział, ponieważ prosiłem go o dyskrecję – odparł, mając świadomość konsekwencji, jakie będą mieć jego słowa.

– To z powodu nowej powieści! – wykrzyknęła Xulia, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia ze swoją matką i odwracając się rozentuzjasmowana w stronę Manuela. – Zgadłam?

– Cóż, rozumiecie, że na razie jest to tajemnica, prawda?

– Oczywiście! – potwierdziły obie z zachwytem.

Manuel zauważył uznanie w ich spojrzeniach skierowanych na Nogueirę i poczuł się dobrze.

– A więc akcja twojej nowej powieści będzie się rozgrywać tutaj, w regionie Ribeira Sacra? – dopytywała dziewczyna.

Manuel uśmiechnął się wymijająco.

– Jeszcze nie zdecydowałem, jestem dopiero na bardzo wczesnym etapie, poznając miejsca, wydarzenia. I twój ojciec bardzo mi w tym pomaga.

– Wybacz mojej córce – powiedziała Laura z uśmiechem. – Ja czytam cię od początku, ale Xulia odkryła twoje książki ponad rok temu, w krótkim czasie przeczytała wszystkie i jest nimi zachwycona.

– Nieźle! Dziękuję, Xulio. A czytasz też inne rzeczy?

– Jakieś trzydzieści pięć książek rocznie, głównie kryminalnych i historycznych, ale twoje podobają mi się najbardziej.

Nogueira nie wytrzymał.

– Co? To same powieści, a książek do szkoły nawet nie ruszasz – powiedział, wywołując złość dziewczyny i głupi uśmieszek Áleksa, który wciąż siedział z nosem w telefonie.

Laura spojrzała na męża z wyrzutem i wstała, żeby zabrać brudne talerze i położyć na ich miejsce talerzyki deserowe. Nogueira pospieszył żonie z pomocą.

– Xulia chce zostać pisarką – powiedziała Laura, stawiając przed Manuelem tacę z kawałkami sera, pigwy i ciasta.

Spojrzał z zainteresowaniem na dziewczynę, która zawstydziła się, przytakując. Nastolatek z telefonem prychnął drwiąco, osuwając się na krześle tak, że jego broda była na wysokości stołu.

Nogueira spojrzał na niego zde gustowany i ponownie zwrócił się do swojej córki:

– A to dobre! Jak ty chcesz zostać pisarką z takimi ocenami?

Laura, która znowu usiadła obok Manuela, pozostała niewzruszona, z rozbawieniem obserwując narastającą złość swojego męża, jakby zastanawiała się, kiedy wybuchnie.

– Oj, tato, ty znowu swoje! – odparła znudzona dziewczyna.

Nie przejmując się ojcem, Xulia zwróciła się do Manuela:

– W tym roku zaniedbałam trochę naukę – powiedziała, spuszczać głowę, co wydawało się dobrze przećwiczone – i muszę powtarzać klasę, ale od teraz potraktuję to na poważnie.

– Od teraz... – powtórzył Nogueira. – To samo mówiłaś przez cały rok i co zrobiłaś? Z niczego nie zdałaś.

– Z wyjątkiem literatury – zaproponowała dziewczyna.

Siedzący obok niej nastolatek zaczął się śmiać i Nogueira wbił w niego wzrok.

– Można wiedzieć, z czego się śmiejesz? – zapytał poirytowany.

Chłopak podniósł palec i drwiąco wskazał nim Xulię.

– Pisarka? – powiedział i znowu się roześmiał. – Zobaczysz, że w szkole

będą sobie robić jaja, jak o tym powiem.

Xulia się zaczerwieniła, ale Manuel zdał sobie sprawę, że nie ze wstydu. Dumnie podniosła głowę i ze spokojem zwróciła się do chłopaka.

– Álex, może wrócisz do swojego domu i porozmawiamy później? – powiedziała autorytarnie.

– Co? – odparł otepiały. – Myślałem, że wychodzimy... Dzisiaj w Rodeiro gra orkiestra Panorama – powiedział, pokazując na ekran telefonu.

– To *Orkiestry Galicii* – wyjaśniła Antía Manuelowi, który patrzył na ekran, nie rozumiejąc.

Manuel wzruszył ramionami.

– *Orkiestry Galicii* – powiedziała dziewczynka – to aplikacja na telefon. Dzięki niej wiadomo, gdzie grają orkiestry danego dnia.

Nogueira dołączył do wyjaśnień.

– Myślą tylko o tym, przez całe lato jeżdżą za orkiestrami od miasteczka do miasteczka, od jednej parafii do drugiej, ale żeby się uczyć...

– Tato! – wykrzyknęła Xulia, chociaż natychmiast odwróciła się do chłopaka: – Słyszałeś? Idź do domu i porozmawiamy jutro – powiedziała chłodno, a Manuel już wiedział, że odziedziczyła to po ojcu, kiedy przypomniał sobie ton, z jakim Nogueira groził, że zabierze go do lasu i zastrzeli.

– Ale... jeszcze nie zjadłem deseru – zaproponował nastolatek, patrząc na talerz.

– Wynoś się, Álex! – rozkazała Xulia.

Laura wstała, wyjęła z szafki kawałek folii aluminiowej, zawinęła w nią porcję ciasta i podała chłopakowi, który przyjął je obrażony i bez pożegnania skierował się do wyjścia. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, dziewczyna, która nie spuszczała z chłopaka wzroku, odwróciła się do Manuela, ale to najmłodsza zabrała głos.

– Wybacz mu, biedak nie jest zbyt bystry: raz przyszył sobie kawałek spodni do kostki.

Ten komentarz niezbyt spodobał się Xulii, która szturchnęła siostrę. Manuel obserwował je obie i lekko się uśmiechnął.

– Przyszył sobie spodnie do kostki?

Xulia patrzyła na niego, podczas gdy na jej twarzy rysował się uśmiech, aż zaczęła się śmiać, zarażając pozostałych.

Zachęcona śmiechem Antía kontynuowała:

– Naprawdę, miał tak długie nogawki, że ciągnęły mu się po podłodze, więc wziął mój zszywacz, bez pozwolenia – podkreśliła, podnosząc palec, co też przypomniało Manuelowi Nogueirę – i próbował je przymocować, a ostatecznie przyszył sobie spodnie do kostki.

Jedli deser, śmiejąc się z innych anegdot związanych z pomysłami Áleksa. Laura podała kawę i aromatyczny likier orujo. Manuel obserwował lekki uśmiech, który rysował się pod wąsami Nogueiry, gdy ten rozsiadł się na swoim krześle, i sposób, w jaki jego żona prowadziła kolację, pozwalając, żeby każdy zajął swoje miejsce, oraz zarządzając napięciem wokół mężczyzny, którego torturowała, ale którego – Manuel był tego pewien – wciąż kochała.

– Jeśli chcesz, możemy się jeszcze kiedyś spotkać – powiedział Manuel do Xulii. – Przekazałbym ci listę odpowiednich lektur, znacznie ciekawszych dla przyszłej pisarki niż moje książki. Ale przede wszystkim musisz postawić sobie cel. – Xulia uśmiechała się z zachwytem, dostrzegając kątem oka wykrzywione usta ojca. – Każdemu może się przytrafić gorszy okres, kiedy jesteśmy rozkojarzeni i roztargnieni, jakbyśmy nie mieli powodów, by iść dalej – ciągnął Manuel, patrząc na Xulię i Nogueirę i słuchając jakby z daleka własnego głosu oraz tego wywodu, który wcale nie stracił na wartości, a o którym w ostatnich dniach sam zapomniał.

– Widzisz? – powiedziała dziewczyna, zwracając się do ojca.

– Tylko nie możemy pozwolić, żeby ta sytuacja się przeciągała i by stało się to naszym stylem życia – zakończył Manuel.

– Widzisz? – rzucił Nogueira do córki.

Xulia popatrzyła na ojca i powoli przytaknęła.

Była już druga w nocy, kiedy Manuel żegnał się z Laurą i Xulią w drzwiach ich domu.

Antía zasnęła na sofie obok Kawy i Manuel zauważył, że pies ociągał się, kiedy ten mu pokazał, że wychodzą, jakby coś go tam zatrzymywało. Manuelowi nietrudno było to zrozumieć. Na zewnątrz zawisła mgła, wyraźnie obniżając temperaturę, a chłodne powietrze zamieniło światła latarni w fantasmagorycznych derwiszy, którzy – niczym członkowie Świętej Kompanii^[15] – błakali się po drogach, ciągnąc za sobą swój ból. Zapowiedź nocnej samotności zachęcała do powrotu do przytulnego wnętrza, wypicia kolejnej kawy przy stole, do gorącego uścisku, jakim Laura się pożegnała, wyciągając od niego obietnicę kolejnej wizyty.

Nogueira wyszedł wcześniej i czekał na niego przy samochodzie, który Manuel zaparkował poza terenem należącym do domu, pod jedną z tych kałuż pomarańczowego światła, jakie rzucały latarnie. Położył Kawę na jego siedzeniu, a z tyłu wyciągnął kurtkę Álvara i włożył ją, przewidując dłuższą rozmowę. Nogueira nie odprowadził go aż tutaj z grzeczności; mimo to Manuel go uprzedził.

– Dziękuję za zaproszenie.

Nogueira skierował wzrok w stronę zasłoniętego mgłą domu, a Manuel był pewien, że sprawdzał, czy żona go nie widzi, po czym zapalił papierosa, na co czekał od kilku godzin. Zaciągnął się głęboko, a dym nakreślił niebieskie kółka, wspinając się do światła tej zimnej nocy w Ribeira Sacra. W powietrzu dało się wyczuć mokrą i potężną obecność rzek, mimo że

znajdowały się wiele kilometrów stąd.

Nogueira skinął, nie przestając palić i nie przywiązując do tego większej wagi.

– Laura jest urocza – powiedział Manuel, patrząc mu w oczy.

Porucznik znowu głęboko zaciągnął się papierosem i mocno wypuścił dym nad ich głowami, nie przestając na niego patrzeć..

– Daj spokój – ostrzegł.

– Nic nie powiedziałem, Noguei...

– Daj spokój – uciął gwardzista.

Manuel westchnął i powoli wypuścił powietrze.

– Jak chcesz, tak czy inaczej dziękuję, to był bardzo przyjemny wieczór.

Nogueira skinął, zadowolony ze swojego zwycięstwa.

Ale Manuel się nie poddał.

– Ja nie martwiłbym się o dziewczynę, która czyta trzydzieści pięć książek rocznie. Myślę, że wie, co robi. Odziedziczyła inteligencję matki i odwagę ojca.

Nogueira odwrócił się, żeby spojrzeć na drogę, i chociaż kiedy znów na niego popatrzył, był tak poważny jak zawsze, to Manuel miał pewność, że przed chwilą się uśmiechnął.

Gwardzista wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– To dokumenty, które mi przekazałeś i które już sprawdziliśmy. Dobrze, że Álvaro zachował wszystkie paragony, to pozwoliło nam stworzyć dosyć wiarygodną mapę jego posunięć ostatniego dnia.

Manuel skinął, nic nie mówiąc. Paragony, które Álvaro wolał, zamiast pokrywać wydatki kartą, po której z łatwością dałoby się go wytropić, drugi telefon, przenośna nawigacja; małe detale, które zebrane razem, zdradzały być może zamiar zatarcia swoich śladów.

– Z wykazu połączeń wiedzieliśmy już, że do seminarium zadzwonił o godzinie jedenastej dwie rano i szacujemy, że trzydzieści minut później mógł już tam być. Jest paragon ze stacji benzynowej San Xoan, gdzie prawdopodobnie się zatrzymał w drodze powrotnej z klasztoru. Wskazuje na dwunastą trzydzieści pięć. Szkoda, że śledztwo nie jest oficjalne, minął dopiero tydzień, więc moglibyśmy jeszcze zdobyć nagrania monitoringu ze stacji i niewykluczone, że kasjer pamiętałby samochód, to nie jest zbyt powszechny model; w tym rejonie zatrzymują się tylko miejscowi, więc mógłby zapamiętać obcego. Chociaż to nie dowodziłoby wcale, że był w seminarium: skoro przeor temu zaprzecza, nadal byłoby jego słowo przeciwko naszym przypuszczeniom.

Nogueira podał mu kopertę.

– Te były między dokumentami, które nam dałeś. Nie są ważne dla śledztwa i wyobrażam sobie, że notariuszowi ich brakowało, dotyczą spraw bodegi...

Manuel wysunął je z koperty, pobieżnie rzucił okiem i włożył papiery z powrotem.

– Dlaczego przeor kłamie?

Nogueira popatrzył na niego z zainteresowaniem i przez kilka sekund wyglądał, jakby się nad tym zastanawiał.

– Dlaczego kłamie przeor, dlaczego kłamie jego siostra, dlaczego kłamią ludzie, skąd mam to wiedzieć... Czasem po to, żeby ukryć zbrodnię albo uzyskać pomoc, a czasem po to, żeby zataić jakieś głupstwo, do którego wstydy się przyznać. Ale mamy wystarczająco dużo powodów, żeby go podejrzewać: na samochodzie Álvaro jest kawałek białej farby, a w seminarium biała furgonetka ze śladem po uderzeniu na masce, do tego fakt, że po dziesięciu dniach nie zaprowadzili samochodu do warsztatu, lecz go ukrywają. Poza tym całe to gówno z bratankiem: nie wierzę w to, że zabrał

mu pieniądze. Jest uzależniony, jasne, że tacy kradną pieniądze, więc zostawienie portfela w jego zasięgu jest zaproszeniem do tego, by go sobie wziął. Jednak fakty są takie, że Álvaro dzwonił zarówno do bratanka, jak i do przeora i, niemal z pełnym prawdopodobieństwem, odwiedził seminarium, żeby porozmawiać nie wiemy o czym, ale o czymś na tyle ważnym, że było to pierwsze, co zrobił po przyjeździe z Madrytu podczas nieplanowanej wizyty.

Manuel skinął, czując ciężar tych słów. Nogueira zapalił drugiego papierosa, zaciągnął się głęboko i kontynuował wyliczanie na palcach.

– Kilka godzin później wściekły przeor pojawia się w domu swojej siostry i chłopaka, który powiedział przyjacielowi, że ma coś, co może wyciągnąć go z biedy, ale jest tak przestraszony, że nawet nie podchodzi do drzwi, gdy jego wuj krzyczy: „To może mnie wykończyć”. Kiedy przeor wyjeżdża, Toñino wsiada w samochód i znika, i wszystko to dzieje się w dniu, w którym Álvaro zostaje zamordowany.

Nogueira zamilkł, a Manuel pomyślał, że niemal mógł usłyszeć jego mózg trzeszczący od impulsów elektrycznych w środku tej upartej głowy.

– Co o tym myślisz? – wymamrotał Manuel.

– Jedyne, co myślę, to że wszystko coraz bardziej się komplikuje i z którejś strony trzeba to wyjaśnić.

– Powiedziałeś mi przez telefon, że coś ci przyszło do głowy.

– Tak, myślałem o tym już wcześniej, ale teraz, widząc reakcje mojej żony i córki, jestem całkowicie pewien, że ci się uda.

– O czym mówisz?

– O tym, że ani przeor, ani żaden z zakonników nie piśnie słowa, jeśli zapytamy ich wprost.

– I?

– Ty jesteś znanym pisarzem.

– Cóż...

– Tak, jesteś znany, ja cię nie rozpoznałem, bo nie czytam takich rzeczy, ale ludzie cię rozpoznają. Wystarczyło tylko zobaczyć, jak zachowywały się moja żona i córka. Kolega mi powiedział, że nawet kapitan poprosił cię, abyś podpisał mu książkę.

Manuel przytaknął.

– Przyznaj, ludzie reagują na znane osoby i ty nią jesteś.

– Dobrze, w porządku, ale nie wiem, do czego zmierzasz...

– Co ty na to, żebyś wniknął do seminarium?

TO, CO WYPARTE

Bolało go jej niezrozumienie, które niczym echo niosło mu słowa Kruka: „To nigdy nie będzie pański dom ani pańska rodzina”. Brzmiały one jak wyrok i w tym momencie wiedział, że odczuwał smutek nie przez Elisę, tylko z powodu pustki, jaką ręce Samuela zostawiły w zagłębieniu jego rąk, z powodu jego ząbków, małych i równych, które pokazywał w uśmiechu, jego wysokiego głosu, kiedy krzyczał, jego śmiechu oraz uścisku małego i tak silnego jak wąż czepny wokół jego szyi.

Do tego ta rana.

[15] Święta Kompania to galisyjski mit o pochodzie zmarłych, wędrujących od dwunastej w nocy po parafii i odwiedzających domy, w których niebawem ktoś umrze.



IDIOTA PATRZY NA MORZE

imo że wieczór się przedłużył, a po powrocie Manuel poświęcił jeszcze kilka godzin na pisanie, to wstał wcześniej, po raz pierwszy od bardzo dawna pobudzony tym, że ma plan, że chce zrobić coś, co sam sobie wyznaczył, i że ucieka od tego nieszczęsnego poczucia inercji, którego doświadczał w poprzednich dniach, kiedy wypełniał polecenia Nogueiry bez większego przekonania.

Zadzwoił do Griñána, aby go uprzedzić, że będzie potrzebował jego usług, i umówili się na spotkanie w południe. Wybrał numer Mei, która usłyszawszy jego głos, płakała i śmiała się, kolejny raz powtarzając, że jej przykro z powodu tego, jak się wszystko potoczyło. Dobrą chwilę zajęło Manuelowi uspokojenie jej i przekonanie, że czuje się lepiej, że jej przebaczył i że nie chowa do niej urazy.

– Posłuchaj mnie, Mei, dzwonię do ciebie, ponieważ potrzebuję dwóch

rzeczy...

– Jasne, Manuelu, cokolwiek zechcesz.

– Álvaro od dwunastego roku życia uczył się w Madrycie, u salezjanów. Zadzwoń do nich i zapytaj o dokładną datę jego przyjazdu do szkoły. Powiedz im, że zmarł, że jesteś jego sekretarką i potrzebujesz tej informacji, aby uzupełnić nekrolog do gazety.

– Dobrze – odparła, jakby robiła notatki. – A druga sprawa?

– Muszę porozmawiać z moją agentką i... No cóż, wiesz, że to Álvaro zajmował się...

– Manuelu – westchnęła kobieta – nie chciałam zawracać ci głowy takimi rzeczami, ale przez ostatnie dni zarówno twoja agentka, jak i twój wydawca ciągle wydzwaniali.

– Powiedziałaś im coś?

– Nie, i to było najtrudniejsze. Minęło już ponad dziesięć dni... Manuelu, tutaj wszyscy nadal normalnie wykonują swoją pracę, oczywiście pracownicy o tym wiedzą. Ja cały czas płakałam, nie mogłam tego ukryć, ale wszystko zaczyna wyglądać bardzo dziwnie. Co mamy powiedzieć klientom? Niektórzy pracownicy pytali, do kogo należy teraz firma i czy wszystko pozostanie bez zmian.

Manuel milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie spodziewał się tego.

– Manuelu, rozumiem, że teraz nie masz do tego głowy, ale byłoby dobrze, gdybyś dał mi jakieś wytyczne, coś, co mogłabym powiedzieć, kiedy znowu zapytają.

Poczuł zimno na plecach, jakby ktoś wylał na niego kubeł lodowatej wody. Był niezdolny do ruszenia się i zareagowania... Próbował myśleć. Agencja Álvaro nie była zbyt duża, miała czterech, może pięciu pracowników, nie wiedział dokładnie.

– Ilu pracowników ma agencja?

- Dwunastu razem ze mną.
- Dwunastu? – powtórzył zaskoczony.
- Tak – odparła Mei.

Nie powiedziała nic więcej, ale Manuel odebrał to tak, jakby dodała: „Nie wiedziałeś? Nie zainteresowałeś się tym, Manuelu? Jak to możliwe? To była firma twojego męża, przychodziłeś na imprezy firmowe, na obiady z pracownikami, powinieneś to wiedzieć”.

– Powiedz im, żeby się nie martwili, zadzwonię do ciebie później i porozmawiamy – obiecał. – Ale teraz muszę cię poprosić o podanie prywatnego numeru mojej agentki, bo nie chcę dzwonić do agencji.

Zanotował kontakty i rozłączył się pod ciężarem wyrzutów, których Mei nie wypowiedziała, a które jednak rozbrzmiewały w jego głowie, ponieważ odpowiedź brzmiała „nie”. Nie, nie pamiętał, ilu pracowników miał Álvaro, nie był świadomy tego, że firma tak się rozwinęła ani że w pewnym momencie dwukrotnie wzrosła liczba zatrudnionych, nie wiedział, jakie były obroty, a listę klientów kojarzył tylko z czytania ich nazwisk na planie spotkań, który Álvaro miał zawsze przyczepiony do lodówki.

Zobaczył leżący na stoliku nocnym wymięty egzemplarz *To, co oddane złu*, który podpisał Álvarovi ponad dwadzieścia razy podczas tamtych upalnych Targów Książki w Madrycie. Tytuł zaczerpnął ze starego wierzenia z mitologii baskijskiej, opowiadającego o szarej substancji, którą karmiło się zło. Jeśli, według legendy, wszystko, co jest prawdziwe, zanegujemy kłamstwem, to ta rzecz rozpuszcza się i w końcu znika, stając się pożywieniem, którym karmi się zło. Kiedy jakiś rolnik kłamał i wypierał się, że miał obfite zbiory, zanegowana część wędrowała do zła. Jeśli urodziło mu się dziesięć cieląt, a zapytany, odpowiedział, że tylko cztery, pozostałe sześć przechodziło do zła i mogły nawet zdechnąć. To samo działo się wtedy, gdy człowiek wypierał się ukochanej kobiety, nieślubnego dziecka albo ukrytego

bogactwa. Wszystko to, czemu się zaprzeczało, stawało się pożywieniem dla zła i, jako że prawowity właściciel z tego rezygnował, ostatecznie zniknęło, żeby ciemna część wszechświata odebrała swoją zapłatę.

Kiedy opublikował *To, co oddane złu*, minęło siedem lat od nocy, której jego siostra zamknęła oczy na zawsze. Niedługo po jej śmierci po raz pierwszy poczuł potrzebę pisania i przez cały ten czas nie przyszło mu nawet do głowy, że w swoich książkach mógłby opowiadać o dzieciństwie, o rodzicach, o siostrze albo o bólu. Dotrzymywał obietnicy, którą od niego wyciągnęła, żeby nie zamienił jej w swój słaby punkt. Połykał łyżki przeznaczone do płakania po niej, ponieważ za każdym razem, gdy chciały wydobyć się na powierzchnię, niemal słyszał, jak do niego mówi: „Nie płacz, kiedy byłeś dzieckiem, nie pozwalałeś mi spać, a teraz nie pozwolisz mi odpoczywać”.

Był jednak taki poranek, gdy odkrył z przerażeniem, że zapomniał jej zapach, że nie pamięta jej twarzy, że nie zostały mu nawet po niej wspomnienia, że będąc zdeterminowanym, by wypierać ból, oddał go temu złu, a to zło pożerało go, sprawiając, że w końcu zniknął, tak jakby nigdy nie istniał. Tego dnia zaczął pisać. Pięć miesięcy krwawienia nad białymi kartkami, pięć miesięcy łez i niepokoju, które go wykończyły. Tytuł *To, co oddane złu* wybrał po to, by opowiedzieć o tym wszystkim, o czym nie chciał mówić, by nazwać to, czego przez lata nie chciał nazywać. Książka stała się jego najlepszą powieścią, nigdy nie udzielił wywiadu na jej temat i przysiągł sobie, że już nigdy nie napisze nic podobnego.

Podniósł wzrok i skierował go na ciemne biurko w rogu pokoju. Było na nim widać niemal błyszczące strony zabazgrane jego czarnym pismem. Z miejsca, w którym stał, dostrzegał tytuł na górze każdej strony: trzy słowa, które napisał – jak początkowo mu się wydawało – bezmyślnie, ale które tworzyły niemal drugą część tamtej powieści i stanowiły przyznanie się do

tego, że nie był ze sobą szczery. *To, co wyparte* było echem błagania Álvaro, proszącego go o to, by spojrzeć prawdzie w oczy, było jego prośbą o szczerość, najpiękniejszym wyznaniem miłości, którego nikt wcześniej nie wypowiedział, a które on jak głupiec odrzucił, jednym ruchem przekreślając możliwość, by Álvaro mu się zwierzył.

Spośród kartek wyciągnął kopię fotografii, którą Álvaro trzymał w swoim sejfie, zdjęcie, na które on nie chciał spojrzeć, wychodząc z domu, zdjęcie, które mu się nie podobało, a teraz już wiedział dlaczego.

Álvaro patrzył na niego, a on obserwował morze. Wrażenie, że coś traci, że nie był uważny, tego dnia łączyło się z przekonaniem o zarozumiałym egoizmie próżnego pisarza, który domagał się, by inni znali prawdy, do których on odwrócił się plecami. Zdziecinniał, pozwalając, żeby Álvaro zajmował się wszystkim, zostawiając mu prawdziwe życie, podczas gdy on odsunął się, aby egzystować w swoim szklanym pałacu razem z tym niewyczerpanym źródłem, z którego tryskały słowa, wycofując się do nierzeczywistego świata z ustaloną rutyną, którą Álvaro utrzymywał w cudownej równowadze. Od lat to on zajmował się negocjowaniem jego umów, datami oddania książek, zaliczkami z wydawnictwa, umowami międzynarodowymi, procentami, podatkami; całą masą zwyczajnych, codziennych i niewygodnych spraw, które Manuel z zasady odrzucał, a które Álvaro załatwiał, chroniąc go przed pospolitością świata, dostosowując do niego wyjazdy, rezerwacje, wywiady, odbierając jego telefony, wybierając dziennikarzy i zajmując się wszystkim, od najważniejszych aż do najmniej znaczących spraw.

Nie, nie znał pracowników agencji, wątpił, czy byłby w stanie przypomnieć sobie nazwiska więcej niż trzech, i właśnie tego poranka, szukając w notesie telefonu do swojej agentki, zdał sobie sprawę, że przez cały czas żył jak idiota patrzący na morze. Pozwolił, żeby Álvaro niósł jego

porcję rzeczywistości, tę, która należy się każdemu człowiekowi, każdej istocie, a Álvaro to robił, dźwigał rzeczywistość należącą do nich obu, chroniąc Manuela, trzymając go na bezpieczną odległość, jakby był kimś wyjątkowym – geniuszem albo opóźnionym w rozwoju.

Nie miał odwagi, żeby otworzyć książkę i przeczytać dedykację, jakie napisał piętnaście lat temu dla mężczyzny, którego pokocha, zamieniając go w swój słaby punkt, ale wydawało mu się, że ciężar znajdujący się w jej tytule był odpowiedni, aby utrzymać na widoku tę fotografię. Położył ją na stoliku nocnym i oparł zdjęcie o zniszczony grzbiet, na którym wciąż było widać tytuł *To, co oddane złu*. Wziął telefon i wybrał jeden z numerów, które podała mu Mei Liu.

– Och, cześć, Manuelu! Jak się masz? Od kilku dni próbuję się skontaktować z Álvarem.

Manuel się uśmiechnął. Władcza energia jego agentki kazała mu myśleć o niej jak o ciepłym wietrze, który dmuchał na niego, zmiatając niezdecydowanie i zmuszając go, by dołączył do jej ciągłego pędu.

Chciał ją okłamać, ukryć przed nią, że Álvaro zmarł, ponieważ przeczuwał, że ona go kochała, słychać to było w tym, jak wypowiadała jego imię. Manuel nie ignorował tego, że wolałaby rozmawiać z nim, że werwa i śmiałość agentki lepiej pasowały do temperamentu Álvara niż do jego powściągliwego zachowania.

– Anno, muszę przekazać ci złą wiadomość. W zeszłym tygodniu Álvaro miał wypadek samochodowy i zmarł. To jest powód, dla którego do ciebie nie zadzwonił, dla którego nie zrobił tego żaden z nas.

– O mój Boże! – Powiedziała tylko tyle.

Po chwili Manuel zorientował się, że płacze. Czekał chwilę, bardzo długą chwilę, ze wzrokiem zagubionym w pustce, słuchając.

Pojawiły się pytania, na które nie odpowiedział, szczery lament, którego

wysłuchał, a potem jej naturalny instynkt ochronny, który jak zawsze był do jego dyspozycji.

– Manuelu, niczym się nie przejmuj, ja wszystkim się zajmę: zaraz zadzwonię do twojego wydawcy. – Westchnęła głęboko. – Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Álvarem, powiedział mi, że kończysz *Słońce Teb*. Pewnie wiesz, iż książka ma się ukazać przed Bożym Narodzeniem, ale jeśli nie czujesz się na siłach, jeśli nie masz ochoty, możemy przesunąć datę wydania na styczeń albo na Światowy Dzień Książki; zyskam tyle czasu, ile będziesz potrzebował. Nie musisz odpowiadać w tej chwili, przemyśl to na spokojnie. Teraz potrzebujesz czasu dla siebie.

– Piszę – wymamrotał w odpowiedzi.

– Ach, dobrze, oczywiście, nie wiem, w którym momencie byłeś, kiedy... Czujesz się na siłach, żeby teraz pisać? Może powinieneś zostawić to na później? Jak ci powiedziałam, przesuniemy datę wydania.

– Piszę inną powieść.

– Co? Inną powieść? – Obudził się jej naturalny instynkt agentki, a wiatr, w postaci którego zawsze ją sobie wyobrażał, zawirował dookoła niego.

– Nie oddam *Słońca Teb*, Anno, nie chcę publikować tej książki.

– Ale...

– Nie wiem, może kiedyś... Jednak wiem, że teraz nie chcę jej publikować. Powieść, którą piszę, będzie moją następną wydaną książką.

Zaczęła protestować, wspominając o odpowiedzialności i zobowiązaniach, tłumacząc jego odmowę trudnym okresem, lekkomyślnością i obojętnością z powodu tego, co się stało. Jak zawsze rozsądna, dała mu czas na podjęcie ostatecznej decyzji, on jednak uciął wszystkie jej wątpliwości, mówiąc:

– Álvarowi się nie podobała.

Milczała.

- Anno... Chcę cię prosić o przysługę...
- Jasne, o co tylko chcesz.



W południe słońce zdołało podnieść temperaturę i rozwiać w końcu kłęby mgły, które poprzedniego wieczoru osiadły nad Ribeira Sacra, utrzymując się przez cały poranek.

Od czasu ich ostatniego spotkania Griñán zachowywał się rozważnie i teraz był zadowolony, że mógł zaoferować Manuelowi swoje usługi. Okazując profesjonalizm, włożył okulary i przejrzał dokumenty, które ten wyjął z tej samej koperty, w której poprzedniej nocy przekazał mu je Nogueira, i po wykonaniu dwóch telefonów w niewiele ponad pół godziny załatwił sprawę.

– Zostanie pan, prawda? – zapytał notariusz, odprowadzając go do wyjścia. – Pytam ze względu na to, co powiedział mi pan ostatnio... i ze względu na to, co dzisiaj zrobił...

Manuel się uśmiechnął i chciał odpowiedzieć, otworzył nawet usta, może po to, żeby zaproponować, może po to, żeby przyznać mu rację, ale nie mógł. Zbyt długo patrzył na morze i nie wiedział, jak to zrobić.

– Załatwię to – odparł stanowczo, wchodząc do windy i zostawiając zmieszanego Griñána przy drzwiach jego kancelarii.

Prowadził z Kawą u boku, pokonując zakręty i zjeżdżając ze zbocza aż do Heroiki. Tego dnia główny wjazd był zamknięty i na miejscu panowała cisza, chociaż liczne samochody zaparkowane obok wejścia do piwnicy zdradzały obecność pracowników bodegi, którzy przy zamkniętych drzwiach przelewali wino po pierwszym filtrowaniu. Manuel zatrzymał auto naprzeciwko bramy i wybrał numer Daniela.

– Jesteś w bodedze? – zapytał, dochodząc do wniosku, że powinien

sprawdzić to wcześniej.

– Tak, przyjedziesz?

Manuel się uśmiechnął.

– Wyjdź na zewnątrz.

Jeszcze z telefonem w ręku zobaczył Daniela ubranego w niebieski kombinezon z nankinu, prześlizgującego się przez szczelinę, która niczym wąskie wycięcie przebiegała przez całą fasadę.

– Ale co ty tu robisz? – zapytał zaskoczony i uśmiechnięty, podchodząc do samochodu, o który opierał się Manuel. – Dlaczego nie uprzedziłeś, że przyjedziesz? Zorganizowałbym grilla.

– Ja tylko na chwilę – odparł Manuel. – Dzisiaj nie mam zbyt wiele czasu, ale chciałem pokazać wam to – powiedział, podnosząc kopertę, w której znajdowały się dokumenty.

Daniel spojrzał na niego z wahaniem.

– To akty własności gospodarstwa, o którym mi mówiliście. Tak jak przypuszczaliście, Álvaro przyspieszył proces kupna i trzeba go było tylko sfinalizować. Rozumiesz, że z racji ostatnich wydarzeń nie mógł tego zrobić... Pomyślałem, że ci mężczyźni chcieliby o tym wiedzieć.

Daniel podniósł obie ręce, zdejmując rękawice, i wziął dokumenty.

– Ale cudownie! Chodź, musisz sam im o tym powiedzieć – ucieszył się, pokazując na bramę.

Manuel pokręcił głową z uśmiechem.

– Ty to zrób, ja... Uczymy to innego dnia, dzisiaj muszę... – powiedział, pokazując leniwie w stronę drogi prowadzącej od bodegi.

Uśmiechnięty Daniel podszedł do niego i podał mu rękę.

– Nawet nie wiesz, ile to dla nas znaczy – stwierdził, podnosząc papiery, wyraźnie wzruszony.

Uściskał Manuelowi dłoń, a kiedy wydawało się, że wreszcie ją puści, mocno go objął; potem się odsunął, nieco onieśmielony.

– Dzięki, szefie! – wykrzyknął, cofając się w stronę bramy i nie przestając na niego patrzeć.

– I jeszcze coś – powiedział Manuel.

Wtedy mężczyzna zorientował się, że wciąż trzyma w ręku dokumenty.

– Och, jasne! – Ruszył do niego i wyciągnął je w jego stronę.

– Nie, nie chodzi mi o to – wyjaśnił Manuel. – To kopia, przywiozłem ją, żeby pracownicy mogli zobaczyć, jest dla was. Chciałem cię zapytać o łódkę, którą płynęliśmy z Belesar.

Daniel się uśmiechnął, wyciągając karabinek wspinaczkowy, do którego miał przyczepione różne klucze. Wybrał dwa i mu je podał.

– Tak naprawdę teraz jest twoja. I nie przejmuj się: jeśli umiesz prowadzić samochód, będziesz wiedział, jak ją obsługiwać.



Manuel zarezerwował stolik w restauracji z daniami z grilla, którą polecił mu właściciel hostelu, i o dziewiątej czekał cierpliwie na pojawienie się swoich gości.

Lucasa nietrudno było przekonać o konieczności tego spotkania, ale Nogueira był bardziej niechętny.

– Cholera, Manuel, przecież to ksiądz! Jak on na to zareaguje? Nie spodoba mu się...

– Nie, Nogueira, ty go nie znasz: był przyjacielem Álvaro, prawdziwym przyjacielem, trzymali się razem od najmłodszych lat, on jest jedyną osobą stąd, z którą Álvaro utrzymywał kontakt przez wszystkie te lata. Ufał mu i ja też mu ufam.

– Zobaczysz – odparł Nogueira. – Mnie on nie przekonuje. A jak sprawa

z seminarium?

– Tak jak się spodziewaliśmy, agentka zadzwoniła i gdy tylko wymówiła moje nazwisko, stał się cud. Powiedziała im, że jestem w okolicy, że zbieram dokumentację na potrzeby nowej powieści i że jestem bardzo zainteresowany obejrzeniem seminarium. Są gotowi pomóc mi we wszystkim, czego potrzebuję. Będą na mnie czekać jutro rano, ale uważam, że jest ważne, byśmy najpierw porozmawiali z Lucasem: on też się tam uczył i był najlepszym przyjacielem Álvara; jeśli coś wiąże się z tym miejscem, to Lucas może nam pomóc.

Pierwsze minuty spotkania przebiegały w niezręcznej i chłodnej atmosferze, ale ogień w kominku, domowe jedzenie, które oberżysta ustawiał na stole w dużych ilościach, oraz butelka heroiki, wybrana przez Manuela spośród różnych win, krok po kroku zdołały ją złagodzić.

Pili kawę, kiedy Manuel opowiedział Lucasowi o swoim planie, nie pomijając – ku niezadowoleniu Nogueiry – tego, co wiedzieli o zniknięciu Toñina i dziwnej reakcji przeora.

Włączył się Nogueira:

– Uwagę zwraca to, że wypiera się rozmowy telefonicznej oraz wizyty, a w zasadzie nawet tego krótkiego okresu, w jakim Álvaro przebywał w seminarium.

– Wcale nie był taki krótki, od czwartego do dwunastego roku życia – podkreślił Lucas. – Byliśmy w siódmej klasie, kiedy wyjechał.

– Między siódmą a ósmą? – zapytał Nogueira.

– Nie. – Ksiądz zrobił pauzę, jakby się zastanawiał, jak ważne jest to, co ma powiedzieć. – Wyjechał w połowie roku szkolnego.

Nogueira i Manuel wymienili szybkie spojrzenia.

– Wydalili go? To była kropla, która dla jego ojca przepełniła czarę goryczy? Dlatego wysłał go do internatu w Madrycie? – domyślał się

Manuel.

– Niezupełnie – wyjaśnił Lucas. – Chociaż pamiętam, że w tamtym momencie wśród uczniów krążyła taka plotka.

– A więc co się stało? Wiesz? – zapytał Manuel.

– Álvaro opowiedział mi o tym wiele lat później, ja pamiętam tylko, że zrobiło się wielkie zamieszanie. Jeden z zakonników popełnił samobójstwo, wieszając się na belce w swojej celi, i jak się okazało, to Álvaro go znalazł. Nie opowiadał ci o tym? – zapytał Lucas, patrząc na zaskoczoną twarz Manuela.

Zaprzeczył rozgoryczony.

– Nie, nie zrobił tego.

Lucas kontynuował, starając się ignorować irytację Manuela.

– Oczywiście wersja oficjalna była inna, powiedzieli nam, że brat Verdaguer zmarł w nocy, nic więcej. O Álvaroze też ani słowa, krążyły tylko plotki. Wiedzieliśmy jedynie, że trafił do infirmerii, bardzo roztrzęsiony, że zadzwonili do jego ojca, który po niego przyjechał. Álvaro nie wrócił już do klasy ani do szkoły.

– Pytałeś go kiedyś o to? – indagował z zainteresowaniem Nogueira.

– Jasne, gdy tylko znów go spotkałem; powiedział, że kiedy zobaczył martwego zakonnika, doznał szoku. Na początku starali się wyciszyć sprawę, wysłali go do infirmerii, ale minęło kilka godzin, a jego stan się nie poprawiał, więc przeor zaczął się martwić i w końcu zawiadomił jego ojca. Porozmawiali i postanowili, że najlepiej będzie go stamtąd zabrać, że pobyt tam nie pomoże mu zapomnieć o tym zdarzeniu. Później dowiedzieliśmy się od jego brata, że przebywa w internacie w Madrycie. Widziałem się z nim jeszcze kilka razy, kiedy wracał do domu. Zmienił się, było widać, że jest smutny, i chociaż byłem jeszcze dzieckiem, zrozumiałem, że nie ma ochoty rozmawiać. Potem w ogóle przestał przyjeżdżać i ponownie zobaczyłem go

dopiero wiele lat później. Kiedy miałem przyjąć święcenia kapłańskie, moja matka wysłała mu zaproszenie za pośrednictwem jego szkoły w Madrycie i Álvaro przyjechał. Od tamtej pory utrzymywaliśmy kontakt.

– A jego brat? – dopytywał Nogueira.

– Santiago został w szkole. I kiedy Álvaro wyjechał, wyglądał, jakby odżył. Myślę, że tak naprawdę nosił w sobie mieszaną podziwu i zazdrości o brata i w jakiś sposób kiedy nie było już Álvaro, on bardziej błyszczał, poprawiły się nawet jego oceny; ja powtarzałem rok, więc uczyłem się z nim w jednej klasie i wtedy był jednym z najbardziej wyróżniających się uczniów. Został aż do ukończenia szkoły średniej, a potem wyjechał na studia.

– Przyjaźniliście się?

– Cóż, ostatnio próbowałem wytłumaczyć to Manuelowi. Z wyjątkiem Álvaro pozostali członkowie rodziny Muñizów de Dávilów czują coś w rodzaju wrodzonej niechęci wobec reszty śmiertelników. Ja jestem synem nauczyciela, a w tej szkole uczyłem się dzięki stypendium i chociaż inni chłopcy pochodzili z dobrych rodzin, czy raczej zamożnych, to oczywiście nie było wśród nas innych arystokratów; wątpię, by Santiago miał w klasie jakichś przyjaciół.

Manuel obserwował Nogueirę, który przytakiwał powoli podczas opowieści Lucasa; wyglądało na to, że dzięki skatalogowaniu Muñizów de Dávilów ksiądz wiele zyskał w oczach porucznika.

Deser się przeciągnął i w lokalu zostali już tylko oni. Nogueira wyjął papierosa i podnosząc rękę, pokazał go właścicielowi, który skinął głową, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

– Jeśli nie będzie wam przeszkadzać... – powiedział, po czym zapalił papierosa.

Obaj obojętnie wzruszyli ramionami, a Nogueira zaciągnął się głęboko i kontynuował:

– Ja byłem wtedy młodym gwardzistą i wprawdzie ten rejon nie należał do mnie, ale pamiętam, że wspominałem moim braciom o zakonniku, który się powiesił. Co możesz mi powiedzieć o tamtym duchownym?

– Cóż, nie pamiętam go zbyt dobrze, uczył tych najmłodszych... Wersja oficjalna była taka, że zmarł we śnie, chociaż krążyła plotka, że popełnił samobójstwo. Cierpiał na raka i choroba był w bardzo bolesnym, terminalnym stadium. Skłaniam się ku wersji, że Kościół próbował to ukryć; niestety to bardzo typowe.

Nogueira spojrział na niego przyjemnie zaskoczony.

– Nie pochwalasz tego?

– Oczywiście, że nie. Nie usprawiedliwiam samobójstwa, ale mogę zrozumieć, że ból był nie do zniesienia. To były inne czasy, nie dysponowano takimi środkami jak teraz, więc jeśli sam nie zniosłeś podobnego cierpienia, to nie możesz oceniać innych. Ale prawda to zawsze prawda.

Nogueira przytaknął z aprobatą.

Manuel był zafascynowany tą opowieścią.

– I Álvaro już nic więcej ci na ten temat nie mówił?

– Nie. Kiedy znowu się spotkaliśmy, zapytałem go o to i prawdę powiedziawszy, chyba udało mu się zapomnieć o tej sprawie, a przynajmniej ledwie ją pamiętał.

Nogueira sprawiał wrażenie, jakby rozmyślał nad drugim dnem tej historii. Manuel zauważył, że palił powoli i miał zmarszczone brwi. Zastanawiał się, o czym porucznik myśli, ale nawet nie musiał pytać.

– Myślę, że kiedy Toñino pracował w seminarium, odkrył coś, z czego mógł czerpać korzyści, ale to, że ksiądz mający raka w terminalnym stadium postanawia podjąć najbardziej drastyczną decyzję, nie oznaczałoby skandalu, gdyby zostało ujawnione; wprost przeciwnie: łatwo można by zrozumieć jego postępowanie, to były inne czasy... – powiedział zamyślony Nogueira.

Manuel też się nad tym zastanawiał. Czy Álvaro był biednym chłopcem, który doznał szoku, widząc zwłoki? Czy uczniem błyskawicznie wyrzuconym przez... Dlaczego? Co takiego zobaczył?



Po raz pierwszy od przyjazdu Manuela do Galicji niebo o poranku było całkowicie bezchmurne. Starannie wybrał ubranie, które miał założyć tego dnia, i zanim pojechał do seminarium, zatrzymał się w małym sklepie papierniczym, żeby kupić aktówkę, taśmę samoprzylepną, dwa zeszyty i pół tuzina długopisów, które – miał nadzieję – dodadzą jego zamiarom pewnej wiarygodności.

Zaparkował przy bramie i pożegnał się z Kawą, który popatrzył na niego spode łba, zwijając się zrezygnowany w kłębek na kurtce Álvaro. Manuel zobaczył, że na spotkanie wychodzi mu młody zakonnik, idzie po szarym bruku wciśniętym między niewiarygodnie zieloną trawę. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat i po jego wyglądzie Manuel wywnioskował, że to Julián, brat bibliotekarz, który miał go przyjąć. Młodzieniec wyciągnął do niego rękę i przywitał się z wyraźnym meksykańskim akcentem.

– Dzień dobry, panie Ortigosa, jestem brat Julián. Przeora nie ma, ponieważ musiał wyjechać w osobistej sprawie. Nie wróci do jutra, ale polecił mi, żebym pokazał panu klasztor i pomógł ze wszystkim, czego tylko by pan potrzebował.

Manuel nie ukrywał rozczarowania.

– Och, jaka szkoda! Proszę się nie obrazić, ale miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z jednym ze starszych zakonników, żeby opowiedział mi o tym, jak wyglądało seminarium w czasach, kiedy jeszcze prowadzono tutaj lekcje.

– Tak, proszę pana, nie musi się pan tym przejmować, pańska agentka

wyjaśniła przeorowi, czym jest pan zainteresowany. On wróci jutro rano i odpowie na pańskie pytania, a tymczasem pomoże panu brat Matías, najstarszy zakonnik w naszej kongregacji. Jest już na emeryturze, ale zachował jasny umysł i mnóstwo wspomnień oraz anegdot z tamtych czasów. Proszę mi wierzyć – powiedział z uśmiechem – my, bracia, wiemy z doświadczenia, że zawsze bardzo chętnie się nimi dzieli.

Przez następne dwie godziny Manuel przemierzał razem z bratem Juliánem ogromne pomieszczenia seminarium, witając się z nielicznymi zakonnikami, którzy zostali w klasztorze i byli podekscytowani na myśl o tym, że odwiedza ich pisarz, o którym brat Julián powiedział, że jest bardzo znany. Nie kryli zadowolenia i pytali go, czy akcję swojej nowej powieści umieści w ich klasztorze, czy nie.

– Cóż, próbuję się dowiedzieć, jak dawniej wyglądało życie ucznia seminarium; jeszcze nie wiem, w którą stronę podąży cała historia – odpowiadał wymijająco.

Kościół San Xoan, krużganki, patia, kuchnie, refektarz, kaplica. Stara infirmeria, zachowana jako ciekawostka, z żelaznymi łózkami i szklanymi witrynami pełnymi wyglądających złowieszczo narzędzi, które według brata Juliána wywoływały zachwyty lekarzy zatrzymujących się często w pokojach gościnnych klasztoru. Małe muzeum, gdzie ku swojemu zdziwieniu Manuel znalazł zaskakującą kolekcję pudełek z laki, które spodobałyby się każdemu antykwariuszowi. Proste, chociaż nowoczesne pokoje z łazienką, w jakie zamieniły się aule na potrzeby gości przybywających tutaj w ramach duchowego odosobnienia. I ogromna biblioteka, w której regały wciśnięto między pełne łuki podtrzymujące fundamenty klasztoru. Zarówno książki, jak i meble były w bardzo dobrym stanie. Jego uwagę zwróciły wielki osuszacz powietrza oraz nowoczesny system ogrzewania nadmuchowego, dzięki któremu w tym pomieszczeniu, dawniej będącym zapewne mroczną

piwnicą, utrzymywała się stała, przyjemna temperatura. Na widoku znajdowały się różne połączenia przewodów, przez co miejsce to miało światło elektryczne, ogrzewanie i ADSL, niezbędny do utrzymania nowoczesnego sprzętu komputerowego, na którym pracował brat Julián.

– W klasztorze przebywam od dwóch lat i prawda jest taka, że ledwie wychodzę z biblioteki – powiedział z uśmiechem. – Lubię myśleć, że jestem spadkobiercą tradycji jednego z tych zakonników, którzy poświęcili całe swoje życie, żeby przepisać jedną księgę, chociaż ja robię to w nowocześniejszy i mniej ciekawy sposób – dodał, pokazując szerokim gestem na metalowe regały ustawione w rzędzie w ciemnej części biblioteki.

Zwoje wyglądały na stare, chociaż były dobrze zachowane.

– Proszę mi nie mówić, że to jest archiwum seminarium – powiedział Manuel, będąc pod wrażeniem.

Zakonnik skinął, zadowolony z jego spostrzegawczości.

– Tak to wszystko wyglądało, kiedy przyjechałem. Prawdę mówiąc, tutaj nigdy nie było brata bibliotekarza; różni zakonnicy, których ja nazywam molami książkowymi, zajmowali się konserwacją książek i archiwum i, chociaż w dobrej wierze, zrobili to tak, jak umieli – powiedział, śmiejąc się z własnego żartu. – Kiedy tu przyjechałem, nie było ani jednego zdigitalizowanego dokumentu. Archiwum i zwoje gromadzono w kartonowych pudłach ustawionych pod ścianą prawie po sam sufit.

– Do którego roku brat dotarł?

– Do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego.

Wtedy Álvaro nie było jeszcze na świecie. Jeśli szkolne metryczki nie zostały zdigitalizowane, to było prawie niemożliwe, aby znalazł jakikolwiek ślad tego, co zdarzyło się w roku, w którym Álvaro został wydalony.

Julián pospieszył z wyjaśnieniem:

– Wiem, o czym pan myśli: że nie będzie mógł się dowiedzieć, jak

funkcjonowała szkoła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, a właśnie to pana interesuje. Proszę się nie martwić – powiedział, kierując się w stronę stojącego na stole komputera. – Zawsze jest tak samo, ludzie, którzy nie znają się na informatyce, myślą, że zdigitalizowanie archiwum to jak włożenie kromek chleba do tosterka. Kiedy tu przyjechałem i zobaczyłem, ile jest do zrobienia, przekonałem przeora, żeby wynajął zewnętrzną firmę informatyczną, aby zeskanowała wszystkie dokumenty – powiedział, otwierając na pulpicie komputera folder, w którym znajdowały się zdjęcia z formacie jpg, w jakie zostały zamienione dokumenty.

– To musiało być dla brata niezmiernie pomocne – skomentował Manuel, czując ulgę.

– Nawet nie ma pan pojęcia. Chociaż wprowadzam ręcznie arkusz za arkuszem, to praca tej firmy ogromnie ułatwiła mi zadanie. Nie tylko zeskanowali wszystkie dokumenty, niektóre bardzo zniszczone, uzyskując lepszą jakość pisma, wcześniej prawie nieczytelnego, ale też zwrócili nam je uporządkowane latami w tych kartonach – powiedział, bębniąc palcami o jedno z pudeł.

Manuel popatrzył z wahaniem w stronę potężnych klasztornych stołów, które były poustawiane w całym pomieszczeniu.

– Gdzie mogę usiąść?

– Och! Może pan skorzystać z mojego stołu i mojego komputera. Przeor prosił, żebym udostępnił panu każdy dokument, jakiego tylko sobie pan zażyczy. Niestety w tym klasztorze nie mamy żadnego literackiego skarbu, którego trzeba by było szczególnie pilnować – powiedział z uśmiechem. – Jedyna zasada jest taka, że z szacunku dla prywatności byłych uczniów nie można kopiować ani ściągać żadnego dokumentu zawierającego poufne dane. Oczywiście nie uważam, że byłby pan zainteresowany czymś takim. Jeśli chce się pan dowiedzieć, jak funkcjonowało seminarium, to ja na pana

miejscu skoncentrowałbym się na archiwum zdjęć. Gdyby potrzebował pan jakiejś kopii, sam mogę ją wydrukować.

Manuel podziękował bratu Juliánowi i przez pierwszą godzinę zajmował się przeglądaniem dokumentów, od szkolnych metryczek, przez stare faktury, po pisma, które podpisywali zakonnicy po wstąpieniu do seminarium, oraz materiały związane z porzuceniem dzieci przy klasztorze podczas wojny domowej. Powiedział coś, co zostało bardzo dobrze przyjęte przez bibliotekarza, a następnie, tak jak rekomendował mu brat, przeszedł do archiwum zdjęć.

Lucas powiedział, że zarówno Álvaro, jak i on zostali przyjęci do szkoły w wieku czterech lat, tak więc w zależności od zasad, jakie zastosowano do rozdzielania roczników, Álvaro mógł trafić do klasztoru w roku szkolnym 1975/76 albo 1976/77. Manuel przebiegł wzrokiem po liście malców, aż znalazł jego nazwisko razem ze szkolnym zdjęciem starannie uczesanego chłopca z przedziałkiem z boku, który rozpromieniony patrzył w aparat. Z ciekawości poszukał też Lucasa Robledo i uśmiechnął się, widząc szkraba z dużymi oczami, który z zaskoczeniem spoglądał w obiektyw; a także Santiaga, który w przeciwieństwie do swojego brata nie był zadowolony z tego, że ktoś robi mu zdjęcia. Przeszedł do 1984 roku, kiedy to Álvaro opuścił seminarium, i poszukał jego szkolnej metryczki. Znajdowała się razem ze zdjęciem, na którym rozpoznał dwunastolatka patrzącego pewnie z fotografii podarowanej mu przez Herminię. Oceny, dosyć dobre, ograniczały się do tych z okresowych sprawdzianów. Nie było tam nic więcej oprócz zdawkowego „przeniesiony do innej placówki”. Postanowił poszukać według innego klucza. Wstukał „przeniesienia”, ale nie pojawiło się nic; spróbował więc przez „odejścia” i wtedy znalazł wiele metryczek. Przeczytał je pobieżnie, orientując się, że firma informatyczna przez pomyłkę pomieszała przeniesienia i odejścia ze zgonami. Znalazł raport dotyczący

Álvara, w którym zebrano oceny i uwagi nauczycieli rok po roku; w ostatnim, podobnie jak w metryczce, stopnie były podane tylko do pierwszych dni grudnia i nagle się urywały. Cofnął się zdezorientowany, jeszcze raz przejrzał dokumenty i zdało mu się, że rozpoznał pewne nazwisko. Sprawdził kilka notatek, które zrobił poprzedniego wieczoru podczas rozmowy z Lucasem, i wiedział już, dlaczego brzmiało znajomo. Verdaguer to nazwisko zakonnika, który oficjalnie zmarł na raka, ale wszyscy podejrzewali, że popełnił samobójstwo. Wtedy Manuel zauważył, że firma informatyczna przyjęła kolejność odpowiadającą datom, w których nastąpiły odejścia. Cofnął się i zobaczył, że oprócz śmierci brata Verdaguera i opuszczenia szkoły przez Álvara do kolejnego odejścia z seminarium doszło trzynastego grudnia: był brat Mario Ortuño. Otworzył dotyczący go dokument, w którym brakowało zdjęcia. Według podanych informacji odpowiadał za infirmerię i dobrowolnie odszedł z klasztoru tego samego dnia, w którym wydano Álvara, tego samego dnia, w którym jako świadek podpisał, pod nieczytelnym nazwiskiem wiejskiego lekarza, akt zgonu brata Verdaguera, gdzie ku zdumieniu Manuela napisano, że śmierć zadał sobie sam. A więc pomimo plotek i tego, co podejrzewali, oficjalnie nigdy nie próbowano ukryć, że zakonnik popełnił samobójstwo.

Odetchnął i przeczytał dokument dotyczący brata Maria Ortuña. Pochodzący z Corme, z prowincji A Coruña, najmłodszy z trójki rodzeństwa, wstąpił do klasztoru jako nowicjusz w wieku dziewiętnastu lat; przebywał tu nieustannie aż do dnia, w którym jako świadek podpisał akt zgonu Verdaguera, a Álvaro został wydany po spędzeniu nocy w infirmerii. Manuel zapisał jego dane w jednym z notesów i schował go, po czym zapytał bibliotekarza:

– Bracie Juliánie, co znaczy dobrowolne odejście zakonnika?

Młody mężczyzna z zaciekawieniem przysunął się do ekranu komputera.

– To rzadko spotykane, ale czasami się zdarza – wyjaśnił zatroskany. – Dochodzi do tego wtedy, gdy zakonnik postanawia zrzucić habit i odejść z zakonu. – Stojąc obok niego, brat wpisał kilka wyrazów i przed ich oczami wyświetlił się dokument dotyczący brata Ortuña. – Cóż, jak pan widzi, ten zakonnik przechodził kryzys wiary, który, jak sądzę, musiał być bardzo poważny; w większości przypadków próbuje się skierować taką osobę na właściwą drogę, na przykład przenosząc ją do innego klasztoru albo wysyłając na duchowe ćwiczenia... Ale tego brata przeor kazał odesłać do domu – powiedział, wracając do pracy na swoim laptopie.

Manuel przez kilka minut przeglądał różne strony na chybił trafił, aż miał pewność, że zakonnika znów pochłonęła praca. Wstukał „infirmieria” i na ekranie pojawiły się setki odniesień. Wpisał nazwisko Álvara, ale nie było żadnej wzmianki o raporcie na jego temat. Spróbował poprzez datę i po chwili na ekranie wyświetlił się dokument, który wprowadził go w osłupienie. Jakość zdjęcia pozwalała dostrzec, że była to księga przyjęć i wypisów z infirmerii. Stronę podzielono na sekcje, które powinny się pokrywać z każdym przyjęciem i wypisaniem z ambulatorium. Pod datą i godziną znajdowała się jedna sekcja dla danego roku i nazwiska. Eleganckim pismem, typowym dla dawnych czasów, ktoś napisał jedynie „Muñiz de Dávila”. Pod tabelkami, w szerszej sekcji zatytułowanej „Rokowanie” i zapełnionej tym samym pismem, można było przeczytać:

<i>Chłopiec</i>	<i>wykazuje</i>	<i>poważne</i>	
<hr/>			
<i>badanie</i>		<i>wstępne</i>	
<hr/>			
<i>zdezorientowany</i>	<i>i</i>	<i>skonfundowany</i>	
<hr/>			
<i>Lekka</i>	<i>gorączka,</i>	<i>chociaż</i>	<i>niezgodny</i>

osiem godzin, rokowania są pozytywne,

związku z tym zalecam, żeby został

Z racji zaistniałych okoliczności

mogę stwierdzić, że chłopiec

zalecam, aby został zbadany przez swojego lekarza pierwszego kontaktu albo specjalistę, i ufam, że [REDAKTOR] z uwagi na zdrowie

Z racji swojej powinności zaświadczam, podpisuję i proszę Boga, żeby nas prowadził.

Podpisano:

br. Mario Ortuño

Raport zajmował całą stronę, a biorąc pod uwagę zwarte pismo Ortuña, wydawał się obszerny, jednak całość była pokryta okropnymi czarnymi liniami, które wcześniej Manuel widział jedynie w aktach z szybkich procesów podczas wojny domowej oraz w dokumentach służb specjalnych z czasów I wojny światowej.

Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy bibliotekarz nadal zajmuje się swoją pracą, i telefonem komórkowym zrobił zdjęcie ekranu. Następne pół godziny poświęcił na szukanie wśród zamazanych twarzy zdjęcia Maria Ortuña. Musiał znaleźć wizerunek mężczyzny, który napisał tak straszny raport z infirmerii, że został on niemal w całości ocenzurowany; wizerunek

zakonnika, który dobrowolnie złożył rezygnację po napisaniu dokumentu, z którego ocalało jedynie kilka słów. Mężczyzny, który opuścił klasztor w tym samym dniu, w którym wydalono Álvaro, zostawiając po sobie te słowa. Słowa nieprzestające wołać w głowie Manuela: „Chłopiec wykazuje poważne...”. Czy to był szok spowodowany tym, że Álvaro zobaczył zwłoki samobójcy, których nikt nie pofatygował się ukryć, i to szok tak ciężki, by ocenzurować raport? Czy to ten dokument znalazł Toñino i uważał, że dzięki niemu osiągnie korzyść? Czy może raczej odszukał to, czego w tym raporcie brakuje? Manuel popatrzył smętnym wzrokiem na regały pełne pudeł ciągnące się aż do ciemności. Nawet gdyby istniała kopia bez cenzury, to nie sądził, by Toñino znalazł ją tutaj, a to, że natknąłby się na nią przypadkiem, było mało prawdopodobne. Nie, gdziekolwiek by się ona znajdowała, musiał na nią trafić w innym miejscu.

– Czy brat zna bratanka przeora? – zapytał Manuel.

– Toñina? – odparł zaskoczony. Ton głosu bibliotekarza sprawił, że Manuel natychmiast pożałował tego pytania.

– Nie wiem, jak się nazywa; właściwie go nie znam, ale kiedy dzisiaj rano tutaj jechałem, zatrzymałem się w wiosce i pewna kobieta zapytała mnie, czy jestem bratankiem przeora, który pracował w klasztorze. – Manuel starał się jakoś wytłumaczyć.

– Tak, to Toñino, nie ma innego, ale nie wiem, jak mogła się tak pomylić, bo on ani trochę nie jest do pana podobny.

– Pracował tutaj? – zapytał jakby od niechcienia.

– W bibliotece? – Roześmiał się. – Nie, nie sądzę, by kiedykolwiek postawił nogę w bibliotece. Chyba malował pokoje gościnne i gabinet przeora, ale mówię panu, to nieudacznik. Ta kobieta powinna niezwłocznie zbadać sobie wzrok.

W archiwum nie natrafił na żadne zdjęcia brata Maria Ortuña. Nie miał

natomiast problemu ze znalezieniem sporej liczby wydarzeń, w których uczestniczył brat Verdaguer. Nietrudno było wywnioskować, dlaczego Lucas określił go jako jednego z najbardziej lubianych zakonników. Pulchny i z rumianymi policzkami, widocznymi nawet na czarno-białych zdjęciach, pojawiał się zawsze jako lider drużyn sportowych, przewodząc wycieczkom czy grom, i mimo że wszędzie miał na sobie habit zakonny, nie wydawało się, by strój uniemożliwiał mu udział w rozgrywkach. Na zdjęciach pozował z drużynami przy trofeach, dyrygował chórem podczas imprezy bożonarodzeniowej, a na jednej z najciekawszych fotografii grał w pelotę o boczną ścianę kościoła – jedną ręką przytrzymywał habit podwinięty niemal do pasa, a drugą odbijał piłkę. Manuel poprosił brata Juliána, żeby wydrukował mu tę fotografię razem z dwudziestoma kilkoma innymi, wśród których było wiele zdjęć brata Verdaguera z grupami chłopców, a także takie z widokiem klasztoru z lotu ptaka oraz stare zdjęcia auli. Zostawił zajętego bibliotekarza, połowicznie przekonany, że sam zdoła dotrzeć do ogrodu warzywnego, w którym stary brat Matías spędzał całe godziny.

– Z pewnością chodziło o kobietę – powiedział brat Julián, kiedy Manuel wychodził.

Odwrócił się i spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Kobieta, powód kryzysu wiary brata Ortuña. W dokumencie jest napisane, że miał dwadzieścia dziewięć lat, kiedy zrzucił habit; z pewnością chodziło o kobietę, w przeciwnym razie by wrócił.

Manuel popatrzył na niego i westchnął.

Wyszedł na zewnątrz i zamiast skierować się na pole w tylnej części klasztoru, zawrócił – miał nadzieję, że nie natknie się na żadnego zakonnika – do bramy garażu, która, jak powiedział Nogueira, była otwarta na oścież. Wyjął z kieszeni rolkę taśmy samoprzylepnej kupioną tego samego poranka i oddzieliwszy kawałek, przyklepił go do odpryskującej farby furgonetki, po

czym mocno pociągnął i zebrał przyklejone do niej małe fragmenty białej farby, które zabezpieczył, chowając taśmę z powrotem do rolki.



Bibliotekarz miał rację, stwierdziwszy, że brat Matías uwielbia mówić. Opowiedział Manuelowi mnóstwo anegdot o uczniach, ogrodzie, warzywach, które teraz zakonnicy uprawiają dla przyjemności, a dzięki którym udało im się przeżyć podczas wojny, i o tym, jak bardzo miał dosyć botwiny, nazywanej w ich zamkniętym gronie „warzywem zakonników” z powodu częstotliwości, z jaką musieli ją jeść w okresie głodu. Wąski pas zieleni oddzielał ogród warzywny od cmentarza. Przeszli tam i zakonnik pokazywał Manuelowi najstarsze nagrobki, nawet te sprzed trzystu lat. Skromne mogiły usypane z ziemi przez swoją prostotę przypominały mu te z cmentarza w As Grileiras, chociaż tutaj zamiast krzyży z galisyjskiego kamienia były zwykłe żelazne, które na małej przyspawanej tabliczce miały nazwisko zakonnika i daty. W milczeniu spacerowali między mogiłami, a Manuel zatrzymywał się przed każdą z nich, uważnie czytając inskrypcje, aż dotarli do grobu brata Verdaguera.

– A to ciekawe! – powiedział, zwracając uwagę zakonnika, który popatrzył na niego zaskoczony.

– Co ma pan na myśli? – zapytał podejrzliwie, kierując wzrok na mały krzyż, a potem znowu na Manuela.

– Nic, tylko wydaje mi się to interesujące: widząc nazwisko zakonnika, który tutaj spoczywa, przypomniałem sobie, że dzisiaj rano o nim czytałem. Przypadkiem znalazłem akt zgonu, w którym napisano, że popełnił samobójstwo. Byłem przekonany, że katolicy mają inne zasady pochówku dla samobójców.

Jakikolwiek cień uśmiechu zniknął z twarzy zakonnika, który zrobił krok

do przodu i Manuel musiał za nim pójść, żeby usłyszeć wyjaśnienie.

– W ostatnich czasach to się bardzo zmieniło. To była jednogłówna decyzja całej kongregacji, żeby brat Verdaguer spoczął razem ze swoimi braćmi. Ten zakonnik cierpiał na bardzo bolesnego raka. – Odwrócił się w stronę Manuela i spojrzał na niego twardo, napełniając słowa powagą. – Choroba była długa i wyniszczająca i przez cały ten czas brat odmawiał leczenia. Znosił ogromne cierpienie, o wiele większe, niż sporo z nas byłoby w stanie wytrzymać, ale ból go wyczerpał. Verdaguer stracił siły i postanowił już więcej nie walczyć. Nie akceptujemy tego, ale tylko Bóg może go osądzać.

Manuel znowu stanął obok niego i zniżając ton, powiedział:

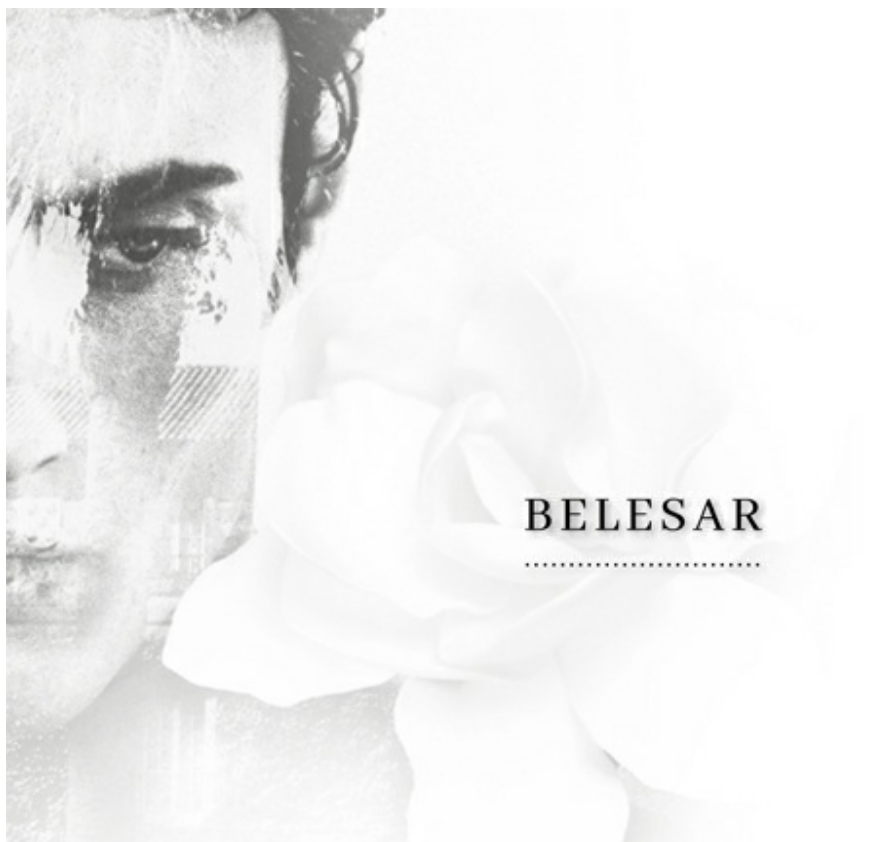
– Przepraszam, jeśli moje pytanie przywołało bolesne wspomnienia. Nie chciałem być niedelikatny, po prostu zwróciło to moją uwagę.

– Proszę się nie przejmować. Jestem biednym, starym, sentymentalnym człowiekiem i trochę się już zmęczyłem – powiedział. – Może będzie lepiej, jeśli wróci pan jutro. Ja zostanę tu jeszcze przez chwilę, żeby się pomodlić.

Manuel na niego spojrzał. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, a krańcowe wyniszczenie nadawało mu wątłego wyglądu, tak jakby w każdej chwili mógł się połamać.

– Oczywiście, jak brat sobie życzy – powiedział, poklepując delikatnie plecy starszka, i ruszył ku ścieżce.

Odwrócił się, gdy doszedł do rogu głównego budynku – zakonnik patrzył na niego surowo ze środka cmentarza.



U
echał bez celu, walcząc ze sprzecznymi głosami w głowie, które raz za razem podsuwały mu stare fotografie z seminarium, oraz z głosami w złamanym sercu, które krzyczało, żeby uciekał, żeby schował się przed strachem odczuwanym fizycznie, niczym elektryczność statyczna przed burzą. Zatrzymał samochód obok domu Nogueiry, nie potrafiąc sobie wytłumaczyć, co – i dlaczego – popchnęło go do tego, by właśnie tutaj szukać kryjówki, o której marzył.

Wybrał numer gwardzisty i głos operatorki odpowiedział mu, że jest niedostępny. Uruchomił silnik i ostatni raz przed odjazdem spojrzął na dom. Wtedy zobaczył, że w drzwiach pojawiła się Laura, która ruchem ręki pokazywała mu, żeby zaczekał. Podbiegła do samochodu, zanim Manuel dokończył manewr; oparła się o otwarte okno i uśmiechnęła do niego.

– Andrésa nie ma w domu, pojechał do Lugo załatwić jakąś sprawę.

Umówiłeś się z nim? Nic mi nie powiedział.

Manuel powoli pokręcił głową.

– Nie, nie byliśmy umówieni, tylko że...

Na twarzy Laury uśmiech ustąpił miejsca zmartwieniu.

– Coś się stało, Manuelu?

Popatrzył na nią. Broda oparta o rękę, które krzyżowały się na otwartym oknie. Błyszczące oczy, szczere, przyjazne spojrzenie.

Manuel przytaknął i opuścił powieki w najbardziej intymnym geście akceptowania ciężaru, który zaczyna się robić zbyt uciążliwy.

Kiedy otworzył oczy, powtórzył niemal te same słowa, po których Daniel zabrał go w najpiękniejsze miejsce na Ziemi.

– Macie teraz coś do zrobienia?



Łódź, bujana przez fale, które wywołał przepływający obok mały jacht, była przycumowana do przystani. Nie chcąc z niej zejść, Xulia i Antía pozwalały się kołysać i obserwowały z rufy wydę odrywającą z niesamowitą zwinnością rzeczne małże przyczepione do pomostu. Zeszli między złocistymi owocami kasztanowców, które ocieniały drogę prowadzącą do rzeki Sil, i z przystani Belesar kontemplowali zachwyceni schodki składające się na zbocze i kreślące uporządkowane tarasy, gdzie wzrastały winorośle. Wcześniej przepłynęli nad siedmioma wioskami, które teraz także Manuel mógł sobie wyobrazić jako opuszczone miejsce pod wodą. Powtórzył prawie słowo w słowo tamte opowieści enologa, którymi z taką perwersyjną obojętnością gardził, a kiedy to robił, poczuł się dobrze: znowu się uśmiechał, patrząc na twarze dziewcząt słuchających go z podziwem, i autorytarnie zmusił do milczenia ten głos, który z jakiegoś miejsca jego duszy pytał, co mu się stało.

Laura, siedząc obok Manuela na tarasie baru nad rzeką, słuchała śmiechów swoich córek i sama się uśmiechała. Belesar jej się podobał. Rozważała, dlaczego nigdy tu nie przyjeżdżali, chociaż znała odpowiedź: nie miało sensu torturowanie dziewczynek zabieraniem ich na wycieczkę nad Sil, żeby później odmówić im wejścia na pokład jednej z tych barek, które zabierały turystów i które jej córki uwielbiały. Upiła łyk wina i obserwowała fioletową obręcz na krawędzi kieliszka. Nie, Laura nie lubiła barek, nie cierpiała żeglować i od czasu, gdy była małą dziewczynką i wszystko zmieniła jedna burza, nie postawiła stopy dalej niż na molu. Tego dnia wyczuła w zachowaniu Manuela zakneblowany, przywiązany za nogi i ręce ból, który człowiek postanawia na zawsze uwięzić w celi swojej duszy. Poznanie kogoś, kto – jak ona sama – zgodził się być strażnikiem własnego strachu, wystarczyło, żeby poruszyć jej serce i by bez słów poddała się wobec cierpienia, które musiało być ogromne. Spokojnie obserwowała swojego nowego przyjaciela przez szkło kieliszka, który po każdym mieszaniu wina zabarwiał się nieco na piękny fioletowy kolor, jakiego nadawały mu winogrona ze szczepu mencia. Manuel śledził palcem ślad po kropli wina, która ześlizgnęła się z szyjki i kreśliła na cynie pochylone litery tworzące nazwę: „Heroica”. Siedział ze spuszczoną głową i chmurnym spojrzeniem charakterystycznym dla posępnych myśli.

Manuel usłyszał śmiechy oraz jakieś wołanie. Spojrzał w stronę rzeki i ujrzał, niczym pogrążone we śnie, trzy dziewczyny, te same co tamtego popołudnia, na ich osobliwej konstrukcji; brązowe nogi, silne ramiona, niedbale związane włosy z kosmykami, które wymykały się spod kapeluszy... oraz ich śmiech. W głosach dziewczyn brzmiała muzyka, jakby dzwoneczki wietrzne pobrzękiwały, kołysane wiatrem. Piękne były te rzeczne wróżki, a ponowne zobaczenie ich wywołało w Manuelu niewytłumaczalną radość. Zauważył, że roztargnione patrzyły w stronę tarasu

baru i bez zastanowienia podniósł rękę i pomachał, żeby zwrócić ich uwagę. Patrzyły na niego wszystkie trzy, jednak nie odpowiedziały i w jednej chwili więź i magia, których doznał, ulotniły się, niszcząc cały pejzaż i powodując, że czuł się ośmieszony i bardzo stary. Nie pamiętały go, ale dlaczego miałyby go pamiętać? I wtedy jedna z nich rozpromieniała w uśmiechu i wykrzyknęła:

– To markiz, dziewczyny, to jest markiz!

Pozostałe dwie przyłączyły się do niej, wywołując wrzawę i powodując, że wszyscy goście baru odwrócili wzrok, podczas gdy one machały kapeluszami, pokładając się ze śmiechu.

– Ej, panie markizie, pozdrowienia od naszego ojca! Proszę nas niedługo odwiedzić! – krzyknęła jedna z dziewczyn, układając dłonie wokół ust na wzór trąbki.

– Tak zrobię – odpowiedział Manuel z uśmiechem, widząc, jak oddalają się na swojej barce, ale zrobił to tak cichym głosem, że tylko Laura mogła go usłyszeć.

– Nigdy nie będziesz mógł stąd wyjechać – oznajmiła jego nowa przyjaciółka.

Popatrzył na nią ze spokojem. To stwierdzenie, które jeszcze kilka dni wcześniej uznałby za klątwę, teraz wydawało mu się niemal wróżbą, jedną z tych, które ktoś przepowiada, a które wydają się po prostu nieprawdopodobne. Jakby chciała rozwiać jego wątpliwości albo zasiać ich jeszcze więcej, Laura dodała:

– Wejdzie ci w krew. To miejsce uzależnia, wejdzie ci w krew i nie będziesz już mógł wyjechać.

Nie odpowiedział, ale szczerze w to wątpił. Magia rzeki, spokój, który wydawał mu się nierealny, winobranie w Heroice oraz poufałość rzecznych wrózek miały potężną moc, ale niewystarczającą, by zapomniał

o prawdziwym powodzie, który go tutaj przywiódł.

Upił kolejny łyk wina i poczuł, jakby przyjmował komunię; trudno było mu przełknąć ten trunek, który niemal stwardniał w jego ustach. Spojrzał na butelkę oraz na pismo Álvaro w ramach tego jednego słowa i znowu delikatnie przesunął palcem po wypalonej w srebrze nazwie.

Ona spojrzała na niego z zaskoczeniem, jakby właśnie wszystko zrozumiała.

– Manuelu, ty nie przyjechałeś tutaj, żeby zbierać dokumentację, prawda?

On podniósł wzrok i napotkał oczy Laury. Pozwolił, żeby jego dłoń dokończyła wędrówkę po butelce i opadła na stół, po czym odparł z niezmiernym smutkiem:

– Nie.



Powoli zmierzchało. Po tym bezchmurnym dniu niebo nie ciemniało, tylko przykrywało się srebrem i dzięki swojemu blaskowi idealnie podkreślało sylwetki drzew, które otaczały drogę prowadzącą do domu Nogueiry. Oparty o balustradę werandy, porucznik niespiesznie palił papierosa, ciesząc się spokojem panującym o zmierzchu i ciszą swojego pustego domu, w którym tego letniego dnia wytworzyła się wysoka temperatura, uciekająca właśnie przez otwarte na oścież drzwi. Podniósł wzrok, zaalarmowany świergotaniem jaskółek łapiących w locie komary, które zaczynały się gromadzić pod światłami dopiero co włączonych latarni. Na drodze zobaczył nadjeżdżający samochód Manuela; nadal spokojnie palił, aż pojazd znalazł się na tyle blisko, że rozpoznał sylwetkę swojej żony na siedzeniu obok kierowcy. Błyskawicznie zgasił papierosa i ukrył niedopałek między kwiatami w doniczce zawieszanej na balustradzie. Samochód się zatrzymał i z tyłu wysiadły jego córki razem z Kawą. Mała Antía podbiegła i uścisnęła go,

mówiąc przy tym bardzo szybko.

– Tato, wiesz co? Manuel ma łódź, zabrał nas do Belesar i płynęliśmy w dół rzeki. Pod wodą jest siedem wiosek z kościołami, szkołami i wszystkim, i widzieliśmy winogrona, które będą zbierać w weekend, i nas zaprosił. Mama, Xulia i ja wybieramy się tam, pozwolą nam zrywać winogrona nad rzeką, super, co? Pojedziesz z nami, tato?

Nogueira pocałował córkę w głowę, poruszony energią małej, która wyrwała mu się z rąk i pobiegła do domu, a za nią Kawa.

Laura zwlekała z wejściem, żegnając się z Manuelem, a Xulia przeszła obok ojca i przywitała się z nim serdecznie:

– Cześć, tato!

Odwrócił się zaskoczony. Nie mógł sobie przypomnieć ostatniego razu, kiedy jego córka zwróciła się do niego takim tonem, beztroska, rozluźniona, bez cienia napięcia i bez pogardy, która wbijała mu się w duszę za każdym razem, gdy się do niego odzywała. Przypomniała mu małą dziewczynkę, którą była jeszcze do niedawna i która biegła do drzwi, żeby rzucić mu się na szyję, kiedy wracał z pracy.

Nogueira zszedł ze schodów i zbliżył się do auta, podczas gdy jego żona żegnała się z Manuelem takim uściskiem, że poczuł ukłucie zazdrości.

Zatrzymała się na chwilę, przechodząc obok niego.

– Widziałam, jak paliłeś – powiedziała bardzo poważnie, chociaż natychmiastowy uśmiech zaprzeczył jej złości. – Tylko nie zostawiaj petów w moich doniczkach, bo cię zabiję. – Ruszyła w stronę domu, nie mówiąc nic więcej.

Nogueira podszedł do Manuela, który skrycie się uśmiechał.

– Dostałem twoją wiadomość. Umówiłem się z księdzem na dziewiątą w tym samym miejscu co wczoraj, ale myślę, że nie byłoby źle, gdybyś od czasu do czasu odbierał telefon.

– Pływałem.

Nogueira spojrział na niego z ukosa.

– Tak, z moją rodziną... O tym też mogłeś mnie powiadomić.

Manuel wszedł do samochodu i zczekał z odpowiedzią, aż Nogueira zajmie miejsce obok niego.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. W seminarium nie zeszło mi zbyt długo, a szkoda było marnować tak piękny dzień. Miałem ochotę popływać i pomyślałem, że one też by zechciały. Przyjechałem tutaj, ale ciebie nie było...

Nogueira nie odpowiedział, ale kiedy zobaczył, że Manuel uruchamia silnik, zapytał:

– Nie zapomniałeś czegoś?

– Jeśli chodzi ci o Kawę, to odbiorę go po powrocie. Twoja córka jest nim zachwycona i wydaje mi się, że Kawa myśli tak samo.

– Jak poszło z naszym przyjacielem przeorem?

– Dobrze i źle – powiedział, uśmiechając się i zawieszając głos na kilka sekund w stylu Nogueiry. – Przeora nie było, jak mi powiedzieli, musiał wyjechać w prywatnej sprawie. Resztę wolę opowiedzieć w obecności Lucasa, bo myślę, że może nam bardzo pomóc w tym, co odkryłem, a tymczasem proszę. – Podał mu plastikową torebkę, w której znajdowała się rolka taśmy samoprzylepnej, na którą zebrał trochę farby. – Przypuszczam, że dzięki temu i fragmentom znajdującym się na samochodzie Álvara pracownicy laboratorium będą mogli ustalić, czy to jest ta sama farba.

Nogueira skinął oceniająco, przyglądając się próbce przez plastikową torebkę.

– Jeszcze się okaże, że masz zadatki na detektywa. Wrócisz jutro do klasztoru?

– Chyba nie powinienem – powiedział, wzruszając ramionami. –

Obawiam się, że spaliłem tę możliwość, pytając o Toñina. Od razu zdałem sobie z tego sprawę i starałem się to naprawić, ale zakonnik na pewno powie o tym przeorowi.



Tego wieczoru to Lucas czekał na nich z uśmiechem obok ognia palącego się w kominku. Mimo bezchmurnego dnia we wczesnych godzinach wieczornych robiło się już zimno. Parking restauracji był oddalony o prawie sto metrów od wejścia i na ten dystans Manuel włożył kurtkę Álvara, którą miał przy sobie, odkąd pożyczył mu ją Daniel. Manuel nic nie powiedział, chociaż nie umknęło mu zaskoczenie na twarzy księdza, kiedy zobaczył, jak wchodzi do środka. Tak bardzo nie mógł się doczekać, by opowiedzieć im o tym, co odkrył w seminarium, że nie wytrzymał nawet do podania jedzenia.

– Przeora nie było, bo, jak mi powiedzieli, niespodziewanie musiał wyjechać w osobistej sprawie, ale poznałem za to brata Juliána, młodego zakonnika, który od dwóch lat zajmuje się digitalizacją dokumentów w seminarium. Tak jak się spodziewaliśmy, byli zachwyceni, mogąc pokazać mi wszystkie pomieszczenia i służyć pomocą, w czymkolwiek bym jej potrzebował. Na początku myślałem, że trudno mi będzie pozbyć się zakonnika, żeby trochę powęszyć, ale po wyjaśnieniu, jak działa archiwum, brat Julián oddał mi swoje miejsce przy komputerze. Przejrzałem szkolne metryczki Álvara i jego brata, a nawet twoją, Lucasie – powiedział ze śmiechem. – Byłeś bardzo ładnym chłopcem.

– Nie byłem ładny nawet w dzieciństwie.

– Oceny Álvara z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego są podane tylko do trzynastego grudnia. Na dole znajduje się jedynie notka, że został przeniesiony do innej placówki. Najciekawsze jest jednak to, że kiedy szukałem w dokumentach o odejściach tego dnia, znalazłem akt zgonu brata

Verdaguera, w którym w przeciwieństwie do tego, co myśleliśmy, jako powód śmierci podano samobójstwo.

– A więc nie próbowali tego ukrywać – skomentował Lucas. – Może o tym, że zmarł we śnie, powiedzieli tylko nam, dzieciakom...

– Pamiętałem, jak wczoraj mówiłeś, że po znalezieniu ciała brata Verdaguera Álvaro spędził kilka godzin w infirmerii.

– Tak, widocznie znalazł ciało w nocy, więc zabrali go do infirmerii, a następnego dnia zawiadomili ojca.

Podszedł oberżysta, przynosząc kilka tac z mięsem, ziemniakami i sałatką, które postawił na stole. Żaden z trójki ich nie tknął.

Manuel wyjął swój telefon i pokazał zdjęcie ekranu komputera, które zrobił w klasztorze.

– Byłoby zbyt podejrzane, gdybym poprosił go o wydrukowanie tego – powiedział, pokazując im ekran ze złowieszczo wyglądającymi czarnymi liniami. – To jest raport, który zakonnik odpowiedzialny za infirmerię sporządził tamtej nocy. Jak widzicie, czytelne są tylko nazwisko, godzina, słowa, jakimi zaczyna się raport, „Chłopiec wykazuje poważne...” – zacytował – i kilka nic nieznaczących wyrazów, które nie rzucają żadnego światła na to, co „wykazuje” chłopiec.

Twarze Lucasa i Nogueiry były zmienione. Gwardzista chwycił telefon i powiększył ekran, by móc dostrzec szczegóły.

– Został całkowicie ocenzurowany – powiedział z niedowierzaniem.

– Co waszym zdaniem mógł zawierać ten raport? Co mogło być tak okropne? Myślicie, że sam stan Álvaro, bez względu na to, jak bardzo go to przeraziło, wystarczył, żeby zapisać całą stronę uwagami na temat jego zdrowia? – zapytał Manuel.

– Co za sukinsyny – wymamrotał Nogueira, nie przestając patrzeć na ekran.

Twarz Lucasa była blada z przerażenia. Wydawało się, że ma zamiar coś powiedzieć, ale zdołał jedynie pokręcić głową i wykrzyknąć zduszonym głosem: „Mój Boże!”.

– A najbardziej znamienne jest to – ciągnął Manuel – że tego samego dnia, trzynastego grudnia, brat Mario Ortuño, który do tej pory był odpowiedzialny za infirmerię, opuścił klasztor, odchodząc z niego dobrowolnie, co w innym raporcie przeor tłumaczył kryzysem wiary.

– Lucas, pamiętasz tego zakonnika? Ortuña? – zapytał Nogueira.

– Tak – odparł cienkim głosem. Było oczywiste, że jego umysł pracował na pełnych obrotach. – Nie prowadził lekcji i to prawda, że opuścił szkołę, ale w tamtym momencie nie powiązałem tego z odejściem Álvaro. Myślałem, że został przeniesiony, to powszechne wśród zakonników.

– Zwróciliście uwagę na godzinę przyjęcia do infirmerii? Czwarta rano. Nie wydaje wam się dziwne, że chłopiec nie spał o tej porze? Nie wiem jak wy, ale kiedy ja miałem dwanaście lat, kładłem się do łóżka tak zmęczony, że spałem jak suseł. Ty sam mi opowiadałeś – powiedział Manuel, patrząc na Lucasa – że Álvaro lubił sport, że był jednym z tych dzieciaków, które nigdy nie usiedziały w jednym miejscu... Normalnie o tej godzinie powinien spać.

Lucas przytaknął, wyraźnie poruszony.

– Co Álvaro robił w celi tego zakonnika w środku nocy?

Pytanie nie czekało na odpowiedź. Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie pośród ponurych myśli, które unosiły się w powietrzu.

– I jest jeszcze sprawa brata Verdaguera – dodał Manuel. – W klasztorze nie mieli problemu z przyznaniem, że popełnił samobójstwo, to samo podano w akcie zgonu jako przyczynę śmierci. Kiedy dzisiaj wspomniałem o tym bratu Matíasowi, jednemu z najstarszych zakonników, powiedział, że kongregacja jednogłośnie podjęła decyzję o tym, że brat Verdaguer spocznie na klasztornym cmentarzu, pomimo okoliczności, w jakich zmarł. Wyjaśnił

mi, że bardzo długo chorował, że cierpiał na niebywale bolesny rodzaj raka i że odmówił leczenia. Że ból stał się nie do zniesienia, więc podjął decyzję, której nie popierali ani nie osądzali, ponieważ według nich to należy do Boga.

– Podobnie mówiłem wam wczoraj – skomentował Lucas.

– Tak, ale jest coś, co mi nie pasuje – powiedział Manuel, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka fotografii, które wcześniej wybrał spośród tych wydrukowanych mu przez brata Juliána.

Na wszystkich zdjęciach brat Verdaguer uprawiał sport, grał w różne gry albo pozował z trofeami i drużynami; wyróżniało się to, na którym w podciągniętym habicie grał w pelotę.

– To – powiedział Manuel, pokazując na ostatnie – zgodnie z datą zarejestrowaną przez aparat zostało zrobione jedenastego grudnia, zaledwie dwa dni przed tym, jak jego stan był już na tyle zły, że podjął decyzję o zakończeniu swojego życia. Nie wiem jak wam, ale mnie się nie wydaje, żeby ten człowiek cierpiał na długą i wyniszczającą chorobę. On – dodał, stukając palcem w fotografię – wygląda na prawdziwy okaz zdrowia.

Obaj mężczyźni przytaknęli, ale to Nogueira wyraził to, co każdy z nich miał w głowie:

– Nie chcę myśleć o tym, że ktoś krzywdził chłopaka, jako o jedynej możliwości... Chociaż wszystko wskazuje na to, że ukrywają wykorzystywanie seksualne. Musimy też mieć na uwadze alternatywę, że może chłopak zobaczył coś, czego nie powinien widzieć, chodzi mi o to, że samobójstwo przez powieszenie jest najczęściej wykorzystywane w celu ukrycia morderstwa... A to, że mówią, iż zakonnik odmówił leczenia, daje im idealne alibi, by nie zostały żadne raporty medyczne, które rzuciłyby światło na tę sprawę – powiedział Nogueira.

Ukryć morderstwo. Ale popełnione przez kogo? Manuel cały dzień

zadawał sobie to pytanie i odpowiedź, z którą jeszcze nie chciał się pogodzić, rozbrzmiewała w jego głowie słowami Mei, przybierając władczy głos upominający Álvara z budki telefonicznej w Lugo, żeby nie lekceważył groźby, ponieważ ktoś jeszcze, oprócz dzwoniącego, o tym wiedział, wiedział, że to on zabił, i miał dowody.

Przemilczenie tego rozrywało mu duszę. Popatrzył na obu mężczyzn siedzących przy stole, czując się jednocześnie zdrajcą i współnikiem. Jednak pomimo mocy, z jaką ta myśl gotowała się w jego głowie, nie był w stanie wyrazić jej słowami, znaleźć sposobu, by to wytłumaczyć, w tym momencie upokorzony strasznym podejrzeniem tego, co mogło się wydarzyć tamtej nocy w seminarium. Bo być może, ale tylko być może, strach mógłby usprawiedliwić powściągliwość Álvara i to, dlaczego nie pozwolił, by Manuel stał się częścią tego dziwnego świata. I to uratowałoby mu życie, a przede wszystkim zdrowy rozsądek, gdyby mógł przestać się zastanawiać, kogo zabił Álvaro: swojego własnego brata? Verdaguera? Obu?

Z telefonem Manuela w rękę Lucas w milczeniu obserwował zdjęcie dokumentu – czarne linie i podpis na dole.

– Myślisz, że to właśnie znalazł Toñino?

– Nie. Kiedy zapytałem brata Juliána, czy Toñino miał dostęp do biblioteki, niemal dostał ataku śmiechu. Powiedział, że malował pokoje gościnne i gabinet przeora.

– Tam musiał znaleźć dokument – wywnioskował Nogueira.

– Mimo wszystko nie sądzę, żeby to było to – powiedział Manuel, pokazując na fotografię – lecz oryginalna i kompletna wersja tego raportu. Trzeba wiedzieć, czego się szuka, żeby wyciągnąć wnioski, widząc jedynie coś takiego; mam na myśli to, że gdyby nie wiedział, co to jest, trudno byłoby mu wykorzystać ten papier. Uważam, że znalazł właśnie to, czego brakuje w tym dokumencie. A z drugiej strony, i z racji tak poważnych treści,

nie ma nic dziwnego w tym, że przeor przechowywał ten raport w swoim gabinecie. Bardzo wątpię, by wiedział, że w tej masie dokumentów, które zeskanowała firma zewnętrzna, znajdowała się również ta wersja.

Nogueira przytaknął i wskazał na ekran telefonu, który Lucas trzymał w rękach.

– To, co znalazł Toñino, nie pozostawiało wątpliwości co do swojej natury. Nie miał jak skontaktować się z Álvarem, więc zwrócił się do Santiaga i w zamian za to, co miał, poprosił go o trzysta tysięcy euro, sumę, która, jak zaznaczył jego przyjaciel Richi, odmieniłaby mu życie. Santiago też nie mógł nawiązać kontaktu bezpośrednio ze swoim bratem, więc zadzwonił do notariusza, wymyślając tę bzdurę z koniem i wiedząc, że brat natychmiast do niego zadzwoni; po rozmowie Álvaro przyjechał tutaj i udał się od razu do źródła całej sprawy, żeby porozmawiać z przeorem. Pokłócili się, przeor połączył fakty. Kiedy Álvaro odjechał, zakonnik stawił się w domu swojego bratanka, zrobił mu straszną awanturę, której świadkiem była sąsiadka, a gdy zakonnik zniknął, Toñino wziął swój samochód, biały samochód, inny model, ale biały, taki jak ten w seminarium, który oprócz tego ma ślad po uderzeniu zgadzający się z wgnieceniem w aucie Álvara.

Lucas zgasił ekran telefonu i ostrożnie położył aparat na stole, przesuając o kilka centymetrów, żeby go od siebie odsunąć.

– Myślisz, że Toñino mógł zabić Álvara? – zapytał, spoglądając na Nogueirę.

Porucznik się zastanawiał.

– Znam go od wielu lat, nie był nigdy zatrzymany w związku ze stosowaniem przemocy i nie wygląda na kogoś, kto wplątuje się w bójkę; jest raczej z tych, którzy biorą nogi za pas. Ale wszystko wskazuje na to, że Álvaro był bardzo zły, i jeśli Toñino zdołał go odnaleźć, możliwe, że się starli... i wszystko się mogło zdarzyć.

„Nie będziesz mi groził”, przypomniał sobie Manuel. Czy to Toñino mu groził? Czy to on był osobą, która dzwoniła do Álvara z budki telefonicznej?

– A co w tym wszystkim robiłaby furgonetka z klasztoru?

– Jeszcze nie wiem, ale sąsiadka słyszała, jak przeor krzyczał, że to może go wykończyć. Jeśli Álvaro mu groził... Wszystko zależy od tego, jak bardzo człowiek jest zdesperowany.

Właściciel oberży podszedł do stołu, sprawiając wrażenie zaniepokojonego.

– Ależ panowie! Co się dzieje? Nie smakuje panom? Mam przynieść coś innego?

Trzej mężczyźni popatrzyli na tace z nietkniętym jedzeniem.

– Najmocniej przepraszamy – powiedział Nogueira – ale byliśmy pochłonięci rozmową i zapomnieliśmy o jedzeniu – dodał, nakładając sobie kawałek mięsa.

Niezadowolony oberżysta spojrzął na mięso, odsuwając tace.

– Panowie, teraz to jest zimne! Proszę chwilę zaczekać, przyniosę ciepłe. Tylko niech panowie jedzą, szkoda, że tyle się zmarnowało, a wszystko jest bardzo smaczne.

Po minucie wrócił z nowymi tacami i zaczął w pobliżu stołu, aby się upewnić, że rzeczywiście będą jeść.

W końcu Manuel przerwał wiszącą nad nimi ciszę.

– Przez cały dzień myślę o tym, co się mogło stać. Od chwili gdy zobaczyłem raport pokryty czarnymi liniami, nie mogę przestać sobie wyobrażać... strasznych rzeczy – powiedział, odkładając widelec.

– Mówiłeś, że zapisałeś wszystkie dane tego Ortuña... – odezwał się Nogueira.

Manuel przytaknął.

– Daj mi je i pozwól, że wykonam jeden telefon – powiedział, wstając i kierując się do wyjścia z komórką i kawałkiem papieru, na którym Manuel zanotował informacje z dokumentu.

Nogueira wrócił po niespełna pięciu minutach z uśmiechem na twarzy.

– Mam dobre wieści: ten człowiek nadal mieszka pod tym samym adresem. Może być tak, że kiedy tam przyjedziemy, okaże się, że się przeprowadził albo że zmarł kilka lat temu, ale gdy ostatni raz wyrabiał sobie nowy dowód, to był jego adres.

– Wybierasz się tam? – zapytał ożywiony Lucas.

– I ty też, chyba że wy, księża, nie możecie sobie wziąć wolnego dnia.

Lucas przytaknął z uśmiechem.

– Mogę umówić to spotkanie.

Kiedy wychodzili z restauracji, Lucas znowu popatrzył na Manuela tak, jak zrobił to w chwili, gdy ten wchodził do środka.

– Manuelu, ta kurtka, którą masz na sobie...

– Należała do Álvaro. Dał mi ją Daniel, kiedy rzeką wybraliśmy się do winnicy...

– Wiem. Pamiętam, że kiedyś widziałem w niej Álvaro, i gdy zobaczyłem, że masz ją na sobie, coś mi się przypomniało: był w tej kurtce tamtej nocy, gdy wydawało mi się, że widziałem go przy kościele. Miał założony kaptur, a futro, którym jest obszyty, bardzo łatwo rozpoznać.

– Ale każdy mógł ją włożyć – odparł Manuel. – Daniel przyniósł tę kurtkę ze stajni. Kiedy chciałem mu ją zwrócić, powiedział, że nikomu nie będzie potrzebna. Álvaro zawsze ją tam zostawiał, żeby była pod ręką, kiedy szedł na pole.



Manuel ponownie zaparkował przed domem gwardzisty i czekał w samochodzie, aż Nogueira wróci z Kawą.

Uśmiechnął się na widok mężczyzny z psem na rękach.

– Cholera! Dasz wiarę, że ta mała położyła się z nim do łóżka? A moja żona nic nie powiedziała... – rzucił, wpychając psa do samochodu.

– I z pewnością nie protestowałeś, prawda, Kawa? – powiedział Manuel, głaszcząc zwierzę.

– One też nie, już zaplanowały, co będą robić jutro, kiedy znów go zostawisz... Mówię ci, że nawet co do mnie nie robią tylu planów.

Manuel spojrzał na gwardzistę z poważnym wyrazem twarzy.

– Nogueira, mam nadzieję, że nie jesteś zły za to, że zabrałem Laure i dziewczynki na łódkę. Kiedy wyszedłem z seminarium, byłem tak... poruszony, zanieczyszczony; musiałem pobyć z normalnymi ludźmi dla higieny umysłowej.

Nogueira przytaknął i wepchnął Kawę na tylne siedzenie. Sam znowu usiadł na miejscu pasażera, chociaż nie zamknął drzwi.

– Tak, rozumiem cię, wiele razy czułem się podobnie po pracy.

– Obiecałem Xulii, że przekażę jej listę lektur i udzielę kilku rad, więc wydawało mi się to dobrym pomysłem...

– Nie przejmuj się, wygląda na to, że bardzo dobrze się bawiły – odparł.

Manuel odwrócił się w stronę Nogueiry i spojrzał na niego.

– Powinieneś porozmawiać z Laurą.

– Zostaw to, Manuel – odpowiedział, kręcąc głową.

– Laura jest wyjątkową kobietą, sądzę, że wielu mężczyzn byłoby dumnych, mając ją u swojego boku – nalegał Manuel.

– Myślisz, że tego nie wiem? – odparł zirytowany.

– Mam poważne wątpliwości, kiedy widzę, jak kokietujesz Ofelię albo

idziesz na dziwki.

– Zostaw to, Manuel – ostrzegł go znowu gwardzista.

– Porozmawiaj z nią.

Nogueira pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

Nogueira wybuchnął.

– Bo już mnie nie kocha, Manuel!

– To nieprawda.

– Co ty wiesz? Znasz nas od dwóch dni i myślisz, że możesz tu sobie przyjechać i ot tak wszystko naprawić. – Zniżył ton. – Wiem, co chcesz zrobić, i jestem ci wdzięczny, ale to się nie uda.

– Nie, jeśli nie spróbujesz – odparł Manuel.

– Nienawidzi mnie, Manuel, moja żona mnie nienawidzi – powtórzył gorzko.

– Nie wierzę w to – odpowiedział uparcie pisarz.

Nogueira przez kilka sekund patrzył na niego w milczeniu, po czym odwrócił wzrok i powiedział:

– Od sześciu lat śpię w dziecięcym pokoju.

Manuel otworzył z niedowierzania usta.

– Odkąd Antía skończyła dwa lata, śpię w jej pokoju. Każdego wieczoru muszę odsuwać pluszaki, jaśki w serduszka i spać w pościeli z Myszka Minnie albo z księżniczkami Disneya – powiedział zrezygowany.

Manuel się uśmiechnął, nie mogąc w to uwierzyć.

– Ale to jest...

– Tak, to jest śmieszne. Nie pozwala mi ruszyć ani jednej rzeczy z pokoju, bo należy do dziewczynki, ale nie mogę też wrócić do naszej sypialni, tak więc od lat Antía śpi w naszym łóżku, a ja w pokoju córki –

wyjaśnił. – To tylko jeden z wielu sposobów, jakimi każe mi płacić. Widziałeś te wszystkie obrzydlistwa, które tu jem, prawda?

Manuel przytaknął.

– Głodzi mnie – powiedział bardzo poważnie.

Manuel by się śmiał, gdyby nie tragizm tego wyznania.

– Widziałeś, jak gotuje – ciągnął Nogueira – a dla mnie od sześciu lat są tylko warzywa na parze. Przygotowuje wszystko dla siebie i dla dziewczynek, potrawy, które uwielbiam, duszone mięsa, ciasta – wymieniał, wdychając – i nie pozwala mi ich nawet powąchać.

– Ale to, o czym mi opowiadasz, jest... Przecież jesteś w swoim domu, możesz jeść, co chcesz.

Nogueira kręcił głową.

– Wszystko, co kupuje, i wszystko, co gotuje, owija tysiące razy w tę cholerną folię spożywczą. Łatwiej jest rozwinąć mumię, niż zjeść kanapkę w moim domu. Ale kiedy wracam, jedzenie dla mnie zawsze jest gotowe, o ile to w ogóle można nazwać jedzeniem.

– Cóż, Nogueira, nie chcę grzebać w ranie, ale zgadzam się z twoją żoną co do tego, że powinieneś o siebie dbać: widziałem, jak wpychasz w siebie prawdziwe bomby cholesterolu.

Nogueira się uśmiechnął.

– To moja zemsta.

– Więc twoja zemsta cię wykończy. Myślę, że żona martwi się o twoje zdrowie...

– Nie martwi się, Manuel, jest jej wszystko jedno. Ona wie, że ja uwielbiam jeść, że kocham jej kuchnię, i to jest jej sposób na to, by mnie torturować.

– Myślę, że przesadzasz.

– I do tego jeszcze dziewczynki...

Manuel popatrzył na niego bardzo poważnie.

– Nie mogę uwierzyć, jak mnie traktują, odkąd pojawiłeś się w naszym domu. Ale to z twojego powodu, Manuel. Szacunek i podziw, jakimi darzą cię, sprawiają, że patrzą na mnie inaczej, ale w ciągu ostatnich sześciu lat to, co jest między Laurą a mną, odbiło się na moich relacjach z córkami. Laura nastawiła je przeciwko mnie.

Manuel zaczął protestować.

– Nie, nie mówię, że wkłada im do głów dziwne rzeczy, jestem pewien, że nie, ale dziewczynki zauważają, że mnie nie kocha, i naśladują to, co widzą. Odnoszą się do mnie z taką samą pogardą, jaką widzą u swojej matki. Moje relacje z Xulią są bardzo złe, nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz dała mu buziaka, i zawsze się kłócimy. Czasem mam wrażenie, że matka pozwala jej na tyle tylko po to, żeby zrobić mi na złość. Tak jak z tym chłopakiem. Nie mogę na niego patrzeć, Manuel, wyprowadza mnie z równowagi. Czasem widzę, jaką minę robi moja żona, i wydaje mi się, że ją denerwuje tak samo jak mnie, więc skoro go toleruje, to tylko dlatego, że wie, jak bardzo doprowadza mnie do szału, kiedy widzę, że siedzi na moim miejscu z tym swoim głupkowatym wyrazem twarzy...

Westchnął i wyciągnął papierosa, którego palił, tak jak siedział, przy otwartych drzwiach samochodu, pomimo chłodnej nocy, i po każdym zaciągnięciu się wydmuchując dym na zewnątrz.

– Najbardziej wkurza mnie to, że tracę Antię – powiedział ze smutkiem. – Jest jeszcze mała, ale kobiety takie są: dostrzegają wrogość u jednej i pozostałe zachowują się tak samo, chociaż nawet nie wiedzą dlaczego.

– Cholera, Nogueira, nie wiem, co może być takie straszne, ale jestem pewien, że skoro tak bardzo ci zależy, to da się to jakoś rozwiązać.

Mężczyzna spojrział na niego przygnębiony.

- Nie ma żadnego rozwiązania – wyszeptał.
- Zdradzałeś ją? – zapytał. – Chodzi mi o...
- Dla niej to bez znaczenia, już ci powiedziałem, że mnie nie kocha. Nie, żeby miała pewność, ale ona nie jest głupia i coś musi podejrzewać.

Manuel zastanawiał się nad rozumowaniem Nogueiry i po kilku sekundach milczenia powiedział:

- A dlaczego, twoim zdaniem, nadal tutaj jest? Zobacz, Nogueira, Laura to niesamowita kobieta: mądra, zarabia wystarczająco dużo pieniędzy, żeby nie musiała cię znosić, gdyby nie chciała. Poza tym jest bardzo ładna i nietrudno byłoby jej znaleźć innego mężczyznę. – Nie umknęło mu surowe spojrzenie, z jakim porucznik zareagował na jego ostatnią uwagę, ale Manuel kontynuował: – A ty mi mówisz, że nie robi tego, aby utrzymać twoje relacje z dziewczynkami, co każe mi myśleć, że gdyby nie chciała z tobą być, to już by cię zostawiła.

Nogueira znowu wyglądał na rozwścieczonego.

- Wiesz, że wszystko to, co ci powiedziałem, jest prawdą, więc skoro cię nie zostawiła, to musi być jakiś powód – upierał się Manuel.

- Nie znasz jej. Skoro mnie nie zostawiła, to dlatego, że będzie mi kazała za to płacić, dopóki żyję.

- To w takim razie ty ją zostaw, skończ z tymi torturami raz na zawsze i daj wam szansę, byście byli szczęśliwi, choćby oddzielnie.

Nogueira uśmiechnął się, kręcąc głową, tak jakby już sam pomysł, by od niej odejść, był absurdalny.

- Nie, nigdy – odparł.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś godzi się na bycie nieszczęśliwym przez resztę swojego życia?

Nogueira mocno rzucił papierosa, który spadł na chodnik i rozbłysnął jasnymi iskierkami, po czym rozgniewany odwrócił się w stronę Manuela.

– Bo na to zasługuję! – wykrzyknął. – Zasługuję na to, rozumiesz? Możesz to pojąć? Jeśli poprosi mnie, żebym się wyniósł, tak zrobię, ale dopóki tego nie powie, zostanę tutaj, znosząc to wszystko.

Manuel nie ustępował.

– Co zrobiłeś? – wypalił.

Nogueira chwycił go za klapę marynarki i Manuel był pewien, że zostanie uderzony.

– Co zrobiłeś? – powtórzył kilka centymetrów od jego twarzy.

Nogueira nie wymierzył ciosu. Puścił jego marynarkę i obiema rękami zakrył sobie twarz, po czym zaczął chrapliwie i rozpaczliwie płakać, co spowodowało takie drgawki, że aż musiało boleć. Przez cały czas niemal ze złością tarł sobie oczy, z których ciekły łzy, zalewając mu twarz, jakby wywoływało to w nim głęboką pogardę dla samego siebie. Powiedział coś, ale pośród płaczu i przez zakrywającą twarz rękę Manuel nie mógł tego zrozumieć.

– Co?

Nogueira powtórzył:

– Zgwałciłem ją.

Manuel popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Co powiedziałeś, Nogueira? – dopytywał przerażony, mając nadzieję, że to, co usłyszał, było nieporozumieniem, ponieważ bez wątpienia usłyszał źle.

Gwardzista przestał płakać, wściekle wytarł oczy i odwrócił się, pozwalając, żeby Manuel widział jego twarz, udręczoną ciężarem wstydu.

– Zgwałciłem ją – powtórzył spokojnie, delikatnie kołyszając się do przodu i przyznając do winy. – Zgwałciłem moją żonę, Manuel, zasługuję na piekło. Cokolwiek zechce mi zrobić, każdy sposób, w jaki postanowi mnie ukarać,

nie będzie wystarczający, żebym zapłacił za to, jak postąpiłem.

Manuel siedział sparaliżowany. Strach, jaki zawierały te słowa, unieruchomił go i nie pozwalał mu myśleć, by powiedzieć coś, cokolwiek, jakoś zareagować.

– Na miłość boską – zdołał wyszeptać.

W jego głowie pojawił się niezapomniany obraz matki Nogueiry, zaledwie trzydziestoletniej kobiety, skrzywdzonej i upokorzonej, proszącej swojego syna, żeby nic nikomu nie mówił.

– Jak mogłeś to zrobić po tym, co sam przeszedłeś?

Okryty hańbą Nogueira ponownie zasłonił twarz dłońmi i znowu się rozpłakał.

Manuel miał mieszane uczucia, widząc Nogueirę zalewającego się łzami. Starał się rozsądnie myśleć, ale raz za razem echo tego wyznania wwiercało mu się w głowę, nie zostawiając miejsca choćby na jedną myśl. W tym momencie chciałby przyjąć słowa, które stary zakonnik wyszeptał mu nad mogiłą Verdaguera, i pozbyć się odpowiedzialności osądzania drugiego człowieka, pozostawiając ciężar tego zadania Bogu. Ale nie mógł. Nienawidził Nogueiry za to, co zrobił, za bestialstwo, za okrucieństwo jego występku... A jednocześnie ten załamany mężczyzna, cierpiący grzesznik, który tłumaczył się przed nim z otwartym sercem, poruszał go w sposób głęboki i ludzki, wywołując w nim mieszaną odrazę i braterstwa w obliczu tej okropności, jakby on sam był trochę odpowiedzialny za wszystkie potworności, za wszystkie upokorzenia i prześladowania kobiet na świecie od zarania ludzkości. I doszedł do wniosku, że każdy mężczyzna na Ziemi, właśnie z racji bycia mężczyzną, jest odpowiedzialny za cały ból świata.

Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Nogueiry, czując gwałtowne spazmy, które przeszywały jego ciało. W odpowiedzi porucznik powtórzył taki sam gest, który kilka dni wcześniej Manuel widział u Herminii, kiedy

pocieszała ją Sarita: podniósł rękę i nakrył nią dłoń Manuela, przyciskając do ramienia.

Nogueira zapalił kolejnego papierosa i zaciągał się w milczeniu, po czym mocno wypuścił dym w górę, poza samochód. Płakał przez dłuższą chwilę i teraz wyglądał na osłabionego, bezwładnego jak marionetka, która straciła kilka nitki. Jego ruchy były powolne i precyzyjne, jakby oszczędzał siły. Patrzył na wprost przez przednią szybę, w stronę domu, ale jego wzrok omijał mieszkanie, żonę i śpiące córki, a jego smutek sugerował, że widział swoją przyszłość.

– Byłem pijany – powiedział nagle. – Pijany nie tak bardzo i nie chcę, żeby traktować to jako usprawiedliwienie. Młodsza córka miała wtedy jakieś dwa latka. Kiedy się urodziła, Laura wzięła urlop, żeby się nią zajmować. Wcześniej zrobiliśmy tak samo po narodzinach starszej, ja zarabiałem wystarczająco dużo i mogliśmy sobie na to pozwolić, ale kiedy Antía skończyła osiemnaście miesięcy, Laura wróciła do pracy i wszystko zaczęło się psuć. Z mojej winy – wyjaśnił pośpiesznie. – Zawsze zostawiałem na jej głowie dom i dziewczynki. Tak mnie wychowano: moja matka nigdy nie pozwoliła dotknąć talerza ani moim braciom, ani mnie; wiem, że to gówniana wymówka, że powinienem był sam nauczyć się tego, czego nie nauczyła mnie matka. Z Xulią radziliśmy sobie w miarę dobrze, ale z dwiema w domu sprawy się skomplikowały. Antía płakała całymi nocami, kiedy wychodziły jej ząbki, a Laura wracała zmęczona z pracy i musiała jeszcze zajmować się domem, a do tego obiema małymi córkami... Zaczęła mnie ignorować. W weekendy chciała ciągle zostawać w domu; gotowała, sprzątała i kładła się do łóżka, nie mając na nic ochoty. Odmawiała wyjścia gdziekolwiek, zawsze była zmęczona, a podczas tych nielicznych okazji, kiedy coś robiliśmy, musieliśmy uważać na dziewczynki.

Manuel słuchał go w milczeniu i chociaż starał się, żeby jego emocje nie

były widoczne na twarzy, Nogueira go rozgryzł.

– Wiem, co sobie myślisz. Że byłem głównianym męskim szowinistą i że na nią nie zasługuję. Masz rację. Pewnego wieczoru poszedłem do baru z kilkoma kolegami, żeby uczcić... nie pamiętam co, nieważne. Wróciłem do domu pijany, w środku nocy. Laura miała popołudniową zmianę w szpitalu i jeszcze była na nogach z małą, która właśnie zasnęła. Przeszła obok mnie i położyła ją do łóżeczka. Nic nie powiedziała, ale było widać, że jest zła. Prawie zawsze była zła. Nie pamiętam nawet, jak dotarłem do łóżka, ale kiedy ona przyszła, rzuciłem się na nią – wyjaśnił i zrobił pauzę.

Manuel zauważył, że Nogueira znów zaczął płakać. Jednakże tym razem płacz był cichy i spokojny; łzy ześlizgiwały się po jego twarzy i nie było już śladów furii, z jaką odrzucał je wcześniej, niemal siłą.

– Tęskniłem za moją żoną, chciałem ją tylko poczuć. Przysięgam ci, Manuel, chciałem tylko poczuć ją u swojego boku. Nie wiem, jak to się stało, ale minutę później krzyczała i płakała przestraszona, bo robiłem jej krzywdę. Przytrzymałem jej ręce na poduszce. Ugryzła mnie – powiedział, podnosząc rękę do górnej wargi. – Do końca życia będę musiał nosić wąsy, żeby ukryć ranę. Kiedy poczułem ból, było tak, jakbym przebudził się z koszmaru, nie zdążyłem nawet... Ale skrzywdziłem ją. Odsunąłem się od niej z przerażeniem, nie wiedząc dokładnie, co się stało, i na nią spojrzałem, a kiedy to zrobiłem, zobaczyłem panikę i strach. Bała się mnie. Mnie, który przysięgałem, że będę ją kochał i o nią dbał. I zobaczyłem coś jeszcze, Manuel – dodał, odwracając się do niego całkowicie, żeby mógł widzieć jego twarz. – Zobaczyłem pogardę, pustkę i w tym momencie wiedziałem, że straciłem ją na zawsze.

– Co ci powiedziała?

Nogueira spojrzał mu w oczy.

– Nic, Manuel. Tamtej nocy z trudem wyszedłem z pokoju. Po tym, jak

zrobiłem sobie opatrunek i zwymiotowałem cały alkohol, który miałem w żołądku, nie odważyłem się nawet wrócić do naszej sypialni, przespałem się na kanapie. Byłem przekonany, że już nigdy więcej się do mnie nie odezwie. A jednak nie przestała ze mną rozmawiać, chociaż kiedy to robi, w jej głosie jest tyle pogardy, że wciąż sobie przypominam, dlaczego tak się zachowujemy.

– Ale rozmawialiście o tym?

Nogueira pokręcił głową.

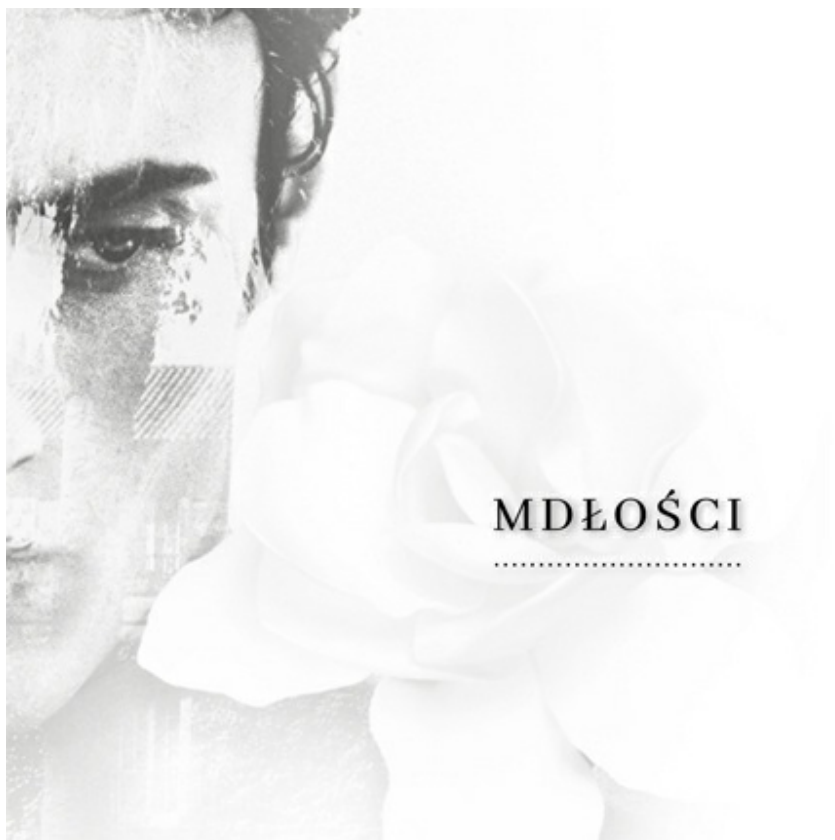
– Przez te wszystkie lata nie rozmawialiście o tym, co wydarzyło się tamtej nocy? Od tamtej pory śpisz w pokoju swojej córki?

Nogueira nie odpowiedział. Zaciśnął usta i odetchnął głęboko, starając się powstrzymać wściekłość.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nigdy nie poprosiłeś jej o wybaczenie?

Twarz porucznika znowu się wykrzywiła.

– Nie – odparł. – Nie mogę, Manuel, nie mogę. Kiedy patrzę na moją żonę, widzę własną matkę, znów ją widzę w sukience podartej na strzępy, podwiniętej do pasa, i widzę krew spływającą jej po nogach; widzę jej twarz oraz sposób, w jaki tamten sukinsyn przez lata kradł jej uśmiech. Nie mogę prosić żony o wybaczenie, bo to, co zrobiłem, jest niewybaczalne. Ja nie wybaczyłem tamtemu sukinsynowi i to sprawiedliwe, że ona nie wybaczy mnie.



MDŁOŚCI

anuel nie mógł spać. Dusza, wzburzona z powodu wstydu i podejrzeń, trzęsła się w nim i powodowała nieustające mdłości. Grube czarne linie, zaróżowione policzki brata Verdaguera, matka Nogueiry stojąca w wannie i zmywająca swój strach w porwanej na strzępy i podwiniętej do pasa sukience, pościel z Myszka Minnie w dziecięcym pokoju. Wiedział, że te niekontrolowane torsje, które naciskały na żołądek, brały się z niewytłumaczalnej litości, jaką czuł dla Nogueiry. Być może dlatego, że przeczuwał, iż sposób, w jaki gwardzista się karał, był rodzajem zastępczego zespołu Münchhausena, jedynym rozwiązaniem, jakie znalazł, aby ukarać potwora, który skrzywdził jego matkę, i że nienawiść, jaką gwardzista czuł wobec rodziny Muñizów de Dávilów, nie była niczym więcej jak odzwierciedleniem pogardy żywionej dla samego siebie.

Dużo myślał. O Nogueirze, o sobie, o wspólnym dla wszystkich

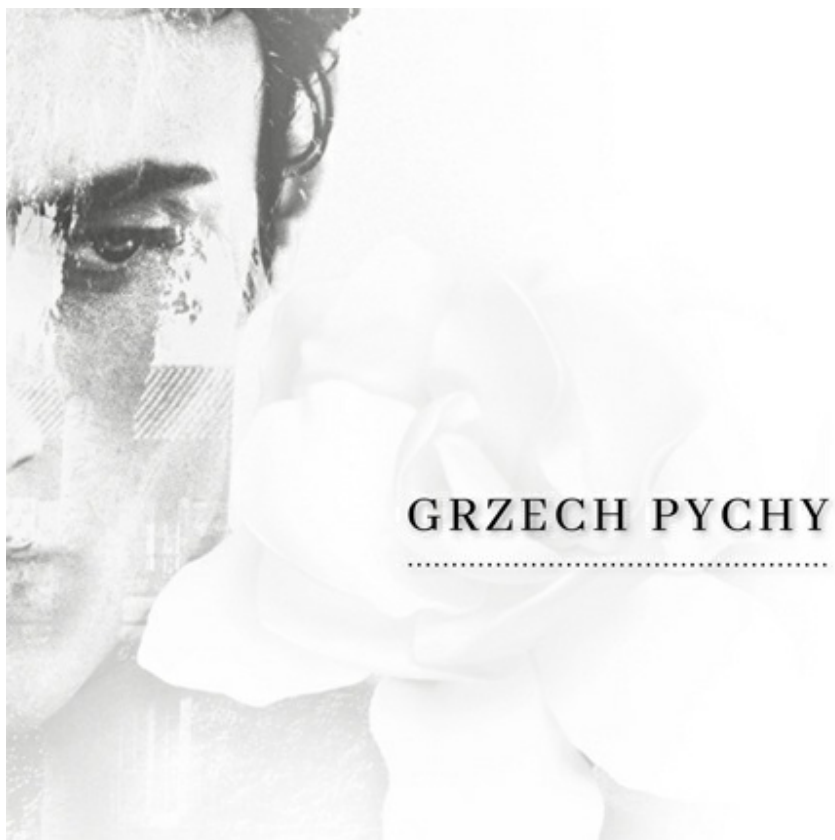
mężczyzn bólu i o tym, jak często ten smok, z którym walczyliśmy, śpi na dnie naszego serca, a szukanie sprawiedliwości domaga się jakiejś rekompensaty, której nie można znaleźć, ponieważ potwór będzie żył wiecznie w koszmarach, jakie ciągniemy za sobą z przeszłości, i zniknie dopiero wtedy, gdy sami złożymy się w ofierze poprzez spalenie.

Miał dosyć spania na świeżym powietrzu. Wrócił do pałacu.

TO, CO WYPARTE

Wracałem do domu z podwórka; grałem w piłkę i rozciąłem sobie kolano. Wszedłem do łazienki i ją zobaczyłem. Stała w wannie w ubraniu. Miała pomiętą, podartą sukienkę, podwiniętą do pasa, i krwawiła... tam. Krew spływała jej po nogach i mieszała się z wodą na dnie wanny. Myślałem, że umiera.

Miałem wtedy dziesięć lat. Kazała mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Pomogłem jej położyć się do łóżka, w którym leżała ponad tydzień. Przez cały ten czas dbałem o nią i o moich braci, którzy byli jeszcze malcami i nie rozumieli, co się działo.



GRZECH PYCHY

▼

Mario Ortuño miał około sześćdziesięciu lat, może trochę więcej. Ze zdjęcia, które widział Manuel, zachował dzikie oczy i ciemną skórę, rozciągającą się teraz na całą czaszkę, ponieważ nie było na niej ani śladu noszonej z dumą fryzury na jeża z fotografii. Popatrzył na nich twardo zza lady baru, który prowadził przy ulicy Real w Corme. Pomimo ich sprzeciwu oraz tego, że lokal znajdował się na końcu tej samej ulicy, Susa uparła się, żeby im towarzyszyć, a gdy tylko przekroczyli próg baru, zwróciła się do swojego męża:

– Mario, zobacz, ci panowie przyjechali z Chantady, żeby z tobą porozmawiać. Chodź, wyjdź zza lady, ja cię na chwilę zastąpię – powiedziała, schylając się, by przejść przez malutkie drzwi przy ladzie.

Mężczyzna nawet nie drgnął i patrzył na nich jeszcze przez dobrą chwilę, aż Manuel niemal nabrał pewności, że tam zostanie.

– Suso, bądź tak miła i przygotuj nam kawę – powiedział, zwracając się do kobiety. Następnie garbiąc się, wyszedł z za lady tym samym przejściem, którym weszła ona.

Wskazał im najdalszy stolik w pomieszczeniu i siedł za nimi, mówiąc:

– Powinienem był przypuszczać, że wczorajsza wizyta przeora będzie miała swoje konsekwencje. Pan jest księdzem – powiedział, pokazując na Lucasa – nie musi mi pan tego mówić; co do panów mam wątpliwości... – dodał, patrząc na nich i nie ukrywając niepokoju.

Nogueira zaczekał, aż usiądą, żeby zabrać głos.

– Ojciec Lucas jest byłym uczniem seminarium i pamięta pana z czasów, gdy był dzieckiem – powiedział gwardzista, dokonując prezentacji i używając swojego najbardziej profesjonalnego tonu. – A Manuel i ja prowadzimy śledztwo w sprawie zdarzeń, do których doszło w seminarium San Xoan w nocy trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku.

Ciekawość, z jaką Ortuño przyglądał się twarzy Lucasa, ustąpiła miejsca zaskoczeniu i czujności, kiedy podniósł brwi, by spojrzeć na Manuela.

– Wiemy, że pracował pan jako pielęgniarz w infirmerii seminarium i że następnego dnia odszedł pan z klasztoru, tłumacząc się nagłym kryzysem wiary.

Manuel odwrócił się w stronę lady, zastanawiając się, czy – jak sugerował brat Julián – uroczna Susa mogła być przyczyną tamtej rezygnacji sprzed trzydziestu dwóch lat.

Ortuño, jakby właśnie odczytał jego myśli, popatrzył na niego, podniósłszy głowę.

– Ożeniłem się z Susą prawie dziesięć lat później. Ona nie miała nic wspólnego z powodami, dla których postanowiłem opuścić klasztor, odejść z zakonu i zostawić wszystko, co w jakikolwiek sposób się z tym wiązało.

– A zatem przeor przyjechał wczoraj, żeby się z panem zobaczyć? – dopytywał Nogueira.

– Można by powiedzieć, że przyjechał, aby zrobić dwie sprzeczne ze sobą rzeczy: z jednej strony odświeżyć mi pamięć, a z drugiej przekonać mnie, żebym o tym zapomniał – powiedział takim tonem, że było oczywiste, iż obie te rzeczy go zdenerwowały.

Manuel siedział obok i nie spuszczał z niego oka. Nie miał jeszcze pewności, czy mężczyzna ich zaakceptował, czy nie, ponieważ jego zachowanie ewidentnie zdradzało, że jest na coś bardzo zły.

– I co postanowił pan zrobić? – zapytał podobnym tonem Nogueira.

– Decyzję podjąłem już dawno temu i w konsekwencji musiałem opuścić klasztor. Myślą panowie, że z czasem się zmieniłem? Tylko alzheimer będzie mógł wymazać z mojej głowy to, co widziałem tamtej nocy.

Manuel odszukał w telefonie zdjęcie ekranu komputera i położył aparat na stole przed mężczyzną. Ten wziął go w ręce i palcem przewijał dokument od góry, gdzie znajdowało się nazwisko ucznia, do dołu ze swoim podpisem.

– Co za sukinsyny! – wykrzyknął. – Chociaż nie wiem, dlaczego jestem tym zaskoczony. Dziwne, że tego nie spalili. Przypuszczam, że byłoby zbyt podejrzane, gdyby zniknął formularz z całego roku w tym czasie, przecież była już połowa grudnia, a strony ponumerowano, więc odpadała możliwość ich wyrwania. Swoją drogą to dla nich typowe: podobnie jak rządy faszystowskie, jak naziści podczas wojny Kościół nigdy nie podchodził na poważnie do zapewnienia sobie ochrony; niszczenie dokumentów jest zbędną ostrożnością dla kogoś, kto uważa, że nigdy nie spadnie ze swojego piedestału, tak jakby był zbieraczem, którego przypadłość nie pozwalała mu pozbyć się tego, co może go zniszczyć.

Arogancja i zarozumialstwo kogoś, kto uważa się za lepszego od innych, nietykalny i wszechmocny, i oczywiście niezwyciężony. Manuel

przypomniawszy sobie, że kiedy po raz pierwszy zobaczył ten dokument, skojarzył go z papierami frankistowskiego reżimu, z dowodami zbrodni żałośnie zakrytymi czarnym tuszem.

– Musimy się dowiedzieć, co jest napisane pod tymi liniami, co wydarzyło się tamtej nocy – powiedział Manuel, mając świadomość, że jego ostatnie słowa zabrzmiały rozpaczliwie.

Ortuño nie sprawiał jednak wrażenia, jakby wychwycił tę nutę w głosie pisarza. Milczał, wpatrując się w ekran. Kiedy jego żona przyniosła filiżanki kawy, wsypał do swojej porcję cukru, delikatnie zamieszał i wypił jednym haustem, chociaż kiedy Manuel spróbował swojej, jeszcze nie ostygła.

– Było w pół do czwartej w nocy, kiedy brat Matías przyszedł, żeby mnie zawiadomić; nie dał mi nawet czasu, bym włożył habit, ciągnął mnie korytarzem ubranego w piżamę aż do celi brata Verdaguera. Gdy tylko tam wszedłem, zdałem sobie sprawę, że stało się coś strasznego. Verdaguer leżał nieprzytomny na podłodze, był spocony i zaczerwieniony i miał na sobie tylko podkoszulek. Przeor klęczał przy nim i bezskutecznie próbował go obrócić. Z tyłu doskonale było widać, że wokół szyi miał skórzany pasek, który rozpoznałem jako część szkolnego mundurku chłopców. Najpierw zobaczyłem starszego chłopaka. Stał wyprostowany jak żołnierz i patrzył na wszystkich wielkimi, przestraszonymi oczami. Drugi dzieciak opierał się o ścianę i płakał, zakrywając sobie twarz.

– W pokoju był jeszcze jeden chłopiec? – zapytał zaskoczony Manuel.

Ortuño przytaknął.

– Muñiz de Dávila... Dlatego nie wpisał pan imienia – wywnioskował Nogueira. – To byli obaj bracia... Álvaro i Santiago?

Ortuño potwierdził zasmucony.

– Drugi brat, ten młodszy... Ponieważ był odwrócony do ściany, widać było krew, która plamiła tył spodni od piżamy. Dało się poznać, że włożył je

bardzo szybko, zostawiając na wierzchu koszulę; ale to nie wystarczyło, by zakryć krew. W pierwszym momencie zamarłem. Kiedy to sobie przypominam, nadal odnoszę wrażenie, że godzinami patrzyłem na przerażoną twarz starszego chłopca, na młodszego, który się trząsał, odwrócony do ściany, i na leżące na podłodze ciało Verdaguera bez spodni.

Nie zauważyłem, że ojciec Matías zniknął, aż wrócił do celi z długą liną. Przeor, który nawet mnie nie widział, wstał od zwłok. W rękach trzymał skórzany pasek, który udało mu się zdjąć z szyi Verdaguera i który rzucił na łóżko, a potem wziął linę z rąk Matíasa. W tym momencie zauważył moją obecność. „Proszę zabrać chłopców do infirmerii i się nimi zająć. Proszę dopilnować, żeby z nikim nie rozmawiali, i brat też niech z nimi nie rozmawia. Są w silnym szoku i mającą, biedacy natknęli się na ciało ojca Verdaguera, który popełnił samobójstwo, wieszając się na belce pod sufitem”, powiedział, pokazując w górę.

Zacząłem protestować. „Nakazuję bratu milczenie, proszę być posłusznym i zrobić to, co powiedziałem”, oznajmił, ponownie nachylając się nad ciałem i oplatając szyję liną, na której brat Matías zawiązał supeł. „Verdaguer od dawna cierpiał na strasznego raka, który powodował u niego taki ból, że w końcu stracił głowę i położył kres swemu cierpieniu. Chłopcy usłyszeli hałas spadającego ciała, ponieważ pod ciężarem wyslizgnęło się z liny. To właśnie się stało, prawda, chłopcy?”

Starszy nie odpowiedział.

– Álvaro... – wyszeptał Manuel.

Ortuño spojrzał na niego zaskoczony i trochę wzruszony.

– Tak, Álvaro – potwierdził, smakując to imię. – On nie odpowiedział, pokręcił tylko głową, nie przestając patrzeć na zwłoki. Zdałem sobie sprawę, że pomimo późnej godziny nie był w piżamie, tylko miał na sobie szkolny mundurek, a w jego spodniach brakowało paska. Ale młodszy i owszem,

zrobił to, usłyszałem dokładnie, jak zduszonym głosem i z twarzą odwróconą do ściany powiedział: „Tak, to właśnie się stało”.

Zauważyłem wtedy, że krew leciała mu po nogach i tworzyła małą kałużę, która brudziła jego stopy.

– Skurwysyny – wycedził Nogueira i nawet Lucas wyczuł ból w jego głosie, ponieważ spojrzął na niego z litością.

Manuel wiedział, że w głowie gwardzisty pojawił się obraz, który kiedyś zostawił w nim trwały ślad.

Ortuño kontynuował:

– Zaalarmowany, odwróciłem się do przeora, wskazując mu młodsze dziecko: „Chłopiec krwawi...”.

„To dziecko cierpi na wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Strach spowodował wyciek i ostrą biegunkę, to tylko trochę krwi. Słyszał brat, co powiedział chłopak”, odparł przeor.

„Brat Verdaguer nie był chory i pierwszy raz słyszę, żeby ten chłopiec cierpiał na wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Jestem jedynym pielęgniarzem w klasztorze, więc gdyby dziecko chorowało na coś takiego, wiedziałbym o tym, a tak nie jest – powiedziałem mu. – Uważam, że powinniśmy zawiadomić Gwardię Cywilną”.

Przeor wstrzymał swoje zabiegi wokół szyi brata Verdaguera i znowu się podniósł, wbijając we mnie wzrok. „Nic takiego brat nie robi. Tutaj ja sprawuję władzę, więc jeśli nie chce brat skończyć w zamknięciu w jakimś klasztorze w środku dżungli, lepiej będzie, jeśli zrobi to, co mu powiedziałem”.

Podszedłem do starszego chłopca, który nie odrywał oczu od ciała; był przerażony. Próbowałem popchnąć go w stronę wyjścia, ale się nie ruszył, więc stanąłem przed nim, nie pozwalając, żeby nadal patrzył na zwłoki, i powiedziałem: „Musimy stąd zabrać twojego brata”. Wtedy tak jakby się

przebudził. Skinął, wziął brata za rękę i starając się przez cały czas, żeby nie patrzył na ciało, wyprowadził go z celi, chociaż to i tak nie miało znaczenia, bo chłopiec tak mocno zaciskał oczy, że było niemożliwe, aby mógł cokolwiek zobaczyć.

Ortuño zamilkł i spojrzał na zegarek, a potem na swoją żonę, która przy ladzie obsługiwała nielicznych klientów.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Nogueira.

– Nic – odparł mężczyzna. – Zastanawiam się, czy moja żona uzna, że jest zbyt wcześnie, aby się napić...

Nogueira skinął gwałtownie, zdobywając poparcie pozostałych.

– To doskonały pomysł.

Susa nie wyglądała na zbyt przekonaną, kiedy stawiała na stole małą karafkę orujo i cztery szklanki. Na dowód dezaprobaty wróciła za ladę, nie napełniając ich. Zrobił to Lucas, a Manuel zauważył, że kiedy nalewał alkohol, trochę trzęsła mu się ręka.

Ortuño upił dwa łyki, po czym kontynuował:

– Młodszy chłopiec płakał przez całą noc, krzyczał jeszcze głośniejszym głosem, kiedy do niego podchodziłem, i nie pozwolił, żebym go opatrzył. Nie mogłem go nawet nakłonić, by zdjął poplamione spodnie i majtki; dopiero rano bratu udało się go przekonać. Resztę nocy spędził zwinięty w kłębek na łóżku, a Álvaro siedział tuż obok. Prosiłem go, żeby sprawdził, czy ustał krwotok, i aby go przekonał do połknięcia środków uspokajających, które bez wątpienia nie były wystarczające. Dwie godziny później do infirmerii przyszedł przeor. Miał ze sobą akt zgonu brata Verdaguera, podpisany już przez lekarza, który ja jako pielęgniarz klasztoru musiałem potwierdzić. Podpisałem. Przed wyjściem znowu mnie ostrzegł: „Proszę z nikim nie rozmawiać”.

Wrócił o ósmej rano. Mały dopiero co zasnął. Zapytał mnie, czy krwotok

ustał, poprosił o wszystkie ubrania chłopca i zabrał je zawinięte w prześcieradło. Álvaro przez cały ten czas był przy łóżku brata, patrząc na przeora bez słowa i z ogniem w oczach.

Przeor ponownie wrócił w południe i powiedział mi, co mam napisać w raporcie: „Chorowali na bardzo zaraźliwą grypę”. „Ale przecież chłopiec mówi coś innego”, odpowiedziałem mu. Odwrócił się w stronę Álvaro, który cały czas go obserwował, stojąc na baczność jak żołnierz. Kazał mi zaczekać na zewnątrz i zostałem z nimi sam na sam. Kiedy wyszedłem, młodszy wyglądał na spokojniejszego, był nawet skłonny, żeby coś zjeść. Ale starszy nie, nadal miał w oczach ten ogień. I coś wam powiem. – Popatrzył na trzech mężczyzn. – Możliwe, że Álvaro był jeszcze dzieckiem, ale tamtej nocy przestał nim być. Poznałem w jego spojrzeniu to samo, co kryło się w moim, ten ogień pełen gniewu, który nie ustaje, i wiedziałem, że ani dla niego, ani dla mnie nie skończy się to dobrze. Jeszcze tego samego dnia po Álvaro przysłano samochód z szoferem. Widziałem chłopca na korytarzu, jak czekał przy swojej walizce, podczas gdy jego ojciec rozmawiał z przeorem. Następnie wyszedł z gabinetu, dał znak chłopcu i ruszył do wyjścia. Ostatni raz widziałem Álvaro, jak szedł z bagażem w rękę kilka kroków za swoim ojcem. Moją uwagę zwróciło to, że ojciec nawet nie wszedł, żeby zobaczyć się z młodszym. Zabrał Álvaro bez kłótni ani niemiłych uwag; nie wiem, jakie wyjaśnienie podał mu przeor, ale ojciec wziął chłopaka i już więcej go nie zobaczyłem. Chociaż tego młodszego też nie, bo w tym samym dniu po podpisaniu raportu, w którym nie wspomniałem o grypie, ja też opuściłem klasztor.

Między czterema mężczyznami zapadła nerwowa cisza. Manuel wziął swój telefon i wybrał numer, patrząc na nich z niedowierzaniem.

– Griñán, proszę mi powiedzieć, od kiedy do rodziny Álvaro należą ziemie, na których wznosi się San Xoan.

Czekał w milczeniu niespełna minutę, podczas gdy notariusz sprawdzał informacje w komputerze.

Manuel wysłuchał, rozłączył się i odłożył telefon na stół, odsuwając go od siebie, jakby znajdowało się w nim coś bardzo złego.

– W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku stary markiz podpisał z przeorem umowę kupna-sprzedaży ziem seminarium, do tamtej pory będących własnością samego klasztoru, za symboliczną kwotę jednej pesety.

– Uciszyli go w zamian za ziemię.

Lucas, jeszcze bardziej roztrzęsiony niż wcześniej, nalał drugą kolejkę orujo i wypił alkohol jak lekarstwo. Manuel patrzył na niego zaniepokojony. Oczy księdza, wilgotne i rozbiegane, spoglądały to w pustkę, która się przed nim otworzyła, to w górę, aby przywołać wspomnienia, gesty, słowa, nabierające teraz brutalnego znaczenia.

Manuel chciałby móc go pocieszyć, ale każde słowo Ortuña otwierało w jego klatce piersiowej tak głębokie rany, jakby przejeżdżał przez nie pług, który posuwając się naprzód, nie tylko niszczył, lecz także odkopywał najgłębiej skrywany strach. I cały chłód oraz letarg, w który zapadła jego dusza, odkładany przez ostatnie dni ból, o którym myślał, że już go nie dopadnie, teraz w nim pękły.

Poczuł łzy, które niczym nieuchronny przypływ zatopiły go od środka z taką siłą i szybkością, że nawet nie uświadomił sobie tego płaczu, aż grube krople nie zamgłiły mu wzroku, lejąc się obficie i cicho, i w tak gwałtowny sposób, że Manuel zaskoczył swoją reakcją pozostałych trzech mężczyzn, którzy, jakby przywołani przez pradawną i potężną siłę, dostrzegli jego ból i uczynili go swoim.

Siedzący obok niego Nogueira podniósł rękę i położył ją, tak samo jak Manuel poprzedniego wieczoru, na ramieniu swojego przyjaciela. Lucas,

z oczami tonącymi we łzach i gniewie, podniósł się z miejsca i usiadłszy obok Manuela, objął go. Ortuño, powstrzymując się z zaciśniętymi ze złości pięściami i ustami wykrzywionymi w groźnym grymasie, spojrzał na swoją żonę, która obserwowała go zza lady i przytaknęła jego pytającemu spojrzeniu. Wtedy położył rękę na stole i chwycił dłoń Manuela, który był wyczerpany i nie reagował. Płakał rzewnymi łzami, pogrążony w emocjach, które nie pozostawiały miejsca na nic więcej. Półprzytomnie dziękował za gwałtowność tych emocji, znieczulających mu duszę z mieszaniną bólu i spełnienia.

Czterech płaczących mężczyzn. Byłego zakonnika Ortuña życie wystarczająco doświadczyło, żeby nie zważał na ciekawskie spojrzenia klientów, którzy odwracali się, by na nich popatrzeć, podczas gdy Susa stopniowo się z nimi żegnała i bar powoli pustoszała. Kobieta opuściła roletę i zamknęła drzwi, pozostawiając lokal oświetlony jedynie znikomym światłem z nad lady i słabym, które wpadało przez tylne okno.

Jedyną rzeczą mogącą uwolnić dobrego człowieka od wielkiego cierpienia jest cudzy ból. Ból Nogueiry, mężczyzny, który nosił w sobie wilka w postaci poczucia winy, zzerającego go od środka, był tym, czego gwardzista najbardziej nienawidził. Ból Lucasa obecny przy tych wszystkich okropnościach bez jego wiedzy; ksiądz dopiero teraz obserwował, jak przed jego oczami pojawia się projekcja zdarzeń, które z tej jasnej perspektywy nabierały sensu. Do tego ból mężczyzny, który był bezpośrednim świadkiem tych okropności, niedowierzającego i rozzłoszczonego, ból ciągnący za sobą niczym wyrok strach tamtej nocy. Manuel popatrzył na nich – podtrzymywali go, nie dopuszczając, by się załamał, podczas gdy sami rozpadali się na kawałki. Zdruzgotani mężczyźni, z litości czujący się winni. Poczuł dla nich głęboką wdzięczność, dla tych ludzi, którzy czuli się odpowiedzialni za koszmar innych, za niesprawiedliwość. Nie mógł przestać płakać, czuł się

tak, jakby dusza mu wybuchła, a coś unosiło go, ciągnęło i trzymało na granicy uduszenia. Ale nie był sam, oni też tu byli. Uścisnął Lucasa, położył dłoń na ręce Nogueiry i popatrzył w oczy Ortuñowi, drugą dłonią ściskając jego dłoń.

Dużo, dużo później kolejne kawy pojawiły się na stole. Ortuño na nich popatrzył. Toczył walkę, było to widoczne w jego zachowaniu. Oparł łokcie o stół, złączył obie dłonie na ustach i trwał tak przez dłuższy czas, jak gdyby się modlił albo odprawiał ceremonię nad filiżankami kawy, które Susa znowu postawiła przed mężczyznami w celu złagodzenia skutków orujo. Ortuño zacisnął wargi, rozejrzał się dookoła, tak jakby jego wzrok mógł przeniknąć przez barierę materii i czasu, żeby wrócić do wydarzeń z tamtej nocy.

– Minęło ponad trzydzieści lat, a ja nigdy nie wyrzuciłem z głowy tych chłopców. W miarę upływu kolejnych godzin młodszy czuł się coraz lepiej. Starszy przeciwnie, było widać, że jest przytłoczony odpowiedzialnością za swój czyn, a zarazem spokojny, jakby pokrzepiony tym samym trawiącym go czynem. Kiedy mały zasnął, przekonałem Álvara, żeby zjadł razem ze mną śniadanie, które nam przyniesiono. Byłem zaskoczony tym, jak jadł. Wiele lat później służyłem jako pielęgniarz w Bośni i widziałem takie samo zachowanie u walczących: wygłodniali, łapczywie połykali pożywienie, ale nigdy nie patrzyli na jedzenie, patrzyli w pustkę. „Co się stało w celi brata Verdaguera?”, zapytałem. Zdołałem sprawić, by jego umysł powrócił z nicości. „Stało się to, że zabiłem człowieka”, odparł z absolutnym spokojem kogoś, kto pogodził się już z faktami. I wtedy mi o tym opowiedział.

Verdaguer udzielał dodatkowych lekcji tym, którzy mieli braki, i najwyraźniej mały nie radził sobie zbyt dobrze z nauką, więc każdego popołudnia po zakończeniu zajęć zostawał godzinę dłużej. To było dość powszechne, wielu uczniów otrzymywało takie wsparcie. Verdaguer upierał

się jednak, żeby codziennie udzielać Santiagowi tej dodatkowej godziny w swoim gabinecie. Nie zrozumiałem dokładnie, czy starszy to widział, czy mały mu o tym opowiedział, ale fakt jest taki, że Álvaro przez cały tydzień spał w ubraniu. Każdej nocy wstawał, żeby obserwować dormitorium, które jego brat dzielił z innymi chłopcem w swoim wieku. Tamtej nocy zmógł go sen; obudził się przestraszony i kiedy zobaczył, że jego brata nie ma w łóżku, pobiegł do celi Verdaguera.

Ortuño westchnął głęboko, gwałtownie przeciągając rękoma po twarzy, jakby usiłował zetrzeć odrażający ciężar swoich słów. Siedząca obok niego Susa wzięła go za rękę i uwięziła między własnymi dłońmi, sprawiając, że mężczyzna natychmiast odzyskał spokój. Odwrócił się do niej i na jego twarzy pojawił się pełen wdzięczności wymuszony uśmiech. Kontynuował:

– Wszedł do celi i zobaczył Verdaguera nagiego od pasa w dół. Był dużym, grubym mężczyzną. Álvaro nie widział swojego brata, ale nie musiał. Wiedział, że chłopcem, który płakał, przygnieciony ciężarem tej bestii, był Santiago. Nie krzyknął, nic nie powiedział. Wyciągnął pasek ze szlufek swoich spodni, wskoczył na plecy Verdaguera i ścisnął mu nim szyję. Zaskoczenie sprawiło, że mężczyzna się zachwiał, puścił małego i walczył, podnosząc ręce do szyi i starając się uwolnić. Stracił równowagę i upadł do przodu, na kolana. Chłopiec go nie wypuścił. Powiedział, że od razu przestał się ruszać, ale ścisnął dalej, ponieważ bał się, że znowu wstanie. Zapamiętałem go jako wysokiego i szczupłego chłopaka, nie mógł dużo ważyć, chudzina na tle Verdaguera, którego los w tamtym momencie był już przesądzony, bo jak się później dowiedziałem z lekarskiego raportu, siła pierwszego pociągnięcia zmiażdżyła tchawicę, więc nawet gdyby chłopak nie ścisnął tak, jak to robił, to po kilku minutach Verdaguer i tak by się udusił.

Manuel zamknął oczy i bardzo wyraźnie usłyszał głos Kruka: „Álvaro łączył w sobie zdolność do okrucieństwa i siłę, które były potrzebne, by za

wszelką cenę chronić swoją rodzinę, i wywiązał się z tego z nawiązką. Wiedzieliśmy, że nas nie rozczaruje, ponieważ zrobił to już wcześniej”.

Ortuño pokazał na telefon komórkowy Manuela, który wciąż leżał na stole.

– Napisałem obszerny raport na temat stanu fizycznego obu chłopców, nie pomijając żadnego szczegółu, i mogę panów zapewnić, że nigdzie nie znajdą w nim słów „zaraźliwa grypa”. To jest powód, dla którego raport został całkowicie ocenzurowany.

– Zrobił pan zdjęcia? Zachował jakiś dowód? Istnieje inny dokument, w którym znajduje się to, co napisał pan tutaj? – zapytał Nogueira.

Ortuño zaprzeczył.

– To były lata osiemdziesiąte, dla personelu sanitarnego nie istniał protokół postępowania w przypadku wykorzystywania nieletnich... W ogóle jakiegokolwiek wykorzystywania. Ale napisałem szczegółowy list rezygnacyjny, w którym wyjaśniłem powody odejścia z zakonu, skierowany do przeora mojego klasztoru i do biskupa mojej diecezji.

– Chce pan powiedzieć, że biskup wiedział o tym, co wydarzyło się w klasztorze? Czy kiedykolwiek się z panem skontaktował? – zapytał zdziwiony Manuel.

– Nie, nigdy tego nie zrobił. Ale z drugiej strony po co? Ja nie chciałem stwarzać żadnego problemu: wspomniany zakonnik nie żył, krnąbrny chłopiec został wydalony. Możliwe, że przeor otrzymał gratulacje za to, jak znakomicie poradził sobie z tak trudną sprawą – powiedział ze wstrętem.

Jakiś czas później przypomną sobie Maria Ortuña, opuszczającego – na koniec dnia, a zarazem ostatecznie – roletę w barze i kierującego się do domu razem ze swoją żoną. Tamtego wieczoru nie zostało niemal nic z dzikiego spojrzenia i ciemnej twarzy, które powitały ich zza lady, kiedy weszli do baru. Przybity i zraniony przez przeszłość, oddalał się ulicą Real, podczas

gdy oni wjeżdżali na szosę, opuszczając Corme.

W drodze powrotnej ledwie rozmawiali. Ciężar tego, co usłyszeli, przygniatał ich jak płyta nagrobna do siedzeń w samochodzie, a dzielona prywatność odcisnęła piętno na gęstej ciszy, w której wciąż rozbrzmiewały słowa Ortuña:

– Nikt o tym nie wiedział, nie rozmawiałem na ten temat do czasu, aż wiele lat później opowiedziałem to mojej żonie. Często myślałem o tym, co zdarzyło się tamtej nocy oraz następnego ranka, i przysięgam wam, że kiedy opuściłem klasztor, poważnie zastanawiałem się nad zgłoszeniem tego. Ale czemu by to służyło? Moje słowo przeciwko słowu przeora, brata Matíasa, słynnego wiejskiego lekarza, który podpisał akt zgonu... A nawet przeciwko słowu chłopców. Byłem pewien, że Álvaro powiedziałby prawdę, ale mały niemal odetchnął, kiedy przeor wymyślił tę głupią inscenizację samobójstwa. I po co to wszystko? Jedyne, co bym osiągnął, to uwikłał się w długi proces, który być może zakończyłby się oskarżeniem o morderstwo chłopca, który zrobił to, co należało zrobić. On byłby jedynym poszkodowanym. Verdaguer był martwy, już nikomu nie mógł wyrządzić krzywdy, a mały był bezpieczny. Dla Álvaro, tak samo jak dla mnie, z pewnością najlepsze było opuszczenie tamtego miejsca.

Zadzwoił telefon Nogueiry, przerywając panującą w samochodzie ciszę, której – co było niezrozumiałe dla Manuela – porucznik nie chciał wypełnić muzyką. Gwardzista z niezadowoleniem spojrzął na aparat. Trudne zakręty między Corme a Malpicą zmuszały go do skupienia całej uwagi na drodze. Telefon zadzwonił ponownie zaledwie kilka sekund po tym, jak połączenie się urwało.

– Zobacz, proszę, kto dzwonił – poprosił Nogueira Lucasa, który siedział obok niego.

Manuel, na tylnym siedzeniu, wciąż miał zamknięte oczy. Gwardzista

wiedział, że nie śpi – biedak miałby szczęście, gdyby znów kiedyś to zrobił – ale rozumiał, że wolał zamknąć się teraz na świat.

Lucas wziął telefon i spojrzał na ekran.

– Ofelia.

Nogueira szukał na poboczu jakiegoś miejsca, gdzie mógłby zatrzymać samochód. Zrobił to na polanie tuż przy wąwozie, z którego wyrastały najwyższe eukaliptusy, jakie kiedykolwiek widział.

– Muszę zadzwonić – usprawiedliwił się gwardzista.

Wysiadł z samochodu i odszedł kilka kroków. Przez szybę Lucas widział, z jakim zaskoczeniem słuchał tego, co mówiła mu ta kobieta. Kiedy wracał, telefon znowu zadzwonił. Lucas zauważył, jak Nogueira prostował się, słuchając. Następnie porucznik otworzył drzwi, ale zanim wszedł do auta, nachylił się w stronę tylnych siedzeń i powiedział:

– Manuel, to Ofelia, lekarka sądowa. Wczesnym popołudniem znaleźli samochód Toñina przy wiejskiej ścieżce, w połowie ukryty w gąszczu. Sto metrów dalej trafili na zwisające z drzewa ciało chłopaka. Dzwonili do mnie też z komendantury; nie minęły nawet dwa dni, odkąd powiedziałem im o aucie, i poprosili, żebym przyjechał; kapitan chce ze mną porozmawiać.

Manuel się wyprostował i przysunął do przednich siedzeń.

– Cholera, Nogueira! Mam nadzieję, że nie przysporzy ci to żadnych problemów. Jeśli będzie konieczne, powiem, że poprosiłem cię, abyś pojechał ze mną do domu Toñina. W żadnym momencie nie podaliśmy się za policjantów i jestem gotowy to przysiąc.

Nogueira próbował się uśmiechnąć, ale ewidentnie był zmartwiony.

– Zobaczysz, że to nic takiego, ale rutynowo muszą ze mną porozmawiać.

– Popęłił samobójstwo? – zapytał nagle Lucas.

Nogueira popatrzył na niego w milczeniu, uruchamiając silnik samochodu i znowu wjeżdżając na drogę.

– Powiedziałaś, że zwisał z drzewa. Popęłnił samobójstwo? – naciskał Lucas.

Nogueira kilka razy przesunął ręką po wąsach i ustach, jakby myślał o tym, co ma powiedzieć. Ale zamiast spojrzeć na Lucasa, podniósł wzrok na lusterko wsteczne, by obserwować Manuela.

– Ofelia mówi, że ciało jest czarne jak diabeł, ale mimo to jest oczywiste, że został pobity. Od uderzeń ma rozwaloną twarz i ma na sobie to samo ubranie, jakie jego ciotka opisała podczas zgłoszenia. Wszystko wskazuje na to, że pobili go do nieprzytomności, a później powiesili. Bardziej konkretne informacje będzie mogła podać po autopsji, jednak stan zwłok wskazuje na to, że może nie żyć od dnia, w którym zniknął.

Manuel wytrzymał wzrok Nogueiry w lusterku, rozumiejąc, co to oznaczało.

– Dzień, w którym Álvaro został zamordowany... Siłą rzeczy musi to być ze sobą powiązane.

– Nie wiem – odparł Nogueira. – Wiemy natomiast, że prawdopodobnie malując gabinet swojego wuja, Toñino znalazł w seminarium list rezygnacyjny zakonnika Ortuña i tylko rzuciwszy na niego okiem, zdał sobie sprawę, że za taką informację mógłby wyciągnąć niezłą sumkę; musiał przypuszczać, że dla Álvaro i Santiaga był wart znacznie więcej niż trzysta tysięcy euro. Zadzwoił do Santiaga i poprosił go o pieniądze, ale ten nie liczył się z reakcją swojego brata, który wściekły przyjechał do klasztoru, domagając się wyjaśnień od przeora. Gdy tylko Álvaro stamtąd wyszedł, przeor udał się do swojego bratanka, być może po to, żeby zażądać od niego dokumentu, ale przede wszystkim by go ostrzec, że sprawy nie będą tak zostawione. Kiedy zapytałem przeora o chłopaka, moją uwagę zwróciło to, że niewiele go obchodziło, gdzie może być. Niewykluczone, że już wiedział. Nie zapominajmy też, że zaprzeczył, jakoby Álvaro do niego przyjechał,

a kiedy nie pozostało mu nic innego, jak się przyznać, że do niego dzwonił, wymyślił sobie tę bzdurę ze spowiedzią.

– Mówię ci, że to nie mogło być tak – podkreślił Lucas.

– Z wyjątkiem tego aspektu co do reszty nie wyglądał na zmartwionego, być może dlatego, że już to załatwił. Álvaro nie żył, a teraz wiemy, że jego bratanek też. I prawdopodobnie obaj zginęli tego samego dnia.

– Myślisz, że posunąłby się do tego, żeby utrzymać w tajemnicy coś, co wydarzyło się trzydzieści dwa lata temu?

– Zdziwiłbyś się, do czego ludzie są zdolni, żeby ukryć rzeczy nieskończenie mniej poważne. Po tym, co opowiedział nam Ortuño, wiemy, że przeor jest jednym z tych ludzi, którzy dysponują wystarczającymi środkami, aby rozwiązać taki problem. Nie brakowało mu odwagi, żeby śmierć Verdaguera upozorować na samobójstwo ani żeby ukrywać wykorzystywanie seksualne, do którego dochodziło w jego szkole. Do tego mamy świadka, który potwierdza, że groził swojemu bratankowi. Ortuño powiedział nam, że przeor przyjechał do niego, starając się odwieść go od mówienia; do czego jest w stanie się posunąć, by chronić dobre imię swojej instytucji? Czy mógłby zabić własnego bratanka i powiesić go na drzewie? Albo zepchnąć z drogi samochód Álvaro? Może nie brak mu do tego odwagi. Wiemy już, że przynajmniej raz upozorował zabójstwo na samobójstwo poprzez uduszenie... Ale...

– Ale ma siedemdziesiąt lat, może trochę więcej – wyjaśnił Lucas – cierpi na chorobę kości, artretyzm albo osteoartrozę, jest raczej niskiego wzrostu i musi ważyć jakieś sześćdziesiąt kilogramów.

– Właśnie, to prawda – powiedział Nogueira. – Trudno mi go sobie wyobrazić walczącego z Álvarem... I chociaż jego bratanek nie był o wiele silniejszy i wskutek zażywania narkotyków bardzo cherlawy, nie widzę przeora bijącego go do nieprzytomności i zachowującego energię, żeby

powiesić ofiarę na drzewie. Potrzeba zwinności, ale także siły, aby podnieść człowieka z ziemi...

Manuel miał wzrok utkwiony w odbiciu Nogueiry w lusterku i zauważył, jak gwardzista starał się unikać jego spojrzenia.

– W każdym razie dopóki nie będziemy mieli dowodów, to jest niczym więcej jak tylko hipotezą. Trzeba poczekać na wyniki autopsji Toñina i na potwierdzenie z laboratorium, czy fragmenty farby na samochodzie Álvaro pochodzą z pojazdu z seminarium – powiedział gwardzista.

– Nie włączyłeś do swojej hipotezy innej możliwości – oznajmił prowokacyjnie Manuel. – Że przeor nie miał z tym nic wspólnego. Że Álvaro trafił na Toñina...

Ciężar tego, co Mei Liu usłyszała, odbierając tamten telefon, nabierało znaczenia: „Wie, że go zabiłeś”.

– Zamknij się, Manuel! – Siła desperacji w głosie Lucasa zdusiła wszystko, co Manuel chciał powiedzieć, ale nie zapobiegła temu, by jego przypuszczenie nadal głośno krzyczało mu w głowie.

Podniósł wzrok i znalazłszy oczy Nogueiry, wiedział, że gwardzista myśli tak samo. Kontynuował:

– Że ze sobą walczyli. Álvaro był od niego o wiele silniejszy, mógł go pobić i powiesić na drzewie. Ofelia powiedziała, że rana, którą Toñino miał z boku tułowia, spowodowała, że powoli się wykrwawił, dając Álvaroowi czas, by wsiadł do samochodu i prowadził przez kilka kilometrów... – Słowa Kruka nabierały kształtów.

– Nie wiem, jak w ogóle możesz o czymś takim myśleć... – powtórzył obrażony Lucas, odwracając się w jego stronę.

– Ja też bym nie wiedział, gdybyśmy rozmawiali o mężczyźnie, którego znałem, ale okazało się, że to nie był prawdziwy Álvaro i tak naprawdę nie wiem, do czego mogła się posunąć ta wersja jego.

– Nie mogę w to uwierzyć! – wykrzyknął rozzłoszczony Lucas.

– Pamiętaj, co mi powiedziała jego matka, ja tego nie zapomniałem – oznajmił Manuel.

– Mówiłem ci już, że zrobiła to tylko dlatego, aby cię skrzywdzić, zasiewała wątpliwości, a ty najwyraźniej pozwoliłeś, by zakiełkowały – odparł ksiądz.

– Co takiego ci powiedziała? – zapytał zaciekawiony Nogueira.

– Że to jego zdolność do okrucieństwa uczyniła go odpowiednim następcą swojego ojca, że byli pewni, iż wykona dobrą pracę, że wywiązał się z niej z nawiązką, a oni zawsze byli o tym przekonani, bo zrobił to już wcześniej.

– I myślisz, że odnosiła się do tego, co wydarzyło się w seminarium?

– Jest coś jeszcze, coś, czego wam nie powiedziałem. Nogueira, wiesz już, że kilka dni po pogrzebie Álvaro Guardia Cywilna zwróciła mi jego rzeczy. Znalazłem wśród nich telefon, którego nigdy wcześniej nie widziałem, a kiedy sprawdziliśmy połączenia, zobaczyliśmy jedno, którego nie mogliśmy zlokalizować, a które zostało wykonane z budki telefonicznej. Sekretarka Álvaro powiedziała mi, że używał tego telefonu do załatwiania wszystkiego, co wiązało się z tutejszymi biznesami – mówił, patrząc na Nogueirę, który przytaknął. – Nie wiecie jednak o tym, że powiedziała mi też, że dzień przed tym, jak Álvaro tu przyjechał, zadzwonił ten telefon i ona odebrała. Osoba, która znajdowała się po drugiej stronie linii, powiedziała: „Wie o tym i wszystko opowie, o mnie i o tym, że go zabiłeś. Opowie wszystko, jeśli nie zrobisz nic, żeby go powstrzymać”.

Wściekły Lucas prawie obrócił się na swoim siedzeniu.

– Na miłość boską! Mówisz, że Álvaro był mordercą? Może masz rację, Manuel, może nigdy go nie znałeś, ale ja owszem i zapewniam cię, że Álvaro nie był kimś takim.

– Teraz mam pewność, że osobą, która do niego dzwoniła, był jego własny brat; był tak zdesperowany, że jakimś sposobem zdobył numer Álvaro. Nie byłoby to takie dziwne, gdyby dał mu go Griñán: kiedy opowiadał mi, jak Santiago prosił go o pieniądze, dodał, że bardzo mu się spieszyło, a oprócz tego był mocno przejęty. Pomyślcie o tym, co powiedział: „Wie, że go zabiłeś”. Osobą wiedzącą był Toñino, który nie żyje, i według lekarki sądowej bardzo prawdopodobne jest to, że nie żyje od dnia, w którym zniknął, od dnia, w którym Álvaro wrócił, żeby załatwić tę sprawę. „Nie będziesz mi groził”, powiedział.

Lucas kręcił głową, zaciekle patrząc na Manuela i zaciskając usta w taki sposób, który zdradzał ogromne rozczarowanie, a jednocześnie całkowitą pewność.

Telefon Manuela rozbrzmiał nagle w małej przestrzeni samochodu. Spojrzał na ekran, zdecydowany, by odrzucić połączenie. Dzwoniła Mei Liu. Wysłuchał tego, co mówiła, nie wypowiadając ani jednego słowa, i się rozłączył. Wnętrze pojazdu pograżyło się w napiętej ciszy, naładowanej jak tuż przed burzą, a on zatęsknił za włochatą obecnością Kawy.

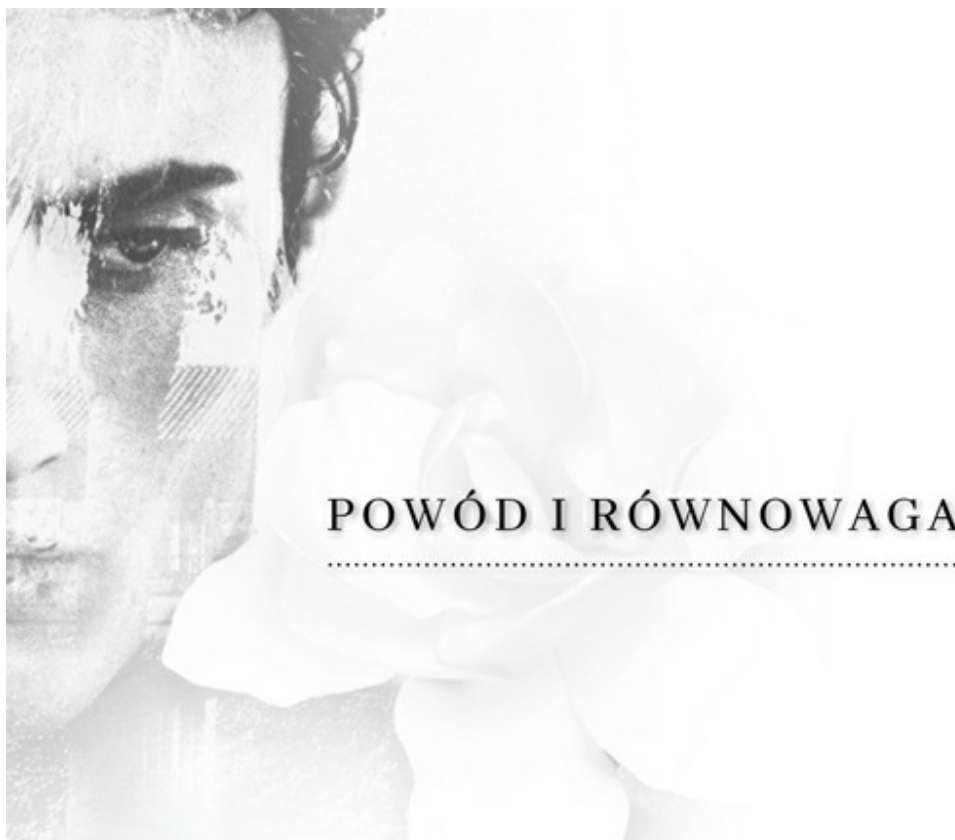
Nogueira zatrzymał samochód na parkingu przy hostelu, wypuścił Lucasa i Manuela, po czym ruszył na miejsce zbrodni.

Ostatnie kilometry pokonali w milczeniu, więc teraz między nimi unosiło się niepokojące napięcie. Manuel skierował się do swojego auta.

– Dokąd się wybierasz, Manuelu? – zapytał Lucas, idąc za nim.

– Do As Grileiras, możesz jechać ze mną albo zostać tutaj, ale ja mam już tego dosyć. Chcę dostać odpowiedź, i to natychmiast.

Lucas przytaknął i obszedł samochód, żeby usiąść obok niego.



POWÓD I RÓWNOWAGA

opołudnie szybko się ulatniało. Kiedy przyjechali do pazo, ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacały główną fasadę domu, która w tym świetle nabierała zakłamaney ciepłej barwy domowego ogniska.

Od razu ruszyli w stronę kuchni i tak jak się spodziewali, w środku zastali Herminię i jej męża, siedzących przy stole ze splecionymi rękami i twarzami, które zdradzały wielkie zaniepokojenie. Spojrzeli na nich przestraszeni. Kobieta wstała, gdy tylko ich zobaczyła, i rzuciła się w ramiona Lucasa, błagając.

– Och, proszę, nie! Proszę, nie... – powiedziała i zaczęła płakać, zarażając ich swoim niepokojem.

– Ale co się dzieje, Herminio? – zapytał z przerażeniem.

– To ty nie wiesz? A więc nie chodzi o Santiaga?

– Co się dzieje z Santiagiem? – zapytał Lucas i spojrzał zdziwiony na Manuela, który, zaskoczony tak samo jak on, wzruszył ramionami, podczas gdy ksiądz dalej trzymał trzęsącą się kobietę.

Herminia zatopiła się w jego ramionach, szlochając.

– *Fillo*, nieszczęście weszło do tego domu, stracę wszystkie moje dzieci, wszystkie mi umrą...

Manuel odwrócił się do męża Herminii, który przez cały czas milczał i nadal nieruchomo siedział przy stole, obserwując to wszystko, jakby nic go nie mogło złamać albo jakby został już wyleczony ze strachu. Przeszukał pamięć, próbując przypomnieć sobie jego imię.

– Co się stało z Santiagiem, Damiánie?

– Zabrała go karetka, Catarina z nim pojechała. Mówią, że wziął mnóstwo tabletek. Gdyby nie chłopiec, już by nie żył. Wszedł do jego pokoju i zaczął nim potrząsać, żeby się obudził.

– Samuel?

Mężczyzna przytaknął.

– Gdyby nie chłopiec, już by nie żył.

– Gdzie jest Samuel? Dobrze się czuje?

Uwalniając się od uścisku Lucasa, odpowiedziała mu Herminia:

– Manuelu, chłopcu nic nie jest, nie przejmuj się, on nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało; *pobriño* myślał, że to zabawa. Jest na górze, matka czyta mu bajkę.

Manuel podszedł do stołu i opadł na krzesło. Wszystko wokół niego się rozpadało. Spróbował uporządkować myśli. Przyjechał tutaj, żeby zastraszyć Santiaga, stawić mu czoła i zmusić go, by się przyznał. W jego głowie pojawiło się wspomnienie tamtego popołudnia, kiedy widział, jak płacze, siedząc sam w ciemnościach kościoła. Być może Santiago ciągnął za sobą więcej cierpienia, niż się wydawało albo niż mógł znieść.

Lucas uprzedził go z pytaniami.

– Co się stało, Herminio? Bo coś musiało się stać. Ty dobrze znasz Santiaga, człowiek nie decyduje się na samobójstwo ot tak, z minuty na minutę. Co do tego doprowadziło?

Herminia wykrzywiła usta w okrutnym grymasie. Cały smutek, który odbijał się na jej twarzy, w jednej chwili zamienił się w najwyższą pogardę.

– Jasne, że wiem, co się stało! Stało się to, co zawsze, stało się to, że ta okropna kobieta nie spocznie, dopóki nie pochowa wszystkich swoich synów, można wręcz powiedzieć, że cierpi, kiedy widzi ich szczęśliwych. Ta... – zacisnęła zęby – suka! – Prawie splunęła. – Wczoraj Catarina powiedziała nam, że znowu jest w ciąży. No i cóż, dobrze wiecie, jak zachowuje się Santiago w takiej sytuacji, ciągle się o nią martwi. Wcześniej zjedli kolację i się położyli. Ale ta wiedźma nie pozwoliła nam się spokojnie cieszyć – powiedziała Herminia i znowu gorzko zapłakała.

Damián podniósł nieco głowę i spojrzał na nią z rezygnacją. Manuel wstał i wykonując prawie te same gesty, którymi ona pocieszała go kilka dni wcześniej, wziął ją za rękę, po czym zaprowadził na krzesło; następnie, nie puszczając dłoni Herminii, usiadł naprzeciwko i pozwolił jej mówić.

– To było dzisiaj rano. Razem z Saritą sprzątałam jeden z pokoi na górze i usłyszałam, jak się kłóca. Wiesz, że ja nie wchodzę do jej pomieszczeń – powiedziała dumnie. – Widziałam, jak wychodził stamtąd w płaczu; ona poszła za nim do drzwi, śmiejąc się na cały głos, i nie obchodziło jej, że Sarita i ja tam byliśmy, nadal drwiła i z niego rechotała, aż usłyszała trzaśnięcie głównych drzwi. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że Santiago zabiera jednego z koni. Zawsze jeździ konno, kiedy jest wściekły, ale teraz nie powinien... z taką ręką.

– Wiesz, o co się kłócili?

Herminia zaprzeczyła.

– A kiedy doszło do tego zdarzenia z tabletkami?

– Niecałą godzinę temu. Chłopiec go szukał, bo chciał się z nim pobawić, wszedł do jego pokoju i na szczęście powiadomił Elisę, że wujek nie chce się obudzić.

– Herminio, nie miałem pojęcia o tym, co stało się Santiagowi. Wiem, że ty go kochasz, i bardzo mi przykro – powiedział Manuel z poważnym wyrazem twarzy.

Ona uśmiechnęła się do niego delikatnie, przyjmując słowa współczucia.

– Ale jestem tutaj, bo chciałem ci zadać jedno pytanie...

Na twarzy Herminii pojawiła się ciekawość.

– Chodzi o coś, co powiedziałaś mi któregoś dnia, kiedy rozmawialiśmy o Álvaro, o tym, jak zabrali go z tego domu w wieku zaledwie dwunastu lat. Zapytałem cię, a ty mówiłaś o jakimś dniu i o czymś, co wydarzyło się między Álvarem a jego ojcem.

Herminia odwróciła na chwilę wzrok, po czym odpowiedziała:

– Tłumaczyłam ci już, że nie chodziło o żaden konkretny dzień. Mieli złe relacje, Álvaro wyrzucili ze szkoły i jego ojciec był z niego bardzo niezadowolony.

– Tak, pamiętam – powiedział cierpliwie – ale Álvaro został wyrzucony z San Xoan trzynastego grudnia, a przed chwilą dostałem informację z Madrytu, że do internatu przyjechał dopiero dwudziestego trzeciego. Wiem, że coś musiało się w stać w ciągu tych dziesięciu dni, skoro dzień przed wigilią postanowili odesłać chłopca z katolickiego domu.

– Nie wydarzyło się nic szczególnego – odparła Herminia, po czym wstała i udała, że potrząsa garnkiem na ogniu.

– Na pewno coś zaszło między Álvarem a jego ojcem, coś na tyle poważnego, że zabranie go z domu było konieczne; jego matka też o tym wspominała. Herminio, skoro to prawda, że kochałaś Álvaro – powiedział,

podnosząc głos i sprawiając, że ona popatrzyła na niego przestraszona – opowiedz mi o tym. Jeśli tego nie zrobisz, wejdę po schodach i poproszę o wyjaśnienia Kruka, a ona nie będzie miała żadnego problemu, by zrobić to w najokrutniejszy sposób.

Herminia odłożyła to, co miała w rękach, i wróciła do stołu. Usiadła na tym samym miejscu, które zajmowała wcześniej. Mówiła bardzo cicho, jakby nie mogła nadać słowom kształtu. Chociaż Lucas i Manuel siedzieli obok niej, musieli się nachylić, by dobrze ją słyszeć.

– To było po tym, jak wyrzucili Álvaro, i kilka dni przed rozpoczęciem ferii świątecznych w szkole. Pamiętam, bo Santiago nie wrócił jeszcze do domu.

Stary markiz wybrał się na polowanie. Zazwyczaj zabierał Santiaga, ponieważ Álvaro nie lubił polowań, a Santiago, no cóż, był gotowy zrobić wszystko, żeby zadowolić ojca. Jednak tamtego dnia wziął ze sobą Álvaro. Wrócili w południe i tutaj, naprzeciwko kuchni, zaparkowali wielką terenówkę i przyczepę z psami. Markiz był bardzo zły, w ostatnim czasie jeden z psów się go nie słuchał i tego dnia właśnie przez niego stracił zwierzynę. Wypuścił z przyczepy wszystkie psy, ale tego, który nie pomagał mu w polowaniu, zostawił i zaczął go kopać. Skomlenie zwierzęcia było słychać w całym pazo. Zaalarmowana, wyszłam z kuchni, bo z tego skowytu wywnioskowałam, że został potrącony. Álvaro podbiegł do swojego ojca i stanął między nim a psem. Markiz podniósł rękę i byłam pewna, że go spoliczkuje, ale on podszedł do samochodu, wyjął swoją strzelbę i włożył ją w rękę Álvaro.

„Ten pies już nie poluje, do niczego się nie nadaje. Nie chcesz, żebym go kopał? Zabij go”.

Álvaro popatrzył na strzelbę i psa i z bronią w rękach zwrócił się do ojca, mówiąc mu, że tego nie robi.

„Jak to nie? Zrób to”, nakazał mu ponownie.

„Nie”, odpowiedział stanowczo Álvaro.

„Jak chcesz. Albo zrobisz to ty, albo ja”, powiedział, ruszając w jego stronę.

Wtedy Álvaro podniósł strzelbę, oparł ją na ramieniu i przechylił głowę, celując w swojego ojca.

„Powiedziałem, że nie”, powtórzył spokojnie.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam jego matkę, patrzącą na nich przez okno. Podobnie jak ja wszyscy pracownicy pazo zbiegli się, zaalarmowani skowycem psa. Przypuszczam, że stary markiz ogromnie się wściekł. Przywykł do tego, że wszyscy robią, co on nakazuje, a to, że jego syn go nie słuchał, wyprowadzało go z równowagi. Ale ja wiedziałam, że dla kogoś takiego jak on najbardziej poniżające było to, że do takiej sytuacji doszło na oczach wszystkich.

Ojciec i syn, jeden naprzeciwko drugiego, patrzyli sobie prosto w oczy, podczas gdy my dookoła wstrzymywaliśmy oddech. I wtedy markiz zaczął się śmiać. Jego głośny śmiech, tak jak wcześniej skowyczenie psa, rozlegał się w całym pazo.

„Nie, nie strzeliłbyś do psa, ale nie miałbyś skrupułów, żeby zabić człowieka, prawda, morderco?”

Wszyscy doskonale go usłyszeliśmy, nazwał swojego syna mordercą. Álvaro nie opuścił wzroku ani broni. Markiz się odwrócił i wszedł do domu. Przechodząc obok kuchni, rzucił w moją stronę: „Mówiłem ci, Herminio, większe jaja niż wielu mężczyzn!”.

Dwa dni później wysłali Álvára do Madrytu. I tego samego dnia, którego chłopiec wyjechał, markiz wypuścił psa i strzelił mu w głowę, ale czekał z tym, aż Álvaro odjechał. Damián zebrał jego mózg z ziemi i zakopał zwierzę. Może ci się to wydać głupie, ale myślę, że tak naprawdę ojciec się

go bał.

Lucas podniósł rękę do czoła, zakrywając sobie część twarzy. Manuel westchnął głośno, po czym się odezwał:

– Dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć?

Herminia pokazała na wyraz twarzy Lucasa.

– Dlaczego? Bo nie chciałam, żebyście myśleli to, co sobie teraz myślicie. Ponieważ Álvaro był dobry i uczciwy, był najlepszym człowiekiem, jakiego znaleźliśmy.

Damián przytakiwał każdemu słowu swojej żony, a ona wstała i szybkim ruchem otworzyła drzwi oddzielające kuchnię od schodów na górę. Zapłakana i blada Elisa patrzyła na nich z przerażeniem.

– Jak długo tam stałaś? – zapytał otepiały Manuel.

– Wystarczająco długo, Manuelu. Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie jestem jedyną osobą, która podejrzewała Álvaro.

We wnętrzu Manuela coś zadrzało. Był tutaj od ponad dziesięciu dni, na tej ziemi, która po przyjeździe przywitała go wrogo – chlorowanym niebem, szybko kończącym się latem i podejrzeniem, że całe jego życie było zbudowane na kłamstwie. To była przeprawa przez pustynię, na której każde kolejne odkrycie przynosiło nowe upokorzenie, jeszcze więcej bólu i przekonanie, z którym prawie się pogodził, co do tego, że został oszukany. Ustąpił, poddał się i przez kilka dni czekał, aż te zakotwiczone na dnie duchy, o których mówił mu Nogueira, opuszczą podwodną trumnę i wypłyną na powierzchnię ze swoimi zgniłymi szkieletami. Za każdym razem, gdy znajdował ślad mężczyzny, którego kochał, jakąś wymówkę dla swoich działań, jeden z tych pływających odpadów wznosił się aż na powierzchnię, znów pozbawiając go nadziei. I wtedy sobie przypomniał... Álvaro, niczym Jaś z baśni braci Grimm, zostawił dla niego okruszki chleba na ścieżce. Niektóre zabrały szczury, inne zjadły ptaki, jeszcze inne być może rozłożyły

się na deszczu, na zawsze stapiając się z ziemią. Ale wierny swojej pracowitej naturze, Álvaro zostawił dla niego setki, tysiące okruszków, w tym ten najważniejszy, ten, który pozwolił mu zauważyć pozostałe.

Przez całe lata był idiotą patrzącym na morze. Pozwolił, żeby Álvaro o niego dbał, a teraz uświadomił sobie, że wszyscy mu to robili, że odkąd Álvaro skończył dwanaście lat, troszczył się o wszystkich. Mały chłopiec dbający o innego chłopca, biorący na siebie odpowiedzialność i uwalniający swojego brata od koszmaru, chłopiec, który w ramach zapłaty został odrzucony, wzgardzony przez swoją rodzinę. Idioci patrzący na morze; on już nigdy tego nie zrobi i nie pozwoli, żeby robili to pozostali, nawet jeśli musiałby im skrócić kark, aby ich do tego zmusić.

– Nie mów tak, Eliso – poprosił Manuel.

– Nie chciałam w ten sposób myśleć. Przysięgam ci, Manuelu, nigdy nie chciałam tak myśleć...

– Ale?

– Ale usłyszałam, co jego matka powiedziała mu w dniu, w którym zmarł stary markiz, podczas gdy Fran zalewał się z łzami, trzymając za rękę swojego martwego ojca. Ona nie zносиła nawet przebywać z nim w jednym pokoju.

Herminia przytaknęła stanowczo słowom Elisy.

– Fran nie słuchał głosu rozsądku, nie chciał ani na moment rozstawać się z ciałem. Ja byłam wyczerpana, wyszłam, żeby się na chwilę położyć, i wtedy ich usłyszałam. Álvaro patrzył przez okno, a ona mu mówiła: „Teraz stoisz na czele rodziny, spoczywa na tobie odpowiedzialność. Będziesz musiał coś zrobić z tym swoim niedorozwiniętym bratem i z tą jego ciężarną kurewką”.

– I co odpowiedział Álvaro?

– Powiedział: „Wiem, co mam robić”.

– To jeszcze nic nie znaczy – odparł Lucas.

Elisa kontynuowała:

– Następnego dnia po pogrzebie Fran odmówił powrotu do domu i wyrzucił nas wszystkich z cmentarza. Było bardzo zimno i zanosilo się na deszcz. Przyszłam do domu, weszłam do naszego pokoju i przez cały czas obserwowałam go przez okno. Usiadł na ziemi, obok sterty piachu, którym grabarz zasypywał grób. Bardzo się martwiłam, nie wiedziałam, co robić ani do kogo się zwrócić. On wyglądał nie tylko na smutnego, ale także na nieznaczącego, jakby miał stracić głowę. Wtedy zobaczyłam, że przyszedł do niego Álvaro, usiadł obok i rozmawiali przez dłuższą chwilę. Kiedy zaczęło padać, razem weszli do kościoła. Nikomu nie udało się go przekonać, żeby się stamtąd ruszył, i pamiętam, że wtedy uznałam to za piękny gest.

– A dlaczego teraz nie?

– Nie wiem, Manuelu, w tym domu istnieje jakiś ponury sekret wokół postaci Álvaro, a to, co przed chwilą opowiedzieliście...

– Co? – wybuchnął Manuel. – Chłopiec, który nie zgadza się strzelić do psa, na miłość boską! To przemawia na jego korzyść, był tylko dzieckiem.

Ona w desperacji odpowiedziała:

– To, że celował z broni do swojego ojca; chłopiec, którego własny ojciec nazwał mordercą, chłopiec, którego tak bardzo się obawiali, że wywieźli go z domu. Jego matka poprosiła go, żeby zajął się bratem, bo ten stał się ciężarem. A wy – powiedziała, patrząc na Lucasa i Manuela – jesteście zgodni co do tego, że Fran nie popełnił samobójstwa...

– To nie ma nic do rzeczy – odparł zirytowany Manuel.

– A więc dlaczego pytałeś mnie, czy widziałam Álvaro tamtej nocy?

Manuel zauważył niepokój Herminii, bo ją także o to pytał.

Lucas podniósł rękę, jakby prosił o pozwolenie, by się odezwać.

– Bo mnie się wydawało, że widziałem go tamtej nocy, a w rzeczywistości widziałem kogoś, kto miał na sobie jego kurtkę, ale to jeszcze nic nie znaczy: kurtka zazwyczaj wisiała na gwoździu w stajni, a jak powiedziałaś, tamtej nocy było zimno, każdy mógł ją włożyć, żeby pójść do kościoła. Zresztą – powiedział, przeciągając słowa w nieco ironiczny sposób – wygląda na to, że tamtej nocy w jakimś momencie wszyscy mieliście zamiar tam iść, byliście tam albo przynajmniej znajdowaliście się bardzo blisko.

Nikt się nie odezwał, ale wszyscy wyraźnie spuścili głowy.

Manuel czuł, jak narasta w nim furia. Cisza, która unosiła się w pomieszczeniu, trzeszczała nad ich głowami niczym naładowana podejrzzeniami burza.

Popatrzył na każdego z nich. Damián w czapce z dobrego filcu, którą wiele lat wcześniej podarował mu jego pryncypał; spuszczone, czujny wzrok, dyskretnie wyuczony przez lata służby. Zapłakana i cierpiąca Herminia, pretendująca do pełnienia funkcji matki na dobre i na złe. Elisa, tchórzliwa, zagubiona dziewczyna pozwalająca, żeby inni decydowali za nią...

Wstał, trzema szybkimi krokami przemierzył kuchnię i popędził w stronę schodów.

– Dokąd idziesz? Co chcesz zrobić? Manuelu...

Wbiegał po schodach, słysząc za sobą błagania. Skręcił w ciemny korytarz z wieloma zamkniętymi ciężkimi drzwiami i nie zatrzymując się, doszedł do tych na końcu korytarza, po czym zapukał w ten władczy sposób typowy dla policji, jak ktoś, kto oczekuje, że zostanie niezwłocznie obsłużony.

Drzwi otworzyła sama markiza.

– Panie Ortigosa, miałam nadzieję, że już pana tutaj nie zobaczę. Najwidoczniej nie wyraziłam się wystarczająco jasno.

W saloniku grał telewizor, a pielęgniarka zajmowała ten sam fotel co podczas jego ostatniej wizyty. Manuel przypuszczał, że to było jej stałe miejsce. Na powitanie kobieta rzuciła mu stamtąd chłodne spojrzenie, jakby przyszedł nie w porę i miał sobie szybko pójść. Manuel ucieszył się, że markiza nie zaprosiła go do środka.

– Nie, nie wyraziła się pani jasno, w żadnym razie – powiedział, patrząc na kobietę, która przed nim stała.

Ona słuchała go z lekko przechyloną głową, wyglądając na znudzoną.

– Czego pan chce, panie Ortigosa? – zapytała niecierpliwie.

– Stwierdziła pani, że wybór Álvaro na dziedzica był trafną decyzją ze strony pani męża, że w sposób zadowolający wywiązał się z tego, czego państwo od niego oczekiwali.

Kobieta zmrużyła oczy i wzruszyła ramionami wobec takiej oczywistości.

– Dlaczego pozbyli się państwo z domu dwunastoletniego chłopca? – zapytał Manuel.

– Bo był mordercą – odparła chłodno.

– To nieprawda – zaprotestował Manuel.

Na jej twarzy pojawiło się znużenie, jakby oglądała spektakl, którego zakończenie już знаła. Oparła się o drzwi i obserwowała grupkę osób, która przystanęła za Manuelem na końcu korytarza. Uśmiechnęła się, a potem powiedziała:

– Proszę nie udawać, przeor dzwonił do mnie wczoraj. Zapomniał pan usunąć historię przeglądania stron w komputerze. Pan to wie: Álvaro z wyrachowaniem zabił tamtego mężczyznę.

Manuel czuł, że krew gotuje mu się w żyłach. Mimo to ściszył głos aż do szeptu, nie chcąc, by ci, którzy czekali na końcu korytarza, usłyszeli, co mówi.

– Pani wiedziała? Wiedzieli państwo o tym, co się wydarzyło, a jednak

ukarali swojego syna, a drugiego tam zostawili, udając, że nic się nie stało?

– Stało się jedynie to, że Álvaro zabił zakonnika, dobrego człowieka poświęcającego się nauczaniu i Bogu.

– Ten dobry człowiek, jak go pani nazywa, był potworem, gwałcicielem małych chłopców. Álvaro tylko bronił swojego brata, a państwo go sprzedali w zamian za pieprzone ziemie.

– Umowy, jakie zawarł mój mąż, nie mają z tym nic wspólnego.

– A więc to prawda? Zostawili tam państwo Santiaga, w miejscu, które dla niego było piekłem, i odsunęli Álvara od rodziny, skazując go na życie z dala od domu, od jedynego świata, jaki znał, w ramach zapłaty za uratowanie młodszego brata z rąk gwałciciela.

Kobieta kręciła głową, zaprzeczając wszystkiemu, co mówił, z mieszkanką znudzenia i zniecierpliwienia. Chwilami spoglądała nawet krótko na ekran telewizora.

– Tak, to bardzo heroiczna historia, ale prawda jest taka, że nie zachował się jak dwunastoletni chłopiec. Pomylił się względem tego, co tam zobaczył, dzieci mają bujną wyobraźnię. I nie pobiegł, żeby zawiadomić dorosłego, nie krzychał, nie uderzył go, tylko zaszedł od tyłu, ściskając mu szyję, aż przestał oddychać. Zastanawiał się pan, ile czasu umiera człowiek w taki sposób? A jeśli to panu nie wystarcza, był też gotów zabić swojego ojca.

– Odmawiał strzelenia do psa – wyszeptał Manuel ze wstrętem.

– Wyrzuciliśmy go z domu, bo był mordercą – powiedziała markiza, uznając rozmowę za zakończoną. Wyprostowała się i nawet popchnęła lekko drzwi.

– A dlaczego go państwo sprowadzili?

Markiza uniosła jedną brew, jakby to było oczywiste.

– Z tego samego powodu. Wiedzieliśmy, co się stanie. Od chwili śmierci jego ojca wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli... I on zajął się

ponownym przywróceniem porządku w rodzinie. Nie mam na myśli tylko spłacenia długów, co, jak już powiedziałam, zrobił ku mojemu wielkiemu zadowoleniu.

– Co pani zdaniem zrobił? Co pani widziała?

Przechyliła głowę i odpowiedziała:

– Widziałam Álvaro, jak zbliżał się do grobu swojego ojca, widziałam, jak przekonywał Frana, żeby przestał się ośmieszać i wszedł do kościoła. Widziałam, że zajął się tą sprawą.

Słuchając jej, Manuel kręcił głową. Skończyła się jego zdolność akceptowania podłości tej kobiety. Opowiadała o tym koszmarze z takim samym chłodem, z jakim odnosiłaby się do jakiegokolwiek domowej sprawy.

– I uważa pani, że Álvaro go zabił? Uważała tak pani przez cały ten czas? Naprawdę uwierzyła pani, że Álvaro zamordował swojego brata, aby uwolnić panią od jego ciężaru? Pani go nie знаła, nie miała nawet pojęcia, kim Álvaro był – powiedział z pogardą.

– A pan tak? – odparła lekceważąco. – Dlatego chodzi pan jak zbłąkana dusza, zbierając okruchy z życia Álvaro i starając się cokolwiek zrozumieć?

Zaskoczyło go odniesienie do tych nic nieznaczących kawałków, które gromadził i które on sam wyobrażał sobie jako okruchy chleba. Nie pospieszył się, osądzając markizę jako egocentryczkę, ale Lucas miał rację: posiadała coś w rodzaju szóstego zmysłu, dostrzegała ludzkie słabości i to wykorzystywała. Jakby na potwierdzenie jego opinii dodała:

– Proszę posłuchać, panie Ortigosa, znam ludzkie słabości, ponieważ dorastałam i żyłam w ich otoczeniu. Nie wiem, czy pan myśli, że oszuka kogoś swoją oburzoną pozą, ale mnie na pewno nie; jestem przekonana, że w głębi duszy też pan wie, kim był Álvaro.

Manuel nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Tylko na nią patrzył, przestraszony jej przenikliwością i wściekły na to, że pozwolił, by tak nim

manipulowała. Ta kobieta nieustannie sprawiała, że czuł się jak mały chłopiec stojący przed królową. Przyszedł tutaj zdecydowany, by prosić ją o prawdę, a ona – podobnie jak podczas poprzedniej wizyty – rzucała mu ją w twarz, zimną i okrutną. Ale wciąż była to prawda.

Zamknęła mu drzwi przed nosem i przez kilka sekund jeszcze tam stał, w ciemności, w której pograżył się korytarz. Mógł niemal poczuć zapach wosku na drewnianych drzwiach, podczas gdy dostrzegł za sobą ludzi, którzy stali na drugim końcu korytarza.

Odwrócił się do nich i zobaczył, że Elisa płakała w objęciach Herminii. Lucas stał kilka kroków dalej; pod światło Manuel nie mógł dostrzec jego twarzy, ale po zachowaniu księdza wywnioskował, że też słyszał słowa Kruka. Manuel ruszył w ich stronę, a w tym czasie otworzyły się jedne z drzwi wychodzących na korytarz. Dobiegające z pokoju światło rzuciło mglisty blask na dywan w przejściu. Małe białe stopy Samuela podążały za jego uśmiechem.

Manuel spojrzał na chłopca i poczuł taką tkliwość i taką miłość, że musiał się zatrzymać, nie będąc w stanie zrobić ani kroku więcej.

– Wujku! – Wysoki głos, rozpierająca radość zawarta w jednym słowie.

Uklęknął przed nim i pozwolił, żeby chłopiec go uściskał. W tym czasie nie przestawał mówić o wielu rzeczach, z których połowa była dla Manuela niezrozumiała, ale i tak przytakiwał z uśmiechem, pozwalając, by łzy cicho spływały mu po twarzy.

– Nie płacz, wujku – poprosił go chłopiec, dając się i dłonią próbując powstrzymać płacz. Manuel wstał i trzymając małego za rękę, podszedł do kobiet. Elisa rzuciła mu się w ramiona, szepcząc:

– Przykro mi, Manuelu, przykro mi...

Uściskał ją niemal pozbawiony siły, patrząc jednocześnie na Lucasa, który obserwował go uważnie kilka kroków dalej. W oczach księdza była

determinacja, za którą później Manuel będzie wdzięczny, ale w tym momencie wydawała mu się męcząca. Odwrócił wzrok.

– Wyjeżdżasz, wujku? – zapytał Samuel.

Spojrzał na chłopca i odparł przygnębiony:

– Muszę wyjechać.

– To ja chcę jechać z tobą – odpowiedział stanowczo mały. – Mamusiu, mamusiu, ja chcę jechać z wujkiem...

W tym momencie zrozumiał, dlaczego Álvaro nie mógł zrezygnować, dlaczego czuł, że musi o nich dbać. Spojrzał na Elisę i odwrócił się powoli, żeby rzucić okiem na ciemne drzwi na końcu korytarza.

– Przygotuj torbę z waszymi rzeczami – powiedział. – Nie zostawię was tutaj.



Manuel przemierzył parking przy hostelu, docierając do miejsca, w którym zaparkował, na końcu długiego rzędu samochodów. Pokazywany w telewizji futbol na początku sezonu zgromadził w barze hostelu dużą liczbę mieszkańców, więc być może dlatego Lucas wolał zaczekać w aucie.

Zbliżając się, Manuel dostrzegł postać księdza, który siedział na miejscu pasażera z głową na oparciu, czym okazywał zmęczenie albo porażkę. Manuel widział to u niego, odkąd go poznał. Stanowcze przekonanie Lucasa, niezachwiana opinia o Álvaro w chwilach, kiedy jego nachodziły wątpliwości, musiała go wzruszać. Przypuszczał, że będąc człowiekiem wiary, nie mógł ograniczać się do jednego aspektu życia. Kiedy znalazł się obok niego, zobaczył, że ksiądz miał przymknięte oczy i splecione ręce. Modlił się. Manuel przystanął, nie mając odwagi podejść bliżej: na twarzy Lucasa, zazwyczaj spokojnej i rozluźnionej, malował się zdradzający cierpienie grymas.

Zrozumiał, że przyływ bólu wyciągnął go na szalone, wzburzone morze, w którym – mimo że towarzyszyli mu inni mężczyźni – czuł, jak topi się z samotności. Błaganie w głosie małego Samuela uświadomiło mu, że inni topią się razem z nim. Stojąc w ciemności, był świadkiem cierpienia duszy tego mężczyzny, którego wzroku unikał, bo uznał go za zbyt stanowczy. Zmarszczone brwi i grymas na twarzy zdradzały ból i ciężar obrazy, jakimi było dla niego to, co odkrył. Żaden z trójki o tym nie wspomniał, ale cień wykorzystywania seksualnego zbyt wiele razy unosił się nad Kościołem, żeby zlekceważyć piętno, które mógł odcisnąć na uczciwym człowieku. A do tego cienia dołączyła pewność, że powierzchownie osądził Santiaga. Ciężar zaakceptowania, że Álvaro, który zawsze był wobec niego szczery, przechowywał w swoim sercu największy koszmar, siłą rzeczy musiał wywoływać jego wątpliwości co do tego, co był w stanie ukryć, a co zrobić.

Lucas się przeżegnał i otworzył oczy.

Widząc stojącego Manuela, uśmiechnął się, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Jak się czują? – zapytał, gdy tylko Manuel usiadł obok niego.

– Samuel jest bardzo zadowolony i może zbyt rozemocjonowany. Elisa mi powiedziała, że chłopiec pierwszy raz w życiu spędza noc poza rezydencją, więc podejrzewam, że trudno mu będzie zasnąć.

– Nigdy nie spędził nocy poza rezydencją? Nie jeździł na wakacje albo na weekendy do domu na Arousie? Matka Álvaro co roku spędza tam czerwiec i lipiec...

– Nie, Elisa nie chciała oddalać się od pazo po śmierci Frana. – Zrobił pauzę, a w jego głowie pojawiła się smutna twarz młodej kobiety dotykającej krzyża na grobie narzeczonego. – Czuję, że musi tam zostać, aż pozna prawdę. – Spojrzał ze skrucą na Lucasa. – W tamtym momencie myślałem, że ma obsesję, że zwyczajnie nie może się z tym pogodzić... Teraz jednak zdaję sobie sprawę, że w jakiś sposób zawsze o tym wiedziała, że być może

faktycznie znała Frana lepiej niż ktokolwiek inny. – „Jak ja Álvara”, dopowiedział sam sobie z najdalszego zakątka głowy. – Teraz jest spokojna. Dali im pokój obok mojego; nie będą tu mieli takich wygód jak w pazo, ale na razie wystarczy. Jutro poszukam jakiegoś lepszego rozwiązania.

Lucas spojrział na niego, potwierdzając swoje odczucie.

– Od początku łączyła cię szczególna więź z Elisą i chłopcem...

– Chyba czuję, że ona jest trochę taka jak ja, że jest kimś z zewnątrz, kto przybył tu w niesprzyjających okolicznościach, kto nigdy nie będzie częścią rodziny i kogo tolerują z wielkim trudem – powiedział zamyślony, mając świadomość, że powtarza słowa Kruka. – Ale to przede wszystkim ze względu na Samuela. Czuję... Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale czuję niemal, jakby to dziecko było moje. Sposób, w jaki mnie rozpoznał, uznał moje przybycie jako coś normalnego, niemal wyczekiwanego, i to, jak ze mną rozmawia; czasem jestem wręcz zadziwiony jego reakcjami i tym, co mówi.

Lucas oparł brodę o zagłębienie dłoni.

Manuel odsunął mu ją ze śmiechem.

– Wiesz, o czym mówię? To prawda, jestem zachwycony tym dzieciakiem.

– Owszem, jest bardzo fajny, dojrzały jak na swój wiek; ale to normalne, od początku przebywa wśród dorosłych w pałacu, bez towarzystwa innych dzieci i bez ojca, który mimo wszystko jest bardzo obecny.

– Herminia powiedziała mi to samo. Jej zdaniem takie wychowanie nie jest dobre dla dziecka.

– Co dokładnie mówiła? – zapytał Lucas, wyraźnie niezadowolony.

– Nic – odparł Manuel. – Powiedziała, że dzieci w takich okolicznościach mogą stać się dziwne.

– Herminia za bardzo się przejmuje – powiedział twardo Lucas. – Kierują nią dobre intencje, ale czasem się myli.

– Co masz na myśli? – zapytał Manuel, żywo zainteresowany.

Lucas odetchnął głęboko, po czym odpowiedział:

– Podczas jednej z moich ostatnich wizyt w pazo poprosiła, żebym „obejrzał” Samuela.

Na twarzy Manuela zagościło zdziwienie.

– Żebym go „obejrzał” jako ksiądz – doprecyzował. – Obawiam się, że tym razem muszę przyznać ci rację i potwierdzić, że czasem folklor tego regionu jest równie potężny jak prawdziwa wiara.

– Herminia sądziła, że z Samuelem dzieje się coś dziwnego?

– Ona jest starszą kobietą, wychowaną w innej epoce, i zobaczyła coś najzupełniej normalnego, tylko nie potrafiła tego zinterpretować.

Manuel kręcił głową, porządkując myśli.

– Chwileczkę, twoje nastawienie jest dla mnie niejasne. Wydaje mi się, że właściwym słowem będzie „dwoiste”. Żona właściciela hostelu opowiadała mi, że pewna dziewczynka z jej rodziny miała „niepożądane wizyty” i że ustały one po wyjeździe do sanktuarium. To miałem na myśli, kiedy pytałem cię, czy to prawda, że tam dokonuje się egzorcyzmów.

Lucas nie odezwał się od razu.

– Nie wiem, czy mogę z tobą o tym rozmawiać – stwierdził ostrożnie.

– To dlatego, że nie jestem wierzący?

Ksiądz nie odpowiedział.

– Kiedyś byłem...

– Zanim zmarła twoja siostra.

Manuel spojrział na niego zdumiony. Śmierć siostry była zakazanym tematem, nigdy nie wspominał o tym w wywiadach czy biografiiach.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Álvara. Mówiłem ci, że dużo mi o tobie opowiadał.

„Od Álvara”.

– Mogę prowadzić dialog z ateistą, ale ty, Manuelu... Ty jesteś zły na Boga. Nie oceniam cię, ale prawda jest taka, że tę sprawę będziesz musiał załatwić z nim sam.

Manuel uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Co ty robisz, księżu? Tak dobrze nam szło!

Lucas spojrział na niego niewzruszony, rozmyślając nad czymś przez kilka sekund.

– To, o czym opowiedziała ci żona właściciela hostelu, jest prawdą. W ciągu roku widzę dużo podobnych przypadków. Czasem niektóre z nich są dokładnie tym, czym się wydają.

– Dziewczynka miała „niepożądane wizyty”?

– Dziewczynka miała ciągłe towarzystwo.

Manuel poczuł, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Udawał, że nic się nie stało.

– I Herminia podejrzewała, że to samo przytrafiło się Samuelowi?

– To, co przeżywa Samuel, przytrafia się milionom dzieci na całym świecie. Ma bujną wyobraźnię, pobudzaną ciągłym przebywaniem z dorosłymi, on już zaczął czytać na podstawowym poziomie. Można się było spodziewać, że dziecko bez przyjaciół wymyśli sobie kolegę do zabawy.

– A więc o to chodzi? O niewidzialnego przyjaciela? Ja miałem taką przyjaciółkę mniej więcej od szóstego do ósmego roku życia.

– I pojawiła się po to, aby wypełnić pustkę po śmierci twoich rodziców. W przypadku Samuela tyle jest pustek do wypełnienia... Pewnego razu Herminia widziała, jak rozmawiał sam ze sobą, śmiejąc się i przytakując, jakby kogoś słuchał. Jak już powiedziałem, ona jest dobrą kobietą, która bardzo się przejmuje, ale nie ma racji.

Manuel zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Na Boga! Im więcej wiem na temat As Grileiras, tym bardziej złowieszcze wydaje mi się to miejsce. I mając tego świadomość, tylko utwierdzam się w przekonaniu, że nie mogłem zostawić Elisy z chłopcem w tym domu, przede wszystkim po tym, czego się dzisiaj dowiedziałem. Pomijając to, co Álvaro postanowił zrobić, fakt jest taki, że jego matka poprosiła go, żeby zabił swojego brata, i że Elisa przez cały czas żyła z myślą, że Álvaro spełnił jej życzenie.

Lucas przytaknął gwałtownie.

– Myślałem o tym... Sądzę, że ważne jest, byśmy porozmawiali przede wszystkim o tym, co wydarzyło się dzisiaj.

– O której części dnia mówisz? – zapytał Manuel, przyjmując pozycję obronną.

Lucas wypuścił z płuc całe powietrze.

– O całym dniu, Manuelu, o tym, co opowiedział nam Ortuño, o tym, co sugerowała ta straszna kobieta... Myślę, że konieczne jest oddzielenie tego, co wiemy naprawdę, od zwykłych insynuacji i kłamstw. Słucham cię i odnoszę wrażenie, że akceptujesz wszystko, co mówią ci o Álvaro. To prawie... Przepraszam cię, Manuelu, to prawie jakbyś był gotów przyjąć każde słowo na jego temat.

– Nie wierzysz w to, co opowiedział nam Ortuño?

Lucas odetchnął głęboko, na chwilę zamykając oczy. Kiedy ponownie je otworzył, powiedział:

– Niestety wierzę każdemu jego słowu. – Zamilkł na chwilę. – I wierzę w to, co opowiedziała nam Herminia... Ale musimy odróżnić to od zwykłej insynuacji podyktowanej złośliwością.

Manuel popatrzył na niego w milczeniu i w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, zagryzając górną wargę.

– Nie pozwól, żeby ta kobieta tobą manipulowała, Manuelu, ona cały czas robi to na odległość. Wykorzystuje twoją słabość, żeby wstrzyknąć truciznę, która wyrządza ci najwięcej krzywdy.

Manuel przytaknął smutno.

– Nie musi, Lucasie, ponieważ trucizna jest we mnie od dawna. Na początku tego nie rozumiałem, ale wszystko, czego się dowiedzieliśmy, rozjaśniło to w sposób przerażający. Zaczynam pojmować, dlaczego Álvaro postanowił trzymać mnie na uboczu, ponieważ ja też jestem temu winien. Dałem się prowadzić, pozwoliłem, żeby o mnie dbał, żeby zajął się wszystkim, zamieniając mnie w idiotę. Odpowiedzialność nie spoczywała tylko na nim, podobnie jak nie tylko jego matka zasiała we mnie wątpliwości, ponieważ wątpliwość rozwija się też poprzez przekonanie, że pewne rzeczy przede mną ukrył albo że ja nigdy nie chciałem ich dostrzec. Jesteśmy grupą tchórzów i on o tym wiedział. Álvaro ograniczył się tylko do chronienia mnie, tak samo jak ich wszystkich.

Lucas wyprostował się na swoim siedzeniu i spojrzał na Manuela, wyraźnie kręcąc przy tym głową.

– Nie, nie, nie, Manuelu, nie chcę, żebyś się nad sobą uzalał, nie. Porzuć takie zachowanie. Chcę odwagi, która popchnęła cię do tego, byś rzucił się w stronę schodów i zastukał do drzwi markizy; obrazy, która płonęła w twoich oczach, kiedy Elisa przyznawała się do swoich podejrzeń względem Álvaro; złości, która była w twoim głosie, gdy broniłeś go, mówiąc, że był tylko dzieckiem, który odmawiał strzelenia do psa; albo gdy powiedziałeś, że chronił swojego brata przed potworem.

Manuel przytaknął.

– Ta złość, Manuelu, bo to nieważne, gdzie wskazują palcami. Ty i ja wiemy, jakim człowiekiem był Álvaro. Wiemy o tym, prawda, Manuelu?

Manuel popatrzył na niego i głośno nabrał powietrza. Lucas

kontynuował:

– I nie był mordercą. To, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, jeszcze bardziej utwierdza mnie w tym przekonaniu. Będąc dzieckiem, znalazł w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby bronić brata przed gwałcicielem. Bardzo drogo za to zapłacił. Nie mogę sobie wyobrazić cierpienia, jakie musiał znieść, ciągnąc za sobą przez całe życie taki ciężar, zwielokrotniony pogardą ze strony rodziny. Człowiek o podobnej moralności nie zabija swojego brata, nawet szantażysty. Nie, on stawiał czoła...

Łza wymknęła się Manuelowi, spływając po jego policzku. Błyskawicznie się jej pozbył, niemal ze złością przesuwając ręką po twarzy.

– Nie – wyszeptał Manuel, spuszcżając głowę.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że w to nie wierzysz – zachęcał go stanowczo Lucas.

Manuel podniósł głowę i patrząc księdzu w oczy, powtórzył:

– Nie, nie wierzę w to.



Bmw Nogueiry zatrzymało się obok nich. Gwardzista wysiadł, zamknął drzwi i nie mając zamiaru podchodzić bliżej, oparty o drzwi zapalił papierosa i czekał, aż oni wysiądą z samochodu.

– Jak poszło? – zapytał zniecierpliwiony Lucas.

– Cóż, lepiej, niż się spodziewałem. Możesz być spokojny – powiedział, zwracając się do Manuela – to nie miało nic wspólnego z naszym śledztwem, a przynajmniej nie bezpośrednio... Chodziło o sprawę, którą prowadziłem w przeszłości. – Mocno zaciągnął się papierosem. – Sprawę śmierci Francisca Muñiza de Dávili.

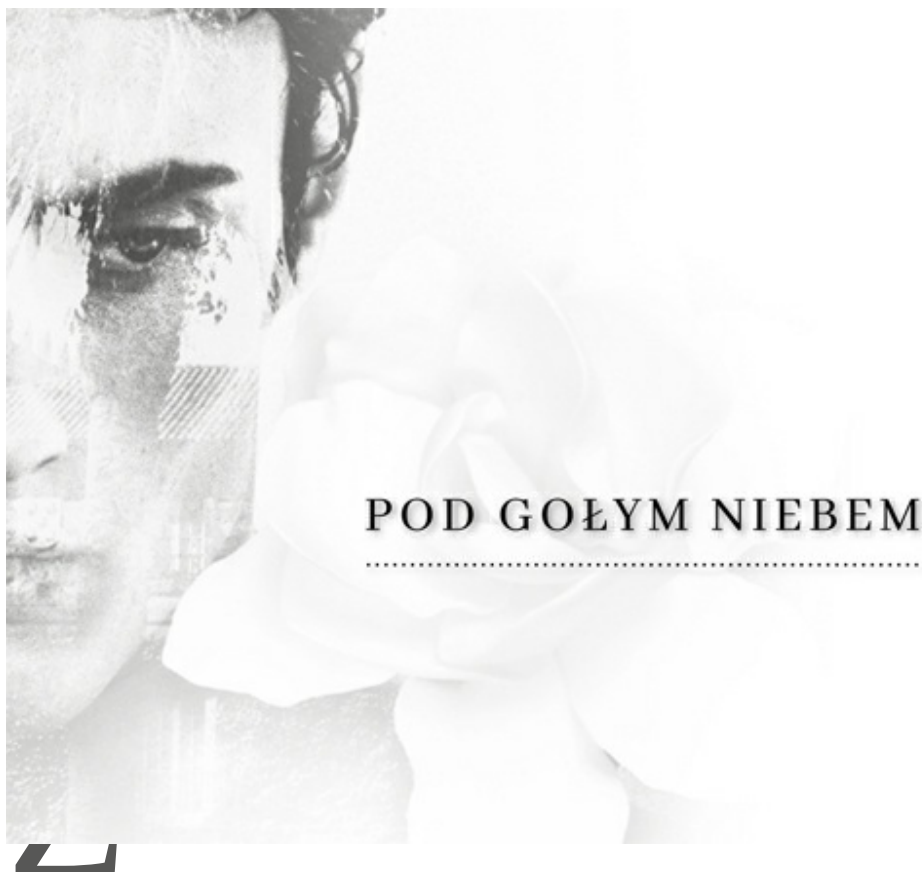
– Frana? – zapytał zaskoczony Lucas, odwracając się w stronę Manuela.

Gwardzista przytaknął zasmucony.

– Manuel, przypuszczam, że pamiętasz, jak ci mówiłem, że wydawało nam się dziwne, by w takim stanie, w jakim mógł znajdować się Fran, kiedy wyszedł z kościoła na grób ojca, pamiętał on o zamknięciu drzwi świątyni i że nigdzie nie było klucza. To kazało nam podejrzewać, że kościół zamknął ktoś inny i przez nieuwagę zabrał klucz.

Manuel przytaknął.

– No więc dzisiaj klucz się pojawił.



anim znowu przemówił, Nogueira zaciągnął się dwa razy, z niechęcią przeżuając dym, i mlasnął nawet zdegustowany językiem.

– Wezwali mnie, żebym zidentyfikował ten klucz, chociaż trudno go pomylić, a wcześniej szczegółowo go opisałem: dwanaście centymetrów długości, srebro stołowe i jedenaście małych szmaragdów zdobiących główkę wokół inicjałów Frana... Toñino miał go przy sobie. Znaleźli go, sprawdzając zwłoki, i jeden z kolegów skojarzył, że wspominałem o tej sprawie.

– Są pewni, że to ten sam klucz?

– Nie ma najmniejszych wątpliwości. Zachowałem zdjęcia, które dostarczył mi ubezpieczyciel.

– A jak według nich ten klucz znalazł się w jego posiadaniu?

– Dobre pytanie... W każdym razie wrócą do sprawy śmierci Frana, wiedzą, że w przeszłości Toñino był jego dilerem. Herminia mówiła, że widziała go w pazo tamtej nocy. Uważają, że mógł być z Franem, kiedy umierał. Trzeba sprawdzić, czy podał mu narkotyk, co wydaje się prawdopodobne, i czy później przeciągnął ciało na grób, zostawił je tam i zamknął drzwi, zabierając klucz – powiedział z niechęcią gwardzista.

– To pokrywa się z tym, co podejrzewałeś – podkreślił Manuel. – Że ktoś przeniósł ciało. Miałeś rację.

– Tak, miałem rację – powtórzył Nogueira bez większego przekonania, paląc powoli papierosa.

– Nie wyglądasz na szczególnie zadowolonego – zauważył Lucas.

– Bo nie jestem – powiedział niemal pogardliwie, rzucając niedopałek do kałuży, która przyjęła go z wyraźnym syczeniem. – Po co ten nieszczęśnik miałby zadawać sobie trud, przeciągając ciało aż na grób i ryzykując, że ktoś mógłby go zobaczyć? Skoro Fran przedawkował, to dlaczego Toñino po prostu nie zostawił go w kościele?

– Mnie też się to nie zgadza – przyznał Manuel. – Chociaż pasuje mi, że zabrał klucz. Z tego, co wiem, cenne przedmioty przynajmniej raz zniknęły już z kościoła.

– Kradzież? – zdziwił się Nogueira. – O tym nie wiedziałem...

– Griñán mi powiedział; zabrali stare srebrne kandelabry, bardzo cenne, ale drzwi nie zostały wyważone.

Nogueira zmarszczył brwi.

– Nic mi nie wiadomo o podobnym zdarzeniu w As Grileiras – powiedział, usiłując coś sobie przypomnieć. – Byłoby dobrze, gdybyś się pokręcił po kościele w pazo i dowiedział się, czy nie zginęło im coś jeszcze.

– Jasne, ale tak czy inaczej, dlaczego Toñino miał klucz przy sobie trzy lata po tamtym zdarzeniu? To bez sensu. Myślicie, że ktoś mógłby mu go

podrzucić po śmierci, aby go obwinić? – zastanawiał się Lucas.

– Obwinić za co? – zapytał Nogueira, wzruszając ramionami. – W zamkniętej sprawie, w której nie prowadzono dochodzenia? I po co? Nikt nie był podejrzany, na nikogo nie można było zrzucić winy, a teraz Toñino nie żyje, Álvaro nie żyje... Kto miałby na tym zyskać? Musi istnieć jakiś powód, dla którego Toñino posiadał ten klucz, a oprócz tego miał go przy sobie w dniu śmierci.

Porucznik wyjął z paczki kolejnego papierosa, przyglądał mu się przez kilka sekund, jakby znajdowała się na nim odpowiedź, nieznacznie pokręcił głową, zapewne odrzucając jakąś myśl, po czym zapalił, wzdychając. Lucas spojrział na Manuela i powiedział:

– W As Grileiras było dzisiaj wiele nowin.

Manuel przytaknął.

Ksiądz streścił szybko zabranie Santiaga do szpitala, rozmowę z Herminią oraz to, co Elisa i Kruk widziały z okna w nocy, której zmarł Fran. Kiedy opowiadał, twarz gwardzisty pozostała niewzruszona, ale gdy Lucas skończył, Nogueira spojrział na Manuela.

– Więc teraz Elisa i chłopiec są z tobą?

Manuel kiwnął głową.

– Bardzo długo byłem funkcjonariuszem Gwardii Cywilnej, Manuel, wystarczająco długo, aby wiedzieć, że to, co widzieli, to jedno, a to, co wydawało im się, że widzieli, to drugie. Zwróć uwagę, jak zmieniła się perspektywa Elisy, to samo działanie najpierw uznała za czuły gest, a potem za strategię mordercy.

Lucas się zgodził.

– To samo ci powiedziałem, Manuelu, musimy oddzielić fakty od domysłów.

– To prawda – przyznał Nogueira – że w tym momencie podejrzany

wydaje się Álvaro, ale także przeor: wiemy, że jest wystarczająco brutalnym człowiekiem, zdolnym nie tylko do takich rzeczy. Kiedy rozmawiałem z nim o zniknięciu jego bratanka, moją uwagę zwróciło to, że w ogóle się tym nie przejmował, jakby nie spodziewał się, że on wróci, albo nie interesowało go to, co się z nim stało. I nawet jeśli nie miał nic wspólnego z jego śmiercią, to moim zdaniem jasne jest, że Toñino nie obchodzi go na tyle, żeby ujawniać szkodzącą mu informację, dla ukrycia której zadał sobie tyle trudu. Nie zapominajmy, że raport Ortuña na temat tego, co wydarzyło się tamtej nocy w klasztorze, wikła go w co najmniej dwa poważne przestępstwa: ukrywanie zabójstwa i wykorzystywanie seksualne nieletniego. Dla mediów to byłaby bomba...

– A więc pewnie będzie siedział cicho... – wywnioskował Lucas.

– Najprawdopodobniej – powiedział Nogueira. – Przynajmniej na razie, ale w zależności od tego, w którą stronę pójdzie śledztwo, być może będziemy musieli służyć informacjami.

– My? Czy ty? – zapytał obrażony nagle Manuel, unosząc podbródek.

– Manuel, przede wszystkim jestem gwardzistą. Mówiłem ci już, że takie jest dochodzenie: wypływają sprawy, które wcale nie są przyjemne.

– Ale mówiłeś, że ktoś zabił mojego męża, a nie o... o tym wszystkim – odparł zdeglustowany.

– I to się zgadza, ale być może sprawy potoczyły się w mniej skomplikowany sposób. Znam tok myślenia policji. Toñino znalazł dokument, zaczął szantażować Álvára, ten przyjechał do seminarium, bo wiedział, że informacja mogła się wydostać tylko stamtąd, zdołał zlokalizować Toñina, być może śledząc przeora, pobili się i chłopak zmarł. Możliwe, że potem Álvaro powiesił go na drzewie, aby upozorować samobójstwo.

– A kto zabił Álvára?

– Może Toñino zranił go podczas walki i Álvaro prowadził przez kilka kilometrów, aż się rozbił...

– Bardziej pasuje przeor niż Álvaro – włączył się Lucas. – Pojechał do domu swojego bratanka, być może czekał na niego na skrzyżowaniu, ruszył za nim, zabił i powiesił; nie pierwszy raz próbowałby zamaskować morderstwo samobójstwem. Następnie odszukał Álvaro, pokłócili się, ukłuł go w bok i upewnił się, że go wykończy, spychając z drogi jego samochód...

– To mi się nie zgadza – powiedział Manuel, kręcąc głową. – Zarówno w interesie Álvaro, jak i przeora leżało to, by sekret nie ujrział światła dziennego. Dlaczego ten drugi miałby komplikować sobie sprawę, zabijając Álvaro? Po śmierci Toñina wszystko byłoby jak wcześniej.

– A klucz? Jakże to może mieć wyjaśnienie? – zapytał Lucas.

– Już wam mówiłem, że nie ma żadnego sensu zawracać sobie głowy czymś, co było zapomniane, zamknięte i uznane za przedawkowanie albo samobójstwo – zaznaczył Nogueira.

– Sam nie wiem, Elisa nie była przekonana – argumentował ksiądz.

– Najbliżsi krewni nigdy nie są, łatwiej wyobrazić im sobie, że ktoś zabił ich ukochaną osobę, niż zaakceptować, że jej koniec nastąpił z własnej woli, ale nikt nie będzie ich słuchał.

– Nic nie rozumiem – oznajmił Manuel, odwracając się w ciemność nocy. Jego zachowanie zdradzało wyczerpanie i desperację.

– Posłuchajcie mnie – powiedział Nogueira. – Manuel! – zawołał, żeby znów na niego spojrzeć. – Musisz przestać o tym myśleć do momentu, aż poznamy wyniki autopsji. Ofelia ma do mnie zadzwonić, gdy tylko skończy. Wtedy będziemy mogli oprzeć hipotezę na jakichś podstawach. Spekulowanie do niczego nas nie doprowadzi.

Manuel spojrział na niego ponuro.

– Zadzwonisz, gdy się czegoś dowiesz?

– Masz moje słowo. A teraz idź do pokoju – powiedział, patrząc na hostel – i spróbuj trochę odpocząć. Bez względu na to, co wykaże autopsja, jutro się tu spotkamy i będzie to bardzo długi dzień. Posłuchaj mnie, Manuel. Odpocznij.

Mężczyzna skinął z uśmiechem. Zrobił dwa kroki w stronę hostelu, po czym przystanął i odwrócił się do nich.

– Muszę jechać po Kawę.

– Dzisiaj zostaw go u mnie w domu.

Manuel i Lucas wymienili porozumiewawczy uśmiech.

– Jeszcze się okaże, że podoba ci się ten kundel – powiedział żartobliwie Lucas.

– Jak ma mi się podobać! – odparł gwardzista podniesionym głosem. Natychmiast jednak go zniżył, rozglądając się po zaparkowanych samochodach. – Ale jest bardzo późno i założę się, że już śpi z moją córką...

Manuel odwrócił się z uśmiechem, nie zwróciwszy uwagi na tłumaczenia Nogueiry, i skierował się w stronę hostelu, podnosząc rękę w geście pożegnania.

Nie spuszczała z Manuela oka, gdy ten kierował się do budynku, i obaj – jakby się umówili – czekali w milczeniu, aż drzwi się za nim zamknęły.

Wtedy Nogueira odwrócił się do Lucasa.

– Co możesz mi powiedzieć o próbie samobójczej Santiaga?

Ksiądz wypuścił całe powietrze z płuc, po czym odparł:

– To bomba zegarowa... Przypuszczam, że dla niego sprawa szantażu też była okropna. Ewentualność, że sekret, który ciągnął za sobą przez całe życie, może wyjść na jaw, musiała go paraliżować. Poprosił o pomoc brata, który zawsze go bronił, a teraz nie żyje. Przez ostatnie dni nagromadziły się napięcia i dyskusje z Manuelem, a nawet z żoną, jak mówił mi Manuel. Był w dołku. Przeżył już poważne załamanie po śmierci Frana, a teraz,

w związku ze sprawą Álvaro, nie potrafił się podźwignąć. Kilka dni temu Manuel widział, że płakał w kościele, Herminia też słyszała, jak szlochał dzisiaj po południu, zanim znalazł go chłopiec. I na dodatek, z tego, co wiemy, miał także kilka starć ze swoją matką: Herminia nie słyszała, o czym rozmawiali, ale kobieta śmiała się z niego. Dodajmy do tego jeszcze poniżenie, jakiemu poddała go ostatnio w obecności Manuela... Przypuszczam, że to było dla niego zbyt wiele.

Nogueira skinął, przyswajając to, co właśnie usłyszał.

– Ty jesteś jego spowiednikiem, zgadza się? – zapytał, patrząc na niego zadumany.

– O czym myślisz?

– O tym, że oni są praktykującymi katolikami, prawda? Mają własny kościół i własnego księdza...

– Nie przeciągaj struny – ostrzegł go Lucas bez cienia uśmiechu.

– Spokojnie, *home*[16]! – wykrzyknął Nogueira, rozbawiony wobec postawy księdza. – Mówię tylko, że po próbie samobójczej facet zechce pewnie pogodzić się z Bogiem. Nie zaszkodziłoby, gdybyś wybrał się do szpitala, aby z nim porozmawiać. Chciałbym wiedzieć, czy zrobił to z powodu nagromadzonych emocji, czy był jakiś inny motyw. Interesujące może być też to, co powiedziała mu matka, że tak bardzo się wściekł.

– Planowałem pojechać do niego jutro rano, ale dobrze wiesz, że jeśli powie mi coś podczas spowiedzi...

– Wiem – odparł Nogueira, patrząc na niego z niechęcią.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że możesz uważać mnie za głupca – ciągnął Lucas – ale myślę, że źle go oceniłem. Teraz wiemy, co ciągnie za sobą od dzieciństwa. Ten koszmar, przez cały czas ukrywane kłamstwo. – Spojrzenie Lucasa zagubiło się w mroku parkingu, gdy zaczął wspominać. – Jak pies zawsze chodził za Álvaro i teraz rozumiem dlaczego. Być może stąd brała

się ta autodestrukcyjna brutalność, jego zabawki, jego rzeczy, on sam... – powiedział, znowu spoglądając na Nogueirę. – Pojechałem z nim do szpitala, kiedy powiadomiono nas o wypadku Álvaro, tam przekazano nam, że nie żyje, i po zidentyfikowaniu ciała martwego brata na jego twarzy malowało się absolutne niedowierzenie.

Na kilka sekund mężczyźni pogrążyli się w milczeniu.

– Jak postrzegasz Manuela? Martwię się o niego – powiedział gwardzista.

Lucas skinął.

– Ja też, ogromnie cierpi... Ale dobrze się trzyma, zważywszy na okoliczności. Jest silniejszy, niż się wydaje, jednak mimo to nas potrzebuje, bo sprawy coraz bardziej się komplikują. Chyba zaczyna rozumieć, że być może Álvaro miał bardzo ważny powód, dla którego ukrywał przed nim prawdę, a z drugiej strony dręczy go wiedza o tym, że zaledwie dwunastoletni Álvaro zabił człowieka, oraz wątpliwości co do tego, czy byłby w stanie zrobić to ponownie.

– Tak właśnie mi się wydawało.

– Skoro dla nas jest to zagmatwane, to postaw się na jego miejscu.

Nogueira skinął, patrząc uważnie na Lucasa, aż sprawił, że ten poczuł się nieswojo.

– Co? – zapytał speszony.

– Coś ci opowiem, księżu...

– Księżu? – powtórzył, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Teraz jestem „księdzem”?

– Wiesz, o co chodzi – odparł Nogueira, bynajmniej nieskory do żartów.

– To jak tajemnica spowiedzi, nikt nie może się o tym nie dowiedzieć.

Lucas skinął z poważnym wyrazem twarzy.

– Nie wezwali mnie do komendantury, tylko na miejsce, gdzie znaleźli

ciało. W gąszczu odkryli samochód Toñina, biały samochód... Ci z kryminalnego akurat pracowali i nie pozwolili mi podejść, ale z daleka na pierwszy rzut oka było widać, że miał wiele wgnieceń. Zdjęli już z drzewa tego nieszczęśnika, lekarka sądowa szykowała się do zabrania ciała, a ja nie byłem jedyną postronną osobą, którą tam wezwano: przyjechał też przeor, zapewne po to, żeby zidentyfikować ciało. I nagle stanął mi na drodze, chwycił za ramię, odprowadził na bok i powiedział: „Ostrzegałem bratanka, że z markizem sprawy nie będą tak zostawione. Kiedy Álvaro do mnie przyjechał, był wściekły, próbowałem przestrzec Toñina, ale nie chciał słuchać”.

Lucas otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Sądysz, że to samo powie twoim kolegom?

– Nie wiem, było coś w sposobie, w jaki wziął mnie na bok, co każe mi myśleć, że absolutnie byłby w stanie milczeć, żeby zaoszczędzić sobie problemów. Ale nie wiem. – Zdegustowany mlasnął językiem. – Jak wspomniałem, dopóki nie będziemy mieli wyników autopsji i jakiegoś postępu w śledztwie, wszystko to są przypuszczenia, a nie chcę jeszcze bardziej mieszać w głowie Manuelowi.

– Ale jeśli Toñino zepchnął Álvaro z drogi swoim samochodem, to kto zabił jego? W jakiej kolejności nastąpiły zdarzenia? Nic nie rozumiem.

– Właśnie dlatego nie chciałem opowiadać o tym Manuelowi. I ty też tego nie zrobisz.

– Bo zabierzesz mnie do lasu i zastrzelisz? – zapytał ze śmiechem.

– Opowiedział ci... – Gwardzista też się zaśmiał, kierując wzrok w stronę okien hostelu. – To był dla niego straszny dzień, nie sądzę, by mógł dzisiaj spokojnie spać. Ten pisarz nie jest głupi... Niemożliwe, by nie myślał o tym samym co my, że Álvaro był mordercą, i bynajmniej nie mam na myśli tego, co wydarzyło się tamtej nocy w klasztorze – powiedział, rzucając niedopałek

do kałuży i kierując się w stronę hostelu. – Chodź ze mną, nie jesteś głodny?

Lucas podążał za nim ze skrzywioną miną.

– Nic nie jest w stanie odebrać ci apetytu?

Nogueira przystanął, żeby ksiądz go dogonił, i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział:

– Mówiłem ci, że moja żona mnie głodzi?

Lucas zaśmiał się, myśląc, że to żart, dopóki nie zobaczył wyrazu twarzy gwardzisty.

– To może opowiesz mi o tym podczas posiłku?



Manuel wszedł do swojego pokoju i najpierw zaświecił światło w łazience naprzeciwko drzwi łączących jego pomieszczenie z pokojem Elisy i Samuela. Podeszedł, dotykając opuszkami palców drewna pokrytego wieloma warstwami farby, i stał tak, aby uchwycić jakiś ruch po drugiej stronie. Ze wzrokiem utkwionym w grubym ryglu, który w przeciwieństwie do drzwi wyglądał na nowy i dobrze nasmarowany, podniósł rękę, a kiedy to zrobił, zmiana ciężaru z jednej nogi na drugą sprawiła, że zatrzeszczała drewniana podłoga. Zawstydzony, jakby został przyłapany na czymś niestosownym, cofnął się, wywołując kolejne jęknięcie drewna, zgasił światło w łazience, znowu wyszedł na korytarz i delikatnie zapukał do drzwi Elisy.

Otworzyła natychmiast. Nie miała butów, tylko same skarpetki. Uśmiechnęła się i odsunęła, żeby Manuel mógł zobaczyć wnętrze pomieszczenia. Było ono repliką jego pokoju z tą różnicą, że tutaj znajdowało się podwójne łóżko. Klosz lampki na stoliku nocnym Elisa nakryła niebieską apaszką, która łagodziła światło i pokrywała melancholią proste meble pokoju. Z ekranu telewizora dobiegał tak słaby dźwięk, że był ledwie słyszalny, a emitowana kreskówka sprawiała, że światło na

poduszkach podtrzymujących nieruchomą głowę Samuela zmieniało się z jednego koloru na drugi.

– Właśnie zasnął – wyszeptała z uśmiechem i odsuwając się wreszcie od drzwi, zaprosiła go do środka.

Podszedł do łóżka, nie spuszczać wzroku z dziecięcej twarzy, która wyglądała na zrelaksowaną, chociaż oczy chłopca nie były całkiem zamknięte, tak jakby do końca walczył ze snem.

– Kosztowało cię to dużo wysiłku? – zapytał Manuel, odwracając się do Elisy.

– Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby się uspokoił. – Zaśmiała się. – Przez dłuższą chwilę skakał po łóżku, jest prawdziwym artystą cyrkowym, ale kiedy przekonałam go, żeby przestał i pooglądał bajkę, zaśnięcie nie zajęło mu nawet pięciu minut.

Manuel rozejrzył się dookoła.

– Dobrze wam tutaj?

Kobieta wyciągnęła rękę i gdy Manuel ją chwycił, okryła ją swoimi dłońmi i uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

– Dziękuję, Manuelu. Bardzo nam tutaj dobrze, naprawdę, nie przejmuj się. Myślę, że dzisiejszej nocy w jakimkolwiek miejscu byłoby nam lepiej niż w pazo.

Poczuł impuls, by ją objąć, ale zanim się zdecydował, Elisa rzuciła mu się w ramiona. Była bardzo wysoka, tak jak on. Czuł twarz przyklejoną do swojej, a w rękach kruchość jej szczupłego ciała. Przypomniał sobie, jak Griñán mówił, że była modelką. „I narkomanką”, dodał jakiś głos w jego głowie. Kiedy uwolnił się od uścisku, zobaczył, że jej oczy są wilgotne. Odwróciła się w kokieteryjnym geście, wycierając łzy. Następnie wyciągnęła rękę, pokazując na drzwi łączące oba pokoje.

– Manuelu, odsunęłam rygiel; jeśli czegoś potrzebujesz, możesz zawołać

ze swojego pokoju, nie musisz wychodzić na korytarz.

Spojrzał na drzwi i wiedział, że trzeszczące drewno zdradziło jego obecność po drugiej stronie.

– Posłuchaj, Eliso – zaczął, patrząc na nią poważnie – jest coś, co chcę ci powiedzieć.

Kobieta usiadła na łóżku, podniosła obie nogi, skrzyżowała je i patrzyła na niego uważnie.

– O tym, co markiza powiedziała w pazo...

Ona nadal siedziała nieruchomo, w milczeniu, ale Manuel dostrzegł, że jej twarz nieco posmutniała.

– Nie mogę ci mówić ani prosić cię, ani nawet domagać się tego, w co powinnaś wierzyć, a w co nie, ale z całego serca liczę, że nie wierzysz w to, co powiedziała.

– Manuelu...

– Nie, nic nie mów. Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że znałaś Frana najlepiej na świecie?

Elisa przytaknęła.

– A więc ja najlepiej na świecie znałem Álvara. Kiedy tu przyjechałem, miałem mnóstwo wątpliwości, teraz jednak jestem świadomy, że choć może nie wiedziałem o nim wszystkiego, to i tak znałem go lepiej niż ktokolwiek inny. Pamiętaj o tym, bo może w najbliższych dniach usłyszysz wiele rzeczy.

– Wiem, co powiedziała i dlaczego. Ja też ją znam, ona niczego nie robi przypadkiem, ale podobnie jak ty nie mogę zaakceptować tego ot tak. Rozumiesz mnie, Manuelu?

– Rozumiem.

Znów popatrzył na twarz śpiącego chłopca.

– Chcę prosić cię o przysługę, Eliso.

– Jasne, cokolwiek to jest.

– Griñán mi opowiadał, że w rodzinie istnieje pewna tradycja: każdy męski potomek otrzymuje po narodzinach klucz do kościoła w pazo.

Przytaknęła.

– I najwyraźniej musi zostać z nim pochowany.

– Cóż... – zaczęła Elisa. – Fran zgubił swój klucz.

– Wiesz, czy miał go przy sobie w dniu pogrzebu ojca?

– Tak, kiedy zaniósłam mu kanapkę, trzymał go obok siebie, na ławce w kościele.

– Jesteś pewna, że to był jego klucz, a nie jakiś inny?

– Tak, całkowicie, klucze nie są identyczne: różnią się kamieniami szlachetnymi zdobiącymi główkę. Na tym należącym do Frana były szmaragdy, dobrze go znałam. – Opuściła lekko głowę, po czym dodała: – Kiedy byliśmy uzależnieni, starałam się go przekonać do sprzedania klucza, żeby zdobyć pieniądze, ale Fran za bardzo szanował swojego ojca, zawsze mi powtarzał, że nigdy by mu tego nie wybaczył.

– Ale kiedy znaleziono Frana, nie miał go przy sobie.

– Wszędzie go szukaliśmy, ale się nie znalazł. To ciekawe – powiedziała, przekrzywiając głowę w stronę ciemnego kąta pokoju, jakby stamtąd czerpała wspomnienia. – Pamiętam, że moja teściowa była bardzo niezadowolona, gdy klucz nie odnalazł się do czasu pogrzebu. Ta przekłeta dziwka! – wykrzyknęła, przymykając oczy, co zaskoczyło Manuela ze względu na furję i okrucieństwo, jakie pojawiły się na jej twarzy. – Álvaro przekazał mu swój, wiedziałeś o tym?

Manuel zaprzeczył.

– Samuel otrzymał swój klucz po narodzinach?

– Oczywiście, możesz sobie wyobrazić, jak oni podchodzą do takich

spraw. Ale mnie nigdy zanadto nie interesował, już samo patrzenie na ten klucz przywołuje złe wspomnienia.

– Przypuszczam, że go przechowujesz...

– Znajduje się w czymś w rodzaju skrzynki z ramą, jak obraz, tylko głębszy. Można ją powiesić na ścianie i otworzyć jak urnę.

– Mogłabyś mi go pożyczyć?

Zaskoczona Elisa otworzyła oczy i wydawało się wręcz, że zapyta: „Po co?“, chociaż nie było to zbyt sensowne pytanie. A jednak to, co odpowiedziała, zaskoczyło go jeszcze bardziej.

– Álvaro też prosił mnie o niego, kiedy był tu ostatni raz.

Patrzył na nią jak sparaliżowany.

– Eliso, pamiętasz, którego dnia?

– Wtedy, gdy przyjechał. Zwrócił mi go wieczorem.

– Ja też ci go zwrócę – powiedział, uspokajając ją.

– Nie mów głupstw – zganiła go z uśmiechem. – W pazo pokój Samuela i mój są połączone tak jak tutaj. Klucz znajduje się w sypialni Samuela, na komodzie. Wejdz i weź go.

Manuel nachylił się nad chłopcem i delikatnie pocałował go w policzek, po czym skierował się w stronę wyjścia. W rękach czuł jeszcze wyslizgujące mu się szczupłe ciało Elisy, a do głowy wróciła myśl o tym, że ta kobieta nieraz dopuszczała możliwość sprzedania klucza.

Zatrzymał się i odwrócił, by na nią spojrzeć.

– Eliso, chcę cię jeszcze o coś zapytać. – Zawahał się. – Być może jest to delikatna sprawa, ale musisz pamiętać, że nie znałem cię wcześniej i że wszystkie informacje, jakie mam o rodzinie, zdobyłem dzięki opowieściom innych...

Kobieta skinęła i zacisnęła usta, wiedząc, że to, co usłyszy, będzie ważne.

– Możesz pytać, o co chcesz, już dawno wzięłam na siebie odpowiedzialność za wszystkie swoje działania.

– Wiem, że Fran i ty przez prawie rok byliście w pewnej portugalskiej klinice.

Elisa trwała nieruchomo.

– Wiem, że wróciliście, kiedy stary markiz umierał, a ty byłaś już wtedy w ciąży... Eliso, uważam, że jesteś dobrą matką, wystarczy tylko spojrzeć, jak wspaniale zajmujesz się Samuelem, ale wiem też, że bardzo trudno jest wyjść z uzależnienia i że czasami ponownie można popaść w nałóg...

Ona zaczęła kręcić głową.

Głos Manuela brzmiał przepraszająco.

– Muszę cię o to zapytać, Eliso, muszę to zrobić, ponieważ ktoś tak zasugerował, a ja mu nie wierzę. Muszę cię zapytać.

Ona wciąż uparcie kręciła głową.

– Czy po powrocie z odwyku kiedykolwiek brałaś narkotyki? Choćby tylko jeden raz?

Kobieta wstała i podeszła do Manuela; jej niebieskie oczy pociemniały, jak u kocicy.

– Nie – odparła stanowczo.

– Przepraszam, Eliso – powiedział, kierując się do drzwi.

Zanim je zamknął, zdążyła go dogonić.

– W drugiej szufladzie tej samej komody, na której stoi urna z kluczem, znajdziesz moje raporty lekarskie. Nasza ukochana teściowa co pół roku zmusza mnie do wykonywania badań na obecność narkotyków. Zostałam w pazo pod warunkiem, że już nigdy nie będę brać. Zagroziła, że odbierze mi Samuela, i zrobiłaby to, gdyby miała choćby cień wątpliwości. Możesz zabrać raporty, kiedy pójdziesz po klucz – powiedziała, zamykając za nim

drzwi.

Manuel wszedł do swojego pokoju i zaśwycił światło. Opierając się o ciepłe drewno drzwi, przez kilka sekund obserwował pomieszczenie z podobnego miejsca, z którego kilkanaście dni wcześniej robił to u siebie w domu.

Słaby blask energooszczędnej żarówki, który wylewał się z sufitu, w miarę upływu czasu będzie się robił coraz jaśniejszy, ale na razie kapał meble w nędznej patynie, sprawiając, że pokój wyglądał na zimny i smutny. Nie ruszając się z miejsca, Manuel rzucił okiem na starodawny kaloryfer, pokryty licznymi warstwami farby, którą – jak się wydawało – potraktowane były tutaj wszystkie rzeczy. Zamiast powitania obdarzył go on brzęczeniem zapowiadającym, że zaczyna się nagrzewać. Przeniósł wzrok na drzwi oddzielające oba pokoje. Nie chcąc stąpać po desce, która zdradziłaby jego obecność, podniósł rękę, dotykając rygla z taką ostrożnością, jakby miał do czynienia z materiałem wybuchowym; po cichu odblokował drzwi i nieruchomo przyglądał się ryglowi przez dwie sekundy. Z taką samą ostrożnością go zasunął.

Podszedł do łóżka, jakby ktoś go przywoływał. Kołdra w czekoladowym kolorze, schludna i gładka, wyglądała jak sceneria dla ważnego białego kwiatu, który odpoczywał na poduszce. Nie dotykając go, znowu spojrzął na drzwi prowadzące do przyległego pokoju, mając świadomość, że sam właśnie odsunął i zasunął rygiel.

– Dlaczego? – zapytał szeptem. – Co to znaczy?

Wziął kwiat do ręki. Był świeży i pachnący, jakby dopiero co zerwany; jego blada obecność dezorientowała Manuela i wywoływała mieszaną lęk oraz pewności czegoś, czego nie potrafił rozróżnić. Czuł, że oczy napełniają mu się łzami. Wściekły, otworzył nagle szufladę stolika nocnego i wrzucił kwiat do środka. Zrezygnował z wojskowej ciasnoty łóżka i pomyślał, że ta

noc bez Kawy będzie długa i mroczniejsza. Jego sierść, szkliste oczy, a nawet delikatne chrapanie po części stały się tym, czego potrzebował, aby dobrze się czuć. Może powinien po niego pojechać, chociaż przyznawał z zazdrością, że zwierzę coraz bardziej przywiązywało się do Antii. Wiedział już, że nie zaśnie, po co miał się oszukiwać? Włączył telewizor i ściszył głos, po czym usiadł przy biurku, szukając jedyne miejsce, w którym mógł odpocząć. Wrócił do pałacu.

TO, CO WYPARTE

Manuel usłyszał śmiechy oraz jakieś wołanie. Spojrzał w stronę rzeki i ujrzał, niczym pogrążone we śnie, trzy dziewczyny, te same co tamtego popołudnia, na ich osobliwej konstrukcji; brązowe nogi, silne ramiona, niedbale związane włosy z kosmykami, które wymykały się spod kapeluszy... oraz ich śmiech. W głosach dziewczyn brzmiała muzyka, jakby dzwoneczki wietrzne pobrzękiwały, kołysane wiatrem. Piękne były te rzeczne wróżki, a ponowne zobaczenie ich wywołało w Manuelu niewytłumaczalną radość.

[16] (gal.) Człowieku.



WEZWAĆ ZMARŁYCH

Było w pół do piątej, kiedy Manuel szybkim ruchem zdjął narzutę, opadł na łóżko i zamknął oczy...



Otworzył je nagle, wystraszony. Zasnął. Spojrzał w stronę nóg łóżka, delikatnie muśniętych światłem wciskającym się przez szybę w górnej części drzwi, które zakonnicy zostawiali na noc zapalone na korytarzu, żeby najmłodszy się nie bali. Álvaro spojrział na swoje stopy, nadal wsunięte w proste szkolne buty, które wkładał każdego wieczoru, kiedy miał pewność, że jego kolega zasnął. Od tygodnia kładł się do łóżka w ubraniu. Pilnował. A tej nocy zasnął; najgorsze, że robiąc to, nie miał pojęcia, która mogła być godzina. W seminarium posiadanie zegarków były zabronione; zakonnicy twierdzili, że chłopcy zwracający uwagę na godzinę nie koncentrowali się na

nauce. Na pierwszym piętrze znajdował się duży zegar z kurantem, którego dzwonienie było słyszalne w całej szkole, a tym bardziej w środku nocy. Kiedy słyszał go ostatni raz, wybrzmiał trzykrotnie, ale teraz – przeklęty sen – teraz nie wiedział, która jest godzina ani ile czasu spał. Wstał z łóżka, uważając na każdą zmianę na zrelaksowanej twarzy nieruchomego chłopca, który z otwartymi ustami spał na łóżku obok. Otworzył drzwi i wyslizgnął się na korytarz w półmrok, w myślach licząc drzwi dzielące jego pokój od pokoju brata. Położył rękę na klamce i z taką ostrożnością, jakby miał do czynienia z materiałem wybuchowym, nacisnął rączkę, aż usłyszał kliknięcie. Popchnął drzwi i wsadzając tylko głowę, zajrzał do środka. Usłyszał głośny oddech kolegi swojego brata, który zupełnie odkryty spał na łóżku stojącym najbliżej wejścia. Drugie było puste: biel pozostawionej pościeli błyszcząca w mroku, donosząc, że została ograbiona. Álvaro pobiegł ku ciemności prowadzącej do cel zakonników. Nie czekał, nie nasłuchiwał, nie zawołał; rzucił się w stronę drzwi, a po naciśnięciu klamki popchnął je, wiedząc, że się otworzą – rygle nie były dozwolone w seminarium. Nie zobaczył swojego brata pod spoconą górą mięsa, która kołysała się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, z białym, owłosionym tyłkiem na widoku. Usłyszał go: lamentował, cierpiał, ale jego głos był tak odległy, przytłumiony, przygnieciony cielskim gwałciciela, że wydawało się, jakby chłopiec był bardzo daleko, jakby jęczał z wnętrza studni albo z grobu.

Potwór się kołysał, zajęty słabymi pchnięciami, skoncentrowany na własnym oddechu; nie zorientował się nawet, że ktoś wszedł do środka. Ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku, Álvaro puścił drzwi za swoimi plecami i wyciągnął skórzany pasek ze szkolnego mundurka, pociągając za niego, aż uwolnił się ze szlufek. Chwycił go w obie ręce i skoczył na mokre plecy mężczyzny, a następnie owinął jego szyję paskiem. Zaskoczenie zachwiało zakonnikiem, który wypuścił swoją ofiarę i podniósł ręce do szyi,

chcąc się uwolnić. Álvaro ścisnął z całej siły i po upływie kilku sekund poczuł, że impet bezowocnych ruchów, za pomocą których potwór usiłował się go pozbyć, zaczynał słabnąć, aż w końcu zawiodły go nogi i upadł na kolana. Álvaro nie zauważył, kiedy tchawica została zmiażdżona: było tak, jakby się spłaszczyła, ustępując miejsca skórzanemu paskowi, który odznaczył swój ślad na gardle zakonnika. Gwałciciel przestał się ruszać, ale chłopiec nadal trzymał, chociaż bolały go ręce i zbieleły kostki. Kiedy go wypuścił, sapiąc i nadal drżąc z wysiłku, spojrzął na niego, leżącego jak gruby, pokonany zwierz. Wiedział, że jest martwy, wiedział, że to on go zabił. Uświadomił sobie, iż nie miało to dla niego znaczenia, i był pewien, że nie będzie płakać, ale zrozumiał też, że jego czyn nie był za darmo, że coś się w nim złamało, coś, czego już nigdy nie odzyska. Pogodził się z tym.

Chłopiec płakał. Stał odwrócony twarzą do ściany i płakał coraz głośniejsze, łkał tak donośnie, że mógł zbudzić całe seminarium.



Manuel usiadł przestraszony na łóżku. Przez kilka sekund wydawało mu się, że nadal słyszy płacz chłopca. Zdezorientowany, szukał dziecka, rozglądając się dookoła, aż rzeczywistość wzięła górę i pozwoliła mu rozpoznać hostelowy pokój, a płacz małego zlał się z dźwiękiem dochodzącym z jego telefonu komórkowego – dzwonił Nogueira.

– Manuel, właśnie rozmawiałem z Ofelią. O szóstej kończy zmianę, więc umówiliśmy się na siódmą u niej w domu. Pamiętasz, jak tam dotrzeć, czy wolisz, żebym po ciebie przyjechał?

Wdzięczny za tego kopniaka od rzeczywistości, pozbył się pozostałych strzępów snu, które jeszcze przyćmiewały mu wzrok. Mocno przetarł oczy, usiłując zebrać myśli.

– Coś ci powiedziała?

– Nie, tylko tyle, że są nowe informacje, ale wolą nie mówić nic przez telefon.

– Będę tam o siódmej.

Kiedy miał wyjść z pokoju, powędrował wzrokiem na rygiel drzwi, które łączyły pokój, w którym spał, z pokojem Elisy i Samuela. Niemal nieświadomie pomyślał, jak dobrze wyglądał jego pokój, z pomiętą pościelą, książkami, stojącym na stoliku nocnym zdjęciem, na którym był z Álvarem, oraz kartkami rozłożonymi na biurku, ujawniającymi jego wtargnięcie do pałacu. Ciesząc się, że pamiętał, która deska w podłodze trzeszczała, zbliżył się do drzwi i przyłożył głowę, aby nasłuchiwać. Niczego nie słyszał, ale zobaczył, że pulsujące błyski światła, zdradzające obecność włączonego telewizora, wciskały się przez szparę pod drzwiami. Z taką samą ostrożnością jak poprzedniego wieczoru odsunął rygiel i nacisnął klamkę, aż drzwi się otworzyły. Oboje spali. Głowy obok siebie i rozluźnione twarze, zakłócone jedynie kolorowym światłem kreskówek, które dobiegało z ekranu i barwiło im skórę. Zrobiło mu się żal, ale nie ich ani siebie – żal mu było wszystkich samotnych, opuszczonych i smutnych ludzi, którzy nie mogą zgasić światła, kiedy noc wchodzi do ich duszy. Stał tak przez kilka minut, spokojnie obserwując twarz śpiącego chłopca, wpólotwarte usta, podkreślane rzęsy, małe, opalone ręce, otwarte jak rozgwiazdy na białej pościeli. Zamknął drzwi z taką samą ostrożnością, z jaką je otworzył, jednak tym razem nie zasunął rygla.



Samochód lekarki sądowej stał naprzeciwko domu, a przy drodze, nieopodal bramy wjazdowej, było bmw Nogueiry. Zaparkował obok niego, skierował się do wejścia, od zewnątrz otworzył zasuwę bramy, tak jak robił to gwardzista, i został powitany przez cztery psy. Otwarte drzwi garażowe

pozwalają dostrzec fragment pojemnika na drwa oraz tył samochodu Álvara, który częściowo był przykryty brezentem.

Dom pachniał świeżo zaparzoną kawą i gorącym chlebem, a burczenie w brzuchu przypomniało mu, że nie jadł nic od poprzedniego dnia. Kobieta postawiła na kuchennym stole filiżanki, a kiedy wszedł do środka, podążając za Nogueirą, zaskoczyła go z dzbankiem kawy w rękę.

– Cześć, Manuelu, usiądź, proszę – powiedziała, pokazując na stół.

Nie pytając, nalała kawę i mleko do wszystkich filiżanek i podczas gdy mieszała cukier, postawiła na stole pachnące tosty z chleba galisyjskiego przykryte białą serwetką.

Cała trójka jadła z apetytem i Manuel wywnioskował, że lekarka z szacunku postanowiła poczekać, aż skończą, by przekazać im informacje.

– Wszystko wskazuje na to, że nie żyje od trzynastu dni, czternastu, jeśli weźmiemy pod uwagę zawiadomienie o zaginięciu, które złożyła jego ciotka, chociaż wczoraj jego wuj, przeor, powiedział, że kobieta prawdopodobnie pomyliła dzień, ponieważ on widział go w domu w sobotę. Mówił, że wybrał się do nich na kawę.

– Co za sukinsyn! – wykrzyknął Nogueira. – A więc nie powiedział o kłótni i przypuszczam, że nie opowie też niczego, co wiąże się z wizytą Álvara w seminarium oraz rozmową, jaką odbyli. Teraz przyznaje, że widział Toñina w sobotę, i w ten sposób chowa się za cudzymi plecami, jeśli śledztwo będzie prowadzone dalej.

– Możemy się domyślać, że oboje kłamią: ciotka, żeby zwrócić uwagę zawiadomieniem o zaginięciu, a przeor... Cóż, wygląda na to, że on umie kłamać trochę lepiej. Nie powiedział nic poza tym, że w sobotę pili kawę w domu jego siostry i że od tamtej pory już o chłopaku nie słyszał. – Zrobiła pauzę i wydawało się, że doda coś jeszcze na temat przeora, ale lekko pokręciła głową i kontynuowała: – Chłopak miał na sobie to samo ubranie,

które w zawiadomieniu opisała ciotka. Musisz zrozumieć – powiedziała, zwracając się do Manuela – że w tym momencie jest zbyt wcześnie, żeby ustalić dokładną datę zgonu; czekam jeszcze na wyniki różnych badań, które zleciłam, opartych na rozwoju robaków i larw, czekam na substancję, którą pobiera się z oka, i na inne dowody, ale gdyby mnie zapytano, powiedziałabym, że Toñino nie żyje od czternastu dni, tak samo jak Álvaro. Ciało jest w bardzo złym stanie. Godzinę temu wysłaliśmy je do kostnicy i niech wystarczy wam to, że musiało pojechać w hermetycznej skrzyni. Przez cały ten czas znajdowało się pod gołym niebem, często padało, ale popołudniami była też wysoka temperatura; poza tym w tym regionie jest dużo kruków i srok, które nie gardzą takim łupem, więc możecie sobie wyobrazić, że zwłoki były znacznie zmienione.

Obaj przytaknęli.

– Już kiedy oglądałam go uważniej na stole, mogłam stwierdzić to, co podejrzewałam podczas pierwszych oględzin ciała w lesie: że otrzymał mnóstwo ciosów w twarz. Miał złamaną kość policzkową, wybity ząb i liczne uszkodzenia szczęki. Oprócz tego dostrzegalne są obrzęki po wewnętrznej stronie przedramion – powiedziała, podnosząc ręce i zakrywając sobie twarz.

– Jest to wyraźny gest obronny. Został solidnie pobity i wszystkie ciosy otrzymał przed śmiercią. Wiemy o tym, ponieważ krew wokół ran się skrzepła. Poza tym w jego samochodzie znaleźliśmy opakowanie wilgotnych chusteczek i ponad dziesięć sztuk, których użyto do wytarcia krwi. To każe nam myśleć, że najpierw został pobity, miał czas, żeby trochę się powycierać, a potem wydarzyła się cała reszta...

– Dałaś radę ustalić, czym go pobito? – zapytał Manuel.

– Tak, bez wątpienia rękami, to były ciosy wymierzone pięściami.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że osoba, która go pobiła, powinna mieć ślady na kostkach, prawda? – powiedział Manuel,

przypominając sobie intensywny ból, który przebiegł jego rękę po niedawnej sprzeczce pod Vulcano.

– Na pewno, uderzał go tak mocno, że wybił mu ząb. Bez wątplenia powinien mieć jakąś ranę, obtarte kostki i opuchnięte przeguby.

– Widziałem rękę Álvara – powiedział stanowczo Manuel i w jego głosie dało się wyczuć ulgę. – Właściwie tylko jedną, prawą, a mając na uwadze, że Álvaro był praworęczny, to normalne, że pobiłby go właśnie tą ręką, zgadza się?

– Tak, ja też pamiętam, że miał czyste ręce, bez żadnych śladów.

– Toñino był męską prostytutką – wtrącił Nogueira. – Nie pierwszy raz klient spuściłby mu lanie, wielu kolesi dopada później poczucie winy. Równie dobrze oba zdarzenia mogły nie mieć ze sobą związku: klient mógł go pobić, zanim ten spotkał się z Álvarem.

– Albo z przeorem. Ty widziałeś się z nim kilka dni po zniknięciu Toñina, miał jakieś ślady?

– Nie, żeby były widoczne, chociaż skoro Toñino nie żył od sobotniej nocy, to od tamtego czasu minęło wiele dni; jeśli używał dobrej maści, to po tego typu ranach mogło już nie być śladu.

Ofelia skinęła z poważnym wyrazem twarzy.

– To jeszcze nie wszystko. Chociaż przyczyną śmierci Toñina jest uduszenie przez powieszenie, to ofiara miała też osiem ukłuć na podbrzuszu, osiem długich i wąskich ran kłutych. W przypadku Álvara wykonałam pomiar, ale nie miałam czasu na nic więcej; teraz natomiast mogłam zrobić odlew rany i oczywiście nie potwierdzę tego w stu procentach, ale powiedziałabym, że Toñino został zaatakowany bardzo podobnym przedmiotem, którego użyto do napaści na Álvara.

– Ta sama osoba mogła zaatakować obu? – zastanawiał się Manuel.

– Nie cierpię być adwokatem diabła – powiedział Nogueira – ale myślę,

że mogło do tego dojść, kiedy ze sobą walczyli: Álvaro umawia się tam z nim, obiecując, że mu zapłaci, a kiedy Toñino przyjeżdża, zabija go. Albo odwrotnie: kiedy Álvaro odmawia zapłaty, Toñino go atakuje i rani. Álvaro, który jest od niego większy i silniejszy, odbiera mu broń i wbija ją wielokrotnie.

Manuel zamknął oczy, jakby nie chciał patrzeć na opowiadającego o tym Nogueirę.

– Znalaziono broń?

Ofelia drugi raz nalewała im kawę, odpowiadając:

– Na razie nie, ani w samochodzie, ani w okolicy.

– Ale jeśli zabrał ją Álvaro, mógł się pozbyć narzędzia zbrodni po drodze, zwyczajnie wyrzucając broń po jednej stronie drogi na trasie, którą przebył aż do wypadku – podkreślił Nogueira.

Manuel rzucił mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Jest coś charakterystycznego – ciągnęła, nie zwracając uwagi na napięcie między oboma mężczyznami – co zauważyłam u Álvaro, ale u Toñina, przy większej liczbie ukłuć, widać to jeszcze wyraźniej: pchnięcia wykonano od lewej do prawej strony.

Nogueira uniósł brwi i wykrzywił usta pod wąsami.

– Co to oznacza? – dopytywał Manuel.

– Morderca mógł być leworęczny – wytłumaczył Nogueira.

– Nie jest to całkowicie pewne – pospieszyła z wyjaśnieniem Ofelia. – Na razie to tylko hipoteza. Nie mając odlewu z rany Álvaro, nie możemy być nawet pewni, czy zostali zaatakowani tym samym przedmiotem, a liczą się także takie kwestie jak pozycja, w jakiej znajdował się napastnik w chwili ataku, na przykład w samochodzie. Ale na razie tak, wszystko wskazuje na to, że napastnik był leworęczny.

– Álvaro był praworęczny – powiedział Manuel stanowczo, patrząc

provokacyjnie na Nogueirę. – A Toñino?

Porucznik spojrział na zegarek.

– Jest jeszcze wcześniej, później zadzwonię do jego ciotki i zapytam. Co do przeora mam wątpliwości: wychowywano go w czasach, kiedy leworęczność korygowało się biciem, tak więc... może być mańkutom i na niego nie wyglądać.

– A uderzenia w twarz? – dopytywał Manuel. – Czy z kierunku zadawanych ciosów można się dowiedzieć, czy napastnik był praworęczny, czy leworęczny?

Ofelia aż podskoczyła.

– Cóż, teraz, gdy o tym wspominasz... To prawda, że Toñino miał ślady po ciosach na całej twarzy. Jest czymś normalnym, że kiedy cię biją, starasz się unikać uderzeń, poruszając głową z boku na bok – powiedziała, kręcąc własną głową w prawo i w lewo – ale mocniejsze ciosy, wybity ząb, złamana kość policzkowa i pęknięta żuchwa, były zadawane po lewej stronie, co prawdopodobnie wskazuje na praworęcznego napastnika. Chociaż podczas walki używa się obu pięści, więc to mogłoby oznaczać, że ten, kto go pobił, i ten, kto ranił go w brzuch, to dwie różne osoby. I jest coś jeszcze: napastnik musiał być silny. Chociaż to prawda, że Toñino ważył zaledwie sześćdziesiąt kilogramów, był bardzo chudy i niezbyt wysoki. Już na miejscu zbrodni zdałam sobie sprawę z tego, że brakowało jednego buta, a skarpetka się zsunęła i zwisała z czubka stopy. Początkowo myślałam, że podczas typowego przy powieszeniu wierzgania sam ściągnął sobie but, ale znalazł się on jakieś dziesięć metrów od tamtego miejsca, w pobliżu samochodu, a podczas autopsji zauważyłam na pięcie zmarłego wiele przedśmiertnych obtarć i zadrapań. Uważam, że ktoś przeciągnął go do drzewa i musiał to być ktoś silny: trzeba takim być, żeby podnieść człowieka z ziemi i powiesić na gałęzi; wprawdzie Toñino nie zwisał z dużej wysokości, lecz i tak musiało to

kosztować sporo wysiłku. To zostawiłoby też ślady na rękach napastnika, chociaż mniejsze, jeśli użył rękawiczek. Sprawdzamy sznur pod kątem fragmentów skóry albo nabłonka, ale na razie wydaje się, że nic tam nie ma.

Wszyscy troje milczeli przez kilka sekund, potem odezwał się Manuel:

– Myślę, że kluczowe jest ustalenie dokładnej godziny, o której zmarł Toñino, bo wiemy już, gdzie i kiedy Álvaro wypadł z drogi...

– Posłuchaj, Manuelu – powiedziała Ofelia, wzdychając – mimo tego, co mogłeś widzieć na filmach, prawda jest taka, że ustalenie dokładnego momentu śmierci, kiedy minęły już pierwsze godziny, jest bardzo trudne, chyba że w tej samej chwili zatrzyma się zegarek ofiary albo mamy świadka zdarzenia. W większości przypadków godzinę zgonu ustalamy przy pomocy zestawu danych, ale kiedy mija tyle dni i ciało jest w takim stanie, sprawy się komplikują. Jak powiedziałam, dopóki nie będę miała wyników badań, o które poprosiłam, oraz wniosków policji kryminalnej na temat tego, co znaleźli w samochodzie, możemy tylko gdybać.

Manuel przytaknął zrezygnowany.

– I jeszcze coś – dodała Ofelia z poważnym wyrazem twarzy, wyciągając do niego kopertę, która przez cały czas leżała obok. – Przyszły wyniki analizy porównawczej farby, którą wysłaliśmy do laboratorium; wystarczy zapłacić, żeby wszystko wykonano błyskawicznie. Farba znajdująca się w samochodzie Álvaro i ta z pojazdu stojącego w seminarium z próbki, którą ty pobrałeś, są dokładnie takie same.

Mężczyźni popatrzyli na siebie zadziwieni, ale pierwszy przemówił Nogueira:

– I tyle czekałaś, żeby nam o tym powiedzieć?

– Kontroluj swój entuzjazm, Nogueira: musisz zrozumieć, że to nie ma wartości policyjnej ani sądowej. Próbka została pobrana przez osobę prywatną, bez pozwolenia, bez nakazu, nie możemy jej wykorzystać, nie

posłuży za żaden dowód.

– Ofeliña – powiedział, zabierając raport z rąk Manuela – ledwie dziesięć dni temu przestałem być gwardzistą, nie zapomniałem jeszcze, jak wykonuje się moją pracę. Być może nie posłuży za dowód, ale wystarczy, żeby złożyć wizytę przeorowi.

– Jadę z tobą – oznajmił Manuel.

– Nie, Manuel, lepiej nie. Chociaż on wie, kim jesteś i że szperałeś, to lepiej, żeby nas nie łączył.

– Jesteś pewien, że nie wpakujesz się w kłopoty, jeśli nadal będziesz dokręcał mu śrubę? – zapytał Manuel.

– Nie, wczoraj miałem wątpliwości, ale to, co myślałem, zostało potwierdzone, kiedy nie zeznał niczego, co wiązało się z Álvarem czy z twoją albo moją wizytą. Wiemy już, że przeor ma powody, by milczeć; teraz musimy się tylko dowiedzieć, czy zatai to, co wydarzyło się tamtej nocy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, albo to sprzed kilkunastu dni, kiedy zmarli Álvaro i jego bratanek.

– Jeszcze nie jesteśmy pewni – odparła Ofelia.

– Wszystko wskazuje na to, że tak było, nieprawdaż? Trzeba z nim porozmawiać. Odwiedzę go prywatnie, żeby złożyć mu kondolencje, i zobaczymy, jak wytłumaczy sprawę samochodu.

Ofelia skinęła niechętnie.

– A ty, Manuelu, co będziesz robił?

– Wrócę do As Grileiras. Ostatecznie wydaje się, że to tam wszystko się zaczyna i kończy.



Nogueira podniósł wzrok w stronę okien gabinetu na drugim piętrze klasztoru. W szybach odbijało się szare niebo poranka, ale była tam także,

choć bardziej rozmyta, sylwetka przeora, który go obserwował, a kiedy gwardzista tam spojrział, zrobił krok do tyłu. Nogueira uśmiechnął się lekko i zapalił papierosa, którym zaciągał się powoli, pozwalając, żeby myśli przeora krążyły od obawy do desperacji, żeby łamał sobie głowę, zastanawiając się nad powodem jego wizyty.

Zgasił papierosa i idąc do klasztoru, przystawał jeszcze, by przywitać się ze starymi zakonnikami, których spotykał na swojej drodze. Przedłużał rozmowy, interesując się ich zdrowiem. Zaczynało padać, kiedy ocenił, że przeor powinien już być wytracony z równowagi. Porucznik przeszedł wtedy głównym wejściem i skierował się na drugie piętro.

Drzwi gabinetu były otwarte. W miarę jak gwardzista się zbliżał, mógł sobie niemal wyobrazić przeora otwierającego i zamykającego je wiele razy, zastanawiającego się nad konsekwencjami jego wizyty. Siedział za biurkiem, ale w przeciwieństwie do tego, co podejrzewał Nogueira, nie udawał, że pracuje, nie miał włożonych okularów do czytania, a na czystej powierzchni biurka nie leżały żadne papiery.

Nogueira zamknął drzwi bez powitania i przeszedł przez pomieszczenie, podchodząc do stołu. Przeor miał zmienioną twarz, patrzył na niego uważnie, czekając na to, co powie. Gwardzista nie zawracał sobie głowy formułkami.

– Wiem, co się tu wydarzyło tamtej nocy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, wiem, co zawierał dokument podpisany przez brata Ortuña, wiem, że Toñino go tutaj znalazł, postanawiając szantażować Álvara Muñiza de Dávilę, i że ten drugi był w klasztorze w dniu swojej śmierci, żeby domagać się wyjaśnień...

Przeor wyskoczył jak sprężyna, przewracając fotel, na którym siedział, zakrył usta obiema rękami w oczywistym geście powstrzymywania wymiotów i mijając gwardzistę, biegiem udał się w stronę drzwi łazienki między regałami. Nogueira nie ruszył się ze swojego miejsca, słyszał, jak

przeor wymiotuje, kaszle i jęczy. Następnie dobiegł go dźwięk spluczki i wody w umywalce. Kiedy duchowny wyszedł z łazienki, do czoła przykładając sobie wilgotny ręcznik.

Nie zwracając uwagi na przewrócony fotel za biurkiem, Nogueira odwrócił do siebie dwa krzesła, zajął jedno z nich i pokazując ręką, ponaglał go, żeby usiadł na drugim.

Przeor nie potrzebował więcej zachęt. Cała jego pewność zniknęła i słowa wydalil z siebie z takim samym brakiem kontroli jak zawartość żołądka.

– Zawsze było z nim tak samo: nie chciał się uczyć ani pracować. Nie pierwszy raz zatrudniłem go, żeby wykonał drobne prace albo naprawy w klasztorze. W tak ogromnym budynku zawsze jest coś do zrobienia, więc zamiast dzwonić do kogoś innego, dzwoniłem do mojego bratanka. Nie sądzę, by cokolwiek można mi z tego powodu zarzucić. Poprzedniej zimy mieliśmy problem z rynną na dachu i woda wlewała się do kilku pokoi; nic poważnego, ale zostały plamy na suficie. Czekaliśmy przez całe lato, aby upewnić się, że wszystko dobrze wyschło, a on miał tylko pomalować sufity. Pracował trzy dni i sądziłem, że tym razem będzie inaczej, bo wyglądał na ożywionego, miał chęci do pracy. Opróżniliśmy mój gabinet, żeby malował tu następnego dnia – powiedział, podnosząc lewą rękę i pokazując na żółtą plamę na suficie, nad oknem. – Już nie wrócił i nie muszę dodawać, że wcale nie byłem zdziwiony. W przeszłości zdarzało się to już nie raz. Zanim wyszedł poprzedniego wieczoru, powiedział, że potrzebuje pieniędzy, więc dałem mu część tego, co miałem mu zapłacić; kiedy nie wrócił, pomyślałem po prostu, że zabalował. Gdy nie przyszedł następnego dnia, zadzwoniłem do mojej siostry, ale ona mi powiedziała, że nie ma go w domu. Zawsze usprawiedliwiała tego chłopaka, zawsze go kryła, nie wiem nawet, czy to prawda, że go nie było – powiedział, wzruszając ramionami. – Tak więc

spisałem go na straty. Bracia pomogli mi z powrotem ustawić wszystko na swoim miejscu i po raz enty postanowiłem już nigdy więcej nie ufać mojemu bratankowi. Kiedy przyjechał tutaj Álvaro Muñiz de Dávila, wiedziałem, co się stało. Przypuszczam, że gdy Toñino prznosił stół, szuflada, która jest trochę luźna, wysunęła się, a aktówka z tym dokumentem wypadła i w ten sposób mój bratanek znalazł się w jego posiadaniu. Gdy tylko Álvaro stąd wyszedł, pojechałem do domu mojej siostry, żeby porozmawiać z Toñinem, ale to było daremne, nawet nie wystawił nosa za drzwi. Kiedy tam stałem, dostałem pilny telefon i wróciłem do klasztoru.

– Chce pan, abym uwierzył, że wrócił pan do klasztoru ot tak, wiedząc, co robi pański bratanek, i po tym, jak Álvaro panu groził?

– Przysięgam, że tak właśnie zrobiłem.

– Zadał pan sobie wiele trudu, żeby ukryć to, co wydarzyło się tutaj w nocy, podczas której zmarł Verdaguer, i całymi latami myślał pan, że kontroluje wszystkie uwikłane w to osoby, ale po tym, jak przyjechałem, by zapytać o Álvara, zostawił pan swoje zajęcia w klasztorze, by porozmawiać z byłym bratem Mariem Ortuñem i nakazać mu, żeby siedział cicho. Chce mi pan powiedzieć, że próbował też uciszyć pozostałych?

Przeor zaczął zaprzeczać.

Nogueira jednak podniósł rękę, powstrzymując jego protesty.

– W grze jest zbyt wiele: gwałciciel nie żyje, ale skandal mógłby się zakończyć poważnym uszczerbkiem na honorze klasztoru, a pan trafiłby do więzienia za upozorowanie samobójstwa brata Verdaguera i za bycie współwinnym wykorzystywania seksualnego nieletniego.

Przeor jęknął, pochylając się i zakrywając sobie twarz ręcznikiem. Nogueira spojrzał na niego bez cienia litości, chwycił jeden koniec ręcznika i mocnym pociągnięciem wyrwał mu go z rąk. Wystraszony duchowny przechylił się do tyłu i odruchowo zakrył twarz dłońmi, jakby gwardzista

zamierzał go uderzyć. Nogueira obserwował go z nieskończoną pogardą. Na jego ustach zarysowała się prosta linia.

– Masz rację, ty gnido, powinienem połamać ci wszystkie kości – wyszeptał, lekceważąco przechodząc na ty.

Wystraszony przeor zaczął płakać i mamrotał coś niezrozumiale.

Nogueira wyjął papierosa i nie pytając o zgodę, zapalił go, po czym zaciągnął się głęboko w charakterystycznym dla siebie stylu.

– Powiem ci, co według mnie się wydarzyło – zaczął z absolutnym spokojem. – Myślę, że zaczekałeś na swojego bratanka na skrzyżowaniu w pobliżu Os Martiños, pojechałeś za nim, a kiedy znaleźliście się w mało uczęszczanym miejscu, pokazałeś mu, żeby zatrzymał się na poboczu. Jesteś stary, ale byłeś bardzo zły, a twój bratanek nie ważył nawet sześćdziesięciu kilogramów; myślę, że go pobiłeś, zraniłeś jakimś ostrym przedmiotem, a potem powiesiłeś na drzewie, z którego zdjęliśmy go wczoraj wieczorem. Dlatego gównie cię obchodziło, że mógł zaginać, dlatego byłeś taki spokojny.

Kiedy Nogueira przedstawiał swoją hipotezę bestialstwa, miał świadomość, co oznacza brutalność taka jak ta, o której opowiadał. Ofelia była przekonana, że ten, kto pobił Toñina, i ten, kto go zranił, to dwie różne osoby, a gwardzista wiedział z doświadczenia, że lekarka rzadko się myli. Jednakże wywieranie nacisku na tym sukinsynu sprawiało mu ogromną przyjemność. Wśród wszystkich potworów najbardziej nienawidził tych, które zadawały się z dziećmi, i tych, które dawały tym pierwszym schronienie. Był pewien, że jeśli wystarczająco go zastraszy, to przeor ostatecznie wyzna część prawdy, którą skrywał.

Mężczyzna płakał, kręcąc głową, i podniósł ręce na znak niewinności. Nie miał śladów na kostkach i chociaż minęło już wiele dni, nietrudno byłoby sprawdzić, czy w ogóle tam były.

Nogueira kontynuował:

– Potem umówiłeś się z Álvarem Muñizem de Dávilą na jakimś odcinku drogi w Chantadzie, aby przekazać mu, że niebezpieczeństwo minęło, ale on niczego ci nie ułatwił. Przypuszczam, że zażądał dokumentu, o co ja sam bym na jego miejscu poprosił, by mieć pewność, że sytuacja już się nie powtórzy, a może miał już dosyć tych świństw i postanowił, że wszystko ujawni. Tak byłoby najlepiej i ostatecznie zapewne tak się stanie. – Wystraszony przeor otworzył szeroko oczy. – Tak, myślę, że tak właśnie było, pokłóciliście się i go dźgnąłeś. Musiał być zdziwiony, że zakonnik jest zdolny do czegoś takiego i potrafił go zaskoczyć. Był silny, wsiadł do samochodu i ruszył, ale ty musiałeś się upewnić, że nie piśnie słowa, więc pojechałeś za nim tą białą furgonetką, którą chowasz w garażu, i zepchnąłeś go z drogi; dlatego nie zaprowadziłeś auta do naprawy. Analiza potwierdziła, że farba z furgonetki i farba, która przyczepiła się do tylnej części samochodu Álvaro, to ten sam materiał.

Przeor się wzdrygnął i przestał pojękiwać. Poruszając ustami jak zdychająca ryba, wstał i zaczął grzebać w dokumentach ułożonych na tacy na biurku.

– Nie, nie, nie, myli się pan, mam dowód, mam dowód – powiedział, wywracając papiery i powodując, że większość lądowała na podłodze. Brał dokument do ręki, czytał nagłówek i rzucał byle jak, szukając kolejnego, aż w końcu twarz mu pojaśniała, kiedy spojrzał na jeden z nich. – Widzi pan? Widzi pan? – powtarzał, tak mocno potrząsając papierem przed oczami gwardzisty, że nie dało się nic przeczytać.

Nogueira zabrał mu dokument i natychmiast go rozpoznał: było to oświadczenie kierowcy o braku winy w wypadku.

– Álvaro przyjechał, aby ze mną porozmawiać, i to prawda, że był bardzo zły. Powiedział, że nie zapłaci, że jest mu wszystko jedno, że jak dla niego to ta sprawa może zostać ujawniona, bo jedynym, który ma się czego wstydzić,

jestem ja, i że jeśli chcę, to znajdę jakiś sposób, by to wyciszyć. Kiedy już odjeżdżał, podczas cofania uderzył w furgonetkę, której używamy do przywożenia zakupów, a która była zaparkowana naprzeciwko garażu. Chciał to natychmiast naprawić: wypełnił dokumenty z bratem Anselmem, a ten przyniósł mi je potem, żebym je schował. Czekaliśmy, aż zadzwonią z ubezpieczenia, dlatego nie oddaliśmy pojazdu do warsztatu – powiedział zbyt wysokim przez napad złości tonem. – Przypuszczam, że teraz już nikt się tym nie zajmie...

– Dlaczego ją ukrywaliście?

– Nie wiem, widzieliśmy, że pan węszy, a nie mieliśmy pojęcia, czego pan szuka.

Nogueira westchnął, porządkując myśli.

– Groziłeś swojemu bratankowi, powiedziałaś mu, że sprawy nie będą tak zostawione, że nie wie, z kim się zadaje.

Mężczyzna pokręcił głową. Był wyczerpany.

– Chciałem go tylko ostrzec, miałem na myśli Álvara. Wiedział, że szybko się z nim skontaktuje, Álvaro miał nawet zamiar się spotkać, a ja nie mogłem podać mu adresu, bo był wściekły. Mimo to nalegał i nie chciał wyjść, dopóki nie przekazałem mu numeru telefonu Toñina. Toñino nie był zły, owszem, porywczy i niezbyt inteligentny, ale nie zły. Próbowałem mu wytłumaczyć, jaka to poważna sprawa, ale nawet nie wyjrzał, tylko chował się za moją siostrą.

Te informacje nie wносиły do sprawy nic nowego. Wiedzieli już, że Álvaro dzwonił do Toñina po południu. Pytanie brzmiało: po co? Aby powiedzieć, że nie da mu pieniędzy, czy w celu umówienia się na spotkanie z obietnicą zapłaty, a tak naprawdę z zamiarem rozwiązania problemu morderstwem?

Wyobrażenie tej sceny sprawiło, że gwardzista o czymś sobie

przypomniał.

– Powiedziałeś, że kiedy stałeś przed drzwiami domu swojej siostry, zadzwonili z klasztoru w pilnej sprawie...

– Tak, miałem to panu wyjaśnić. Brat Nazario jest jednym z najstarszych zakonników, ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Dostał zawrotów głowy, nic poważnego, to przez wysokie ciśnienie, ale upadając, złamał sobie nos; to też nic poważnego, tyle że on przyjmuje Sintrom, lek przeciwwadrowy, który wydłuża czas krzepnięcia krwi, więc dostał silnego krwotoku i musiała po niego przyjechać karetka. Spędziłem przy nim całą noc na obserwacji na pogotowiu, aż lekarzom udało się powstrzymać krwawienie i dodatkowo musieli mu zrobić kilka transfuzji. Jeśli pan chce, może z nim porozmawiać, od trzech dni jest już w klasztorze.

Nogueira jeszcze raz przeczytał oświadczenie. Wszystko się zgadzało, godzina i szczegółowy opis stłuczki. Pismo pasujące do podpisu należało do Álvara, a litery nie zdradzały stanu szczególnego zaniepokojenia.

– Będę potrzebował kopii tego dokumentu – powiedział gwardzista, podczas gdy przeor tylko przytakiwał. – Sprawdzę też tę sprawę z pogotowiem i jako że mnie okłamałeś, zajmę się tym, by cię zamknęli za pederastię, a wtedy zobaczysz, jak dobrze będziesz się bawił w więzieniu – zakończył, ciesząc się z dreszczy, jakie przebiegły po ciele przeora.

Dostał telefon i gdy otrzymał kopię dokumentu, wyszedł stamtąd, ale wcześniej rzucił jeszcze mężczyźnie ostatnie, groźne spojrzenie.

Niechętnie pojechał w kierunku osiedla Os Martiños.



zienie dobry, kapitanie – przywitała go sąsiadka ciotki Toñina, otwierając drzwi, zanim Nogueira zdążył zapukać.

Nietrudno było ją sobie wyobrazić stojącą przy oknie i czekającą jak jeden z jej kotów.

– Poruczniku – poprawił ją mężczyzna.

– Poruczniku, kapitanie, na jedno wychodzi, proszę wybaczyć biednej wdowie jej ignorancję w sprawie stopni wojskowych – powiedziała, odsuwając się na bok, by zrobić mu przejście.

Odwracając głowę, żeby nie mogła go zobaczyć, wykrzywił twarz, na której pojawiła się mieszanka obrzydzenia i podejrzliwości. Czyżby usłyszał pewien kokieteryjny ton w głosie tej wiedźmy? Był tego niemal pewien, dodając do tego fakt, że – chociaż od jej telefonu minęła ponad godzina –

kobieta nadal miała na sobie jedynie koszulę nocną, która wystawała przez otwór w rozpiętym szlafroku, ukazując pokaźną porcję bladej skóry ze starczymi plamami.

Odetchnął głęboko, starając się uspokoić, i natychmiast pożałował, że wdychał zapach biszkoptów i moczu kota, które przypominały mu o jego poprzedniej wizycie.

Nogueira spojrzał na nią, chcąc skrócić pobyt w tym domu.

– O co chodzi?

– Powiedział pan, żebym zadzwoniła, jeśli coś sobie przypomnę...

– Tak, mówiła mi to pani przez telefon. Co takiego sobie pani przypomniała?

Zamiast odpowiedzieć, kobieta przeszła obok niego i usiadła na sofie przy oknie.

– Najpierw muszę zapoznać pana z faktami poprzedzającymi tamto zdarzenie, żeby zrozumiał pan, dlaczego nie przypomniałam sobie tego wcześniej, i przekonał się, że nie kłamię – powiedziała, poklepując wolną część sofy obok siebie.

Robiąc dobrą minę do złej gry, porucznik posłuchał.

– Cierpię na bezsenność, kapitanie. Jestem jeszcze młodą i aktywną kobietą i muszę brać tabletkę, żeby zasnąć, ale czasem zapominam to zrobić. Kiedy tak się zdarza, jest to uciążliwe, bo gdy kładę się do łóżka, zasypiam natychmiast, ale zanim minie pierwsza, budzę się i jeśli od razu nie wezmę tabletki, nie będę mogła zmrużyć oka przez całą noc.

Nogueira przytakiwał cierpliwie, mając nadzieję, że ta tortura przyniesienie mu coś pożytecznego.

– Wczoraj znów mi się przytrafiło: zapomniałam wziąć tabletkę, zasnęłam i o pierwszej, punktualnie jak zawsze, byłam tak ożywiona jak teraz, więc wstałam po pigułkę. Trzymam je tutaj, w tej komodzie –

powiedziała, pokazując mebel, na którym drzemał kot. – Przechodząc obok okna, wyjrzałam na zewnątrz i przypomniałam sobie, że w tamtą sobotę, kiedy zaginął Toñino, też zapomniałam wziąć moją tabletkę, a kiedy po nią wstałam i przeszłam obok okna, zobaczyłam samochód Toñina.

Nogueira spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem.

– Jest pani pewna?

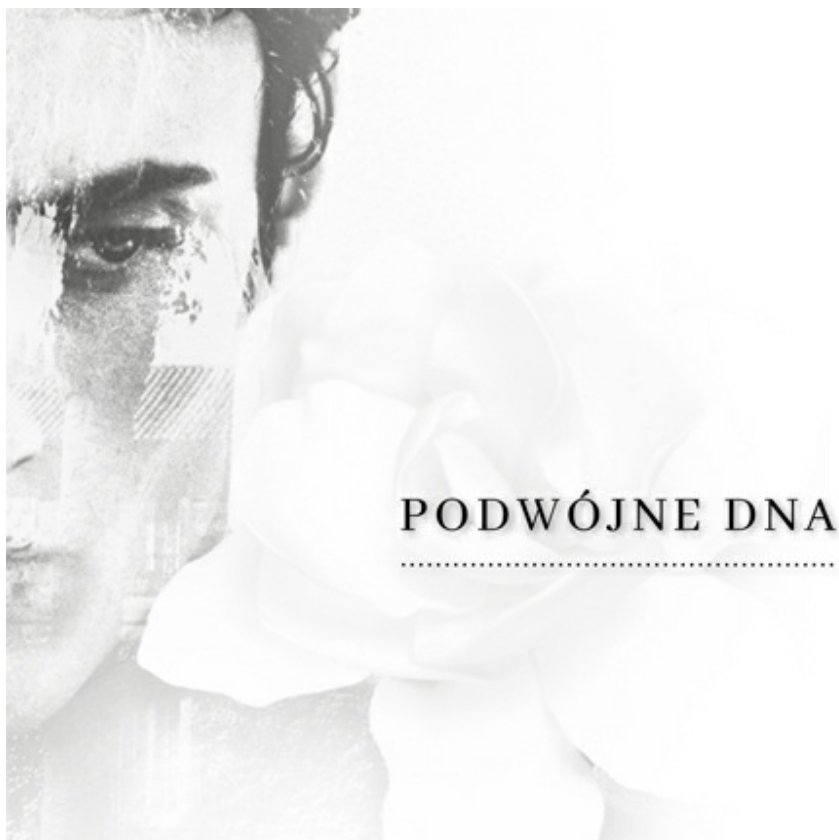
Przytaknęła ze swoją dobrze już znaną miną urażonej damy.

– Całkowicie, ale musiałam wyjaśnić panu okoliczności, dlaczego o tym zapomniałam i dlaczego przypomniałam sobie wczoraj, kiedy sytuacja się powtórzyła. W tamtym momencie nie przywiązywałam do tego wagi, bo w tym, że samochód tu stał, nie było nic szczególnego. Byłam na wpół senna, ale wiem, co widziałam. I nie tylko to: wzięłam tabletkę, wróciłam do łóżka i zaśnięcie zajęło mi jeszcze dobrą chwilę, zawsze tak się zdarza, i wtedy usłyszałam silnik samochodu oraz dźwięk oddalającego się pojazdu.

– To jest bardzo ważne – powiedział Nogueira, patrząc jej w oczy. – Jest pani pewna co do godziny?

Uśmiechnęła się poirytowana.

– Kapitanie, była pierwsza. Chociaż nie jestem już młódką, to w sprawie godzin i innych rzeczy chodzę jak w zegarku.



PODWÓJNE DNA



Manuel nachylił się, żeby wyjrzeć przez przednią szybę. Niebo nadal było tak ołowiane jak wcześniej rano, jakby ten dzień miał w ogóle nie nadejść, ale spokój panujący w godzinach porannych zastąpiły podmuchy nieposłusznego wiatru, kręcącego pierwszymi liśćmi, które odrywały się od drzew. Kiedy jechał w kierunku pazo, zaczęło padać. Melancholia deszczu i monotonne ruchy wycieraczki w połączeniu z brakiem Kawy u jego boku wydawały mu się nie do zniesienia. W głowie Manuela mimowolnie pojawił się obrazek Antii ściskającej psa.

Zaparkował przy bramie pazo, w tym samym miejscu co pierwszego dnia. Santiago był jeszcze w szpitalu i prawdopodobnie towarzyszyła mu Catarina, ale Manuel nie chciał ponownego spotkania z Krukiem ani żeby kobieta podejrzewała, co tu robi. Włożył na głowę kaptur i idąc na skróty między żywopłotami gardenii, dotarł do kuchni.

Czarny kot trzymał straż naprzeciwko drzwi, których górna część pozostała otwarta. Nie było ani śladu Herminii czy Sarity, ale przypuszczał, że są w pobliżu, zajęte jakąś pracą w domu, ponieważ w piecu palił się ogień i do Manuela dobiegało przyjemne ciepło zapachu gorącego drewna. Stał tak przez chwilę, wahając się, czy zawiadomić je o swojej obecności, czy od razu iść po to, po co tu przyjechał. Prowadzące na schody drzwi były otwarte i tam właśnie się skierował. Wszedł szybko, czując się jak kłusownik w domu, który tego dnia, pod ołowianym niebem, stracił urok zjeżdżalni światła, co zafascynowało go podczas pierwszej wizyty. Brudny błysk, który wciskał się przez duże okna, nadawał marmurowi cynowego koloru, a to zwiększało jego odczucie, że nie jest tu mile widziany.

Dwukrotnie policzył rząd drzwi, by mieć pewność, że się nie pomyli, mocno chwycił lodowatą klamkę i ją nacisnął. Jego oczom ukazał się luksusowy pokój – jak mu powiedziała Elisa – połączony z drugim, do którego drzwi były otwarte. W dziecięcej sypialni, z drogimi meblami mającymi służyć całą wieczność, panowała iście królewska atmosfera, jakby był to pokój średniowiecznego księcia, zdecydowanie zbyt poważny dla takiego małego cyrkowca, jakim był Samuel. Z drugiej jednak strony główna sypialnia była wprost usiana tu i tam zabawkami, pluszakami, wozami strażackimi, a nawet kolekcją motocykli ustawionych na toaletce. Nietrudno było zgadnąć, że Samuel spał z matką, odkąd opuścił kołyskę, i że istnienie drugiego pomieszczenia wynikało bardziej z zasad panujących w całym domu niż z jego potrzeb.

Na komodzie znalazł witrynę, w której na tle z niebieskiego jedwabiu wisiał srebrny klucz zwieńczony szafirami, rozmieszczonymi dookoła inicjałów Samuela. Gdy go dotknął, Manuela przeszedł dreszcz: był tak lodowaty jak klamka w drzwiach. Przez chwilę trzymał klucz na otwartej dłoni, podziwiając jego piękno i rodowy koszmar przedmiotu obmyślonego

tak, by był grzebany razem ze swoim właścicielem. Schował go do kieszeni i, podobnie jak postąpił w przypadku drzwi na korytarzu, liczył szuflady, by mieć pewność, że nie otworzy innej niż ta, której szukał. W środku znajdowała się jedynie czarna aktówka. Wziął ją i ostrożnie rozsunął zamykający suwak. Wewnątrz było około dwudziestu spiętych spinaczem kartek z nagłówkiem prywatnej kliniki, na których wyszczególniono badania na obecność narkotyków, które robiła sobie Elisa Barreiro; najstarsze pochodziły z ostatnich tygodni ciąży, a najnowsze z poprzedniego miesiąca. Markiza była bardzo skrupulatna w swoich wymogach, ponieważ badania – wszystkie negatywne – zawierały cały przekrój używek: od heroiny i marihuany do kokainy oraz środków uspokajających. Zamknął oczy i odetchnął z mieszanką ulgi i wstydu, przypominając sobie twarde spojrzenie, jakim Elisa pożegnała go minionej nocy.

Wkładając na głowę kaptur kurtki Álvara, Manuel przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej schronić się przed deszczem w korytarzu drzew prowadzącym aż do kościoła i zapewnić sobie osłonę przed spojrzeniami mogącymi dosięgnąć go z domu; przynajmniej do miejsca, w którym znajdował się kościół. Zamek był wbudowany w surowe drewno drzwi; klucz początkowo wchodził opornie, co wywołało u niego obawę, że ostatecznie ten klejnot jest tylko symbolem i nie pasuje do wiekowego zamka. Wprowadził klucz do samego końca i przekręcając, poczuł, jak stara sprężyna ustępuje pod wpływem nacisku. Usłyszał echo kliknięcia zamka i drzwi się otworzyły. Zanim wszedł, rzucił okiem na drogę i zobaczył, że pod dużym czarnym parasolem idzie stary ogrodnik, który czasem pełni także funkcję grabarza. Mężczyzna podniósł rękę w geście, który był zarazem powitaniem i bezsprzecznym sygnałem, by na niego zaczekał. W tym czasie Manuel przymknął drzwi i włożył klucz Samuela do kieszeni.

– Dzień dobry, panie... – powiedział zbliżający się mężczyzna.

– Manuelu, bardzo proszę – odparł, podając mu rękę.

Ogrodnik ścisnął ją mocno.

– Tak, Manuelu... Zastanawiałem się, czy miałby pan minutę na rozmowę – powiedział, odwracając się, by spojrzeć na drogę i na wysokie okna domu, które były widoczne nad drzewami. – Chciałem porozmawiać z panem w dniu pogrzebu, kiedy stał pan przy grobie...

Manuel skinął, pamiętając. Odniósł wtedy wrażenie, że mężczyzna chce mu coś powiedzieć, a potem zwyczajnie o tym zapomniał.

Ogrodnik ponownie skierował wzrok w stronę okien domu.

– Moglibyśmy pomówić w środku? – zapytał, pokazując brodą na wejście do kościoła.

Manuel popchnął drzwi i pokazał mu ręką, żeby wszedł, choć czuł się dziwnie, zapraszając kogoś do miejsca, w którym on sam nie powinien się znajdować.

Mężczyzna zamknął drzwi, zabezpieczając je od wewnątrz, ale to Manuel grał tu gospodarza, prosząc, by usiadł w ostatniej ławce.

Być może wiedziony półmrokiem panującym w świątyni, który wzywał do kontemplacji, ogrodnik mówił szeptem, ale ton jego głosu i tak brzmiał stanowczo.

– Znałem Álvaro od małego, w zasadzie znałem wszystkich braci, ale z Álvarem zawsze łączyły mnie dobre relacje. Santiago jest taki jak jego ojciec: traktuje ludzi, wszystkich ludzi, jakby byli od niego gorsi, a Fran, chociaż był dobrym chłopcem, robił swoje. Álvaro natomiast zawsze miał chwilę, żeby się zatrzymać i ze mną porozmawiać, oferował nawet swoją pomoc, kiedy widział, że miałem dużo pracy.

Manuel skinął, przeczuwając, że być może mężczyzna chce mu tylko złożyć kondolencje.

– W pazo robię różne rzeczy, w większości bardzo satysfakcjonujące, ale

bez wątpienia najtrudniejsze jest wypełnianie funkcji grabarza. W sytuacjach, kiedy niestety jest to konieczne, nie robię tego sam, tylko wzywam kilku robotników dniówkowych, którzy mi pomagają, ale to ja zajmuję się dokończeniem pracy i zostawieniem wszystkiego tak, jak powinno być. W dniu pogrzebu starego markiza Fran nie wrócił do domu; został tutaj i usiadł na ziemi, obok grobu ojca, podczas gdy ja zapełniałem dół łopata po łopacie. Wyrzuciłem pozostałych robotników i pracowałem tak wolno, jak mogłem, bo nie chciałem zostawiać go samego. Nie protestował, bo może zdawał sobie sprawę, że ja nie miałem wyjścia i musiałem tam być. Nie płakał. Przestał to robić w chwili, gdy opuściliśmy trumnę do grobu, ale było w nim coś tysiąc razy gorszego. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale serce się krajało.

Wtedy przyszedł Álvaro. Usiadł na ziemi obok niego i przez kilka minut milczał; potem powiedział swojemu bratu najpiękniejsze słowa skierowane do mężczyzny, jakie kiedykolwiek słyszałem. Ja nie umiem wyrażać się tak jak on i nie mogę powtórzyć tego, co dokładnie powiedział. Mówił o tym, co pociąga za sobą bycie synem, co oznacza podążanie za ojcem, mówił o miłości ponad wszystkim i pewności, że ona nigdy cię nie zawiedzie, mówił mu także o znaczeniu bycia ojcem. Stwierdził, że życie daje mu drugą szansę, że dziecko, które nosi w sobie jego narzeczoną, jest jego sposobnością na bycie ojcem, na obdarzenie potomka taką miłością i troską, jakie on sam czuł przez całe swoje życie. Dodał, że jego syn jest znakiem, dobrą wróżbą i szansą, by wszystko się ułożyło.

Manuel skinął delikatnie, rozpoznając słowa, które Fran powtórzył Lucasowi kilka godzin później.

– Stopniowo Fran, w miarę jak przytakiwał słowom brata, zmieniał swoje nastawienie. W końcu powiedział: „Myślę, że masz rację”, a także: „Cieszę się, że tutaj jesteś, Álvaro, ponieważ bardzo się martwię. W rodzinie dzieje

się coś strasznego i nie mogę przestać czuć się za to odpowiedzialnym, bo koniec końców to ja sprowadziłem tego demona do naszego domu”. Wtedy zaczął padać deszcz i Álvaro przekonał go, żeby kontynuowali rozmowę tutaj, w kościele. – Mężczyzna spojrzał na ołtarz, na którym błyszczało pokryte złotem płatkowym tabernakulum, chociaż w środku było tylko słabe, ołowiane światło wpadające przez malutkie okna. Znów spojrzał Manuelowi w oczy, by powiedzieć: – Mówię to panu, bo wiem, że teraz to pan stoi na czele rodziny, i myślę, że powinien pan wiedzieć, że pomimo wszystkiego, co pan usłyszy i co mogą panu opowiedzieć, ani Fran nie popełnił samobójstwa, ani Álvaro nie miał z tym nic wspólnego.

Manuel ze zdumienia otworzył szeroko oczy. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, by podejrzania wobec Álvaro były tak rozpowszechnione.

– To, jak Álvaro mierzył ze strzelby do swojego ojca, widzieli wszyscy pracownicy pazo, a najgorsze jest to, że jego rodzice byli odpowiedzialni za rozgłaszanie plotki, jakoby chłopiec był niebezpieczny – ciągnął mężczyzna. – Jak pan myśli, co się stało po tym, jak własny ojciec nazwał go mordercą na oczach wszystkich? Stary markiz uwielbiał Frana, ale wszyscy wiedzieli, że matka go nienawidziła, a kiedy na dodatek wrócił z dziewczyną w ciąży, wpadła w szal. Wie pan, jak nazywa swojego wnuka? – Manuel zamknął oczy i przytaknął zasmucony. – Kiedy po śmierci markiza Fran zaczął zachowywać się w ten dziwny sposób, wszyscy myśleliśmy, że jego matka wyrzuci go z domu albo zrobi coś jeszcze gorszego. Pazo jest jak burdel, tutaj się wie o wszystkim. Ja, jak już mógł się pan przekonać po tym, co właśnie opowiedziałem, jestem cierpliwy, umiem słuchać i mam doskonałą pamięć.

Manuel pożegnał się z Alfredem przy wejściu do kościoła. Patrzył, jak ogrodnik z powrotem podąża ścieżką pod swoim czarnym parasolem, i znowu wrócił do środka, upewniwszy się, że drzwi są dobrze zamknięte.

Kiedy szedł w stronę ołtarza, podłoga w szachownicę sprawiała, że jego kroki rozlegały się jeszcze donioślej, roznosząc ten dźwięk aż do sklepienia. Dostrzegł wtedy małą czerwoną lampkę świecącą się obok tabernakulum. Włączył latarkę w swoim telefonie komórkowym i obejrzał nastawę ołtarzową, której centralną część poświęcono Świętej Klarze – być może to wspomnienie po pierwotnej nazwie pazo. Po bokach stały dwa kandelabry z antycznego srebra, kunsztownie wykonane, które miały ponad metr wysokości i opierały się na czterech nogach. Manuel powoli popchnął środkowe ramię i przekonał się, że są niebywale ciężkie. Po jednej stronie głównego ołtarza drzwi, przez które musiał przejść schylony, zaprowadziły go do zakrystii. Cała była w drewnie, nawet sufit pokryto drewnianymi panelami, z pewnością z kasztanowca. Nie było okien, ale za rzucającą się w oczy i niepasującą do reszty szarą obudową skrzynki elektrycznej znalazł panel świateł. Wszystkie były odpowiednio oznaczone. Wcisnął przycisk z napisem „zakrystia” i wystawił głowę przez małe drzwi, aby sprawdzić, czy nie włączyło się żadne inne światło. Na środku dostrzegł prosty, okrągły stół oraz krzesła z czerwoną tapicerką. Całą ścianę zajmował rząd ciężkich regałów, które sięgały mu do klatki piersiowej. Na nich stała dosyć surowa reprodukcja głównego tabernakulum oraz różne zestawy półmisek i dzbanków wykorzystywanych podczas mszy. Sprawdził wewnątrz każdej szafy i przekonał się, że za drzwiami znajdowały się ciężkie szuflady, z których kilka trudno mu było otworzyć. Znalazł świece parafinowe i świeczki z wosku, z pewnością zarezerwowane na specjalne okazje; zapalki, zapalniczki i kolekcję starych gaśników. W drugiej szafie znajdowały się obrazki, mszały i kilka podręcznych Biblii oraz tych służących do odprawiania nabożeństwa, a także lniane pledy na ołtarze zapakowane w plastikowe przezroczyste torebki. Kolejny mebel zapełniały kryształowe wazony. Ostatnia szafa w rzędzie była pusta i uwagę Manuela od razu

zwróciło to, że nie była tak głęboka jak pozostałe. Musiał uklęknąć, aby zobaczyć, że tylna ściana to w rzeczywistości drzwi. Metalowy zamek błyszczał, jakby niedawno ktoś go dotykał. Pociągnął za niego, ale nie drgnął ani o milimetr. Spojrzał w stronę wielkiej szafy, w której wisiała kolekcja białych ornatów, a na półce u góry leżały starannie złożone kolorowe stuły. I nic więcej.

Ponownie uklęknął przed szafą z podwójnym dnem i kostkami delikatnie uderzył o powierzchnię, dzięki czemu upewnił się, że jest pusta. Znowu wstał i wyszedł z zakrystii. Przez następne minuty metr po metrze sprawdzał podłogę, na której stały ławki świątyni, aż kroki z powrotem zaprowadziły go do głównego ołtarza. Oparł swój telefon o nastawę i z najwyższą ostrożnością położył jeden z kandelabrow z zamiarem odszukania ukrytego znaku złotnika, który – jak mieli oni w zwyczaju – był umieszczany w mało widocznym miejscu. Ten rzemieślnik na swój podpis wybrał gwiazdę, podobną do asterysku, której końce wyglądały jak ostrze siekiery. W aparacie telefonu Manuel ustawił opcję pozwalającą wychwycić najdrobniejszy szczegół i zrobił kilka zdjęć. To samo powtórzył przy drugim kandelabrze i podczas gdy się im przyglądał, poszukał wśród kontaktów numeru Griñána i do niego zadzwonił.

Natychmiast przywitał go uprzejmy głos notariusza.

– Dzień dobry, panie Ortigosa, czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Manuel się uśmiechnął, zarzucając sobie słabość, z powodu której wykonawca testamentu zawsze wydawał mu się sympatyczny.

– Griñán, pamięta pan, jak mi mówił, że niedawno doszło do kradzieży w kościele?

– Tak. Nie wiem, dokąd nas to zaprowadzi: przez niedopatrzenie ktoś wszedł i zabrał dwa cenne kandelabry z antycznego srebra. Chociaż nie wiemy dokładnie, kiedy do tego doszło, kradzież została odkryta z okazji

mszy odprawianej w świątyni na cześć Świętej Klary, patronki. Jak panu mówiłem, kościół jest otwierany tylko na określone uroczystości.

– Tak, pamiętam... Mówił mi pan też, że Santiago poruszył niebo i ziemię, żeby znaleźć podobne kandelabry...

– Owszem, zajął się tym osobiście. Chciał jak najszybciej ustawić je na ołtarzu i znalazł bardzo podobne, oczywiście pozbawione wartości tych oryginalnych.

– A skąd pan wie, że nie są tak cenne?

– Ponieważ zatwierdzałem płatność i nie kosztowały więcej niż dwie setki. Nie licząc wartości historycznej i artystycznej, samo srebro tych oryginalnych było warte ponad trzysta tysięcy za kilogram... a były one bardzo ciężkie.

– Domyślam się, że zostały ubezpieczone.

– Tak, naturalnie, sprawujemy najwyższą kontrolę nad wszystkimi dziełami sztuki w pazo, które są inwentaryzowane co dwa lata albo w chwili, gdy nabywa się coś nowego.

– A zatem przypuszczam, że przechowuje się również zdjęcia zaginionych kandelabrow, aby móc żądać pieniędzy z ubezpieczenia.

– Tak, w rzeczy samej, chociaż w tym przypadku don Santiago wolał nie zgłaszać tego ubezpieczycielowi, żeby nie podnieśli polisy, ponieważ zaledwie kilka miesięcy wcześniej don Santiago zgubił zegarek, za który, owszem, domagaliśmy się pieniędzy.

– Wie pan, czy zgłoszono kradzież?

– Cóż... Przypuszczam, że tak.

Manuel milczał przez kilka sekund. Kiedy się zastanawiał, po drugiej stronie linii wyczuwał niespokojną obecność notariusza.

– Proszę posłuchać, Griñán, muszę pana prosić o przysługę i chcę, żeby był pan bardzo dyskretny... – Jego ostatnie słowa brzmiały bardziej jak

ostrzeżenie niż cokolwiek innego i Manuel wiedział, że Griñán to zrozumiał, wnosząc po tonie głosu, jakim odpowiedział.

– Oczywiście, może pan na to liczyć.

– Proszę zdobyć zdjęcia skradzionych kandelabrow i fakturę za zakup nowych.

Cisza, jaka zapadła przed odpowiedzią, potwierdziła jego przypuszczenia, że notariusz umierał z ciekawości. Mimo to odparł tylko:

– Zajmę się tym osobiście, natychmiast, ale może mi to zająć trochę czasu.

– Griñán... Wynagrodzę to panu – powiedział Manuel, zanim się rozłączył. Nie musiał go widzieć, aby wiedzieć, że notariusz się uśmiechał.

Przywrócił kandelabry do ich pierwotnej pozycji i jakby wiedziony przecuciem, ponownie udał się do zakrystii, uklęknął przed szafą z podwójnym dnem i włożył do zamka klucz Samuela. Pasował idealnie, otwór nie był za szeroki, tak jak przy drzwiach wejściowych. Wykonał pełen obrót, usłyszał przeskakującą sprężynę i drzwi się otworzyły. Zganił się, że nie pomyślał o tym wcześniej: to logiczne, że tak ważny przedmiot odgrywa rolę klucza generalnego, otwierającego wszystkie zamki w kościele. Ponownie schował klucz i włożył opuszki palców między szczelinę i ścianę, żeby otworzyć drzwiczki bez uchwytów.

Zgnieciony jedwabisty materiał ześlizgnął się z półki. Błyszcząca czerwona tkanina przywiodła na myśl zasłonę, ale pociągnąwszy za nią, zobaczył suwak i wiedział już, że jest to śpiwór. Za nim znajdowały się dwa kieliszki i dwie nierozpoczęte butelki wina, które ktoś ostrożnie położył, by utrzymać mokry korek; do tego opakowanie wilgotnych chusteczek, paczka prezerwatyw oraz starannie złożony materiał, którego w pierwszej chwili nie potrafił zidentyfikować, ale kiedy wziął go do ręki, rozpoznał od razu: było to ubranie, którym Santiago zakrywał twarz, kiedy Manuel widział go

płaczącego w kościele. Lepki materiał w kratę, po którym prześlizgiwały się jego dłonie, okazał się bielizną. Zbliżył go do twarzy i poczuł zapach męskiego potu wymieszany z perfumami oraz wilgocią płaczu Santiaga, wciąż obecnymi na materiale.

Rozłożył wszystko na podłodze i sfotografował pod różnymi kątami. Następnie z powrotem wsadził rzeczy do szafy, złożył koszulkę i po krótkim namyśle otworzył przyległą szafę, wyjął z torebki jeden z lnianych pledów i wsadził do niej koszulkę, po czym złożył plastikową torebkę tak, że zrobiła się z tego płaska i nierzucająca się w oczy paczka, którą wsunął pod własne ubranie.

Zapiął kurtkę i zamknął drzwi szafy. Na koniec zgasił światło i wyszedł.



MACHLOJKI

Deszcz sprawił, że temperatura spadła i było zimno. Mimo to Manuel wolał poczekać przy jednym ze stolików na zewnątrz hostelu, osłonięty w połowie daszkiem werandy i zmiętym parasolem, który zawsze był otwarty, bez względu na to, czy świeciło słońce, czy padał deszcz. Wrócił, mając nadzieję, że zobaczy się z Elisą i Samuelem, ale właściciel przekazał mu, że przyjechali po nich młody mężczyzna i odjechali z nim jego samochodem. Kiedy wszedł do swojego pokoju, drzwi łączące oba pomieszczenia były otwarte. Delikatny zapach mydła i dziecięcych perfum rozprzestrzenił się w powietrzu, zapewniając mu – po raz pierwszy, odkąd tu był – przyjemne powitanie, do którego przyczyniły się również leżąca na krześle otwarta torba z wystającymi z niej ubraniami chłopca, małe sportowe buty, idealnie ustawione przy oknie, a przede wszystkim kartka na łóżku, na której Elisa napisała, że zobaczą się później, i którą podpisała: „Buziaki od Elisy

i Samuela”.

Na stole na tarasie znajdowały się telefon, który Manuel po raz trzeci wziął do ręki, upewniając się, że głośność jest włączona, nieodłączna przekąska w postaci pieroga z mięsem oraz parująca kawa, która bardzo szybko stygła. Przez wzbijającą się z filiżanki parę zobaczył nadchodzących Lucasa i Nogueirę. Ksiądz usiadł obok niego, a gwardzista zaczął, aż wszystko znajdzie się na stole, po czym wyjął dokument i podał go Manuelowi.

– Co to jest? – zapytał zdezorientowany, rozpoznając pismo Álvaro.

– Oświadczenie kierowcy o braku winy w wypadku. Przeor mówi, a pół tuzina zakonników jest gotowych przysiąc, że kiedy Álvaro po spotkaniu z nim cofał samochodem, przypadkowo uderzył w zaparkowaną furgonetkę. Dodaje, że wypełnili formularz i odjechał. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku; jeśli rozpoznasz pismo i jego podpis, to tłumaczyłoby obecność farby z furgonetki na samochodzie Álvaro.

Manuel skinął, nie przestając patrzeć na kartkę.

– To jego pismo... Ale nie oznacza to, że przeor nie zabił swojego bratanka i Álvaro. Jak sam powiedziałaś, wszystko mogło się wydarzyć w inny sposób, w innej kolejności...

Nogueira pochłonął pieroga i dopiero wtedy odpowiedział:

– Przeor dostał telefon, kiedy stał przed drzwiami domu swojej siostry, widziałem zapis połączeń z jego aparatu. Jeden z zakonników miał domowy wypadek. To staruszek, całą noc spędził na pogotowiu, a przeor razem z nim. Mówimy o miejscu publicznym, pełnym kamer, łatwo byłoby udowodnić, że tam był. Wiesz zresztą, że Laura pracuje w szpitalu; poprosiłem ją, żeby popytała, i pielęgniarki go pamiętają. Był tam od piątej po południu do następnego dnia rano.

– A więc?

– A więc jeśli nie znajdziemy nic więcej, to przeor nie jest winien śmierci Álvaro... ani swojego bratanka – dodał, wzdychając.

– Sądziłem, że nie mogli ustalić dokładnej godziny śmierci Toñina – powiedział Lucas.

– Przed chwilą zadzwoniła do mnie Ofelia: ci z kryminalnego znaleźli w samochodzie chłopaka papierową torbę, z rodzaju tych, w których dają jedzenie na wynos w Burger Kingu. Niedaleko stąd jest jeden, czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, i w torbie był paragon fiskalny, z którego wynika, że płacił o wpół do trzeciej w nocy.

– O tej porze Álvaro już nie żył! – wykrzyknął Manuel.

– Funkcjonariusze sprawdzają nagrania z kamer, by upewnić się, że jedzenie odebrał Toñino, a nie ktoś inny. Kamery w takich miejscach zazwyczaj są dobrej jakości z powodu napadów; jeśli wyraźnie będzie widać chłopaka, wtedy Álvaro zostanie uniewinniony.

– Powiedziałeś „ktoś inny”? – zapytał skonfundowany Lucas.

– Ja się nie znam na tym jedzeniu, ale koledzy twierdzą, że było to zamówienie dla dwóch osób: dwa napoje, dwa hamburgery, dwie porcje frytek...

– Był z kimś?

– To wydaje się najbardziej logiczne... Ale przestańmy snuć domysły, tylko zaczekajmy na nagrania z kamer.

Lucas się uśmiechnął, patrząc na Manuela.

– Widzisz? Mówiłem, żebyś ufał swojemu instynktowi... Álvaro nie był mordercą.

Nogueira nie podzielał jego entuzjazmu.

– Znowu rozmawiałem z sąsiadką Rosy Marii. Przypomniała sobie, że tamtej nocy wstała o pierwszej, żeby wziąć tabletkę, i zobaczyła samochód Toñina stojący na podwórku, chociaż chwilę później odjechał. Taka

informacja przemawia na korzyść Álvaro, ale jeśli kobieta nie myli się co do godziny, uwolniłaby też Toñina od jakichkolwiek związków ze śmiercią Álvaro. To niemożliwe, aby znajdował się w dwóch miejscach jednocześnie, a między obszarem, w którym Álvaro miał wypadek, a domem ciotki Toñina w Os Martiños jest ponad pięćdziesiąt kilometrów. Myślę, że będziemy musieli złożyć kolejną wizytę pani Rosie Maríi; teraz nie było jej w domu, uprzejma sąsiadka poinformowała mnie, że pojechała do kostnicy czuwać przy chłopaku. Pogrzeb jest dzisiaj po południu, myślę, że później możemy do niej pojechać i zobaczymy, czy powie nam, dlaczego zataiła, że Toñino wrócił w nocy i niedługo potem znowu wyjechał, prawdopodobnie na spotkanie ze swoim mordercą.

– Możliwe, że niczego nie słyszała, jeśli wtedy spała... – przypuszczał Lucas.

– Po tym, jak pokłócił się z wujem i pojechał gdzieś zaraz potem, nie sądzę. Ona sama nam powiedziała, że nie śpi, kiedy się o niego martwi, a w to wyjątkowo wierzę.

Manuel skinął ze zrozumieniem, zadając pytanie księdzu:

– Rano byłeś w szpitalu, prawda? Jak się czuje Santiago?

– Spał i nie mogłem z nim porozmawiać, ale najbardziej szkoda mi Catariny: od wczoraj nie odchodzi od jego łóżka, jest rozbita. Powiedziała mi, że kiedy chłopiec go znalazł, Santiago był nieprzytomny. Od razu zrobili mu płukanie żołądka i znaleźli tam jeszcze kilka prawie całych tabletek. Lekarz twierdzi, że wcześniej musiał wziąć ich znacznie więcej, bo były tam też całkowicie rozpuszczone i zaczęły się wchłaniać... W bardzo krótkim czasie nagromadziło się zbyt wiele rzeczy: śmierć jego ojca, jego brata Frana, a kiedy zaczynał stawać na nogi, zmarł Álvaro, Catarina zaszła w ciążę, a on... Cóż, zawsze podejrzewaliśmy go o słabość i rozchwianie, a teraz wiemy, do jakiego stopnia jest bezsilny.

– Istnieje jakaś szansa, że nie była to próba samobójcza? Że wziął te tabletki przypadkowo? – zapytał Manuel.

– Obawiam się, że nie – odparł Lucas. – Jest coś, o czym nie wiesz: wczoraj po południu, zanim połknął tabletki, Santiago do mnie dzwonił. Przypuszczam, że było to wtedy, gdy pokonywaliśmy odcinek między Malpicą a Corme, gdzie nie ma zasięgu, bo włączyła się poczta i zostawił mi wiadomość. Chciał się wypowiedzieć...

– Myślisz, że zamierzał pogodzić się z Bogiem, zanim zdecydowałby się na ten krok? Sądziłem, że katolik nie zrobiłby czegoś takiego – powiedział Manuel.

– Wiem, co powiedziałem na temat zachowania Frana, i to podtrzymuję: ten chłopak nie był samobójcą. Ale Santiago jest inny, to, co się wczoraj wydarzyło, dopełnia charakteru bardzo wrażliwej osoby.

Telefon Manuela zaczął wibrować na stole – dzwonił Griñán. Pospiesznie odebrał, wysłuchał i się rozłączył. Otworzył plik ze zdjęciami, który właśnie otrzymał, i położył telefon na stole, aby Nogueira i Lucas mogli je zobaczyć.

– Pamiętacie, jak wam mówiłem, że jakiś miesiąc temu dokonano kradzieży w kościele w As Grileiras?

– Tak. Biorąc pod uwagę, że Toñino był w posiadaniu klucza, wszystko wskazuje na to, że miał coś wspólnego ze śmiercią Frana i ze zniknięciem tych przedmiotów – stwierdził Nogueira.

Manuel powiększył na ekranie znak złotnika.

– Griñán mi powiedział, że Santiago zastąpił skradzione kandelabry, że osobiście się tym zajął. Dzisiaj rano byłem w kościele i zrobiłem kilka zdjęć tych świeczników. Złotnicy posiadają bardzo szczególne podpisy, jak ten – powiedział, pokazując asterysk, którym rzemieślnik oznaczył swoje dzieło. – Poprosiłem więc Griñána o zdjęcia, które nakazuje zrobić firma ubezpieczeniowa, zanim podpisze polisę. Byłem pewien, że osoba

odpowiedzialna za inwentaryzację nie pominęłaby znaku złotnika, bo te przedmioty są warte więcej ze względu na osobę artysty i zabytkowy charakter niż sam metal, z którego zostały zrobione. A te – powiedział, przesuając palcem po ekranie, żeby pokazać im zdjęcia przesłane właśnie przez Griñána – zrobiono na potrzeby ubezpieczenia.

Obaj mężczyźni nachylili się nad stołem i zadziwieni podnieśli wzrok.

Nogueira wziął telefon w rękę i przesuwał zdjęcia do przodu i do tyłu, żeby porównać znak złotnika.

– Są identyczne! – wykrzyknął, patrząc najpierw na Lucasa, a potem na Manuela.

Ten drugi odchylił się z uśmiechem, upijając łyk kawy, która była już zimna.

– Bo to są te same kandelabry – powiedział.

Lucas podniósł obie ręce, wzruszając ramionami.

– Jesteś pewien?

– Przez chwilę się wahałem. Mogło być tak, że oryginalny zestaw liczył cztery kandelabry i że Santiago znalazł tylko dwa, ale certyfikat przesłany razem ze zdjęciami firmie ubezpieczeniowej nie pozostawia żadnych wątpliwości. Złotnik stworzył parę, właśnie tę – podkreślił, pokazując palcem na ekran telefonu.

– Myślicie, że Santiago upozorował kradzież, aby oszukać ubezpieczyciela, i zwrócił kandelabry po otrzymaniu pieniędzy? To normalna praktyka wyłudzenia kasy od firm ubezpieczeniowych... – powiedział Nogueira.

– Nie, myślę, że naprawdę je skradziono i że Santiago wiedział, kto to zrobił, dlatego nie złożył doniesienia ani nie domagał się pieniędzy z ubezpieczenia – odparł Manuel, delektując się tym, w jaki sposób zdumienie malowało się na twarzach jego przyjaciół. – Odnalazł złodzieja

i po prostu je odkupił. Álvaro nie przyjeżdżał do As Grileiras od pierwszych dni lipca, a kandelabry zostały skradzione w połowie sierpnia, więc nie miał okazji, by zobaczyć te nowe, ale kiedy to zrobił, od razu zdał sobie sprawę, że historyjka z kradzieżą jest naciągana. Wszedł do kuchni i w obecności Herminii zarzucił Santiagowi: „Kogo ty chcesz oszukać z tymi kandelabrami?”.

– Dlaczego Santiago miałyby to zrobić? – zapytał Lucas.

– To oczywiste, że chciał kogoś chronić – odparł Nogueira, patrząc uważnie na Manuela. – Kogoś, na kim bardzo mu zależało...

Manuel skinął.

– Chronił swoją kochankę, osobę, z którą od jakiegoś czasu spotykał się w zakrystii kościoła i którą podejrzewał – powiedział, po czym zabrał telefon z rąk Nogueiry, przesunął palcem po ekranie i pokazał zdjęcie, na którym widać było zawartość szafy z zakrystii.

– Dziwkę? – zapytał Nogueira, podnosząc rękę do ust, chcąc się powstrzymać. – Przepraszam, Lucas. Ewidentnie jest to miejsce schadzek.

– W kościele... – wyszeptał nieco zgorszony ksiądz.

– To idealne miejsce, nikt im nie przeszkadzał. Jak wiecie, zgodnie z tradycją tylko mężczy potomkowie rodziny mają klucz, z którym po śmierci zostają pochowani. Stary markiz ze swoim, Fran swój zgubił, ale Álvaro przekazał mu własny i pochowano go z nim. Trzy odpadają. Został tylko ten należący do małego Samuela, którego użyłem ja, ale do tej pory był schowany i Santiago wiedział, że Elisa nigdy z niego nie korzystała. To redukowałoby pozostałe klucze tylko do jednego: jego.

– Więc jeśli to nie dziwka, mając na uwadze, że Santiago raz w tygodniu odwiedza klub nocny, że właśnie zapłodnił swoją żonę, a poza tym możliwe, że utrzymuje stałe relacją z inną kobietą, to ten facet jest mistrzem – powiedział porucznik, wywołując śmiech Manuela i dezaprobatę ze strony

Lucasa. – Mój bohater!

– Nie, to nie była prostytutka – ciągnął cierpliwie Manuel. – To była osoba, którą wielu widziało w pazo, Damián, Herminia... Osoba, którą Fran zauważył w pobliżu kościoła. To powód, dla którego był tak przejęty, tak bardzo, że powiedział ci o tym podczas spowiedzi, Lucasi. Nie był jeszcze całkowicie pewien, ale podejrzewał, że dzieje się coś strasznego, dlatego powiedział o tym Álvarowi tamtego dnia, przy grobie ich ojca. Grabarz ich słyszał. Dlatego wydawało ci się, że Álvaro wiedział, o czym mówisz, kiedy mu powiedziałaś, że Fran był czymś ogromnie zmartwiony. Fran zobaczył tę osobę i pomyślał o tym, co było najbardziej logiczne: że diler kręci się po pazo, bo ma klienta, może Fran widział, jak się spotykają, może widział, że razem wchodzi do kościoła. Powiedział Álvarowi, że jest odpowiedzialny za sprowadzenie demona do domu. A kiedy Richi przyznał, że Toñino nadal robi interesy w pazo, od razu pomyśleliśmy o narkotykach. Mnie przyszło nawet na myśl, że mógł spotkać się z Álvarem, ale Toñino nie sprzedawał narkotyków, a przynajmniej nie tylko. „Nie zabija się krowy, która wciąż daje mleko”, pamiętasz?

Nogueira milczał, patrząc na niego uważnie. Myślał. Manuel widział, jak wątpliwość i pewność krzyżują się w jego oczach, zaciemniając spojrzenie ciężarem podejrzeń.

– Zamek nie był sforsowany... – powiedział gwardzista do siebie.

Manuel skinął.

– A Santiago nie zostawiłby otwartych drzwi kościoła.

– Nie, nie sądzę.

– Santiago wiedział od razu, kto to był, jedyna osoba, która nie potrzebowała wyważać drzwi, ponieważ miała klucz... A miała go, ponieważ on sam jej go dał – powiedział Nogueira.

Manuel znowu skinął.

– Toñino. Dlatego miał go przy sobie.

Nogueira, zbyt zdenerwowany, żeby siedzieć, wstał i zapalił papierosa. Rozejrzał się dookoła, jakby szukał miejsca, do którego mógłby pójść, ale ciągle padający deszcz uwięził go pod daszkiem, dlatego ograniczył się do promienia wyznaczonego przez parasol. Szukając ujścia dla swoich nerwów, zadowolili się przestępowaniem z nogi na nogę, paląc papierosa.

– Ale – odparł Lucas – jego żona właśnie zaszła w ciążę, od dawna starają się o dziecko, poza tym wy mi powiedzieliście, że każdego tygodnia chodzi do tego klubu przy drodze...

– Tak, i musi się pobudzać narkotykami, żeby skończyć... – powiedział Nogueira, przypominając sobie, co opowiedziała mu Mili.

Lucas kręcił głową z niedowierzaniem.

– Manuelu, jesteś pewien tego, co mówisz?

Manuel rozsunął kurtkę i wyjął zawiniętą torebkę plastikową, którą odpakował na ich oczach.

– Razem ze śpiworem, kieliszkami i prezerwatywami znalazłem to – powiedział, pozwalając, by ubranie wysunęło się z torebki na stół.

Nogueira wziął je do rąk i podniósł, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Delikatna tkanina prześlizgiwała się w jego dłoniach, gdy ją rozciągał, i wtedy Manuel zobaczył, że to, co początkowo wziął za damską bieliznę z powodu tekstury i rozmiaru, w rzeczywistości było męską koszulką, typową dla barmanów pracujących w klubach gejowskich.

– Cholera! – wykrzyknął Nogueira, wypuszczając materiał z obrzydzeniem – To należy do jakiegoś faceta i jest mokre od...

– To są łzy – powiedział Manuel. – Przygnębiony Santiago płakał w tę koszulkę tamtego dnia, kiedy widziałem go w kościele. Wtedy sądziłem, że to z powodu śmierci brata. – Przypomniał sobie swój niepokój, kiedy widział, jak Santiago cierpiał. – Prawdopodobnie przychodził do świątyni, że dać

upust swojej rozpacz, od zniknięcia Toñina z każdym dniem coraz większej. Poprosiłem Griñána o fakturę z miejsca, w którym Santiago odkupił kandelabry, to antykwariat w Santiago de Compostela. Jeśli właściciel sklepu go rozpozna, będziemy coś mieli.

– Santiago z Toñinem – wyszeptał zdezorientowany Lucas. – Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

– A mnie się wydaje, księżo, że zapominasz o najważniejszym: gównie mnie obchodzi, co Santiago robił z Toñinem, chcę wiedzieć, w jaki sposób klucz znalazł się w jego posiadaniu, czy to on ukradł go Franowi po śmierci, czy dał mu go Santiago. Jedno jest w każdym razie pewne: siedzą w tym obaj. Elisa widziała Santiaga przy kościele tej nocy, której umarł Fran, i on odwiódł ją od wejścia do środka... Fakt, że Toñino od czasu do czasu kradł w kościele, nie usprawiedliwia tego, że miał przy sobie klucz, tym bardziej że wikła go to w śmierć Frana; teraz jednak wiem, po co go nosił: to był klucz do ich miejsca schadzek.

– Ale Elisa widziała, jak Fran zamyka drzwi od środka – odparł Lucas.

– Kogoś widziała, ale przy tak słabym świetle mógł to być Toñino. Może słyszeli, że nadchodzi, i Santiago wyszedł, aby ją zatrzymać, podczas gdy jego kochanek kończył robotę.

Lucas uparcie kręcił głową.

– Trudno mi w coś takiego uwierzyć. Nie możecie sobie wyobrazić, jak cierpiał Santiago po śmierci brata. Popadł w straszną depresję.

– Owszem, trudno jest zabić własnego brata; po wszystkim powinno się czuć co najmniej wyrzuty sumienia... I jeszcze coś, tamtego dnia Álvaro zapytał mnie, czy w sprawie śmierci Frana wszystko wydawało mi się normalne. Pomyślałem, że próbował mnie wybadać, bo może coś widział. Teraz myślę, że podejrzewał, iż jego śmierć mogła być odpowiedzią na czyjeś zlecenie. Nie zapominajmy, że niektórzy członkowie rodziny uważali

Frana za ciężar – powiedział gwardzista.

Manuel i Lucas skinęli zamyśleni.

Nogueira pokazał na stół.

– To jest już zapłacone. Jedźmy złożyć wizytę temu antykwariuszowi. – Popatrzył na nietknięte pierogi Lucasa i Manuela. – Nie będziecie tego jeść?

Lucas, który już kierował się w stronę samochodu, zawrócił i biorąc pod rękę Nogueirę, odepchnął go od stołu.

– Chodź! Lepiej by było, gdybyś porozmawiał ze swoją żoną, albo owdowieje, bo ty w końcu dostaniesz zawału serca.

Zaalarmowany Manuel popatrzył na Nogueirę. Czyżby Lucas wiedział coś o jego problemach małżeńskich?

Gwardzista wzruszył ramionami.

– No i widzisz, ukrywałem to przez sześć lat, a teraz w ciągu tygodnia opowiadam o tym dwa razy.

Manuel się zaśmiał.

– Uważam tak samo jak Lucas: musisz porozmawiać z Laurą.

– Dobrze, już dobrze, *carallo*^[17], porozmawiam, ale musicie się ze mną zgodzić, że szkoda to tutaj zostawiać – powiedział, rzucając ostatnie, smętne spojrzenie przekąskom, po czym wszyscy wyszli na deszcz.



Rúa do Pan^[18] znajdowała się nieopodal katedry. Wnętrze antykwariatu wyglądało na bogate i było dobrze oświetlone. Dwie bardzo młode ekspedientki obsługiwały turystów w przedniej części sklepu, gdzie sprzedawano pocztówki, różańce i buteleczki ze święconą wodą. Nabywali je pielgrzymi, wystrojeni w tanie płaszcze nieprzemakalne zrobione z kolorowych worków na śmieci, co nadawało im żałosnego wyglądu.

Kiedy przeszło się już przez strefę, w której zgromadzono tandetę dla turystów, sklep nabierał znacznie poważniejszego wyglądu. W oczekiwaniu na to, aż właściciel, powiadomiony przez jednego z pracowników, wyjdzie z zaplecza, Manuel rzucił okiem na leżące przedmioty, nie znajdując jednak nic szczególnie ciekawego.

Właściciel – szczupły, około sześćdziesięcioletni mężczyzna – zwrócił się od razu do Lucasa.

– Dzień dobry, ojczy, w czym mogę pomóc? Szuka ojciec jakiegoś konkretnego przedmiotu liturgicznego? Bo jesteśmy specjalistami; jeśli nie ma go nigdzie w zasięgu wzroku, możliwe, że jest na zapleczu, a jeśli nie, mogę go zdobyć do wieczora.

Zaskoczony i przytłoczony Lucas zaczął kręcić głową. Tego dnia nie miał nawet koloratki.

– A może zdobędzie pan dla nas dwa kradzione srebrne kandelabry? – zapytał Nogueira, przystawiając mu do oczu ekran telefonu komórkowego.

Manuel uśmiechnął się ukradkiem. Lucas był rozpoznawalny jako ksiądz nawet bez koloratki, ale sposób, w jaki Nogueira umieścił telefon przed oczami tego człowieka, nie pozostawiał cienia wątpliwości, że był policjantem.

Mężczyzna odetchnął głęboko i podniósł rękę do ust, błagając o ciszę.

– Proszę za mną – powiedział, wskazując drzwi prowadzące na zaplecze. Zamknął je za plecami, po czym kontynuował: – Przekłęta niech będzie godzina, w której zaufałem tamtemu człowiekowi i kupiłem od niego kandelabry. Przysporzyły mi tylko samych problemów.

– Tak się zwykle zdarza, kiedy nabywa się kradzione przedmioty – zaznaczył Nogueira.

– Mam nadzieję, że nie będą panowie w ten sposób o mnie myśleć. Proszę posłuchać, chłopak przysięgał, że należą do jego rodziny, a ja nie

miałem żadnego powodu, by mu nie wierzyć. Wcześniej sprzedał mi już inny przedmiot, z którym nie miałem kłopotu.

– Złoty zegarek – powiedział Manuel, wywołując zaskoczenie pozostałych mężczyzn. – Kilka miesięcy temu Santiago mówił, że zgubił swój zegarek. Wtedy domagał się pieniędzy z ubezpieczenia, ale możliwe, że coś podejrzewał, tak więc kiedy zginęły kandelabry, nie miał już wątpliwości i Toñino ostatecznie powiedział mu, gdzie je sprzedał. Santiago przyjechał tutaj i je odkupił, dlatego nie złożył doniesienia ani nie zgłosił tego ubezpieczycielowi. Tak naprawdę nie chciał zaszkodzić Toñinowi albo bał się, że jeśli ktoś go o to zapyta, to powie więcej, niż trzeba.

Właściciel przyjął to tłumaczenie jako coś oczywistego i powiedział:

– Zwykle nie skupuję takich przedmiotów, ale zegarek przyjąłem, ponieważ ten człowiek trafił tu za pośrednictwem innego klienta. Nie miałem powodów, by mu nie ufać, i wtedy wszystko poszło dobrze.

– Rozumiem, że udowodnił swoją własność – domyślał się Nogueira.

– Dał mi słowo. Czy może posiada pan fakturę za swój zegarek? – zapytał impertynencko.

Gwardzista rzucił mu chłodne spojrzenie, które sprawiło, że antykwariusz natychmiast pożałował swoich słów.

– A kim był klient, który go zarekomendował?

– W tej chwili nie pamiętam, minęło już tyle czasu... Niemniej zanim wystawię na sprzedaż jakikolwiek przedmiot, przezornie zawsze trochę odczekuję.

– W razie gdyby był „gorący” – stwierdził Nogueira.

Lucas i Manuel popatrzyli na niego, nie rozumiejąc.

– Czeka pewien czas na wypadek pojawienia się policji, która by go szukała. Albo widzi coś w gazecie, co każe mu podejrzewać, że przedmiot jest kradziony. To normalna praktyka u paserów.

Mężczyzna okazał niezadowolenie, słysząc to, co powiedział Nogueira.

– Cóż, w przypadku kandelabrow w ogóle nie miałem czasu. Facet, który stwierdził, że jest ich właścicielem, przyjechał tutaj po dwóch dniach. Na początku udawałem, bo mógł kłamać, ale nie pozostawił cienia wątpliwości: przedstawił mi dokładny opis nie tylko przedmiotów, ale też chłopaka, które je tu przyniósł. Powiedział, że wie, iż ja je mam, i że nie chce narobić mi problemów, zaoferował, że zapłaci mi tyle, ile dałem chłopakowi, plus rekompensatę za kłopot. Wszystko legalnie, poprosił nawet o przygotowanie faktury.

– Czy to ten mężczyzna? – zapytał Nogueira, pokazując mu zdjęcie Santiaga w swoim telefonie komórkowym.

– Dżentelmen w każdym calu, jedna z tych osób, z którymi robienie interesów to czysta przyjemność. A kiedy już myślałem, że wreszcie uwolniłem się od zgubnego wpływu tych kandelabrow, pojawił się kolejny mężczyzna, pytając...

– Kolejny? – znów zapytał porucznik.

– Tak, kiedy wchodził, wydawało mi się, że to znowu ten sam, wie pan, nie widzę zbyt dobrze bez okularów. Powinienem nosić je cały czas, ale zakładałem tylko do czytania. Kiedy stanął bliżej, zdałem sobie sprawę, że chociaż byli trochę do siebie podobni, to nie był ten sam mężczyzna.

Tym razem to Manuel podszedł do właściciela, żeby pokazać mu zdjęcie Álvara w swoim telefonie komórkowym.

– Tak, to on. Chciał wiedzieć dokładnie to samo co panowie: kto przyniósł kandelabry pierwszy raz, kto je odkupił; on też pokazał mi zdjęcie i podobnie jak tamten dżentelmen był bardzo szczodry, a ponieważ chciał tylko informacji, to mu jej udzieliłem.

– Jaki to był dzień?

– Sobota, piętnaście dni temu.

Popatrzyli na siebie, lekceważąc właściciela, którego zaciekawione spojrzenie przeskakiwało z jednego na drugiego.

– Ty o tym wiedziałeś? – zapytał Nogueira, zwracając się do Manuela.

– Podejrzywałem wczoraj wieczorem, kiedy zapytałem Elisę o klucz, a ona powiedziała, że Álvaro też poprosił ją o niego w dniu, w którym wrócił do pazo.

– Myślisz, że znalazł w zakrystii to samo co ty? – dopytywał gwardzista.

– Jestem pewien, i tak jak my musiał przyjechać aż tutaj, żeby to potwierdzić. Usłyszał o obawach Frana tuż przed jego śmiercią i być może jakiś czas to bagatelizował. Ale nie był głupi: jeśli widział, że w śmierci Frana było coś dziwnego, jego uwagę musiało zwrócić to, że pojawiła się ta sama osoba uwikłana w szantaż, którą jego brat widział kręcącą się przy kościele.



Zanosiło się na deszcz. Opuścili antykwariat i szli uliczkami w pobliżu katedry, pośród zgiełku i tarasujących im drogę turystów. Nogueira odebrał telefon, wymijając grupy wycieczkowiczów podążających za swoimi przewodnikami. Cztery grube i zimne krople były pierwszym ostrzeżeniem przed nagłym deszczem, który spadł w postaci mocnej ulewy, wyrywając przekleństwa z ust turystów, biegnących niezdarnie, by schronić się pod portykami na uliczkach Santiago de Compostela. Oni otworzyli swoje parasole i przyspieszyli kroku, idąc środkiem ulicy, która nagle opustoszała. Nadal mocno padało, kiedy doszli do zaparkowanego na niestrzeżonej działce samochodu. Mokre parasole wrzucili do bagażnika i pobiegli schronić się w środku pojazdu, gdzie słychać było ogłuszający huk uderzającego o blachę deszczu. Manuel uruchomił silnik i włączył wycieraczki oraz odmgławiacz przedniej szyby, która całkowicie zaparowała od

przyspieszonych oddechów trzech mężczyzn. Samochód cały czas stał jednak na swoim miejscu.

– Dobre wieści, Manuel – powiedział Nogueira, mając na myśli rozmowę, którą właśnie zakończył. – Dzwoniła Ofelia. Koledzy potwierdzają, że na nagraniu z Burger Kinga wyraźnie widać Toñina. Była druga dwadzieścia osiem w nocy, przyszedł sam i nie miał żadnych śladów uderzeń ani krwi. Ktokolwiek go pobił i zabił, zrobił to po tej godzinie, w związku z czym Álvaro jest niewinny zarówno pobicia, jak i zamordowania go. Nie wyklucza to jednak, że Toñino nie zabił Álvaro, chociaż jest mało prawdopodobne, by po popełnieniu takiej zbrodni prowadził przez dwie godziny, po czym najspokojniej w świecie poszedł kupić hamburgery. Mielibyśmy do czynienia z człowiekiem bardzo wyrachowanym i opanowanym, a wierzcie mi, ani trochę to nie pasuje do charakteru Toñina, chłopaka raczej nerwowego, czy też do spokoju, jaki widać na nagraniu. Tak więc znów mamy kogoś, kto najpierw zabija Álvaro, a następnie Toñina, i z całym prawdopodobieństwem robi to tym samym narzędziem w odstępie dwóch godzin. Ludzie z kryminalnego szacują, że z Burger Kinga do miejsca, w którym Toñino został powieszony na drzewie, jest około dwudziestu minut drogi.

Manuel skinął z poważnym wyrazem twarzy, ale po chwili się uśmiechnął, czując na ramieniu rękę Lucasa. Cały czas jednak milczał, jakby był zahipnotyzowany rytmem wycieraczek.

– Dobrze się czujesz, Manuelu? – zapytał ksiądz.

– Jedna sprawa nie jest dla mnie do końca jasna... Chodzi o tamtą noc... Powiedziałeś mi, że Santiago poprosił cię, abyś pojechał z nim do szpitala, bo zawiadomiono go, że jego brat miał wypadek samochodowy.

– Zgadza się.

– Przekazali mu, że miał wypadek czy że zmarł?

– Że miał wypadek. Dopiero kiedy dotarliśmy do szpitala, powiedzieli nam o jego śmierci. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Santiaga, gdy to usłyszał.

– O której godzinie do ciebie zadzwonił?

– O wpół do szóstej. O szóstej zabrałem go z pazo, moim samochodem, bo powiedział, że jest zbyt zdenerwowany, by prowadzić. Wydało mi się to normalne.

– Mówiłeś mi, że kiedy jechałeś z nim do szpitala, widziałeś, że ma spuchnięte ręce, że nawet nalegałeś, aby obejrzał go lekarz...

– Tak, ale cóż, wiesz, jak on reaguje. Rękę i prawe ramię zakrywał mu płaszcz przeciwdeszczowy, widziałem, że był ranny, ale on to przykrył i nie chciał na ten temat mówić. Dopiero później się dowiedziałem, skąd to skaleczenie.

– Ale Herminia mi opowiadała, że po powrocie ze szpitala wszedł do kuchni i zaczął walić w ścianę, mówiąc jej, że Álvaro zmarł.

– To musiało być przed wyjazdem do szpitala... – wyszeptał Lucas, mając świadomość niespójności swojej relacji.

– Ale wtedy jeszcze nie wiedział, że jego brat nie żyje.

Lucas zawahał się, zmarszczył brwi i pokręcił głową, odrzucając jakieś myśli. W końcu powiedział:

– Jestem pewien, że miał ranną rękę, kiedy byliśmy w szpitalu. Nie wiem, czy to było coś poważnego, bo nie pozwolił mi jej obejrzeć...

– I jeszcze na dodatek poprosił, żebyś to ty prowadził – dodał Nogueira.

– Na miłość boską! – wykrzyknął zdruzgotany Lucas.

Manuelowi zrobiło się go szkoda.

– Po powrocie do domu zdał sobie sprawę, że musi poszukać jakiegoś alibi dla żalosego wyglądu swoich rąk, więc odstawił tę pantomimę przed

Herminią – powiedział i pomyślał o krwawych śladach usuniętych wybielaczem, o intensywnym bólu, jaki przedstawiały, oraz o tym, że może te ciosy ostatecznie wcale nie były takie udawane.

– No dobrze – powiedział Nogueira – to już wiemy, kto rozwalił twarz Toñinowi. Którą rękę miał w gipsie?

– Prawą – odparł Manuel, przywołując w myślach moment, w którym podali sobie dłonie, kiedy poznali się na pogrzebie Álvara.

– A więc pasuje do kierunku uderzeń na twarzy Toñina: to był on i możliwe, że on też go zabił.

– Zdaniem Ofelii ciosy mogły zostać wymierzone przez kogoś leworęcznego.

– Albo przez kogoś, kto musi użyć lewej ręki, bo prawą ma już uszkodzoną – odparł gwardzista. – Jeśli dobrze się zastanowicie, to typowe dla Santiaga: zawsze miał te napady złości, ostatnio uderzył w ścianę, kiedy się z tobą kłócił... I pasuje też ten Burger King, bo dla kogo innego Toñino kupowałby jedzenie? Umówił się ze swoim kochankiem.

Manuel przypomniał sobie opowieść Kruka o tym, jak Santiago niszczył zabawki, a później całymi godzinami po nich płakał. Czy właśnie tego był świadkiem w kościele? Kapryśny chłopiec rozpaczający z powodu swojej zepsutej zabawki? Opłakiwał zmarłego kochanka, zmarłego brata albo swoje ofiary.

Lucas wyglądał na bardzo smutnego. Nogueira spojrzał na niego pytająco.

– To okropne, że ktoś przez cały czas żył w taki sposób. Udając – powiedział współczująco Lucas.

– Wydaje mi się, że z powodu szantażu stracił panowanie nad sytuacją. Wiemy, skąd bierze się jego ból. Przez większą część życia ukrywał sekret dotyczący tego, co wydarzyło się tamtej nocy w seminarium. Myślę, że

Álvaro powiedział mu, że nie zapłaci, że jest mu wszystko jedno, czy wyjdzie na jaw, że zabił gwałciciela w obronie swojego brata, że nie ma się czego wstydzić. Ale dla Santiaga nie było to obojętne, przez całe życie starał się zadowolić ojca i matkę, usiłował być idealnym synem, nie takim jak Álvaro. Nie mógł znieść, że wszystko wali mu się na głowę. Po zabiciu Álvaro spotkał się z Toñinem, aby przekazać mu, by tego nie rozpowszechniał, ale jeśli ten odmówił, to mogło wystarczyć, żeby Santiago stracił głowę.

– Być może – powiedział Lucas – jednak nie sądzę, by Toñino zamierzał to ujawnić: groźby w celu zdobycia pieniędzy to jedna sprawa, a druga, zupełnie inna, to spełnienie tych pogroźek. Myślę, że Toñino wiedział, iż tego typu informacja ma wartość tylko wtedy, gdy jest sekretem. Jeśli zostałaby ujawniona, posłałby swojego wuja za kratki, śmiertelnie zdenerwowałby swoją ciotkę, a sam mógłby skończyć w więzieniu za szantaż. A gdyby Santiago miał go zabić, mógł to zrobić od razu po tym, jak Toñino poprosił go o pieniądze, i Álvaro nigdy by się nie dowiedział. I jeszcze to, co próbował zrobić teraz, na miłość boską! Chciał odebrać sobie życie, to jest cierpiący człowiek.

– Posłuchaj, księżę, ja też znam się na samobójstwach i spowiedziach. Z doświadczenia wiem, że to pierwsze bardzo często równa się drugiemu – odparł Nogueira.

– I dopiero teraz, piętnaście dni po zabiciu Álvaro i Toñina i trzy lata po zamordowaniu Frana, naszły go wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił?

Nogueira znowu się rozzłościł.

– A dlaczego miałyby tak nie być?! Fran rozmawiał o swoich podejrzeniach z Álvarem i z tobą. Wydaje ci się niemożliwe, że zapytał o to bezpośrednio Santiaga, że powiedział mu, iż wie o potajemnych spotkaniach z dilerem-męską prostytutką w zakrystii? Myślisz, że ile zajęłoby Franowi domyślenie się prawdy po rozmowie z nim? Fran był liberalnym i otwartym

facetem, niósł już własny krzyż w postaci narkotyków i najprawdopodobniej chciał mu o tym opowiedzieć. Santiago był w stanie udawać przez całe swoje życie i kłamać przed własną rodziną, ożenić się z kobietą, której nie może kochać, brać narkotyki, żeby spotykać się z prostytutkami w celu zachowania swojego wizerunku macho. Ciągnął własnego brata do klubu nocnego i kazał mu iść do pokoju z dziewczyną, żeby nikt nie podejrzewał go o homoseksualizm. Możliwość, że ktoś miałby co do jego orientacji jakieś wątpliwości, musiała być dla niego straszna, a po tym, co zrobił, by to ukryć, myślisz, że nie byłby gotowy do wszystkiego, żeby nadal podtrzymywać tę mrzonkę? Mówiłem wam od samego początku, oni są ulepiani z innej gliny. Ta rodzina przez całe wieki robiła to, co jej się żywnie podobało, i nadal to robi, bo liczy się dla niej tylko jedno: by jej nazwisko pozostało czyste za wszelką cenę.

Manuel przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył z Lucasem, ten rodzaj paktu z diabłem, który stary markiz zaproponował Álvarovi. Czyżby taką samą ofertę złożył swojemu drugiemu synowi? „Korzystaj dyskretnie ze swojego nałogu, żeby nikt się nie dowiedział, i ożeń się z dziewczyną z dobrej rodziny”.

Nie, w Santiagu było coś, co skłaniało go bardziej do myślenia o naturalnej uległości, o tej poddańczej postawie, o której wszyscy mówili, coś, co doprowadziło do tego, że zachowywał się jak popychadło swojego ojca, stale posłuszny, z pochyloną głową, starając się go zadowolić, lecz zawsze bez skutku. Czy to możliwe, że trauma po tym, co wydarzyło się w seminarium, była powodem, dla którego nigdy nie zaakceptował swojej orientacji? Wykorzystywanie seksualne w dzieciństwie zaburza pozbawiony kompleksów rozwój seksualności. To prawda, że Santiago dokładał wszelkich starań, żeby nikt nie dowiedział się o jego związku z Toñinem. Ale czy z powodu braku akceptacji tego, kim był, czy ze względu na żądę

zajęcia miejsca w rodzinie, którego – na podstawie doświadczeń Álvara – wiedział, że nie otrzyma, jeśli pokaże swoją prawdziwą naturę?

Nogueira spojrział na Lucasa, który poczuł się dotknięty i spuścił głowę. Wtedy zdał sobie sprawę, że może nieświadomie podniósł ton i zaczął wręcz na niego krzyczeć. Czasem zapominał, z kim rozmawia. Wypuścił z płuc całe powietrze, starając się uspokoić, po czym kontynuował:

– Cóż, w każdym razie bez dowodów nie mamy niczego, tylko czyste hipotezy, a bardzo wątpię, by Santiago zaczął mówić.

– Pojadę do niego dzisiaj wieczorem, zapytam o to – powiedział stanowczo Manuel.

Lucas się zaniepokoił.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Nie mam pojęcia, co lepszego można zrobić, aby znaleźć odpowiedzi, jeśli nie zapytać wprost samego zainteresowanego.

Ksiądz szukał wsparcia u gwardzisty.

– Nogueira, ty nic nie powiesz?

– Najpierw musimy porozmawiać z ciotką Toñina. Nie cierpię tego mówić, ale to jest dla niej delikatny moment, więc jeśli coś wie, możliwe, że powie teraz. A co do odwiedzin u Santiaga, to nie wydaje mi się to takim złym pomysłem, tylko niech ci nie przyjdzie do głowy uprzedzać, że się tam wybierasz.

W samochodzie rozległ się dźwięk telefonu Nogueiry.

– Cześć, Ofelia – powiedział, aby wiedzieli, że rozmawia właśnie z nią.

– Tak, jest tutaj ze mną...

Przez kilka minut słuchał uważnie.

– W porządku, przekażę mu. Jesteś genialna, dziewczyno! – powiedział, po czym się rozłączył. – Ofelia miała trafne przeczucie. Wiesz, że

sprawdziliśmy telefon Álvara, i już ci mówiłem o tamtych połączeniach, ale zajęci szukaniem w tym aparacie, który ukrywał, zlekceważyliśmy połączenia wykonywane z telefonu używanego na co dzień. Gdy po raz ostatni zarejestrowała się pozycja komórki Álvara, rozmawiał z tobą, o dwunastej pięćdziesiąt siedem w nocy. Połączył się przez zestaw głośnomówiący i w tym momencie był na trzydziestym piątym kilometrze drogi z Lugo.

– Co tam jest?

– Klub nocny La Rosa.

– Zadzwoił do mnie stamtąd? – zapytał Manuel, chociaż nie oczekiwał odpowiedzi.

– Co ci powiedział? – dopytywał Nogueira.

– Że jest bardzo zmęczony. Pamiętam, że było to słycać w jego głosie, ale wychwyciłem też bardzo duży smutek, sam nie wiem... Był jakiś dziwny, niemal jakby przeczuwał, że nie wróci.

Zamyślony Nogueira skinął głową.

– Moja żona mówi, że wszyscy wiedzą, kiedy umrą, nieważne, czy na raka, na zawał, z powodu trzęsienia ziemi, czy pod kołami pociągu. Laura twierdzi, że wiedzą to chwilę przed, że wtedy zachowują się inaczej, ogarnia ich niecodzienna melancholia, jakieś pogodzenie się z tym, co nadchodzi, jakby mieli wyruszyć w przymusową podróż... A zapewniam cię, że pielęgniarki widzą dużo umierających ludzi.

– Twoja żona ma rację, ja też tak uważam... – powiedział Lucas.

– Manuel, bardzo mi przykro, ale tak naprawdę ważne jest to, że jeśli Álvaro zadzwonił do ciebie z zaparkowanego przed klubem nocnym samochodu, to dlatego, że prawdopodobnie był tam razem z Santiagiem. To by oznaczało, że jego brat był ostatnią osobą, która widziała go żywego, a zarazem bezpośrednio podejrzaną...

– Ale pytaliśmy już Nieviñas i powiedziała, że ostatni raz Santiago był tam tydzień przed przyjazdem Álvara do Galicji. Jej nie umknęłoby coś takiego.

– Gdyby weszli do środka. A jeśli tego nie zrobili?

– Po co mieliby stać na zewnątrz?

– Przychodzi ci na myśl lepsze miejsce na spotkanie z szantażystą niż parking klubu nocnego?

– Uważasz, że wybrali ten parking, by zrealizować płatność?

– To dobre miejsce, strzeżone, a jednocześnie dyskretne, z wyjazdem na główną drogę we wszystkich kierunkach, i jestem pewien, że właśnie taką okolicę wybrałby Santiago.

Manuel usłyszał w głowie słowa Dziewczynki o tym, jak Mamut dobrze pilnuje parkingu, żeby prostytutki nie robiły interesów na własną rękę, i przypomniał sobie badawczy wzrok tego mężczyzny, kiedy czekał na Nogueirę.

– Jeśli tam przyjechali, przypuszczam, kto na pewno będzie o tym wiedział.

– Mamut – powiedział Nogueira, odwracając się do Lucasa. – Przykro mi, ale dzisiaj zostajesz w domu, księżo, my jedziemy do klubu nocnego.

– Do klubów nocnych, w liczbie mnogiej – doprecyzował Manuel. – Pomyślałem, żebyśmy jeszcze raz pojechali do Richiego, chcę go o coś zapytać.

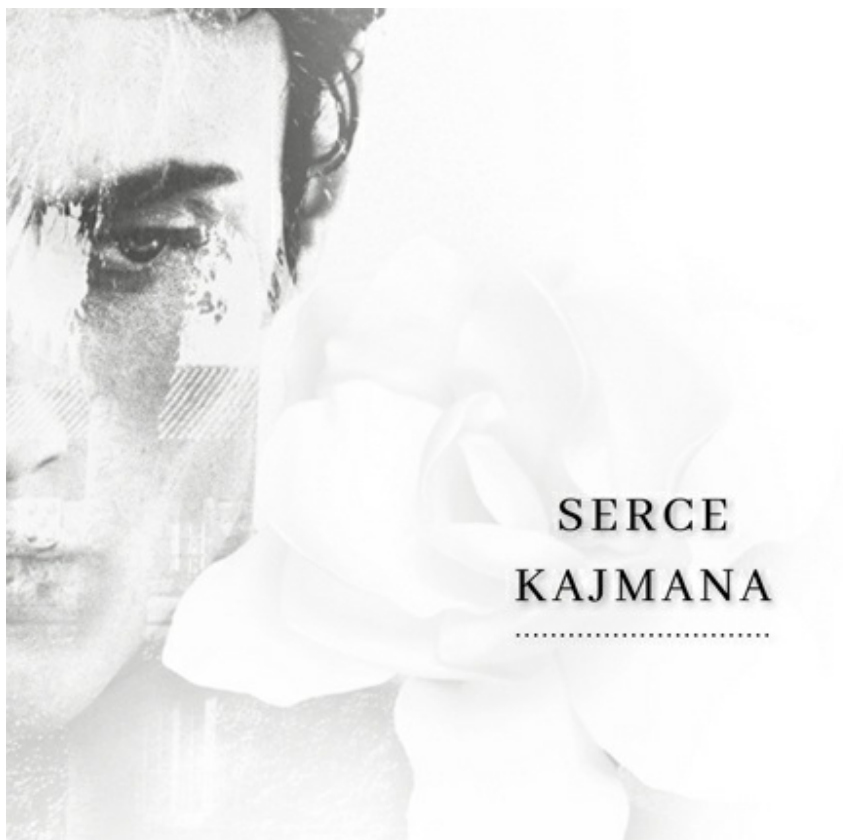
– Mogę zostać w samochodzie – powiedział Lucas z poważnym wyrazem twarzy.

Manuel i Nogueira popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem, pozbywając się napięcia, jakie w sobie skumulowali. Po kilku sekundach przyłączył się do nich Lucas, myśląc o tym, że widok trzech tak głośno śmiejących się mężczyzn bardzo musiał przypominać obrazek trzech

płaczących.

[17] (gal.) Cholera.

[18] (gal.) Ulica Chleba.



SERCE
KAJMANA

Przed wejściem stało kilka samochodów, zajmując część podwórka sąsiadki i wyłożony posadzką podjazd, jednak nikt, jakby na umówiony znak, nie zaparkował naprzeciwko małego garażu. Plama oleju, którą zostawił samochód Toñina i którą Manuel zauważył w czasie pierwszej wizyty w domu Rosy Marii w Os Martiños, wołała z ziemi niczym krew Abła, zamieniając się na deszczu w smutną tęczę.

O ile podczas pierwszej wizyty była delikatna mżawka, o tyle tego dnia lało jak z cebra, a chociaż przy wejściu nie było daszka, który by je chronił, to drzwi domu otwarto na oścież. Bez pukania przeszli przez próg. W środku, w kuchni i jadalni, znajdowało się około dwudziestu osób, w większości kobiet. Obrus przykrywał cenny stół w jadalni, który tego dnia, i tylko tego, wyglądał na zbyt mały w zapełnionym pomieszczeniu. Stały na nim makarony, pierożki i kilka ciast wyglądających na domowe, a do tego część

wspaniałego serwisu do kawy z białej porcelany, który został wyjęty specjalnie na tę okazję i którego filiżanki znajdowały się w dłoniach gości. Na ciężkim i błyszczącym kredensie stało znacznie więcej lampek oliwnych przeznaczonych dla świętej, która – nieruchoma na swojej podstawie – kontemplowała ból śmiertelników.

Ubrana na czarno Rosa María siedziała w grupie kobiet; niektóre z nich były tak stare jak ona, chude i zasuszone. Odrzucając dłonie gotowe, by jej pomóc, gdy tylko pokazała, że wstanie, podniosła się ze swojego miejsca, przywitała ich lekkim skinieniem głowy i opuściła towarzystwo, kierując się do pomieszczenia w głębi domu i pokazując im, żeby szli za nią.

Sypialnia była malutka. Przykryte dużą narzutą podwójne łóżko z jednej strony dotykało ściany, aby zostawić wystarczająco miejsca na ciemny stolik nocny, wciśnięty między miejsce do spania a ścianę.

Staruszka pokazała na powierzchnię łóżka, zapraszając ich, by usiedli, i zamknęła drzwi, za którymi na różnych wieszakach wisiały części garderoby w takim rozmiarze, że przypominały im niepokojące ludzkie kukły.

Spojrzała na ubranie.

– Teraz przychodzi pani z opieki społecznej, ona wpuszcza mi krople, ale nie wie, gdzie schować ubrania, więc wszystko wieszka tutaj. Mówią, że to tylko czasowo, że później przydzielą mi inną, która będzie przychodzić na dłużej. Dziękuję – powiedziała, zwracając się do Nogueiry. – Przekazano mi, że to pan prosił, by mi pomagała.

Nogueira zrobił taką minę, jakby nie przywiązywał do tego wagi.

Kobieta znów wskazała łóżko, ale mimo to żaden z nich nie usiadł. Nadal stali, zakłopotani, wypełniając całą sypialnię kobiety.

– Kiedy zobaczyłam, jak po wyjściu z mojego domu idą panowie do niej, już wiedziałam, że coś panom powie... Ta kobieta spędza życie na

szpiegowaniu sąsiadów, ale jasne, biedaczka mieszka sama, odkąd zmarł jej mąż, to już będzie osiem lat... Moim zdaniem od tamtej pory nie jest z nią dobrze – powiedziała niemal współczująco, podnosząc do ust trzęsącą się rękę.

Było widać, że dużo płakała: jej twarz wyglądała na oczyszczoną, a taki efekt na skórze pozostawiają łzy. Ale oczy, chociaż zaczerwienione, wyglądały lepiej niż ostatnim razem, chociaż z powodu ciągłego płaczu staruszka była więźniem chusteczki, którą ścisnęła mocno w drugiej ręce. Efekt rybich oczu się jednak zmniejszył.

– Tak, wrócił. Spędziłam okropny wieczór po wizycie mojego brata i po tym, co mu powiedział. Kochamy się, ale zawsze doprowadzaliśmy do kłótni z powodu tego chłopaka. On nie rozumiał, dlaczego tak bardzo go chronię, ale był małym dzieckiem, kiedy zmarł jego ojciec, a matka zniknęła. Staralam się dać mu wszystko, dbałam o niego najlepiej, jak potrafiłam, i Bóg wie, że go kochałam, ale on mnie też. To był dobry chłopak, ten mój Toñino. – Kobieta zamilkła, patrząc na nich spokojnie, niemal prowokując, by zaprzeczyli jej mowie obrończej.

Nogueira przytaknął tym słowom.

– Oczywiście, że tak.

Kobieta pokręciła głową, po czym kontynuowała. Wyglądała na zmęczoną.

– Byłam bardzo niezadowolona i zaniepokojona, czekałam, aż wróci i mi to wyjaśni. Mój brat ciągle wściekał się na chłopaka, ale nigdy nie widziałam go tak przejętego jak tamtego dnia. Bałam się o Toñina. Była prawie pierwsza w nocy, kiedy usłyszałam, że przyjechał. Czekałam na niego na stojąco i byłam tak zaniepokojona, że nie miałam nawet ochoty na przygotowanie kolacji. Chciałam mu wygarnąć, że przez niego jestem cała w nerwach i że chcę wiedzieć, czy to, co powiedział jego wuj, było prawdą.

Ale nie mogłam tego zrobić, bo cały się trząsał. To nie był mój chłopiec, znałam go najlepiej na świecie: wystarczyło tylko, że wszedł do domu, i już wiedziałam, w jakim jest humorze, a tamtej nocy był załamany. Nie miałam nawet czasu, żeby go zapytać, bo zaraz po wejściu rzucił mi się na szyję, tak jak wtedy, gdy był mały, i powiedział: „Ciociu, popełniłem błąd, bardzo duży błąd”. Ręce mi opadły.

Przerwała opowieść i przez chwilę jej spojrzenie zagubiło się w jakimś punkcie w pobliżu stóp Nogueiry. Mężczyźni dalej milczeli w oczekiwaniu, podczas gdy z jadalni dobiegał ich narastający szmer głosów sąsiadów Rosy Marii; drzwi sypialni ewidentnie nie wystarczyły, aby je powstrzymać. Kobieta wciąż stała nieruchomo. Gdyby przynajmniej płakała albo zakryła sobie twarz, jej ból stałby się znośniejszy, ale bierność i słabość, jakie okazywała, były kłopotliwe. Manuel spojrzał na Nogueirę, rzucając mu pytające spojrzenie. Gwardzista odpowiedział gestem ręki, którym prosił o cierpliwość.

Kobieta westchnęła i tak jakby dopiero się przebudziła, spojrzała wyczerpana dookoła.

Nogueira wziął ją pod rękę w taki sam sposób jak podczas poprzedniej wizyty i poprowadził dwa kroki do nóg łóżka. Kiedy usiadła, Manuel usłyszał wyraźnie trzeszczenie materaca wypełnionego na starą modłę łuskami prosa.

– „Ciociu”, powiedział, „jest pewien mężczyzna, przyjaciel... Znalazłem coś w seminarium i sądziłem, że ten człowiek będzie w stanie za to zapłacić. Ciociu, on ma mnóstwo pieniędzy, to naprawdę nie byłby dla niego duży wydatek. Myślałem, że wszystko się dobrze skończy, że dziś w nocy da mi te pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Ale sprawy się skomplikowały. Jest jeszcze jeden mężczyzna, okrutny człowiek, który nie ustąpi. Jest bystry i wiedział, skąd wziął się problem. To on pojechał do seminarium i ostrzegł wuja, który

dał mu mój numer telefonu. Zadzwoił do mnie chwilę po tym, jak wuj odjechał, kiedy ja byłem tutaj, i sądziłem, że wszystko mam pod kontrolą. Byłem bardzo zły, ale nie przestraszony. Zaczął mi grozić, a na to nie byłem przygotowany. Wtedy się przeraziłem i przerwałem połączenie, nic nie mówiąc. Ale ze mnie idiota. Zastanawiałem się przez chwilę i oddzwoniłem do niego, bo myślałem, że wciąż będę mógł dojść z nim do porozumienia. Próbowałem go przekonać, że jeśli zapłaci, to nie ma powodu, żeby ktoś się o tym dowiedział. Ciociu, nie wyobrażałem sobie takiej reakcji; powiedział, że jeśli tego chcę, to on wszystko opowie, tak że wuj i ja skończymy w więzieniu i że ciocia umrze z nerwów. Było tak, jakby nas znał, jakby wszystko o mnie wiedział. Ciociu, nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, rozłączyłem się bez słowa”.

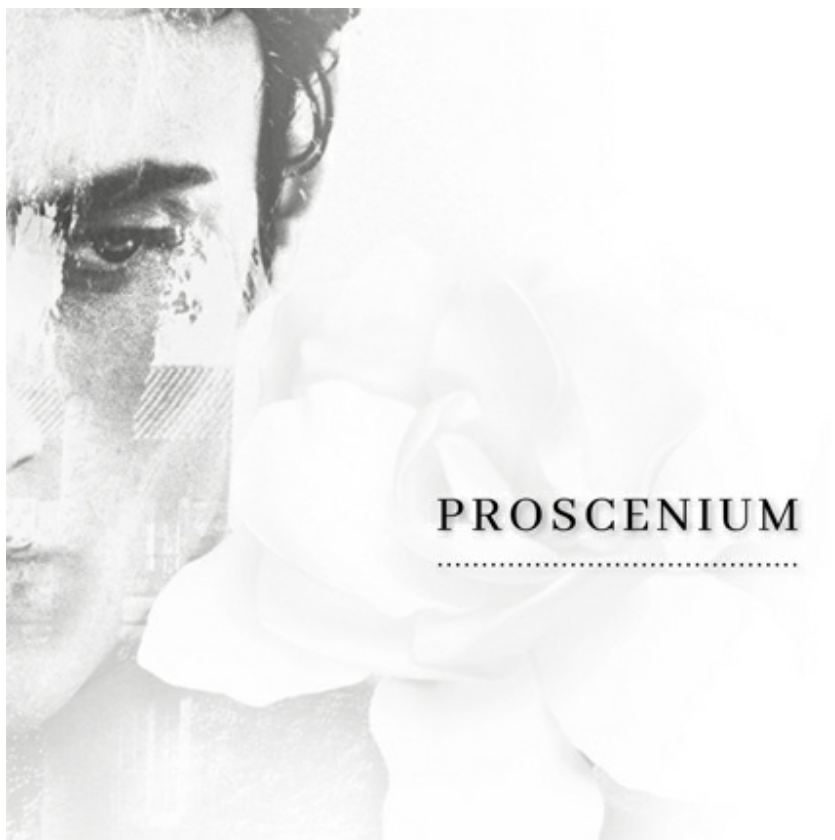
Złapałam się za głowę, a on cały czas płakał. „Przysięgam, nie wiedziałem, że to wszystko tak się skomplikuje”, mówił dalej. „Myślałem, że uda mi się zdobyć wystarczająco dużo pieniędzy, aby wyciągnąć ciocię z tego gównianego domu, byśmy mogli prowadzić lepsze życie, życie, na które ciocia zasługuje, a którego nie mogła mieć z mojej winy. Teraz wszystko poszło w diabły. Przysięgam, ciociu, że nigdy nie miałem zamiaru tego wyjawić, chciałem tylko pieniędzy, ten przyjaciel to dobry człowiek, nigdy nie chciałem go skrzywdzić”.

Rosa María przy jednym długim wydechu wypuściła z płuc całe powietrze. Podniosła wzrok na mężczyznę.

– I co miałam mu powiedzieć? Zostałam przy nim i starałam się go uspokoić, nie wiedząc, co począć. Powiedział, że po rozmowie z tamtym mężczyzną nie miał pojęcia, co ma robić ani dokąd iść. Przypuszczając, że nie będzie miał odwagi, by pójść na to spotkanie, kręcił się gdzieś niczym cierpiąca dusza, przestraszony jak małe dziecko, zbierający się na odwagę, by przyjść i mi o tym opowiedzieć. – Ponownie zamilkła, wyczerpana.

– Dlaczego znowu wyszedł? Przecież postanowił, że nie pojedzie na to spotkanie.

– Zadzwoił do niego jakiś mężczyzna, wiem, że to był mężczyzna, bo słyszałam jego niski głos. Nie wiem, co mu powiedział, ale mój Toñino bardzo się z tego telefonu ucieszył. Słyszałam, jak mówił: „W domu... Ja też chcę cię zobaczyć... Zgoda”. I się rozłączył. Wyglądał, jakby odżył. Powiedział, że wychodzi, a ja starałam się go przekonać, by tej nocy został ze mną. Miałam złe przeczucia, ale on mnie nie posłuchał, wyszykował się i przed wyjściem powiedział: „Ciociu, może będę mógł to jeszcze naprawić”. Uśmiechnął się i wtedy widziałam go po raz ostatni.



PROSCENIUM

linika Świętej Kwiterii ociekała luksusem z każdej strony. Jej pięć pięter wznosiło się na środku imponującej równiny otoczonej ogrodami, obszarami leśnymi, a nawet małą sztuczną laguną. Manuel zatrzymał samochód na publicznym parkingu, który paskiem otaczał strefę przeznaczoną dla personelu i eleganckie, nachylone wejście; środkową część zajmowało pełne zieleni rondo, jakby znajdowały się tu pałac albo ambasada, a nie kompleks medyczny. Czarny mercedes podjechał właśnie do wejścia, co jeszcze bardziej wzmagало pierwsze wrażenie, jakie robiło to miejsce.

Manuel miał już wysiąść z samochodu, kiedy z werandy przy głównym wejściu wyłoniły się dwie kobiety. Szły pod ramię, głowa przy głowie: Catarina i stara markiza. Manuel znieruchomiał i je obserwował. Wywnioskował, że samochód przyjechał po markizę, gdy zobaczył, jak ta podnosi rękę, by kierowca zaczekał; wydawało mu się nawet, że w środku

rozpoznał czapkę Damiána. Chociaż deszcz nie uderzał o maskę samochodu, to ze swojego miejsca nie był w stanie usłyszeć, o czym mówiły. Ich gesty, język ciała i rąk zdradzały jednak panujące między nimi szacunek i zrozumienie. Puściły ręce i teraz rozmawiały, stojąc naprzeciwko siebie, ale dłonie miały złączone, a przytakiwanie i uśmiechy wskazywały na wzajemne poszanowanie. Uwagę Manuela zwrócił ruch po jego prawej stronie w białej furgonetce bez żadnych oznaczeń, zaparkowanej obok dużego krzewu mimozy, który częściowo ją zasłaniał: mężczyzna, w pierwszej chwili przez niego nierozpoznany, obserwował obie kobiety z takim samym zainteresowaniem jak on sam.

Dzielił uwagę między mężczyznę a obie kobiety, które rozmawiały jeszcze przez kilka minut, po czym pożegnały się serdecznym uściskiem. Tylne drzwi mercedesa się otworzyły i ze środka wyszła pielęgniarka markizy. Pokonała kilka schodów i wyciągnęła rękę do staruszki, zastępując Catarinę. Zeszły do pojazdu, po czym odjechały.

Manuel wysiadł ze swojego samochodu. Chcąc zachować ostrożność, otworzył parasol, by się pod nim schować, w razie gdyby hałas zaalarmował mężczyznę, po czym zamknął drzwi. Następnie, obchodząc pojazd, zbliżył się do furgonetki od strony drzwi pasażera i nagle je otworzył. Zaskoczony Vicente, pomocnik Catariny pracujący przy gardeniach, podniósł głowę. Zaczerwienione oczy i mokra od łez twarz nie pozostawiały żadnych wątpliwości: od dłuższego czasu płakał. Manuel złożył parasol i przesunął na bok leżące na siedzeniu pasażera pudełko papierowych chusteczek, które były też porzucane dookoła, oraz płaszcz przeciwdeszczowy. Kiedy to robił, bardzo wyraźnie dostrzegł kolbę rewolweru. Ogrodnik prawie nie zmienił swojej pozycji; po pierwszym zaskoczeniu zwinął płaszcz w kulkę, bezładnie rzucił go na tylne siedzenie, żeby zrobić miejsce Manuelowi, i na powrót rozsiadł się na kierownicy, płacząc bez cienia wstydu.

– Co ty tutaj robisz, Vicente?

Mężczyzna podniósł głowę i podbródkiem wskazał w stronę wejścia do kliniki, wzruszając przy tym ramionami.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Z Catarina?

Vicente spojrzał na Manuela i przez chwilę na jego twarzy malowało się zdziwienie.

– Więc ty nic nie wiesz? Zwolniła mnie.

To wyjaśniało, dlaczego furgonetka nie miała oznaczeń z logo szkoły, chociaż kiedy Manuel spojrzał do tyłu, zobaczył, że Vicente woził jeszcze sporo narzędzi i doniczki.

Echo rozmowy, którą słyszał w szklarni między Vicentem i Catarina, wróciło do niego z całą mocą.

– Vicente, to chyba nie jest najlepszy moment ani odpowiednie miejsce...

– Ona nie chce ze mną rozmawiać. Pracuję z nią od pięciu lat, a wczoraj rano ta okropna pielęgniarka przyszła do szklarni i dała mi to... – powiedział, podając Manuelowi wymiętą kopertę, która leżała naprzeciwko niego, na desce rozdzielczej.

Manuel wyjął ostrożnie kartkę tak samo pogniecioną jak koperta. Było to wypowiedzenie, w którym komunikowano Vicentemu, że od tej pory kończy się jego działalność w firmie, że powinien natychmiast opuścić obiekty i że należące mu się urlop, pensja oraz jakiegokolwiek inne zobowiązania zostały wypłacone w formie czeku, który znajduje przy wypowiedzeniu, łącznie z hojnym odszkodowaniem i podziękowaniami od firmy za świadczone usługi. Manuel raz jeszcze zajrzał do koperty i rozpoznał szarawy papier czeku bankowego. Pismo, zamaszyste i stanowcze, zgadzało się z podpisem starej markizy, a w miejscu przeznaczonym na kwotę wpisano pięćdziesiąt tysięcy euro.

– Zwolnili mnie jak... jak zwykłego pracownika.

Manuel przypomniał sobie słowa Griñána o tym, że dla nich inni ludzie są jedynie służącymi, od których oczekuje się usług, jakie się opłaca, i nic więcej.

– Myślałem, że między nami było coś wyjątkowo – żalił się Vicente.

Manuel pomyślał o tym, co Catarina powiedziała w szklarni: „To, czego ty chcesz, nigdy nie może się spełnić, bo jestem żoną Santiaga i to z nim chcę być”.

– Może to było coś, co sobie wyobrażałeś...

– Nie, Manuel – powiedział rozżłoszczony. – Jestem pewien, nie wymyśliłem sobie tego, to było prawdziwe.

Dyskusja z nim na nic by się nie zdała.

– Możliwe, że masz rację, i może rzeczywiście coś było, ale nawet jeśli to prawda, wydaje się, że Catarina dokonała wyboru, nie sądzisz?

Vicente popatrzył na niego bardzo poważnie, podczas gdy na jego ustach zaczął się malować niemal dziecięcy grymas, a po policzkach znowu ciekły mu łzy. Ponownie zakrywając twarz rękami, wyciągnął się na swoim siedzeniu.

Manuel westchnął.

– Vicente, myślę, że powinieneś pojechać do domu.

Mężczyzna przestał płakać, wyjął z opakowania nową chusteczkę, wytarł twarz, wydmuchał nos i rzucił ją obok pozostałych.

– Masz rację, powinienem pojechać – przyznał zrezygnowany.

Manuel otworzył drzwi, ale zanim wyszedł na deszcz, odwrócił się jeszcze w stronę ogrodnika.

– I... Vicente, nie wiem, dlaczego nosisz na wierzchu broń, ale to zły pomysł.

Mężczyzna popatrzył ze smutkiem na zgniecioną kulę, w jaką zamienił się jego płaszcz, a potem znów spojrzął na Manuela. Skinął, uruchamiając silnik furgonetki.



Manuel wysiadł z windy na czwartym piętrze. Zauważył, że o tak wczesnej godzinie nie było nikogo ani w punkcie pielęgniarstwie, ani na cichym i pustym korytarzu. Podążając za numerami, szukał pokoju, który wskazał mu Lucas, i znalazł go na końcu korytarza zwieńczonego dużym oknem. Szklana powierzchnia zajmująca całą fasadę wychodziła na schody przeciwpożarowe, w deszczu i przy znikomej ilości światła na zewnątrz wyglądające jak dno rozpacz, w którym odbijała się jego sylwetka. Dochodzące z ostatniego pokoju głosy wyrwały Manuela z zamyślenia. Drzwi były uchylone. Nie krzyczeli, ale ich ton był na tyle podniesiony, żeby doskonale słyszał to, co mówili. Podszedł, przyklejając się do ściany i co chwilę odwracając w stronę korytarza, aby sprawdzić, czy nikt nie idzie i go nie zobaczy.

– Musisz to przezwyciężyć, musisz zdobyć się na wysiłek. – Głos Catariny brzmiał błagalnie.

– Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie! – odpowiedział Santiago.

– Nie, nie zrobię tego, jesteś moim mężem.

Santiago wybełkotał coś, czego Manuel nie mógł zrozumieć.

– Bo jestem twoją żoną, bo jesteśmy rodziną. Nie odrzucaj mnie, Santiago, oprzyj się na mnie. Pozwól, żebym się tobą opiekowała.

– Nie chcę żyć, Catarino, nie chcę dalej tego ciągnąć.

– Zamknij się, nie życzę sobie, żebyś tak mówił.

– Ale to prawda, nie chcę już żyć, nie mam siły.

– Ja będę twoją siłą, ja i nasze dziecko. Zapomniałeś o nim? Santiago,

dziecko, którego tak bardzo pragnęliśmy. Będziemy bardzo szczęśliwi, Santiago, obiecuję ci to.

– Wynoś się! – krzyknął. – Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju!

– Santiago!

– Mówię, żebyś mnie zostawiła!

Manuel usłyszał, jak kobieta kieruje się w stronę drzwi. W pierwszym odruchu chciał zawrócić na korytarz, ale uznał, że tylko się ośmieszy, jeśli będzie udawał, że nic nie słyszał. Został w tym samym miejscu.

Catarina miała na sobie lekką, przewiewną niebieską sukienkę, w której wyglądała na znacznie młodszą, niż była naprawdę. W jednej ręce trzymała byle jak płaszcz oraz torebkę. Zobaczywszy Manuela, otworzyła usta z zaskoczenia, jakby chciała coś powiedzieć, ale tego nie zrobiła, nawet nie zamknęła do końca drzwi. Torebka i płaszcz wysunęły jej się z rąk, kiedy rzuciła mu się w ramiona i rozpłakała. Poczuł na sobie jej silne, drobne, ale osłabione płaczem ciało. Czoło oparła o jego klatkę piersiową, jakby chciała się w niej zakopać, ręce miała niczym dwa małe, przestraszone zwierzęta usiłujące przytrzymać się jego pleców. Objął ją, wdychając zapach szamponu z włosów, które sięgały jej ledwie do brody, i pozwolił Catarina płakać, poruszony siłą tej kobiety. Przypuszczał, że o to właśnie chodziło, kiedy słyszał, że ona potrafi zająć swoje miejsce.

Stopniowo się uspokajała. Przyjęła papierową chusteczkę, którą jej podał, i przeprosiła za swoje zachowanie. Wytarłszy twarz, znowu objęła Manuela, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. Schyliła się, żeby ponieść torebkę i płaszcz i pokazując na automat z kawą po drugiej stronie korytarza, zaczęła iść.

Zajęła jedno z plastikowych krzeseł obok automatu, ale odmówiła kawy, kładąc sobie rękę na brzuchu w geście usprawiedliwienia.

– Och! No właśnie! Moje gratulacje.

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

Manuel poczuł się tak niezręcznie, że w końcu zaczął przeproszać.

– Przykro mi, że musisz przechodzić przez to wszystko w momencie, w którym powinnaś się cieszyć.

– Och, Manuelu! Jestem ci ogromnie wdzięczna... Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałam z kimś porozmawiać, to był strasznie trudny dzień.

W głowie pojawiała mu się scena przed wejściem do kliniki, gdzie rozmawiały ze sobą Catarina i Kruk. Wyglądało na to, że łączą je dosyć bliskie relacje. Zastanawiał się, czy Catarina też traktuje go po przyjacielsku, a może po prostu nie chciała przyznać, że tego dnia otrzymała już wsparcie od kogoś innego.

– Wyobrażam sobie. Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się.

– Tak, dziękuję, wszystko w porządku, jestem tylko zmartwiona. Ale bardzo się cieszę, że przyszedłeś, miałam taką ochotę z tobą porozmawiać... Herminia mi powiedziała, że Elisa i Samuel wyjechali z tobą wczoraj wieczorem.

– Tak.

– Nie mam jej tego za złe, ale liczę, że wszystko się ułoży: uwielbiam Samuela, a teraz, gdy będzie miał kuzyna, chciałabym, żeby mogli razem dorastać.

Manuel nie odpowiedział, nie wiedząc, jak zareagować, ale miał świadomość, że jej uwielbienie dla Samuela nie dotyczyło Elisy.

– Jak się czuje Santiago?

Jej twarz znowu posmutniała.

– Bardzo źle, nigdy nie widziałam go w takim stanie. – Zakryła sobie usta ręką.

– Herminia mi mówiła, że miał już epizod depresyjny, kiedy zmarł jego młodszy brat...

– Tak, to prawda, ale nie aż tak poważny. Wtedy mi ufał i pomogłam mu z tego wyjść, jednak przypuszczam, że tym razem to nie jest tylko jego wina, powinnam była zdać sobie sprawę, jak niewiele dzieliło go od załamania... Jest taki słaby, taki... – Pokręciła głową i przez chwilę na jej twarzy zagościło zupełnie inne uczucie, niemal wstręt, a może coś jeszcze gorszego... Manuel spojrział na nią i udawał zdezorientowanego, podczas gdy przypominał sobie słowa Kruka wypowiedziane na temat Santiaga.

– Catarino, chciałbym porozmawiać z Santiagem. Muszę go o coś zapytać.

Jej pierwszą reakcją był niepokój, ale natychmiast zastąpiła go roztropnością, podczas gdy bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć.

– Przykro mi, Manuelu, ale to nie będzie możliwe. Ten okres jest dla niego bardzo delikatny, a wciąż pamiętam jego reakcję, gdy widzieliście się ostatnim razem. Wszystko mi jedno, co sobie myślisz, ale nie pozwolę na to. Muszę go chronić, Manuelu. Muszę o niego dbać.

Przed wyjściem znowu objął Catarinę, jednak tym razem uścisk wywołał w nim smutek i nie wiedział, czy przypisywać to własnym uczuciom, czy mimowolnej sztywności, którą – jak mu się wydawało – wyczuł w ciele kobiety. Być może by mu to wynagrodzić, przedłużyła swój czuły gest, trzymając go za rękę aż do windy. Ale to też nie przyniosło Manuelowi ulgi; niemal mógł poczuć w swojej dłoni okropną obecność ręki Kruka. Ganiąc samego siebie za swoje uprzedzenie, zmusił się do zrekompensowania jej tego aktem lojalności.

– Catarino, kiedy przyjechałem, widziałem Vicentego siedzącego w furgonetce na parkingu.

– Och! – wykrzyknęła.

– Nie zawracałbym ci teraz tym głowy, gdyby nie to, że rozmawiając z nim, zauważyłem, jak bardzo jest rozbity, nie przestawał płakać. Przekonałem go, żeby pojechał do domu, ale wygląda na to, że jest zdeterminowany, by z tobą porozmawiać, więc nie zdziwiłbym się, gdyby wrócił.

Na jej ustach zarysował się grymas niezadowolenia albo obrzydzenia, jakby zamiast przekazywania jej informacji o rozpaczach mężczyzny mówił o pladze, która dotknęła jej rośliny.

– Cóż, słyszałeś naszą niedawną rozmowę. Ostatecznie musiałam go zwolnić, ogromnie mnie rozczarował. Vicente był znakomitym pomocnikiem, ale także jedną z tych osób, które nie potrafiły pogodzić się z ograniczeniami zajmowanego przez siebie miejsca.

Manuel poczuł się rozczarowany. Automatycznie zabrał rękę. Być może oczekiwał od niej litości, odrobiny ludzkiej reakcji, która odróżniałaby ją od pozostałych Muñizów de Dávilów; może Nogueira miał rację i oni wszyscy są tacy sami.

Winda się otworzyła, Manuel do niej wszedł i przy pożegnaniu udało mu się wskrzesić w oczach Catariny nieco ognia, którego im brakowało.

– Miał pistolet – powiedział.

Mimo to kobieta szybko się uspokoiła.

– Och, nie przejmuj się tym, Manuelu, mężczyźni bardzo dramatyzują i przesadzają, ale dobrze znam Vicente'go i nigdy nie użyłby broni przeciwko mnie.

– A może przeciwko samemu sobie?

Ona wzruszyła ramionami, a drzwi windy się zamknęły.



Tego dnia nie przestanie padać. W ciągu tych prawie dwóch tygodni

spędzonych w Galicji Manuel przekonał się, że nie powinien ufać jasnemu, bezchmurnemu niebu, które w ciągu kilku godzin może się zasłonić, sprawiając, że zniknie jakikolwiek ślad dobrej pogody, ale od miejscowych nauczył się też rozróżniać okresy, kiedy nie przestanie padać przez cały dzień. Deszcz w Madrycie był krótkotrwały i rześisty, na chodnikach sprawiał wrażenie brudnego, szybko spływał do kanałów ściekowych i cały ślad jego obecności znikał z powietrza, gdy tylko przestawało padać. Tutaj jednak ziemia spijała wodę i zawsze przyjmowała ją jak długo wyczekiwanego kochanka, a gdy deszcz ustawał, jego obecność pozostawała w powietrzu jak nieomal wyczuwalne widmo, które w każdej chwili znów mogło się zmaterializować.

Zaparkował naprzeciwko domu, obok pojazdu Nogueiry i małego SUV-a Laury. Uśmiechnął się, zobaczywszy twarze dziewczynek, które patrzyły na niego przez szybę, zaalarmowane hałasem jego auta. Zgasił silnik, ale nie wysiadł.

Stan, w jakim znajdowała się Catarina, wprowadził go w smutny, melancholijny nastrój, a nieustanna mżawka tylko potęgowała to uczucie. Obserwował dom Nogueiry zza chroniącej go szyby samochodu i w deszczu budynek wydawał mu się zamazany, jakby zatracił swoje kontury i kształt. Manuelem znowu zaczęły targać wątpliwości, tak że miał już nawet zamiar uruchomić silnik i odjechać.

– Cholera – wyszeptał, zdając sobie sprawę ze swojego niepokoju.

To z powodu Kawy. Gdyby dwa tygodnie temu ktoś mu powiedział, że to włochate zwierzę stanie się tak ważne w jego życiu, śmiałyby się na całe gardło. A jednak tak było. I niepokój nie był spowodowany Santiagiem, melancholią czy mżawką, lecz wynikał z przecucia, że pies nie zechce z nim wrócić. Czytał o tym, że zwierzęta same wybierają sobie właściciela, i miał niemal pewność, że Kawa dokonał już wyboru między ośmioletnią koleżanką

do zabawy a nudnym pisarzem.

Nogueira wyszedł do drzwi i podniósł obie ręce, ponaglając go. Manuel w końcu wysiadł z samochodu i skierował się do wejścia, pochylając głowę, żeby osłonić twarz od deszczu i uniknąć pytającego spojrzenia gwardzisty.

Kawa przecisnęła się między nogami mężczyzny a framugą drzwi i podbiegł do niego, szczekając, skamląc i merdając ogonem. Uspokojony i zaskoczony, Manuel zatrzymał się i schylił, żeby pogłaskać swojego psa. Zwierzę stanęło na tylnych łapach, bezowocnie starając się polizać mu twarz, podczas gdy on się śmiał i jednocześnie próbował go uspokoić. Do Nogueiry dołączyły Laura i Xulia, a po chwili również mała Antía. Manuel widział, że się uśmiechała, ale robiła to z taką samą melancholią, od jakiej on właśnie się uwolnił, i dobrze wiedział dlaczego.

Zaczekał, aż zostaną z Nogueirą sami, by zacząć mówić. Rozmowy najpierw z Vicentem, a później z Catarina wywołały w nim dziwne poczucie, że coś traci, jakby wykonywano przed nim wspaniałą symfonię, w której brakuje kilku instrumentów. Walczył między podziwem, jakim darzył Catarina, a odrzuceniem, jakie wywoływała w nim jej relacja z Krukiem. Zastanawiał się, ile w jego opinii na temat tej kobiety jest przecucia, a ile uprzedzeń. Przyznawał, że ją lubi, polubił od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył. Catarina miała naturalną klasę, która czyniła ją bardzo atrakcyjną kobietą, i było oczywiste, że nie tylko dla niego. Ale być może z tego samego powodu przypisywał jej bezsensowne zalety, niemal ją idealizował, podczas gdy koniec końców była kobietą z krwi i kości, z ludzkimi emocjami i ludzkimi pokusami. I co z tego, że zwracała na siebie uwagę mężczyzny, który był w stanie pracować u jej boku i okazywać podziw dla tego, co ona kochała najbardziej? I co z tego, jeśli potajemnie zazdrościła Elisie syna, którego do tej pory nie udało jej się począć? I co z tego, jeśli czasem czuła się zmęczona, znudzona odgrywaniem roli matki słabego i kapryśnego

mężczyzny? Czy właśnie to wszystko nie czyniło z niej kobiety, którą była?

Nogueira patrzył na Manuela z zainteresowaniem, niemal jakby mógł czytać w jego myślach, ale wcale nie musiało tak być, ponieważ zapytał:

– Co ci tam chodzi po głowie, pisarzu?

Manuel się uśmiechnął.

– Kiedy tutaj jechałem, nasza mnie pewna wątpliwość. Chodzi o coś, co powiedziała Ofelia, gdy rozmawialiśmy pierwszy raz, a mianowicie że po przyjeździe na miejsce wypadku Álvara rozniosła się już wiadomość, że to Muñiz de Dávila, przez co wszyscy byli trochę przejęci.

Nogueira przytaknął.

– Sam to widziałem.

– A przecież markizowie mają w okolicy takie wpływy i są tak ważni...

– Do czego zmierzasz?

– Nie wydaje ci się dziwne, że wiedząc o wpół do drugiej w nocy, że Muñiz de Dávila zginął w wypadku samochodowym, nikt nie był tak uprzejmy, by powiadomić rodzinę, i dopiero o świcie zrobiono to ze szpitala?

Nogueira skinął z przekonaniem, wyjmując swój telefon.

– Myślę, że masz rację.



Prowadzący do jego pokoju hostelowy korytarz zawsze witał go ciszą i ciemnością. System wykrywania ruchu zapalał kolejne światła, w miarę jak Manuel zbliżał się do swoich drzwi. Dlatego zdziwił się, widząc, że teraz był oświetlony. Z daleka mógł usłyszeć niedającą się z niczym pomylić kakofonię kreskówek, która wypływała przez otwarte drzwi pokoju Elisy.

Kawa go wyprzedził, biegnąc w tamtą stronę, ale zanim znalazł się przy drzwiach, Samuel wystawił głowę na korytarz i zobaczywszy Manuela,

zaczął krzyczeć:

– To wujek, to wujek Manuel! – Odwrócił się na chwilę do środka pokoju, po czym biegiem ruszył w stronę mężczyzny.

Manuel podniósł go z podłogi i ogarnęło go wrażenie – jak zawsze, gdy go trzymał – że ma w rękach dużą rybę, śliską i niesforną. Czuł małe i silne ramiona, które otaczały jego szyję, na twarzy delikatny dotyk skóry chłopca i wilgotne usta, którymi mały dał mu buziaka.

– Cześć, kochanie, jak ci minął dzień?

– Bardzo dobrze – odpowiedział Samuel. – Poznałem Isabel i Carmen, to moje kuzynki. Nie wiedziałem, że mam kuzynki.

– Ucieszyłeś się, że je poznałeś?

Chłopiec przytaknął energicznym ruchem głowy.

Elisa uśmiechała się, stojąc w progu.

– Cześć, Manuelu – powiedziała.

Manuel postawił Samuela na podłodze i podał mu rękę, by zaprowadzić go do pokoju, a wtedy poczuł dłoń chłopca w kieszeni swojej marynarki. Opuszkami palców dotknął delikatnej obecności płatków i klękając, spojrzął w oczy uśmiechającego się dziecka. Wyjął gardenię z kieszeni i pokazał mu ją. Zauważył zaskoczenie na twarzy Elisy, która podeszła, by lepiej przyjrzeć się kwiatowi.

– Ty to tutaj włożyłeś?

Samuel przytaknął z zadowoleniem.

– To prezent.

– Jest bardzo ładna – podziękował Manuel. – Powiedz mi, codziennie wsadzałeś kwiaty do mojej kieszeni?

Chłopiec włożył palec do ust i skinął nieśmiało.

Manuel się uśmiechnął. Tyle rozmyślał nad obecnością tych kwiatów

w swojej kieszeni, a okazuje się, że był to tylko podarunek od dziecka.

– Dawałeś wujkowi kwiaty tak, żebym się nie dowiedziała, urwisie? – zapytała rozbawiona Elisa.

– Ale... Ale to miał być sekret – odparł chłopiec.

– Sekret? – zainteresowała się jego matka.

– Powiedział mi, żebym wkładał tam kwiaty i nikomu o tym nie mówił.

Zdezorientowana Elisa popatrzyła na Manuela, a potem znowu na swojego syna.

– Kto kazał ci to robić? Samuelu, mnie możesz powiedzieć.

To oczywiste, że nadmierna uwaga skupiona na chłopcu zaczęła mu przeszkadzać. Uwolnił się od uścisku Manuela i pobiegł w stronę otwartych drzwi, odpowiadając:

– Wujek, wujek mnie prosił, żebym to robił.

– Wujek Santiago prosił cię, żebyś wkładał kwiaty do moich kieszeni? – zapytał Manuel.

– Nie! – krzyknął chłopiec, dobiegłszy do drzwi. – Wujek Álvaro.

Manuel stał jak sparaliżowany. W jego głowie pojawiła się rozmowa z Lucasem. Och, mały Samuel! Próbował ukryć swój niepokój i podnosząc wzrok, napotkał spojrzenie Elisy, niemal zawstydzonej całą sytuacją.

– Manuelu, tak bardzo mi przykro, nie wiem, jak...

– Nie przejmuj się, to bez znaczenia – powiedział, biorąc ją pod rękę. – Chodzi tylko o to, że mnie zaskoczył... Każdego dnia znajdowałem kwiaty i...

– Naprawdę mi przykro, Manuelu, nie wiem, co powiedzieć. Może kiedyś widział, jak Álvaro to robił, on miał taki zwyczaj.

– Tak – odparł wymijająco.



W hostelowej jadalni zjadł kolację z Elisą i Samuelem, śmiejąc się z pomysłów chłopca, który co chwilę przemycał pod stołem kawałek jedzenia Kawie, i ciesząc się towarzystwem Elisy. Wyglądała inaczej, jakby po wyjeździe z As Grileiras pozbyła się całunu zakrywającego jej twarz, jakby zostawiła za sobą smutek w kolorze sepii – jak na starej fotografii – który nad nią czuwał. Uśmiechała się, rozmawiała, śmiała, ganiąc żartobliwie Samuela. Manuel pomyślał, że pierwszy raz wydała mu się tak pełna energii i była panią własnego życia.

Właśnie śmiali się z czegoś, co powiedział chłopiec, gdy Manuel znów doznał uczuć, które zatopiły mu serce falami miłości, niezrozumienia, obawy, że już więcej ich nie zobaczy. Wiedział, jak ważna jest dla niego Elisa, jak bardzo kocha Samuela. Uśmiechnął się na tę myśl.

– Zadzwoiłam do mojego brata... Pamiętasz? Mówiłam ci o nim, jest żonaty i ma dwie córki – powiedziała Elisa, wyrrywając go z zamyślenia.

– Samuel mi mówił, wygląda na zachwyconego kuzynkami.

– Owszem. – Uśmiechnęła się. – Teraz wydaje mi się czymś okropnym, że wcześniej nie daliśmy im szansy, aby się poznali. Kolejny błąd dopisany do długiej listy – powiedziała, przyznając się do winy, lecz z nowymi nadziejami w głosie. – Ale dzisiaj dużo rozmawialiśmy. Myślę, że wszystko się między nami ułoży. – Wyciągnęła rękę nad stół, kładąc ją na dłoni Manuela. – A ty miałeś z tym wiele wspólnego... Gdybyś mi nie pomógł, nie wiem, czy miałabym siłę, żeby się stamtąd wydostać.

On zaprzeczył, bagatelizując swoje zasługi.

– Wszyscy jesteśmy silniejsi, niż nam się wydaje. Zrobiłaś już pierwszy krok, poza tym masz swój fundusz, możesz żyć na własny rachunek.

– Nie chodzi o to, Manuelu, po części zostałam z powodu Frana, czułam, że on mnie tam zatrzymuje, a także z powodu rodziny. Nie wiem, czy to rozumiesz, ale w pazo wszystko jest proste, przyjemnie jest czuć się jedną

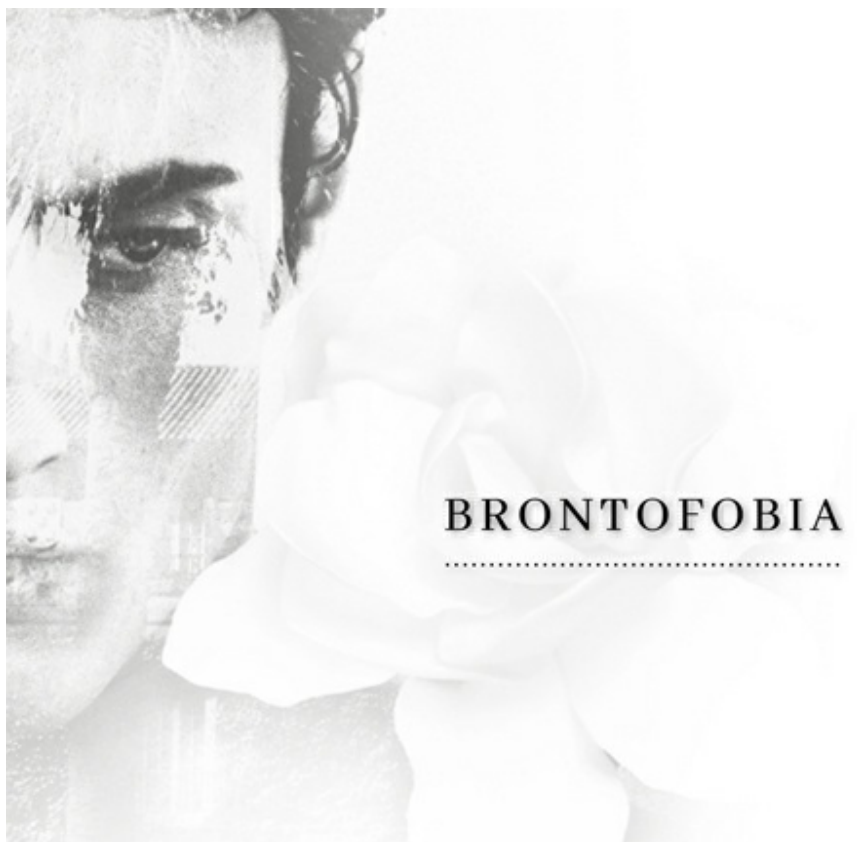
z nich, chociaż zawsze miałam świadomość, że tolerują mnie tylko ze względu na Samuela – powiedziała, spojrzawszy na chłopca, który bawił się z Kawą. Manuel przypomniał sobie, jak Catarina rozróżniała to, co czuje do swojej szwagierki i do bratanka. – Ale w tej rodzinie jest coś odmiennego i to straszne, a zarazem fascynujące. W pazo wszystko płynie, życie mija, jest spokojne i bezproblemowe i tego właśnie potrzebowałam, a przynajmniej przez pewien czas tak sądziłam.

– A teraz?

– Zaczynam poważnie rozważać to, o czym powiedziałaś: mieszkanie z dala od pazo. Mój brat uważa, że to dobry pomysł... Samuel i tak mógłby się widywać ze swoją rodziną, w przyszłym roku pójdzie do szkoły i...

– To bardzo dobrze – odparł, kładąc drugą rękę na jej dłoni. – Ale, Eliso, wtedy, na cmentarzu, próbowałam ci powiedzieć, że to jest twoje życie, twoje i Samuela. Przemyśl sobie na spokojnie, co chcesz zrobić, a kiedy już postanowisz, ja ci pomogę, ale to musi być twoja decyzja, a nie Muñizów de Dávilów, nie twojego brata ani moja... Tylko twoja, Eliso.

Kobieta przytaknęła z uśmiechem.



BRONTOFOBIA

Laura zamknęła książkę, którą czytała, kiedy usłyszała uruchamiany silnik samochodu męża.

Przez ponad piętnaście minut dzięki uchylonemu oknu za plecami słyszała, jak on i starsza córka rozmawiali na werandzie. Nie była w stanie zrozumieć, co mówili, ale dało się odczuć, że konwersacja przebiegała płynnie, i od czasu do czasu słyszała, że się śmiali. Nie było powodu, dla którego on miałby wejść do domu, aby pożegnać się przed odjazdem: już lata temu oboje postawili na lekceważące wyjścia po angielsku. Jeszcze kilka tygodni temu wcale by się tym nie przejęła, jednak tej nocy cisza obudziła stary ból, o którym – jak sądziła – już zapomniała. Gdy wstała, zostawiła książkę na fotelu i uśmiechnęła się, patrząc na młodszą córkę, Antię, która jak zawsze zasnęła na kanapie, chociaż ona tyle razy wysyłała ją do łóżka.

Xulia czytała na hamaku, który zajmował sporą część werandy i był jej

ulubionym miejscem, odkąd zawiesił go tu jej ojciec, kiedy ona miała cztery lata.

– Tata już pojechał? – zapytała Laura, chociaż odpowiedź była oczywista: ani śladu jego samochodu, na podjeździe przed domem został tylko jej SUV.

Xulia podniosła wzrok znad książki i zanim odpowiedziała, obserwowała matkę przez kilka sekund.

– Tak – odparła, zastanawiając się, co też jej przyszło do głowy. – Chciałaś mu coś powiedzieć?

Laura spojrzała na horyzont, opierając się o balustradę werandy. Nie odezwała się, być może dlatego, że musiała pomyśleć nad wyjaśnieniem. Czy chciała mu coś powiedzieć? Wtedy wydało jej się, że dostrzegła lekki blask na granicy świata, i trochę bardziej wyciągając szyję, wpatrywała się w dal. A może chciała, żeby to on jej coś powiedział?

– To nie ma znaczenia... – odrzekła, nie odrywając oczu od linii nieba.

– Ja myślę, że ma – odparła jej córka z rodzajem powagi możliwym tylko u nastolatki.

Ton dziewczyny przykuł jej uwagę i odwróciła się, by na nią spojrzeć, chociaż tylko na sekundę. Teraz była niemal pewna, że zobaczyła coś na niebie.

– Słyszałam, jak rozmawialiście – powiedziała, nie przestając obserwować firmamentu. – Chyba nadchodzi burza.

Xulia uśmiechnęła się pobłaźliwie. Dobrze знаła swoją matkę, kobietę inteligentną i zdolną, rozsądną i spokojną, która przeraźliwie bała się burzy.

– Nie przewidują burzy, mamó – odpowiedziała po sprawdzeniu prognozy pogody w Google.

– Nie obchodzi mnie, co mówi Internet – stwierdziła uparcie. – Lepiej wejdźmy do środka.

Xulia spojrzała na nocne, spokojne i rozgwieżdżone niebo. Mimo to nie

oponowała, dobrze wiedząc, że jeśli chodziło o burze, to dyskusja z jej matką była czasem straconym.

Laura nienawidziła burz i nienawidziła tego, jak czuła się z ich powodu. Przerazały ją do szpiku kości, a to poczucie absurdalnej paniki jedynie potęgowało instynktowną nienawiść do burzy, nadając jej charakter żywego bytu, świadomej i wściekłej istoty, nieprzyjaciółki. Nie wierzyła w wibracje, przecucia czy prognozy. Przez lata małżeństwa z funkcjonariuszem Gwardii Cywilnej zmalał jej strach z początkowego okresu ich wspólnego życia, kiedy za każdym razem gdy wypadała mu służba w nocy, ona nie mogła zmrużyć oka, wyobrażając go sobie ciągniętego pod kołami ciężarówki, potrąconego przez kierowcę, który nie zamierzał się zatrzymać do kontroli, postrzelonego przez nic niewartego bandytę albo jakiegoś z tych handlarzy narkotyków, o których mówiło się, że tylko jednej nocy przewozili w Galicji tony kokainy z miejsca na miejsce.

Jej mąż potrafił o siebie dbać i nie był już nawet czynnym funkcjonariuszem, prawdopodobnie umówił się z Manuelem na piwo, a jednak to pożegnanie bez słowa i ta burza zdołały ożywić dawny strach, których rodził się w jej wnętrzu. Włączyła piekarnik, wciąż obserwując nieubłaganie zbliżającą się burzę, zaczynającą kreślić błyskami pulsującego światła kształty wzgórz.

Laura w milczeniu krzątała się po kuchni, ustawiając na stole składniki na ciasto, które on tak bardzo lubił.

– Będiesz teraz robić ciasto? – zapytała Xulia, podnosząc wzrok na zegar kuchenny wskazujący dwudziestą trzecią.

Okno było otwarte na oścież, aby Laura mogła obserwować zbliżającą się burzę, która zarysowała się na horyzoncie w postaci widocznego już teraz błysku.

Xulii wcale to nie zdziwiło. W przypadku burz u jej matki działał szósty

zmysł; miała go od najmłodszych lat, odkąd jej ojciec zmarł podczas strasznej burzy, tam, na morzu. Nie odpowiadając, Laura zaczęła mieszać składniki, podczas gdy jej umysł wyruszył w podróż do tamtej nocy.

Jej matka całymi godzinami czekała w porcie na powrót statku. Kiedy burza przybrała na sile i zaczęło zmierzchać, grupa kobiet z organizacji charytatywnej podeszła do niej, siłą wyciągnęła ją z portu i odprowadziła do domu. Od razu po przekroczeniu progu kobieta z płaczem upadła na podłogę. „Teraz już wiem, że nie wróci”, powiedziała.

Obecnie matka Laury miała ponad osiemdziesiąt lat i mieszkała sama i dumna w małym domu w pobliżu portu. Robiła zakupy, chodziła do kościoła i zapalała świeczkę przed zdjęciem swojego męża, który nigdy nie wrócił, przed kochaną twarzą, której nie mogła zapomnieć, a którą Laura ledwie pamiętała.

Pewnego razu Laura zapytała ją: „Skąd wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, że tata już nie wróci?”. „Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy zgodziłam się opuścić port i wrócić do naszego domu bez niego. Całymi latami przeklinałam te kobiety za to, że mnie przekonały, że zmusiły mnie do rezygnacji z mojego przyrzeczenia i do powrotu do domu, ale to ja... to ja się poddałam, przestałam na niego czekać i dlatego nie wrócił”.

Xulia w milczeniu obserwowała teraz swoją matkę, kiedy ta mieszała składniki i wkładała ciasto do piekarnika, ale przede wszystkim kiedy wycierała sobie ręce nieskazitelnie czystą ścierką kuchenną z tym wyrazem twarzy, który zdradzał, że się martwi. Wbrew temu, co mówiły jej powolne ruchy, była niespokojna. Xulia dostrzegała to w sposobie, w jaki matka na zmianę patrzyła w pustkę, którą tylko ona mogła widzieć otwartą przed swoimi stopami, i spoglądała przez okno na zbliżającą się nieubłaganie burzę, która przekroczyła już linię horyzontu.

Xulia wyjrzała na zewnątrz, kiedy pierwszy grzmot zahuczał w oddali.

- Pomóż mi – powiedziała Laura – twoja siostra zasnęła na kanapie.
- Jak zawsze – odparła dziewczyna.
- Przygotuj łóżko, żebym mogła ją położyć.

Laura wzięła Antię na rękę, uśmiechając się z powodu wielkości i ciężaru małej, której już niebawem nie będzie w stanie nosić.

Uważając, by nie zawadzić jej nogami o framugę drzwi, wyszła z salonu i omijając meble, kierowała się do pokoju, który we dwie dzieliły przez ostatnie sześć lat. Zatrzymała się przed drzwiami sypialni i myślała. Poprawiła na rękach śpiące ciało dziewczynki, które zaczynało się jej wyślizgiwać. Była bardzo ciężka. Odwróciła się z powrotem w stronę korytarza i powiedziała do starszej córki:

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli położę ją w jej łóżku.

Xulia się nie odezwała, tylko pobiegła, by odsunąć kołdrę z Myszka Minnie. Pocałowała matkę i poszła spać, wiedząc, że ona tego nie zrobi, że tej nocy będzie czekać na powrót jej ojca, i pomyślała, że to dobrze. Ona też знаła tę historię o porcie i burzy i już w wieku siedemnastu lat uważała, że powrót ma sens tylko wtedy, gdy ktoś na nas czeka.



Różowe światła klubu nocnego oświetlały twarze mężczyzn w samochodzie. Manuel się odwrócił, by spojrzeć na Kawę, który patrzył na niego z ukosa ze swojego stałego miejsca na tylnym siedzeniu.

- Zdaje się, że Lucas na poważnie potraktował to, żeby zostać w domu i nie odwiedzać klubów nocnych – skomentował.
- Nie dzwonił, by nas uprzedzić? – zdziwił się Nogueira.
- Nie – powiedział Manuel, raz jeszcze sprawdzając spis połączeń w telefonie.

Pora była jeszcze wczesna, na parkingu znajdowało się tylko kilka

samochodów i nie było ani śladu Mamuta, chociaż pod daszkiem portyku stało krzesło barowe, które zwykle zajmował.

– Przygotowałem z Ofelią listę osób, które zapamiętaliśmy z tamtej nocy z miejsca wypadku. Zacząłem już do niektórych dzwonić, ale większość pracuje na nocną zmianę, tak jak Ofelia. Jeśli nie będzie zabiegana, to ona się z nimi skontaktuje i sprawdzi, czy ktoś powiadomił As Grileiras o wypadku, zanim zrobił to szpital.

Zobaczyli wychodzącą zza budynku potężną sylwetkę Mamuta, który kroczył, zapinając suwak spodni, czym usprawiedliwiał swoją nieobecność. Rozejrzał się po parkingu i wykrył dopiero co zaparkowany samochód. Nawet stał chwilę na deszczu, gdy dostrzegł, że w środku siedzą dwaj mężczyźni. Zanim kowboj postanowiłby do nich podejść, Nogueira i Manuel wysiedli z pojazdu, a Mamut wrócił na swoje krzesło. Być może dlatego, że niezmiernie się nudził, albo ze względu na to, że było jeszcze wcześniej i parking świecił pustkami, Mamut bardzo chętnie opowiedział im o szczegółach swojej pracy.

– Jasne, że pamiętam, kontrolowanie parkingu to mój obowiązek i zawsze tu jestem. Nieviñas nie pozwala mi nawet wejść do środka, żeby się wysikać. Don Santiago to dobry klient i szczodry człowiek. Kiedy parking jest pełny, zazwyczaj prosi, bym obserwował jego samochód, żeby przypadkiem jakiś pijany facet go nie zarysował.

– A więc ich pamiętasz.

– Jasne, była sobota, czyli dzień, w którym wymagana jest szczególna czujność, wiedzą panowie: „Sobota, sobótka, nowa koszula i prostytutka”. Parking był pełny, nie tak jak w niedziele, które są przeznaczone dla rodziny.

– Uśmiechnął się, a licówki na jego zębach błysnęły w świetle neonu. – Przyjechały dwa samochody i zatrzymały się na skraju parkingu, przy drodze; już samo to było dziwne, zwykle parkują tu choćby po to, żeby nie

tarasować przejazdu. Chciałem do nich podejść, bo czasem zatrzymuje się tu jakiś diler, żeby ukręcić biznes, i wtedy wychodzę, by się go pozbyć. Nieviñas nie chce, żeby klub dorobił się złej sławy.

Manuel się uśmiechnął, a Mamut kontynuował, nie rozumiejąc, skąd taka reakcja.

– Uspokoilem się, kiedy zobaczyłem, że to don Santiago. Z drugiego samochodu wysiadł facet, który czasami z nim przyjeżdżał. Rozmawiali krótko, ale głośno; nie mogłem zrozumieć, co mówili, bo muzyka ze środka ich zagłuszała, ale don Santiago ewidentnie był bardzo zły. Wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiami i odjechał, zostawiając tego drugiego.

– I nic więcej?

– Cóż, ten drugi został tam, patrząc na szosę, i wtedy pojawił się kolejny samochód. Zwrócił moją uwagę, bo nie przyjechał z drogi, tylko z przyległego do niej lasu sosnowego – powiedział, pokazując na graniczący z parkingiem teren leśny. – Czasem zajeżdżają tam jakieś parki, no wiecie – dodał, patrząc na nich porozumiewawczo. – To była furgonetka, wyjechała z lewej strony i zatrzymała się przy facecie, który tam stał. Wysiadła z niej jakaś kobieta i przez chwilę rozmawiali.

Nogueira odwrócił się i spojrział na koniec parkingu.

– Dystans jest dość spory, jesteś pewien, że to była kobieta?

– Niska, włosy dotąd – powiedział, podnosząc palce prawej ręki na wysokość szyi – i była sama: zostawiła otwarte drzwi, tak że przy wewnętrznym świetle mogłem zobaczyć, że w środku nie było nikogo. Porozmawiali przez chwilę, objęli się na pożegnanie, on wsiadł do swojego samochodu i wyjechał na drogę, ona zrobiła to samo.

– Objęli się?

– Tak, na pożegnanie, kilka sekund... Cóż, w tym momencie nie byłem zbyt uważny, bo jeden z klientów wyszedł, żeby porozmawiać, a kiedy

znowu popatrzyłem na tych dwoje, wrócili do samochodów i odjeżdżali.

– Która mogła być godzina?

– Pierwsza...

– A pojazd, mogłeś go dobrze zobaczyć?

– Nie widziałem rejestracji ani nic takiego, ale to była biała furgonetka dostawcza, miała nawet rysunek, coś takiego jakby kosz kwiatów... Tak, to był kosz kwiatów. – Uśmiechnął się, gratulując sobie dobrej pamięci. – Już mówiłem, że kontrolowanie wszystkiego, co tu przyjeżdża, to moja robota – dodał dumnie Mamut.

– Furgonetka z koszem kwiatów z boku – powiedział Manuel, kiedy wrócili do samochodu. – To jest furgonetka pomocnika Catariny, a ten mężczyzna podał nam właściwie jej rysopis.

– Wiemy już, dlaczego się kłócili: Álvaro powiedział Santiagowi, że nie zapłaci, i to musiało go mocno wkurzyć.

– Tak, ale odjechał, a wtedy Álvaro jeszcze żył.

– I w tym momencie pojawiła się Catarina. Co ona tutaj robiła?

– Nie wiem, Catarina bardzo chroni Santiaga – powiedział Manuel, przypominając sobie ich rozmowę w klinice oraz to, do jakiego stopnia miała dosyć dbania o tego nieudacznika. – Może podejrzewała, że ma jakiś problem, i jechała za nim aż tutaj.

– Hmm – wymamrotał Nogueira, zaciskając usta w odpowiedzi.

– Co? – zapytał Manuel.

Właśnie uruchomili silnik, kiedy zadzwonił telefon gwardzisty: to Ofelia. Nogueira włączył głośnik, żeby Manuel też mógł ją słyszeć.

– No cóż – powiedziała kobieta – tak jak podejrzewaliśmy, ktoś powiadomił Muñizów de Dávilów o wypadku.

– Kto do nich zadzwonił?

– Taki jeden z drogówki. Nazywa się Pereira... Powiedział, że nie widział nic złego w tym, by ich zawiadomić. Przyznał, że rozmawiał z Santiagiem mniej więcej o drugiej...

– O drugiej?

– Tak. Powiedział mu, że Álvaro zginął w wypadku samochodowym i że prawdopodobnie wypadł z drogi, chociaż wspomniał mu też o pozostawionym fragmencie farby oraz o tym, że Gwardia Cywilna jeszcze nie wykluczyła, by jakiś biały pojazd mógł być powiązany z wypadkiem. Przypuszczam, że chcąc być uczynnym, nieco się pospieszył, ale to jeszcze nie wszystko... – powiedziała, robiąc teatralną pauzę.

– Ofeliña! *Que non temos toda a noite!*^[19] – wykrzyknął Nogueira po galisyjsku.

– Już, *home!* Dwa dni później Santiago zadzwonił do niego, żeby mu podziękować, i chociaż Pereira tego nie powiedział, przypuszczam, że zostało mu też obiecane wynagrodzenie w zamian za przysługę. Santiago powiedział mu, że zaginął bratanek pewnej staruszki, która kiedyś pracowała w pazo, i że kobieta jest bardzo zaniepokojona. Że złożyła już zawiadomienie, ale byłby bardzo wdzięczny, gdyby funkcjonariusz dał mu znać, jeśli znajdą samochód albo chłopaka. Podał mu nawet rejestrację.

– Rejestrację pojazdu Toñina – domyślił się Nogueira.

– Zrobił to? Dał mu znać? – zapytał Manuel.

– Tak, wczoraj po południu, koło piątej, Pereira do niego zadzwonił i powiedział, że chłopaka znaleziono martwego. Dodał, że wszystko wskazuje na samobójstwo.

Manuel położył sobie obie ręce na głowie.

– On go nie zabił, nie wiedział o tym, nie miał pojęcia, że Toñino jest martwy, a kiedy się dowiedział, sprawiło mu to taki ból, że próbował odebrać sobie życie.

– Tak właśnie uważamy – powiedziała Ofelia.

– To dlaczego wiele dni wcześniej płakał w kościele, ściskając jego koszulkę? Nie sądzisz, że to wskazuje na jego winę? Sugeruje, że już o tym wiedział?

– Płakał, bo myślał, że stracił swojego kochanka – powiedział Manuel. – Ciotka Toñina mówiła, że jakiś jego przyjaciel wydzwaniał codziennie i o niego pytał, a wiemy już, że nie był to Richi. Nie sądzę, by sprawdzenie tego kosztowało was dużo wysiłku, bo jestem pewien, że to Santiago. Płakał, ponieważ myślał, że milczenie ze strony Toñina było jego sposobem ukarania go za to, że go pobił; pobił go okrutnie, ale ani go nie zabił, ani nawet nie wiedział do wczoraj, że nie żyje, dlatego ciągle dzwonił do domu ciotki Toñina i o niego pytał. Poradził kobiecie, aby złożyła zawiadomienie, i był tak zdesperowany, że nawet poprosił policjanta, by ten poinformował go, jeśli będą mieli jakieś wieści. Nie postępowałby tak, gdyby wiedział, że nie żyje, a wczoraj, kiedy policjant do niego zadzwonił i przekazał mu, że Toñino popełnił samobójstwo tamtej nocy, której on go pobił, Santiago pomyślał, że to z jego winy, i nie był w stanie tego znieść.

Nogueira milczał chwilę, próbując uporządkować myśli.

– Podsumujmy: Santiago zostawił Álvaroa po kłótni z nim w miejscu, w którym mieli się spotkać, by dokonać zapłaty, tak więc kiedy policjant zadzwonił do niego w nocy, by mu powiedzieć, że Álvaro zmarł i biały samochód brał udział w wypadku, Santiago umówił się z Toñinem, który niczego się nie domyślał i pojechał nawet do Burger Kinga po coś do jedzenia dla nich obu, wyobrażając sobie, że spotkają się, by porozmawiać. Santiago przyjechał wściekły i brutalnie rozwalił mu twarz, bo myślał, że to on zabił jego brata. Bił go, aż miał dosyć albo aż Toñino zdołał go przekonać, że to nie był on, i kiedy go zostawił, nadal żył. Cholera! To mi się zgadza, w samochodzie były nawet chusteczki pełne krwi. Toñino żył. Zanim ktoś go

zabił, zdążył nawet wytrzeć sobie rany.

– I jest coś jeszcze – dodała Ofelia. – Przed chwilą zadzwonili, żeby mi o tym powiedzieć: Toñino miał przy sobie swój telefon komórkowy. Kiedy go znaleźliśmy, był rozładowany, zamoczony i zanieczyszczony różnymi płynami pochodzącymi z rozkładu ciała, ale zdołaliśmy go uratować. Jest mnóstwo nieodebranych połączeń. Trzy od jego przyjaciela Richiego, piętnaście od jego ciotki i ponad dwieście od Santiaga. Łącznie z pełnymi rozpaczy wiadomościami głosowymi... Rozładował mu całą baterię, ciągle do niego wydzwaniając. Jutro rano mają go przesłuchać.

[19] (gal.) Przecież nie mamy całej nocy.



ZLECENIE

lisa obserwowała swojego syna, opierając się o drzwi łazienki. Siedział na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i w milczeniu oglądał kreskówkę w telewizji. Pożegnawszy się z Manuelem, wrócili do pokoju i od tamtej pory wszystko było dziwne: Samuel, w przeciwieństwie do tego, jak zachowywał się poprzedniego dnia, kiedy od razu po przyjściu zdjął buty, żeby skakać jak szalony na łóżku, teraz był cichy i melancholijny. Gdy tylko przekroczyli próg pokoju, zapytał, gdzie jest telefon, a kiedy ona odpowiedziała, że jak zawsze trzyma go w kieszeni, chłopiec odparł: „Nie ten, telefon stąd”. Do tej pory nawet nie zauważyła, że w pokoju na jednym ze stolików nocnych stał telefon stacjonarny. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że Samuel poprosił, żeby sprawdziła, czy działa. Zdziwiona, podniosła słuchawkę i usłyszała sygnał, ale musiała jeszcze przystawić ją do ucha chłopca, żeby sam mógł się o tym przekonać. Pomyślała, że może tęskni za pazo, więc

ukłękła przed nim, żeby zapytać:

– Chcesz do kogoś zadzwonić? Tęsknisz za Herminią? Chcesz, żebyśmy zadzwonili do pazo?

Samuel popatrzył na nią bardzo poważnie. Podniósł prawą rękę i delikatnie przesunął nią po włosach matki. Jego twarz przybrała taki wyraz, jakiego Elisa nigdy wcześniej nie widziała: mieszanka cierpliwości i opieki, jakby ich role się odwróciły i to ona była małą dziewczynką, którą on chronił przed czymś, na zrozumienie czego nie była jeszcze przygotowana.

– Muszę zaczekać, aż zadzwoni do mnie wujek...

– Tak ci powiedział? Jest bardzo późno, może chodziło mu o to, że zadzwoni jutro... – próbowała wyjaśnić kobieta.

Chłopiec znów z niebywałą subtelnością pogłaskał ją po włosach.

– To jest zlecenie, mamó.

– Zlecenie? Jakie zlecenie? – dopytywała Elisa.

– Zlecenie, które muszę wykonać dla wujka. I dopóki do mnie nie zadzwoni, nie mogę pójść spać.

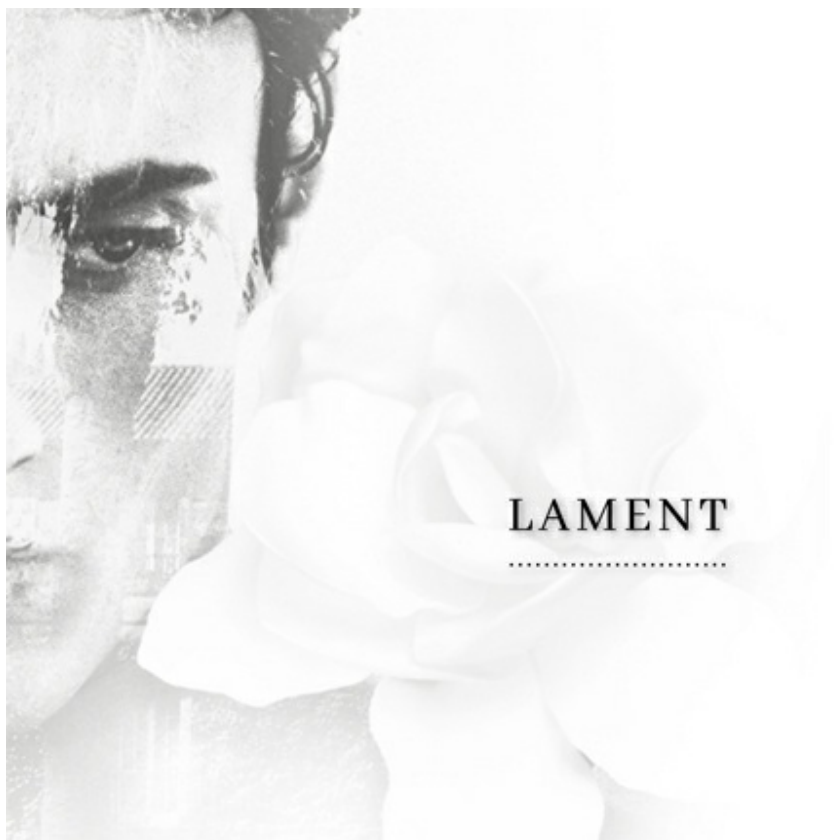
Zdezorientowana kobieta, próbując odzyskać rolę matki, uśmiechnęła się i postanowiła ze zrozumieniem podejść do pomysłów swojego syna. Najpierw te gardenie w kieszeniach Manuela, a teraz to...

– Ale jeszcze tylko chwila, bo jest bardzo późno i musisz iść spać.

Chłopiec pokręcił głową z nową miną, dorosłą i cierpliwą, która mówiła: „Nic nie rozumiesz”, po czym zdjął buty i usiadł na łóżku przed telewizorem. Elisa cofnęła się aż do drzwi łazienki. Udawała, że usuwa makijaż i myje zęby, ale w rzeczywistości stanęła tam, aby mu się przyglądać, obserwując te nowe, nieznanne wcześniej miny.

Widziała, że się śmieje, jak zawsze, gdy ogląda *SpongeBoba*, i że powoli kładzie się na poduszki. Pomyślała, że może zrezygnuje z pomysłu, by czekać, aż wujek do niego zadzwoni, i ostatecznie zmorzy go sen, który już

sklejał mu oczy i sprawiał, że chłopiec ziewał wiele razy. Zobaczyła, że zamyka powieki. To był intensywny i pełen emocji dzień: spędził go poza rezydencją, poznał swoje kuzynki, przez cały czas był w ruchu; siłą rzeczy musiał być zmęczony. Popatrzyła na niego z uśmiechem i miłością i dyskretnie do niego podeszła, w myślach odliczając od dziesięciu. Często tak robiła i jeśli doszła do zera, a chłopiec nie otworzył oczu, to oznaczało, że już głęboko śpi. Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy... Samuel otworzył oczy i podniósł się, jakby nasłuchiwał dźwięku telefonu, którego ona nie była w stanie złowić uchem. Przestraszona Elisa zrobiła krok do tyłu i śledziła wzrok chłopca wbity w telefon. Samuel przytaknął, jak gdyby przypomniawszy sobie o zleceniu albo ktoś odświeżył mu pamięć. Usiadł i odsunął poduszki, żeby go nie kusiły, po czym ponownie skupił uwagę na kreskówce, która z ekranu telewizora malowała pokój na różne kolory.



LAMENT

▼ ▼
klubie Vulcano wcale nie było większego ruchu niż w La Rosie. Gdy tylko weszli do środka, od razu zlokalizowali Richiego. Pił sam z twarzą odwróconą w stronę baru, nie zwracając uwagi na nielicznych klientów, którzy kołysali się na parkiecie.

Nogueira uderzył ręką w plecy chłopaka i wydawało się, jakby pod jej ciężarem wszystkie kości rozsypały mu się niczym domek z kart.

Odwrócił się i przywitał ospale. Wyglądał mizernie i apatycznie. Manuelowi zrobiło się go szkoda: na pewno był w żałobie. Gwardzista też musiał to zauważyć, ponieważ zamiast go gnębić, jak podczas poprzedniej wizyty, raz jeszcze uderzył go w plecy, tyle że delikatniej, i dał znać barmanowi, żeby nalał kolejkę.

Upili kilka dużych łyków piwa, po czym przeszli do rzeczy.

– Posłuchaj, Richi, chcę, żebyś doprecyzował coś, o czym mówiłeś nam ostatnio – zaczął Manuel.

Chłopak dopił swoje piwo, patrząc w pustkę. Manuel wiedział, gdzie Richi się znajduje, jeszcze do niedawna on też obserwował tę przepaść.

– Szukaliście Toñina... Martwiliście się o niego, gdyby nie wy, nadal by tam wisiał... W lesie.

Manuel skinął, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Czy to wystarczy, żebyście złapali tego sukinsyna, który mu to zrobił?
– Nie poruszył się, wzrok wciąż miał zagubiony w pustce.

– Nie wiem. Chciałbym powiedzieć, że tak, ale nie wiem...

Richi się odwrócił i spojrzał mu w oczy. Wyglądał tak, jakby zawładnęło nim mocne postanowienie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Powiedziałeś, że Toñino miał „interesy” w pazo, użyłeś tego słowa. Dodałeś, że nie zabija się krowy, dopóki można ją doić. Opowiedz mi o jego interesach.

Richi spojrzał na Manuela z bardzo poważnym wyrazem twarzy i ten był niemal pewien, że nie odpowie, ale on wzruszył ramionami, wzdychając głęboko, i powiedział:

– Przypuszczam, że teraz, gdy Toñino nie żyje, to już nie ma znaczenia, prawda? Jemu nie może to już zaszkodzić, a tym sukinsynom... Wszystko mi jedno, czy im zaszkodzi, czy nie. Toñino miał w pazo żyłę złota: najpierw dzięki Franowi, a od jakiegoś czasu spotykał się z Santiagiem, kolejnym człowiekiem od interesów. Zawsze powtarzał, że Santiago jest w nim zakochany, i cóż, nie powiem, że Toñino nic do niego nie czuł. Santiago jest bardzo przystojnym facetem i ma dużo kasy. Od czasu do czasu Toñino dawał mu też narkotyki, głównie kokainę... Dlaczego mnie o niego pytacie? Myślicie, że ma coś wspólnego z tym, co się stało Toñinowi? – zapytał,

wykrzywiając twarz w grymasie nienawiści.

– Wiemy, że nie, jesteśmy tego pewni.

Twarz chłopaka się rozluźniła, podczas gdy powoli kręcił głową, na powrót gubiąc wzrok w pustce. Nogueira zaczął się niecierpliwić. Podejrzewał, że jego zachowanie wynikało z czegoś więcej niż tylko ze złości.

– Richi, posłuchaj mnie uważnie – powiedział stanowczo Manuel, by chłopak znów na niego spojrział. – Było coś jeszcze, powiedziałaś: „Tam bierze nawet ta najchudsza”. Myślę, że miałaś na myśli Elisę, narzeczoną Frana, ale wiem na pewno, że ona od lat jest czysta. Chcę, żebyś mi powiedział, kto w pazo kupował narkotyki.

– Elisa? Tak, wiem, kto to jest, ale nie, ona nie, robiła się chora, kiedy widziała nas w pobliżu swojego narzeczonego. Tylko że wiesz, jak to jest: podobnie jak z palaczami, ci najradykalniejsi byli najbardziej uzależnieni. Chociaż widząc, jak skończył Fran, to oczywiste, że znowu brał.

– To kto w takim razie?

– Ta druga, ta najchudsza, nie wiem, jak się nazywa, jej rodzice też są markizami czy kimś takim, mają pazo przy drodze do Lugo...

– Catarina? – zapytał stojący za plecami chłopaka Nogueira.

– Tak, ona.

Manuel spojrział na gwardzistę ponad ramieniem Richiego.

– To niemożliwe, od lat próbuje zająć w ciążę, nie pije nawet kawy...

– Ha! – wykrzyknął Richi. – Że niby nie bierze? I to te najtwardsze... Proszę posłuchać, nie wiem, czy ostatnio przestała, ale mówię o tym, bo widziałem na własne oczy. Raz poszedłem do pazo z Toñinem, on znał drogę z drugiej strony, i ta kobieta czekała na nas przy kościele. Daliśmy jej to, czego chciała, zapłaciła i się zmyliśmy.

– Co kupiła?

– Heroinę.

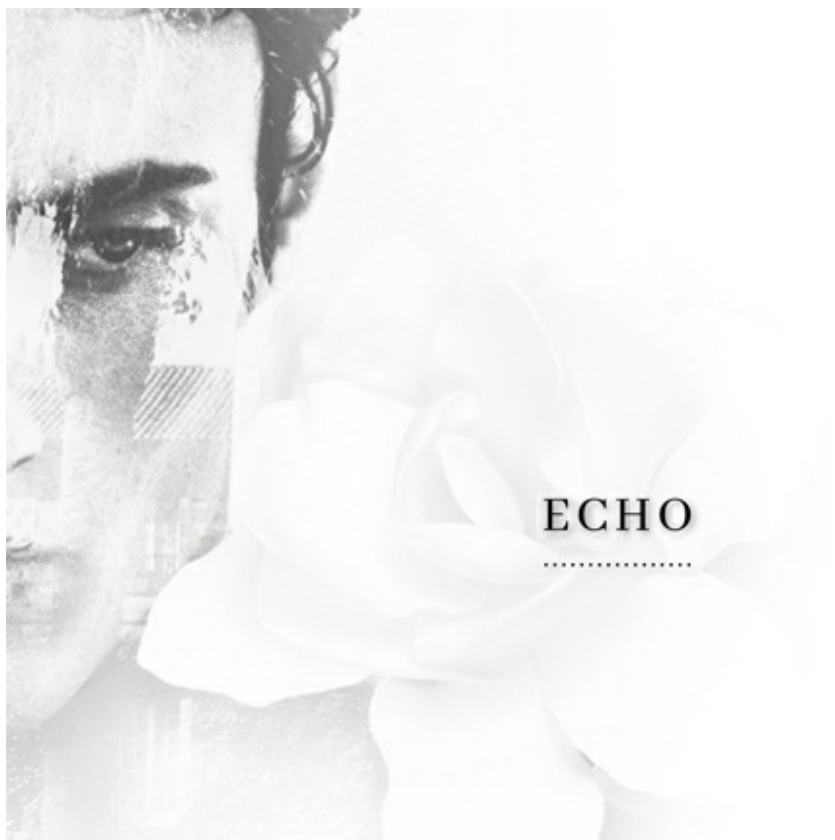
Nogueira wstał ze swojego krzesła i zaalarmowany, spojrział na Manuela, wiedząc, jak istotne jest to, co za chwilę usłyszą. Stał obok Richiego.

– Posłuchaj mnie uważnie: zanim otworzysz usta, dobrze się zastanów nad odpowiedzią.

Chłopak zrozumiał powagę sytuacji, ponieważ skinął z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Pamiętasz, kiedy to było?

– Jasne, jakieś dwa... nie, trzy lata temu, ale dnia nie zapomniałem: piętnastego września. Moja matka i babka mają na imię Dolores i obchodzą imieniny właśnie piętnastego. Toñino przyszedł po mnie do domu, żebym pojechał z nim do pazo, wtedy nie miał jeszcze samochodu. Moja matka go wpuściła i poczęstowała kawałkiem ciasta. Piętnastego września. Gdybym któregoś roku o tym zapomniał, matka by mnie zabiła.



ECHO

ucas wsiadł do windy razem z pielęgniarką. Kobieta z niezadowoleniem patrzyła na kałużę, która niczym ekspansywna fala tworzyła się na podłodze linoleum, gdzie on opierał szpic parasola.

– Strasznie leje... – powiedział na swoje usprawiedliwienie.

Wdychał wilgoć, która z jego mokrego płaszcza rozprzestrzeniała się w małej przestrzeni windy, sprawiając wrażenie, że w każdej chwili mogło się rozpadać nawet tutaj. Ona nie odpowiedziała.

Drzwi otworzyły się naprzeciwko punktu pielęgniarskiego, gdzie siedziała druga kobieta, która szybko się z nimi przywitała, pokazując wejście do gabinetu.

Pielęgniarka zastukała kostkami palców i od razu otworzyła.

Środek sali niemal w całości zajmował podłużny stół z dwunastoma

krzesłami. Troje lekarzy, mężczyzna i dwie kobiety, siedziało na krańcu, a Catarina z boku, plecami do okna, które tego deszczowego wieczoru zamieniło się w lustro w postaci tysięcy kropli przylepionych do szyby z zewnątrz, wyglądających jak posrebrzana rtęć odbijająca to, co znajdowało się po drugiej stronie.

– Dobry wieczór, przypuszczam, że pan to ojciec Lucas. Jestem doktor Méndez, rozmawialiśmy przez telefon – powiedziała jedna z kobiet, która wstała, żeby go powitać i dokonać prezentacji. – Moi koledzy to doktorzy López i Nievas, a Catarina już ojciec zna.

Catarina wstała i przywitała się z nim dwoma szybkimi pocałunkami w policzek. Była blada, wyglądała na zmartwioną, a w rękach trzymała butelkę wody, z której zdrapała etykietę i podarła ją na małe kawałki, teraz leżące przed nią na stole.

Kiedy Lucas usiadł, lekarka kontynuowała:

– Wiem od Catariny, że jest ojciec na bieżąco z tym, co wydarzyło się w ostatnich godzinach. Wczoraj po południu Santiago przedawkował środki nasenne, które bierze na co dzień, by móc spać. Na szczęście zdążyliśmy na czas i dawka, którą wchłonął, nie była śmiertelna. Odkąd się przebudził, prosił o rozmowę z ojcem.

– Lucasie, ja się nie zgadzam – powiedziała Catarina. – Ty byłeś ostatnią osobą, do której zadzwonił, zanim połknął tabletki. Myślę, że rozumiesz, co to oznacza. Boję się, co może się stać, martwię się, że rozmowa z tobą będzie jego sposobem na pożegnanie.

Lucas skinął powoli, chcąc wziąć sprawy w swoje ręce, ale odezwała się lekarka:

– Rozumiemy pani obawy, Catarino, ale moi koledzy i ja zgadzamy się co do tego, że to spotkanie może mieć na niego pozytywny wpływ. Ze względu na to, że jest wierzący, sądzimy, iż może czuć się swobodniej,

rozmawiając ze swoim spowiednikiem niż z nami. Przez cały dzień poddawaliśmy go ocenie i nasza opinia brzmi jednomyślnie: Santiago jest smutny i stanowczy, to typowe dla samobójców, ale jego zdolności umysłowe nie są zaburzone.

– Jak może pani mówić, że jego zdolności umysłowe nie są zaburzone? Na miłość boską, on próbował się zabić, i to nie pierwszy raz – zaprotestowała Catarina.

– Powszechne jest myślenie, że osoby, które postanawiają odebrać sobie życie, są szalone, ale tak nie jest, a przynajmniej nie jest tak w większości przypadków. Nikt nie wie z całą pewnością, jak działa depresja – ciągnęła lekarka. – W tym momencie jest załamany, ale to nie znaczy, że sobie z tym nie poradzi, tym bardziej że raz już to zrobił, chociaż prawda jest też taka, że w depresji każdy kolejny epizod łączy się z poprzednim. Teraz najbardziej zależy nam na tym, żeby pokonał izolację i potrafił mówić o swoim bólu; nam nie udało się go do tego skłonić, ale uważamy, że samo to, iż chce porozmawiać ze swoim spowiednikiem, jest bardzo pozytywne.

Catarina znowu pokręciła głową.

– On rozmawia ze mną, jestem jego żoną, znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Santiago jest... jest jak małe dziecko i kiedy czuje frustrację albo złość, robi i mówi rzeczy, których później żałuje. Zawsze taki był, od małego. Dobrze go znam i nauczyłam się nie przywiązywać do tego wagi, rozróżniać, kiedy rozładowuje emocje, a kiedy mówi prawdę. Przez cały dzień na mnie krzyczał, opowiadał okropne rzeczy, wyrzucał mnie z pokoju, ale ja wiem, jaki on jest i że zachowuje się tak, ponieważ cierpi. Dlatego uważam, że jest za wcześnie, by dzisiaj z nim rozmawiać. Czemu nie pozwolą państwo, żeby minęło kilka dni, aż będzie spokojniejszy? Jestem pewna, że to, co Santiago będzie mógł dzisiaj powiedzieć, wyrze na państwu mylne wrażenie o nim, a moją powinnością jest go chronić; robiłam to już po śmierci jego

młodsze brata i zdołałam do niego dotrzeć.

Lekarze przytaknęli.

– Tak, rozumiemy te wątpliwości, a pani zapłać, by go chronić, wymaga pochwały, jednak uważamy, że teraz najważniejsze jest to, aby don Santiago pokonał izolację, i mamy nadzieję, że ojciec Lucas będzie mógł przekonać go o tym, jak istotne jest, by pozwolił sobie pomóc w wyjściu z dołka. W każdym razie jeśli jest gotowy, by otworzyć się na kogoś, to już robi pierwszy, najważniejszy krok w kierunku poprawy.

– Odmawiam – stwierdziła stanowczo Catarina. – Państwo go nie znają, jeśli pozwolę na coś takiego, on się załamie.

Troje lekarzy popatrzyło na siebie i głos zabrał mężczyzna.

– Rozumiem pani postawę, Catarino, ale należę do rady administracyjnej tej kliniki i zanim postanowiliśmy wezwać ojca Lucasa, skonsultowałem się z naszymi radcami prawnymi. Nie możemy odmówić pomocy duchowej żadnemu pacjentowi, który o nią poprosi. Ta instytucja ma wyraźny charakter religijny, ale nawet gdyby tak nie było, jako psychiatrzy rozumiemy, że pomoc duchowa jest zawsze korzystna dla pacjenta.

– W takim razie ja będę mu towarzyszyć. Przysięgam mu, że nie zostawię go samego, i dotrzymam słowa. Między moim mężem a mną nie ma żadnych tajemnic. On ogromnie cierpi i podobnie jak podczas państwa ocen, nie pozwolę, by z kimkolwiek rozmawiał, jeśli mnie przy nim nie będzie. Powiedziałam to już dzisiaj rano: jeżeli nie uszanują państwo mojej woli, to zabiorę go do domu.

Lucas odkaszlnął, zwracając uwagę wszystkich obecnych.

– Jestem katolickim księdzem i moim obowiązkiem jest wysłuchanie każdego wierzącego, który zechce się wyświadczyć. Nie wiem, czy państwo są katolikami, czy nie, ale muszą wiedzieć, że wszystko, co don Santiago mi powie, stanie się tajemnicą spowiedzi i nie będzie mogło być ujawnione –

powiedział i zwrócił się do Catariny. – Znam Santiaga od dziecka, Catarino, i jestem jego spowiednikiem, odkąd otrzymałem święcenia. Od lat jestem też przyjacielem rodziny i sam udzielałem wam ślubu w As Grileiras. Tutaj jednak nie przyszedłem jako przyjaciel, tylko jako ksiądz. Santiago dzwonił do mnie wczoraj, zanim wziął tabletki, i myślę, że gdyby mógł ze mną porozmawiać, odwiódłbym go od tego.

– On jest szalony, Lucasie, nie wyobrażasz sobie nawet, co mówi. Jest pod wpływem narkotyków i na wszystko ma nerwy, opowiada same głupstwa, nie chcę zostawiać go samego – powiedziała przejęta.

Lekarka zaprzeczyła.

– Zdolności umysłowe pacjenta nie są zaburzone, a w jego organizmie nie ma już żadnych śladów narkotyków, z wyjątkiem pozostałości środków nasennych, które zażywa regularnie. Wiemy, że nie jest bardziej zmieniony przez lekarstwa niż w jakikolwiek inny dzień.

Zmartwiona Catarina westchnęła, a Lucas podniósł się ze swojego krzesła i usiadł obok niej.

– Chce się wypowiedzieć, to jest jeden z najważniejszych sakramentów naszej wiary. Oprócz jego i mnie nie może być przy tym nikogo więcej, nie wolno tego nagrywać i nic, co mi powie, nie ma prawa zostać ujawnione.

– Nic? Bez względu na to, co to będzie? Nawet lekarzom? – zapytała nieufnie kobieta.

– Nic – uspokoił ją Lucas. – Tajemnica spowiedzi zobowiązuje mnie do zachowania milczenia w sprawie wszystkiego, co mi opowie. Catarino, spowiedź jest ulgą dla duszy. Sakrament radości, który uwalnia nas od naszych zmartwień, nie jest terapią medyczną ani zeznaniem przed sądem – powiedział, biorąc jej drobną, silną rękę, która wyraźnie drżała, i częściowo kierując swoje słowa do lekarzy, którzy patrzyli na niego rozczarowani.

Lekarka westchnęła, patrząc krótko na swoich kolegów, po czym

zwróciła się do Lucasa.

– Cóż, rozumiemy warunki rytuału, a w tym momencie największym problemem, jakiemu stawiamy czoła, jest zamknięcie się w sobie pacjenta. Jeśli ojciec zdoła przełamać tę barierę, uznamy to za sukces. Rozumiemy, że nie może opowiedzieć nam ojciec szczegółów spowiedzi, ale mamy nadzieję, że postara się go odwieść od jego zamiarów i ostrzeże nas o nich, jeżeli don Santiago wyrazi chęć odebrania sobie życia.

– Właśnie powiedział, że tajemnica spowiedzi obliguje go do zachowania milczenia bez względu na to, co wyzna – powiedziała ostro Catarina.

– Jednakże – dodała lekarka, patrząc uważnie na Lucasa – jeśli po spotkaniu z pacjentem poproszę ojca o radę dotyczącą tego, jak go traktować, żeby lepiej poradzić sobie z jego przypadkiem, ksiądz mógłby mi powiedzieć, żebym zachowała spokój i szczególnie o niego dbała, nieprawdaż? W ten sposób nie ujawniałby ksiądz żadnej tajemnicy, tylko szczerze mi doradził.

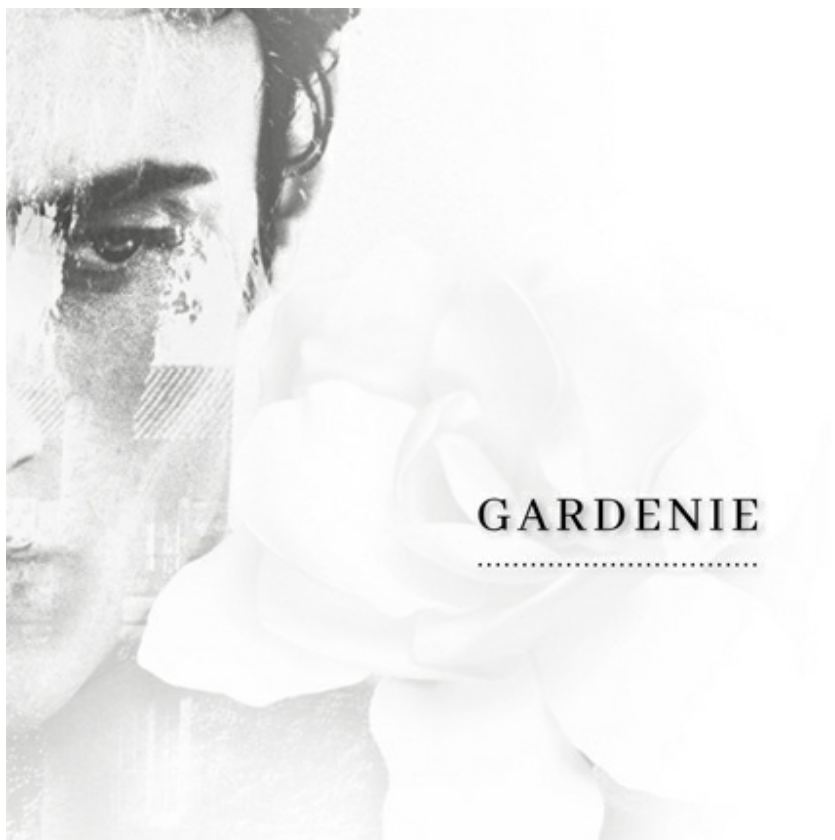
Lucas skinął.

– Szczerze pani doradzę – powiedział, wstając.

Poszedł za lekarzami do drzwi pokoju. Ostatni raz sprawdził telefon i go wyłączył, a przed wejściem do środka odwrócił się jeszcze, by na nich spojrzeć.

– Proszę o najwyższy szacunek: nikt tu nie wejdzie i w żaden sposób nam nie przerwie, dopóki nie skończymy.

Na oczach przerażonej Catariny zamknął za sobą drzwi.



Manuel popędził schodami w górę, przekonany, że w piwnicy, w której znajdował się klub Vulcano, jego telefon nie złapie zasięgu. Poza tym głośnie muzyka nie pozwoliłaby mu nic usłyszeć, a poczucie przyzwoitości zabraniało mu wykonywać połączeń z tak nieobyczajnego miejsca.

Deszcz, zredukowany teraz do mżawki, sprawiał, że palacze tłoczyli się pod wąskim daszkiem przy wejściu do klubu.

Wyszedł w mrok, mijając męskie ciała i nie reagując na spojrzenia ani słowa, które miały przyciągnąć jego uwagę. Oddalił się wystarczająco, żeby uciec od ich wpływu, i wybrał numer Elisy, podczas gdy opuszkami drżących palców z kieszeni marynarki wyciągał kwiat podarowany mu przez Samuela.

Głos Elisy odpowiedział natychmiast.

– Manuelu, coś się dzieje? – spytała zaalarmowana.

– Eliso, przepraszam, że dzwonię tak późno, mam nadzieję, że cię nie obudziłem – tłumaczył się.

– Nie, nie spaliśmy. Och, Manuelu, ale co się dzieje? – dopytywała zdenerwowana.

– Dlaczego tak mówisz?

– Samuel nie chciał się położyć, od dwóch godzin siedzi na łóżku i czeka. Powiedział mi, że nie może zasnąć, bo ty masz do niego zadzwonić. Obiecałeś mu to? Mówiłeś, że do niego zadzwonisz, zanim pójdzie spać?

– Nie – odparł.

– A więc o co chodzi, Manuelu? Dlaczego dzwoniisz?

– Eliso... Pozwolisz mi porozmawiać z Samuelem?

Milczała przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Tak. – Usłyszał ocierający się o coś telefon, wyobrażając sobie siedzącego na łóżku chłopca.

– Cześć, wujku Manuelu. – Jego pogodny głos dobiegł do niego wyraźnie.

– Cześć, kochanie – odparł z uśmiechem. – Wcześniej, kiedy rozmawialiśmy, zapomniałem cię o coś zapytać – powiedział, głaszcząc mleczne płatki kwiatu.

– Tak.

– Wujek Álvaro prosił cię, żebyś wkładał gardenie do mojej kieszeni...

– Tak.

– A powiedział ci, dlaczego miałeś to robić? – zapytał ostrożnie.

– Tak.

– Zapomniałem cię o to zapytać, powiesz mi teraz?

– Tak.

– Dlaczego?

– Żebyś znał prawdę.

Manuel popatrzył na woskową biel kwiatu i jego męski zapach przeniósł go do wnętrza szklarni; dźwięki muzyki mieszały się z aromatem tysięcy gardenii i znowu poczuł to tak mocno, jakby tam był.

– Dziękuję, kochanie.

Usłyszał kolejne otarcie telefonu oraz głos Samuela zwracającego się do swojej matki.

– Mamusiu, daj mi poduszkę, teraz mogę już zasnąć.

Kiedy się rozłączał, zauważył migający na ekranie znak, który powiadamiał go o wiadomości na poczcie głosowej. Kto, do diabła, zostawia jeszcze nagrane wiadomości? Zobaczył Nogueirę, który właśnie wyłaniał się ze stromych schodów Vulcano, bezceremonialnie odsuwając chłopaków, którzy obściskiwali się dookoła. Podszedł do Manuela w momencie, gdy ten odsłuchiwał wiadomość. Pisarz włączył głośnik, żeby Nogueira mógł się z nią zapoznać: „Słuchaj, Manuelu, dzwonię do ciebie, ale pewnie masz wyłączony telefon. Nie będę mógł towarzyszyć wam dzisiejszej nocy, właśnie zadzwonili do mnie z kliniki, w której jest Santiago; poprosił, żebym go wypowiedział, i jak się wydaje, lekarze nie mają nic przeciwko. Teraz tam jadę. Jeśli nie będzie zbyt późno, zadzwonię do ciebie, kiedy skończę”. Piknięcie zakończyło nagranie.

– O której godzinie to nagrał? – zapytał Nogueira.

– O wpół do jedenastej. Zostawiłem telefon w pokoju, żeby się ładował, i poszedłem na kolację – powiedział Manuel z ubolewaniem. – Wtedy musiał dzwonić i aż do teraz nie zwróciłem uwagi, że mam tę wiadomość.

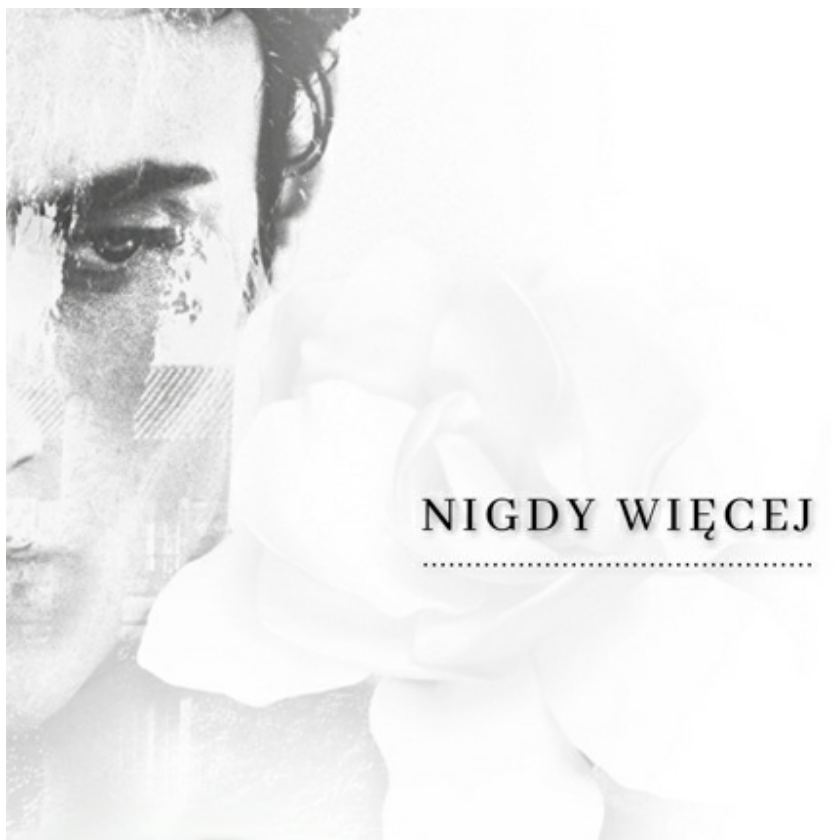
Wybrał numer Lucasa i przyłożył telefon do ucha, ale tylko po to, by odsłuchać głos operatorki, która informowała, że właściciel numeru ma wyłączony telefon albo znajduje się poza zasięgiem.

– Nie pozwoliła mi zostać z nim sam na sam – powiedział Manuel, mając

na myśli swoją wizytę u Santiaga w klinice. – Nie pozwoliła, tłumacząc się tym, że go chroni, ale chroniła samą siebie. To była ona: Catarina zostawiła nieprzytomnego Frana i zaaplikowała mu dawkę, która go zabiła, a trzy lata później zamordowała Álvaro, ponieważ był w stanie sprawić, że jej świat by się zawalił. – Oczy Manuela napełniły się łzami i aby móc kontynuować, musiał przełknąć grubą kulę, która uformowała się w jego gardle. – Tamtej nocy podążała śladami swojego męża, a kiedy zobaczyła, że Álvaro nie zapłaci, sama to załatwiła. Jeśli się nad tym zastanowić – powiedział z gorzkim uśmiechem – objęcie go bardzo przypomina postawę, jaką musiałaby przyjąć, żeby wbić mu coś w bok tułowia. Jestem pewien, że on nie wiedział, co się dzieje, aż było za późno. Sprzątnęli obu braci i w końcu mają to, co chcieli. Santiago jest słaby i załamuje się w takich momentach, ale ona wie, jak nim sterować, odsuwa go od świata do czasu, aż odzyskuje kontrolę, ale tym razem jest inaczej, a różnica polega na tym, że Santiago kochał Toñina.

– Wiesz, co to oznacza? – Gwardzista skinął energicznie, tłumacząc: – Santiago popełni samobójstwo, już nic nie ma dla niego znaczenia, ale wcześniej chce o tym opowiedzieć, a wie, że ona mu nie pozwoli. Spowiedź jest jedynym sposobem, jaki mu pozostał, żeby wyjawić prawdę i zostać z kimś sam na sam – powiedział Nogueira, przyspieszając kroku za Manuelem, który biegł już do samochodu.

Wyraźna burza torowała sobie drogę na niebie błyskiem wprost z zaświatów.



NIGDY WIĘCEJ

icente czuł, że twarz ma napiętą i twardą od zaschniętej soli. Przebiegł po niej zdrętwiałymi, spoconymi opuszkami palców i poczuł jedwabistą, umytą łzami, spiętą i zmęczoną skórę. Ogrodnik podniósł wzrok, próbując dostrzec własne oczy w czarnym odbiciu lusterka wstecznego. Nie wiedział, ile czasu tutaj siedział, ale kiedy przyjechał, było jeszcze widno, a teraz panowały takie ciemności, że odległy blask zbliżającej się burzy wystarczył, aby wyrwać go z letargu. Od tak długiego płaczu bolała go klatka piersiowa. Wyobrażał ją sobie jako połamany i opuszczony bęben, pusty i ogromny, w przeciwieństwie do żołądka, który skurczył się, jakby jego ścianki zlepily się ze sobą, aby w środku nie zostawić już na nic miejsca. Niby na potwierdzenie tego przełknął gęstą, gorącą ślinę zebraną w ustach i poczuł, jak spływa, kwaśna, aż do żołądka, a ten odrzucił ją w postaci mdłości, które Vicente z trudem mógł powstrzymać. Podniósł wzrok na złowieszcze niebo

i na zewnętrzne światła pazo, które kapały go w tej pięknej, ale niewystarczającej aureoli.

Wysiadł z furgonetki i poczuł nieprzyjemny wietrzyk towarzyszący burzy, która znowu na tyle rozświetliła niebo, aby mógł dostrzec jej obszarpany strój. Włożył płaszcz, który wcale nie wyglądał lepiej i który wiatr przylepił mu do ciała, powiewając połami, kiedy Vicente szedł w stronę domu.

Wyglądająca przez okno Herminia aż podskoczyła, gdy zobaczyła jego zmienioną twarz.

Podnosząc ręce do klatki piersiowej, śmiała się i jednocześnie go karciła.

– Vicente, *home!* Ależ mnie przestraszyłeś!

Otworzyła drzwi, rzucając w jego stronę:

– No już, wchodź. Jak ty wyglądasz? Przypominasz ducha!

Damián, który w milczeniu siedział przy stole i jadł kolację, popatrzył na niego ze zdumieniem. Dopiero wtedy Herminia zauważyła jego pomięte ubranie, drobny, nieuporządkowany zarost, nadający jego twarzy brudnego wyglądu, drżące dłonie oraz opuchnięte oczy. Spojrzała na niego zmartwiona, próbując znaleźć ślad nieszczęścia, od czego w ostatnim czasie stała się ekspertką, wyczuwając smutek w powietrzu.

– Coś się stało... – niemal stwierdziła.

– Nie – zaprzeczył Vicente ochrypłym głosem. Wydał się sobie przestraszony, gdy usłyszał własny głos. Odchrząknął, po czym mówił dalej:
– Herminio, przekaż pani markizie, że chcę z nią porozmawiać.

Damián zatrzymał łyżkę w połowie drogi z talerza, a Herminia otworzyła usta z zaskoczenia.

– Coś się stało? – dopytywała zasmucona, przeczuwając nieszczęście, które w ciągu ostatnich godzin skutecznie wypierała.

Vicente próbował zebrać w sobie całą odwagę, na jaką było go stać.

Herminia i Damián na pewno nie wiedzieli jeszcze o jego zwolnieniu. Bo dlaczego mieliby wiedzieć? Po co informować służbę o decyzjach podjętych przez państwo? Na jego twarzy zarysował się gorzki uśmiech, który jednak musiał zawierać wystarczającą dawkę rozsądku, aby uspokoić Herminię.

Damián wrócił minutę później.

– Pani powiedziała, żebyś przyszedł.

Szedł po ciemku korytarzem, przyciągany ciepłem emanującym na zewnątrz z otwartych drzwi pokoju, które na ciemnym drewnie kreśliło dawkę różanego światła. Przystanął w drzwiach i zajrzał do środka. Pani markiza znajdowała się na sofie w pozycji pólężącej i mimo że temperatura w pomieszczeniu była przyjemna, a ona miała na sobie sweter z golfem, to nogi przykrywał jej koc. Naprzeciwko niej nachylona przy kominku pielęgniarka dokładała drewno do ognia, który całe piętro wypełniał zapachem lasu.

Niezdecydowany, uderzył kostkami dłoni w drzwi, uchylone zapewne dla niego.

Pielęgniarka nawet się nie poruszyła, ale pani podniosła bladą, wysuszoną niczym u trupa rękę i pokazała, żeby wszedł. Tak też uczynił, ale teraz ogarnęły go wątpliwości, czy ma zamknąć za sobą drzwi, czy pozostawić je uchylone. Mdłości znowu pojawiły się z całą mocą i poczuł zdenerwowanie i wstyd. Wiedział, że pielęgniarka nie wyjdzie, nie zostawi swojej pani samej. Niepokój wracał do jego klatki piersiowej, dusząc go, i Vicente nie miał pewności, czy będzie w stanie mówić, nie płacząc. Chociaż ostatecznie i tak wszyscy się dowiedzą (w paço zawsze wszyscy o wszystkim się dowiadawali), to wolał, żeby w pobliżu nie było wielu świadków jego załamania. Zamknął za sobą drzwi i szedł w linii prostej ze spuszczoneym wzrokiem, czując pod stopami gruby dywan, a z daleka spojrzenie wielkiej, nieruchomej damy.

Przez kilka sekund, które Vicentemu wydały się wiecznością, trwali tak: pielęgniarka zajęta dokładaniem do ognia, on stojący niczym tchórz przed szubienicą, markiza uzbrojona w bladą powagę.

– Dobry wieczór, proszę pani. Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze, ale muszę z panią porozmawiać.

Kobieta pozostała niewzruszona, jakby nic nie usłyszała. Vicente chciał już powtórzyć swoje powitanie, kiedy zniecierpliwiona markiza podniosła rękę, ponaglając go, by kontynuował.

– Chodzi o... No więc... Jak przypuszczam, już pani wie, że zostałem zwolniony. Drugi raz.

– Jak się pan nazywa? – przerwała mu nagle.

– Słucham? – odpowiedział.

– Pańskie nazwisko – powtórzyła niecierpliwie, pstrykając palcami i domagając się pomocy pielęgniarki.

– Vicente – wyszeptał mężczyzna.

I niemal równocześnie z nim powiedziała pielęgniarka:

– Piñeiro, Vicente Piñeiro.

– To te okropne tabletki, które biorę – powiedziała markiza, kierując te słowa do pielęgniarki. – Przez nie czuję, jakbym miała głowę pełną powietrza – dodała z niezadowoleniem. Ponownie zwracając się do mężczyzny z surową powagą, powiedziała: – Byle krótko, panie... – Ponownie zaczęła pstrykać palcami.

– Piñeiro – powtórzyła pielęgniarka.

Ona skinęła, najwyraźniej zadowolona z pracy swojej suflerki.

Vicente przełknął jedną z tych okropnych gul kwaśnej śliny, a palenie w żołądku zmusiło go do złapania się za brzuch.

– Od pięciu lat pracuję w pazo, pomagając Catarina. – Kiedy wymawiał

jej imię, zabrakło mu powietrza i zabrzmiało to jak żałosny jęk. – Przez cały ten okres byłem bardzo szczęśliwy, praca sprawiała mi dużą radość i robiłem wszystko, co mogłem, nie tylko poświęcając się pracy, ale też wykazując zaangażowanie, które według mnie znacznie przewyższało to, czego można wymagać od pracownika. – Podniósł głowę i zobaczył, że kobieta patrzyła na niego nieruchomo, nie dając mu żadnego znaku, czy słucha jego słów, czy nie. Zrobił pauzę, którą ona wykorzystała, aby znowu go pospieszyć.

– Panie...

– Piñeiro – powtórzyła bezbarwnie pielęgniarka.

– Wydaje mi się, że prosiłam już, aby było krótko. Czego pan chce?

Przełknął kolejną żrącą kulę, która tym razem spowodowała lekkie mdłości.

– Chcę – jego oddech przyspieszył, aż mężczyzna zaczął sapać – odzyskać moje miejsce pracy. Muszę wrócić do pracy w pazo. – Zrobił krok w stronę kobiety, ale ona zatrzymała go gwałtownie, podnosząc idealnie zarysowaną brew, co bez wątplenia wskazywało na to, że takie zbliżenie się do niej nie jest dozwolone.

– To, o co pan prosi, jest niemożliwe. Przykro mi – powiedziała bez żalu.

Vicente zaczął kręcić głową z boku na bok.

– Błagam panią, nie wiem, gdzie mogłem popełnić błąd ani z jakiego powodu państwa rozgniewałem, ale błagam, żeby mi pani przebaczyła i pozwoliła wrócić do pracy – prosił, czując, jak łamie mu się głos.

Stara markiza podniosła rękę, ucinając jego przemowę. Opuściła ją dopiero wtedy, gdy była pewna, że nie będzie kontynuował. Odsunęła koc przykrywający jej nogi i z elegancją postawiła je na dywanie, siadając bokiem.

– Panie... Piñeiro, zgadza się? Tak naprawdę nie wiem, o co panu chodzi. Jak sam pan powiedział, świadczył pan swoje usługi temu domowi przez pięć

lat. Nie znam szczegółów związanych z pana zatrudnieniem, ale wiem, że nie był pan stałym pracownikiem. Jeśli się nie mylę, miał pan umowę czasową, nieprawdaż? – powiedziała, patrząc na pielęgniarkę, która przytaknęła jej słowom. – Nie potrzebujemy dłużej pańskich usług, nie widzę powodu, by robić z tego dramat.

Vicente drżał. Mimo to znalazł w sobie siłę, żeby wykrztusić:

– Ale...

Kobieta podniosła rękę, tracąc cierpliwość.

– Ale nic, przez pana tylko tracę czas. Nie mogę uwierzyć, że jest pan tak zuchwały. Czy przypadkiem nie zna pan okoliczności, jakie zaistniały teraz w tym domu? Zdarzenia, o których nie muszę panu opowiadać, sprawiły, że podjęliśmy decyzję, by zrezygnować z pańskich usług.

– Ale Catarina będzie potrzebować pomocy: w przyszłym miesiącu mamy kilka imprez kwiatowych, na których potwierdziliśmy już obecność...

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, by Catarina się na nie wybierała. W ciągu najbliższych kilku miesięcy będzie się zajmowała swoim mężem i dbała o własne zdrowie, teraz, gdy znowu zaszła w ciążę.

Gdy Vicente usłyszał ostatnie słowa, na jego twarzy znieruchomiał grymas zbliżony do płaczu.

– Catarina jest w ciąży?

– To nie pańska sprawa, ale tak, owszem.

– Który miesiąc?

Stara markiza uśmiechnęła się przebiegle, po czym odpowiedziała:

– Prawie czwarty, tym razem przezornie odczekaliśmy trochę przed obwieszczeniem dobrej nowiny.

– Czwarty miesiąc – wyszeptał mężczyzna.

Poczuł się tak, jakby w pokoju nagle zabrakło powietrza. Zaczął poruszać

ustami niczym zdychająca ryba, czując, że jego czoło pokrywa zimny i lepki pot. Zachwiał się, szukając wzrokiem czegoś, co mógłby chwycić, by utrzymać się na nogach.

Znalazł oparcie obitego krzesła i nie prosząc o pozwolenie, obszedł je i usiadł, osłabiony i skonfundowany.

– Muszę porozmawiać z Catariną – zdołał powiedzieć.

Stara markiza popatrzyła na niego z pogardą.

– A na jakiej podstawie pan sądzi, że ona zechce z panem rozmawiać?

Na twarzy ogrodnika niemal zarysował się uśmiech.

– Pani nic nie rozumie, to wszystko zmienia.

– Myli się pan, panie Piñeiro, rozumiem wszystko i to niczego nie zmienia.

Ślad uśmiechu zamarł na jego twarzy.

– Ale...

– Jak już powiedziałam, jest pan tylko pracownikiem oferującym swoje usługi i tym właśnie był pan dla Catariny. Pańska praca się skończyła, dłużej już pana nie potrzebujemy.

– Nieprawda – odparł Vicente, podnosząc głowę i po raz pierwszy patrząc tej kobiecie prosto w oczy. – Pani nic nie wie, Catarina mnie... lubi...

Stara markiza patrzyła na niego niewzruszona, od czasu do czasu odwracając wzrok, żeby wymienić pełne zniecierpliwienia i znudzenia spojrzenia z pielęgniarką. Mimo to mu nie przerwała.

– Catarina jest dla państwa zbyt dobra. Wiem, że jest w klinice i zajmuje się Santiagiem, ale kiedy wróci i dowie się, że pani mnie zwolniła, jak poprzednim razem, sprawa nie będzie tak zostawiona: znowu mnie przyjmie, przyjedzie po mnie, tak jak poprzednio.

Straciwszy całą cierpliwość, markiza odwróciła się w stronę pielęgniarki.

– Ty mu powiedz, proszę.

Kobieta z uśmiechem wzruszyła ramionami, niczym pies, któremu pozwala się wziąć kawałek mięsa.

– Panie Piñeiro, to Catarina kazała pana zwolnić.

– Nie wierzę pani, jest tak samo jak ostatnio: państwo mnie zwolnili, ale ona z powrotem mnie zatrudniła.

– Naprawdę jest pan tak głupi? Ach, co za cierpliwość! – powiedziała markiza ze wstrętem, wyciągając rękę, którą pielęgniarka wzięła, żeby pomóc jej wstać. Popatrzyła na niego, jakby oczekiwała, że jej odpowie. – Przykro mi, ale nie, panie Piñeiro, Catarina nie zatrudni pana ponownie. Tym razem nie będzie to konieczne, upewniliśmy się, że wszystko jest tak, jak trzeba.

– Co ma pani na myśli? – zapytał, podczas gdy strach narastał w jego klatce piersiowej.

– To nic dziwnego, że traci się pierwszą ciążę. Catarina poroniła w lutym, zarodek nie był dobrze zagnieżdżony. Pospieszyła się, ogłaszając to w Boże Narodzenie – powiedziała markiza, uśmiechając się okrutnie – jak Dziewica Maryja.

– Czyli wtedy, kiedy zostałem zwolniony... – wybełkotał Vicente.

Był tak oszołomiony, że aby oszacować datę, musiał sobie pomóc palcami, na których liczył, uderzając o kolano, niczym pijany pianista. To nieprawda. Nie może być, to jest szaleństwo. Nieprawda, to wszystko zmieniało.

– Ale znów mnie zatrudniła. To powinno coś znaczyć, musiało coś znaczyć.

Markiza skinęła wobec tego, co oczywiste.

– Jasne, że tak, kiedy wyszła ze szpitala, znów potrzebowaliśmy pańskich usług.

Palce Vicentego poruszały się teraz na jego kolanach jak palce oszalałego solisty. Otworzył usta, suche i klejące, i zatęsknił za tą gorącą śliną, która wcześniej paliła się w jego wnętrzu.

– Ona mi powiedziała, że miała operację wyrostka robaczkowego – wyjaśnił z niedowierzaniem.

– Panie Piñeiro, nie powinien pan wierzyć we wszystko, co panu mówią. Proszę robić tak jak ja, zawierzać liczbom – powiedziała, dotykając kciukiem swoich palców jednego po drugim, naśladując szybkie liczenie. – Liczby nie kłamią.

Vicente wstał, chwiejąc się, jakby był pijany, i próbował podążyć w stronę drzwi. Musiał stąd wyjść. Poruszając się niezdarnie, przewrócił krzesło, na którym przed chwilą siedział, i mało brakowało, by upadł na podłogę. Poczuł skurcz w żołądku, a cała ta gorąca żółć, którą połykał, podeszła mu do gardła niczym niedający się zatrzymać strumień. Upadł na kolana, trzęsąc się w gwałtownych spazmach jak otrute zwierzę. Zwymiotował żywe stworzenie, grubego węża z lawy, który zajmował jego wnętrze, dusząc go, uniemożliwiając mu oddychanie, a teraz wydostając się z hukiem z jego żołądka, ust i nosa. Na czworakach prosto na piękny czerwono-złoty dywan markizy zwymiotował piekło, które pochłaniało go stopniowo w ostatnich godzinach.

Czysta jasność zastąpiła w jego duszy miejsce okupowane przez chaos. Zagmatwane obliczenia, które minutę wcześniej były dla niego tak trudne, teraz układały się w jego umyśle z okrutną klarownością: daty, chłodne pożegnanie, czułe pojednanie, szczypta uroku, odrobina miłości. Wy tłumaczenie tego wszystkiego, czego nie mógł zrozumieć; w jednej chwili namiętność, a sekundę później zmrożenie obojętnością. Catarina go wykorzystała, był dla niej tylko ogierem rozplodowym, głupcem.

Podniósł się, ominął kałużę wymiocin i ruszył, nie patrząc za siebie.

Dotarł do drzwi i dopiero wtedy się odwrócił. Czuł, że pali go w przełyku, jakby połknął szkło, usta miał spuchnięte, twarz nadal brudną od wymiocin, które wyszły mu nosem, mieszając się ze łzami. Czuł się upokorzony. Dotknął kieszeni płaszcza, szukając chusteczki, i wtedy poczuł stanowczą, pokrzepiającą obecność rewolweru, który był jak cudowne, tradycyjne lekarstwo płynące w jego żyłach, po skórze, w krwi, lecząc, kauteryzując, ożywiając jego martwe mięso, jego ciało zombie, podczas gdy kolejna fala jasności wymiatała ociążałość z jego umysłu, aż w końcu wiedział co ma robić. Nie mógł się oprzeć pokrzepiającemu dotykowi broni, więc wytarł sobie twarz drugim rękawem płaszcza i powiedział:

– To dziecko jest moje. Świat się o tym dowie.

Kobieta wypuściła powietrze przez nos, kręcąc przy tym głową, niemalże rozbawiona tym pomysłem, a to mu się nie spodobało, o nie, ponieważ spodziewał się, nie, on był pewien, że ją pokona albo przynajmniej zaskoczy.

– Proszę nie opowiadać głupstw, dziecko jest nasze. Pański udział kończy się w tym momencie. Pana praca dobiegła końca i od teraz nie będziemy potrzebować pańskich usług. Byliśmy bardzo hojni w kwestii zadośćuczynienia i ufałam, że zachowa się pan rozsądnie, ale skoro tak się pan upiera, to pana wykończę.

Vicente popatrzył na nią, wzmocniony i uspokojony zimną kontrolą w postaci broni w ręku, która swoim wpływem najwyraźniej złagodziła gorączkę, wcześniej trawiącą mu głowę i uniemożliwiającą myślenie.

– Nadal uważają się państwo za wyjątkowych, prawda? – powiedział, odchodząc od drzwi, by skierować się w stronę kobiet. – Myślą państwo, że wciąż żyjemy w czasach, w których byli państwo wszechmocni, że wciąż *poden mexar por nós*^[20], a ludzie kłaniają się wam w pas, jakby dostępowali zaszczytu, że mogą zostać sponiewierani. Czym mi pani zagrozi? Tym, że nie będę już mógł pracować w Galicji? Że zniszczy mi pani biznes? – Zaśmiał

się z zadowoleniem. – I co z tego? Dokąd sięgają pani wpływy? Do Asturii, do León? Wyjadę na drugi koniec Hiszpanii, jeśli będzie to konieczne, wyjadę z kraju, jeśli to okaże się potrzebne, ale dziecko będzie nosić moje nazwisko, bo należy do mnie. I nawet jeśli zostanę zmuszony złożyć skargę do trybunału w Hadze, będę się domagał uznania ojcostwa.

Markiza była pod wrażeniem. Na kilka sekund zamknęła oczy. Pod jej powiekami Vicente widział, że poruszają się jak szalone, niczym u demona, kiedy śni. Otworzyła je i spojrzała na niego. W tym momencie Vicente wiedział, że widziała jego duszę.

– Catarina powie, że pan ją zgwałcił.

On nie zareagował. Nie mógł.

– Musieliśmy pana zwolnić w Boże Narodzenie, ponieważ zrobił się pan trochę nieprzyjemny. Mimo to wzięliśmy pod uwagę szczodrość Catariny i jej błagania i przywróciliśmy pana do pracy, ale pańskie zauroczenie moją synową nie zmalowało. Dowiedzieliśmy się, że wiele osób w pazo było świadkami przykrych sytuacji, w których Catarina musiała być wobec pana stanowcza. Ona jest zbyt dobra i nie chciała dostrzec, że stanowi pan potencjalne zagrożenie, aż było za późno.

Zaczął kręcić głową.

– Przechowujemy biustonosz z drobinkami pańskiej skóry, którą wyrwała panu podczas gwałtu...

– To nie było tak – odparł mężczyzna. Mógł niemal dostrzec tę jedwabną bieliznę prześlizgującą się między jego palcami.

– Moja pielęgniarka zrobiła biednej Catarinie badanie pod kątem napaści seksualnej, które ostrożnie zabezpieczyliśmy, i obie zeznamy, że podczas spaceru po ogrodzie słyszałyśmy, jak moja synowa wzywała pomocy, i że po wejściu do szklarni zobaczyłyśmy, jak pan ją atakował.

– To nieprawda – powiedział, podnosząc głos i zaciskając dłoń wokół

kolby rewolweru.

– Zagroził pan Catarinie, że jeśli coś powie, wróci i ją zabije. Tak więc będzie żyła całkowicie zastraszona, dopóki pan nie piśnie ani słowa, ale gdy pan to zrobi, ona się załamie i będzie musiała opowiedzieć tę okropną historię. Jak pan myśli: komu uwierzy sędzia?

Zaprzeczając, potrząsał głową tak mocno, że drzenie rozprzestrzeniło się na pozostałą część jego ciała.

– Nie, nie...

Kobieta uśmiechnęła się, pokazując mu swoje czerwone dziąsła, ale szybko ściągnęła usta w okrutnym grymasie i powiedziała:

– Proszę zapomnieć o tym dziecku. Skończyliśmy, niech pan odejdzie, panie... – Spojrzała na swoją pielęgniarkę, czekając na odpowiedź.

On też się uśmiechnął.

Wyjął rewolwer i wycelował w jej twarz, mówiąc:

– Piñeiro, panie Piñeiro. Założę się, że już nigdy pani nie zapomni.

I strzelił.

Markiza zastygła w bezruchu, zaskoczona jak nigdy. Po chwilowym przerażeniu na jej twarzy znowu zarysował się uśmiech, wyrażający coś pomiędzy pojednaniem a paniką w najbardziej pierwotnej formie, podczas gdy oddychała głęboko, wydawszy z siebie głuchy krzyk, przy którym wchłonęła ostry zapach prochu. Zareagowała natomiast jej pielęgniarka: podniosła prawą rękę w absurdalnej próbie powstrzymania strzału, robiąc krok do przodu i stając przed swoją panią. Kula trafiła ją w klatkę piersiową, tuż pod obojczykiem. Ciemna dziura otworzyła się na jej uniformie, podczas gdy siła wystrzału z tak bliskiej odległości przewróciła ją do tyłu, wprost na markizę. Była bardzo silną kobietą, niczym niemiecki czołg, surową i wierną do samego końca. Lewą ręką chwyciła lufę rewolweru i gdyby Vicente nie trzymał broni tak mocno, kobieta by mu ją wyrwała.

Pociągnięcie zdołało zmienić położenie lufy, ale sprawiło, że przytwierdzony do spustu palec mężczyzny nacisnął na niego do końca, wystrzeliwując drugą kulę, która uszkodziła część kciuka pielęgniarki i trafiła jej panią w żołądek. Krzyki obu kobiet zlały się w jeden. Wycie markizy przyćmiło powstrzymywane niczym czkawka jęki pielęgniarki, która padła martwa na podłogę między stolikiem herbacianym a ogniem, teraz płonącym gwałtownie. Ogromnie cierpiąca markiza podniosła ręce do żołądka i sapiąc, osunęła się na sofę, którą zajmowała, kiedy Vicente wszedł do pokoju.

Już więcej nie krzyczała, tylko opuściła wzrok, żeby zobaczyć otwartą ranę na swoim brzuchu. Powoli się wykrwawiała, była niczym przepelniony zbiornik fontanny, który nie mogąc pomieścić więcej wody, przelewa się po cichu, bezsilnie. Vicente widział, jak markiza sapie; brzmiała jak parodia rodzącej kobiety, która próbuje powstrzymać narastający ból doprowadzający ją momentami do szaleńczego i nadającego jej twarzy bladości oraz demonicznego wyrazu, jaki musiała mieć zawsze. Cierpiała, jej cierpienie było widoczne, przeżywała katusze, ale ból nie dawał jej odejść, nie pozwalał uwolnić się od tej męki, którą markiza musiała powstrzymywać, żeby nie oszaleć. Poruszała ustami, mówiła coś, szeptała z zamkniętymi oczami.

Vicente nie mógł dosłyszeć jej słów. Podeszedł do sofy, która na środku zabarwiła się już na kolor cynobrowy, i nachylił się nad jej twarzą, by wychwycić słowa umierającej.

Nie powinien był tego robić, ponieważ kiedy się zbliżył, kobieta otworzyła oczy, a on zrozumiał, że ten demon wcale nie śnił, że był zbudzony i się uśmiechał.

– Jest pan zwolniony, panie... Jak mu było...

Usiadł na niej okrakiem. Poczuł, jak ciepława krew markizy moczy mu spodnie. Podniósł rewolwer i uderzył nim w twarz tego demona raz, drugi raz i kolejny, i następny, aż zniknął z niej uśmiech.

Potem strzelił sobie w głowę. Musiał użyć obu rąk, ponieważ rewolwer był śliski.

[20] (gal.) Mogą na nas sikać (jest to nawiązanie do galisyjskiego przysłowia: „Mexan por nós e hai que dicir que chove” – Sikają na nas, a my musimy mówić, że pada deszcz).



BURZA

.....

ogueira właśnie uruchomił samochód, kiedy zadzwonił jego telefon. Gwardzista podał go Manuelowi, pokazując, żeby odebrał. Mężczyzna włączył głośnik, aby obaj mogli słyszeć. Dzwoniła Ofelia.

– Nogueira, właśnie usłyszałam w radiu: w As Grileiras padły strzały, pojechało tam wiele naszych samochodów. Uzbrojony napastnik wszedł do domu i zaczął strzelać. Zdaje się, że są ranni.

– Gdzie jedziemy? Do As Grileiras czy do kliniki? – zapytał Nogueira, zwracając się do Manuela.

– Do kliniki – odparł mężczyzna, podczas gdy przed oczami znów pojawił mu się błysk kolby rewolweru ukrytego w płaszczu Vicentego, i było to tak wyraźne, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć.

Wyjął swoją komórkę i poszukał numeru Herminii. Zadzwonił, ale

dźwięk połączenia się urwał. Spróbował ponownie i kiedy myślał, że znów nikt nie odbierze, usłyszał zapłakany głos gospośi.

– To był Vicente, przyszedł tutaj blady jak zjawa i chciał się widzieć ze starą markizą; zawiadomiliśmy ją i zgodziła się go przyjąć. Nie wiem, co on jej powiedział, Manuelu, ale słyszeliśmy strzały.

– Jest jeszcze w domu?

– Na górze, z nimi... Teraz nic nie słyhać, ale wcześniej było kilka strzałów. Myślę, że oni nie żyją.

– Herminio, macie zamknąć się w kuchni i siedzieć tam do przyjazdu policji.

– Dobrze – odpowiedziała posłusznie.

Podejrzeenie, które narastało w ciągu ostatnich godzin, zamieniło się w pewność: załamanie Santiaga, desperacja Vicente, skrzydła Kruka okrywające Catarina.

– Herminio, dlaczego Santiago pokłócił się wczoraj ze swoją matką? To było po tym, jak Catarina ogłosiła, że jest w ciąży, prawda?

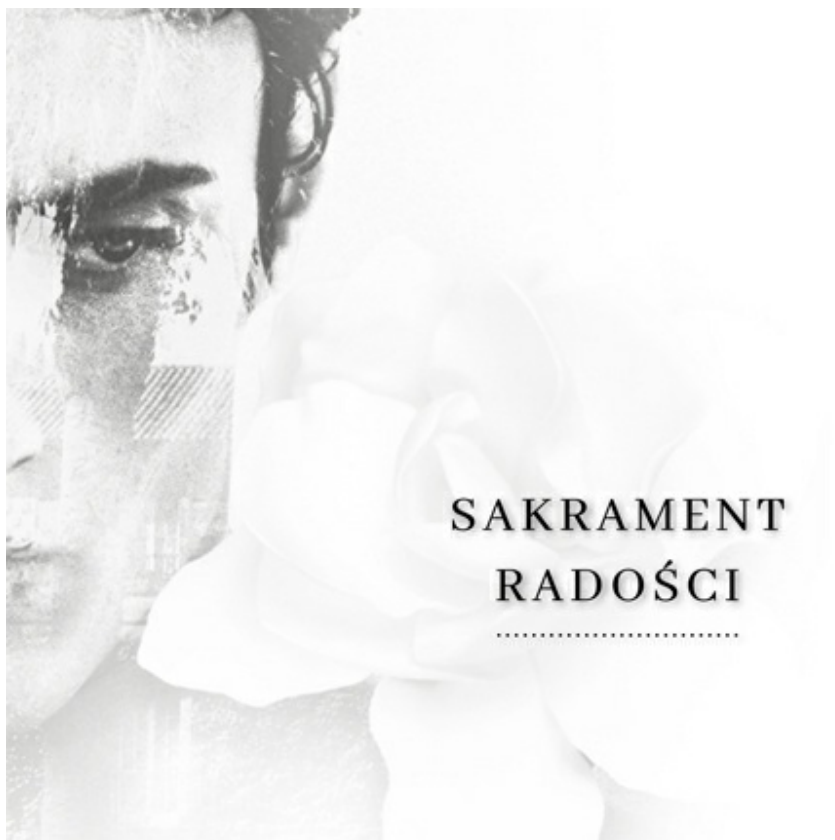
Kobieta zapłakała jeszcze głośniejsz.

– Och, mój Boże!

– Powiedz mi, Herminio. Ty wiesz, prawda?

– Sama bym o tym nigdy nie pomyślała, ale Santiago przypomniał mi kilka miesięcy temu.

Manuel słuchał i wszystko zaczynało nabierać sensu.



SAKRAMENT RADOŚCI

wiatło rzucane przez lampę fluorescencyjną nad wezłowiem łóżka rozlewało się na głowę Santiaga i kreśliło głębokie ciemne dziury w miejscach, w których powinny być jego oczy i usta. Siedział wyprostowany, ożywiony i Lucas miał wrażenie, że na jego twarzy malował się uśmiech. Ksiądz przystanął, słuchając jego głośnego oddechu i wyjmując z torby podręcznej potrzebne przedmioty liturgiczne. Rozwinął i pocałował stulę, a następnie włożył ją na szyję i pomodlił się krótko, prosząc o pomoc i siłę do przeprowadzenia sakramentu.

Lucas podszedł do łóżka i przeżegnawszy się obok Santiaga, rozpoczął ceremoniał. Niebo przeszył piorun, kreśląc na podłodze w pokoju cień krat, które zakrywały okno. Koniec końców, bez względu na to, jak elegancka była klinika Świętej Kwiterii, znajdowali się na oddziale psychiatrycznym. Santiago odpowiedział na formułkę:

– O Panno przeczysta...
– Bez grzechu poczęta.
– Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem. Zabiję się, Lucasie – powiedział zdeterminowany i z całkowitym spokojem.

Ksiądz pokręcił głową.

– Santiago, nie powinieneś tak mówić. Opowiedz mi, co cię niepokoi, jestem pewien, że będę mógł ci pomóc.

– Nikt już nie może mi pomóc – powiedział spokojnie.

– Bóg owszem – odparł Lucas, próbując przywrócić go na właściwą ścieżkę.

– A więc Bóg pomoże mi umrzeć.

Lucas milczał.

– Pamiętasz, jak byliśmy mali?

Ksiądz skinął.

– Coś strasznego przytrafiło się Álvarovi i mnie w seminarium. – Zamilkł i po upływie kilku sekund Lucas zdał sobie sprawę, że Santiago płacze.

Łzy spływały powoli po jego twarzy i spadały na pościel. Wydawało się, że płaczący sam nie był tego świadomy.



Odnosił wrażenie, że odkąd wszedł do pokoju, minęły całe wieki. Czuł się zmęczony i pokonany przez tak głęboki smutek, że – był o tym przekonany – będzie mu on już towarzyszył zawsze. Lucas zamknął za sobą drzwi i siedł, pozwalając, by nogi zaniósły go do rzędu krzeseł ustawionych obok automatu do kawy. Korytarz, pusty w środku nocy, wyglądał tak, jakby zachował resztki energii ludzi przebywających na nim w ciągu dnia. Śmietnik był pełen

plastikowych kubków, a na końcu korytarza ksiądz dostrzegł wyraźne plamy po kawie, która się wylała i pobrudziła podłogę oraz ścianę. Szukając być może śladu jakiegoś bezpiecznego i zapewniającego ochronę wspomnienia, usiadł na krześle stojącym najbliżej automatu: jeśliby przechylił się na bok i dotknął go ramieniem, mógłby poczuć ciepło i delikatny pomruk, jaki wydawał. Oparł łokcie na kolanach, obie dłonie podłożył pod brodę i próbował się modlić, mając świadomość, że jeśli w tym momencie otrzyma jakieś wsparcie, to będzie ono pochodzić tylko od Boga, że teraz nikt inny na świecie nie jest w stanie mu pomóc. Ale echo słów Santiaga trwało w jego wnętrzu niczym piłka uderzana o ścianę do gry w pelotę, odbijało się raz i drugi, doprowadzając go do szału swoją obłąkańczą trajektorią, idealnym torem lotu, demonicznością gry. Klap, klap, klap... Ani jedno z uderzeń nie było przypadkowe, każdy tor lotu wyćwiczony – cierpienie zaakceptowane w poszukiwaniu większego zwycięstwa.

Wydawało mu się nawet, że słyszy uderzenia skóry o kamień. Klap, klap, klap... Otworzył oczy i podniósł głowę: Catarina zatrzymała się przy nim i wyrozumiale patrzyła na niego z góry.

Chciał coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko pełen zmęczenia pokonany oddech.

– Próbowałam cię ostrzec.

Ksiądz skinął.

– Mówiłam ci, że jest szalony, ale nie chciałeś mnie słuchać...

Znowu skinął.

– Właśnie u niego byłam, zasnął jak aniołek. Przypuszczam, że zrzucił z siebie wielki ciężar – powiedziała, uśmiechając się i siadając obok niego.

Po delikatnym dźwięku dzwonka towarzyszącym otwieraniu windy nastąpiły przyspieszone kroki i podmuch wiatru, ponieważ po rozsunięciu drzwi wycie powietrza w szybie windy rozprzestrzeniło się po korytarzu i z

hukiem uderzyło o okno, które się zbiło, a jego odłamki upadły pod ścianę. Lucas i Catarina wstali zaalarmowani, nie wiedząc, gdzie patrzeć. Z jednej strony korytarza widzieli biegnących Nogueirę i Manuela, z drugiej wychodzące na schody przeciwpożarowe ogromne okno, otwarte na oścież, z podwójną szyba cudem znajdującą się na swoim miejscu, pękniętą z góry na dół, jakby trafił w nią piorun, pozostawiając po sobie artystyczną rycinę wyrytą na szkłe. Wiatr, podsycany przez przeciąg, który niczym zasysacz wydobywał go z szybu windy, przyciągnął na korytarz deszcz, sprawiając, że kiedy porucznik i pisarz dotarli do pokoju Santiaga, ich twarze były tak mokre, jakby szli pod wodą. Na wezglowiu to samo białe i smutne światło rozlewało się na łóżko, a po jego bokach zwisały rozluźnione pasy, które dotąd przytrzymywały Santiaga.

Manuel i Nogueira wypadli na zewnątrz, usiłując odgadnąć w ciemności, dokąd mógł pójść Santiago. Lucasowi dotarcie do pokoju zajęło chwilę, musiał się aż oprzeć o framugę drzwi, by pozostać na nogach. Zwisające pasy przypominały mu omdlałe, martwe ręce. Poczuł obok obecność Catariny i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– To ty je poluzowałaś – powiedział Lucas, patrząc na nią ze wstrętem. Jego głos był tak cichy, że ledwie dało się go słyszeć pośród huczącego wiatru.

Catarina podniosła dwa palce i przyłożyła je sobie do ust, aby ksiądz nic nie mówił, co między mężczyzną i kobietą mogłoby się wydawać niebywale zmysłowe, a jemu paliło skórę, tyle że z innych powodów. Zbliżyła się, tak że Lucas mógł poczuć od niej zapach deszczu i gardenii.

– Był bardzo zmęczony, musiał się przespać, a przywiązany, nie mógł się dobrze obrócić. Nie sądziłam, że robię coś złego, poluzowując trochę pasy – powiedziała, szepcząc mu do ucha. – Myślałam, że po spowiedzi będzie miał swój spokój, tak jak powiedziałeś, swoją radość... I twoje milczenie.

Lucas czuł, że ze złości oczy zachodzą mu mgłą. Odsunął ją, popychając na ścianę, i rzucił się w stronę schodów przeciwpożarowych. Korytarzem biegło kilka pielęgniarek zaniepokojonych hałasem oraz dwóch ochroniarzy. W tym momencie zdał sobie sprawę, że rozbrzmiewa alarm, z pewnością aktywowany przez otwierające się okno ewakuacyjne.

Deszcz i wiatr smagały jego twarz i ciało, błyskawicznie mocząc ubranie, co dało taki sam efekt, jakby wylano na niego wiadro wody. Zmrużył oczy, próbując dojrzeć coś w ciemności. Pośród grzmotów był ledwie słyszalny. Krzyczał do Manuela i Nogueiry, ale jego głos niknął, zabierany przez wiatr gdzieś bardzo daleko. Poślizgnął się i runął do przodu, w efekcie czego poczuł ostry ból w kolanie. Podniósł się, mocno chwytając balustradę, i wtedy zauważył drzenie dobiegające z góry przez żelazną rurę. Wchodził, trzymając się poręczy, półświadomy tego, ile razy się obracał, pokonując jeden stopień za drugim, aż dotarł na taras. Intensywna ciemność z boku budynku kontrastowała z błyszczącymi żarówkami oświetlającymi niebieskie litery, które tworzyły nazwę kliniki. Przystawił ręce do czoła i zobaczył trzech mężczyzn stojących kilka metrów za szyldem. Pobiegnął w tamtą stronę.

Światło oświetlało taras niczym lądowisko. Jego potężny biały blask przecinał deszcz i sprawiał, że połyskiwała szpitalna piżama Santiaga, która przykleiła mu się do ciała niczym mokry całun. Stojąc na zewnętrznym murku otaczającym taras, pacjent odwrócił się, żeby spojrzeć na ścigających go mężczyzn.

– Nie podchodźcie dalej! – krzyknął, a jego głos przedarł się przez hałaśliwie bębniący deszcz.

Manuel się zatrzymał, mając świadomość, że jest najbliżej. Odwrócił się w poszukiwaniu Nogueiry, ale usytuowane za jego plecami światła pozwalały mu zobaczyć jedynie ciemne sylwetki dwóch mężczyzn i kobiety, które zidentyfikował, chociaż nie mógł dostrzec twarzy.

– Posłuchaj mnie, Santiago. Proszę cię, porozmawiaj ze mną – powiedział, próbując zyskać na czasie, chociaż miał pewność, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi. Zapewne dlatego był zaskoczony, wyraźnie słysząc głos Santiaga.

– Nie ma o czym rozmawiać.

– Nie masz powodu, by to robić, Santiago, są lepsze sposoby na rozwiązanie problemów.

Tym razem to jego śmiech dobiegł do Manuela bardzo wyraźnie.

– Co ty możesz wiedzieć – powiedział smutno.

Manuel znowu się odwrócił, szukając pomocy swoich przyjaciół, i wtedy zobaczył, że podeszli, stając obok niego. Nogueira zaciskał usta, powstrzymując emocje, czego nigdy u niego nie widział. Lucas płakał; nawet w ulewnym deszczu było widać, że zalewa się łzami. A Catarina... Catarina się uśmiechała. Popatrzył na nią zdumiony, nie mogąc uwierzyć. Był to niewielki uśmiech, powstrzymywany przez elegancką powściągliwość, z jaką czeka się na punkt kulminacyjny idealnie przygotowanego spektaklu, po którym wkrótce opadnie kurtyna. Manuel zrobił krok do przodu.

– Santiago, wiemy, że to była Catarina. Diler jest gotów zeznać, że sprzedał jej narkotyki, które zabiły Frana.

– Ja mu je podałem – odparł ze spokojem.

– To nie jest prawda, Santiago, oszalałeś z rozpaczy, gdy się dowiedziałeś, że twój brat nie żyje. To była Catarina, to ona zabiła Álvara. Tamtej nocy Vicente zostawił jej swoją furgonetkę... Ona za tobą jechała.

– To byłem ja – odpowiedział. – Álvaro nie chciał zapłacić, żeby utrzymać nasz sekret.

Manuel wykonał kolejny krok, Santiago zrobił to samo i znalazł się na krawędzi tarasu.

– Wiem, dlaczego uważasz, że powinienes to zrobić...

– Gównu wiesz – odparł ostro.

– Robisz to ze względu na Toñina.

Twarz Santiaga wykrzywiła się w grymasie ogromnego bólu, a on zgiął się, jakby otrzymał cios w żołądek.

– On nie popełnił samobójstwa, Santiago.

Na jego twarzy malowało się straszne cierpienie.

– Słyszysz mnie, Santiago? – powtórzył Manuel, jeszcze bardziej podnosząc głos. – Toñino nie popełnił samobójstwa.

Cień wahania przesłonił twarz Santiaga, podczas gdy znów się prostował.

– Kłamiesz! Policjant mi powiedział: był tak rozbity, że powiesił się na drzewie.

– Policjant się mylił. Ciało wisiało tam przez wiele dni i w pierwszej chwili tak się mogło wydawać. Jest tutaj porucznik Nogueira – powiedział, wskazując na gwardzistę – on ci powie, że podczas autopsji znaleziono na jego brzuchu takie same rany kłute, jak u Álvara.

Manuel wiedział, że w Santiagu zrodziły się wątpliwości, ponieważ utkwiał wzrok w Catarina.

– Nie zwracaj na nich uwagi, kochanie, chcą ci tylko namieszać w głowie – mówiła do niego łagodnie.

– Catarina śledziła cię tamtej nocy, podobnie było wtedy, gdy zostawiłeś Álvara. Kiedy policjant powiadomił cię w środku nocy, ona jechała za tobą aż do miejsca, w którym umówiłeś się z Toñinem. Widziała, jak go biłeś, a kiedy odjechałeś, skończyła z nim.

– To nieprawda! – wykrzyknęła kobieta.

Manuel płonął. W środku doskwierały mu ogień, złość i ból. Czuł, jak lodowaty deszcz uderza w jego głowę i ześlizguje się po skórze. Wiedział, że nawet cała woda świata nie wystarczyłaby, żeby ugasić palący się w nim

ogień. Popatrzył na swoje dłonie, oświetlone białym światłem żarówek, i zobaczył, że wydobywa się z nich para, którą dla kontrastu uwalniała jego skóra. Bardzo głęboko w sobie poczuł palące się ognisko okrutnego jasnowidzenia, dzięki któremu wiedział z całkowitą pewnością, jak do tego doszło. Znowu spojrzął na Santiaga i zdał sobie sprawę, że w jego wnętrzu też palił się ogień; było to inne ognisko, takie, które on dobrze znał, rozpalone z wątpliwości, pytań i kłamstw.

– Álvaro nie zginął w wypadku. Wypadł z drogi, ponieważ się wykrwawił, ona dźgnęła go na parkingu przy La Rosie, kiedy ty odjechałeś. Zawsze byłeś dla niej nieudacznikiem, byłeś idiotą, za którego trzeba było kończyć pracę, i to właśnie zrobiła: pojechała za tobą, kiedy umówiłeś się z Toñinem, i dokończyła pracę za ciebie.

Santiago słuchał tych słów, płacząc jak dziecko; nawet wytarł sobie oczy w taki sposób, w jaki robią to małe, opuszczone szkraby.

Manuelowi przypomniało to rozpacz Vicentego, jego szloch, jego płaszcz i broń, narzędzia leżące byle jak w tylnej części furgonetki, doniczki, łopaty. Włożył rękę do kieszeni i wyjął gardenię, którą podarował mu Samuel... ponieważ ktoś prosił go, by to robił... żeby poznał prawdę. W tym świetle kwiat wyglądał niemal jak złudzenie. Jego zapach rozprzestrzenił się w powietrzu, jakby intensyfikował go ulewny deszcz, przywołując tamto powodujące zawroty głowy uczucie, z powodu którego upadł na ziemię w szklarni. Odwrócił się do Catariny patrzącej teraz jak zahipnotyzowana na kwiat i do jego głowy wtargnęła ona z tamtego popołudnia, uśmiechająca się i wyciągająca do niego rękę, tak że on musiał przełożyć chłopca na drugą stronę, żeby podać jej prawą dłoń.

Podniósł rękę, w której trzymał gardenię, i krzyczał, aby Santiago go usłyszał:

– Pchnęła go osiem razy, a żeby to zrobić, użyła jednego z tych ostrych

lancetów, którymi oznacza swoje gardenie.

Pewność przynosi tylko chwilową ulgę, ponieważ prawda jest zawsze bolesna. Kiedy przychodzi stopniowo, przyzwyczajamy się do jej przyjmowania niczym galisyjska ziemia, która przyjmuje spadającą z nieba wodę, ale kiedy prawda pojawia się nagle, niczym tsunami, boli jak najgorsze z kłamstw.

Santiago przestał na niego patrzeć. Jego oczy były utkwione w Catarina, ale na nią też nie patrzył – patrzył przez nią, w sposób zarezerwowany dla tych, którzy za chwilę mają umrzeć, w tym momencie, w którym mogą dostrzec, bez żadnych dzielących ich barier, tamten drugi świat i ten.

Być może dlatego ona nie poczuła niepokoju. Znała Santiaga zbyt dobrze, aby wiedzieć, że woli umrzeć, niż zmierzyć się ze wstydem. Udawał przez całe swoje życie, starając się być kimś innym i wyglądać na kogoś innego. Był słaby. Dobrze go znała, pewnie dlatego uśmiechnęła się do niego ostatni raz.

On odwrócił się w ku pustce i wydawało się, że pełen nadziei patrzy w stronę ciemnego horyzontu, być może czegoś, co tylko on mógł zobaczyć. Odwrócił głowę i zerkając przez ramię, krzyknął:

– Ojcie Lucasio! Ojcie Lucasio! Słyszysz mnie ojciec?

Opanowując płacz, Lucas odpowiedział:

– Jestem tutaj, mój synu. – Jego głos zabrzmiał wyraźnie wśród ulewnego deszczu.

– Ojcie Lucasio, zwalniam ojca z tajemnicy spowiedzi!

– Nie! – wykrzyknęła Catarina.

– Czy ojciec mnie słyszał? Czy wszyscy mnie słyszeli? Zwalniam ojca z tajemnicy spowiedzi! Proszę to wszystko opowiedzieć – dodał. I skoczył.



POZDROWIENIE, SZACUNEK, KURTYNA

ak, bez wątpienia stałem się ekspertem”, pomyślał, patrząc w niebo: tej nocy nie przestanie padać. A jednak teraz niebo przykrywała tylko cienka warstwa chmur. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzegł mały, wyblakły księżyc, który postanowił znów się schować, jakby obrażony. Burza odeszła. W oddali widać było jeszcze jej spektakularny blask, ale złość zniknęła, stając się jedynie wspomnieniem, niemal w tym samym czasie, kiedy Santiago skakał z tarasu kliniki.

Samochody patrolowe, niebieskie światła. Widział, że Ofelia przyjechała prawie równocześnie z sędzią. Wziął kubek kawy, który podał mu młody gwardzista, i stojąc pod dachem przy wejściu do budynku, obserwował Nogueirę, żywo rozmawiającego ze swoimi szefami, albo byłymi szefami, kimkolwiek byli. Przez chwilę Manuel przejmował się konsekwencjami, jakie może ponieść gwardzista z racji tego, że wmieszał się w tę sprawę, ale

uwaga, z jaką go słuchali, poklepywanie po plecach i uśmiech pod wąsami Nogueiry sprawiły, że nie musiał się o niego martwić.

Bardziej niepokoił go Lucas. W chwili gdy Santiago skoczył, ksiądz zachował się tak, jakby ktoś odciął mu nogi ogromną siekierą: upadł na kolana na taras zalany wodą, której rynny przelewowe nie nadały odprowadzać; zakrył twarz dłońmi, a donośny i gwałtowny płacz wstrząsnął nim od środka, jakby ojciec nosił w sobie ranne stworzenie próbujące wydostać się na zewnątrz. Z wielkim trudem razem z Nogueirą zdołali go podnieść, a następnie poprowadzić z powrotem do schodów i wrócić przez zbite okno do tego samego miejsca, z którego wyszli. Gdy znaleźli się w bezpiecznej przestrzeni kliniki, mieli wrażenie, że Lucas odzyskał spokój. Przestał płakać i, pomimo początkowej odmowy Nogueiry, uparł się, żeby pojechać z nimi i z ciałem i potwierdzić zgon Santiaga, po czym udzielić mu ostatniego namaszczenia. Później, odmówiwszy przebrania się i wypicia czegokolwiek, poprosił, żeby pójść do kaplicy w klinice i pomodlić się do czasu przyjazdu policji.

Z miejsca, w którym Manuel siedział, mógł go widzieć. Zajmował jedno z krzeseł w gabinecie dyrektora centrum medycznego, użyczonego policji w celu przeprowadzenia pierwszych działań. Nie słyszał go, ale widział, że małymi łykami pił ze stojącego przed nim kubka. Wyglądał na spokojnego, mówił swobodnie, w ten charakterystyczny dla siebie sposób opowiadania o różnych sprawach, jakby były one takie proste...

Widział także Catarinę. Zakuta w kajdanki, siedziała z tyłu samochodu patrolowego Gwardii Cywilnej z funkcjonariuszem u boku. Włosy zaczynały jej wysychać i się kręcić, otaczając twarz w taki sposób, że wyglądała na młodszą. Wcześniej się przebrała; ktoś pożyczył Catarinie białą koszulę, a na ramiona zarzucono jej koc termiczny. Pomyślał, że mimo to była bardzo ładna. Podczas gdy Manuel się jej przyglądał, Nogueira usiadł obok niego.

– Zgodzili się, ale będziesz mógł z nią porozmawiać nie dłużej niż pięć minut i pod żadnym pozorem nie możesz jej dotykać. Pójdę z tobą. – Zanim ruszyli w stronę samochodu, porucznik dotknął jego ramienia i popatrzył mu prosto w oczy. – To powiedzieli oni, a ja mówię, że ci nie radzę, ale jeśli jesteś tego pewien, to pamiętaj, że wziąłem za ciebie odpowiedzialność. Więc nie spieprz tego!

Nogueira otworzył drzwi samochodu, zamienił kilka słów z funkcjonariuszem, który pilnował Catariny, i się odsunął.

Manuel niczego sobie nie przygotował. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Kiedy poprosił o rozmowę z nią, zrobił to, słuchając pragnienia, o którym wiedział już, że nie może zostać zaspokojone. Nie spodziewał się ani nawet sobie nie wyobrażał tego uczucia, gdy napotkał jej spokojne oczy – bez cienia bólu. W tym momencie oddałby wszystko, żeby tylko zobaczyć ją przestraszoną, by dostrzec jakieś emocje, które zakłócałyby niewzruszoną elegancję jej twarzy.

Spojrzał na Catarinę, a ona wytrzymała jego wzrok, patrząc spokojnie, bez egzaltacji. Ona, kobieta, o której wszyscy mówili, że najlepiej wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

Jej spokój go irytował. Być może próbując ją złamać, powiedział:

– Nie wiem, czy ktoś ci już przekazał: stara markiza nie żyje. Vicente przyjechał do As Grileiras kilka godzin temu i po rozmowie z nią oddał w jej stronę strzał. Potem sam strzelił sobie w głowę.

Nie wiedziała. Zauważył to po tym, jak delikatnie podskoczyła, słysząc tę wiadomość. Odetchnęła głęboko i powoli wypuściła powietrze, po czym się odezwała:

– Moja teściowa była starszą kobietą, miała dobre życie i w ostatnim czasie ogromnie cierpiała z powodu artretyzmu... A Vicente, no cóż, on należał do tych osób, które nie znają swojego miejsca. Już jakiś czas temu

sobie to uświadomiłam, powinnam była wcześniej zrezygnować z jego usług.

Zadziwiony Manuel kręcił głową. Catarina mówiła z takim samym spokojem, jakby jej stara teściowa właśnie zmarła w spokoju w swoim łóżku, a problemy z jej pracownikiem ograniczały się do kilku niestosownych zachowań.

– A Álvaro?

Znów spojrzała mu w oczy i zamknęła powieki na kilka sekund, czym dowiodła, że było to dla niej trudne. A jednak nie miało to żadnego przełożenia na ton jej głosu.

– Nie popełnię gafy, mówiąc ci, że mi przykro, Manuelu, to byłoby nie na miejscu. Musisz jednak wiedzieć, że nie miałam w planach zabicia Álvaro, wszystko działo się tak szybko i było tak nieprzyjemne, że musiałam załatwić to w biegu. Gdyby Santiago opowiedział mi o tym na początku, Álvaro nawet by się nie dowiedział. Ale tamten głupiec zakochał się w tym nieszczęśniku, moim mężu, i wpadł na romantyczny pomysł szantażu. – Uśmiechnęła się zdumiona. – Wyobrażasz to sobie? Wyglądało to niemal tak, jakby Santiago go usprawiedliwiał: „To biedny chłopak, jego ojciec zmarł, matka go zostawiła, mieszka ze starą, schorowaną ciotką”. – Pokręciła nieznacznie głową, jakby mówiła o upartym dziecku. – Robiłam wszystko, aby zrozumiał, że szantażysta zawsze wraca po więcej. Na ile mogłoby wystarczyć trzysta tysięcy euro takiemu biedaczynie jak Toñino? Ale było już za późno, Santiago zawiadomił Álvaro, przekonany, że jego brat zapłaci. Gdy tylko Álvaro tu przyjechał, zaczął podejrzewać, że być może powiązania między Santiagiem a chłopakiem wychodziły poza relacje na linii szantażysta i szantażowany. Tamtej nocy jechałam za nim aż do parkingu przy klubie, gdzie mieli dokonać transakcji, i słyszałam, jak Álvaro mówił mu, że nie zapłaci, że ma dosyć kłamstw i że jak dla niego ta sprawa może zostać ujawniona. Santiago odwrócił się na pięcie i pojechał do domu płakać, co

robił zawsze. Spojrzałam na tył furgonetki i zobaczyłam lancety. Wzięłam jeden, wysiadłam z samochodu i podeszłam. Álvaro był trochę zaskoczony, że mnie widzi, ale nie na tyle, aby mnie nie uścisnąć.

Catarina wzruszyła ramionami wobec nieodwracalności tego, co nastąpiło później.

Manuel kręcił głową. Przerażenie malowało się na jego twarzy i zaczął płakać.

– Kiedy Álvaro odjechał, wróciłam do lasu obok parkingu i czekałam na Toñina, ale on nie przyjechał. Gdy miałam pewność, że już się nie zjawi, wróciłam do pazo.

– A kiedy zawiadomiono Santiaga, że Álvaro nie żyje, on pomyślał, że to sprawka Toñina. Umówili się, a ty za nim pojechałaś.

– To, co się stało z chłopakiem, nie ma żadnego związku z tym, co spotkało Álvara; z nim było inaczej, wcale nie tak trudno... Kiedy Santiago odjechał, Toñino był tak skatowany i otępiały, że nawet nie stawiał oporu. Podeszłam do samochodu, zapukałam do okna, a on otworzył i wysiadł. Już wiesz, co było później: dźgnęłam go.

– Osiem razy – zaznaczył Manuel.

Catarina nawet nie drgnęła, kontynuując:

– A potem go powiesiłam, uznałam, że to odpowiednie dla takiego łotra jak on. Santiago nie chciał przyjąć tego do wiadomości, ale ja wiedziałam, że inaczej to się nigdy nie skończy. Chłopak stanowił zagrożenie dla naszej rodziny.

– Nie. Santiago miał rację, był zagubionym człowiekiem, który nie myślał o konsekwencjach swoich czynów. Álvaro zdołał go od tego odwieść, dlatego tamten nie przyjechał na spotkanie na parkingu przy La Rosie.

Catarina uniosła brwi. Na sekundę. Oceniała informację, która bez cienia wątpliwości była dla niej nowa.

– To już nie ma znaczenia. Jak myślisz, ile czasu byłby spokój? Nie pierwszy raz nas okradał. Po kilku miesiącach znowu sprawiałby problemy. Należało tak postąpić, choć nie sądziłam, że Santiago tak źle to przyjmie. Był tak słaby, tak delikatny i słaby, że wywoływał we mnie mdłości. Ktoś do niego zadzwonił i powiedział, że chłopak nie żyje, a on urządził tę scenę z próbą samobójczą. Kolejny problem: zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje, Herminia zadzwoniła po karetkę, a z sanitariuszami w domu i przy jego stanie nie dało się zrobić nic, by uniemożliwić zabranie go do kliniki.

– Tak jak wtedy, gdy zabiłaś Frana i Santiago popadł w straszną depresję. Trzymałaś go zamkniętego w swoim pokoju, dbając o niego, karmiąc go, aż dał się przekonać, że to było jedyne rozwiązanie, że zrobiłaś to, co było najlepsze dla was obojga, najlepsze dla wszystkich.

Zaskoczona, spojrzała na Manuela.

– Na miłość boską, Manuelu, nie bądź taki dziecinny! Santiago chciał tego samego co ja. Na czym twoim zdaniem opierało się nasze małżeństwo? Na miłości? Santiago był marionetką starego markiza, zawsze starał się go zadowolić, a w zamian raz za razem był pogardzany i upokarzany. Ojciec nigdy nie dał mu poprowadzić ani jednej firmy, nigdy nie pozwolił mu mieć własnych pieniędzy, a gdy pojawiał się Fran, nie można było patrzeć, jak markiz zachwycał się swoim pięknym chłopcem. Kiedy stary zachorował, a Fran przebywał w klinice odwykowej, mieliśmy pewność, że na dziedzica wyznaczy Santiaga, ale umarł i zostawił wszystko Álvarowi, swojemu zbłąkanemu synowi, czarnej owcy; wolał jego niż swojego dobrego i lojalnego syna.

Potem nie było jednak tak źle: Álvaro nie chciał mieć z tym wszystkim nic wspólnego, nigdy go tu nie było, ale tytuł należał do niego. Santiago musiał się zadowolić byciem bratem markiza, a Fran... Żebyś ty go widział, Manuelu! Kiedy zmarł jego ojciec, zaczął kompletnie tracić głowę, był

narkomanem i tchórzem, ludzkim śmieciem, wkrótce i tak umarłby od przedawkowania. Ale oprócz tego z powodu niedyskrecji Santiaga zaczął podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego. Napomknął o tym Santiagowi, a ten idiota opowiedział mu wszystko co do joty. I potem, jak zawsze, przyszedł do mnie się wypłakać... „Co mam robić? Jaki wstyd! Teraz opowie wszystkim, a ja nie będę mógł tego znieść!” – cytowała jego słowa piskliwym głosem, z ewidentną drwiną.

– Mam nadzieję, że nie próbujesz mi powiedzieć, że to Santiago zabił swojego brata Frana. Są dowody, że to ty kupiłaś heroinę.

– Och! Oczywiście, że ja ją kupiłam. Ja uderzyłam jego głową o ławkę, przy której modlił się na klęczkach, i podałam mu narkotyk, kiedy był nieprzytomny. Santiago przez cały ten czas tylko pochlipywał i mało brakowało, by wszystko zepsuł, przenosząc ciało z kościoła na grób ojca. Uznał, że pozostawienie go w świątyni jest „niegodne”, choć oczywiście później spotykam się tam ze swoim kochankiem już mu się takie nie wydawało. Wszystko układałoby się dobrze, gdyby mój głupi mąż nie stracił głowy dla tego biedaczyny i gdyby pozwolił mi to załatwić. Ale Santiago zawsze taki był: histeryk, szaleniec, królowa dramatu; według jego matki zachowywał się tak od małego... Ale nie daj się zwieść, Manuelu, on chciał tego samego co ja, różnica polega na tym, że jemu brakowało odwagi, a po wykonaniu zadania zżerało go poczucie winy, choć niezbyt długo. Po fazie wyrzutów sumienia, po wylaniu wielu łez i biciu się w piersi był jak nowo narodzony, jak zupełnie inny człowiek, gotowy do cieszenia się z tego, co uzyskałam dla nas obojga. Nie sprawisz, bym czuła się winna, Manuelu, ja w coś takiego nie wierzę. Skrucha u katolików nigdy nie robiła na mnie wrażenia. Czy jestem od niego gorsza, bo nie żałuję swoich czynów? Czy on był lepszy ode mnie, bo żałował?

Manuel patrzył na nią z nieustannym zdziwieniem. To prawda, Catarina

jak nikt inny wiedziała, gdzie jest jej miejsce, i walczyła ze wszystkich sił, żeby go bronić. Ucieleśniała ducha książąt tego świata i potrafiła, jak mówił Nogueira, wyjść zwycięsko z największych opresji. Była aktorką, gdy wymagała tego sytuacja: wycierając łzy po spotkaniu ze swoim mężem w dniu, w którym Manuel po raz pierwszy się z nią przywitał, albo podczas fragmentu tamtej zasłyszanej w szklarni rozmowy z Vicentem. Teatr, rola odegrana po mistrzowsku, by stworzyć zamierzony efekt. Była do tego tak pewna siebie, że sprawiła, iż musiał przyznać, że ich słyszał. Nie, nie czuła wyrzutów sumienia, niczym królowa wysoko trzymała głowę, oczy miała spokojne, bez cienia bólu i znów pomyślał o tym, że dałby wszystko, aby zobaczyć ją przestraszoną, by dostrzec strach w jej spojrzeniu.

Chciał się odwrócić i zamknąć drzwi, ale wyrwało mu się jeszcze jedno pytanie:

– Powiedz mi, było warto?

Ona skinęła delikatnie, jakby to było oczywiste.

– Jak najbardziej. W więzieniu nie zostanę na zawsze, a pod sercem noszę następnego markiza Santo Tomé – powiedziała, spuszczając wzrok na lekkie wybrzuszenie, jakie rysowało się pod jej koszulą, i z dumą znowu go podniosła.

Zdrętwiałe i smutne usta Manuela zacisnęły się w grymasie podobnym do nerwowego tik. Ona spojrzała na niego z zaciekawieniem i zmieniła wyraz twarzy, kiedy zdała sobie sprawę, że się uśmiecha.

– Przypuszczam, że spanie z tobą musiało go kosztować wiele wysiłku...

– A jednak to robił – odparła pogardliwie.

– To nie jest dziecko Santiaga – powiedział, kierując wzrok tam, gdzie wcześniej patrzyła ona.

– Oficjalnie jest.

– On o tym wiedział i dlatego gdy ogłosiłaś, że jesteś w ciąży, poszedł

porozmawiać ze swoją matką.

Catarina pozostała niewzruszona.

– I kolejny raz pozwolił, by sobie z niego drwiła.

Znowu skinęła głową, jakby to było oczywiste.

– Moja teściowa potrafiła ustalać priorytety. Była wspaniałą kobietą.

Manuel popatrzył na nią zasmucony. Gdyby tylko okazała jakieś emocje...

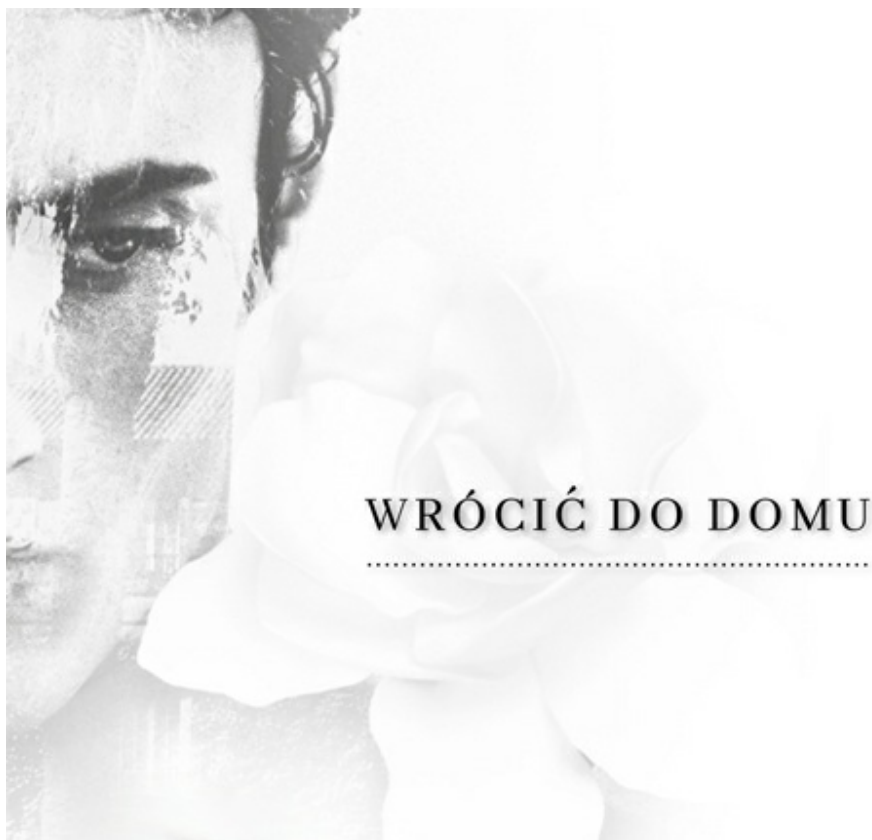
– Santiago pragnął dziecka, pragnął go naprawdę, a to, że nie zachodziłaś w ciążę, bardzo go martwiło, więc kiedy kilka miesięcy temu poroniłaś, zaczął coś podejrzewać. Długo nad tym myślał, przejmował się, że tyle pracujesz, wątpliwości rosły, aż przypomniał sobie coś, o czym zapomniał, coś, o czym wspomniała też jego niania, kiedy ją zapytał. Otóż w wieku szesnastu lat Santiago miał świnkę; to choroba dziecięca, której powikłania mogą być poważniejsze, jeśli pacjent jest starszy. U nastolatków może jej towarzyszyć gorączka i zapalenie jąder, które czasami prowadzi do niepłodności męskiej. Ta sprawa została zapomniana do czasu, aż zaczęły się problemy z twoim zajściem w ciążę. Kiedy się udało, a potem nastąpiło poronienie, Santiago poddał się badaniu płodności.

Oto i on, strach w jej oczach.

– Kłamiesz – zarzuciła mu. – Wiedziałabym o tym.

– Wyniki przysły na adres jedynej osoby, której ufał: jego niani, Herminii.

Zamknął drzwi i odwrócił się, żeby raz jeszcze na nią spojrzeć. Nawet przez szybę mógł to dostrzec: teraz była przerażona.



WRÓCIĆ DO DOMU

zeka błyszczała w dole. Wypuścił z ramion Samuela i ze ściśniętym sercem obserwował jego wspinaczkę po zboczu, aż chłopczyk dotarł do swojej matki. Ona śmiała się z czegoś, co powiedział jej enolog. Śmiała się głośno. Manuel pomyślał, że ci dwoje doskonale się rozumieją. Usiadł obok Lucasa na kamiennym murku, gorącym od południowego słońca, i rozejrzał się dookoła. Wydawało mu się, że znów słyszy słowa enologa, które ten wypowiedział do niego w dniu, kiedy się poznali: „Nie uwierzysz, ale gdy tu przyjechałem, nienawidziłem tego miejsca”. Nabrał głęboko powietrza i uśmiechnął się, zarzucając sobie ignorancję.

– Zastanawiałeś się już, co zrobisz z pazo? – zapytał Lucas.

– Jeszcze nie zdecydowałem, ale podoba mi się pomysł, by zamienić je w miejsce, do którego można przyjeżdżać. To pozwoliłoby zatrzymać wszystkich pracowników; Herminia i Damián nadal będą tu mieszkać

i wydaje się, że nie mają nic przeciwko temu. W każdym razie nie zamierzam przeprowadzać żadnych radykalnych zmian. Koniec końców Samuel jest nowym markizem, może kiedyś zechce tutaj zamieszkać, to jest dom jego rodziny.

– A ty? Przeszło ci przez myśl, żeby tu się osiedlić?

– Nie. – Uśmiechnął się. – To nigdy nie był dom Álvaro, z wyjątkiem ogrodu. Nie sędzę, by kiedykolwiek czuł się swobodnie w As Grileiras, i ja też nie. Potrzebuję czegoś o wiele spokojniejszego i mniejszego, gdzie mógłbym się zamknąć i dokończyć powieść. Nogueira mi powiedział, że niedaleko jego domu sprzedają małą willę, może pojedę ją obejrzeć...

– Zaraz, zaraz, nie zmieniaj tematu. Powiedziałeś, że kończysz powieść?

Manuel się uśmiechnął, z niedowierzaniem przytakując własnym słowom.

– Tak, kończę. Wiele razy słyszałem o powieściach napisanych w zaledwie kilka tygodni i zawsze uznawałem to za science fiction albo coś, co niektórzy pisarze wymyślają, aby tworzyć swoją legendę, ale tak właśnie jest w moim przypadku. Czuję się... – powiedział, szukając odpowiednich słów. – Czuję się... tak, jakbym się wykrwawiał – dokończył, myśląc o ciężarze, jaki spoczywał na tym słowie.

Zamilkł i się zadumał. Lucas wyczuł jego melancholię, więc przekierował rozmowę na inne tory.

– Obejrzeć dom! A zatem naprawdę zastanawiasz się nad tym, by tu zostać.

– Nie wiem, czy na zawsze, ale coraz lepiej rozumiem, co ciągnęło do tego miejsca Álvaro, i teraz chcę być właśnie tu – powiedział, podnosząc kieliszek, który namalował na jego twarzy czerwony poblask.

Między winoroślami nie było już ani śladu czarnych, jakby ośnieżonych owoców sprzed zaledwie miesiąca. Bujne liście zabarwiły się na

ciemnoczerwono, kolor podobny do wina, który razem z delikatnym wiatrem stwarzał wrażenie, jakby cała Ribeira Sacra płonęła wewnętrznym ogniem, wydostającym się z ziemi poprzez ciemne i poskręcane gałęzie winorośli, co było dla nich ostatnim tchem. Do następnych zbiorów.

Podszedł do nich Daniel, trzymając w ręku butelkę wina z charakterystyczną białą etykietą i z roztopioną cyną na jedynym słowie, z którego składała się jego nazwa – „Heroica”, napisana odważnym i dumnym pismem Álvara. Obaj mężczyźni podnieśli swoje kieliszki, by Daniel ponownie napełnił je czerwonym winem, i nie wstając z ciepłego murku, odwrócili się, słysząc, że przyjechał Nogueira. Gwardzista razem ze swoimi córkami i żoną zatrzymał się naprzeciwko wejścia do bodegi, żeby porozmawiać z mężczyznami, którzy zaczęli układać mięso na grillu. Zobaczywszy małą Antię, Kawa wyskoczył pomiędzy nóg właściciela, by wybiec jej na spotkanie. Dziewczynka powitała go okrzykami, a Xulia podniosła rękę, żeby przywitać się z nimi z podwórka. Z daleka dostrzegli, że Nogueira i Laura trzymali się za ręce.

– Chyba w końcu odbyli tę rozmowę... – powiedział Lucas, uśmiechając się i podnosząc kieliszek.

– Tak – odparł Manuel, odwracając się znowu, by na nich spojrzeć, stukając kieliszkiem o kieliszek Lucasa. – Najwyraźniej tak...

Kiedy Nogueira do nich podszedł, trzymał już w ręku swój kieliszek, który Daniel napełnił mu po drodze. Usiadł obok przyjaciół i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął mały pakunek zawinięty w papier prezentowy. Wierny swojemu osobliwemu stylowi bycia, zlekceważył uwagę, jaką obaj mężczyźni zwrócili na paczkę, i pokazał na łódź kołyszącą się w dole, na rzece.

– Będziesz musiał częściej mi ją pożyczać. Odkryłem, że rejsy po rzece wprawiają moją żonę w romantyczny nastrój.

– Kiedy tylko zechcesz... – odparł Manuel, uśmiechając się i wskazując na pakunek. – A teraz powiesz nam, co tam masz, czy pozwolisz, żebyśmy umarli z ciekawości?

Nogueira podał mu paczkę, a Manuel zaczął odklejać taśmę i zdejmować papier.

– To coś, co strasznie mnie wkurza – powiedział Nogueira, ciesząc się ze zdziwienia na twarzach obu mężczyzn. – Strasznie mnie wkurza przyznanie, że miałeś rację, chociaż tylko częściowo...

Manuel skończył odpakowywać i jego oczom ukazało się kartonowe pudełko o wielkości zaledwie dwudziestu centymetrów na dwadzieścia. Otworzył je i w środku znalazł nawigację TomTom, której brakowało w samochodzie Álvaro.

– Postawiłem na nogi całą komendanturę, tak że wszyscy zaczęli jej szukać. I, jak mówiłem, po części miałeś rację: ktoś ją sobie wziął...

Zaskoczony Manuel uniósł brwi.

– Ale nie był to żaden gwardzista – pospieszył z wyjaśnieniem – tylko jeden z kierowców pomocy drogowej, asystent, który pracował ledwie dwa tygodnie i którego wyrzucili za kradzież.

Manuel się uśmiechnął.

– Dziękuję.

– Ale ja też miałem rację, bo nie zabrał jej gwardzista. Mówiłem ci, że my, funkcjonariusze Gwardii Cywilnej, nie kradniemy...

Trzej mężczyźni się roześmiali, a Daniel zawołał ich na jedzenie.

Manuel zaczął się podnosić, ale Nogueira go zatrzymał.

– Poczekaj. Ładowałem ją przez całą noc, żebyś mógł włączyć. Mówiłem ci już, że w tym gracie możemy sprawdzić, dokąd jechał Álvaro, kiedy jego samochód wypadł z drogi.

Manuel spojrział na ekran i mroczne emocje, których udało mu się pozbyć w ciągu ostatniego miesiąca, znowu chwyciły go mocno za serce.

– Nie wiem, czy...

– Zrób to – powiedział stanowczo gwardzista.

Manuel nacisnął guzik włączający urządzenie. Od razu pojawiły się ikony z różnymi funkcjami; delikatnie dotknął palcem miejsca, które wskazywało na ostatnie trasy, i na ekranie zobaczył mapę kończącą się słowami: „Dom”.

Oczy Manuela zaszły mgłą. Na ramionach poczuł ręce, które, jak przypuszczał, należały do Lucasa, i usłyszał głos Nogueiry.

– Wraciał do domu, Manuel, wracał do ciebie. Kiedy Álvaro czuł, że umiera, nie chciał jechać w żadne inne miejsce na świecie, tylko do ciebie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję za współpracę wszystkim, którzy użyczając swoich talentów i wiedzy, przyczynili się do tego, że historia żyjąca w mojej głowie przez długie lata nabrała kształtu w postaci książki, którą teraz trzymamy w rękach. Za każdy błąd i każde niedopatrzenie biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność.

Elenie Jiménez Forcadzie, lekarce weterynarii z Cintruénigo w prowincji Nawarra, za doradztwo w sprawie psów i koni, które pojawiają się w tej powieści.

Jeanowi Larserowi za te rozmowy, które napędzają człowieka energią i entuzjazmem, by iść dalej. Dziękuję.

J. Miguelowi Jiménezowi Arcosowi z Tudeli za profesjonalne doradztwo w kwestii skutków zażywania narkotyków. Tak to zostawmy i niech sobie myślą ;-)

Gwardii Cywilnej, zwłaszcza funkcjonariuszom z posterunku w O Carballiño w prowincji Ourense, a przede wszystkim kapralowi Javierowi Rodríguezowi za jego niezbędną pomoc.

Miejscowości Rodeiro w prowincji Pontevedra, która od pewnego czasu sezonowo przyjmuje mnie razem z moją rodziną.

Bodedze Vía Romana z Ribeira Sacra za inspirację dla mojej Heroiki.

Centrum Wina Ribeira Sacra w Monforte de Lemos w prowincji Lugo za

podzielenie się ze mną informacjami i sprawienie, że poczułam dumę z produkcji wina tak jak przed dwoma tysiącami lat. A także przewodnikom z barek w Belesar, dzięki którym zakochałam się w rzece Sil i jej siedmiu zatopionych wioskach.

Mojej siostrze Esther, najzagorzalszej pasjonatce Galicji – nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za to, że odkryłaś dla mnie to niesamowite, potężne i dzikie miejsce.

Naszej Pani z Corpiño^[21]. Po prostu.

[21] Nosa Señora do Corpiño – Matka Boska z sanktuarium w Corpiño w prowincji Pontevedra.

DOLORES REDONDO – urodziła się w 1969 roku w San Sebastián. Studiowała prawo na Uniwersytecie Deusto w Bilbao oraz gastronomię. Zanim zawodowo zajęła się literaturą, pracowała w kilku restauracjach, a potem otworzyła własny lokal. W 2009 roku wydała debiutancką powieść *Los privilegios del ángel*. Cztery lata później ukazał się pierwszy tom trylogii Baztán pt. *Niewidzialny strażnik*, a następnie *Świadectwo kości* i *Ofiara dla burzy*. Trylogia została przetłumaczona na piętnaście języków, a prawa do ekranizacji sprzedano od razu po opublikowaniu pierwszej części. W 2016 roku ukazała się powieść *Dam ci to wszystko*, za którą Redondo otrzymała Premio Planeta; do konkursu zgłosiła się pod pseudonimem Jim Hawkins, a książka nosiła tytuł *Słońce Teb*.

Niespodziewana śmierć. Mroczny rodzinny sekret. Poszukiwanie prawdy w samym sercu legendarnej ziemi.

W majestatycznej scenerii Ribeira Sacra Álvaro ulega wypadkowi i umiera. Kiedy Manuel, jego mąż, przyjeżdża do Galicji, aby rozpoznać ciało, odkrywa, że dochodzenie w sprawie wypadku zostało zamknięte zbyt szybko. Odrzucenie ze strony wpływowej rodziny Muñizów de Dávilów skłania go do opuszczenia tego miejsca. Manuela zatrzymuje jednak tyrada o bezkarności, którą Nogueira, emerytowany funkcjonariusz Gwardii Cywilnej, wygłasza przeciwko rodzinie Álvaro, arystokratom cieszącym się swoimi przywilejami, oraz podejrzenie, że nie jest to pierwsza związana z nimi śmierć, którą upozorowano na wypadek. Lucas, ksiądz i przyjaciel Álvaro z dzieciństwa, przyłącza się do Manuela oraz Nogueiry i razem rekonstruuje sekretne życie mężczyzny, którego – jak im się wydawało – dwójka z nich tak dobrze znała.

Niespodziewana przyjaźń tych trzech mężczyzn, których wcześniej nic nie łączyło, pomaga Manuelowi żeglować między miłością do człowieka będącego jego mężem a udręką, że przez cały czas żył plecami do rzeczywistości, chowając się w swoim świecie literatury. W ten sposób rozpoczyna się poszukiwanie prawdy w krainie silnych wierzeń i zakorzenionych zwyczajów, które wymykają się wszelkiej logice.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

KOŁO RATUNKOWE

ISLANDZKIE SŁOŃCE

PRZYGNEBIENIE

PRZYGNEBIENIE

CZUŁY PUNKT

IMPASSE

INERCJA

SEKRETNY OGRÓD

PRACE HEROSA

SŁOŃCE TEB

SIEĆ

KRAWĘDZIE

DZIWNY ŚWIAT

DYM

ZRYWAĆ KORE

KAWA

Z PRACY CZŁOWIEKA

MARKIZ

KRUK

FOLIA

SZKIELETY

BRZYDOTA

DZENTELMENI

KONTROLA KRZYWD

IDIOTA PATRZY NA MORZE

KRAKANIE

BELESAR

MDŁOŚCI

GRZECH PYCHY

POWÓD I RÓWNOWAGA

POD GOŁYM NIEBEM

WEZWAĆ ZMARŁYCH

BEZSENNOŚĆ

PODWÓJNE DNA

MACHLOJKI

SERCE KAJMANA

PROSCENIUM

BRONTOFOBIA

ZLECENIE

LAMENT

ECHO

GARDENIE

NIGDY WIĘCEJ

BURZA

SAKRAMENT RADOŚCI

POZDROWIENIE, SZACUNEK, KURTYNA

WRÓCIĆ DO DOMU

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:

Todo esto te daré

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © antoshkaphoto (Shutterstock.com)

Copyright © 2013. Fallen Crest Family by Tijan.

Todo esto te daré © by Dolores Redondo Meira, 2016

By Agreement with Pontas Literary & Film Agency

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz
Kierus

Copyright © for Polish translation by Barbara Bardadyn

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2018

ISBN 978-83-66074-47-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek